



***BARBARA DELINSKY***



***WIĘCEJ NIŻ PRZYJACIELE***

# Prolog

Michael Maxwell uniósł kamerę do oka i opierając się o poręcz werandy rozpoczął filmowanie. Pieczołowicie utrwał na taśmie widok oceanu, po czym przesunął okiem kamery wzdłuż kamienistej ścieżki, prowadzącej od plaży do domu.

Zniżając o oktawę swój głos trzynastolatka, rozpoczął:

- Święto Pracy, 1992 rok. Wyspa Sutters w stanie Maine. Razem ze mną na werandzie letniej rezydencji Popwell są Pope'owie i Maxwellowie, którzy zebrali się tego doniosłego popołudnia na dziesiąty doroczny piknik na zakończenie wakacji.

- Dziesiąty - niczym echo rozległ się za jego plecami głos z huśtawki na werandzie. - Aż trudno w to uwierzyć.

- Rzeczywiście - doszedł inny głos, tym razem męski, a potem drugi, poprzedzony chrząknięciem.

- A ja mogę w to uwierzyć. Właśnie widziałem kosztorysy położenia nowego dachu, założenia nowego bojlera i zbiornika na wodę. Ten dom już się rozsypuje.

- Ale my go kochamy - oświadczyła Annie Pope.

- Prawda, Teke?

- Prawda - potwierdziła Teke, puszczając oko do kamery, która właśnie obejmowała całą grupę.

Michael, cały czas kierując kamerę na dużą drewnianą huśtawkę na werandzie, głębokim głosem powrócił do narracji: - Tutaj są założyciele rezydencji Popwell. Od lewej widzimy Johna Davida Maxwella, obejmującego ramieniem swego najlepszego przyjaciela, Sama Pope'a. Żona Sama, Annie, opierając się plecami o jego bok i oplatając rękami kolana, wsuwa boscę stopy pod nogi swej najlepszej przyjaciółki, Teke. Mają na sobie cały asortyment bawełnianych koszulek i szortów i wyglądają uroczo jak na starszych ludzi.

- Ej! - zaprotestowała Teke.

- Nie jesteśmy już młodzi - potwierdził John i w odpowiedzi na spojrzenie, które rzucił mu Sam, dodał: - Jakoś nie widzę, żebyś się wyrwał do „Wielorybnika” w doku.

- Max obiecał, że się tym zajmie.

- Bo go do tego zmusiłeś.

- Przecież my dzisiaj rano porąbaliśmy cały stos drewna!

- Dziesięć lat temu porąbaliśmy tyle drewna i dalej chciałoby nam się coś robić.

- Dziesięć lat temu nie mieliśmy pięciorga nastolatków do pomocy, żeby sobie pozwolić na odpoczynek.

Teke spojrzała na niego.

- Dziesięć lat temu mieliśmy po trzydzieści lat. Spójrz prawdzie w oczy, Sam. Starzejemy się.

- Ja się nie starzeję. - Sam podkreślił węża i objął Annie. - Właśnie wkraczam w wiosnę życia. Prawda, słoneczko? - Schwycił ustami jej ucho i wessał się w nie.

- Urocze ujęcie, Sam - zauważył Michael. Zastanawiał się, jak zachowałyby się Kari Stevens, gdyby spróbował z nią czegoś takiego. Pewnie nazwałyby go zbrojeńcem. No, ale cóż Kari Stevens mogła wiedzieć o sztuce posługiwania się językiem?

- On wszystko widzi - ostrzegł Sama John. - Jeśli za parę lat będzie postępował z kobietami jak Geraldo, będę miał pretensje do ciebie.

- Geraldo? - doszedł zdziwiony krzyk z rogu werandy. Michael przechylił kamerę tak, by uchwycić obraz swojej siostry Jany, która mówiła ze śmiechem: - On nigdy nie będzie taki jak Geraldo.

- Dlaczego nie? - spytał Michael, lekko urażony. Prawdę mówiąc, czuł się bardziej filmowcem niż reporterem, jednak zawsze chciał być wspaniały w tym, co będzie robił.

- Bo jesteś zbyt miły - odpowiedziała Zoe Pope, przytulona do Jany w kącie werandy.

- Och, ale chodzi mi o to, że mógłbym taki być.

- Chcąc zrobić zbliżenie, przysunął się do dziewcząt.

- Mogę powiedzieć całemu światu, że wystarczy, by Jane Maxwell skinęła palcem, a już podjeżdżają do niej samochodami trzej faceci z klasy.

- Michael!

- Czy to prawda, Jano? - spytała Teke.

Jednak Michael miał w zanadrzu coś lepszego. - Mogę powiedzieć Joshowi Vacarro, że linia telefoniczna jest zajęta całymi wieczorami nie dlatego, że Jana rozmawia z Zoe, ale ponieważ rozmawia z Dannym Stocklanem i Dougiem Smithem.

- Nie zrobisz tego - ostrzegła Jana.

- Jasne, że tego nie zrobi - zapewniła ją Zoe. Zawsze łagodziła nastroje Jany, podobnie jak Annie działała uspokajająco na Teke. Była podobna do matki; miała delikatną urodę Annie i takie same jasne krótkie, falujące włosy, podczas gdy Jana była tak samo ciemnowłosa i obdarzona egzotyczną urodą jak Teke.

Sam pstryknął palcami. - Chodź tutaj, Michael. - I kiedy Michael z kamerą przysuwał się powoli w stronę rodziców, Sam powiedział: - Donoszenie na siostrę to tak jak składanie fałszywych zeznań. Prawdziwy mężczyzna tego nie robi. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. - Michael nie protestował, bo Sam był zbyt dobrym przyjacielem, żeby warto było się z nim sprzeczać. Nie każdy chłopak mógł mieć takiego Sama. Był jak ojciec, tyle że bez wad. A poza tym był niesamowicie wysportowany. Gdyby nie treningi z Samem, Michael nie byłby nawet w połowie tak dobrym koszykarzem. Ale koszykówka była dobra jesienią, w mieście; teraz byli na wakacjach na wyspie.

- Kiedy zagramy w siatkówkę? - spytał Sama zza kamery.

- Gdy tylko odzyskam trochę sił.

John spojrzął na zegarek. - Zanim odzyskasz siły, trzeba będzie wyjeżdżać. O piątej ma przypląć łódź i nas stąd zabrać. A do tej pory musimy zrobić jedzenie i posprzątać...

- Kurczaki! - ciężko westchnęła Annie. - Zupełnie zapomniałam! - Zaczęła się podnosić, ale oboje ją zatrzymali - Sam, który mocniej się do niej przytulił, i Teke, która położyła jej dłoń na ramieniu i podniosła się z huśtawki.

- Ja się tym zajmę. Zostań z Samem.

- Sam, puść mnie - protestowała Annie. - Przyrzekłam sobie, że się tym zajmę. Teke spędziła większą część tego tygodnia na gotowaniu, a to jest nie w porządku. Przecież ona też jest na wakacjach.

Jednak Sam nie wypuścił jej z objęć, a Teke uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- To jest coś, co umiem robić najlepiej - powiedziała i zasunęła za sobą drzwi.

Michael szybko zrobił ujęcie wejścia do domu, zanim Teke zniknęła z pola widzenia. Lubił filmować swoją matkę. Była niezwykła - miała na sobie bawełnianą koszulkę, zieloną jak jarzeniówka, włosy związane na czubku głowy fioletową wstążką, która harmonizowała z zygzakowatymi kolczykami wiszącymi w jej uszach. Żadna z matek jego kolegów nie mogła się z nią równać, i to nie tylko dlatego, że Teke była zawsze pod ręką. Albo że doskonale gotowała. Była po prostu fajna.

Znowu zaczął mówić barytonem: - I teraz to zobaczyliście: Theodora Maxwell spełnia swoje obowiązki. Karmi głodnych, pielęgnuje chorych i biegnie na koniec świata po nową ramę do postera, krem cytrynowy czy czarne szorty. Powiedz, Annie - zwrócił się do niej, ponieważ Annie zawsze wyrzucała z siebie to pytanie - co my byśmy bez niej zrobili przez te wszystkie lata?

Annie szczerze uśmiechnęła się do kamery. - Ja nigdy nie dostałabym kontraktu wykładowcy, a ty nigdy byś się nie urodził.

Sam spojrzał na Johna. - I jak ci się podoba ten hołd złożony twojej żonie?

- Brzmi nieźle - powiedział John, podnosząc się z huśtawki. Podeszedł do poręczy werandy i spojrzał w dół, na łagodną skarpe biegnącą ku dokowi. - Hej, chłopaki! Musicie mi pomóc.

Michael podeszedł do ojca i skierował kamerę w odległy koniec doku, gdzie byli Leigh i Maximilian. Leigh, w bikini, rozciągnęła się na deskach moła, łapiąc ostatnie promienie słońca. Max przytulał się do jej biodra, odwrócony plecami do domu. Michael uchwycił kamerą ruchy jego ręki i, nadając swemu głosowi głębokie brzmienie, mówił: - Ten dzień należy do mężczyzn z rodziny Pope'ów. Najpierw język Sama w uchu Annie, a teraz ręka Maxa w staniku Leigh. Dobrze, że w pobliżu nie ma dzieci. Byłyby zaszokowane.

- Dobry Boże, Max! To moja córka! - wykrzyknął John w kierunku moła. - Mógłbyś być nieco bardziej dyskretny!

- Oni są bardzo dyskretni - rozległ się śmiech Jany z rogu werandy.

John rzucił spojrzenie Samowi. - Co twój syn tam robi?

Sam rozciągnął się z Annie na huśtawce. - Nie denerwuj się, John. Oni są w porządku.

- Rozmawiałeś z nim ostatnio?

- On nie robi niczego takiego, czego ty nie robiłeś w jego wieku.

- Ja w jego wieku nic nie robiłem.

Michael przestał filmować. - Nic? Kiedy miałeś siedemnaście lat?

- Całowałem się z dziewczynami - poinformował go John.

- Tylko?

- Tylko.

- Och...

- Co ma znaczyć to „och”?

To miało znaczyć, że Michael nie mógł sobie wyobrazić, że przez najbliższe cztery lata swego życia miałby się ograniczyć tylko do całowania. Nie, żeby od razu chciał stracić cnotę, ale zaczął się już zastanawiać, jak by to było dotykać dziewczynę, nie tylko trzymać ją za rękę.

- Co ma znaczyć to „och”? - powtórzył John.

- Nic. - Michael znów uniósł kamerę i włączył nagrywanie. - Maximilian Pope poprawił się. Teraz trzyma ręce na widoku. - Nagle w jego głosie rozbrzmiała dziecięca ekscytacja. -

Och, tato, popatrz! - i zaczął filmować szkuner, który właśnie pojawił się w polu widzenia. -  
Wspaniały!

- Niezły.

- Jest niesamowity.

- Nie byłby aż tak niesamowity, gdyby morze się rozszalało. Byłby wtedy niezbyt komfortowy. A my w tym czasie moglibyśmy płynąć bezpiecznie i wygodnie.

- Ale nie możemy popłynąć w takie miejsca, w jakie on może.

- „Wielorybnikiem” można pływać w różne miejsca.

- Ale nie w takie jak tym szkunerem.

- „Wielorybnik” jest znacznie solidniejszy.

- Ależ to górnotłone. „Wielorybnikiem” nie można popłynąć w żadne ciekawe miejsce. A ja chcę podróżować.

Żaden filmowiec nie może sobie wyrobić nazwiska, ograniczając się do filmowania wyspy Sutters, czy Constance, gdzie mieszkali Pope'owie i Maxwellowie, albo Bostonu, gdzie pracowali John i Sam. Nie można zdobyć nazwiska dzięki filmowaniu uroczystości rodzinnych albo szkolnych przedstawień - nawet gdy się dostanie za to nagrodę - czy innych dokumentów tuzinkowego życia. Michael chciał zrobić jakiś ważny materiał. Planował, że okrąży kulę ziemską, zanim skończy dwadzieścia lat.

- Więc zainteresuj się prawem międzynarodowym - doradził mu ojciec. - Ta dziedzina bardzo się rozwija. Będiesz mógł połączyć pracę z podróżami.

- Nie mam zamiaru zajmować się prawem - odpowiedział Michael.

- Dlaczego? - ton Johna był natarczywy.

Michael w dalszym ciągu filmował szkuner, jeden z najbardziej niesamowitych, jakie zdarzyło mu się widzieć. - To byłoby nudne.

- Ja się nie nudzę.

- Nie jestem tobą.

- A czy Sam się nudzi?

- Sam to nie ja.

Michael musiał przyznać, że prawo karne, którym się zajmował Sam, w porównaniu z przedsiębiorstwami i nieruchomościami, które były domeną Johna, wydawało się bardziej ekscytujące. Jednak Michael ciągle nie mógł sobie wyobrazić siebie siedzącego w biurze od ósmej rano do ósmej wieczorem.

- Twój dziadek liczy na to, że w firmie, którą stworzył, będą pracowały trzy pokolenia Maxwellów - powiedział John.

- W porządku. Niech Jana zostanie prawnikiem. Ona jest do tego stworzona.

John milczał. Michael czuł na sobie jego wzrok. Wyczuł też coś zagadkowego w jego głosie, kiedy John zapytał: - A co ty tam chcesz zobaczyć?

- Niebo. Morze. Jachty. - Michael przerwał na chwilę. - Coś nowego. Innego. W naszym życiu wszystko da się przewidzieć.

- Przemawia przez ciebie młodość. Jesteś za młody, żeby docenić wartość stabilizacji.

- Chcę przygody.

- Zdecydowanie przemawia przez ciebie młodość.

Michael nie odpowiedział. Jeśli mógł coś powiedzieć o swoim ojcu, to tylko to, że John nigdy nie zmienia zdania, ale nie przeszkadzało mu to, bo zawsze miał Teke po swojej stronie. W niej zawsze znajdzie oparcie, cokolwiek chciałby zrobić. Była taka opanowana. Była jego kumpelką. Kiedy widział matki swoich kolegów, mógł być wdzięczny losowi, że jego matką jest Teke.

## Rozdział 1

Uderzając dłonią w ostatnią stronę postanowienia, które właśnie skończył czytać, Sam Pope podniósł się zza biurka, z satysfakcją wziął głęboki oddech i gdy wypuszczał powietrze z płuc, jego zadowolenie narastało. Podkręcił wąża, a na twarzy pojawił mu się uśmiech. Uśmiech stawał się coraz szerszy. Wyprostował ramiona i poczuł, że podniecenie rozsadza mu klatkę piersiową. Nie był w stanie się powstrzymać, żeby nie mruknąć głośno: - Dalej, Sam - i ruszył w stronę drzwi.

Nie zatrzymując się powiedział: - Wygraliśmy, Joy.

Oczy jego sekretarki załśniły. - To wyjaśnia zainteresowanie dziennikarzy.

Właśnie wyciągnęła różowy notes, gdzie zapisała telefony, których Sam nie przyjął, by nie przerywać lektury postanowienia sądu, gdy aparat znów zadzwonił. Jednak Sam już wyszedł. Radośnie kroczył korytarzem. Czuł, że jest na szczycie świata. Mijał gabinet za gabinetem, ale nie zwolnił kroku, aż doszedł do drzwi na samym końcu korytarza. Chciał, żeby John był pierwszym współlnikiem, który usłyszy nowinę. John David Maxwell był jego najstarszym i najbliższym przyjacielem.

Gabinet był pusty.

- Wyjechał do Springfield na cały dzień - wyjaśniła sekretarka zza biurka.

Sam przez chwilę poczuł rozczarowanie, ale to uczucie szybko się rozplynęło. Był zbyt przejęty, by coś go mogło wytrącić z radosnego nastroju. - Jeśli zadzwoni, powiedz mu, że wygraliśmy sprawę Dunn przeciw Hanoverowi.

Sekretarka uśmiechnęła się szeroko. - Będzie w siódmym niebie. Wspaniały sukces.

- Tak - potwierdził Sam i skierował się do następnego korytarza. Na jego odległym końcu znajdował się narożny gabinet ze wspaniałym widokiem na budynek administracji stanowej, ratusz i miejski ogród. Był to gabinet założyciela firmy, Maxwella seniora.

- Czy jest tu John Stewart?

- Jest w Nowym Jorku na konferencji. Ale będzie pod wrażeniem.

O ile będzie, pomyślał Sam. Dwanaście lat temu John Stewart nie chciał się zgodzić na istnienie wydziału spraw spornych w firmie. Jeśli było to spowodowane względami finansowymi - a wydawało się, że John Stewart tak myśli - ten sukces uzasadniał słuszność istnienia wydziału. Sześć milionów honorarium to kwota nie do pogardzenia.

Krocząc z powrotem korytarzem wiedział, że wygląda na zadufanego w sobie, ale nie dbał o to. Zatrzymał się przed drzwiami pokoju oddalonego o kilka metrów od własnego gabinetu i zastukał we framugę.

Vicki Cornell była w firmie od czterech lat i najbliższej z nim współpracowała przy przekazaniu sprawy Dunn przeciw Hanoverowi z sądu okręgowego do sądu apelacyjnego i do Sądu Najwyższego. Ledwie spojrzała na Sama, a jej oczy rozszerzyły się. - Czyżby?

Zęby zabłysły mu w uśmiechu i kiwnął głową.

Wyrwał jej się okrzyk radości i natychmiast poderwała się, stając w progu i wyciągając dłoń z gratulacjami. Sam zapomniał o urzędowych manierach i mocno ją przytulił.

Nie miała nic przeciwko temu. Wyszwobodziwszy się z jego uścisku, wyglądała na równie podekscytowaną zwycięstwem jak on sam. - Wygraliśmy? Wspaniale. Masz już postanowienie sądu?

Skinął głową. - Leży na moim biurku.

- Czy Marilyn Dunn wie?

- Ona i inni też. Wszyscy przyjadą o trzeciej na konferencję prasową. Wyświadczysz mi przysługę i zadzwonisz do Sybill Howard? Kanał 5 cały czas zajmował się tą sprawą i chcę, żeby Sybill miała z tego jakieś korzyści. I zadzwoń do Locke-Ober. Niech zarezerwują salę. -



Skierował się do wyjścia. - Chciałbym, żeby twój mąż też tam był. I Tom, i Alex - wszyscy, którzy kiedykolwiek pracowali nad tą sprawą. - Był już przy drzwiach, kiedy dodał: - Zasłużyliśmy na uroczystość. Nie co dzień zdarza się wygrać precedensową sprawę. - I mijając Joy, rzucił: - Zobaczymy się za dwie godziny.

- Gdzie będziesz?

- W domu. Albo w college'u. Tam, gdzie będzie moja żona.

Nie miał zamiaru przekazywać Annie tej nowiny przez telefon. Potrzebował czegoś innego. Wygrana sprawa Dunn przeciw Hanoverowi to było wspaniałe osiągnięcie. Musiał patrzeć jej prosto w twarz, musiał ją trzymać w ramionach. Bez tego żadna uroczystość nie mogła być pełna.

\* \* \*

Constance leży osiemnaście mil na północny zachód od Bostonu. Mieszkańcy Constance - zamożni, znający się nawzajem - dobrymi samochodami pokonują dystans dzielący ich miasto od Bostonu w ciągu czterdziestu minut. Samowi zajęło to dziesięć minut mniej. Wprawdzie była jedenasta przed południem, a nie godziny szczytu, ale Sam przemykał obok robotników prowadzących prace drogowe ani razu nie hamując. Dopisywało mu szczęście.

Przez całe życie, notując drobne sukcesy, marzył, żeby dokonać czegoś ważnego. To był jego cel. Jako asystent prokuratora okręgowego był oskarżycielem w sprawie o morderstwo i w kilku sprawach związanych z narkotykami, ale to wszystko nie mogło się równać ze sprawą Dunn przeciw Hanoverowi.

Annie to wiedziała. Annie rozumiała.

Shczęście rzeczywiście mu dopisywało, bo we wtorki Annie pracowała w domu. Powinna być tylko ona - żadnych dzieci, żadnych przyjaciół. Z pewnością będzie czytała prasę, sprawdzała wypracowania albo przygotowywała wykład - dopóki nie usłyszy od niego nowiny. Wtedy nie będzie się posiadała z radości. Zawsze była przy nim, gdy mógł się z nią podzielić dobrą wiadomością.

Przypomniał sobie inne dobre nowiny w swoim życiu. Kiedy pocztą przyszła wiadomość, że przyjęto go na wydział prawa, przeszukał całą bibliotekę, aż wreszcie znalazł ją w jakimś odległym kącie i zaciągnął do pobliskiego magazynu, gdzie kochał się z nią, przytrzymując plecami drzwi. Tego popołudnia, kiedy ogłoszono, że uzyskał uprawnienia do występowania w sądach arbitrażowych, zrobili to w samochodzie. A kiedy został wpisany do reje-

stru adwokatów, pobiegł z nią do motelu sąsiadującego z college'em, gdzie Annie przygotowywała dyplom. Pokój był uroczy i całe dwie godziny okazały się owocne. Dziewięć miesięcy później urodził się Maximilian.

Jechał z uśmiechem na twarzy i bólem w pachwinach; jedno i drugie nasilało się, gdy zbliżał się kolistym podjazdem do drzwi ceglanego domu w stylu Tudorów. Niecierpliwie czekając na to, co miało nastąpić, wyskoczył z samochodu, szybkim krokiem przemierzył krótką ścieżkę i otworzył drzwi domu na oścież.

- Annie! Słoneczko, mam dobrą nowinę!

Przeskakiwał po dwa stopnie, aż znalazł się na drugim piętrze, a potem na poddaszu, gdzie był jej gabinet. O tej porze dnia słońce powinno wlewać się przez okno w dachu i padać na jej biurko. Już widział, jak się tu kochają.

- Annie?

Nie było jej w gabinecie, chociaż jej teczka była otwarta, a biurko zasłane papierami. Przeszukał drugie piętro, potem pierwsze, głośno ją wszędzie wołając. Kiedy wszedł do garażu, zobaczył, że nie ma jej samochodu.

Niezmordowany sięgnął po telefon i zadzwonił do szkoły. Mógłby tam być w ciągu kilku minut.

Jednak i w szkole jej nie było.

Spojrzał na kuchenny kalendarz. Na ten dzień nic nie było zaplanowane. Mogła pojechać na zakupy, po żywność albo ubrania dla dzieci, a w takim razie, ponieważ robienie zakupów szybko wyczerpywało jej cierpliwość, wkrótce powinna być z powrotem. Mogła też pójść na lunch z którymś z przyjaciół. To zajęłoby więcej czasu.

Zawiedziony, a nawet w niejasny sposób urażony, czując, że rozsądzi go podniecenie, jeśli szybko się z nią nie podzieli radosną nowiną, wyszedł tylnymi drzwiami i ruszył przez lasek. Liście drzew nabrały złotordzawych odcieni i pachniały jesienią. Jednym susem przeskoczył strumyk i minął drewnianą chatkę, którą dawno temu zbudowali z Johnem dla dzieci, zaś zupełnie niedawno wykorzystali ją z Annie w całkiem dorosłych celach. Przemknął szybko ścieżką wśród zarośli na tył domu Maxwellów. Po kamiennym patio doszedł do tylnych drzwi i otworzył je, wchodząc do kuchni.

- Teke?

Ekspres do kawy był włączony, a to dobry znak. Myśl, że Annie może tutaj być, doprowadziła jego podniecenie do następnego szczytu. Teke z pewnością zrozumie, jeżeli wyciągnie

Annie do domu. Teke rozumiała go prawie tak dobrze jak Annie. Była mu bliska jak siostra, której nigdy nie miał.

Znając dom Maxwellów niemal tak dobrze jak własny, przeszukał wszystkie zakamarki w kuchni. Teke tu nie było. Nie widział też samochodu Annie na podjeździe, jednak równie dobrze mogła zaparkować przed frontowym wejściem.

- Teke? - zawołał jeszcze raz, a potem głośniej: - Teke!

Teke poderwała się na dźwięk głosu Sama. Siedziała w salonie, wtulona w kąt kanapy, pieścąc w dłoniach filiżankę z kawą, chociaż ta już dawno wystygła. Miała na sobie jedwabne kimono, które dostała od Johna pod choinkę. Było zbyt staroświeckie jak na jej gust i nie pasowało do jej młodzieżowego stylu, ale szukała w nim pomocy; założyła je, by przypomnieć sobie kim jest. Była wytrącona z równowagi. W taki stan wprowadził ją list Grady'ego Pipera.

Grady był miłością jej dzieciństwa, światłem jej młodości, źródłem jej siły. Dojrzewiała w jego ramionach, dosłownie i w przenośni. Już od dwudziestu dwóch lat nie widziała go ani nie miała od niego żadnych wiadomości, ale nie dlatego, że nie szukała kontaktu. Błagała go. Wysyłała listy. Próbowwała dzwonić. Jednak on pozostał głuchy na jej prośby, zwracał jej nie otworzone listy i nie chciał podejść do telefonu. Wreszcie powiedział wprost, że jej nie chce.

Poddała się ze złamanym sercem i ostatecznie uwierzyła, że Grady odszedł z jej życia. Zapisła się do college'u, poznała Annie i Sama, poznała Johna Davida Maxwella i wyszła za niego, urodziła mu troje dzieci, znalazła nowe życie.

Teraz Grady powrócił - właściwie przyszedł tylko list od niego - i to wtedy, gdy jej małżeństwo się załamywało. Było to ledwo uchwytnie załamanie - cichy zawód, pewna niecierpliwość, jaka wcześniej się nie zdarzała, i nie tylko Teke miała takie odczucie. John czuł to samo. Mogła to zauważyć po tym, w jaki sposób z nią rozmawiał, jak na nią patrzył. Jeśli w ich związku była kiedyś jakaś fascynacja, już minęła. Wpadli w rutynę. List Grady'ego nie mógł przyjść w gorszym czasie.

Kiedy dostała list, przeżyła szok. Trzymała go w dłoni i wpatrywała się w kartkę papieru, a jej ciało ogarnęło drżenie. Od tamtej pory przeczytała go tyle razy, że znała jego słowa na pamięć.

Pisał, że myśli o niej. Zastanawia się, co u niej słyhać. Sądzi, że mógłby przyjechać do Constance i zobaczyć się z nią. W imię dawnych czasów.

Banalność tego dotknęła ją do żywego. Między nią a Gradym nigdy nic nie było banalne. Od tamtej pory minęły dwadzieścia dwa lata, jednak nie mogła sobie wyobrazić, że spoglądając

mu w oczy będzie czuła coś banalnego. Jak zawsze, kiedy o nim myślała, tak i teraz zaczęło się w niej skrzyć poczucie silnej więzi.

Skrzył się w niej również gniew. Przed laty odrzucił ją, stwierdził, że jej nie chce, a ona choć myślała, że ją to zabije, zdołała jakoś wypchnąć go poza nawias swych myśli. Teraz miała własne życie. Nie miał prawa się w nie wciskać. Jego ponowna obecność w jej życiu nie mogłaby doprowadzić do niczego dobrego, naprawdę do niczego dobrego.

Była nieskończenie wdzięczna Samowi, że się tu zjawił. Potrzebowała kogoś, żeby móc oderwać myśli od Grady'ego.

- Jestem w salonie!

Zjawił się tam w okamgnieniu i widać było, że rozsadza go podniecenie. - Wygraliśmy sprawę Dunn!

- Sprawę Dunn? - Teke próbowała zrozumieć, o czym Sam mówi.

- To precedensowa sprawa, która określi postępowanie w przypadkach wykorzystywania seksualnego - wyjaśnił, a jego ekscytacji nie był w stanie zmniejszyć fakt, że Teke nie pamiętała tej sprawy. - Do tej pory obowiązywało ograniczenie terminu zgłaszania takich przypadków do trzech lat. Jednak problem tkwi w tym, że wykorzystywana kobieta czasami długo nie zdaje sobie sprawy, że była wykorzystywana. Marilyn Dunn potrzebowała siedemnastu lat, żeby sobie uświadomić, dlaczego jej życie było piekłem. Po siedemnastu latach zaskarżyła swojego prześladowcę i wygrała. Czy wiesz, co to znaczy dla wielu zgwałconych kobiet w tym stanie?

Teke zaczęła kojarzyć, że istotnie kiedyś wspominał o tej sprawie. Zaczęło jej się udzielać jego podniecenie.

- I ty wygrałeś tę sprawę?

Uśmiechnął się radośnie. - Ta sprawa jest warta dwadzieścia milionów dolarów.

Podniosła się z kanapy i uścisnęła go. - To wspaniale, Sam.

Rozpromieniony złapał ją w ramiona i okręcił wokół siebie. - To precedensowa sprawa! I ostatecznie zwycięstwo odniosły kobiety, które tego potrzebują.

- Cudownie - powiedziała, czując jego ciepło. Sam był jej najlepszym przyjacielem spośród wszystkich mężczyzn. Był postawny i potężny, nie tak jak John czy Grady; od niego biła siła.

- Och, Teke, co za wspaniałe uczucie! Tyle pracy nas to kosztowało.

Westchnęła z zadowoleniem i wsunęła dłonie pod jego marynarkę, obejmując go w pasie. Sam lubił pieszczoty, podobnie jak ona. Nie miał nic przeciwko temu. A ona tego potrzebowała. Kontakt z jego potężnym ciałem wypełnił pustkę, którą odczuwała.

- Zawsze chciałem takiej sprawy jak ta - mówił w burzę jej włosów. Jego głos był ochrypły z zadowolenia. - Coś takiego zdarza się tylko raz w życiu.

Zamknęła oczy na dźwięk tego ochryplego głosu. Miał silne brzmienie, męskie brzmienie. - Pracowałeś na to w pocie czoła - mruknęła. - Należała ci się wygrana.

- Mojej klientce należała się wygrana.

- Ale ty na to pracowałeś. - Wstrzymała oddech. Nagle tak wyraźnie poczuła jego ciało ściśle przylegające do niej, jednak nie odsunęła się ani na centymetr. W jakiś osobliwy sposób przypominał jej Grady'ego. Po pustce, którą odczuwała, jego uścisk przynosił jej ulgę i rozkosz. Nie widziała w tym nic złego.

- Powiedziałeś już Annie?

- Nie było jej w domu - jęknął i, kiedy mógł ją od siebie odsunąć, przytulił ją jeszcze mocniej. - Myślałem, że może być tutaj.

- Nie było jej tu - zdołała wyszeptać Teke, ale czuła jak płomień, który rozpałił się w jej brzuchu, powoli zaczyna ogarniać całe ciało. To przez Grady'ego, przez tego cholernego Grady'ego, który spajał przeszłość z teraźniejszością.

- Jezu, Teke.

Wyszeptała jego imię, a przynajmniej sądziła, że to było jego imię, chociaż brzmiało raczej jak westchnienie. Jej ciało napierało na niego, próbując ugasić pożar, a on rósł, by ją zaspokoić.

- Jezu - wydusił z siebie.

Wiedziała, o czym myślał. Czuła bicie jego serca - a może to było jej serce? - i opór, który zdawał się jeszcze podsycać narastający żar. Nakazała sobie odsunąć się od niego, ale ciało nie chciało jej posłuchać. Znowu była nastolatką w Gullen i ogarniała ją bez reszty długo tłumiona żądza.

Zaczął ją pieścić. Jej ciało tliło się i żarzyło, aż stanęło w płomieniach. Trawiło ją niepomówane pragnienie czegoś więcej niż pieszczoty.

Jakoś tak się stało, że jego spodnie były rozpięte. Nie miała siły powstrzymać dłoni przed wślizgnięciem się pod jego slipy, a kiedy raz go dotknęła, nawet nie mogła dopuścić do

siebie myśli, żeby przestać. Był naprężony do granic wytrzymałości, spragniony wyzwolenia, a ona tak rozpaczliwie pragnęła spełnienia, że rozchyliła kimono.

Byli więc oboje straceni. Przewrócił ją na kanapę i, kiedy ona mocowała się z guzikami jego koszuli i przywierała otwartymi ustami do jego nagiej piersi, wszedł w nią i zanurzał się raz po raz, z narastającą żarliwością, aż doszedł wydając z siebie przeciągły gardłowy krzyk. Ona była już na krawędzi spełnienia, kiedy głośne trzaśnięcie drzwi wyrwało ją z rozkoszy. Upłynęło kilka sekund, zanim do jej świadomości dotarło, kto to był.

- O Boże! - krzyknęła, wydostając się spod Sama. Złapała kimono i pobiegła w stronę drzwi. - To był Michael! To był Michael! Widział! - Już niemal stanęła we frontowych drzwiach, kiedy z ulicy dobiegł przenikliwy zgrzyt hamulców i pisk opon.

- Michael! - krzyknęła w biegu, ogłuszona teraz nie namiętnością, lecz trwogą.

Pędziła frontową alejką do bramy, bojąc się nawet myśleć. Rosnące przed domem sosny i rododendrony zasłaniały jej widok na ulicę. Dopiero gdy zbliżała się do chodnika, zobaczyła zakurzonego niebieskiego pickupa, który wyhamował tuż przy chodniku. Rzuciła się przed siebie i upadła na kolana. Michael leżał na brzuchu, z podwiniętą ręką i nogą. Oczy miał zamknięte. Spod jego głowy sączyła się strużka krwi.

Serce waliło jej jak młotem. Przerazona podniosła rękę, ale nie zakryła twarzy, przesu-  
wając dłoń na tył głowy, a potem opuściła na szyję, jakby bała się ją gdzieś położyć.

- Michael - odezwała się drżącym głosem. - Michael, słyszysz mnie?

Nie odpowiedział. Przerazona dotknęła jego głowy. Sam przykucnął z drugiej strony chłopca. - Nie ruszaj go. Musimy sprowadzić pomoc.

- Nie widziałem go - doszedł głęboki męski głos skądś spoza nich. - Wybiegł z za drzew. Próbowałem się zatrzymać.

Teke zamarło serce. To był ten głos, głos, który pamiętała. To niemożliwe. To musi być wyobraźnia. Bóg nie mógł jej tego zrobić. I bez tego czuła wystarczająco dużo lęku, przerażenia i wyrzutów sumienia.

- Potrzebna jest karetka! - wrzasnął Sam w stronę, skąd doszedł głos. - Idź do Clingerów...

- Już zadzwoniłam po karetkę! - zawołała Virginia Clinger, która w różowym kostiumie do joggingu biegła przez trawnik przed swoim domem. - Jest w drodze. - Pochyliła blond głowę nad Michaelem. - Żyje?

- Tak! - wykrzyknęła Teke, rozpaczliwie chcąc wierzyć, że tak będzie. Trzymała rękę na plecach Michaela, wyczuwając jego oddech. - Co mam zrobić? - zaskowyczała, oszalała z bezsilności. - Co mam zrobić?

- Trzymaj go za rękę - łagodnie powiedział Sam. - Niech wie, że tu jesteś. - Lekko pogłaskał chłopca po lśniących brązowych włosach.

- Michael? - jeszcze raz spróbowała Teke, pochylając się nad nim niżej. - Słyszysz mnie? To ja, mama, synku. Otwórz oczy.

- Jest nieprzytomny - oznajmiła Virginia.

- Mówiliśmy mu, żeby nie wychodził ze szkoły - doszedł nowy przerażony głos. - Mówiliśmy mu, żeby nie wychodził, ale on był pewny, że zdąży przyjść do domu i wrócić, zanim się skończy przerwa na lunch.

Teke wpatrywała się w pobladłe twarze kolegów swego syna, Terry'ego i Alexa Bakerów. Kiedy Alex gapił się na bezwładne ciało Michaela, Terry paplał: - Dowiedzieliśmy się, że jest jeszcze kilka biletów do klubu MTV na przyszły tydzień. Tata Josha zgodził się kupić je dziś wieczorem, ale tylko, jeśli damy mu wcześniej pieniądze. Michael postanowił, że pójdzie zapytać mamę, czy się zgodzi i od razu weźmie pieniądze.

- On wychodził z domu - oznajmiła Virginia.

Teke przeniosła na nią wzrok, a potem, podążając za spojrzeniem Virginii, spojrzała na Sama. Koszulę miał rozpiętą, pasek u spodni nie zapięty. Doprowadził pasek do porządku i położył dłoń na włosach Michaela. - Kiedy ta cholerna karetka przyjedzie? - mruknął.

Sam, och Sam, co myśmy zrobili? - Teke krzyczała w duchu, a jej krzyk, choć bezgłośny, odbijał koszmar jej myśli. Nie przeżywała takiej rozpaczki od czasu, gdy była brudnym, biednym dzieckiem i żyła w nędzy, w rybackiej chacie na północnym wybrzeżu Maine. Wtedy Grady przyszedł jej na ratunek. Teraz nawet Grady nie mógł jej uratować. Nikt nie mógł jej uratować.

- Będziesz zdrowy, Mickey - zdołała powiedzieć głośno. - Lekarze cię uratują. - I dodała drżącym głosem sama do siebie: - Uspokój się. Uspokój się.

- Dlaczego on wybiegł z domu w taki sposób? - spytała Virginia. - Dlaczego się nie rozejrzył, zanim wbiegł na ulicę?

- On wbiegł do domu i od razu wyleciał jak oparzony! - krzyknął Terry. - Patrzyliśmy ze wzgórza Carterów. Nawet pół minuty nie był w domu.

- Pytał cię o ten koncert? - dociekała Virginia.

Teke nie umiała odpowiedzieć. Nie mogła myśleć o niczym innym poza tym, co się teraz dzieje z Michaeliem. Trzymała go za rękę i rozcierała jego ramię, które wyglądało na nie uszkodzone, i czuła, że robi jej się słabo, jakby miała zemdleć.

- Będzie zdrów, Teke - Sam próbował dodać jej otuchy.

Histerycznie potaknęła, modląc się ze wszystkich sił, by tak było.

- Dzieci są silne. Szybko stają na nogi.

W oddali przeszło powietrze wycie karetki pogotowia. Dźwięk wydawał się Teke tak nierealny, jak wszystko inne dookoła. Nie mogła znaleźć sobie w tym wszystkim miejsca. Nie mogła też od tego uciec.

Syrena dochodziła coraz głośniejszy, milknąc nagle, gdy karetka wjechała na ulicę. Za nią podążał radiowóz policyjny. Obydwa samochody podjechały blisko i wysypali się z nich ludzie.

Teke była świadoma, że inni sąsiedzi wychodzą przed swoje domy, ale nie odrywała wzroku od Michaela. Nie chciała się odsunąć, nawet gdy Sam niemal podniósł ją znad chłopca, żeby zrobić miejsce dla ekipy medycznej. Trzymał ją łagodnie.

- Oni się na tym znają, pomogą mu.

- To moje dziecko, Sam - wyszeptała, szarpiąc się, żeby dojrzeć Michaela otoczonego przez sanitariuszy i policjantów. - Umrę, jeśli mu się coś stanie.

- Wszystko będzie w porządku.

- To moja wina.

- Nie.

- Czy ktoś widział, co się stało? - spytał jeden z policjantów.

Zanim któreś z nich zdążyło się odezwać, kierowca pickupa powiedział: - To mój samochód. Próbowałem się zatrzymać, ale było już za późno.

Teke spojrzała na mężczyznę, zanim zdążyła się opanować i jej wewnętrzny głos zaczął krzyczeć: Grady! Nie, nie! Nie Grady! Boże, niech to będzie ktokolwiek, byle nie Grady. Boże, błagam.

Jednak przez dwadzieścia dwa lata prawie się nie zmienił. Zresztą, mógłby nawet mieć na twarzy maskę, a i tak poznałaby go po oczach. Ciemne oczy, o głębokim, przykuwającym spojrzeniu, zawsze pełne uczucia dla niej, i teraz nie były inne.

Całą ją ogarnęło drżenie.



Sam przycisnął ją mocniej. - Wszystko będzie w porządku, Teke. Nic mu nie będzie. To silny, zdrowy dzieciak.

Teke obserwowała, jak policjant prowadzi Grady'ego poza zasięg jej słuchu, a potem wpatrzyła się w sanitariuszy, którzy kładli Michaela na nosze.

- Chyba powinna się ubrać, nie sądzisz? - Virginia zwróciła się do Sama, który usiłował poprowadzić Teke do domu.

- Nie mogę zostawić Michaela - opierała się. Była pewna, że umrze, jeśli go zostawi.

- Tylko sweter i legginsy - powiedział pojednawczo.

- I szybko pojedziemy do szpitala.

- Nie mogę go zostawić!

- Biegnij do domu i przynieś jej jakieś ubranie - zwrócił się Sam do Virginii. - Przebierze się, kiedy dojedziemy do szpitala.

Virginia szybko ruszyła w stronę domu.

Jeden z medyków podniósł wzrok znad noszy. - Mamy złamania, możliwy krwotok wewnętrzny, ale przede wszystkim trzeba się zająć urazem głowy. Jedziemy do szpitala miejskiego w Bostonie, w porządku?

Teke sądziła, że tak, ale niczego nie była już pewna. Nie wiedziała, jaka jest alternatywa. Nie wiedziała już nic, a tu chodziło o życie jej dziecka.

- Dobrze - odpowiedział Sam. Potem zwrócił się do Teke: - To najlepszy szpital. Nie zrobimy błędu.

Michaela przeniesiono do karetki. Teke nie odstępowała go na krok, jakby była złączona z nim pępowiną.

- Jedź z nim - zgodził się Sam. - Ja pojedę samochodem za wami. Zadzwoń jeszcze do Annie, żeby pozbiierała dzieci. Spotkamy się w szpitalu.

Nagle Teke przemknęła przez głowę paraliżująca myśl.

- John. - Trzeba było do niego zadzwonić, powiedzieć mu. Powinien tu być.

- Skontaktuję się z nim - zapewnił ją Sam. W jego oczach zobaczyła to samo niewypowiedziane przerażenie, które sama czuła.

- Masz tu wszystko - Virginia wcisnęła Teke w dłoń wypchaną torbę. - Wrzuciłam też bieliznę.

Teke zdążyła jeszcze zauważyć spojrzenie, jakim Virginia zmierzyła Sama, i Sam pomógł jej wsiąść do karetki. Całą uwagę skupiła na Michaelu. W czasie jazdy do szpitala ani na

chwilę nie spuściła oczu z jego twarzy, siedziała przy nim nieruchomo, trzymając go za rękę i modląc się, żeby otworzył oczy i uśmiechnął się radośnie, tak jak on to potrafił robić.

Jednak jego oczy pozostały zamknięte, a w jego usta wkrótce włożono rurę respiratora. Wyszła z separatki oddziału intensywnej opieki medycznej dopiero, gdy lekarze zdecydowanie tego zażądali. Skorzystała z wolnego sąsiedniego pokoju, żeby się przebrać i dalej czekała w hallu, oparta o ścianę, ze wzrokiem wbitym w drzwi sali, w której lekarze próbowali przywrócić Michaela do życia.

Nadszedł Sam. - Jeszcze żadnych wiadomości?

Teraz, gdy nie widziała go jakiś czas, nie mogła mu spojrzeć w oczy po tym, co zrobili. Potrząsnęła tylko głową.

- Teke...

Przerwała mu ruchem ręki. Nie chciała nawet myśleć o tym, co się zdarzyło, a co dopiero mówić.

Jednak on nie ustępował. - To moja wina.

Podniosła drżące palce do czoła i próbowała skupić myśli na Michaelu, na tym, co robią z nim lekarze i czy przynosi to jakiś efekt.

- Michael musiał przeżyć szok, gdy to zobaczył - powiedział Sam.

- Proszę... - błagała go. Umysł miała sparaliżowany jedną kołącą się myślą - myślą o swym dziecku. Nie było tam miejsca dla niczego innego. - Nie teraz.

- Później to nie będzie łatwiejsze.

- Jeśli Michael przeżyje, będzie. Wszystko będzie łatwiejsze, jeśli on przeżyje.

- Przeżyje - powiedział Sam z przekonaniem, które natychmiast podchwyciła, tak rozpaczliwie potrzebowała otuchy. Przesuwając dłoń z czoła, napotkała jego wzrok i zobaczyła to samo przekonanie w głębokim spojrzeniu jego brązowych oczu, w silnych rysach twarzy, w zarysie ust mocno zaciśniętych pod wąsami. - Będzie żył, Teke.

Skinęła głową i próbowała znów skupić myśli wyłącznie na Michaelu, lecz natarczywie przedzierały się do nich inne obrazy. Widziała szeroką pierś Sama, czuła jego naprężony członek, słyszała krzyk towarzyszący jego orgazmowi, a potem trzaśnięcie drzwi, zgrzyt hamulców, wycie karetki pogotowia. Widziała migoczące światła karetki, krew pod głową Michaela, zakurzonego niebieskiego pickupa stojącego na skos na ulicy i oszalamiającą, znajomą aż do bólu twarz jego właściciela.

Grady! Och, Grady! Cholera!

Wyrwał jej się z gardła udręczony krzyk. Sam wyciągnął ramiona, chcąc jej pomóc, ale szybko się wyśliznęła. - Wszystko w porządku. - Złapała krótki oddech i wypchnęła Grady'ego ze swych myśli. Liczył się tylko Michael. - Złamał nogę. Będzie zły. Za miesiąc zaczynają się mecze koszykówki.

- Nic się nie stanie - powiedział Sam. - Będzie siedział na ławce i pomagał trenerowi, dopóki sam nie zacznie grać.

- Będzie niepokieszony, jeśli będzie musiał opuścić choćby jeden mecz.

- Drużyna też. Przecież jest ich gwiazdą.

- A co, jeśli mu przypadnie cały sezon?

- W takim razie potrenuje latem i będzie grał jeszcze lepiej niż do tej pory.

- A co, jeśli i wtedy nie będzie mógł grać?

- Będzie grał.

- A co, jeśli nigdy nie będzie mógł grać?

To było tak niewyobrażalne, że nie mogła przestać o tym myśleć.

Zapadła między nimi cisza, a potem z głębi gardła Sama wyrwał się zgłuszony dźwięk. Niewiarygodne, że mimo ogromu swojego przerażenia pomyślała w tej chwili o nim. - I nic z uroczystości z okazji wygranej sprawy, prawda? - spytała ze smutkiem.

- Pieprzę wygraną sprawę! - warknął. - Odwołałem konferencję prasową i kolację. Nie mogę myśleć o niczym innym, a już najmniej o uroczystości. - Przesunął dłonią po włosach. - Jakie dziwne jest życie. Trzy godziny temu byłem wielki. Teraz jestem gównem.

- Rozmawiałeś z Annie? - spytała Teke, czując bolesny skurcz w środku. To był następny koszmar, z którym musiała się zmierzyć.

- Tylko o Michaelu. Chciała przyjechać do szpitala, żeby być z tobą. Poprosiłem ją, żeby odebrała dzieci ze szkoły.

Teke oparła policzek o ścianę. - Annie jest taka dobra - wyszeptała. - Ona nigdy nie zrobiłaby tego, co ja zrobiłam.

- To nie była twoja wina.

- Właściwie rzuciłam się na ciebie. - Ta myśl ją zatrwożyła, oszołomiła. - Nie wiem, co się stało. Nigdy nawet nie przyszło mi coś takiego do głowy, ale kiedy się zjawiałeś, myślami byłam gdzie indziej i pragnęłam... pragnęłam...

Pragnęła Grady'ego, to było oczywiste. Jej małżeństwo trwało w stagnacji. Potrzebowała emocji, które zawsze wywoływał w niej Grady, głębi uczuć, oczekiwania, pełnej duchowej sa-

tysfakcji, której zawsze doznawała, gdy z nim była; przez lata nie dopuszczała do siebie nawet myśli o żadnym z tych uczuć, ale wszystkie napłynęły do niej jak powracająca fala, gdy dostała jego list. Przeczytała list nieskończenie wiele razy i rozpaczliwie tęskniła za tym ogniem, który kiedyś w niej rozpałał Grady.

Konsternacja, wstręt do samej siebie, żal - w przyływie tych wszystkich odczuć przywarła do ściany. Wtedy drzwi się otworzyły i zachwiała się. Wstrzymała na chwilę oddech, a jeden z lekarzy odłączył od reszty.

- Weźmiemy go na oddział intensywnej opieki. Przeprowadzimy badania i będziemy w stanie dokładnie kontrolować pracę organizmu.

Teke przełknęła łyżę. - A czy w ogóle się obudził?

- Jeszcze nie.

- A obudzi się?

- Mam nadzieję, że tak.

- Kiedy?

- Tego nie wiemy.

- Może pan coś przewidzieć?

- Teraz nie - odpowiedział lekarz ze smutnym uśmiechem. - Może później, kiedy dowiemy się, jak rozległy jest uraz. Jeśli pani chce, może pani pójść z nami. Tam jest wygodna poczekalnia.

Chwilę później Teke znalazła się w poczekalni na piątym piętrze, próbując się odprężyć nad herbatą, którą przyniósł jej Sam, ale było to ponad jej siły. Myślała o Samie i jego cierpieniu, o Johnie i o tym, jaki z pewnością będzie zły. Najwięcej myślała o Grady i o szoku, jaki przeżyła w chwili, gdy go rozpoznała.

Później przyjechała Annie. Były z nią Jana i Zoe, obie bliskie łez, spragnione otuchy, której Teke nie była w stanie im dodać. Zbyt wielki ciężar dźwigała na sercu, zbyt wielkie zmartwienie ją pochłaniało. Kiedy Annie otoczyła ją ramionami, ogarnęło ją miazdzące poczucie winy.

Kochana, współczująca, wszystko rozumiejąca Annie, która tym razem niczego nie rozumiała.

Teke pamiętała wrześniowy dzień 1970 roku, kiedy się poznały. Była przerażoną pierwszoklasistką z college'u, modlącą się o odrobinę pewności siebie, kiedy niosła swe zniszczone torby przez korytarz bursy. Te zniszczone torby zawierały cały jej dobytek, w którym nic nie

było naprawdę dobre. Jej lęk narastał z każdym mijanym pokojem. Na widok każdej matki pracownicy zawieszającej zasłony, na widok każdej uroczu ubranej pierwszoklasistki rozpakowującej nowe ubrania czuła się tu coraz bardziej nie na miejscu. Wreszcie dotarła do wyznaczonego pokoju i znalazła siedzącą samotnie przy oknie, przeglądającą wystrzępione pismo dziewczynę, która wyglądała na równie przerażoną jak ona sama.

- Theodora? - spytała Annie nieśmiało.

- Teke - naturalnie poprawiła Teke. - Theodora to za długie.

Annie uśmiechnęła się. - Dzięki Bogu. Umierałam z ciekawości, co mogłabym powiedzieć komuś, kto ma na imię Theodora. Teke to idealne imię. I bardzo mi się podobają twoje kolczyki. Z czego są?

Kolczyki były zrobione z rybackiego sznurka, którego kawałki Teke pozbiierała z podłogi sklepu rybackiego; wplecione w wielkie kwiaty z kości słoniowej, zwisały jej aż do szyi. Annie uważała, że są wspaniałe. Podobnie jak dzinsy, które Teke odziedziczyła po synu pastora i wyhaftowała. I za duża kamizelka, którą ściągnęła z grzbietu ojca, zanim ten zdążył wszystko sprzedać.

Zaprzyjaźniły się szybko. Annie dobrze pisała, Teke była dobra z matematyki, Annie myślała abstrakcyjnie, Teke miała zmysł techniczny. Stworzyły zespół, w którym razem się uczyły przez cztery lata college'u, wyszły za mężczyzn, którzy byli najlepszymi przyjaciółmi, i we czwórkę kontynuowali tę pracę zespołową - poprzez jeden doktorat, jedno mieszkanie, dwa domy, niezliczoną ilość szkolnych imprez, wakacji i ferii, i pięcioro dzieci.

Teraz nagle wszystko się zmieniło. Teke zniszczyła ich związek. A Annie nawet jeszcze o tym nie wiedziała.

- Wszystko będzie dobrze - odezwała się Annie łagodnie.

Czując się jak żmija, Teke wyśliznęła się z jej ramion.

- Modłę się o to.

- Tutaj są najlepsi lekarze. Czy John już jest w drodze?

Teke skinęła głową. Czując potrzebę, żeby się przejść i jakoś przytłumić swoją udrękę, ruszyła przez korytarz do pokoju, w którym leżał Michael. Nie weszła do środka, po prostu przystanąła przy oknie obserwując. Annie i dziewczynki dołączyły do niej.

- Co oni tam robią? - spytała Zoe.

- Badania - odpowiedziała Teke.

Jana oparła się o nią. - Czy on jest tego świadomy?

Teke przełknęła łyżę. - Jest ciągle nieprzytomny.

- Więc nie boli go?

- Myślę, że nie.

- Kiedy będziemy mogli go zobaczyć?

- Kiedy skończą.

- Wyzdrowieje?

- Mam nadzieję.

Jana spojrzała na nią - już nie spoglądała w górę. Były prawie równe wzrostem, choć w tej chwili Teke czuła się mała jak karzeł.

- Annie powiedziała nam, że złapali tego faceta.

Ze skurczem w sercu Teke znów ujrzała twarz Grady'ego przed oczami. Tyle lat minęło od czasu, kiedy widziała ją ostatni raz. A poza tym wydawało się, że wszystko już jest skończone. Nie powinien był tu przyjeżdżać! - krzyczał w niej wewnętrzny głos. Jej życie to nie jego sprawa, sam jej kiedyś to powiedział. Dlaczego nie zostawił jej w spokoju?

Chciało jej się lkać. Zamiast tego zaczerpnęła powietrza i powiedziała, starając się panować nad swym głosem: - Nie musieli go łapać. Nie uciekł z miejsca wypadku.

- Aresztowali go?

- Nie wiem.

- Przekroczył szybkość?

- Nie widziałam.

- Dlaczego Michael go nie słyszał? Ani nie widział?

Teke nie wiedziała. Mogła tylko przypuszczać, chociaż te przypuszczenia wcale nie przynosiły jej ulgi. Tak samo jak myśl, że pytania Jany były niczym w porównaniu z tymi, które zada jej John, gdy dotrze na miejsce.

## Rozdział 2

W drodze ze Spriengfield Johna zatrzymała kontrola drogowa. Policjant stwierdził, że jechał osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. W innych okolicznościach John dyskutowałby z nim. Przecież był prawnikiem i znał reguły gry. Kontrola radarowa jest piekielnie niewiarygodna. Gdyby przekonał policjanta, że nie przekroczył siedemdziesięciu pięciu mil, resztę załatwiłby już przez reklamację mandatu.

Jednak tym razem po prostu wyciągnął prawo jazdy i dowód rejestracyjny i powiedział: - Byłem w trakcie negocjacji, kiedy przekazano mi przez telefon informację, że mojego syna postrącił samochód. Powiedziano mi, że jest nieprzytomny, ale to wszystko, co wiem. Chłopak ma trzynaście lat.

- Trzynaście? - policjant zmarszczył brwi. - Paskudna sprawa.

- Moja żona i najlepszy przyjaciel są w szpitalu. Próbowałem skontaktować się z nimi, ale krążą gdzieś pomiędzy izbą przyjęć a salą intensywnej opieki. Nawet nie mogę połączyć się z lekarzem. Nie podchodzi do telefonu.

- Niech pan będzie wdzięczny, że zajmuje się pańskim synem.

- Ale nie mogę się niczego dowiedzieć - poskarżył się John. - Ta niepewność jest okropna. Człowiek sobie wyobraża najgorsze. Przepraszam. Nie myślałem o prowadzeniu.

Policjant oddał mu prawo jazdy i dowód rejestracyjny. - Rzeczywiście ma pan usprawiedliwienie. Nie będę panu zabierał czasu wypisywaniem mandatu, ale proszę jechać ostrożnie. Szczególnie jeśli pan dzwoni z samochodu. W niczym pan nie pomoże dzieciakowi, jeśli pan się zabije na rogatkach miasta.

Przez resztę drogi John nie przekraczał siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Kiedy przerywał próby połączenia się z kimś kompetentnym w szpitalu, rozmawiał ze swoją sekretarką, z Vicki Cornell omawiał zwycięstwo Sama i łączył się ze swoim stałym współpracownikiem do spraw *public relations*. Sprawa Dunn przeciwko Hanoverowi była wielkim osiągnięciem. Dzięki niej firma będzie miała wspianą *publicity*.

Ojciec będzie musiał przełknąć gorzką pigułkę. A co to za powód do satysfakcji! John Stewart był zdecydowanie przeciwny przyjmowaniu Sama do firmy. Twierdził, że Sam nie ma koneksji ani odpowiedniej pozycji społecznej, żeby móc z powodzeniem prowadzić praktykę. Jednak John uparł się, żeby dać mu szansę. Po pierwsze, Sam wyróżniał się w biurze prokuratora okręgowego. Po drugie, był człowiekiem ambitnym. I wreszcie po trzecie, był mężem Annie,

która była najlepszą przyjaciółką Teke. Jednak przede wszystkim Sam był jego najlepszym przyjacielem i dlatego chciał go umieścić w firmie. Dzięki Samowi stawał się ludzki, towarzyski i rozluźniony.

Był wdzięczny Samowi, że pojechał do szpitala razem z Teke. Ufał jego ocenie. Jeśli trzeba będzie podjąć jakieś decyzje, Sam najlepiej nią pokieruje. A ona będzie potrzebowała tego, żeby ktoś nią pokierował. Na pewno miała teraz rozproszoną uwagę. Nie umiała zachować zimnej krwi w trudnych sytuacjach, tak jak on. Ona nie umiała się znaleźć w takich sytuacjach. Zachowywała się jak prowincjuszka, jak baba ze wsi zabitej dechami.

Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do niego do samochodu, żeby ulżyć jego zmartwieniu.

Jednak kiedy dotarł na miejsce, nie usłyszał wielu wiadomości, które mogły ulżyć zmartwieniu. Przyjechał do szpitala, żeby dowiedzieć się, że obrażenia zewnętrzne Michaela zostały opatrzone, że został podłączony do respiratora, że lekarze przeprowadzają badania, ale ich wyniki nie doprowadziły jeszcze do postawienia diagnozy. Nikt nie wiedział zbyt wiele na żaden z tematów, które John drążył bez końca.

- Żadnych prognoz? - zapytał Teke, która stała samotnie przy oknie przed pokojem Michaela. Wyglądała na roztrzęsioną i pokorną.

- Jest zbyt wcześnie.

- Lekarze zawsze coś prognozują - dowodził.

- Nie w przypadku urazów głowy.

- Czy mózg jest uszkodzony?

- Jeszcze nie wiadomo.

- Dlaczego nie wiadomo?

- Nie wiem. Powiedzieli mi tylko, że jeszcze nie wiadomo.

Wiedział, że jest przybita, ale, do diabła, on też był przybity. Michael jest tak samo jego synem jak jej. Powinna panować nad lekarzami. Ale Teke nie miała w sobie takiej siły. Była dobra do gotowania, prowadzenia domu i robienia zakupów. Dobrze się prezentowała i organizowała znakomite przyjęcia. Robiła niezwykle kostiumy na Halloween, umiała zajmować się kształceniem dzieci, kibicowała w rozgrywkach sportowych, prowadziła szkolne aukcje, w których zdobywała wysokie kwoty na programy artystyczne. Jednak w chwilach osobistych kryzysów nie potrafiła się nigdy pozbierać.



W takich chwilach Annie dobrze na nią działała. Dodawała jej siłę, pomagała wrócić na utarte tory.

Zamierzając posłać Annie do swojej żony, John ruszył korytarzem do poczekalni. Jednak Annie rozmawiała z Leigh i Maximilianem, więc John wyciągnął Sama na korytarz.

- Co wiadomo o mężczyźnie, który go potrącił?

Sam był przytłumiony. - Właśnie rozmawiałem z policją. Jest cieślą i nie mieszka w naszym stanie. W tej chwili jest bezrobotny, ale prawo jazdy i rejestrację wozu ma w porządku. Nie został oskarżony.

John nie wierzył własnym uszom. - Przecież potrącił mojego syna!

- Właściwie - sprostował Sam - to Michael go potrącił.

John w pierwszej chwili nie zrozumiał. - Facet musiał jechać za szybko.

- Według eksperta, który badał ślady hamowania, dwadzieścia pięć na godzinę.

- Więc musiał mieć niesprawne hamulce.

Sam potrząsnął głową. - Policja twierdzi, że nie.

- Co tam wie lokalna policja - mruknął John. - Ich specjalność to szukanie źle zaparkowanych samochodów. Zaangażuję niezależnego detektywa. Tego twojego Mandy'ego. Znajdzie dowody przeciwko bezrobotnemu cieśli.

- Jeśli ich nie ma, to nie znajdzie. - Spojrzenie Sama było pełne bólu. - John, wiem, że szukasz winnego. To najbardziej naturalne zachowanie pod słońcem. Ale ten facet nie jest winny. Nie przekroczył szybkości. Michael wyskoczył znikąd, wpadł na maskę, wyleciał w powietrze, uderzył w dach i spadł na ziemię. Facet nie był pijany. Nie był naćpany. Po prostu był tam, kiedy Michael wybiegł.

- Czy chcesz powiedzieć, że to wina Michaela? Sam przecesał ręką włosy i wbił wzrok w podłogę.

Potem znów spojrzał Johnowi w twarz. - Powiedziałem tylko, że szukanie dowodów przeciwko kierowcy to tylko strata czasu. Zdarzył się wypadek. Mogło być kilka powodów, ale teraz nie to jest ważne. Najważniejsze jest, żebyśmy mieli pewność, że zapewniamy Michaelowi jak najlepszą opiekę. Załatwiłem z Billem Gardnerem, że poprowadzi leczenie Michaela. To ordynator oddziału.

- A czy on przy nim jest? - naciskał John. - Ordynatorzy czasami są zbyt zajęci rutynowymi obchodami, żeby poświęcić odpowiednią ilość czasu własnym pacjentom.

Sam wyciągnął szyję w stronę pokoju Michaela, skąd właśnie w pośpiechu wychodził lekarz. - To jest właśnie Bill.

John ruszył ku niemu, przedstawił się i zasypał go pytaniami. Niestety, nie dowiedział się wiele więcej niż zdołała to uczynić Teke. Doktor Bill Gardner był dosyć miłym człowiekiem, niewiele mógł jednak podać konkretów. Słuchając go, John wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki swój terminarz i pilnie notował każde słowo Gardniera, włącznie z nazwiskami lekarzy z zespołu. Później zajrzał do pokoju, gdzie leżał Michael otoczony przez personel medyczny.

- Jak często możemy go odwiedzać?

- Kiedy tylko państwo zechcą. Wydałem polecenie nieograniczania wizyt. Chłopcu może pomóc to, że słyszy znajome głosy.

- Więc on słyszy?

- Możliwe. Nie wiemy tego na pewno.

Te niejasności wyprowadzały Johna z równowagi. Chciał słyszeć odpowiedzi, a nie przypuszczenia.

- Kiedy w takich przypadkach chory odzyskuje przytomność?

- Może ją odzyskać w każdej chwili.

- Albo nigdy. Czy on jest w stanie śpiączki?

Bill Gardner wytrzymał jego spojrzenie. - Tak się ten stan określa w medycynie. Jednak zwlekałem z wypowiedzeniem tego słowa w obecności pańskiej żony. Jest już i tak wystarczająco przerażona.

To był problem Teke. John nie miał czasu na trzymanie jej za rękę, a jeszcze mniej ochoty. Annie jej pomoże. - Co można zrobić, żeby przyspieszyć odzyskanie przytomności?

- Właściwie w tej chwili niewiele. Jego stan jest stabilny. Oddycha. Dostaje kroplówki. Ograniczamy do minimum ból, jaki może czuć. Teraz czekamy.

- Na komplikacje? - spytał John.

- Albo na poprawę.

- A jakie komplikacje mogą wystąpić?

Lekarz nie zwlekał z odpowiedzią. - Ucisk krwiaka na mózg. Wystąpienie płynów w płucach. Skrzepy krwi w organizmie. Dlatego bez przerwy kontrolujemy funkcje organizmu, żeby natychmiast wykryć któreś z tych zjawisk, o ile wystąpią.

- A czy jesteście w stanie kontrolować pracę mózgu?

- Jeżeli pan się zastanawia, czy on jest z nami, mogę zdecydowanie potwierdzić. Jednak, w jakim stopniu, nie będziemy wiedzieli jeszcze przez jakiś czas. - Spojrzał na Johna i skinął głową. - Proszę mi wybaczyć, muszę podejść do telefonu.

Odszedł, zanim John zdążył zapytać, co to znaczy „jakiś czas” ani jak długo doktor będzie w szpitalu i w jaki sposób będzie się można z nim skontaktować, kiedy opuści szpital.

Potem reszta personelu medycznego zgromadziła się w pokoju, gdzie leżał Michael. John poczuł, że przeszywa go dreszcz. - Czy wszystko z nim w porządku?

- Wszystko zależy od niego - brzmiała odpowiedź.

John patrzył na bladą postać w łóżku. Wchodząc do pokoju, czuł się niepewnie pozbawiony swego zwykłego zdecydowania. Jego stosunki z Michaeliem nie obydwały się bez problemów, ale układały się dobrze. Zawsze wiedział, jak z nim postępować. Teraz Michael leżący w łóżku zupełnie nie przypominał tego Michaela, którego znał. Ten był nieruchomy, co Michaelowi rzadko się zdarzało. Ten był pozbawiony kolorów, z wyjątkiem fioletowego sińca na policzku. Ten Michael był cichy.

Teke stanęła przy łóżku. Spoglądała na Michaela, jakby nie chciała przepuścić najmniejszej okazji, by nawiązać z nim kontakt, pomóc mu.

John poczuł ukłucie gniewu. To ona była odpowiedzialna za dzieci. To ona powinna dbać, żeby żadnemu nie stała się krzywda. - Jak to się stało? - zapytał szorstkim szeptem.

Podniosła drżącą rękę i potrząsnęła głową.

- Co on robił w domu w środku dnia?

- Chciał pieniądze na koncert. - W jej głosie słychać było wahanie.

- Więc dałaś mu pieniądze, a on wbiegł pod ciężarówkę?

Machnęła drżącą ręką. John nie był pewien, co to miało znaczyć.

- Nie dałaś mu pieniędzy? Wybiegł z domu, bo odmówiłaś i był zły?

- W ogóle z nim nie rozmawiałam.

- Dlaczego?

Głaskała Michaela po ramieniu.

- Teke, on wszedł do domu. Dlaczego z nim nie rozmawiałaś?

- Wybiegł, zanim go zobaczyłam.

- Zmienił zdanie w sprawie tych pieniędzy na koncert?

Dotknęła twarzy Michaela. Głos miała wyższy niż zwykle i drżący.

- Cześć, dziecinko. Słyszysz mnie? Słyszysz mnie, Michael? To ja, mama.

W Johnie wzbierała wściekłość. Ktoś musiał być odpowiedzialny za wypadek jego syna.

- Nie powinni go byli wypuszczać ze szkoły.

- W szkole nikt nie wiedział - powiedziała łagodnie Teke. - Michael wymknął się razem z bliźniakami.

- Po to płacę podatki, żeby w szkole właściwie opiekowano się moimi dziećmi.

- To była przerwa na lunch.

- I to ma być usprawiedliwienie?

- W czasie przerwy na lunch dzieci rozbiegają się wokół i nikt nie jest w stanie ich wszystkich upilnować.

- Ktoś musiał widzieć, jak wybiegał ze szkoły. Westchnęła. - To nie jest więzienie, John. Tam nie ma strażników rozstawionych na posterunkach.

- Oczywiście, nie ma - powiedział, urażony jej sarkazmem - ale na czas, kiedy zostawiamy tam dzieci, szkoła jest za nie odpowiedzialna.

- On złamał regulamin! - wykrzyknęła. Odetchnęła i zniżyła głos, gładząc Michaela po policzku. - To dobry chłopiec. Nie wychodziłby ze szkoły, gdyby nie uznał, że ma ważną sprawę do załatwienia.

- A teraz leży w szpitalu, podłączony do respiratora.

- Ciii...

- Czy to cię nie złości? - zapytał John, pełen rozgoryczenia.

- Chcę tylko, żeby Michael poczuł się lepiej - wyszeptała z oczyma pełnymi łez. - I myślę, że na tym powinniśmy się skupić.

John obserwował twarz Michaela. I on bardzo chciał, żeby stan syna uległ poprawie, ale nie mógł pozostawać tak bierny jak Teke. I nie mógł tak łatwo wybaczyć. Wypadki nie zdarzają się przecież bez powodu. Chciał, żeby kierowca pickupa został ukarany. I szkoła też.

- John? - Teke odezwała się nagle ostrożnie. Przesunął po niej wzrokiem, widząc, jak patrzy w okno za jego plecami. Odwróciwszy się zobaczył w oddali za oknem swoich rodziców.

Na ich widok żołądek podszedł mu do gardła. Tak było zawsze od czterdziestu jeden lat i była to stała reakcja jego organizmu, tak jak to, że miał zgagę po zjedzeniu pizzy. Zapomniawszy o złości, wyszedł po nich do hallu. - Myślałem, że jesteś w Nowym Jorku - zwrócił się do ojca.

- Zdążyłem na wcześniejszy lot - poinformował go John Stewart. - Moja sekretarka miała na tyle wyczucia, żeby do mnie zadzwonić. To ty powinienesz to zrobić.

- Sam dopiero przyjechałem.

- Jak on się czuje? - spytała Lucy. Była wypiełgnowana i nienagannie ubrana; w stosownych okolicznościach wychodziła z cienia, a potem znów odchodziła w cień. Każdego dnia jej poranne czynności stapały się z czynnościami popołudniowymi i wieczornymi. Jednak kiedy wychodziła po południu z domu - na lunch z przyjaciółką, na zebranie jakiegoś kobiecego komitetu, czy też odebrać męża z lotniska i pojechać z nim do szpitala - prezentowała się doskonale.

John zrelacjonował im wypowiedź lekarza.

- Bill Gardner? - spytał John Stewart. Był ciut wyższy i kilka kilo cięższy od syna i prezentował się imponująco, jeszcze zanim rozległ się jego silny głos. - To nie jest dobry człowiek. Najlepszy jest Henry Finch z kliniki Mayo.

John ośmielił się odezwać zdecydowanym, aczkolwiek pojedynczym tonem: - Michael jest tutaj, nie w Minnesocie.

- Niech Finch tutaj przyleci.

- To może zrazić Gardnera.

- Ale on nic nie wie. Sam to przed chwilą powiedziałeś.

- Jeszcze za wcześnie na to, żeby mógł wiele wiedzieć.

- Zadzwoń do Henry'ego Fincha. - To był rozkaz. - Porozmawiaj z nim. Jego obecność tutaj w charakterze konsultanta nie zmieni pozycji Gardnera.

John, któremu odeszła ochota do podejmowania dyskusji, wyjął notes i pośpiesznie zapisał nazwisko lekarza. Ledwo zdążył schować notes do kieszeni, kiedy jego ojciec spytał: - Będzie proces?

- Jeszcze za wcześnie, tato.

- Nigdy nie jest za wcześnie na zabezpieczenie dowodów przed zniszczeniem. Sam powinien to wiedzieć. Jak zrozumiałem, był tam, kiedy to się zdarzyło. Dlaczego nie był w biurze?

- Pojechał do domu, żeby powiedzieć Annie o zwycięstwie w sprawie Dunn. Słyszałeś o tym?

- Słyszałem.

- Niezłe, prawda? - spytał John, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

- Niezłe.

John wolałby usłyszeć nieco więcej entuzjazmu w jego głosie. Nieczęsto zdarzało mu się wygrać z ojcem. Jednak John Stewart nie był typem człowieka, który przyznałby się do porażki. Był surowy, zdecydowany i wprawiał ludzi w onieśmienie. To kolejny powód, dla którego John chciał mieć Sama firmie. Sam był buforem. Potrafił stawić czoło Johnowi Stewartowi, czego John sam nie umiał zrobić. Mógł grać adwokata diabła, nie troszcząc się o to, że wyprowadzi Johna Stewarta z równowagi, rozdrażni go lub - co gorsza - wprawi w zakłopotanie.

Maxwell senior przesunął wzrok z zegarka, poprzez stanowisko pielęgniarki, na Michaela. - Dlaczego tam jest tylko Theodora?

Theodora. John Stewart i Lucy zawsze tak się do niej zwracali. To brzmiało bardziej stosownie. To było w lepszym guście. To brzmi ironicznie, pomyślał John, wzięwszy pod uwagę, jak bezwolnie teraz się zachowywała.

- Wszyscy są w poczekalni - odpowiedział.

- Gdzie jest pielęgniarka Michaela?

- Na głównym stanowisku. Tam są przekazywane wszystkie dane z aparatury kontrolującej czynności życiowe. To jest cały cel intensywnej opieki.

- Musisz wynająć prywatną pielęgniarkę.

- Nie na intensywnej opiece, tato. - John czuł silną potrzebę, by stąd uciec. To również było stałe uczucie, kiedy miał do czynienia z rodzicami. - Muszę zadzwonić do biura. Wejdźcie i zobaczcie Michaela. Zaraz wracam.

- Odszedł, zanim ojciec zdążył mu wydać polecenie, by wynajął przenośny telefon.

Gdy wrócił, rodziców już nie było. Natychmiast poczuł się pewniej. Stał w nogach łóżka Michaela. Na ile mógł zauważyć, chłopiec nie poruszył się. Teke też. W pokoju byli Max i Leigh, która łagodnie mówiła do Michaela:

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko prześpisz. Wszyscy chcą cię zobaczyć. Pani Baker przyprowadziła bliźniaków razem z Joshem, Tommym i Natem, ale pielęgniarki zatrzymały ich w poczekalni. Tak samo połowę drużyny piłkarskiej. Wszyscy trzymają za ciebie kciuki.

- Jej głos załamał się. - Obudź się, do cholery.

Max ujął jej rękę. - Wrócimy tu, Mike - powiedział. Wyglądał na prawie tak przygnębionego jak Leigh.

- Przynieść ci jeszcze herbaty, Teke?

Teke zdołała się słabo uśmiechnąć, ale potrząsnęła głową.

John obserwował, jak Max i Leigh wychodzą, po czym wsunął ręce do kieszeni i rozejrzał się wokół. Wszystko w zasięgu wzroku było śnieżnobiałe albo metalowe, eleganckie, chłodne i sterylne. Nie mógł tego znieść, co było zastanawiające. W domu pokój Michaela był krzykliwie kolorowy i panował w nim nieustannie rozgardiasz, czego John również nie mógł znieść. A przynajmniej zawsze tak sądził. W porównaniu z tym, co widział tutaj, tamten pokój nie był taki zły.

- Czy moi rodzice coś powiedzieli? - spytał Teke.

- Dzień dobry i do widzenia - odpowiedziała cicho.

- Nigdy nie znosili dobrze chorób. - Wpatrywał się w aparaturę przy głowie Michaela. - Gardner wrócił?

Potrząsnęła głową.

- W klinice Mayo jest lekarz, który się nazywa Henry Finch. To najlepszy w kraju specjalista od urazów głowy. Sprowadzę go tutaj.

Teke spojrzała na niego. - Nie masz zaufania do Billa Gardniera?

- Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. To tylko czcza gadanina. Co dwie głowy to nie jedna. Zresztą Gardner nie tryska pomysłami.

Sam wkroczył do pokoju. - Jak on się czuje?

- Bez zmian - powiedział John. Za chwilę się rozpromienił. - Właśnie dzwoniłem do biura. Dziennikarze chcą z tobą rozmawiać.

- Mogą poczekać.

- Nie za długo, bo stracą zainteresowanie. To gorąca sprawa.

- Nic się nie stanie. - Sam spojrzał na Teke. - Dobrze się czujesz?

Skinęła głową. Sam wyszedł.

John zaczął wyczuwać w całej tej scenie coś surrealistycznego. Sam przygnębiony, Teke bezwolna, Michael nieprzytomny - to było sprzeczne z naturą. I wypadek był sprzeczny z naturą. Dzieci Maxwellów były zdrowe i otoczone troskliwą opieką. Nie wpadały pod ciężarówki i nie leżały nieprzytomne na ulicy.

- To wszystko nie ma sensu - mruknął. - Dlaczego on wbiegł do domu i natychmiast stamtąd wybiegł? Gdzie ty byłaś?

- W salonie.

- Przecież to na wprost drzwi wejściowych. - To naprawdę nie miało sensu. - Jakim cudem mógłby cię nie zobaczyć?

- Może zobaczył - powiedziała, a w jej głosie brzmiała rozpacz. - Po prostu tego nie wiem, John. Nie wiem, co on zobaczył.

Powinnaś wiedzieć, pomyślał. Jesteś jego matką. Wziął gwałtowny oddech i powoli wypuścił powietrze. - Ściemnia się. Jesteś głodna?

Potrząsnęła głową. Jej wzrok spoczywał na Michaelu.

John nie jadł lunchu. - Dzieci muszą być głodne.

- Zabierz je na kolację. Ja zostanę tutaj, na wypadek gdyby coś się zaczęło dziać.

- Może ja też powinienem zostać. Dzieci mogą wyjść i coś nam przynieść.

- Nie. Idź z nimi. Będzie im raźniej, kiedy z nimi pójdziesz.

Uderzyło go, że jemu też robi się raźniej, jeśli stąd wyjdzie. Tutaj nie mógł Michaelowi pomóc. Musiał coś zrobić. - Dokąd mam je zabrać?

Wzruszyła ramionami. - Nie wiem.

- Ja też nie wiem - warknął. Teke była odpowiedzialna za posiłki, nie on. Ona gotowała kolacje albo rezerwowała miejsca w restauracji. Dobrze wie, że on nie cierpi podejmować decyzji związanych z prowadzeniem domu. - Gdzie tutaj w pobliżu można coś zjeść?

Rzuciła mu zakłopotane spojrzenie. - Powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie. Przecież tu pracujesz.

- Pracuję po drugiej stronie miasta - sapnął. - Co dzieci lubią?

- Zjedzą wszystko, cokolwiek wybierzesz.

- Niech Sam i Annie zadecydują. Oni też będą musieli coś zjeść. Wrócimy po kolacji.

- Nie na długo. Dziewczynki muszą się wyspać. Zabierz je do domu. Ja zostanę tutaj.

- Ja też zostanę.

- One będą cię potrzebowały w domu. Są przerażone.

John nie był pewien, czy będzie umiał coś na to poradzić. Dziewczynki były skłonne rozmawiać o swoich lękach z Teke, Annie albo z Samem, ale nie z nim. Nie umiał rozmawiać o uczuciach. Umiał prowadzić negocjacje, wykonywać testamenty i pisać umowy, a nie trzymać za rękę, ocierać łzy i próbować wytłumaczyć coś, czego nie można wytłumaczyć.

Nagle przed oczyma stanął mu upiorny widok nie dokończonego prania, nie posłanych łóżek, brudnych naczyń w zlewie - to nie było w stylu Teke, ale nie wiedział, jak wiele zdążyła zrobić, zanim Michael miał wypadek. - Czy w domu jest dużo do zrobienia?

- Wszystko jest zrobione - powiedziała. Te trzy słowa natychmiast przyniosły mu ulgę. - Wszystko zrobiłam rano. To było tak dawno. Och, Boże, gdybym tylko... - Przerwała.



- Gdybyś tylko co? - spytał John. Potrząsnęła głową.

- Gdybyś tylko co? - powtórzył. Nie lubił, gdy ktoś mu nie mówił wszystkiego. Wystarczyło już, że lekarz to robi. Nie chciał, by jeszcze do tego doszła jego żona.

- Gdybym tylko go widziała - powiedziała załamującym się głosem. - Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać.

Wyglądała na bliską płaczu. Pomyślał, że nie mógłby tego znieść. Czyniąc wysiłek, by podnieść ją na duchu, rzekł: - To nie twoja wina.

- Powinam była być przy drzwiach.

- To mogło niczego nie zmienić.

- Zmieniłoby.

Nie spierał się dłużej. Opieka nad dziećmi, tak jak gotowanie, była jej sprawą. Sama określiła swoje obowiązki, sama ustaliła zasady, tak jak wiele innych matek, i zwykle ze wszystkich się wywiązywała.

Ale miała rację. Powinna była być przy drzwiach.

\* \* \*

Następnego dnia wcześniej rano Annie odstawiła telefon, spuściła nogi na podłogę i umościła dłonie w fałdach koszuli nocnej. Ledwo pozbierała myśli, kiedy w drzwiach pojawiły się Jana i Zoe. Chociaż twarze miały wypoczęte po śnie, w ich oczach czaił się niepokój.

- Nic się nie zmieniło. - powiedziała Annie, zanim zdążyły zapytać. Chciałaby móc powiedzieć coś bardziej budującego, ale piętnastoletnie dziewczynki były już za duże, by je oszukiwać. - Właśnie rozmawiałam z pielęgniarką.

- Ciągłe jest nieprzytomny? - spytała Jana.

- Mhm.

- Mama tam ciągle jest?

Annie skinęła głową. - I twój tata. Nie mógł spać, więc się ubrał i wrócił do szpitala. Dobrze, że ty i Leigh spałyście tutaj. Nie chciałby was zostawić samych.

- On ciągle myśli, że jesteśmy małe.

- Nie. Wie, że już podrosłyście. Tylko on nigdy nie wie, co jest właściwe, a co nie. - W postępowaniu z dziećmi John miał dwie lewe ręce. Kochał je, ale często zachowywał się nie tak jak trzeba. - I to właśnie od tego ma Teke - powiedziała z uśmiechem. - Czy Leigh już wstała?

- Nie wiem - odpowiedziała Jana.

- Gdzie jest tata? - spytała Zoe.

Annie wskazała głową łazienkę. - Goli się.

- Czy to on brał prysznic przez całą noc?

Tylko dwa razy brał prysznic, ale w nocnej ciszy wyraźnie dało się słyszeć odgłos wody płynącej przez rury. - Nie mógł spać. Martwi się o Michaela.

- Po śniadaniu wrócimy do szpitala? - spytała Jana. Annie z łagodnym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Po szkole.

- Ale dzisiaj nie mam żadnej ważnej lekcji. Niewiele stracę.

- Twoja mama chce, żebyś poszła do szkoły. Chce, żeby wszystko było tak jak zwykle.

- Tak - mruknęła Jana. - A w tym czasie w każdej chwili coś może się stać z Michaeliem.

Annie podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi. Objęła obie dziewczynki i poprowadziła je do hallu. - Michael jest silny.

- To jest mój brat.

- Rano będą się nim zajmowali lekarze, więc i tak nie mogłabyś być przy nim.

- Mogłabym być z mamą.

- Twój tata jest z nią.

- Teraz, ale zobacz na zegarek. Będzie w biurze aż...

- I z tego samego powodu ty powinnaś być w szkole. Niech tego ranka lekarze zajmą się Michaeliem. Będziesz o nim myślała, a to jest najważniejsze. Po południu będziesz mogła do niego wejść i porozmawiać.

Odłączywszy od Jany i Zoe, Annie lekko zapukała do drzwi Maximiliana, po czym otworzyła je. - Leigh? Obudziłaś się?

Zasłony były ciągle zaciągnięte. Uplynęła minuta, zanim oczy Annie przywykły do ciemności, a wtedy wydała z siebie jęk. Przepędziła dwie dziewczynki, wśliznęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Och, Max... - westchnęła z rozczarowaniem. - Obiecałeś, że będziesz spał na kanapie.

Max miał zaspany głos. - Leigh była taka przygnębiona. Martwi się o Michaela.

- Więc teraz my będziemy się martwili o nią.

- Nic się nie stało.

- Leigh?

- Nic się nie stało - potwierdziła Leigh. Trzeba jej było przyznać, że miała na sobie koszulę nocną. Max miał nagi tors, ale to nic nie znaczyło. Tak jak jego ojciec, sypiał w bokserkach.

Annie westchnęła. Podeszła do okna i odsłoniła je, a potem przysiadła na końcu podwójnego łóżka, które kupili z Samem - sprytnie, jak wtedy myśleli - żeby ulokować Maxa, który niebezpiecznie szybko rósł. - Tym razem mogło się nic nie zdarzyć, ale igracie z ogniem, dzieciaki.

- Kocham Leigh, a ona kocha mnie. Mamy zamiar się pobrać.

- Jeszcze nie teraz. Masz dopiero siedemnaście lat.

- Co z Michael'em? - spytała Leigh.

- Bez zmian.

Leigh przysunęła się do Maxa, a ten ją objął. To był miły gest, opiekuńczy. Był to też przejaw dojrzałości i dał Annie niemal tyle do myślenia, co fakt, że zastała ich razem w łóżku.

Pamiętała ich, jak byli niemowlętami, małymi szkrabami, jak zaczęli chodzić do szkoły, a potem wkroczyli w wiek dojrzewania. Przez cały ten czas byli serdecznymi przyjaciółmi i choć wszyscy sądzili, że pewnego dnia ich drogi rozejdą się, nigdy to nie nastąpiło. Jak drzewa posadzone obok siebie, które razem rosną i dojrzewają ze splecionymi gałęziami. Annie podejrzewała, że w przyszłości nic się nie zmieni.

Jedynie, co ją martwiło, to tylko to, że te młode drzewa mogą posiać nowe roślinki. Zwróciła się więc do Leigh:

- Dobrze wiesz, jak by się czuła z tego powodu twoja mama, Leigh.

- Właściwie nie wiem. Mama nie mówi zbyt wiele na temat seksu. Wydaje mi się, że nie zbyt to lubi.

- Oczywiście, że lubi - zaprotestowała Annie. Teke nigdy nie skarżyła jej się na swoje życie seksualne, a przecież od lat były najlepszymi przyjaciółkami.

- Sądzę, że po prostu nie chce ci podsuwać głupich pomysłów.

Dwoje młodych w łóżku wymieniło spojrzenia.

- Co takiego? - nalegała Annie.

- Ale my mamy te głupie pomysły - powiedział Max.

- Do diabła, mam, przecież połowa naszych przyjaciół to robi. A i w tym domu ściany nie są z kamienia. Słyszemy cię i tatę.

Annie oblała się rumieńcem. - Nie możecie słyszeć. Jesteśmy bardzo ostrożni. - Ledwie to wypowiedziała, gdy zadzwonił telefon. Natychmiast kolory odpłynęły z jej twarzy.

Max podniósł słuchawkę, zanim zdążyła po nią sięgnąć. Po kilku nieskończenie długich sekundach, kiedy odchodziła od zmysłów lękając się o Michaela, Max powiedział: - To do taty. Z „Globe”.

- O Boże. - Odetchnęła z ulgą, po czym dodała:

- Biedny tata. Taki niesamowity sukces w jego karierze.

Życząc w tej chwili Samowi jedynie tego, by mógł plawić się blasku sławy, na którą sobie zasłużył, wróciła do małżeńskiej sypialni.

Sam szybko wyszedł spod prysznica. Z ręcznikiem zawieszonym wokół szyi podniósł słuchawkę telefonu. Opadając na łóżko twarzą do poduszki, Annie otuliła się w pasie kołdrą. Uwielbiała na niego patrzeć. Robiła to już ponad dwadzieścia lat i nigdy nie miała dość. Wiek mu służył. Z latami jego sylwetka nabrała bardziej zdecydowanych kształtów - miał teraz jeszcze szersze ramiona, węższe biodra i mocniej owłosioną klatkę piersiową. Lata uśmiechu wyłobily mu zmarszczki wokół oczu. Włosy miał gęste, brązowe, dobrze ostrzyżone, i te wąsy, które dojrzewały wraz z nim. Twarz ma taką ściągniętą, pomyślała. To przez to, że tak się martwi o Michaela.

- Chcą, żebym wydał oświadczenie - powiedział, gdy odłożył słuchawkę.

Odsuwając kołdrę, podniosła się na kolana i zarzuciła mu ramiona na szyję. Skórę miał jeszcze wilgotną i pachnącą mydłem. Przytuliła się policzkiem do jego twarzy.

- Jestem z ciebie taka dumna, Sam. To niesamowite, że udało ci się wygrać tę sprawę.

- Czasy są sprzyjające - powiedział cicho.

- To nie sprzyjające czasy. To ty. Żadnemu innemu prawnikowi to się nie mogło udać.

Od początku ta sprawa zapowiadała się morderczo, a ty ją wziąłeś bez gwarancji, że dostaniesz za to pieniądze.

- Tak - powiedział z nutą autoironii w głosie - a teraz mogę wystawić rachunek.

Ujęła w dłonie jego twarz. - Ciężko pracowałeś. Zasłużyłeś na to. - Jednak nie o tym chciała mówić.

- Podjąłeś ryzyko biorąc tę sprawę. Jedynie człowiek wrażliwy i zdolny do poświęcenia mógł to zrobić. Szkoda tylko, że to się zbiegło z tym wypadkiem. Chciałabym, żebyś mógł się naprawdę cieszyć.

- Tak...

Przytuliła się. - Chciałabym, żebyśmy się mogli razem cieszyć. Przykro mi, że mnie wczoraj nie zastałeś.

Zaprosiłam moich asystentów na lunch. Do tej pory nie miałam zbyt wielu okazji, by ich poznać. Zajęło mi to trochę ponad pół godziny.

Zmartwiony wpatrywał się w okno.

- Michael wyzdrowieje, Sam.

Jęknął i skierował na nią wzrok. Patrzył na jej twarz smutno, ale i pożądliwie. Objął ją i przytulił tak mocno, aż ramiona zaczęły mu drżeć.

- Michael wyzdrowieje - szepnęła.

- Kocham cię.

- Och, Sam.

Zaczął ją całować z pasją, rozpaczliwie, ale gdy jego ciało zaczęło się napinać, odsunął się. Annie chyba chciała, żeby było inaczej, jednak zrozumiała. On musiał się ubrać i jechać do miasta. Ona musiała dać dzieciom śniadanie i jechać do szkoły.

Na szczęście śniadanie w jej domu było drobnostką. O ile Teke nakryłaby do stołu, podając świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, jajecznicę i wafle własnej roboty, śniadanie u Annie było znacznie prostsze. Parzyła kawę i wypijała filiżankę, kiedy dzieci same nalewały sobie soku, same robiły sobie tosty, a dziewczynki jadły dietetyczny jogurt.

Wygrana sprawa Sama była na pierwszych stronach gazet. To ich zajęło przez jakiś czas. Kiedy odłożyli gazety, zaległa cisza. Annie wiedziała, że dzieci myślą o Michaelu. Nie naciskała na rozmowę. Wystarczyło, że dzieci mają świadomość, że jest z nimi.

Kierowali się już do drzwi, kiedy Sam zszedł na dół. Miał na sobie szary garnitur w drobne prążki, błękitną koszulę i rypсовy krawat. Był to jeden z jego najbardziej konserwatywnych garniturów i pasował do jego nastroju. Nalał sobie kawy i pijąc ją, sięgnął po gazetę.

- Nie chcesz nic zjeść? - spytała Annie.

- Nie. Żołądek mam zawiązany na supeł. - Wstawił pustą filiżankę do zlewu. - Po drodze wstąpię do szpitala. Chcesz, żebym stamtąd zadzwonił?

Skinęła głową i nadstawiła twarz do pocałunku.

Pięć minut później była już pod prysznicem. W ciągu pół godziny, ubrana, z lekkim makijażem, była gotowa do wyjścia do pracy. Jeszcze raz zadzwoniła do szpitala, tylko po to, by usłyszeć tę samą wiadomość, co wcześniej. Chciałaby móc porozmawiać z Teke, ale żeby tak

się stało, Teke musiałyby do niej zadzwonić. Annie była zaskoczona, że jeszcze tego nie zrobiła. Zwykle dzwoniła do niej, kiedy miała jakieś zmartwienie.

Zadzwonił Sam, żeby powiedzieć, że stan Michaela jest bez zmian, że John pojechał do biura, a Teke jest zmęczona, ale jakoś się trzyma.

- Powinnam tam być - powiedziała Annie. - Chyba odwołam zajęcia. Ktoś powinien być przy Teke.

- Nie. Idź do szkoły. John wróci za godzinę, a do tej pory ja z nią zostanę.

- John nie umie się zachować w takich sytuacjach. Teke potrzebuje kogoś, kto dodałby jej otuchy.

Jednak Sam nie ustępował. - Pytałem ją. Powiedziała, że powinnaś iść na zajęcia. Gdybyś tu była, czułaby się jeszcze gorzej.

- Gorzej?

- Czułaby się winna, że przez nią nie poszłaś do pracy. Poczekaj, Annie. Przyjdź po zajęciach. Może do tej pory nastąpi poprawa.

Annie modliła się, żeby tak było. Nie potrzebowała wykształcenia medycznego, by wiedzieć, że im dłużej Michael pozostaje nieprzytomny, tym bardziej jest to niepokojące. Z ciężkim sercem spakowała do torby papiery, które wyjęła stamtąd poprzedniego popołudnia, i właśnie w koszyku w kuchni poszukiwała kluczyków do samochodu, kiedy rozległo się pukanie do kuchennych drzwi.

To była Virginia Clinger. Miała na sobie ciepły kostium w kolorze lawendy, włosy misternie ułożone w artystyczny nieład spływały jej na lawendowy szaliczek, a między doskonale wyregulowanymi brwiami i starannie pomalowanymi tuszem rzęsami miała położony lawendowy cień do powiek. Roztaczała wokół siebie zapach perfum „Obsession”.

Annie Pope nie była typem kociaka. Wierzyła, że urok życia tkwi w różnorodności i zgodnie z tą dewizą życzliwie traktowała i utrzymywała przyjazne kontakty z wieloma ludźmi, bardzo różnymi ludźmi. Niewiele było osób, których nie lubiła.

Virginia Clinger należała do tych nielicznych. Była trzy razy rozwiedziona i miała troje niezdolnych dzieci - co mogłoby wywołać współczucie Annie, gdyby Virginia była oddaną matką, ale było wręcz przeciwnie. Jej głównym życiowym celem była pielęgnacja własnej urody. Była zadbana w sposób, który Annie określała mianem „styropianowego szyku”. Co więcej, była plotkarką i intrygantką.

Annie przybrała uprzejmy uśmiech. - Cześć, Virginio. Właśnie wychodzę.

- U Maxwellów nikt nie odpowiada - powiedziała Virginia bez słowa usprawiedliwienia.

- Są w szpitalu?

- Teke i John są w szpitalu. Dziewczynki przyjadą później.

- Jak się czuje Michael?

- Bez zmian.

Virginia cmoknęła. - Taka tragedia.

- Jeszcze nie ma tragedii - Annie pośpiesznie zmieniła złowróżbny ton rozmowy. - Przy odrobinie szczęścia obudzi się i szybko wyzdrowieje. - Wróciła do stołu po teczkę.

Virginia wkroczyła do kuchni. Przekrzywiła głowę, wyrażając wielkie zadziwienie, co, jak podejrzewała Annie, było dobrze wystudiowaną pozą. - Jak myślisz, co się stało?

- O co ci chodzi?

- Dlaczego w ten sposób wybiegł na ulicę?

- Śpieszył się, żeby wrócić do szkoły. Samochód jechał wolno. Mógł go nie słyszeć.

- Rozmawiał z Samem i Teke?

- O ile wiem, nie.

- To dziwne. Mogłabym przysiąc, że widziałam, jak wybiegał z domu. Co Sam tam robił?

Annie podniosła kluczyki. - Przyjechał do domu i szukał mnie.

- Z powodu tej wygranej sprawy?

- Mhm.

- To było niezłe zwycięstwo - zauważyła Virginia. - Pewnie nie posiada się z radości. Z początku nie byłam pewna, co myśleć. Kiedy on i Teke wybiegli za Michaeliem, ona miała na sobie tylko szlafrok, a on miał rozpiętą koszulę i pasek przy spodniach. Ktoś obcy mógł pomyśleć, że coś między nimi było, ale ja wiem, jak wasze rodziny są zżyte. Pewnie zaczął się przebierać, kiedy się zdecydował wybiec i przekazać Teke nowinę.

- Masz rację - powiedziała sucho Annie. - Wiesz, jak nasze rodziny są zżyte. - To, czego Virginia nie wiedziała, a Annie nie miała najmniejszego zamiaru ujawniać, to był sposób, w jaki Sam święcił sukcesy. Annie mogła sobie wyobrazić, jak sadył susy po domu i już zaczął się rozbierać, kiedy wchodził po schodach do jej gabinetu. Serce jej się ścisnęło, że jej tam nie zastał. I z tą myślą chciała zostać sama.

Dotknęła zegarka. - Muszę już wyjść. - Wzięła Virginię pod ramię i poprowadziła ją do drzwi. - Dziękuję, że wstąpiłaś. Powiem Teke, że tu byłaś.

- Jasne - powiedziała Virginia i odeszła rozkołysanym krokiem.

W ciągu kilku minut Annie wsiadła do samochodu i wyjechała z garażu.

\* \* \*

Telefon zadzwonił cztery razy, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Rozczarowany Sam odwiesił słuchawkę. Chciał złapać Annie jeszcze zanim wyjdzie z domu. Musiał z nią porozmawiać o tym, co zrobił.

Kiedy odszedł od automatu, ruszył przez szpitalny korytarz, a z każdym krokiem narastały w nim wyrzuty sumienia. Powinien jej to powiedzieć od razu, odejść z nią na chwilę, kiedy tylko wczoraj przyjechała do szpitala. Ale wtedy była razem z dziewczynkami i wszystkie były przerażone wypadkiem Michaela. Nie chciał pogarszać sytuacji.

Tak więc milczał. Mógł dalej milczeć i w ten sposób, jak przypuszczał, oszczędzić Annie bólu. To, co się zdarzyło z Teke, było odosobnionym wypadkiem i nigdy, ale to nigdy nie miało się powtórzyć. Nigdy przedtem nie zdradził Annie i wtedy też nie miał takiego zamiaru. W pewnym sensie, ponieważ Annie była jedyną kobietą, o jakiej myślał, w ogóle jej nie zdradził. Ale rzeczywistość była surowa. Nie dało się zaprzeczyć, że przeleciał Teke.

I Michael o tym wiedział. I Virginia też o tym wiedziała. A nawet gdyby nikt tego nie spostrzegł i gdyby to nie wyszło na światło dzienne, sumienie nie pozwoliłoby mu milczeć. Przecież rozmawiali z Annie o wszystkim. Istniało między nimi coś takiego - Annie nazywała to więzią duchową - co zapewniało im porozumienie. Tak było od początku i to jedna z tych rzeczy, które przyciągnęły go do niej przed z górą dwudziestu laty i przez ten cały czas nigdy nie spotkał innej kobiety, przy której czułby się tak swobodnie. Nie mógł niczego przed nią ukryć. Gdyby spróbował, ich związek zniszczyłoby milczenie, to było pewne.

Poszedł pieszo przez Cambridge Street w kierunku biura. W połowie drogi rozmyślił się i wspiął się na Beacon Hill. Kiedy wszedł na szczyt wzgórza i spojrzął na budkę telefoniczną naprzeciwko budynku administracji stanowej, pomyślał, że Annie jest już w szkole.

Próbował połączyć się z jej gabinetem. Sekretarka wydziału powiedziała mu, że wstąpiła tu na chwilę, a potem poszła prosto na zajęcia.

Odwiesił słuchawkę i powoli ruszył przed siebie, nie do biura, lecz w przeciwnym kierunku. Dzień był zamglony, ciepły jak na październik, ale w niewielkim stopniu mógł składać na karb tego ciepła fakt, że zaczął się pocić. Pocił się, gdy był zdenerwowany. Tak samo, kiedy się bał.



Mijając ratusz, wszedł do parku i spacerował główną alejką aż do stawu. Wszedł na most nad stawem i przystanął w jego najwyższym punkcie, opierając się łokciami o poręcz. Nie było już łabędzi. Tak samo zniknęły najpiękniejsze kwiaty. Drzewa wprawdzie ciągle były pełne liści, ale już wkrótce i te zwiędną, zmieniają kolor i opadną. Nie cierpiał jesieni.

- Hej, Sam!

Wyprostował się, słysząc wołanie. Chwilę później jego ręką potrząsał Brian Hennessey, z którym przed laty pracował w biurze prokuratora okręgowego. Jako prawnik Brian nie był zbyt błyskotliwy, ale całkiem miły z niego facet.

- Dobrze ci idzie, Sam! To dopiero sprawa!

Sam ledwo pamiętał chwilę, kiedy czytał postanowienie.

- Całe miasto o tobie mówi. Jesteś na pierwszych stronach gazet i nawet w wiadomościach wieczornych o tym mówili. Przejdiesz do historii, kolego.

- Nie wiedziałem o tym. Sprawy przychodzą i odchodzą.

- Ale nie ta. Zdecyduj się jutro startować w wyborach na prokuratora okręgowego i wszystkie baby z całego stanu będą na ciebie głosowały. Jesteś ostatnią deską ratunku dla wykorzystywanych kobiet. Jesteś człowiekiem, który w swoim działaniu kieruje się odruchami serca - czyż nie tak o tobie powiedzieli w siódmym kanale? Jesteś bohaterem.

Sam zdobył się na słaby uśmiech, zniósł poklepywanie po ramieniu i, z minuty na minutę czując się gorzej, patrzył na odchodzącego Briana.

## Rozdział 3

Teke poderwała się ze snu roztrzęsiona i zdezorientowana. Potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie, po czym pośpiesznie ruszyła przez korytarz. Michael wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy od niego wychodziła - nieruchoma postać okryta białym prześcieradłem, połączona rurkami z aparaturą.

- Wygląda pani na wyczerpaną, pani Maxwell. Nie może pani zasnąć?

- Nie na długo - odpowiedziała pielęgniarce, która stanęła przy niej. - Nic się nie zmieniło?

Kobieta potrząsnęła głową.

Teke modliła się, żeby stan Michaela się poprawił, marzyła o tym. Z westchnieniem zakryła dłońmi twarz.

- Pewnie powinnam być wdzięczna losowi. Mogło być gorzej.

Pielęgniarka wyszła, a Teke zajęła jej miejsce przy łóżku Michaela. - Cześć, kochanie. - Przeszesała palcami jego włosy wokół kilkucentymetrowego szwu, próbując nadać mu bardziej ludzki wygląd. - Przespałam się trochę. Lepiej się czujesz?

Patrzyła na jego powieki w oczekiwaniu najdrobniejszego drgnienia, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Tata wyszedł, ale niedługo wróci. Leigh i Jana wstąpią po lekcjach, i Annie, Zoe, i Jon. I Sam - dorzuciła w dobrej wierze, chociaż przy tym imieniu sama siebie przyłapała na błędzie. Nie wiedziała, co powinna mówić, a czego nie. Nie wiedziała, czy Michael jest świadomy tego, co się wokół niego dzieje, a jeśli tak - jak wiele pamięta z tego, co się zdarzyło poprzedniego dnia.

Prześladowała ją myśl, że jej syn leży tutaj w skorupie milczenia i rozpamiętuje to, co zobaczył. Prześladowała ją myśl, że Michael jej nienawidzi, i świadomość, że to ona ponosi winę za jego stan.

- Przykro mi - wyszeptała. - Tak mi przykro. Nie chciałam, żeby to się stało, Michael. - Ujęła jego rękę w swoje dłonie, jakby chciała tchnąć w nią życie. - To było szaleństwo. Siedziałam tam i czułam się taka samotna, a on był taki podniecony, kiedy wszedł, i zanim się spostrzegłam ty trzasnąłeś drzwiami. - Michael w żaden sposób nie pokazał, że ją słyszy, ale szepotała dalej:

- W ogóle nie myślałam. Ledwo wiem, co się stało. To nic nie znaczy. Nic. To było głupie i złe. Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to. Wszystko bym dała, żeby cofnąć czas, ale nie mogę tego zrobić. Mogę tylko mieć nadzieję, że mi wybaczysz.

Może John jej wybaczy. I Annie. Zdradziła ich oboje.

- To przez ten list - brnęła dalej, próbując się bronić.

- Nie powinien był go pisać. Odszedł z mojego życia. Pozwoliłam mu odejść, kiedy powiedział, że tego chce. I teraz przysłał list. Cholera, dlaczego to zrobił?

To pytanie zamarło w powietrzu, tak jak jej oddech w piersi, podczas gdy aparatura, do której był podłączony Michael, regularnie pikała.

Wyrwało jej się umęczone westchnienie. - Zobaczyłeś to, co zobaczyłeś, w niedobrym okresie życia. Już nie jesteś małym chłopcem, a jeszcze nie jesteś mężczyzną. Nie wiedziałeś, jak to się stało, że to robiliśmy. Oczywiście, wiedziałeś, co się dzieje, ale nie wiedziałeś dlaczego. Nie wiedziałeś, dlaczego Sam tam był. Nie wiedziałeś, dlaczego to nie był twój ojciec.

Nigdy nie byłam z innym mężczyzną. To był pierwszy raz, jedyny raz, kiedy zbliżyłam się z kimś innym.

Zastanawiała się, czy Michael słyszy, co do niego mówi. Nagle nakazała sobie myśleć, że słyszy. Kurczowo zaciskając dłonie, błagała: - Nie bądź na mnie zły, Michael, proszę. Nie leż tak dlatego, że to zrobiłam. Jeśli mnie nienawidzisz, w porządku. Zasłużyłam na to. Nie powiem ci, że nie masz racji. Nawet mogę odejść, jeśli chcesz. Wystarczy tylko, że się obudzisz i powiesz mi to, ale proszę, obudź się. Proszę. Wszyscy cię kochamy. Chcemy, żebyś był z nami. Jeśli nie chcesz obudzić się dla mnie, zrób to dla twojego ojca. Albo dla Jany i Leigh. Jesteś przecież ich małym braciszkiem. Uwielbiają cię.

Z bliska, jeszcze się przysuwając, obserwowała twarz Michaela i w jednej chwili wydawało jej się, że widzi jakiś ruch, w innej uznawała, że wszystko jest bez zmian. - No, dalej, Michael - błagała.

Przyszła pielęgniarka z nową butelką płynu do kroplówki. Teke potrzebowała chwili, żeby odzyskać zimną krew. Wreszcie spytała: - Długo pani pracuje na tym piętrze?

- Dwa lata - odpowiedziała kobieta miłym tonem, który trafił Teke do serca. Miała tyle pytań, o tyle rzeczy się lękała.

- Zauważyła pani jakieś prawidłowości w takich przypadkach?

- Niektóre rzeczy są podobne, ale zdarzają się nieprzewidywalne różnice.

- A mogłaby pani powiedzieć, że albo pacjent budzi się w pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach, albo nie budzi się bardzo długo?

Kobieta posłała jej pełen współczucia uśmiech. - Nie można uogólniać. Miałam pacjentów, którzy budzili się po trzech dniach od wypadku, po czterech dniach, pięciu, nawet po dwunastu dniach. Miałam pacjentów, którzy budzili się po dwóch miesiącach i czuli się nie gorzej niż gdyby byli podchmieleni.

- To byłoby miłe - zadumała się Teke i podjęła rozkazującym tonem: - Słyszałeś, Michael? Śpij, jeśli chcesz, i obudź się nie czując się gorzej niż gdybyś był podchmielony. Będziemy szczęśliwi.

Pielęgniarka wymknęła się. Teke uchwyciła się nadziei, którą natchnęła ją pielęgniarka, ale ta również umknęła. Była taka zmęczona. Taka przerażona.

Zastanawiała się, kiedy przyjdzie John, i wtedy jakiś ruch za szybą przyciągnął jej wzrok. Najpierw sądziła, że to on, po prostu dlatego, że ktokolwiek to był, nie był w szpitalnej bieli.

Potem zrozumiała, że to nie ten wzrost, nie ten koloryt, nie ta sylwetka, nie ta twarz, nie ten sposób chodzenia.

Wszystko takie znajome, pomyślała. Widziała to wszystko dzień wcześniej. Wstrzymując oddech, położyła rękę na piersi, a przed oczyma błysnęła jej przeszłość sprzed trzydziestu lat, oddalona o setki mil. Nagle szyba zamieniła się w stare karbowane szkło, za którym mieścił się gabinet lekarza przy sklepie. Miała dziesięć lat, była pogryziona przez psa i śmiertelnie przerażona, co się z nią stanie, kiedy jej ojciec ją tu znajdzie. Homer Peasely potrafił się złościć, a ostrzegał ją, żeby się trzymała z daleka od psów Tuckerów. Ale ona kochała zwierzęta, i zwierzęta zwykle też ją kochały. Nawet nie pomyślała, że mogłyby ją pogryźć.

Wiedziała, kim jest Grady Piper. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, kim jest Grady Piper. Był od niej dwa lata starszy i prawie tak samo biedny, dlatego pracował razem ze swoim ojcem. Razem pracowali w doku, gdzie cumowały łodzie, które mieli remontować. W wieku dwunastu lat Grady miał tak silne ciało i tak ostry język jak mężczyźni trzy razy od niego starsi.

Władze okręgu nie były tym zachwycone. Chciano go wysłać do szkoły. Raz i drugi urzędnik zjawił się w doku i doprowadził Grady'ego do szkoły, ale po tygodniu ten już był na wagarach. Jego ojcu grożono skierowaniem sprawy do sądu i wysłaniem Grady'ego do domu poprawczego, ale to nigdy nie nastąpiło.

Tamtego dnia Grady stał na ulicy i wpatrywał się w nią. Teke nie wiedziała, co robić, więc też się w niego wpatrywała. Wreszcie otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Co jej się stało? - spytał pielęgniarkę.

- Pies ją pogryzł.

Oglądał bandaż na jej nodze. - Dlaczego ona tu ciągle jest?

- Czeka na swojego ojca.

- Na Homera Peaselya? Pielęgniarka skinęła głową.

- Czy on wie, że ma ją odebrać?

- Nie, ale musi tędy przechodzić, jak będzie wracał do chałupy.

Chałupa była tak ciasna, jak i ciasny był budynek sklepu w malutkiej mieścinie Gullen. Zniszczone pomieszczenie przy wejściu wypełnione było artykułami pierwszej potrzeby. W środkowym pomieszczeniu mieściła się poczta, a na zapleczu bar. Homer Peasely miał w nosie jedzenie i pocztę - choć dało się z nim wytrzymać, dopóki nie wypił swojej drugiej whisky - i rzadko tu wstępował.

Grady wiedział o tym. Bez słowa wziął Teke za rękę i poprowadził do drzwi. Kiedy przyprowadził ją do domu, usadził na krześle koło rozwalającego się paleniska, napalił w piecu i powiedział: - Odpocznij przez chwilę, a potem zrób mu coś do zjedzenia i połóż się do łóżka. Jeśli nie zobaczy bandaża do rana, wszystko będzie w porządku.

- Ale ja muszę zapłacić doktorowi - wyszeptała.

- Doktor poczeka - stwierdził Grady i wyszedł.

Przygotowała kolację, jak zwykle, i położyła się do łóżka. Kiedy Homer wrócił do domu, był tak pijany, że w ogóle jej nie zauważył, a rano ukryła bandaż pod kombinezonem. Homer nigdy się nie dowiedział, że pogryzł ją pies, a doktor nigdy nie przyszedł po swoją zapłatę, ale Teke chodziła za Gradyem jak cień. Później stał się dla niej kimś daleko więcej. To wspomnienie przyniosło jej tyle samo radości, co bólu.

Powstrzymując łzy, wróciła do terażniejszości, choć najpierw widziała wszystko tak rozmyte, że sądziła, iż odszedł. Potem zobaczyła, że ciągle tam stoi, i przepełniło ją uczucie bliskie paniki.

Odejdź! - coś w jej duszy krzyczało, tak jak już krzyczało wcześniej. Nie wolno mu tu zostać. John nic nie wiedział. Byłby wściekły. Nie zrozumiałby tego. A ona - ona nie mogłaby znów stawić czoła Grady'emu. Nie po tym wszystkim przed laty. Nie z Michaelem stojącym u wrót śmierci i - mój Boże! - to samochód Grady'ego go potracił. Odejdź! - krzyczała bezgłośnie. Odejdź!

Wtedy, tak dawno, nie słuchał jej. Przyszedł do jej domu i na zawsze odmienił jej życie. Musiał to zrozumieć, pomyślała, bo teraz wpatrywał się w nią jeszcze przez ostatnią dręczącą chwilę, odwrócił się i ruszył przez korytarz.

\* \* \*

Sam nie mógł się skontaktować telefonicznie z Annie, choć próbował chyba ze sześć razy. W przyływach narastającego poczucia winy zastanawiał się, czy ona nie unika go dlatego, że zna prawdę. Jednak wyjaśnienia sekretarki, że właśnie wyszła z jednych zajęć i poszła na następne, brzmiały wiarygodnie. Na pewno chciała szybko skończyć zajęcia, żeby móc pojechać do Teke.

Bał się, co będzie z ich przyjaźnią, gdy Annie pozna prawdę. Co więcej, bał się, co będzie z jego małżeństwem.

Myślał właśnie, że nie zasługuje na jej miłość, ale to dzięki niej toczy się jego życie i bez niej nie mógł żyć, kiedy John wsunął głowę do pokoju. Wyglądał na tak zadowolonego, jak tylko mógł być w tych okolicznościach.

- Wiedziałem, że jeżeli tylko dobrze poszukają, znajdą jakiś brud! - zapiał. I kiedy Sam patrzył na niego bezbarwnym wzrokiem, obwieścił: - Mimo wszystko kierowca tego pickupa nie jest takim niewiniątkiem. Dzisiaj rano zadzwoniłem do naszego słynnego komendanta policji. Powiedziałem mu, że musi się coś znaleźć na tego faceta i żeby dobrze poszukał, jeżeli chce mieć przedłużony kontrakt. - Zrobił minę. - Do diabła, czy on się nie zastanawiał, co ten facet tutaj robił? Mówią, że nie przekroczył prędkości. Że jechał wolno. Dobrze, ale dlaczego jechał wolno? Z pewnością nie rozglądał się za domem na sprzedaż, nie w tej okolicy. A może miał się spotkać z kimś w sprawie pracy? A może rozglądał się dookoła, bo chodziło mu po głowie jakieś włamanie?

- I czego się dowiedzieli? - spytał Sam.

John wsunął ręce do kieszeni i kołysząc się na piętach, odchylił się do tyłu. - Niejaki Grady Piper jest byłym więźniem. Odsiedział osiem lat z dwudziestoletniego wyroku - i tu trzymaj się mocno - za morderstwo.

Sam poderwał się z krzesła. - Za morderstwo?

- Za morderstwo. I to jest właśnie to coś śmierdzącego. Sam usiadł. Mógł odczuć, jak odżywa w nim adwokat.

- Nie można faceta oskarżać o cokolwiek w tej sprawie tylko dlatego, że kiedyś siedział za morderstwo. - Zadzwonił telefon na jego biurku.

- Nie wygłupiaj się, Sam. Bandyta to zawsze bandyta. Sam to dobrze wiesz. Przecież cały czas pracujesz z tymi ludźmi.

Sam nacisnął guzik interkomu. - Tak, Joy?

- Dziennikarz z „Tygodnika Prawniczego” na linii.

- Niech zostawi numer. Oddzwonię. - Zwolnił przycisk interkomu i zwrócił się do Johna.

- Co jeszcze ten facet zrobił?

- Morderstwo nie wystarczy?

- To są te brudy? Właśnie morderstwo? Jak długo jest na wolności?

- Jakiś czas, ale...

- Jak długo?

- Czternaście lat.

- Po tym, jak odsiedział osiem z dwudziestu lat. Czy ciągle jest na zwolnieniu warunkowym?

- Nie, ale...

- Nie doprowadzisz do procesu. Nie możesz wytoczyć człowiekowi procesu o to, że dwadzieścia trzy lata temu popełnił przestępstwo. On już za to zapłacił. Odsiedział swoje. Jeśli nikt nie udowodni, że popełnił jeszcze jakieś przestępstwo, albo że naruszył prawo, kiedyjechał twoją ulicą, musisz o tym zapomnieć.

- Nie zapomnę o tym - powiedział John z takim oburzeniem, że Samowi jako żywo stanął przed oczami obraz Johna Stewarta. - Wystarczyło trochę poszukać, a już wypłynęła sprawa morderstwa, a sam pomyśl, co jeszcze może wypłynąć, jeśli się poszuka trochę więcej.

Delikatnie, bo wiedział jak często to się zdarzało i jak złościło Johna, Sam zapytał: - Czy za tym stoi John Stewart?

- John Stewart nie musi mi mówić, co mam robić w sprawie mojego syna - wysapał John. - Chcę wiedzieć, co ten człowiek robił na mojej ulicy.

- To jest publiczna ulica.

- A on jest byłym więźniem nie wiadomo skąd.

- Może się zgubił albo zwiedzał miasto.

- Do cholery! On potracił mojego syna!

Sam chciał mu przypomnieć, że to Michael wybiegł prosto pod samochód, ale wiedział, że nie to John chciał usłyszeć. Odezwał się cicho: - Trafisz kulą w płot, John.

- Gdzie się podziała twoja wyobraźnia, Sam? Jesteś ekspertem w sprawach kryminalnych. Geniuszem sądowym. Zawsze czymś go przyszpila. My tylko musimy im podsunąć czym.

Sam pogodził się już, że John nie słucha, co do niego mówił, i był w stanie to zrozumieć. To syn Johna, nie jego, leżał nieprzytomny. John był przygnębiony. Był rozgoryczony. Chciał coś zrobić, cokolwiek, przez co mógłby wziąć odwet za Michaela.

Sam próbował sobie wyobrazić, co zrobiłby John, gdyby się dowiedział, cóż takiego Michael zobaczył. A dowie się tego, choć nie od Sama. Sam narobił już wystarczająco dużo szkód. Nie, Teke jest żoną Johna. To od niej powinien się wszystkiego dowiedzieć. Albo od Michaela, kiedy ten się obudzi.

- Skontaktowałeś się z kliniką Mayo? - spytał. John z niesmakiem patrzył w przestrzeń. Oparł ręce na biodrach.

- Tak, ale bez rezultatu. Henry Finch prowadzi dwutygodniowe seminarium w Paryżu. Rozmawiałem z jego zastępcą i opowiedziałem mu o Michaelu. Stwierdził, że zespół Gardnera jest pierwszorzędny, a z tego, co mu opowiedziałem, wnioskuje, że oni nie mogliby zrobić niczego ponad to, co zostało zrobione. Czyli nic - dodał kwaśno.

Sam wstał, okrążył biurko i poklepał Johna po ramieniu, by dodać mu otuchy. - Robią wszystko, co mogą.

- Czyli nic - powtórzył John odsuwając się. Zbliżył się do drzwi. - Mam zamiar zaskarżyć szkołę o zaniedbanie obowiązków. Chcę, żebyś ty poprowadził tę sprawę.

Sam wątpił, żeby doszło do takiego procesu, ale równie dobrze on, jak każdy inny prawnik mógł poczynić wstępne kroki. Zrobi to z poczucia lojalności - i z poczucia winy. Wystarczy trochę szczęścia, by Michael się obudził i wyzdrowiał, a wtedy John zmieni zdanie na temat tego procesu.

- I zajmij się policją - dorzucił John. - Depcz im po piętach. Będą cię słuchali bardziej niż mnie. Byłeś przecież prokuratorem. I nie jesteś tak zaangażowany emocjonalnie w to wszystko jak ja.

Zniknął, zostawiając Sama, który w duchu pragnął, by to, co John powiedział, mogło być prawdą.

W chwili gdy tylko Annie nadciągnęła ze szkoły, trzy dziewczyny wpakowały się jej do samochodu, zatrzasnęły drzwi i zaczęły mówić wszystkie jednocześnie:

- Nareszcie...

- Myślałyśmy, że już nigdy się tu nie zjawisz...

- To jest takie żenujące...

- Nie uwierzyłybyś, co ten gnojek powiedział...

- Mówił to przy wszystkich...

- Przed całą szkołą...

- Spokój! - krzyknęła Annie. Siedziała odwrócona, przenosząc spojrzenie z jednej wzburzonej twarzy na drugą.

- Ty jesteś najstarsza, Leigh - odezwała się miękko, cichym głosem. - Powiedz, co was tak zdenerwowało.

Policzki Leigh płonęły rumieńcem, co było niezwykłą odmianą przy zwykłej szlachetnej bledności jej twarzy. Wygląd odziedziczyła po Johnie, ale miała w sobie też kobiecość Teke. - Zaczął roznosić plotki...



- Kto zaczął roznosić plotki?

- Will Clinger. Co za gnojek! Nie może zainteresować innych sobą, bo jest bałwanem, więc roznosi plotki.

- Jakie plotki roznosi? - spytała Annie.

- Oszczerstwa! - wykrzyknęła Jana.

- To intrygant! - wypaliła Zoe.

- Jakie plotki? - powtórzyła Annie, ciągle wpatrując się w Leigh.

Nozdrza Leigh wydymały się gniewnie. - Biega po całej szkole i opowiada, że wczoraj, kiedy Michael został ranny, Sam i mama nurzali się w błocie.

- Nurzali się w błocie? - Annie natychmiast przywołała absurdalny obraz Sama i Teke nurzających się w błocie przy sadzeniu cebulek kwiatów w ogrodzie.

- Chodzi o seks, mamó - zza pleców dobiegł ją głos Zoe.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na córkę. - Co?

- On jest taki głupi.

- To jego matka - powiedziała Jana, zaplatając ramiona. - Ona nas nie lubi, bo jesteśmy tym, kim jesteśmy. Mamy udane, normalne życie, wszystko to, czego ona nie ma. To suka.

- Proszę - odezwała się Annie błagalnie - nie używaj takiego języka.

- Ale to jest suka - upierała się Jana. - To ona zaczęła roznosić plotki. Powiedziała, że widziała Sama i mamę, jak wybiegali z domu za Michaeliem, i że byli ledwo ubrani. Powiedziała, że Sam musiał zapinać spodnie na środku ulicy! Możesz w to uwierzyć? Co za suka.

Annie wzięła głęboki oddech. - Ciągłe nie podoba mi się to słowo, ale jeśli Virginia rzeczywiście tak powiedziała - i jeśli to miało związek z jej poranną wizytą, dodała w myśli - to do niej pasuje.

- I kłamczucha - dodała Leigh.

- Dlaczego ona mówi takie rzeczy? -ypytywała Zoe.

- Powiem ci dlaczego - odpowiedziała Jana. - Jest zazdrosna. Fortuna Clingerów rozplynęła się. Jej alimenty spłynęły do ścieków razem z resztką nieruchomości w mieście. Nie mogła sobie pozwolić w tym roku na nowy samochód. A my tak. Więc o mało się nie zesra z zazdrości.

- To słowo też mi się nie podoba - mruknęła Annie, ale Jana nie przerywała.

- A on papie przed całą szkołą i próbuje zarabiać punkty naszym kosztem. To nie jest uczciwe!

Zoe ściągnęła twarz. - To takie żenujące.

- Ale to wszystko nieprawda - figlarnie poinformowała ją Jana. - Moja mama nie mogłaby zdradzić taty.

- Nie bardziej niż mój tata mógłby zdradzić mamę!

- Max był wściekły - przerwała Leigh. - Pobiłby Willa, gdybym go nie odciągnęła na bok. To byłoby straszne. Mógłby dostać naganę za to, że się bije w szkole. Mogliby go zawiesić w treningach albo nie dopuścić do sobotniego meczu, a jaki Will wtedy czułby się ważny - prychnęła. - Bałwan - mruknęła pod nosem.

Kiedy Annie włączyła silnik, Zoe nachyliła się nad jej ramieniem. - Nie jesteś wściekła?

Annie czuła ciepło jej oddechu i sięgnęła ręką do tyłu, by pogłodzić jej policzek. Zoe była pieszczoszką. Annie mogłaby przysiąc, że jej córka była pieszczoszką jeszcze w jej łonie, tak zadowoloną z tego przytulnego miejsca, że nie chciała przyjść na świat ponad trzy tygodnie po terminie. I od początku była słodka i delikatna. Annie uwielbiała tę jej delikatność, choć to czyniło Zoe podatną na zranienia w sytuacjach, które inni zbyliby wzruszeniem ramion.

- Jest mi przykro - powiedziała Annie teraz. - Virginia powinna się dobrze zastanowić, kiedy mówi dzieciom takie rzeczy.

- Cały czas tak robi - powiedziała Jana. - To właśnie dlatego chłopcy Clingerów są nienormalni.

Annie złagodniała. - Nie są nienormalni, tylko mają trudnych rodziców. - Błysnęła zębami, uśmiechając się do Jany. - Nie mają tyle szczęścia co wy.

- Więc co mamy zrobić? - spytała Jana. - Cała siódma klasa o tym mówi.

- Już jutro wszyscy będą mówili o czym innym.

- Nie. Nie będą mówili o czym innym - powiedziała Leigh. - To wszystko brzmi jak z opery mydlanej. Będą chcieli wiedzieć, co dalej się zdarzy.

- Nic się dalej nie zdarzy, bo się w ogóle nic nie zdarzyło.

- Ale dzieci myślą inaczej - powiedziała Zoe.

Annie była sceptyczna.

- Wierzą Willowi? A kto przed chwilą powiedział, że Will to bałwan?

- Powiedziałam tak - przyznała Leigh. - Tyle że jeśli plotka się rozejdzie, nikt nie pamięta, kto ją puścił w obieg. Nie uwierzyłabyś, ile osób podchodziło do mnie przy lunchu, żeby zapytać, czy moi rodzice się rozwodzą.

- Powiedz im, że nie - rzekła Annie.

- Mówiłam, więc pytali, czy Michael widział ich, jak to robili.

- Powiedz im, że nie.

- Mówiłam, więc pytali, skąd wiem, a ja nie umiałam odpowiedzieć. Nikt nie wie, co Michael widział, tylko on sam, a on tego nie mówi.

Zoe nachyliła się bliżej. - Czy on w ogóle coś powiedział?

- Nie. Ciągłe jest nieprzytomny.

- Ciągłe dzwoniłam, żeby o to zapytać - odezwała się Leigh. - Pielęgniarki już chyba rozpoznają mnie po głosie.

- Czy oni nie mogą czegoś zrobić? - dociekała Jane.

- Nie mogą mu czegoś dać, żeby go z tego wyciągnąć? To wszystko, co się czyta o wysokich kosztach opieki medycznej... Za co my im płacimy?

Annie musiała się uśmiechnąć. Czasami Jana była tak podobna do Johna, tak władcza, taka wymagająca.

- Płacimy im za to, żeby cały czas opiekowali się twoim bratem, a kiedy już dojdzie do punktu zwrotnego i będzie go można z tego wyciągnąć, oni będą na miejscu.

Dziewczynki umilkły i Annie błogosławiła je za to. Były bardziej zainteresowane Michałem niż plotkami Willa Clingera.

Annie myślała tak samo, choć martwiły ją plotki, i nie chodziło tu o Willa Clingera. Znacznie gorsza była Virginia. Mówiła wszędzie, gdzie tylko się znalazła, a bywała w takich miejscach - w salonie kosmetycznym, u manikiurzystki, w klubie odnowy biologicznej - gdzie ludzie lubią słuchać takich opowieści. A potem ci ludzie idą swoim szlakiem, głosząc wokół zasłyszane nowiny. Tę kobietę należało powstrzymać.

Takie bezmyślne plotki to paskudna sprawa. One zasiewają zwątpienie. Gdyby Annie nie darzyła swego męża absolutnym zaufaniem, mogłaby się właśnie w tej chwili zastanawiać, czy w tym, co rozgłasza Virginia, jest jakiś okruczeństwo. Mogłaby się też zastanawiać, dlaczego Sam w środku dnia był półnagi. Mogłaby się zastanawiać, czy jego przygnębienie jest spowodowane wyłącznie wypadkiem Michaela, czy jest w tym coś więcej. Mogłoby ją też zastanawiać, dlaczego jej mąż tak długo trzykrotnie brał prysznic.

Ale ona darzyła swego męża absolutnym zaufaniem. Absolutnym.

Gdy Sam zjawił się w szpitalu, znalazł Teke drzemiącą na krześle przy łóżku Michaela. Nie chciał ryzykować, że ją obudzi, kiedy zacznie głośno mówić do Michaela, więc po prostu stał przy łóżku i patrzył na chłopca.

Pamiętał, jak Michael się urodził - mała niespodzianka Teke, jak wszyscy go nazywali, choć nikt nigdy nie dociekł, czy była to niespodzianka, którą los zgotował Teke, czy też to Teke zgotowała ją wszystkim innym. John wierzył w to pierwsze. Chciał poprzestać na dwójce dzieci i za poczęcie Michaela winił źle założoną spiralę. Pewnie wytoczyłby proces sądowy ginekologowi Teke, gdyby go Sam nie umitygował, wymyślając mu od osłów. A kiedy okazało się, że ma się urodzić chłopiec, cała złość poszła w zapomnienie.

Sam podejrzewał, że Teke zaplanowała to trzecie dziecko. Uwielbiała dzieci i była dobrą matką. Nigdy nie chciała iść do pracy, tak jak Annie, i była nadzwyczaj zadowolona, że zajmuje się domem, biega w środku dnia do szkoły, jeśli któreś z dzieci źle się poczuje, rozstrzyga dziecięce spory na podwórku i przygotowuje lemoniadę czy piecze ciasteczka dla swojej czerechy.

Obserwował ją śpiącą. Naprawdę fascynująca kobieta - nie dało się temu zaprzeczyć. Może i była kurą domową, ale miała wszystko to, co dla mężczyzn jest atrakcyjne. I to wszystko przygwoździło Johna, kiedy Sam i Annie poznali ich ze sobą, choć teoretycznie Teke absolutnie nie była dla niego odpowiednią partią. Zjawiła się znikąd z dwiema podniszczonymi torbami wypełnionymi ubraniami, z tysiącem dolarów w banku, i jeszcze z paroma drobiazgami. Małżeństwo z nią było pierwszym większym przejawem buntu Johna.

Nie. To nie tak. Pierwszym większym przejawem buntu Johna była przyjaźń z Samem, który dla seniora Maxwella był niemalże równie nie do zaakceptowania jak Teke. Takie myśli owładnęły teraz Samem. Zastanawiał się, czy przed laty ktoś mógłby przewidzieć, co się zdarzy, nawet gdyby mieli do dyspozycji lunetę umożliwiającą spojrzenie w przyszłość.

On sam nie mógł uwierzyć w to, co się stało. On i Teke. Spoglądając na nią teraz, w ogóle nie odczuwał pożądania, a gdyby nawet je odczuwał, to nie wobec niej. Kochał swoją żonę i tylko jej pożałował.

Absolutne zaufanie. Annie jeszcze raz powtórzyła w myśli ten zwrot, kiedy w krok za dziewczynkami wchodziła do sali Michaela i zobaczyła Teke drzemiącą na krześle i stojącego obok niej Sama.

- Co z nim?

- Obudził się?

- Coś się zmieniło?

W chórze przyciszonych pytań dziewczynki otoczyły łóżko Michaela. Annie objęła Sama w pasie, a on odpowiedział jej tym samym gestem i pocałował, choć wyczuła w nim dziwne napięcie. Naturalnie, martwi się

O Michaela. Wzrokiem zadała mu te same pytania, które wcześniej wypowiedziały dziewczynki.

- Wszystko tak, jak było - odpowiedział Sam. Teke wzdrygnęła się, otworzyła oczy i posłała dziewczynkom słaby uśmiech. - Jak było w szkole?

- W porządku.

- Ciężko.

- Nudno.

Zoe, Leigh i Jana złożyły oświadczenia każda z osobna.

- Czulałabym się lepiej, gdybym mogła tu być - powiedziała Zoe.

- Michael - przymilała się Leigh, pochylając się nad nim. - No, dalej, Michael. To my. Pora się obudzić i przywitać. Jana oparła swój plecaczek na poręczu łóżka i otworzyła jedną kieszeń. - Przyniosłam kartki, Mike.

- Ścisnęła w dłoni plik kartek z pozdrowieniami. - Cała twoja klasa do ciebie napisała. Bliźniacy mi to przynieśli w czasie lunchu.

Leigh spojrzała na Teke. - Dobrze się czujesz?

Teke jeszcze raz zdobyła się na słaby uśmiech i potwierdziła skinieniem głowy.

Annie też patrzyła na Teke, ale ta nie odwzajemniła jej spojrzenia. - Jadłaś coś? - spytała Annie, ciągle próbując nawiązać kontakt wzrokowy z przyjaciółką.

Teke szybko prześliznęła się po niej wzrokiem, zanim zamknęła oczy i i skłoniła głowę na oparcie krzesła.

- Trochę. Pielęgniarki przyniosły mi co nieco.

- Może jeszcze coś ci przynieść? Kanapkę? Albo coś do picia?

Teke lekko potrząsnęła głową. - Nie, dziękuję.

Annie ciągle próbowała. - A może zawiozłabym cię do domu, żebyś wzięła prysznic i przebrała się?

Teke otworzyła oczy, patrząc na nieruchomą postać Michaela w sposób, który mówił, że nie mogłaby go zostawić na tak długo.

- My z Annie wyjdziemy trochę się przejść - powiedział Sam cicho. - Wrócimy tutaj. - Splótł jej palce ze swoimi i poprowadził ją do drzwi.

Serce Annie zabiło mocniej. Coś w Samie wydawało jej się dziwne. Umiera ze strachu o Michaela, powiedziała sobie. Jeszcze raz powtórzyła to w myślach.

Kiedy szli, odezwała się, mocno ściskając rękę męża: - Biedna Teke. Takie coś to dla matki największy koszmar. - Spojrzała na Sama. - Jak tam John?

- Jest zmartwiony. Trochę mu poprawiło humor, że mógł podjąć kroki prawne przeciwko sprawcy wypadku, ale to tylko odtrutka na tę bezradność tutaj.

Annie próbowała znaleźć się na chwilę w skórze Johna. - Maxwellowie nie lubią czuć się bezradni.

- Nikt nie lubi. - Sam nacisnął guzik windy. Kiedy czekali, aż winda nadjedzie, odwrócił dłoń Annie tak, że znalazła się na jego dłoni i zaczął obrysowywać jej palce kciukiem i dotykać obrączki ślubnej. Była wąska, delikatnie grawerowana i wysadzana maleńkimi diamentkami. Właściwie ta obrączka była prezentem na dziesiątą rocznicę ślubu i zastąpiła skromną złotą obrączkę, na jaką mógł sobie pozwolić w czasach, kiedy się żenił. Annie bardzo lubiła tę skromną złotą obrączkę. Nawet teraz czasami ją zakładała.

Drzwi windy rozsunęły się. Wyszły z niej dwie osoby z personelu medycznego, a za nimi niedbale ubrany mężczyzna - w dżinsach, w koszuli w kratkę i sztruksowej kurtce o szerokich, od dawna niemodnych klapach. Wyglądał świeżo - czysty i ogolony, ale jakiś ponury. Annie zastanawiała się, kogo mógł odwiedzać w tym szpitalu.

- Czy my znamy tego człowieka? - spytał Sam, wprowadzając ją do windy.

Annie próbowała wyrzec za nim na korytarz, ale drzwi windy już się zasunęły. - Nie sądzę.

- Wydawał mi się znajomy. Chyba już go tu widziałem. - Sam oparł się o ścianę, mocno przytulając do siebie Annie.

Podniosła na niego wzrok. - Dobrze się czujesz? Wzruszył ramionami.

- Martwisz się?

- Och, tak.

- Od dawna tu jesteś? - To mogło wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo chciał się przejść.

Ale odpowiedział. - Niezbyt.

Winda zatrzymała się piętro niżej, a potem zatrzymywała się na każdym kolejnym piętrze i wypełniała się ludźmi, dopóki nie zjechała na parter. Sam poprowadził Annie przez kory-

tarz i wahadłowe drzwi na patio, zastawione stolikami i krzesłami. Nie mogli znaleźć dwóch wolnych krzeseł przy żadnym ze stolików, więc Sam zabrał jedno krzesło od jednego stolika, drugie od innego i ustawił w możliwie najbardziej oddalonym od ludzi miejscu. Kiedy Annie usiadła, usadowił się obok, ale zaraz się poderwał i przesunął krzesło na trawnik, by być bliżej niej, prawie twarzą w twarz. Usiadł, wyprostował się na oparciu krzesła, ale uznał tę pozycję za niewygodną, więc nachylił się do przodu, łokcie oparł na udach i zaczął się wpatrywać w swoje dłonie.

Dotknęła jego ramienia w nadziei, że to mu się pomoże nieco uspokoić. - Przykro mi, że nie odebrałam żadnego z twoich telefonów. Poza Teke i Johnem ty najciężej to przeżywasz. Spędzałeś z Michaeliem tyle czasu.

- To nie sprawa czasu - odparł - ale więzi. Kocham tego dzieciaka. - Zmarszczył brwi. - Dziwna sprawa z tą miłością. Czasami tak paraliżuje człowieka.

To było dziwne oświadczenie w ustach Sama, jakiego znała. Sam, jakiego znała, był zawsze pozytywnie nastawiony do życia. I raczej rzadko wpatrywał się w swoje dłonie. - O czym ty mówisz? - spytała z niepokojem. Jej myśli zaczęły się rozbiegać, ale zdołała wziąć je w cugle.

- Czasami odbiera człowiekowi jasność myślenia. - Podniósł wzrok. - Wiesz, jaką sprawę ostatnio przygotowuje John?

Annie poczuła przypływ ulgi. A więc on mówił o Johnie. - Jaką?

- Chce zaskarżyć kierowcę tego samochodu, który potracił Michaela. Facet spędził jakiś czas w więzieniu, a to już wystarczy, by w oczach Johna być przestępcą na wieki. - Podniósł głos. - Ale to nie jest w porządku. Do diabła, wszyscy popełniamy błędy. Robimy różne rzeczy w ferworze namiętności. - Westchnął i ściszył głos. - Tak czy inaczej, John jest pewien, że możemy mu udowodnić złamanie prawa.

- A możecie?

- Nie, jeśli nie naruszył przepisów, a wygląda na to, że nie naruszył. Zanim wyszedłem z biura, dzwoniłem na policję. Nie mogą znaleźć przeciw niemu nic, oprócz tego wyroku sprzed lat. Wezwą go na przesłuchanie, żeby udobruchać Johna, ale nie mogą go oskarżyć bez powodu. Jest mi nieprzyjemnie z powodu tego faceta. Po prostu w niewłaściwym czasie znalazł się w niewłaściwym miejscu, tak samo jak Mike.

Popatrzył na trawnik, potem na Annie, a potem znów utkwiał wzrok w swoich dłoniach.

Jej niepokój powrócił. - Czy to o tym chciałeś ze mną porozmawiać?

Potrząsnął głową i nie przestawał się wpatrywać w swoje dłonie.

Co się dzieje, Sam? Powiedz mi, proszę. Mam do ciebie zaufanie. Absolutne zaufanie, myślała. - Dziś rano, kiedy już wychodziłam z domu, wstąpiła do nas Virginia Clinger - zaczęła.

Podniósł wzrok zbyt szybko, by Annie mogła zachować spokój ducha.

Przełknęła ślinę. - Virginia to trudna kobieta. Nigdy jej nie lubiłam. Uwielbia prowokować ludzi i stawiać ich w niezręcznej sytuacji.

- Co powiedziała?

Annie zamknęła oczy, by łatwiej jej było to wypowiedzieć. - Powiedziała - zaakcentowała to słowo - że kiedy wybiegliście na ulicę za Michaelem, Teke była tylko w szlafroku, a ty miałeś rozpiętą koszulę i spodnie. Najwyraźniej uszczęśliwia ją myśl, że masz romans z Teke. - Co, naturalnie, jest nieprawdą, dodała w myśli. - Oczywiście, powiedziała o tym wszystkim dzieciom, a te zaniósł nowinę do szkoły. Willowi Clingerowi przez cały dzień usta się nie zamykały. Dziewczynki były wściekłe.

Sam przymknął oczy.

Zimne palce dotknęły serca Annie. Pośpiesznie mówiła dalej: - Naturalnie, wszystkiemu zaprzeczyły. Jon o mało nie pobił Willa. To trudne dla dzieci, kiedy nagle inni zaczynają o nich szeptać i pokazywać ich palcami. Dzieci wystąpiły w naszej obronie. Nie wiem, co należałoby zrobić, Sam. Myślałam, że powinnam wieczorem pójść do Virginii i porozmawiać z nią. Może powinniśmy tam razem pójść. To, co zrobiła, nie jest w porządku. Nie byłoby w porządku i w innych okolicznościach, ale teraz, kiedy Michael jest w sypialni, to jest podwójnie złe. Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że takie plotki jak te przysparzają bólu?

Sam nie odzywał się.

Zimne palce oploty jej serce. - Przecież wszystko można wyjaśnić - powiedziała, nerwowo poszukując zaprzeczenia na jego twarzy. - Teke była w bieliźnie, ponieważ zajmowała się jakimiś pracami domowymi. Ty byłeś niekompletnie ubrany, bo właśnie byłeś w łazience. Wszyscy wiedzą, że dom Maxwellów to jakby przedłużenie naszego domu. Wchodzimy tam i wychodzimy. Każde z nas z własnymi kluczami nosi komplet kluczy do ich domu. Sama myśl, że Virginia próbuje rozdmuchać coś z niczego, może doprowadzić do furii. - Zgódź się ze mną, Sam, błagała w myślach. Powiedz, że to zła kobieta. No, powiedz coś. - To nie w porządku, że roznosi takie plotki. - Głos jej się załamał i zdjęta łęką urwała.



Ciągle z łokciami opartymi o uda, Sam uniósł jej dłoń i zamknął między swoimi. Jej dłoń poczuła chłód. Jego dłonie poczuły chłód. A zimna ręka zaciskała się wokół jej serca, aż trudno jej było oddychać.

- Wczorajszy ranek był niesamowity - powiedział ze spuszczonego wzrokiem. - Zadzwonił do mnie urzędnik z sądu i powiedział, że zostało wydane postanowienie, więc pognąłem po nie w te pędy. Ledwo mogłem czytać, tak mnie rozpierało podniecenie. I od razu czułem, że jestem gotowy, i tylko jedno miałem w myśli..

Spójrz na mnie, błagała w duchu. Ale nie spojrzał.

- Chciałem cię. Zawsze cię pragnę w takich chwilach, i myślałem, że tak wspaniale się złożyło, że to wtorek, więc będziesz w domu. Więc pojechałem do domu i już ledwo mogłem wytrzymać z podniecenia, a ciebie nie było. Pomyślałem, że Teke może wiedzieć, gdzie jesteś, więc poszedłem przez las. Ona właśnie siedziała w salonie i piła kawę. Kiedy jej powiedziałem nowinę, ucieszyła się z mojego sukcesu. Uściskaliśmy się, tak jak zawsze się ściskamy, ale wtedy coś się stało. Pragnąłem ciebie, a tam była ona, i chyba zapomniałem, kim ona jest, i zacząłem się z tobą kochać...

- Co? - Annie tylko tyle była zdolna wypowiedzieć na ostatniej słabej strużce oddechu, która zdołała umknąć przed lodowatym chłodem rozlewającym się w jej ciele.

- To było takie nierzeczywiste i dziwaczne...

Annie zaczęła drżeć. Próbowwała wyciągnąć rękę z dłoni Sama, ale on trzymał ją mocno, całą drżącą. Trzęsła się na całym ciele. Czuła, że za chwilę rozpadnie się na drobniutkie kawałki.

Błagalnie podniósł wzrok. - Nie przestaję sobie zadawać pytania, jak to się stało, co ja myślałem i czułem, i jak mogłem zrobić coś tak głupiego, ale - Bóg mi świadkiem - myślałem o tobie i czułem ciebie. Ale to się stało w innym ciele, i już było po wszystkim, i wtedy trzasnęły drzwi. Michael musiał wejść, zobaczyć nas i wybiec z powrotem. Potem usłyszeliśmy pisk hamulców. To był błąd, Annie. Kocham ciebie, nie Teke. To, co się zdarzyło w jej salonie, nic nie znaczy.

Czy to prawda? Nie może być. Sam ją kochał. Miała do niego absolutne zaufanie. Czy to prawda? Jej oczy napełniły się łzami.

- Powiedz coś - szepnął. - Powiedz, że jestem mendą. Powiedz, że jestem oszustem. Powiedz, że nie zasługuję na moją rodzinę. Powiedz, że jestem beużytecznym śmieciem. Tylko się odezwij.

Chcąc uciec przed tym, co powiedział, wymazać jego słowa, znów próbowała wyciągnąć swoją rękę z jego dłoni, ale jej nie wypuścił. Pozostawiła ją więc bezwładną. Drżała bardziej niż kiedykolwiek.

Mówił dalej: - Czuję do siebie wstręt i ciężko mi wytrzymać z samym sobą. Nie mogę usiedzieć w miejscu. Cały rano spacerowałem po mieście. Zatrzymywałem się przy każdej budce telefonicznej, żeby do ciebie zadzwonić. - Umilkł na chwilę. - Odezwij się do mnie, Annie.

Poczuła, jak po jej policzku potoczyła się łza, potem druga, gorąca i niemal nierealna na jej zmrożonej chłodem skórze. - Kochałeś się z Teke? - szepnęła z niedowierzaniem. Sam nie mógłby tego zrobić. Nie jej Sam.

- Teke jest moją najlepszą przyjaciółką. Jest żoną twojego najlepszego przyjaciela.

- Kochałem się z tobą, ale to było jej ciało, i wykorzystałem je.

Annie próbowała się uporać z tą myślą. To nie miało sensu. - Ale jakim cudem? Trudno nas pomylić. Jej ciało nie jest absolutnie podobne do mojego.

- Nie patrzyłem. Bóg mi świadkiem, że byłem jak ślepy. Myślałem tylko o swoim wielkim zwycięstwie i że chcę dzielić radość z moją żoną.

- Ale to nie byłem ja, tylko Teke! - krzyknęła. Podbródek jej drżał. Jej Sam nie mógłby tego zrobić.

- Nie rozumiem tego. Myślałam, że jest nam razem dobrze.

- Jest nam dobrze - przyznał. - To nie nasz związek jest problemem, tylko ja. Ja. To ja zrobiłem głupstwo. To mój mózg chyba przestał pracować. To ja dopuściłem do tego, żeby moje pożądanie przepłynęło na inną kobietę.

Jej mina wyrażała zagubienie w tym absurdzie.

- Na Teke?

- Przyszedłem do ich domu pragnąc ciebie. Była tam Teke, która pragnęła kogoś innego. I to się stało.

- Jak to się mogło stać?

- Nie wiem...

Opadła z sił. Kiedy tym razem spróbowała wyszarpnąć swoją rękę z jego dłoni, wypuścił ją. Otarła łzy z policzka i przycisnęła ręce do żołądka. Jak skamieniała patrzyła w przestrzeń. Lodowata dłoń wyciskała z jej serca rozpacz. Była przybita i zmieszana. - Nigdy nie sądziłam, że mi się to przydarzy. Nie mnie.

- To był błąd. Mój błąd.
- I Teke - powiedziała, czując skurcz bólu. - Jak ona mogła?
- Już poniosła za to karę.
- Była moją najlepszą przyjaciółką.
- Ciagle nią jest. Kocha cię. Ja cię kocham.

Annie napotkała jego wzrok, ale wyglądał jakoś inaczej. Był inny. Obcy. Z pewnością obcy. Jej Sam nigdy by jej nie zranił w taki sposób. Opanowując się zadała rozsądne pytanie: - Czy John wie?

- Nie.
- Powiesz mi.
- To sprawa Teke.
- Powinna się pośpieszyć, zanim Virginia to zrobi.

- Przymknęła oczy i osłoniła je dłonią. Drugą rękę nadal przyciskała do żołądka. Wydawało jej się, że tylko tak może powstrzymać swe ciało, by nie rozpadło się na kawałki. Nie umiała się opanować. - Boże - szepnęła.

- Czuję się okropnie.
- Nie gorzej niż ja.
- Co ja mam zrobić?
- Daj mi szansę, żeby to naprawić.

Poczuła gwałtowny przyływ wściekłości na tego mężczyznę, który był jej Samem, a jednak już nim nie był.

- Naprawić? Zdradziłeś mnie i zdradziłeś swojego najlepszego przyjaciela rzucając się z moją najlepszą przyjaciółką! Teraz ich syn walczy o życie, a ty chcesz to naprawić?!

Nie mogąc już siedzieć ani chwili dłużej, poderwała się z krzesła i gniewnie kroczyła przez trawnik.

- Dokąd idziesz? - zawołał Sam, idąc za nią. W jego głosie brzmiało przerażenie. - Do Michaela?

- Nie. Nie chcę widzieć Teke.

Teke. Jej najlepsza przyjaciółka. I Sam. Jej mąż.

- Wybierasz się do domu?

- Nie wiem. - Odwróciła się do niego ze świeżymi łzami w oczach i powiedziała zbolonym głosem: - Muszę pomyśleć. Nie mam, to znaczy do tej pory nie miałam doświadczeń z... Nie wiem, co mam robić.

- Pójdę z tobą.

- Nie! - To jedno wiedziała na pewno. - Nie chcę! - I odbiegła.

Pobiegł za nią. - Jesteś przygnębiona. Nie powinnaś być sama.

- Ale ja jestem sama! - wykrzyknęła i po raz ostatni odwróciła się do niego. Znowu cała drżała. - Najstraszniejsze w tym wszystkim jest to, że od dnia, kiedy się poznaliśmy, myślałam, że jesteś człowiekiem, który wie, co myślę i czuję. Dałam ci całą siebie. Wierzyłam ci całkowicie. Wierzyłam ci! - Zaczęła płakać.

- Annie...

Odwróciła się i pobiegła przed siebie.

- Kocham cię, Annie!

Biegła szybciej i coraz szybciej, nie zważając na szloch, który dobywał się z jej gardła, ani na łzy płynące jej z oczu. Wiedziała tylko, że jeśli stąd ucieknie, wszystko, co powiedział, może jednak nie być prawdą.

\* \* \*

Sam nerwowo ruszył za nią, ale wkrótce się zatrzymał. Była drobna, delikatna i czasami miała skłonności do dramatyzowania, ale potrafiła wziąć się w garść. Może trochę pospaceruje po okolicy albo weźmie samochód i pojedzie przed siebie, ale nie zrobi niczego nierozsądnego.

Chciał z nią być. Rozpaczliwie tego chciał. Ale był ostatnim człowiekiem, którego chciałaby widzieć. To on sprawił jej ból, więc musiał uszanować jej życzenie.

Przytłoczony, jakby dźwigał na sercu młyńskie koło, ruszył powoli w kierunku szpitala. Zatrzymał się w połowie drogi, gdy zauważył zaparkowany pod szpitalem wóz policyjny z Constance. Pochłonięty swą ponurą spowiedzią, musiał nie zauważyć, jak nadjechał radiowóz.

Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to, że coś się stało Annie, ale przecież wciąż jeszcze mógł dostrzec jej oddalającą się sylwetkę. Druga myśl, jaka przyszła mu do głowy, to, że przyjechali tu po niego - tak wielkie miał poczucie winy. W następnej kolejności pomyślał, że coś się przytrafiło Maxowi. Miał nawet przed oczami wizję jakiejś poważnej kontuzji w meczu futbolowym albo wypadku samochodowego. Już miał wbiec do środka i zapytać, kiedy z budynku

szpitalnego wyszło szybkim krokiem dwóch policjantów, prowadząc między sobą człowieka, którego Sam widział wcześniej wysiadającego z windy i który wydał mu się tak znajomy.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że człowiek ten jest łudząco podobny do kierowcy pickupa, który potrącił Michaela.

## Rozdział 4

Życie przyzwyczało Grady'ego Pipera spodziewać się wszystkiego, co najgorsze. Nigdy nie miał dzieciństwa, które mógłby wspominać, ani nie zaznał prawdziwego domu, ani też nie doświadczył ludzkiego ciepła, oprócz tych paru skradzionych chwil z Teke, a nawet i to mu odebrano. Przez lata żył z dnia na dzień, bez żadnych planów i bez marzeń.

Niczego nie oczekując, nie mógł być zraniony. A przynajmniej tak sądził, tak samo jak sądził, że po tym piekle, które przeszedł, nie może mu się zdarzyć już nic smutniejszego. Był twardy jak stal. Przynajmniej tak sądził. Było też faktem, że ten wypadek wprowadził go w stan kompletnego roztrzęsienia. Był do głębi wstrząśnięty, kiedy myślał o tym małym chłopcu, a zdruzgotany, gdy myślał o Teke.

- Problem tkwi w tym - wyjaśniał policjant, kiedy usiedli w pokoju przesłuchań, wypożyczonym na komisariacie kilka przecznic od szpitala - że Constance jest bardzo ekskluzywnym miejscem i jeżeli przez nasze miasto przejeżdżają cieśle, to zwykle mają jakiś cel. Chcemy się dowiedzieć, jaki pan miał cel.

Grady próbował zachować spokój. Mówił sobie, że to zwykłe przesłuchanie, a gliniarze tylko robią to, co do nich należy, że nie złamał prawa i nie może być o nic oskarżony. Ale ciągle czuł narastający dreszcz przebudzonego z długiego snu lęku. Już raz doświadczył bezwzględności prawa i ten koszmar powracał do niego nawet w tak niewinnych chwilach jak wtedy, gdy za wycieraczkami samochodu znajdował żółtą karteczkę z informacją, że przekroczył czas parkowania.

- Nie miałem konkretnego celu - powiedział. Nie mógł przecież powiedzieć, że jechał szukając Teke. To wywołałoby całą falę dalszych pytań i mogłoby przysporzyć Teke kłopotów. Bóg jeden wiedział, ile już ich miała. - Po prostu jechałem ulicą.

- I czego pan szukał? - spytał policjant.

- Pracy. Zamożni ludzie zawsze coś reperują albo odnawiają.

- Ale dlaczego wybrał pan Constance? Miasto nie leży przy autostradzie i trudno przypuszczać, że będzie tu szukał pracy cieśla, który przyjeżdża z Maine. Ale ma pan rację. U nas mieszkają zamożni ludzie. Złodziej miałby tu czego szukać.

Grady spojrzał temu człowiekowi prosto w oczy. - Nie miałem zamiaru nikogo okraść. Prowadzę własny interes. Jechałem wolno. Chłopiec wybiegł zniechceni. Hamowałem najszybciej jak mogłem, ale doszło do wypadku. Rozmawiałem z panem na miejscu wypadku, a potem na posterunku w Constance. Powiedziałem panu, gdzie będzie można mnie znaleźć i znalazł mnie pan. Jak do tej pory, nie okłamałem pana.

- Ale nasuwa się pytanie, czy mówi pan całą prawdę? - powiedział policjant i podszedł do niego. - Siedział pan w więzieniu. Wiemy o tym. I wiemy, że odsiedział pan wyrok. A teraz, nie sądzi pan, że mamy prawo dowiedzieć się, co robi morderca jeżdżąc po ulicach naszego miasta?

Grady wiedział, że się o tym dowiedzą. Chłód w jego ciele nasilał się. - Odsiedziałem swoje. Jestem na wolności już od czternastu lat.

- Ale to nie zmienia tego, kim pan jest - odezwał się drugi policjant i przybliżył się do niego z rękami opartymi na biodrach. Jedna ręka była niebezpiecznie blisko rewolweru. - Constance to miłe, spokojne miasto, panie Piper. Bezrobotni cieśle nie robią sobie tutaj przejażdżek po ulicach. Nie przesiadują w naszych kawiarniach. I nie śpią na ławkach w naszym parku.

- Niewinnie postukał palcami o futerał rewolweru.

- A gdzie pan spał ostatniej nocy?

Grady czuł, że policjant to wie, jednak odpowiedział:

- W motelu na obrzeżach miasta.

- Dlaczego?

- Nie znalazłem innego miejsca.

- Ale dlaczego w ogóle pan został?

- Z powodu chłopca. Mówiłem już panu. Nie wyjadę, dopóki się nie dowiem, co z nim jest.

- Więc już pan się dowiedział. Czy teraz pan wyjedzie? Grady potrząsnął głową.

- Dlaczego nie?

W pierwszej chwili Grady poczuł ukłucie gniewu. Może i kiedyś zamordował człowieka, ale nie jest skurwysynem bez serca. - Ponieważ chłopiec jest nieprzytomny. Nie mogę wyjechać, dopóki z tego nie wyjdzie.

- Może być nieprzytomny jeszcze przez jakiś czas. Grady wzruszył ramionami. Zostanie tak długo, jak będzie trzeba.

- Wystarczy panu pieniądze, żeby tak długo wynajmować pokój w motelu?

- Mam pieniądze.

- A skąd je pan ma?

Nozdrza Grady'ego zaczęły się wydymać z gniewu. Gniew narastał i zaczął już rozgrzewać lodowaty chłód, zalewający wnętrzności Grady'ego. - Czy jestem aresztowany?

- Skąd ma pan pieniądze?

Grady zwrócił się do drugiego policjanta. - Czy jestem o coś oskarżony?

Tamten nie odpowiedział i wzrokiem przywołał swojego partnera do porządku. Kiedy przeniósł spojrzenie na Grady'ego, wszyscy się nieco uspokoiili. - O ile wiemy, nie naruszył pan prawa. Jednak musi pan zrozumieć nasze położenie. Constance to specyficzne miasto. Wiadomo, co się zdarzyło, ale nie wiadomo, co się mogło zdarzyć. U nas nie ma handlarzy narkotyków przed szkołami. Nie ma chuliganów na ulicach. Nie notuje się gwałtów. Ani nie ma w tym mieście morderców.

Grady nie spuścił wzroku. To nie znaczy, że nie zastanawiał się, ilu mieszkańców tego zamożnego miasta było oszustami podatkowymi, czy zdradzało swoje żony. Przez lata miał wielu bogatych klientów i wiedział, co tacy ludzie wyczyniają.

- Całe miasto jest zmartwione tym - mówił policjant dalej - co się wczoraj przydarzyło chłopcu Maxwellów. Wszyscy chcą wiedzieć, co się stało, żeby coś takiego nie przydarzyło się po raz drugi.

- Mówiłem panu, co się stało.

Gniew Grady'ego zaczynał przerastać strach. Pieprzę wszystkich mieszkańców miasta, chciał powiedzieć. To jest wolny kraj. Jeśli chcę jeździć po ulicach waszego pieprzonego miasta, to mogę to robić ile dusza zapagnie. Jednak zdążył się już nauczyć, jaki skutek przynoszą takie odpowiedzi, szczególnie na policji. Mogli zgnoić człowieka, jeśli tylko mieli ochotę.

Więc rozważnie rozluźnił twarz, rozważnie wziął głęboki oddech i rozważnie starał się wyrzucić gniew ze swoich myśli, kiedy mówił spokojnie: - Rozumiem wasz problem, ale ja nie mogę stąd wyjechać, dopóki stan zdrowia chłopca się nie wyjaśni. Nie wyrządę nikomu szkody i nie chciałem wyrządzić nikomu szkody, kiedy to się stało. Jeśli ktoś martwi się o tego chłopca, to przede wszystkim ja.

- Pogarsza pan sprawę - wtrącił policjant.

Grady zmierzył go zimnym spojrzeniem. - Dostałem wyrok za zabójstwo. Odsiedziałem swoje. Skończył się już okres warunkowy. Od czternastu lat jestem czysty. Chcecie wiedzieć, skąd mam pieniądze? - Nie miał nic przeciwko temu, żeby to powiedzieć, w ogóle nie miał nic przeciwko temu, jak długo był to akt jego dobrej woli, a nie przymus. - Zarobiłem te pieniądze. Zacząłem pracować na budowach, od świtu do nocy. I wtedy poznałem stolarza, któremu najwyraźniej się spodobałem. To był pierwszy miły człowiek, jakiego spotkałem, poza moim ojcem. Przez pięć lat uczył mnie, jak wejść na rynek.

- Ukradłeś mu klientów?

- Płaciłem mu procent od każdego klienta - powiedział Grady zdecydowanie. - Nawet kiedy był już bardzo chory na raka, a ja miałem własnych klientów, płaciłem mu. A potem opłaciłem jego pogrzeb. Miałem trochę innych wydatków, ale nie tak wiele, więc mam pieniądze w banku. Nie muszę ich kraść w waszych domach. Nie muszę sprzedawać narkotyków waszym dzieciom. I gdybym nawet chciał mieszkać w tym motelu na obrzeżach miasta przez dwa lata, mogę zapłacić rachunek z góry. Ale nie zrobię tego. Ten motel nie jest tego wart. Nawet ja mieszkałem już w przyjemniejszych miejscach. - Podniósł się i spojrzał prosto w twarz jednemu z policjantów, który wyglądał na zdumionego. - Macie jeszcze jakieś pytania?

Policjant potrząsnął głową.

- Mogę wyjść?

- Podwieziemy pana z powrotem do szpitala - rzekł policjant i zaczął się podnosić, ale Grady powstrzymał go gestem.

- Przejdę się. - Nawet nie spojrzawszy na drugiego policjanta, wyszedł z pokoju. Szedł przez korytarz wstrzymując oddech, jakby się spodziewał, że w każdej chwili zawołają go z powrotem. Powstrzymując nagłą chęć, żeby stamtąd jak najszybciej wybiec, zszedł schodami na parter, a gdy znalazł się przy drzwiach, pchnął je i wyszedł na zewnątrz. Zatrzymał się na chwilę na kamiennym stopniu przed budynkiem, wciągając głęboko do płuc powietrze, które, chociaż zanieczyszczone wylęgami tysięcy samochodów, wydawało mu się świeże i pachniało wolnością. Potem skierował się w stronę szpitala, a nogi niosły go przed siebie tak pewnie, jak wczoraj zdecydowanie naciskały na hamulec.

Kiedy mijał go radiowóz z Constance, trzymał głowę wysoko i patrzył prosto przed siebie. A kiedy już zniknął z pola widzenia, a komisariat policji był na tyle daleko, że Wielki Brat nie mógł czytać jego myśli, pomyślał o całej prawdzie. A cała prawda była taka, że stan chłop-



ca stanowił tylko jeden z powodów, dla których nie mógł stąd wyjechać. Drugim powodem była Teke. Musiał pójść zobaczyć się z nią. I nie mógł wyjechać, dopóki tego nie uczyni.

\* \* \*

Oświetlona postrzępioną księżycową poświatą, Annie ścisnęła ramionami kolana i siedziała jak przyrośnięta w swoim szerokim fotelu przy oknie. Spacer jej pomógł. Zwalczył mrozący chłód wewnątrz i rozproszył ból. Jednak zakłopotanie trwało, tak samo jak niedowierzanie. Była zbyt zmęczona, by wymazać z siebie te uczucia.

- Mamusiu? - doszedł słaby głosik zza drzwi.

Poderwała się przestraszona. Zwykle, nawet z drugiego piętra, słyszała wszystkie odgłosy z domu, a teraz nie zauważyła, jak samochód wjeżdżał do garażu. Każda komórka jej mózgu była udręczona.

Lekko jak zefir Zoe przepłynęła przez drzwi. - Gdzie byłaś? - szepnęła, przytulając się do Annie. - Tak się martwiliśmy.

- Musiałam wyjść - Annie odpowiedziała szeptem.

- Tatuś powiedział, że byłaś bardzo przygnębiona.

- Dowiedziałam się czegoś nieprzyjemnego. I tak nie mogłabym w niczym pomóc. - Ciało miała tak zeszywniałe, że nie była w stanie naprawdę przytulić córki. - Co z Michael'em?

- Bez zmian.

Miała zamiar zapytać o Teke, ale nagłe smagnięcie bólu powstrzymało słowa. - Wszyscy jakoś się trzymają?

- Tak.

- Jedliście kolację?

- Mhm. Poszliśmy do włoskiej restauracji koło szpitala. John był nie w sosie.

Annie sercem była z Johnem. Był zdradzony, tak samo jak ona. Będzie się czuł gorzej niż nie w sosie, kiedy pozna prawdę. Nawet nie umiała sobie wyobrazić jego wściekłości. A jaki będzie wściekły na Sama. Od tylu lat byli przecież najlepszymi przyjaciółmi. Jakie to tragiczne.

- Dlaczego John był nie w sosie? - spytała.

- Kierowca tego samochodu przyszedł do szpitala, żeby zobaczyć Michaela.

- To bardzo ładnie z jego strony.

- Ja też tak myślę, ale nie John. Był wściekły.

- Powiedział coś temu kierowcy?

- Nie. Ten facet wyszedł, kiedy wróciliśmy z kolacji. Jedna z pielęgniarek wspomniała, że tam był - ona też uważa, że to miłe z jego strony. Myślę, że gdyby nie to, że ten facet wyszedł parę minut wcześniej, John pognałby za nim. A tak, to tylko pielęgniarka urządził przesłuchanie. Kiedy powiedziała, że ten facet był tam już wcześniej, myślałam, że John roznieście cały pokój. Ale pielęgniarka powiedziała, że on tylko stał na korytarzu i patrzył na Michaela. Nigdy nie był długo i nigdy nie wchodził na salę. Powiedziała, że stykała się już z czymś takim po wypadkach i że ten kierowca pewnie strasznie się czuje z powodu tego, co się stało.

- A co na to powiedział John?

- Powiedział, że ten człowiek to nie jest łagodny baranek, a do szpitala przychodzi tylko na pokaz. Jana myśli tak samo. Uważa, że ten facet powinien się trzymać z daleka.

- Ale przecież to nie jego wina.

- Powiedziałam to Janie, ale ona mówi, że jeśli nawet facet nie złamał prawa, to gdyby patrzył, gdzie jedzie, nie wpadłby na Michaela.

- Ale on nie wpadł na Michaela. To Michael wpadł na niego - powiedziała Annie i westchnęła z bólem. Michael wpadł prosto pod samochód, bo wybiegł z domu na oślep, ponieważ zobaczył Sama i Teke, którzy... którzy...

- Właśnie to jej powiedziałam - mówiła dalej Zoe - a Jana wściekła się na mnie. Powiedziała, że jestem nielojalna w stosunku do Michaela.

Kochali się? Uprawiali seks? Kopulowali? Annie nie widziała, jak to nazwać. Każde słowo wprawiało ją w takie samo przygnębienie. Sam i Teke? To tak bardzo bolało.

- Naprawdę jestem nielojalna? - pytała Zoe.

Nie ty jesteś nielojalna, słoneczko, pomyślała Annie, patrząc na uniesioną twarz córki. Wątle światło księżyca domalowywało na tej twarzączce jeszcze więcej bólu.

- Nie - szepnęła Annie, mocno przytulając Zoe. Czowała, że za chwilę się rozplacze, choć było to dla niej zaskoczeniem. Sądziła, że wyplakała już wszystkie łzy.

- Mamusiu?

Annie przytuliła ją mocniej. Po chwili powiedziała przez ściśnięte gardło: - To wszystko jest przygnębiające.

- Dobrze się czujesz? - spytała przerażona Zoe.

- Jestem tylko trochę rozbita.

- Mamo? - doszedł następny, silniejszy głos, zanim w księżycowym mroku zmaterializowała się sylwetka Maximiliana. - Dlaczego siedzicie tutaj po ciemku?

Annie otarła łzy grzbietem dłoni. - Chciałam trochę pomyśleć. To wszystko.

- Dlaczego tak nagle wyszłaś ze szpitala?

- To wszystko spadło na mnie tak nagle.

- Wszyscy się martwiliśmy, a szczególnie Teke. Tata powiedział, że chyba pojechałaś do domu, ale nie był pewien.

Annie wtedy też nie była pewna, czy to zrobi. Wyjechała ze szpitala, prowadząc na oślep, płacząc do woli, nie mając żadnego celu przed sobą, chcąc jedynie uciec przed prawdą. Wyobrażała sobie, że będzie tak jechać i jechać, dopóki zupełnie nie zniknie z powierzchni ziemi. Jednak jej dłonie coraz szybciej obracały kierownicą na znajomych zakrętach, aż wreszcie znalazła się w domu. I to było właściwe miejsce. Bez względu na to, jak cierpiała przez Sama, były jeszcze dzieci.

- Przyjechałam tutaj - rzekła, uśmiechając się przez łzy. Wyciągnęła rękę do Maxa i objęła go w pasie, gdy nachylił się, by ją pocałować. Takie dzieci są błogosławieństwem, szczególnie teraz.

Szczególnie teraz, powtórzyła w myśli. Łzy znowu popłynęły, gdy tylko przed oczami zobaczyła obraz Teke i Sama razem. Żołądek się w niej wywracał i przez chwilę myślała, że wymiotuje. Tyle że już wcześniej wymiotowała i w żołądku nie pozostało dosłownie nic.

Pociągnęła nosem i zdołała uporać się ze łzami. - Przepraszam. Jest mi ciężko.

- Michael wyzdrowieje - zapewnił ją Max.

- Wiem. - Jeszcze raz na zakończenie uściśnęła Zoe i Maxa. - Idźcie na dół - powiedziała.  
- Będę tam za chwilę.

Max wyszedł, ale Zoe najwyraźniej się ociągała. - Na pewno dobrze się czujesz, mamo?

- Mhm - skłamała Annie.

- W samochodzie wyglądałaś dobrze i wydawało mi się, że nic ci nie było, kiedy Wyszliśmy do Michaela na sale. A potem wyszłaś przejść się z tatą. Czy to przez ten szpital? Przez tę całą aparaturę?

- Coś w tym rodzaju.

- Będziesz w stanie zawieźć nas tam jutro?

Annie próbowała sobie wyobrazić, jak jutro wstanie i będzie robić to co zwykle. Ale teraz nic nie było tak jak zwykle. I już nigdy nie będzie.

- Zobaczymy - szepnęła, a potem poczuła wyrzuty sumienia, że powiększa niepokój Zoe, więc dodała: - Spróbuję. W porządku?

- W porządku - odparła szeptem Zoe. - Mamo? Jeszcze myślę o Janie. Wiem, że to wszystko przez to, że Michael jest nieprzytomny, Teke wygląda jak zombie, a John jest taki spięty, ale to, co powiedziała, to nie w porządku. Może mogłabyś z nią porozmawiać? Powiedz jej, że nie jestem nielojalna.

Annie przyglądała jasne loki na czole córki. - Powiem jej.

Zoe pocałowała ją. Była już za drzwiami, kiedy Annie usłyszała, jak mówi: - Ona przepada za tobą.

Annie znów odwróciła się do okna. Bez zapalonych świateł na szybach nie było widać cienia. A za nimi była jasna gwiazdzista noc, zimna jak ten wewnętrzny chłód, który doprowadził Annie do drżenia, i w swym okrutnym pięknie nieczuła na ten wstrząs, jakiego dzisiaj Annie doznała.

- Dobrze się czujesz? - spytał Sam cicho. Przygryzła wargi, żeby się nie rozplakać. Czekal. - Martwiłem się.

No i dobrze, pomyślała Annie. Zasłużyłeś na to.

- Przyjechałaś prosto tutaj?

- Nie - odpowiedziała.

- Jeździłaś po mieście?

Przycisnęła dłoń do policzka i zaczęła nakręcać na palce kosmyki włosów okalających jej twarz. Chciała, żeby zostawił ją samą. Jego obecność drażniła świeżą ranę.

- Jadłaś kolację?

- Zwymiotowałam obiad. Kolacja byłaby katastrofą.

- Annie, przepraszam cię. Już odchodzę od zmysłów zadając sobie pytanie, jak mogłem coś takiego zrobić i próbuję się zastanawiać, w jaki sposób to wszystko naprawić. Nawet nie masz pojęcia, jak strasznie się czuję.

Annie zakryła oczy dłonią. Czowała, że zaczyna jej dokuczać migrena.

- Teke wie, że ty wiesz - powiedział. - Czuje się tak samo strasznie jak ja.

Teke. Jak on mógł to zrobić z Teke? Annie zadawała sobie to pytanie po raz nie wiadomo który. Ostatecznie, jeśli musiał ją zdradzić, mógł sobie poderwać kogoś, kogo nie znała. Czyż nie tak większość mężczyzn organizuje sobie drugie życie, nie mające związku z domem? Może to byłoby łatwiejsze do zniesienia. A może i nie. Zdrada to zdrada.

- Odezwij się do mnie, Annie. Zawsze ze sobą rozmawialiśmy.

- To prawda. I byliśmy sobie wierni.

- Jeden raz. To wszystko. Zrobiłem to tylko raz. Pięć minut, może nawet mniej.

Chrząknęła. - Zawsze umiałeś być szybki, jeśli tylko chciałeś.

- Annie...

Nie była w stanie dłużej powstrzymać wybuchu. - Jak mogłeś? Wzięliśmy ślub, Sam! Przysięgaliśmy sobie wierność!

- Nie zaplanowałem tego.

- I to z Teke! Z moją najlepszą przyjaciółką! Jak mogłeś? - Zadawała sobie to pytanie raz po raz i nie mogła przestać. Myśl, że Sam jest zakochany w Teke, była zbyt bolesna, by ją mogła wziąć pod uwagę, więc zapytała: - Czy to chodzi o jej wygląd?

- Jasne, że nie!

- Ma w sobie jakiś wabik? Czy po prostu korciło cię to przez tyle lat, że musiałeś zaspokoić ciekawość?

- Annie, Bóg mi świadkiem, że nie było żadnego racjonalnego powodu. Byłem szalony. Opętany. Jeślibyś mnie zapytała o jakieś szczegóły, nie umiałbym ci nawet nic powiedzieć. To było bez udziału świadomości.

- Miałeś orgazm? - Ten brzydki drobiazg przykuł jej uwagę, był jej niezbędny do uzyskania pełnego obrazu tego, co się zdarzyło.

- Co?

- Słyszałeś. - Gdyby miała to powiedzieć jeszcze raz, zakneblowałyby sobie usta.

Sapnął. - Tak, miałem. Zawsze mam orgazm, kiedy jestem z tobą, a w myślach byłem z tobą.

- Jak śmiesz tak mówić?! - krzyknęła. - Uważasz mnie za idiotkę?!

- Ciii...

Ściszyła głos. - Powinieneś był też pomyśleć o dzieciach. Co one sobie pomyślą, kiedy się dowiedzą?

Sam westchnął. - Pomyślą, że jestem łajdakiem, i będą miały rację. Pomyślą to samo co ty. Annie, musimy o tym porozmawiać. Nie wiem, jak mam sobie z tym poradzić. Jutro wrócą do szkoły i nazwą dzieciaka Clingerów kłamcą. Czy powinienem teraz powiedzieć im prawdę? Czy powinienem poczekać? Co mam zrobić?

Annie nie wiedziała. Usiłowała oddzielić osobistą udrękę od reszty problemu. Odezwała się cicho: - To będzie dla nich takie bolesne.

- I będą źli, i zażenowani, tak jak musiał być Michael. Gdybym czuł, że mogę im tego oszczędzić, zrobiłbym to. Poprosiłbym Teke, żeby im nic nie mówiła. Poprosiłbym Johna, żeby im nic nie mówił. Ale jest jeszcze Michael. Kiedy się obudzi, na pewno coś powie.

Jeśli się obudzi, pomyślała Annie z lękiem, a głośno powiedziała: - Jeśli będzie pamiętał.

- I jest jeszcze Virginia. To dopiero utrapienie.

Po raz pierwszy, od kiedy poznała prawdę, Annie stanął przed oczami obraz Virginii rozpowiadającej przed całym miastem, że Sam i Teke mają romans. To było okropne nawet wtedy, gdy jeszcze myślała, że to kłamstwo. Teraz było znacznie gorsze. Teraz całe miasto dowiedziało się, że Annie nie umiała zadowolić swojego męża. Zamarła z lęku i upokorzenia. Ściskając dłońmi głowę, jęknęła. Kiedy ręka Sama otaczała jej ramiona, cofnęła się, kuląc się w kącie fotela. Odstąpił o krok. - Porozmawiam z nią.

- To nie przyniesie niczego dobrego. Pomyśli, że próbujesz coś ukryć. Musimy razem z nią porozmawiać. To będzie lepiej wyglądało. - Znowu wydała z siebie jęk. - Nigdy nie podejrzewałam, że będę kłamać z obawy, co ludzie sobie pomyślą, ale nie widzę innego wyjścia. Trzeba powiedzieć Virginii, że nie masz romansu z Teke.

- Bo nie mam - obwieścił Sam.

Zmierzyła go wzrokiem i powiedziała smutno: - Nie baw się w słówka, Sam.

- Nie bawię się w słówka. Romans oznacza jakąś ciągłość, a ja byłem z Teke raz, przez parę minut. To było bezmyślne i w konsekwencji odrażające, i nigdy więcej to się już nie zdarzy. Więc nie wiem, jak można naginać fakty, żeby nazwać tę sytuację romansem.

Annie wzruszyła ramionami. - Nazwij to, jak chcesz.

- Annie.

- Obojętnie, jak to nazwiesz, to jest wstrętne.

- Było. Czas przeszły. To minęło. - Szybko nabrał powietrza w płuca. - Dobrze wiesz, że gdybyś była w domu, to by się nigdy nie zdarzyło.

Wpatrywała się w niego oszołomiona. - Mnie za to winisz?

- Tylko ciebie pragnałem, ale nie było cię. Ganiałem po całym domu i szukałem cię. Kiedy biegłem przez las, już cię widziałem, jak siedzisz u Teke, ale tam cię też nie było.

- A ty nie mogłeś poczekać? Byłeś tak zdesperowany?

- Mogłem, ale to się stało tak szybko. Zanim zauważyłem, że coś się zaczyna, był już koniec, no i Michael...

Annie przycisnęła twarz do kolan. W ciszy, która nastąpiła, wyobrażała sobie Sama przeczesującego ręką włosy. Z taką zmierzwioną fryzurą był jeszcze przystojniejszy. To nie w porządku. Powinien wyglądać jak potwór. Przynajmniej trochę.

- Co za zamieszanie - wymamrotał.

- Może to było nieuniknione.

- Co?

- Ta cała zażyłość między naszymi rodzinami. - W poszukiwaniu wyjaśnienia uchwyciła się tego powodu.

- Może to było niezdrowe.

- Nie byliśmy w aż takiej zażyłości.

- Byliśmy ze sobą wystarczająco blisko, żeby kupić do spółki dwa domy na wakacje. Co z tym zrobimy?

- Nie wiem. - Umilkł. - Nie myślałem o tym.

- Znowu przerwał na chwilę. - Wiele zależy od tego, jak sprawy ułożą się między nami, Annie. Kocham cię i nie chcę, żeby nasze małżeństwo się rozpadło.

Lęk, który usłyszała w jego głosie, chwycił ją za serce. Mówiła sobie, że musi to zignorować, ale nie było to łatwe - tak bardzo kochała Sama. Jednak to nie zmieniało faktu, że zdradził jej zaufanie i ich związek nigdy już nie będzie taki jak przedtem.

Ta myśl wywołała nową falę płaczu.

- Annie... - Objął ją. Wyrwała się. - Nie!

- Chcę cię dotknąć.

- Tak jak dotykałeś Teke? - chlipnęła.

- Tak jak dotykam ciebie. Jesteś inna niż wszystkie kobiety. Twój wygląd jest inny, twoje uczucia są inne, twój zapach jest inny, twój smak...

Zakryła uszy rękoma.

Odsunął jej dłonie z uszu, przyklękając na brzegu fotela. - Twój smak jest inny.

- Skąd wiesz? - krzyknęła przez łzy. - Wydawało mi się, że mówiłeś, że nic nie widziałeś ani nie czułeś, kiedy byłeś z Teke. Skąd wiesz, że jestem inna?

- Jesteś jedyną kobietą, która mnie podnieca.

- Zawsze tak sądziłam, ale myliłam się. Ja myślałam jedno, ty czułeś co innego.

- Nieprawda - zaprotestował gorąco i westchnął.

Ściskając jej nadgarstki, powiedział w swojej obronie:

- Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, Annie. Będę spał na kanapie, jeżeli nie możesz znieść spania ze mną w jednym łóżku. Oddam ci klucze do domu Maxwellów, żebyś wiedziała, że sam tam nie pójde. Nawet mogę pójść do psychiatry, jeśli chcesz.

- To by nie przyniosło żadnego pożytku - Zaszlochała. - Jesteś najbardziej zdrowym na umyśle człowiekiem, jakiego znam. I to jedna z tych rzeczy, przez które to wszystko jest jeszcze okropniejsze. Ponieważ jesteś absolutnie normalnym człowiekiem, to co zrobiłeś staje się jeszcze bardziej absurdalne.

- Więc co? Co mam zrobić? Powiedz mi tylko, a natychmiast to zrobię.

- Puść mnie. Odsuń się ode mnie.

Natychmiast uwolnił jej dłonie i odsunął się w drugi róg fotela. - I co teraz? Czuła pustkę, chłód, zażenowanie. - Nie wiem.

- Kocham cię. I ty mnie kochasz, Annie. Nie zaprzeczaj, bo to nie mogło rozpląnąć się w jednej chwili, nie taka miłość, jaką my czuliśmy do siebie.

- Nie jestem w stanie myśleć - płakała. - Potrzebuję czasu.

- Ile czasu?

- Nie wiem! - Nalegał, żeby wskazała kierunek, a ona stąpała po nieznanym terenie. Sam nigdy dotąd nie sprawił jej bólu ani nawet jej nie rozzłościł.

- Co powiemy dzieciom?

Otarła łzy z policzków. Stąpała po nieznanym terenie, to prawda, ale trzeba było rozwiązać problemy, które nie mogły czekać ani chwili, a przede wszystkim trzeba było zadecydować, jak zachowywać się wobec dzieci. Po omacku szukała wyjścia. - Chyba nic. Jeszcze nie teraz.

- Część jej duszy modliła się, żeby dzieci nigdy nie musiały się niczego dowiedzieć. Plotki Willa Clingera były niczym w porównaniu z tym, że oboje z Samem musieliby im powiedzieć wszystko wprost. Nawet nie mogła sobie wyobrazić, jakie szkody mogłoby to przynieść psychice dzieci. - To dla nich za wiele, szczególnie kiedy Michael jest taki chory.

- Więc jak będziemy się wobec nich zachowywać?

- Skupimy naszą troskę na Michaelu.

- Czy mogę cię całować?

- Nie.

- A co z Virginią?

- Możesz ją całować w co tylko chcesz - odpowiedziała Annie gorzko.

- Nie o to pytałem.



Doskonale wiedziała, ale to nie usunęło goryczki.

- Porozmawiamy z Virginią - powiedział.

- Tak.

- Chcesz, żebym się wyprowadził?

Wtedy spojrzała na niego. Noc skrywała wyraz jego twarzy, ale Annie wiedziała, że Sam chce złowić choćby strzępek nadziei. Cicho i trochę sucho powiedziała: - Wtedy nie miałyby sensu decyzja, żeby nie mieszać do tego dzieci, nie sądzisz?

- Tak. Podobnie jak to, że będę spał na kanapie.

- Będziesz spał w łóżku. Ja i tak nie będę wiele spała.

- Annie, to absurd...

- Co jest absurdem? - ucięła. - Tak czy inaczej, rzadko śpię przez całą noc, więc zamiast leżeć w łóżku mogę sobie pospacerować albo posiedzieć tutaj. Dzieci wiedzą, że jestem zdenerwowana z powodu Michaela.

- Nie chcę spać w łóżku, jeśli ciebie tam nie będzie. Łóżko będzie twoje.

- A co powiesz dzieciom?

- Że jestem zdenerwowany z powodu Michaela.

- A jeśli wstaną w nocy i zobaczą cię rozciągniętego na kanapie?

- To samo. Myślałem o Michaelu, wstałem trochę pochodzić i zasnąłem na kanapie.

- I tak noc po nocy?

Gdy nie odpowiedział, wiedziała, że zrozumiał jej myśli - zarówno to, że należy zachowywać pozory przed dziećmi, jak i to, że ta sytuacja przysparzała jej wiele bólu. Noc po nocy. Zastanawiała się, kiedy to się skończy, jeśli w ogóle się skończy. Czowała się, jak gdyby starannie ułożony stos kartek, jakim było ich małżeństwo, leżał rozrzucony po podłodze, a ona nie miała siły, żeby zacząć podnosić strzępki papieru.

Sam podniósł się z fotela. Zmęczonym głosem powiedział: - Oboje możemy spać w łóżku. Będę uważał, żeby nie przesuwac się na twoją stronę. - Był już przy drzwiach, kiedy zatrzymał się i spuścił głowę. - Annie? - Milczała. - Jutro rano mamy konferencję prasową na temat sprawy Dunn przeciw Hanoverowi. Wczoraj przesunąłem termin i najchętniej odwołałbym ją na dobre, ale nasi specjaliści od *public relations* nalegali.

- Teraz, kiedy Michael jest taki chory? - spytała. Zwycięstwo czy nie, ale w tej chwili konferencja prasowa wydawała jej się nie na miejscu.

- John chce, żeby się odbyła. Tak samo John Stewart. Dla mnie to kłopotliwe. - Zawahał się. - Przyjdiesz?

Annie odchyliła głowę na parapet. W przeszłości uczestniczyła we wszystkich konferencjach prasowych Sama. Sprawiało jej przyjemność, że tam była, że była przedstawiana, że patrzyła rozpromienionym wzrokiem na męża. Teraz nie mogła tego zrobić, to było niemożliwe. Nie mogłaby się zdobyć na rozpromienione spojrzenie, a być przedstawianą, to ostatnia rzecz, jakiej mogła chcieć. Nie chciała, żeby ludzie na nią patrzyli. Była pewna, że wszyscy znają prawdę i będą się w nią wpatrywać, może ze zdumieniem bądź z pożałowaniem.

- Mam zajęcia - powiedziała.

- Wiem, ale myślałem, że będziesz mogła przyjść trochę później.

Właśnie tak robiła w przeszłości, ale jej milczenie świadczyło o tym, że teraz tego nie zrobi.

Stał w miejscu jeszcze chwilę, zanim szepnął: - W porządku - i cicho zszedł po schodach na dół.

Annie cierpiała na chroniczną bezsenność. Była w doskonałej formie, jeśli spała pięć godzin na dobę, co w teorii znaczyło, że mogła kłaść się po północy i wstawać o świcie. W praktyce natomiast już o dziesiątej wieczorem kleiły jej się powieki. Zwykle, kiedy budziła się w środku nocy, wykorzystywała ten czas na przemyślenie czegoś, czytanie książek albo prac studentów. Często po prostu wtulała się w ciało Sama, rozkoszując się jego ciepłem.

Tej nocy nie było żadnego ciepła. W ogóle nie położyła się do łóżka, ale została w swoim gabinecie, drzemiąc w fotelu przy oknie, budzona przez kakofonię myśli. Raz zawędrowała na dół, do kuchni, po aspirynę i herbatę ziołową, ale przygnębił ją fakt, że kuchnia wyglądała tak normalnie, kiedy w ogóle nic nie było normalne. Wróciła do swojego gabinetu, otuliła się kocem i nie mogła przestać drzeć. Gdyby udało jej się zasnąć na trzy godziny, z pewnością opnowalaby drzenie.

Niemniej jednak rano, kiedy Zoe i Max zeszli na dół, była w kuchni i odprowadziła ich do drzwi, obiecując Zoe, że po szkole podwiezie ją do szpitala. Tak, uznała, że może tam pojechać. Za bardzo kochała Michaela - pielęgniarka powiedziała jej przez telefon, że ciągle nie odzyskał przytomności - żeby móc go nie odwiedzić. A czy będzie w stanie rozmawiać z Teke - temu problemowi będzie musiała stawić czoło już wkrótce.

W chwilę po wyjściu dzieci zszedł na dół Sam ubrany do pracy. Nie wiedząc, jak się ma do niego odezwać, poszła pod prysznic. Łazienkę wypełnił szum płynącej wody, aż wreszcie

zakreśliła kurki. Sięgnęła po ręcznik przewieszony przez parawan i wtedy zobaczyła jego postać w szarym garniturze.

- Tak? - spytała zaalarmowana i okryła się ręcznikiem.

- Możemy chwilę porozmawiać? - spytał.

- Jestem nie ubrana.

- Nie wygłupiaj się, Annie.

Wiedziała, co on myśli: że jest jego żoną, że tysiące razy widział ją rozebraną, że zna każdy centymetr jej ciała. Ale przez to, co zrobił, stał się obcy. Czuła się przed nim skrepowana.

Nie poruszyła się. Nie odezwała się. Od kiedy usłyszała jego głos, wpatrywała się w mącą za parawanem sylwetkę. Kiedy tylko odszedł, wytarła się i założyła szlafrok. Wtedy otworzyła drzwi łazienki. - Słucham?

Siedział na skraju łóżka, z łokciami opartymi o kolana. Wydawał się bardzo oficjalny na tle zmiętoszonego prześcieradła, ale nie aż tak oficjalny, jeśli się patrzyło na drugą stronę łóżka, schludną, nie rozścieloną. Ale obojętnie z której strony się na niego patrzyło, był przystojny. Dotknęło ją to bardzo.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - spytał z należytą pokorą.

- Nie wiem.

- Będziesz w szkole?

- Krótko.

- Wybierasz się do szpitala?

- Podwieżę tam Zoe i Janę, kiedy skończą lekcje. Max podwiezie Leigh.

Sam spojrzał na swoje dłonie. - Możemy się umówić na kawę?

- Nie zostanę tam tak długo.

Podniósł wzrok. - W takim razie może na wczesną kolację? W mieście czy tutaj?

Potrząsnęła głową. Cały ból, jaki miała w sobie, skupił się w jej sercu. - Nie mogę, Sam - odpowiedziała.

- Nie chcesz.

- Nie mogę. To jest tak, jakby we mnie trwała wojna i jakbym miała wiele krwawiących ran, ale nie jestem w stanie się w nich zorientować, dopóki choć trochę nie opadnie kurz.

Uszanował to. Po minucie z trudem podniósł się i stanął, taki szczery i zrezygnowany Sam, że w Annie aż coś się wrywało, żeby rzucić mu się w ramiona i błagać o przebaczenie.

Tylko że to nie ona powinna błagać o przebaczenie. Ona nie zrobiła nic złego, przynajmniej tak myślała.

Była zmieszana. Patrzyła, jak odchodzi. Pomyślała, że powinna mu życzyć powodzenia na konferencji prasowej, jednak nie chciała mówić. Pomyślała, że powinna być zadowolona, że zaprosił ją na kolację, jednak w ogóle nie czuła zadowolenia.

Żeby znowu się nie rozplakać, zajęła się ubieraniem, ale kiedy to robiła, wiedziała, że nie będzie w stanie pojechać na wykład. Nie mogła stanąć przed dwiema setkami pierwszoroczników i omawiać twórczość D.H. Lawrence'a.

D.H. Lawrence. Wszystko zgodnie z konspektem. *Synowie i kochankowie*. Mężczyzna i dwie kobiety - jedna mocno stojąca na ziemi, druga refleksyjna. Niemożliwe, żeby była w stanie o tym mówić.

Przeklinając los, znów zaczęła wymiotować. Potem przebrała się. Kostium zamieniła na dżinsy, sportowe buty i sweter, i ruszyła do samochodu. Pół godziny później była w Rockport, przed małym, naruszonym zębem czasu domkiem, który przez dwadzieścia jeden lat życia nazywała swoim domem.

Podjazd był wyżłobiony koleinami, i nie zawiniły tu złe warunki atmosferyczne, ale zwykle zaniedbanie. Peter Huggins nie mógł się troszczyć o takie rzeczy jak reperowanie chodnika, strzyżenie trawników czy utrzymanie w należytym porządku parkanu. Był artystą. Pozwalał, żeby wszystko samo się działo. Z uroczym nieśmiałym uśmiechem dawał przyrodzie pole do popisu w swoim obejściu.

Annie zaparkowała za jego przerdzewiałym samochodem i skierowała się do bocznych drzwi. Kuchnia była jednym wielkim chaosem. Pete nie był zwolennikiem zmywania naczyń, dopóki w kredensie było jeszcze coś czystego. Nie był zwolennikiem odkładania na miejsce artykułów żywnościowych tylko po to, żeby je znów wyjmować przy następnym posiłku. Nie był zwolennikiem wyrzucania nadchodzących pocztą niepotrzebnych reklam i ofert, skoro na ich odwrocie można było rysować. O, i to jak rysować! Annie mogła mieć mu za złe zaśmiecone obejście, ale nigdy jego rysunki.

Pastelowy Pete, tak go nazywano ze względu na jego artystyczne upodobania. Zarabiał na utrzymanie sprzedając akwarele do miejscowych galerii, ale lepiej go znano jako autora okazjonalnych malowideł na południowej ścianie banku i jako wyjątkowego ekscentryka. Rzadko nagiął się do zasad, ale był taki uroczy z zaróżowionymi policzkami i jasnymi, niemal

białymi włosami i brodą, że nikt nie miał mu tego za złe. Było ogólnie przyjęte, że jest to osobliwy człowiek i należy okazywać wyrozumiałość dla jego potrzeby przestrzeni.

Annie wyszła z kuchni. Pierwotnie w domu był jeszcze duży pokój i dwie sypialnie. Jednak wkrótce po tym, jak Annie wyszła za męża, Pete wziął młot kowalski i wyburzył ściany działowe, w wyniku czego miał jedną wielką pracownię z wyszczerbionymi progami w miejscach, gdzie niegdyś były ściany. Jeszcze tylko położył grubą warstwę białej farby - doskonale zastępowała mu płótno - i zmiana wystroju wnętrza dokonała się. Po osiemnastu latach ściany były skarbnicą rysunków, pejzaży i portretów, przechodzących przez wszystkie stadia od fantazji do realizmu. Annie cierpła skóra na myśl, że jej ojciec kiedyś umrze, a te ściany zostaną zburzone.

- Tato? - zawołała, nigdzie nie widząc jego sylwetki.

Po sekundzie jego głowa wyłoniła się zza jednej z nierównych pozostałości po ścianach. Uśmiechnął się i pomachał do niej ręką. Siedział na podłodze, pracując nad jakimś fragmentem ściany. Chociaż kolory były charakterystyczne dla jego stylu, Annie nie mogła się domyślić, co maluje. Widziała fajerwerki - jasnożółte, zielone, różowe na tle błękitu - ale nie były takie jak sztuczne ognie na Czwartego Lipca. W jakiś sposób tchnęły życiem.

- Są z innego świata - powiedział głosem, który z każdym rokiem stawał się coraz cichszy i bardziej matowy, Teraz miał siedemdziesiąt lat, a jego głos rzeczywiście był cichy i matowy.

- Aha. - Annie przykucnęła obok niego, by lepiej przyjrzeć się kawałkowi ściany.

- Trochę przygasły w czasie wędrówki na ziemię. Tysiąc trzysta lat świetlnych to daleko.

Ale odżywają.

- Dlaczego się tu zjawiały?

- Z wizytą.

- Długa droga jak na to, żeby zjawić się tylko z wizytą.

- Potrzebują ukojenia. Na ich macierzystej planecie są wstrząsy. Chcą się przekonać, że jeszcze gdzieś istnieje życie, tak na wszelki wypadek.

Annie uśmiechnęła się. Nachyliła się do ojca i pozwoliła mu się objąć. Nie był wysoki - najwyżej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu - ale był masywny. Ta masywność była znajoma i pewna.

- U ciebie też są jakieś wstrząsy? - spytał. Wydała z siebie dźwięk, który był potwierdzeniem.

- Potrzebujesz trochę ukojenia? Znów wydała z siebie taki sam dźwięk.

- Chcesz brandy?

Uśmiechnęła się. Ojciec miał słabość do brandy. - Przysięgałeś, że nie weźmiesz kropli do ust przed kolacją.

- Przysięgałem, że nigdy nie będę pił sam. Kolacja jest wtedy, kiedy jestem z Peterem Jenningsem. Teraz jestem z tobą. Napij się?

Potrząsnęła głową w jego ramionach.

- Herbaty?

Znów potrząsnęła głową.

- Kakao?

Westchnęła. Kiedy była dzieckiem, kakao stanowiło panaceum. Jakoś nie sądziła, żeby teraz podziałało podobnie. - Chyba tylko chwilę posiedzę - powiedziała, ale nie wysunęła się z jego ramion.

- Mój gwiazdor Max w porządku?

Słyszając to, uśmiechnęła się. Tak mówił o Maksie, od kiedy ten miał sześć lat i zaczął grać w piłkę. Skinęła głową.

- A śliczna mała Zoe? Znów skinęła głową.

- A wielki zły Sam? Jej uśmiech przygasł.

Kiedy nie odpowiadała, Pete mruknął: - Mhm. - Zamilkł na chwilę. - Co takiego zrobił?

- Coś, co mnie przygnębiło.

- Nie zdarza mu się to często.

- Nie.

- Lubię Sama.

- Ja też.

- Więc wszystko będzie dobrze - powiedział uspokajająco.

Annie udzielił się jego spokój, ale tylko na chwilę. Kiedy już zniknął bez śladu, uwolniła się z ramion ojca i podniosła się na nogi. Chodziła w tę i z powrotem, podczas gdy Pete powrócił do pracy.

Ściany domu w znacznej części stanowiły przypadkowy zapis myśli i uczuć. Wszystko to było takim samym chaosem jak kuchnia Pete'a, dopóki nie spojrzano się na ścianę, którą Annie teraz miała za plecami.

Większość rodzin ma albumy z fotografiami albo - coraz częściej - nagrane kasety wideo, które dokumentują życie rodzinne. Pastelowy Pete miał całą ścianę takiej dokumentacji. Na białej farbie ściany od prawej były rysunki przedstawiające Annie - jako dziecko, nastolatkę, młodą kobietę. Potem Annie jako panna młoda, Sam i ich dzieci w różnych okresach życia. Były też rysunki matki Annie, która odeszła, gdy jej córka miała dwa lata. Annie zapamiętała ją tylko jako postać ze ściennych ilustracji.

Teraz wpatrywała się w nią. Jej matka spod ręki Pete'a była drobna i delikatna, ciemnowłosa, o łagodnym uśmiechu. Gdyby nie oczy, wyglądałaby zupełnie niewinnie. Ale oczy były siłą Pastelowego Pete'a. Jeśli tylko były jakieś uczucia, wydobywał je - naprawdę często wydobywał je skądinąd i wypełniał nimi oczy, jednak nigdy o tym nie mówiono. Była to jedna z tych rzeczy, w których Pete'owi okazywano wyrozumiałość, głównie dlatego, że nikt nie mógł zaprzeczyć trafności jego wizji.

W portrecie Annie z czasów zakończenia szkoły wydobył podniecenie i lęk. W portrecie po ukończeniu college'u wydobył jej energię, a w portrecie ślubnym - pełnię szczęścia.

Oczy matki Annie były uduchowione. To były oczy kobiety nieujarzmionej, kobiety, która potrzebowała nieustannych zmian i wyzwania. Peter Huggins był dla niej atrakcyjny tylko jako krótki przystanek w jej życiowej wędrówce. Gdy zjawiała się Annie, przystanek nieco się wydłużył, ale nie był to wystarczający powód, by powstrzymać niechybne odejście.

Annie nie mogła powiedzieć, że była nieszczęśliwym dzieckiem. Przyzwyczała się do nieobecności matki, a Pete był tak dobrym ojcem, jakim tylko mógł być. Dopóki nie weszła w okres dojrzewania, nie miała żadnego poczucia straty. Wtedy, borykając się z budzącą się w niej kobiecością, zaczęła szukać winy w sobie.

Gdyby tylko była ładniejsza, jej matka mogła zostać. Gdyby miała długie, falujące czarne włosy. Albo zielone oczy. Albo twarz w kształcie serca. Coraz bardziej zamykała się w sobie. Zabrała się za czytanie i pisała wiersze w swym dzienniku. Ojciec, człowiek małomówny, ale o wielkim sercu, był jej najlepszym przyjacielem.

A potem zjawiała się Teke. I Sam.

Annie pomyślała teraz o nim, siedzącym w swoim biurze, z klientami u boku, przed wiązką mikrofonów ustawionych na biurku, naprzeciwko przedstawicieli najważniejszych gazet, programów radiowych i telewizyjnych.

- Czy oczekiwał pan zwycięstwa, panie Pope? - mógł pytać jeden z reporterów.

- Prawnik nigdy nie oczekuje zwycięstwa - Sam z pewnością odpowiedziałby skromnie. - Prawnik zbiera materiały, przygotowuje obronę, walczy ze wszystkich sił o przedstawienie racji klienta, a potem odsuwa się na bok i pozwala działać systemowi sprawiedliwości.

- Czy sądzi pan, że to postanowienie będzie miało wpływ na prawo innych stanów?

- Uważam, że inne stany będą miały podobne regulacje prawne, chociaż wcale nie z powodu tej sprawy. To pojęcie przedawnienia dla koszmaru napastowania seksualnego jest przedawnione.

Inny reporter z odległego kąta sali mógł rzucić pytanie: - Czy będzie pan reprezentował inne grupy kobiet?

- Może.

I jeszcze jedno pytanie: - Czy może pan powiedzieć, że był pan w stanie z większym sercem walczyć o tę sprawę, ponieważ ma pan żonę i córkę?

- Z pewnością tak. Chciałbym, żeby moja żona i córka były chronione w ten sam sposób, jak te kobiety tutaj.

- A gdzie jest pańska żona, mecenasie? - mógł spytać jeszcze inny reporter. - Zwykle uczestniczy w pańskich konferencjach prasowych.

- Nie mogła dziś przyjść - odpowiedziałby Sam.

- Dlaczego?

- Pracuje.

- Czy jest zazdrosna, kiedy pracuje pan z kobietami, tak jak teraz?

- Nie - odpowiedziałby. - Moja żona zna swoją wartość. Wie, co musi robić, żeby stale przyciągać moją uwagę.

- Cóż to takiego, mecenasie?

- Musi być piękna, uwodzicielska i interesująca. Musi mieć swój wkład w zarabianie pieniędzy. Musi się ubierać, kiedy chcę, żeby była ubrana, i rozbierać, kiedy chcę, żeby była rozebrana. Musi prać moje skarpetki i przynosić mi koszule z pralni. Co rano musi odkurzać dom. I musi sama gotować, żeby co wieczór, kiedy wracam do domu, na stole była gorąca kolacja.

- Ależ ona tego wszystkiego nie robi - mogła zaprotestować reporterka o wyglądzie Virginii Clinger. - Nie robi nawet połowy tego. Może i odnosi sukcesy zawodowe, ale jako żona jest do niczego. Musi pan szukać skarpetek do pary, na kolację jecie gotowe posiłki ze sklepu, a pańska żona jest stanowczo zbyt bezbarwna, żeby mogła być ładna. Aż dziw bierze, że wcze-



śniej pan nie miał skoków w bok. A może pan miał, panie Pope? Nie czekając na odpowiedź, Annie odwróciła się od pokrytej rysunkami ściany i mimo wszystko poszła po kakao.

## Rozdział 5

Stanley Wallace był klientem firmy Maxwell, Roper & Dine jeszcze w czasach, gdy żyli Roper i Dine, a John Stewart był jedynym Maxwellem w firmie. Stanley zbił fortunę na zamkach błyskawicznych. I chociaż przez lata fortuna nieco stopniała, ciągle była wystarczająco imponująca, by Stanley był uznawany za cennego klienta firmy.

Właśnie dlatego John odsunął od siebie myśl, by po konferencji prasowej szybko wrócić do szpitala, i zamiast tego zaprosił Stanleya na lunch. Od lat prowadził jego interesy, co przynosiło mu znaczne dochody, a przed oczyma miał żywy obraz pieniędzy, jakimi dla firmy zaowocuje fakt, że będzie wykonawcą jego testamentu. Takich klientów należało hołubić, chyba że byli wplątani w coś śmierdzącego. Nie można ich było zapraszać na lunch w takie miejsca jak pobliski bar Dino.

John zaprosił Stanleya do Klubu Federalnego. Nad sałatką z krabów i medalionem z jagnięcia omawiali wygraną Sama i sprawy związane z majątkiem Stanleya. Dla Stanleya jedno wiązało się z drugim. Taki szowinista jak on bał się, że precedens, do jakiego doprowadził Sam, da tylko kobietom pretekst do nieustannych skarg, co już cały czas robiły jego córki. Był przekonany, że gdyby nie strzegł swoich pieniędzy, przez córki skończyłby w przytułku.

John pozwalał mu mówić, co oznaczało, że musiał znosić długie przerwy między zdaniem, tak charakterystyczne dla wszelkich wypowiedzi Stanleya. Jego umysł nie był już tak sprawny jak kiedyś. Tak samo jego ciało. W wieku lat osiemdziesięciu sześciu nie chciało się już tak szybko poruszać, co oznaczało, że spacer z powrotem do firmy - Stanley nie był zwolennikiem taksówek - będzie się włókł w żółwym tempie.

Johnowi to nie przeszkadzało. Zdążył już sobie wytłumaczyć, że nie może być w szpitalu, dopóki nie zakończy sprawy z klientem. Zresztą, mógł iść tak wolno, jak tylko Stanley sobie tego życzył. Wystawiał rachunki za każdą godzinę pracy dla niego.

- To się nie powinno zdarzyć dziecku - cmoknął Stanley, kierując rozmowę na Michaela, kiedy noga za nogą wracali do biura. - Komuś w moim wieku, może, ale nie takiemu dziecku. Czy coś się zmieniło?

- Dziś rano odłączyli go od respiratora.

- Ach, więc jednak jakiś dobry znak.

John chciałby sam tak to widzieć, ale jedyne, co widział, to była śmiertelnie blada twarz Michaela. Ten widok nigdy go nie opuszczał. - Właściwie - powiedział Stanleyowi - prawdopodobnie respirator nigdy nie był potrzebny. Czynności życiowe cały czas były takie same i po odłączeniu nic się nie zmieniło. Ciągłe jest w stanie śpiączki.

Stanley znów cmoknął i zapadł w milczenie. Po chwili spytał: - A jak Theodora? Jak sobie radzi?

John poczuł ukłucie przykrości. - Nie wyszła ze szpitala, od kiedy to się zdarzyło. Ciągłe tylko stoi przy łóżku. - Nie wiedział, czego się po niej spodziewał, ale z pewnością nie tego. Ten jej paraliż wszystkim burzył spokój - nie tylko jemu, Janie i Leigh także. Wczoraj wieczorem były niemożliwe, kłócąc się między sobą tak, że tylko Teke byłaby w stanie doprowadzić je do porządku. Bóg mu świadkiem, że on nie wiedział, jak to zrobić.

- Biedna Theodora - westchnął Stanley i znów pograżył się w milczeniu. Pod koniec nieco przyspieszył i znaleźli się w biurze. John poprowadził go do sali konferencyjnej, gdzie staruszek natychmiast wyciągnął się na kanapie i zapadł w drzemkę.

John wrócił do swego gabinetu z zamiarem zatelefonowania do szpitala, ale ledwo zdążył podnieść słuchawkę, kiedy w drzwiach zjawiała się Virginia Clinger. Wiedział, że jest w biurze. Była córką Stanleya Wallace'a. W zamian za comiesięczny czek, który zasilał jej alimenty, podwoziła ojca samochodem, gdy żadna z jej siostr nie była w stanie tego robić.

- Cześć - odezwała się z żywym uśmiechem. - Masz chwilę czasu?

Nie miał, a Virginia nie była jego ulubienicą. Jako przyjaciółka rodziny była nieznośna. Jako sąsiadka - wścibska. Jednak tak się pechowo składało, że była jedną z trzech spadkobierczyń majątku Wallace'a, w związku z tym uprzejmość dla niej była inwestycją w przyszłość. Skinął więc głową, odłożył słuchawkę telefonu i gestem wskazał Virginii krzesło.

Miała na sobie kostium z krótką spódniczką, jakiej John nigdy nie pozwoliłby założyć Teke. Jednak musiał oddać Virginii sprawiedliwość - miała wspaniałe nogi.

Otoczona słodkim zapachem perfum skrzyżowała te nogi, skromnie złożyła dłonie na podołku i spojrzała mu w twarz oczyma pełnymi troski. - Cały czas dzwoniłam do drzwi waszego domu, ale cię nie było. Jak się czuje Michael? - Kiedy John powiedział, że odłączono go od respiratora, ciężko westchnęła. - Dzięki Bogu za to.

- To nie ma wielkiego znaczenia.

- Z pewnością ma - skarciła go. - To znaczy, że może sam oddychać, a tego wcześniej nie wiedziałeś. Czy on się porusza?

- Od czasu do czasu. Pielęgniarka mówi, że to są skurcze mięśni.

- Cóż może wiedzieć pielęgniarka - zadrwiła Virginia. - Sama nie wie, o czym mówi. Właśnie dzisiaj rano ćwiczyłam w klubie na ruchomych schodach z koleżanką, której siostra w Omaha kilka lat temu miała podobne przeżycia ze swoim dzieckiem. To była mała dziewczynka. Kiedy wracała ze szkoły, potrącił ją samochód, który nie zatrzymał się przed szkolnym autobusem. Była w stanie śpiączki dziewiętnaście dni.

John nie był pewien, czy może wierzyć choćby w jedno słowo Virginii. Znana była z koloryzowania wszystkiego. Jednak słuchał jej. Tak bardzo łaknął nadziei. - Obudziła się?

- Mhm - potwierdziła zadowolona z siebie Virginia - ale dopiero po tym, jak siostra mojej przyjaciółki zaangażowała się w radykalną metodę terapii. Jest przekonana, że to wyprowadziło jej córkę ze śpiączki.

John zawsze czuł uprzedzenie do radykalnych form czegokolwiek, ale chciał usłyszeć więcej. - Jaki to rodzaj terapii?

- To się nazywa pobudzanie chorego. Przez całe godziny stukali jej przy uszach drewnianymi kostkami, świecili ostrym światłem w oczy, nacierali jej skórę. Powiedzieli, że kiedy człowiek znajduje się w stanie śpiączki, to jest tak, jak gdyby zagubił się gdzieś w swoim ciele, a tę terapię opisuje się jako światło latarni, które ma chorego doprowadzić do celu. Powinieneś się tym zainteresować, John. Założę się, że lekarze Michaela nawet o tym nie wspomnieli.

- To trwa dopiero dwa dni - argumentował John.

- Lekarze skupili się na tym, żeby jego stan się nie pogarszał.

- Są zbyt konwencjonalni - skwitowała Virginia, kręcąc nosem. Przymilnie dodała: - To nie boli. Moja przyjaciółka powiedziała, że jej siostra chętnie z tobą porozmawia. Albo z Teke. A przy okazji, jak ona się miewa? Nie spuszczałam oka z waszego podjazdu, ale nie widziałam, żeby jechała albo szła.

Johnowi stanął przed oczyma widok okna na końcu domu Virginii. To było duże wykuszowe okno, wychodzące z pokoju śniadaniowego, gdzie - jak się wydawało - Virginia spędzała większość czasu. Wiele razy widział ją rano, jak obserwowała go wyjeżdżającego do pracy.

- Teke jest w szpitalu z Michaelem - powiedział.

Virginia wyglądała na zaskoczoną.

- Cały czas? A co się dzieje z domem?

- Jakoś dajemy sobie radę.

- Zrzuciła wszystkie obowiązki na ciebie?

Jakiejs części jego świadomości zadowolenie sprawił fakt, że jeszcze ktoś uważał, iż Teke mogłaby robić coś więcej. Jednak druga część czuła się w obowiązku powiedzieć: - Siedzi w szpitalu przy naszym synu, który jest w stanie śpiączki.

Virginia spuściła wzrok. Wpatrywała się w swoje dłonie, w kolana, a potem niepewnie spojrzała w górę. - Martwię się o nią, John.

- Nic jej nie będzie.

- Nie, nie tylko z powodu Michaela. W ogóle się o nią martwię. Myślę, że przechodzi przez coś innego.

John wbił spojrzenie w sufit. - Przez co takiego?

- Kryzys psychiczny.

- Och, Virginia...

- Mówię serio i nie odezwałabym się ani słowem, gdybym nie była pewna, bo jestem w niezręcznej sytuacji. Nie jest tajemnicą, że byłam zła, kiedy ożeniłeś się z Teke. Nasze rodziny znały się przez całe lata. Wszyscy mieli nadzieję, że się pobierzemy, a ja wyszłabym za ciebie w każdej chwili, ale ty sprowadziłeś Teke. Stało się i pogodziłam się z tym. Próbowałam się z nią zaprzyjaźnić.

John wzruszył ramionami na samą myśl, jakie to było niemożliwe. - Jesteście zupełnie inne. Ona jest domatorką, ty naturą towarzyską, która skacze z kwiatka na kwiatek.

- Nie różnimy się aż tak bardzo.

- Ona kocha dzieci, ty kochasz dorosłych.

- Ja też lubię dzieci.

- Ona jest kobietą, która na całe życie wiąże się z jednym mężczyzną, ty rozglądasz się za czwartym mężem.

- Jesteś pewien?

- Czy to już piąty?

- Mówię o Teke.

John nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Zerknął na zegarek. Był umówiony z klientem o wpół do czwartej, więc miał nadzieję, że jeszcze zdąży pojechać do szpitala i wrócić na czas.

Virginia siedziała wyprostowana. - Myślę, że ona ma romans.

- Co?

- Romans.

Roześmiał się. - Myślałem, że już mnie przebolełaś, Gin. Dlaczego nagle oczerniasz moją żonę?

- Nigdy cię nie przebolełam, i to właśnie jest powód, dlaczego się martwię. Ona cię skrzywdzi, John.

- Romans - powiedział takim tonem, jakby to był najbardziej nieprawdopodobny pomysł. Teke nie mogła mieć romansu. Nie ośmieliłaby się.

- Z Samem.

- Chyba żartujesz! - zaczął odczuwać zniecierpliwienie. - Sam jest moim najlepszym przyjacielem. Jest moim wspólnikiem w firmie. Zejdź na ziemię, Gin.

Ale ona nie ustępowała. - Widziałam ich.

- Kiedy?

- We wtorek.

- W dzień, kiedy zdarzył się wypadek?

Skinęła głową. - Kiedy wybiegli z domu za Michaelem, ledwo zdążyli się ubrać. Teke zawiązywała sobie szlafrok w biegu, a Sam był żywym obrazem grzesznika.

John wstał. Nagle zapach jej perfum stał się bardziej mdlący, a z jej ust usłyszał już stanowczo za wiele. Świadomy, że ma do czynienia z przyszłą klientką, starał się mówić opanowanym głosem. - Myślę, że powinnaś już iść.

- Spytaj Sama.

- Nie będę pytał Sama. Nie mam zamiaru mu w ten sposób ubliżyć.

Ale ona ciągle nie zbierała się do wyjścia, co stawało się coraz bardziej przykre. - Ależ w tym jest sens - upierała się. - Dlaczego Michael wybiegł na oślep na ulicę, jeśli nie dlatego, że chciał uciec przed czymś, co zobaczył, a co go zaszokowało? Pomyśl o tym, John. Dobrze wiesz, że mam rację.

John ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, gdy nagle uderzyła go ta myśl. Obrzucił Virginie spojrzeniem.

- Komu o tym mówiłaś?

Podniosła się. - To nie ma nic do rzeczy...

- Właśnie że ma! - wrzasnął. W nagłym przypływie wściekłości zatrzasnął drzwi i znowu stanął z nią twarzą w twarz. Głos mu drżał. - Masz rację. Nasze rodziny znają się od dawna, a to znaczy, że dobrze wiem, do czego jesteś zdolna. Do wszystkiego wściubiasz nos i jesteś plotkarą. - Wymierzył w nią palec. - Powiem to raz i tylko raz. Niczego nie widziałaś. Jeśli Mi-

chael wybiegł z domu, to znaczy, że miał jakiś powód, a nie dlatego, że przyłapał moją żonę i mojego najlepszego przyjaciela robiących coś, czego nie powinni robić. Miej trochę zaufania do moich sił, Virginio. Umiem zadowolić swoją żonę. - Głos mu stwardniał. - Mogę też ulżyć twojemu ojcu, któremu coraz bardziej nie podoba się utrzymywanie chirurga plastycznego w Bostonie. Stanley szybko się przekona, że masz wystarczająco dużo pieniędzy bez jego comiesięcznego wsparcia. Obiecuję ci to - rozpowiadaj tę swoją historyjkę, a będziesz miała kłopoty.

Już znacznie potulniej Virginia powiedziała: - Próbuję cię tylko chronić...

- Wprowadzając zamęt do mojego małżeństwa? - krzyknął. - Nic dziwnego, że żadnego męża nie utrzymałaś przy sobie. - Postukał się w głowę. - Podłe wykręty. Jak możesz mnie chronić, próbując zniszczyć moje małżeństwo? Szczególnie teraz, gdy Michael jest taki chory.

- Chciałam ci tylko pomóc.

- Chcesz mi pomóc? Świetnie. Możesz sprzątać w moim domu, prac, robić kolacje, tak jak by to robiła moja żona, gdyby nie była w szpitalu przy moim synu. Chcesz sprzątać, prac i gotować kolacje? Oczywiście nie. Chcesz do tego wynająć pomoc, a sama pójdziesz do tego swojego klubu pocić się przed trenerem. Trener. Rany boskie, Gin, przecież on jest od ciebie dziesięć lat młodszy. Ma bicepsy zamiast mózgu. Nie mogłaś sobie znaleźć nikogo lepszego?

- Ja nie...

- Zabierz Stanleya. Wystarczy mu już tej drzemki. - John gwałtownie otworzył drzwi i gniewnie ruszył przez korytarz, a gdy Virginia i Stanley wyszli z biura, wrzenie w jego myślach zamiast się uspokoić, trwało dalej. Dzwonek alarmowy ciągle dźwięczał mu w głowie.

Prowadzony przez ten alarm, wkroczył do gabinetu Sama, trzaśnięciem zamknął drzwi, oparł się dłońmi o biurko i niepomyślnie tego, że Sam rozmawia przez telefon, spytał: - Co robiłeś we wtorek w moim domu?

Sam powstrzymał go ruchem dłoni. - W porządku - rzekł do słuchawki. - Sześciu oskarżonych tej kategorii. To mi odpowiada. - Wbił spojrzenie w sufit, gdy osoba na drugim końcu linii coś mówiła, a potem odezwał się: - Nie, nie sądzę, żeby w innych stanach już były podobne regulacje. Słuchaj, Hank, czy możemy to dokończyć później? - Znow przez chwilę słuchał, a potem zakończył szybko: - W porządku - i odłożył słuchawkę.

- Więc? - nalegał John. Kiedy Sam się nie odezwał, powtórzył: - W moim domu. We wtorek. Byłeś tam, kiedy Michael wybiegł?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Sam ostatecznie potwierdził skinieniem głowy.

John miał okropne, okropne uczucie, widząc na jakiego zrezygnowanego Sam wygląda. - Co tam robiłeś?

Szukałem Annie - to byłaby naturalna odpowiedź. Ale Sam tego nie powiedział.

- Proste pytanie - naciskał John niebezpiecznie zniżonym głosem. To był Sam, jego zaufany przyjaciel i wspólnik w interesach. - Co tam robiłeś?

Sam ciągle się nie odzywał. John próbował wyczytać coś z jego twarzy, ale widział tylko, że jest czerwona jak burak. - Chcesz wiedzieć, co powiedziała mi Virginia? - spytał, nastawiony na to, by ciągnąć dalej, gdy tylko Sam przemówi.

- Prawdopodobnie to samo, co powiedziała swoim dzieciom, a te powiedziały innym dzieciom wczoraj w szkole. Pewnie już to opowiedziała połowie miasta. Annie i ja później z nią porozmawiamy...

- Nie ma potrzeby - uciął John. - Właśnie jej powiedziałem, żeby trzymała język za zębami. Postraszyłem ją, że użyję swojego wpływu na jej ojca przeciwko niej, co jest oczywiście sprzeczne z etyką, ale skorzystam z tego, jeśli dalej będzie robiła aluzje, że ty i Teke macie romans.

- Ale to jeszcze nie był koniec i John chciał wyłożyć wszystkie karty na stół. - Chcesz wiedzieć, co powiedziała? Powiedziała, że kiedy Teke wybiegła za Michaeliem, w biegu zawiązywała szlafrok, a ty miałeś winę wypisaną na twarzy. Powiedziała, że Michael musiał wpaść na was dwoje. - Przerwał i ciężko oddychał. - Zaprzecz temu, Sam. Powiedz mi, że ona nie ma racji. Chcę móc powiedzieć, że wyraźnie temu zaprzeczyłeś.

Sam patrzył na niego dłuższą chwilę, a potem podniósł się zza biurka i podszedł do okna. - Teke i ja nie mamy romansu.

John czekał. - Mów dalej - odezwał się wreszcie. Wiedział, że było jeszcze coś więcej. To właśnie był brakujący element tej łamigłówki.

- Byłem z Teke, kiedy Michael wbiegł do środka. Zobaczył nas, zanim my zdążyliśmy go zobaczyć. Musiał sobie źle wytłumaczyć...

- Co sobie musiał źle wytłumaczyć? - naciskał John.

Sam potarł wąsy. To nie był jego typowy gest, co dawało wiele do myślenia. Sam Pope pocierał wąsy tylko wtedy, gdy był niezwykle zdenerwowany. Nie zakłopotany czy niepewny, ale zdenerwowany. Albo czuł się winny. John zacisnął zęby.

- Zrobiłeś to, ty skurwysynu.

- Nie tak, jak myślisz.

- Albo ją pieprzyłeś, albo nie. Czy chcesz mi powiedzieć, że to jest takie zagmatwane? Rany boskie, Sam! - Ścisnął dłonią kark i odwrócił się. Nie mógł w to uwierzyć. Jego najlepszy przyjaciel z jego żoną. Podszedł znów do Sama. - Dlaczego, Sam? Jezu! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, taki głupiec ze mnie, ale to się trzyma kupy. To wyjaśnia, dlaczego Michael wybiegł z domu nie mówiąc do niej ani słowa i dlaczego ona nie chce mi spojrzeć w oczy. - Próbował ogarnąć to wszystko myślami. - Jak mogłeś mi to zrobić? Teke jest moją żoną. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, po tym, jak o ciebie walczyłem - w ten sposób mi się odpłacasz?

- Wyciągasz niewłaściwe wnioski.

- W porządku. Więc naprowadź mnie na właściwe. Tak czy nie - przerznąłeś ją?

- To nie było nic...

- Miałeś stosunek z moją żoną, kiedy wbiegł mój trzynastoletni syn i przyłapał was na tym?

- Uspokój się, John.

- Tak czy nie?

- Tak, ale...

- Jezu Chryste! - Johna opanowała taka furia, aż zakreśliło mu się w głowie. W pierwszym odruchu chciał uderzyć Sama, ale wkrótce przyszła myśl, że nie warto. Ruszył do drzwi.

Sam szybko znalazł się przy nim, mówiąc cicho, żeby nic nie doszło do niepożądanych uszu. - To nie była jej wina.

- Sama może mi to powiedzieć - mruknął John, gwałtownie ruszając przez korytarz.

- Nie powie. Ona się obwinia.

- Może słusznie.

- Nie. - Sam schwycił go za ramię. - Nie uderzaj w nią tym. Nie teraz. I tak ma teraz wystarczająco dużo na głowie.

John potrząsnął głową i dalej kroczył przed siebie.

- A co ze mną? Czy ja nie mam wystarczająco dużo na głowie? To ja muszę zbierać wszystko do kupy. To ja muszę dbać o to, żeby nasza rodzina funkcjonowała.

- Nie zrobisz tego w taki sposób.

John zatrzymał się na chwilę i spiorunował go wzrokiem. - Spodziewasz się, że zapomnę? Że przejdę nad tym do porządku? Czy tak się zachowała Annie? Mój Boże, biedna Annie.

- Damy sobie z tym radę.



- Ona jest za dobra dla ciebie, Sam. - Jego wzburzenie znowu narastało.

Sam zachował spokój. - Nie pozwolę, żeby jeden głupi błąd zniszczył mi życie.

- To zniszczyło życie Michaela.

- Jeszcze nie.

- On cię kochał - odezwał się John oskarżającym schrypniętym szeptem, gdy minęli recepcjonistkę.

Sam szedł za nim do hallu. - I znów mnie pokocha.

- Nie dopuszczę do tego - warknął John. Gwałtownie przycisnął guzik windy, a gdy ta nie nadjeżdżała, znowu uparcie naciskał.

- Nie będzie tak źle.

- Och tak, właśnie tak jest. Nie zapominam tego, kiedy przyjaciele wbijają mi nóż w plecy.

Sam przejechał ręką po włosach. Był poruszony i zmartwiony, co sprawiało Johnowi niewypowiedzianą przyjemność. Jeśli chodzi o niego, ta przyjaźń była skończona. Patrzył na świecące cyferki na drzwiach windy, nie chcąc już poświęcać Samowi uwagi.

- To był jeden raz, John - odezwał się Sam cicho. - Myślałem gdzieś pomiędzy sprawą Dunn a Annie, zaś Teke myślała o tobie, nie o mnie. Było po wszystkim, zanim zdążyliśmy sobie uświadomić, co się zdarzyło i zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Uwierz mi, wysoką. Mylisz się, jeśli sądzisz, że sobie kiedykolwiek wybaczę.

John stał nieporuszony ze wzrokiem wbitym w cyferki nad drzwiami windy. Nie chciał reagować.

- Annie i ja myślimy, że lepiej będzie nie mówić dzieciom.

- Nie zgadzam się. Powinny wiedzieć, z kim mają do czynienia.

- Nie mów im nic, John. To tylko pogorszy sprawę.

- Mają prawo do prawdy.

- Do całej prawdy? - spytał Sam. W jego głosie było ostrzeżenie. - Chcesz, żeby się dowiedziały o twoich małych skokach w bok?

John spiorunował go wzrokiem. - Ty skurwysynu.

- Czy Teke o tym wie?

- Dobrze wiesz, że nie. - Cholernie się starał, żeby mieć pewność. Lubił znajdować satysfakcję z innymi kobietami. To było dla niego odświeżające po monotonnym związku z Teke. - Grozisz mi, że jej powiesz?

Sam potrzęsnał głową, ale była w nim jakaś złość, która doprowadzała Johna do szału. Nie wiedział, o co Sam mógłby być zły. Przecież to nie on był rogakzem.

Jednak Sam rzeczywiście był zły. - Mówię tylko, że akurat ty nie masz prawa wytaczać przeciwko niej ciężkich dział. Przez cały czas zdradzałeś Teke, ale ona była ci wierna, tak samo jak ja byłem wierny Annie. Co z ciebie za hipokryta!

- Nie robiłem tego z żoną mojego najlepszego przyjaciela - powiedział John i wtedy nadjechała winda. Wszedł do środka, trochę oczekując, że Sam wejdzie za nim i dalej będą prowadzić sprzeczkę w obecności obcych ludzi. Jednak drzwi zasunęły się i John został w środku z trzema osobami, wśród których nie było Sama, i z własną wściekłością.

\* \* \*

Teke wyglądała jak z krzyża zdjęta. Przez ostatnie dwie noce spała w sumie kilka godzin i ledwo trzymała się na nogach. Przebrała się i odświeżyła w szpitalnej łazience - John przywiózł jej tutaj niezbędne rzeczy - ale potrzebowała prysznic. Najgorsze ze wszystkiego było to, że choć Michaelowi odłączono respirator, ona coraz bardziej upadała na duchu. Stan Michaela się nie zmienił.

Siedząc przy jego łóżku, mówiąc ciągle do ciała, które nie reagowało, coraz częściej łapała się na myślach, co będzie, jeśli Michael nigdy się nie obudzi. Albo jeśli obudzi się sparaliżowany. Albo jeśli obudzi się z umysłem trzyletniego dziecka.

Jednak to nie żadna z tych trzech możliwości wprawiała ją w takie roztrzęsienie. To widok Sama. I Grady'ego. To było najgorsze, najgorsze! Ciągle przychodził, stał za szybą na korytarzu, przypominając jej o innym życiu. Tylko że, do cholery, tamto życie już się skończyło. Nie miał żadnego interesu w tym, żeby przykuwać jej uwagę.

Kiedyś Grady był jej oparciem. Teraz nie miała żadnego. Potrzebowała Annie, ale Annie jej nie chciała, a Teke nie mogła jej za to winić. Po tym, co zrobiła, nie zasługiwała na przyjaźń i zrozumienie Annie.

- Cześć, Mikey - odezwała się słabym głosem. Przesunęła palcami po jego ramieniu. - Co słyhać? - Setki razy powtarzała te same słowa, te same pytania. Jej głos był jak pęknięta płyta, coraz bardziej zdarty przy każdym powtórzeniu. - Teraz twoje usta dobrze wyglądają, kochanie - znów próbowała. Z braku bardziej inteligentnego zajęcia zaczęła wypowiadać na głos swoje myśli.

- Cieszę się, że odłączyli respirator. Niepotrzebna ci rura w gardle. Nie przestraszysz się, kiedy się obudzisz. Jeszcze tylko masz podłączoną kroplówkę, ale i ją odłączą, kiedy tylko zaczniesz jeść. Nie jesteś głodny? Nie zjadłbyś big maca?

Ciężko westchnęła i zamilkła. Mówienie było już ponad jej siły. Gdyby tylko Michael mógł dać jej znak, że słyszy, mówiłaby bez przerwy, jednak on nie dawał żadnego znaku.

Gwałtownie poderwała głowę, kiedy John wpadł do sali.

- Przeciągnęły mi się spotkania w biurze - powiedział. Nie była tak wyczerpana, żeby nie słyszeć w jego głosie sarkazmu. Bił z jego słów, a w jego postaci uderzało coś przerażającego.

Chwycił poręcz łóżka i spojrzał na Take nad nieruchomym ciałem Michaela. - Najpierw krótką wizytę złożyła mi Virginia, która powiedziała, że masz romans z Samem. Potem poprosiłem o wyjaśnienia Sama, a on to potwierdził. Ty szmato!

Poczuła nagle dziwny spokój. Może zmęczenie. Albo odrętwienie. Lecz przede wszystkim ulgę. Lepiej, że dowiedział się prawdy.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - krzyknął, ale w jego głosie dźwięczało więcej złości niż bólu. - Czy ja cię źle traktowałem? Nie miałaś domu, ubrań, jedzenia? Nie zadowalałem cię w łóżku?

Technicznie, owszem, jeśli miarą było osiągnięcie orgazmu. Jeśli liczyć grę wstępną i pieszczoty po stosunku, było to nawet przyjemne. Jednak już od lat w ich seksie nie było żaru.

- Jak często? - pytał ostro. - Jak często to robiłaś?

- Raz.

Oczy mu się zwężyły. - Może z Samem, a z innymi? Czy to były szybkie numerki w la-sku z tym pejzażystą? A może za kulisami z tym brodatym instruktorem szkolnej grupy teatralnej?

Jego słowa ostrymi smagnięciami malowały obraz kurwy, a do tego w ogóle się nie poczuwała. Jednak z pokorą przyjmowała wszystkie zniewagi, którymi ją obrzucał. Zasłużyła na karę. Była winna, bo zdradziła go z Samem. Miał prawo być zły.

- No? - naciskał. - A może nie trafiłem we właściwy scenariusz? Czy to było w toalecie przy stacji benzynowej w czasie przeglądu samochodu? Albo, do jasnej cholery, w moim własnym łóżku ze specem od dezynsekcji?

- Dobrze wiesz, że nie - mruknęła.

- Nie, nie wiem. Nic nie wiem! Przez cały dzień siedzisz w Constance, a ja pracuję w Bostonie zarabiając pieniądze, żeby cię utrzymać. Nigdy nie myślałem, że robisz w tym czasie coś złego. Ufałem ci, Teke.

Jej wzrok przesunął się na Michaela. Pomyślała, że nie powinni przy nim rozmawiać w ten sposób. Potem uświadomiła sobie, jakie to głupie. Nic nie wskazywało na to, żeby słyszał cokolwiek z tego, co wcześniej mówiła.

Trudno sobie wyobrazić, żeby to się mogło nagle zmienić. A jeśli tak? Jeśli szorstkie, ostre, a nawet okrutne słowa mogły mu przywrócić świadomość, była za nimi całym sercem.

- Więc? - pytał John. - Nie będziesz się bronić?

Podniosła rękę i pozwoliła jej bezwładnie opaść. To była cała energia, jaką mogła zmobilizować.

- Jak? - spytała. - Postąpiłam źle. Jeden raz, ale postąpiłam źle.

- Właśnie ten jeden pieprzony raz. I popatrz na konsekwencje.

Jej wzrok spoczywał na Michaelu. - Patrzę na nie od chwili, kiedy to się zdarzyło.

- To przez ciebie tutaj jest. - Kiedy skinęła głową, poprawił się: - Przez ciebie i Sama. - Wyprostował się i głośno nabrał powietrza w płuca, co przez lata nauczyła się już kojarzyć z zamiarem surowej oceny. Nie była więc zaskoczona, kiedy zaczął mówić: - Moi rodzice nigdy za tobą nie przepadali. Od samego początku mieli wątpliwości. Uważali, że żenię się z osobą poniżej mojego poziomu, i mieli rację. Nigdy nie przystosowałaś się na tyle dobrze, jak miałem nadzieję. Och, wyglądałaś zawsze wystarczająco ładnie, kiedy dokądś szliśmy, nigdy nie przyniosłaś mi wstydu, ale nie byłaś dość aktywna, tak jak potrafią inne żony. Inne żony wspierają karierę mężów. Ty nigdy tego nie robiłaś.

Po wszystkich uszczypliwościach, jakie od niego w życiu usłyszała - „Myślę, że powinnaś się inaczej czesać” albo: „Dzieci powinny mieć nowe buty, kiedy wychodzimy na piknik do klubu”, albo: „Nie masz nicco bardziej eleganckiej sukienki?” - to było coś nowego. - Jak powinnam była wspierać twoją karierę?

- Rozmawiając z ludźmi. Wywierając na nich wrażenie. - John mówił dalej: - Mimo wieku dobrze wyglądasz. Muszę ci to przyznać. Rozumiem, jak działasz na mężczyzn.

Nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. - Ja nie...

- Mogę nawet wysilić swoją wyobraźnię na tyle, by zrozumieć, że czasami musisz czuć się samotna przez cały dzień, kiedy dzieci są w szkole. Chodzi mi o to, że towarzystwo innych kobiet nie może ci wypełnić całego czasu, kiedy ja pracuję. Gdybyś powiedziała, że potrzeba ci

czegoś innego, byłbym ci to zapewnił. - W jego głosie pobrzmiwało okrucieństwo. - Ale żeby zrobić coś takiego za moimi plecami, i to z moim najlepszym przyjacielem - jak nisko upadłaś, Teke? Jaka musiałaś być zdesperowana? Dobry był? Podobało ci się to z nim?

Ta rozmowa zaczęła ją przyprawiać o mdłości. - Nie byłam...

- Jest dobrze zbudowany, czy to o to chodzi? Jest wyższy i przystojniejszy ode mnie. To było dla ciebie wyzwanie? Coś, o czym marzyłaś od lat? Wszystkie te wakacje w Maine, kiedy razem siedzieliśmy w strojach kąpielowych, myślałaś wtedy o tym? I raz przestałaś myśleć o Annie?

W ogóle nie myślałam! - chciała wykrzyknąć Teke, ale John nie przestawał mówić, a ona pozwalała mu na to. Wszędzie wokół byli lekarze i pielęgniarki. Im szybciej będzie miała to za sobą, tym lepiej.

- Kiedy się kochaliśmy, ty i ja, myślałaś o nim? Czy może o kimś innym. Bo ja nie, Teke. Za każdym razem, kiedy się kochaliśmy, myślałem o tobie. - Jego głos stawał się głuchy i coraz niższy. - Tyle że ostatnio to nie zdarzało się często, prawda? A gdybym ja tego nie proponował, w ogóle byśmy ze sobą nie sypiali. Więc dlaczego to zawsze było z mojej inicjatywy? Bo tobie się chciało innych facetów.

Już raz powiedziała, że nie było żadnych innych oprócz Sama. Nie miała siły znowu zaprzeczać.

- Co za dziwka z ciebie! Jesteś parszywą żoną, Teke. Jesteś parszywą matką.

To ją poruszyło. Macierzyństwo zawsze było jej mocną stroną. Od kiedy tylko się dowiedziała, że można być matką, chciała nią być. - Do tej pory zawsze postępowałam właściwie - powiedziała w swojej obronie.

- Ale zaprzepaściłaś to! - odparował John. - I reszta się nie liczy. Spójrz na Michaela. Zobacz, co mu zrobiłaś. Zdradziłaś go tak samo, jak zdradziłaś mnie. Spójrz prawdzie w oczy, Teke, jesteś parszywą matką.

Tego nie mogła znieść. - Nie. Raz popełniłam błąd.

- Zniszczyłaś wszystko.

- To był jeden błąd, i zrobię wszystko, żeby go naprawić. Jeśli będzie trzeba, poświęcę na to całe życie.

- Może nie będziesz musiała wiele poświęcać, jeśli on umrze.

Poczuła ostre szarpnięcie bólu. - Cicho, John.

- Może umrzeć. Albo być rośliną przez resztę życia. I jak sobie z tym poradzisz? Nie przeprowadza się aukcji sztuki na rzecz pacjentów, którzy do końca życia mają wegetować przykuci do łóżka.

- Nie będzie tak! - wykrzyknęła Teke. Myśleć o najgorszym to jedno, a słyszeć to wypowiedziane na głos - to co innego.

- Skąd wiesz?

- Nie pozwolę na to! - Zaszlochała.

- A teraz odgrywasz Boga? Nie żartuj, Teke. Nie robisz nic, tylko stoisz tu w odrętwieniu bez końca. Co dobrego zrobiłaś dla Michaela?

Walcząc ze łzami, z trudem przełknęła ślinę. - On wie, że jestem tutaj. Pokazuję mu, że go kocham.

- Pokazujesz mu, jaka jesteś wykończona. Mogłabyś coś zrobić, żeby pomóc mu się obudzić. Mogłabyś poprosić lekarzy o zastosowanie alternatywnej metody terapii. Mogłabyś naciskać na nich, żeby się bardziej starali. Mogłabyś sama próbować zastosować niektóre techniki. Ale ty wolisz tkwić tutaj jak stojący trup. Wyglądasz jak śmierć - mruknął.

Teke ledwo słyszała jego ostatnie słowa. Jej wzrok przykuwało prześcieradło, przykrywające Michaela, kawałek prześcieradła na jego nogach. Serce zabiło jej mocniej. - Widziałeś to? - wyszeptała podniecona.

- Co?

- Poruszył nogą.

John spojrzał na łóżko, ale prześcieradło pozostawało nieruchome.

- No, dalej, dziecinko - nalegała Teke, nachylając się nad twarzą synka - zrób to jeszcze raz. Możesz to zrobić. Tylko spróbuj.

- Nic - powiedział John po minucie, ale Teke nie pogodziła się z tym. Odwróciła się od łóżka i pobiegła do pielęgniarki.

- Poruszył się! - powiedziała. - To była noga, tylko przez chwilę, ale jestem pewna, że się poruszył! Co to oznacza? Można jakoś sprowokować, żeby to znowu zrobił?

Pielęgniarka przysłała razem z nią do sali Michaela, a tam John powiedział szybko: - Nic nie było. Mojej żonie musiało się to przywidzieć.

- Nie przywidziało mi się - powiedziała mu Teke.

- Tak długo stałam tu, kiedy nic się nie działo, że nawet najmniejsze drgnienie jest dla mnie czymś. - Zwróciła się do pielęgniarki: - Kłóciliśmy się z mężem. Michaelowi musiało się nie podobać to, co mówiliśmy. Czy to mógł być powód?

- Mógł - powiedziała pielęgniarka bez przekonania.

- Prawdopodobnie to był następny skurcz mięśni - rzekł John.

- Nie - upierała się Teke, nie pozwalając sobie odebrać tego promyka nadziei. - Widziałam skurcze. To było inne. To było bardziej celowe. - Nachyliła się nad Michaelem. - No, dalej, Mikey. Zrób to jeszcze raz. Wiem, że możesz. Zrób to dla mnie.

John prychnął. Kiedy tylko pielęgniarka wyszła z sali, powiedział: - Jesteś ostatnią osobą, dla której by to zrobił.

- Więc ty spróbuj! - krzyknęła, znów tracąc otuchę i popadając w przygnębienie. W tej chwili czuła do Johna taką niechęć. - Oskarżasz mnie, że nic nie robię. A co takiego ty robisz?

John wyprostował ramiona. Jego wzrok był zimny.

- Pracuję, zarabiam pieniądze, żeby móc płacić za twój błąd. Próbuję też za ciebie doprowadzić do porządku wszystko w domu. Nic nie robi się samo, kiedy ty jesteś tutaj. Na wypadek, gdybyś zapomniała, przypominam ci, że masz jeszcze dwie córki. - Patrzył na nią z niesmakiem. - Narobiłaś straszego bałaganu, Teke. Straszego bałaganu. - Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł.

- Nieprawda - zaprotestowała, ale nie było już nikogo, kto by usłyszał jej słowa. Brzmiała w nich pustka. Spojrzała w dół. Michael leżał bez ruchu. Była taka pewna, że się poruszył. Taka pewna. Jednak wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem. - Tak. Narobiłam bałaganu.

Łzy napłynęły jej do oczu i nagle poczuła się zbyt zmęczona, żeby z nimi walczyć. Płakała więc cicho, trzymając dłoń Michaela w swojej dłoni i myśląc o tym wszystkim, czego dla niego chciała. Chciała, żeby grał w koszykówkę, żeby kręcił filmy wideo, żeby umawiał się z dziewczynami. Chciała, żeby popłynął w rejs dookoła świata na szkunerze, do którego zapalał taką miłością w Dniu Pracy. Chciała dla niego wszystkiego, co dobre, ponieważ był jej synem, był wspaniałym dzieckiem, i ponieważ go kochała.

Cicho łkała, ogarnięta myślą, że nic z tych rzeczy może mu się już nigdy nie zdarzyć, kiedy jakiś ruch przy drzwiach przyciągnął jej wzrok. To był Grady, przez łzy zafalowała jej jego sylwetka, tak jak kiedyś, gdy miała dziesięć lat, przez okno sklepu.

- Odejdź - wyszeptała i gwałtownie potrząsnęła głową, zanim otarła łzy.

Za każdym razem odchodził. Jednak nie teraz.

- Odejdź - szepnęła jeszcze raz, już mniej zdecydowanie. Zaczęła cała drżeć; to się nie zdarzyło, kiedy przyszedł John. Uświadamiając sobie nagle, że jej małżeństwo jest zagrożone, jej syn jest w śpiączce i wali się całe jej życie, osunęła się po ścianie na podłogę i siedziała płacząc, nie zwracając uwagi na to, kto tu jest i obserwuje jej żal.

Otoczyły ją ramiona Grady'ego. Nie słyszała, jak wchodził, ale teraz wiedziała, że to jego ramiona. Miały szczególny kształt. On miał szczególny zapach. Dwadzieścia dwa lata niczego nie zmieniły.

- Odejdź - załkała.

- Nie mogę tego zrobić - odpowiedział ochryłym szeptem. - Nigdy nie mogłem cię zostawić, kiedy cierpiałas.

Próbowała zmusić się do myślenia o wszystkich powodach, dla których powinna go nienawidzić, powinna go stąd wyrzucić, ale była w stanie myśleć tylko o tym, jak bardzo jest zmęczona, smutna, załamana, przerażona, i jak pewne i bezpieczne są jego ramiona.

Pozwoliła więc sobie na tę przyjemność w środku piekła. - Och, Grady. Spieprzyłam wszystko.

Objął ją mocniej, ale nic nie powiedział.

- Kiedy mnie porzuciłeś, powiedziałeś mi, żebym postępowała dobrze. Myślałam, że tak robię. A teraz zrujnowałam Michaelowi życie.

- To ja prowadziłem ten samochód.

- Ale on wybiegł, bo zobaczył mnie z Samem. Byłam z Samem, Grady. Sam jest najlepszym przyjacielem mojego męża. Jestem straszną istotą, nie tym, kim chciałeś, żebym była. Nie powinieneś się do mnie zbliżać. Nie powinieneś mieć ze mną nic wspólnego.

Pogładził ją po głowie, tak jak to robił, kiedy miała dziesięć lat.

- John mnie nienawidzi. Michael mnie nienawidzi. Dziewczynki też mnie znienawidzą, kiedy się dowiedzą. - Jej głos wznosił się do lamentu. - Co ja mam zrobić?

- Prześpij się trochę - powiedział w jej włosy. - Padasz z nóg.

- Rodzina to wszystko, czego zawsze chciałam. Mąż, dzieci, dom, bezpieczeństwo. I teraz to wszystko tracę.

Przesunął ręką po jej plecach. Gest ten zdradzał zażyłość, jaka ich kiedyś łączyła. Wiedziała, że nie powinna przyjmować jego pocieszenia, tak jak kiedyś on odrzucił jej troskę. Powinna wstać i odejść, pokazać mu, że umie żyć bez niego. Jednak nie mogła. Potrzebowała jego opieki. Czowała się jak rozbitek na morzu w czasie sztormu.



- Tracisz przyjaciół - powiedział pewnym głosem.

- Może męża. Ale nie dzieci. To jest twoja krew.

- Moja krew - wyszeptała, ale oczy miała zamknięte, a jej skropiony łzami policzek spoczywał na piersi Grady'ego. Jego serce biło rytmicznie i mocno. Usypiała.

Z oddali usłyszała głos, pytający: - Czy pani Maxwell dobrze się czuje?

- Jest bardzo zmęczona - powiedział Grady. - Zawiozę ją do domu. Czy ktoś tam zadzwoni, jeśli będą jakieś zmiany?

- Oczywiście.

Teke zdołała wymruczeć: - Nie mogę go zostawić.

Jednak Grady wiedział, co robi. Pomógł jej podnieść się na nogi i poprowadził, podtrzymując ramieniem. Zatrzymał się na chwilę przy łóżku i powiedział: - Michael to ładne imię. A on jest ładnym chłopcem.

Przeszył ją ostry ból. Tyle razy skrycie myślała o Gradym, tyle razy chciała mu pokazać swoje dzieci i życie, jakie sobie urządziła, ale nigdy nie sądziła, że nastąpi to w takich okolicznościach. - Grady, tak chcę, żeby on żył i był zdrowy.

- Powiedz mu to.

- Słyszysz, Michael?

Grady dotknął ręki Michaela. - Twoja mama musi się trochę przespać. Niedługo wróci.

Teke nic już nie powiedziała. Pozwoliła się wyprowadzić ze szpitala i usadzić w samochodzie Grady'ego. Nieważne, że ten sam pickup potrącił Michaela. Była zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć. Zasnęła, zanim zdążyli wyjechać z parkingu, a obudziła się dopiero, kiedy podjechali pod jej dom.

Nie odprowadził jej do domu. Ona ani go o to nie prosiła, ani nie odwróciła się i nie podziękowała mu za podwiezienie. Żeby coś do niego powiedzieć, musiałaby mu spojrzeć w twarz i pokazać emocje, jakie w niej wzbudził, a na to nie miała siły.

Podeszła więc do drzwi i weszła do domu, nie oglądając się za siebie. Nie słuchała, jak pickup odjeżdżał, ale od razu skierowała się na górę i weszła pod prysznic. Wydawało się, że całą wieczność stała pod strumieniem wody. Szorowała się i znowu się szorowała. Myła włosy, dopóki nie zaczęły wydawać dźwięku pod jej palcami. Wtedy wyszła spod prysznica, założyła koszulę nocną i wdrapała się na łóżko.

To było o czwartej po południu. Spała do siódmej rano, a kiedy się obudziła, zobaczyła, że druga strona łóżka jest nie rozścielona, co ją ucieszyło. Wziąwszy pod uwagę, co John o niej myślał, dzielenie z nim łóżka byłoby niesmaczne. „Ty szmato” - powiedział do niej i po tym, co zrobiła z Samem, pewnie miał rację. Tak samo, kiedy nazwał ją parszywą żoną.

Jednak bolała ją druga część jego wypowiedzi - że jest parszywą matką. Była i ciągle jest najbardziej świadomą matką, jaką знаła. Przygotowała więc śniadanie dla Jany i Leigh, zanim wysłała je do szkoły, przez godzinę doprowadzała dom do porządku, zabrała niezbędne rzeczy i pojechała do szpitala.

Była tą, która stała przy łóżku Michaela i nic nie robiła. Wiedziała, że tak o niej myślał. Więc ona wyprowadzi go z błędu.

## Rozdział 6

Wydawało się, że Sam nie może zmobilizować sił, żeby wyjść do pracy. Ogolił się, wziął prysznic, ubrał się. Jego aktówka stała na podłodze przy drzwiach, klucze leżały na szafce kuchennej obok. Jednak Sam jeszcze się ociągał. Wiedział, że kiedy zjawi się w biurze, będzie bombardowany telefonami w związku ze sprawą Dunn przeciw Hanoverowi. Prasa chciała wypowiedzi, życzliwi chcieli złożyć gratulacje, inne ofiary wykorzystywania seksualnego chciały go wynająć do prowadzenia spraw. To mogło być wspaniałe, gdyby nie było takie żenujące. W świetle tego, jak nadużył zaufania swojej żony, czuł się jak oszust.

Annie wyszła wkrótce po Zoe i Maksie, jednak znaki jej obecności były wszędzie. Odłączne notatki przyklepione do kuchennej tablicy, apaszka przewieszona przez uchwyt lodówki, kolczyki leżące na parapecie na końcu rzędu małych roślin doniczkowych. W doniczkach było sucho. Sam wziął szklankę z szafki, nappełnił ją wodą i podlał rośliny.

Czas nieco Annie uspokoił. Kiedy Sam do niej mówił, udzielała krótkich cichych odpowiedzi. Jednak zawsze to były odpowiedzi, nigdy pytania ani luźne uwagi. Przypuszczał, że to była jego kara. Zimne wzruszenie ramion. Obrzydliwa oficjalność. Odcięcie się od jakiegokolwiek więzi duchowej.

I to, że nie mógł trzymać Annie w ramionach. To było najgorsze. Byłby w stanie żyć bez rozmowy z nią, gdyby ją mógł trzymać w ramionach - nie kochać się z nią, tylko po prostu

trzymać ją w ramionach. Coś takiego było w tym, jak ich ciała pasowały do siebie, coś takiego w jej ciepłe i miękkości, że bliskość jej ciała stała się mu niezbędna do życia.

Wstawiwszy szklankę do szafki, zaczął wędrować od pokoju do pokoju. Zatrzymał się w salonie. Odruchowo sięgnął na półkę z kasetami wideo, wybrał jedną z rodzinnych kaset i włożył ją do odtwarzacza. Z pilotem w dłoni nachylił się do szerokiego bocznego oparcia kanapy.

Kaseta zaczynała się jakąś grą towarzyską - pamiętał ją, bo to była świeżo nakręcona kaseta, ale równie dobrze ta gra mogła mieć miejsce innym razem. Maxwellowie grali w parze przeciwko Pope'om, co było stałym zwyczajem. John, pedantyczny i dokładny, był najlepszy z całej czwórki. Teke była najslabsza, bo ciągle wychodziła do kuchni. Annie i Sam uzupełniali się, a obydwie pary wspomagały dzieci.

Sam obserwował Teke na ekranie. Wyglądała na zadowoloną z tego, że pozostaje w cieniu Johna, spoglądając na niego, śmiejąc się i szepcząc mu do ucha, gdy on odpowiadał. Wymieniała też spojrzenia z Annie i dziećmi. I z Samem. Bacznie obserwował, czy w którymś z tych spojrzeń mogło być skrywane pożądanie. Nie zobaczył jednak niczego takiego. On zaś przy tej grze był całkowicie wpatrzony w Annie, która obejmowała go w pasie i przytulała policzek do jego piersi. Uwielbiał, kiedy się tak Umościła na jego ciele.

Westchnął. Maxwellowie nie dotykali się tak jak oni z Annie. Jednak to oni zawsze wygrywali.

Zastanawiając się, czy w tym była jakaś lekcja perwersji, przesunął taśmę. Tym razem natrafił na noc sylwestrową z udziałem dwóch rodzin. Wszyscy byli poprzebierani - na tę okazję Teke wyciągnęła ze skrzyni kostiumy z minionych świąt Halloween. Jedli smakołyki i dęli w rogi. Na ekranie telewizora był widok Times Square. Wszyscy odliczali, coraz głośniej i głośniej, aż nastąpił wybuch radości, kiedy rozpoczął się Nowy Rok.

Wszyscy wokół się całowali. Sam obejrzał tę scenę, po czym cofnął taśmę i obejrzał jeszcze raz. Zobaczył siebie całującego Annie, potem dzieci, potem Teke i jej dzieci, a potem znów Annie, a ten drugi pocałunek znacznie się przeciągnął. Teke pocałowała Johna, ale odeszła do innych i już do niego nie powróciła. Nie żeby John stał samotnie. Tańczył dookoła pokoju z Janą i Zoe, przebranymi za królika i kangura.

Sam przesunął taśmę i zobaczył niedzielne popołudnie przy myciu samochodów. Piana i woda były wszędzie, a szczególnie na obydwu paniach, które nigdy nie mogły wygrać w tej wodnej walce, ale przyjmowały to ze śmiechem. Obydwie były rozbawione do łez.

Przemoczone koszulki i szorty oblepiały im ciała. Niewiele z ich kształtów zdołało się ukryć.

Sam wpatrywał się w Teke. Piersi miała pełne, biodra kształtne i wdzięcznie wygiętą sylwetkę, kiedy piszczala chroniąc się przed strugą wody z węża. Annie była drobniejsza, bardziej urokliwa i o wiele bardziej pociągająca, aż Sam teraz się zastanawiał, jak mógł w ogóle dotknąć Teke i jak mógł mu dla niej stanąć.

Znów ogarnięty niesmakiem do siebie odłożył pilota na stolik i wyszedł z pokoju. Wszedł dwa piętra wyżej, na poddasze, gdzie był gabinet Annie. Opadając na fotel przy oknie, poprawił afgański koc, który leżał rzucony w nieładzie. Wiedział, że tutaj spała, chroniąc się tym kocem przed zimnem. Otulił się nim, chcąc uchronić się przed dreszczem, jaki go przeszył.

Zrobił głupstwo, którego konsekwencje zdawały się narastać z godziny na godzinę:

\* \* \*

John chodził po swoim gabinecie. Teczki z dokumentami leżały schludnie ułożone na biurku, razem z planem dzisiejszych spotkań, ale nie mógł się zmusić, żeby na nie spojrzeć. Było mu już trudno się skoncentrować, kiedy myślał tylko o Michaelu, a teraz doszły jeszcze myśli o Teke i Samie. Nie miał pojęcia, jak się zdoła zabrać do pracy.

- Co się dzieje z Michaeliem? - spytał go ojciec od drzwi.

John poczuł, jak mu żołądek podchodzi do gardła. Zatrzymał się. - Bez zmian.

- Mary powiedziała mi, że spałeś tutaj.

Mary McGonigle pracowała dla Johna Stewarta od ponad dwudziestu lat. Była nie tylko jego sekretarką, ale jeśli tylko sobie życzył - kimś w rodzaju jego rzecznika i prywatnego kuriera, troszczyła się o jego podróże, załatwiała sprawy w banku i robiła mu zakupy. John nie był pewien, czy była też jego kochanką. Tak samo nie był pewien, czy była nią jego matka. Nie był pewien, czy John Stewart jeszcze ma tego rodzaju potrzeby. Był bardzo chłodnym człowiekiem.

Największą różnicą między Mary McGonigle i Lucy Maxwell, jaką John dostrzegał, było to, że Mary codziennie już o siódmej rano była w pracy, umalowana, zadbana i w pełnym rynsztunku. To właśnie dlatego zdołała go dziś przyłapać. Nie chodziło o to, że miał cokolwiek do ukrycia - owszem, miał, ale fakt, że spędził noc w biurze, był bardzo łatwy do wyjaśnienia.

- Teke pojechała do domu odpocząć - powiedział - więc ja byłem przy Michaelu przez większość nocy. Wpadłem tu, żeby się przespać z godzinę czy dwie.

- Kiedy Mary obudziła go w środku czwartej godziny snu, podziękował jej i wrócił do szpitala, poczekał tam do chwili, kiedy uznał, że Teke mogła już wyjść z domu. Wtedy pojechał do Constance, wziął prysznic, przebrał się i przyjechał do biura, sam nie wiedząc po co.

- Potrzebuję twojej pomocy w sprawie Bena Mayera - powiedział teraz John Stewart.

Poczekaj, aż usłyszysz, co Teke mi zrobiła, tylko poczekaj, aż to usłyszysz. Z demonstracyjną nonszalancją wsunął ręce do kieszeni i odezwał się głośno: - W czym problem?

- Robi problemy z zapisem dla uniwersytetu. - Ben Meyer był multimilionerem i fundatorem nowego kompleksu sportowego. John Stewart negocjował warunki tej darowizny.

Wściekniesz się, kiedy się dowiesz, z kim to zrobiła. A wtedy rozstąpi się ziemia.

- Myślałem, że to już zakończona sprawa - zauważył John.

- Była, dopóki Ben nie pooglądał kompleksów sportowych w innych szkołach. Chce, żeby jego był taki sam. Chce, żeby na budynku było wyryte jego pełne imię i nazwisko. Mówi, że Centrum Sportowe im. B. Meyera to za mało.

Powiesz mi, że mnie ostrzegałeś. Powiesz mi, że to moja wina. Nigdy temu nie będzie końca. - Myślałem, że to ma być nazwa z każdej strony budynku i tablica pamiątkowa z portretem w foyer - powiedział John. Powiesz, że trzeba ich oboje wyrzucić - Teke z domu, Johna z firmy.

- On chce, żeby było pełne imię - powiedział mu John Stewart. - A uniwersytet nie chce się zgodzić.

Ale ona jest matką moich dzieci, spierał się z nim w duchu John. One jej potrzebują. Nie mogę im zrobić tego co ona. Nie chcę. Rozluźnił zeszywniały bark, co wyglądało tak, jakby wzruszył ramionami. - To są jego pieniądze.

Spojrzenie Johna Stewarta mówiło mu, że jest żałośnie krótkowzroczny. Głos tylko wzmocnił to wrażenie. - To są pieniądze, których my nie zarobimy, jeśli Ben nie będzie zadowolony z rozmów, które prowadzi firma. Chcę, żebyś z nim porozmawiał.

- Dlaczego ja? - spytał John. I Sam, co, do diabła, powinienem zrobić z Samem? Zarabia dla firmy niezłe pieniądze. Tyle że w moim życiu narobił strasznego zamieszania, a ja nie wiem, jak sobie z takim zamieszaniami radzić.

- Masz dzieci, które wkrótce pójną do college'u - mówił John Stewart. - Możesz znaleźć argumenty, dlaczego umieszczanie pełnego imienia nie byłoby mądre. Uwierzy ci prędzej niż mnie, kiedy mu powiesz, co dzieciaki z tym zrobią.

Blowen\* Meyer. To było rzeczywiście zabawne - a raczej byłoby, gdyby na myśl o tym imieniu uwaga Johna nie skierowała się natychmiast na Teke i Sama. Jeden raz? W porządku, nawet jeżeli to był tylko jeden raz, to było niesmaczne. To mnie oboje wszystko zawdzięczają. To ja nadstawiałem za nich karku. - Wszyscy na niego mówią Ben - gderał John. - Dlaczego nie chce umieścić tego imienia?

- Chce prawdziwego imienia. I nie zadowoli się inicjałem.

\* Blowen - nietypowe imię pochodzące od czasownika *blow*, co znaczy m.in. dmuchać i budzi nieprzyzwoite skojarzenia - przyp. tłum.

- A po diabła mu to imię wyryte na murze? Czego będzie jeszcze chciał? Korony?

- Zajmij się nim, John - polecił John Stewart, zwracając się do wyjścia. - Chcę, żebyś go doprowadził do porządku.

\* \* \*

Annie siedziała za biurkiem, ściskając dłońmi skronie. Ból głowy powrócił, częściowo - była tego pewna - dlatego, że tak rozpaczliwie walczyła ze łzami. Próbowwała zająć czymś myśli, jednak one nie chciały jej słuchać. Uparcie krążyły wokół Sama.

- Puk, puk! - doszedł głos z drzwi.

Podniosła wzrok i zdobyła się na uśmiech. - Wejdz, Jason. Po prostu myślałam.

Jason Faust pisał pracę dyplomową na jej wydziale. Pracował nad dyplomem powoli. Ponieważ wywodził się z bogatej rodziny, mógł sobie pozwolić na ten luksus. Bogactwo jego rodziny sprawiało też, że miał w sobie nieco arogancji, która nie podobała się wielu osobom. Annie to nie przeszkadzało. Uważała go za błyskotliwego i pracowitego studenta. Miała do niego tyle zaufania, by przyjąć go na swego asystenta.

- To musiały być ciężkie myśli - powiedział. - Chcesz aspirynę?

- Już połknęłam trzy.

- Filiżankę kawy?

Zademonstrowała mu, jak jej lekko drżą ręce.

- Jakieś kłopoty?

Napomniała go wzrokiem. Potem znów usiadła za biurkiem i przejechała dłonią po rozłożonych papierach.

- Jestem trochę zdenerwowana. To wszystko.

Jason nachylił się do ściany, ciągle stojąc w drzwiach.

- Słyszałem o tym chłopcu twojej przyjaciółki - powiedział cicho. - Przykro mi.

Zesztywniała. Nie mówiła o tym nikomu w pracy. Rzadko wtajemniczała kolegów z pracy w swoje życie osobiste. - Skąd o tym wiesz?

- Od Susan. - Susan to była sekretarka. - Kiedy wczoraj po południu nie mogłem cię znaleźć, spytałem ją. To musi być trudne biegać do szpitala w tę i z powrotem. Byłbym zadowolony, gdybym mógł w czymś pomóc.

- Mogłabym ci zająć bardzo wiele czasu. Miejmy nadzieję, że Michael wkrótce wyjdzie ze stanu śpiączki. A jeśli nie, jeśli ciągle będzie w szpitalu, kiedy zaczniesz się nawał egzaminów i prac do czytania, to aż na samą myśl o tym włosy stają dęba.

- Umiem sobie radzić z takimi sytuacjami.

- Bo jesteś młodszy ode mnie. Młodość jest bardzo elastyczna, ale z wiekiem ta elastyczność zanika.

- Nie jesteś przecież stara.

- Jestem stara - powiedziała. Czuliła się stara i brzydka, na tyle nieatrakcyjna, że Sama ogarnęło pożądanie do Teke. Jasne, że Teke nie była młodsza, ale inne ciało może mieć pewien powab. A dlaczego Sam był na to tak podatny, to już inna sprawa. Annie była tak pewna jego miłości i wierności. Nie wiedziała, gdzie popełniła błąd.

- Zabawne - zadumała się - człowiek tak się angażuje w życie, że czasami zapomina, co jest naprawdę w nim istotne. Tak ciężko pracowałam, żeby osiągnąć tę pozycję zawodową. Z wysiłkiem zaliczałam lata studiów, kiedy dzieci były małe. Kiedy trochę podrosły, zwiększyłam obciążenie. Potem zrobiłam dyplom i zaczęłam uczyć, i to wydawało się tak ważne, a kiedy wygrałam konkurs na to stanowisko, to było najlepsze ze wszystkiego. - Złapała szybko oddech. - A teraz zdarza się coś takiego i człowiek uświadamia sobie, że całe to wspinanie się po szczeblach kariery wcale nie jest takie ważne, jak się myślało.

- Czy lekarze mówią, że chłopiec się z tego wygrzebie? - spytał Jason.

Annie myślała o Teke i Samie, o małżeństwie i przyjaźni. Biedny Michael był zaledwie na obrzeżach jej myśli.

- Myślę, że tak. - Starła się, by jej głos brzmiał dziarsko.

- Już sam oddycha.

- A jak to znosi jego matka, ta twoja przyjaciółka?

Annie nie była pewna. Wczoraj po południu Teke wyszła ze szpitala, zanim Annie zdążyła tam przyjechać. Odczuła wtedy ulgę, z wielu powodów. Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała stanąć z Teke twarzą w twarz, ale wolała, żeby to było później. Potrzebowała więcej czasu, żeby się pozbierać, żeby uporządkować myśli.

- Ostatniej nocy po raz pierwszy spała w domu. To dobrze, nie tylko dla niej, ale dla jej dzieci. Ma jeszcze dwie dziewczynki oprócz Michaela. - Annie westchnęła ze zmęczeniem. - Martwię się o nie.

- Są zżyte z bratem?

- On ma trzynaście lat, a one piętnaście i siedemnaście. Kiedy dziewczynki dorastały, częściej bawiły się ze sobą niż z nim, ale tak, są z nim zżyte. My wszyscy jesteśmy ze sobą zżyci.

Byliśmy, poprawiła się w myślach i zastanawiała się, co się dalej zdarzy.

- Mogę za ciebie poprowadzić zajęcia.

- Tak?

- Wyglądasz tak żałośnie. Idź do domu. Podniosła pióro. - Tam będzie jeszcze gorzej.

- Więc idź do szpitala. Może dzięki temu poczujesz się lepiej. Dzisiaj opuściłabyś tylko literaturę angielską, którą ja mam w małym palcu.

Zmarszczyła nos i próbowała coś napisać.

- Więc zadzwoń do męża. Niech cię zabierze na lunch. To była najgorsza sugestia ze wszystkich trzech. Nacisnęła mocniej pióro, ale nie pisało.

Jason podszedł do biurka. - Zrób coś, Annie. Nie mogę znieść, kiedy jesteś taka przygnębiona.

Próbowała się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiła usta w grymasie. - Nic mi nie będzie.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak. Idź kupić normalne pióro. To się do niczego nie nadaje.

- Mówię poważnie.

Wtedy podniosła wzrok. Jason Faust był znany jako wydziałowy przystojniak - i tak o nim mówiły różne kobiety. Annie nie mogła się spierać z ich oceną. Miał jasne włosy, srebrzyste oczy i wyglądem przypominał młodszego, bardziej na luzie Johna.

- Jesteś słodki - powiedziała.

- Ty też. Co mogę zrobić, żeby ci pomóc? Westchnęła. - Nic poza tym, co już robisz. To miło mieć cię w pobliżu. Jesteś bardziej normalny niż wiele innych osób.



- Czy to znaczy, że w przyszłym roku będę mógł zacząć uczyć?

- Dopiero jest październik.

- Nigdy nie jest za wcześnie, żeby złożyć ofertę. Jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to ktoś inny.

- Ktoś inny zrobi to tak czy inaczej - przypomniała mu delikatnie. - I to ktoś, kto będzie miał dyplom, z którym ty posuwasz się w żółwym tempie.

- Ale ja jestem błyskotliwy - powiedział z szerokim uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech. - To prawda. Jednak nie ja podejmuję decyzje w tej sprawie.

- Zresztą nie pora o tym rozmawiać - powiedział zrezygnowanym tonem i zwrócił się do wyjścia. - Dasz mi znać, kiedy będziesz potrzebowała pomocy?

- Mhm.

- Obiecujesz?

- Mhm.

Porozumiewawczo mrugnął okiem i wyszedł.

\* \* \*

- No, Michael, i co ty na to? - Teke spytała głośno, odstępując o krok i podziwiając efekt swojej pracy. Ściana nad łóżkiem, przedtem nieskazitelnie biała, teraz ożyła wszystkimi kolorami.

Teke okleiła ją kartkami z życzeniami i czerwonym transparentem MICHAEL WY-ZDROWIEJ! Czerwony transparent ostro kontrastował z turkusową koszulką Michaela, na której pomarańczowymi literami było wypisane jego imię, ale im większy kontrast, tym lepiej, przynajmniej w odczuciu Teke. Chciała, żeby ludzie to zauważali. Chciała, żeby każdy, kto przechodzi korytarzem, wiedział, jak jej syn ma na imię, żeby każdy wiedział, że to żyjąca, odychająca ludzka istota.

- Wygląda wspaniale, pani Maxwell - powiedziała pielęgniarka, która właśnie przysłała sprawdzić kroplówkę. Poprzedniej nocy igła kroplówki wysunęła się z żyły Michaela przy jakimś przypadkowym ruchu, co mu się niekiedy zdarzało. Nikt nie nazywał tego oznaką wychodzenia ze śpiączki, ale Teke modliła się, żeby tak było. Przynajmniej była pewna, że nie jest sparaliżowany. Wiadomo było, że coś w jego mózgu zaskakuje, choć jeszcze nie tak jak powinno.

Planowała, że nad tym też popracuje. Spotkała się z fizykoterapeutą i dowiedziała się, w jaki sposób powinna gimnastykować ręce i nogi Michaela. Była zdeterminowana utrzymać jego ciało w formie i przypomnieć mu, jak powinno funkcjonować.

- Te kolory są tak jaskrawe, że obudziłyby nieboszczyka - mówiła dalej pielęgniarka - i to nie tylko ściana, Michael. Powinieneś zobaczyć tę panią w różowym jak jarzeniówka swetrze i takich samych spodniach. Oczywiście z taką figurą może się tak ubierać. Gdybym ja czegoś takiego spróbowała, wyglądałabym jak balon. Zawsze się tak ubiera?

Michael nie odpowiedział.

- Nawet coś upiekła. Widzę też cukierki M&M i - pielęgniarka rozejrzała się dookoła - czekoladowe ciastka. I razem z tym wszystkim w koszyku leżą czekoladki Hersheya. Rozumiem, że ktoś tu jest miłośnikiem czekolady?

- Michael - powiedziała Teke. - I to zagorzałym. - Podsunęła pielęgnowarce koszyk ze słodyczami. - Proszę się poczęstować.

Kuszenie Michaela ulubionymi smakołykami to było jedno, drugie - to kuszenie personelu szpitalnego, żeby wywołać u wszystkich osobiste zainteresowanie

Michaelem. Zrobiłaby wszystko, żeby takie zainteresowanie zaowocowało bardziej entuzjastyczną opieką nad nim, a to pomogło mu wyjść ze śpiączki.

Dla swego syna zrobiłaby wszystko. Nikt nie będzie jej znowu oskarżał, że jest parszywą matką.

- O Boże - jęknęła pielęgniarka - i jeszcze odtwarzacz i płyty kompaktowe. Nic nie mów! Guns N'Roses, U2, Aerosmith.

Teke się uśmiechnęła. - Pani też ma nastolatka?

- Och, tak. - Mówiła do milczącego chłopca w łóżku.

- Masz szczęście, że mam też takiego syna. Jestem przyzwyczajona do tego hałasu. Ale musisz uważać na lekarzy. Jeśli któremuś to włączysz bez ostrzeżenia, wybiegnie stąd jak oparzony. - Poklepała go po ramieniu. - Zobaczymy się niedługo.

Teke wyciągnęła z leżącej na podłodze przy łóżku torby Michaela grzebień. - Ktoś tutaj powinien wiedzieć, jak myć włosy przykutemu do łóżka pacjentowi. - Ostrożnie, omijając szwy, czesała mu włosy. - To będzie następne na liście, zaraz po jedzeniu. Nie jesteś głodny, dziecińo? Wiem, że nie lubisz jak zrzęde, ale powinieneś się wreszcie obudzić i coś zjeść. - Pogładziła go po szyi.

- Gdybyś tylko otworzył usta, nakarmiłabym cię łyżeczką. Na co masz ochotę? Koktajl czekoladowy? A może budyń z bitą śmietaną?

- Musi być jakiś sposób, żeby go karmić.

Głos był cichy, ale rozpoznała go natychmiast. Nie musiała podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że przyszedł Grady, i nawet nie była pewna, czy rozpoznała go tylko po głosie. Jej skóra stała się nagle bardziej wrażliwa. Przypuszczała, że mogłaby być ślepa, głucha i niema, a i tak natychmiast wyczułaby jego obecność.

Tak samo cicho jak on powiedziała: - Mogą mu włożyć rurkę do gardła i podawać płyny.

- Więc dlaczego tego nie robią?

- Chcą mu dać jeszcze trochę czasu. - Modliła się, żeby się obudził, zanim takie karmienie stanie się konieczne. - Robi mi się niedobrze na samą myśl o tej rurce.

Ale Michael traci na wadze. Nie jadł niczego solidnego od trzech dni.

Grady podszedł z drugiej strony łóżka. Nic nie mówił, tylko patrzył na Michaela.

Teke odłożyła grzebień. Z wysiłkiem wzięła oddech i szybko dokonała prezentacji. - Michael, to jest Grady Piper. - Człowiek z mojej przeszłości, wielka miłość mego życia. - On prowadził samochód, pod który wpadłeś. - Nie spuszczać wzroku z Michaela, powiedziała zdecydowanie: - Nie powinieneś być tu znowu przychodzić, Grady. Nie było potrzeby. - Odwiozł ją do domu wczoraj po południu, kiedy padała z nóg, ale teraz czuła się dobrze. Jeśli chciał jej pomóc, powinien wyjechać z miasta. Miała rozzłoszczonego męża i bardzo chorego syna. Żadnego z tych faktów Grady nie mógł zmienić. Przed laty zdecydował się odejść z jej życia. Teraz nie było tu dla niego miejsca.

Jednak powiedział: - Nie mogłem nie przyjść. Chciałem wiedzieć, jak się chłopiec czuje.

- Mogłeś się tego dowiedzieć przez telefon - zasugerowała. Kiedy Grady się nie odezwał, postanowiła zmienić taktykę. - Mój mąż ciebie za to wini. Nie chciałby cię tu widzieć. Mogłby ci narobić kłopotów.

- Już narobił. Policja śledzi każdy mój krok.

- Więc wyjedź - szepnęła z przekonaniem i ostatecznie podniosła wzrok. Teraz nie była w szoku. Nie była cała we łzach ani tak zmęczona, żeby nie mogła patrzeć przed siebie. Widząc Grady'ego Pipera pierwszy raz po dwudziestu dwóch latach, uznała, że dobrze wygląda.

Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i ciało tak muskularne jak przed laty. Ubrany był w rozpiętą na piersi koszulę i dżinsy, ale to jego twarz przykuwała jej uwagę. Była ogorzła, pokryta bliznami, których nabawił się jako nastolatek pracując w doku, a które teraz nieco się po-

głębiły. Włosy, niegdyś czarne jak smoła, teraz lekko połyskiwały nitkami siwizny, ale wyglądał dobrze, zbyt dobrze, by jej myśli mogły zaznać spokoju. Przez całe lata próbowała go nienawidzić. Teraz też próbowała.

- Do cholery, Grady! - krzyknęła. - Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego napisałeś ten list? Dlaczego tu przyjechałeś?

- Napisałem ci w liście.

- Napisałeś, że chcesz mnie zobaczyć. Ale dlaczego?

- Po prostu chciałem cię zobaczyć.

- Nie miałeś prawa! - krzyknęła w wybuchu złości.

- To ty mnie zmusiłeś do wyjazdu z Gullen! Zostałabym tam i czekała na ciebie, ale powiedziałeś mi, żebym wyjechała. Powiedziałeś, że do mnie nie wrócisz. Powiedziałeś, że w ogóle nie wrócisz, jeśli ja tam będę.

- Chciałem dla ciebie czegoś lepszego.

- Dla mnie ty byłeś czymś lepszym, ale mnie odtrąciłeś. Więc zrobiłam to, czego chciałeś - zdobyłam wykształcenie, męża, lepsze życie, i byłam idealnie szczęśliwa, dopóki nie przysłałeś mi tego listu. Nie powinieneś był tego robić, Grady. Nie masz prawa pojawiać się i znikać z życia innych ludzi, kiedy przyjdzie ci na to ochota. To nie jest uczciwe!

- Życie nie jest uczciwe. Patrzyła w dal. - Nadęty frazes.

- Nieprawda. Uratowałem cię, więc cię utraciłem. Gdzie w tym jest sens?

Znów patrząc mu w twarz, widziała jego napięcie, zaciśnięte szczęki i ból w oczach. Nie chciała temu ulec.

- Nie straciłbyś mnie, gdybyś mnie nie odtrącił.

- Nie rozumiesz - powiedział głucho. - Jestem mordercą. Do końca życia nim będę. Siedziałem w więzieniu. Ludzie to od razu wyczują. Wiesz, jak to jest żyć z taką przeszłością?

- Za bardzo dramatyzujesz.

Rzucił jej lekceważące spojrzenie. - Jestem dobry w tym, co robię. Tak, ale na każde zlecenie, które dostaję, przypadają trzy, które tracę z powodu tego, co mam w papierach. Chciałabyś z czymś takim żyć?

- Nie miałabym nic przeciwko temu.

Prychnął. - Masz ładny dom, ładny samochód, ładną obrączkę na palcu. Nie mógłbym ci dać tego wszystkiego.

- Mówisz tak, jakby to dla mnie było ważne.

- Ale dla mnie było ważne. Chciałem dla ciebie wszystkiego co najlepsze. - Po chwili nachylił się nad Michaeliem. - Nawet nie planowałem, żeby się z tobą zobaczyć tego dnia. Chciałem tylko zobaczyć, gdzie mieszkasz. Chciałem zobaczyć, czy dostałaś to, co najlepsze. I popatrz, jak spartaczyłem sprawę. - Głosem pełnym niesmaku do siebie mruknął: - Jaki ze mnie dupek.

Złość Teke się rozplynęła. - Och, Grady - westchnęła. - A co ja narobiłam? To dziesięć razy gorsze.

Spojrzał jej w oczy. - Mówisz o tym, co mi wczoraj powiedziałaś?

Skinęła głową. Tliła się w niej nadzieja, że nie będzie pamiętał, ale podejrzewała, że jednak doskonale pamięta. Wcale nie był dupkiem. A jeśli chodzi o wypadek Michaela, padł ofiarą okoliczności. Nikt nie powinien go obarczać winą.

- Sam to dobry przyjaciel?

- Najlepszy przyjaciel mojego męża.

- Jak długo to trwało?

- W ten wtorek to był jedyny raz.

- Więc dlaczego do tego doszło?

Dotknęła piersi Michaela. Jeśli słyszał to wszystko, uszy powinny mu spuchnąć. Jednak machnęła na to ręką. - Dostałam twój list i byłam przygnębiona. On przyszedł. Stało się.

- Twoje małżeństwo nie układa się dobrze?

- Moje małżeństwo jest w porządku. - Zamilkła na chwilę. - Było w porządku. Myślę, że John nigdy mi nie wybaczy tego, co zrobiłam. To była zbrodnia pierwszego stopnia. - Kiedy Grady się nie odzywał, ośmieliła się podnieść wzrok. - Tak było, Grady. Raz w życiu zrobiłam coś tak okropnego.

Wyglądał na zakłopotanego. - Tam, gdzie byłem, wiele się mówiło o wzorcach zachowania. W moim przypadku nie ustalono takiego wzorca, przynajmniej jeśli chodzi o morderstwo, więc wyszedłem po ośmiu latach. Nie popełniłem nic więcej oprócz poważnego przestępstwa, a i tego nie zrobiłem z premedytacją. Więzienni psychiatrzy mówili o złości, która narasta w człowieku latami. Mówili o sytuacjach o wysokim napięciu emocjonalnym, kiedy człowiek wybucha jak beczka prochu, do której się przyłoży zapałkę. - Coraz bardziej kierował spojrzenie na nią. - Wiemy, dlaczego ja wybuchnąłem. A ty dlaczego?

Teke nie zrozumiała.

- Zdradziłaś męża raz - powiedział. - Tylko raz. Musiałaś mieć jakiś powód.

- Miałam - rzuciła schrypniętym głosem, w którym brzmiało ostrzeżenie. Jej związek z Gradyem nigdy nie był wysublimowany, jak te związki z bogatych przedmieść. Ich więź była naga, bez żadnych ozdób. - Siedziałam w tamtym fotelu i przypominałam sobie wszystko, co między nami było, wszystko, co przez tyle lat wypychałam ze swej pamięci. Tak bardzo próbowałam cię zapomnieć. Jednak wtedy wszystko było na próżno. Twój list był rzeczywistością. I to wszystko powróciło. Zrozumiałam, że cię pragnę, że pragnę tej namiętności, która nas łączyła, i narastała we mnie ta złość. Przyszedł Sam, a ja chciałam dostosować się do jego radoznego podniecenia. Nie wzięłam pod uwagę, że moje ciało było tak gotowe dla ciebie.

Grady nawet nie mrugnął. - Co jest nie w porządku z twoim mężem?

- Wszystko jest w porządku.

- Więc dlaczego do niego nie zadzwoniłaś?

- Nie myślałam o tym, żeby do niego dzwonić.

- Dlaczego nie? Mógłby przyjechać do domu.

- Był w pracy. Nie mógłby stamtąd wyjść. Ale to nie o to chodzi. Chodzi o to, że ja w ogóle nie myślałam.

Grady wpatrywał się w Michaela. Po chwili odezwał się głosem pełnym przekonania: - Gdyby w twoim małżeństwie wszystko było dobrze, zadzwoniłabyś do niego.

- Było - zaprotestowała. Rozpaczliwie chciała w to wierzyć.

- Nie mogło być dobrze, bo w takim razie nigdy byś tego nie zrobiła z Samem.

- Jeśli to prawda, to dlaczego Sam to ze mną zrobił? - spytała. - On uwielbia Annie. Mają wspaniałe życie seksualne, wspaniałe małżeństwo.

Grady podniósł wzrok. - Nie zdradziłbym cię, gdybyś była moją żoną, ani ty nie zdradziłabyś mnie.

- Ale nie jestem twoją żoną! - wykrzyknęła w nagłym nawrocie złości. - Uniemożliwiłeś to.

Jej złość nie zdusiła żaru, który pojawił się w jego spojrzeniu. - Było nam dobrze, Teke.

Jęknęła i przycisnęła dłoń do serca. Złość nie zdusiła też żaru, który w niej narastał. Wystarczyło najdrobniejsze wspomnienie, by się w niej rozpałił.

- Od samego początku wszystko było jak trzeba. Pamiętasz?

Przymknęła oczy i skinęła głową. Nagle zaczęła oddychać coraz szybciej, właśnie tak jak tamtej nocy. Miała wtedy piętnaście lat, Grady siedemnaście, i dla niego seks wcale nie był już nieznanym lądem. Widywali się, kiedy tylko mogli, spotykając się w ciemnych zaułkach Gul-

len, początkowo całkiem niewinnie, potem w coraz bardziej sprecyzowanych zamiarach. Grady, którego ciało już od dawna było ciałem mężczyzny, wiedzę w tej dziedzinie zdobywał od najlepszych w miasteczku, jednak traktował Teke tak, jakby uczył się razem z nią. Gdy ją całował, ujmował jej twarz drżącymi dłońmi, a ich drżenie nie ustępowało, gdy opuszczał je niżej, by rozpiąć jej bluzkę.

Była nieśmiała, niepewna swego świeżo dojrzałego ciała, jednak pragnęła go, a on był tak bardzo delikatny. Pamiętała, jak ujął dłońmi jej piersi i jak dziwnie się wtedy poczuła. Nie rozumiała, jak to mogło być, że Grady dotyka jej piersi, a ona coś czuje znacznie niżej. On jednak rozproszył jej niepokój kilkoma słowami i coraz głębszymi pocałunkami. Sprawił też, że to, co czuła między nogami, zaczęło ją kierować do tego stopnia, że rozpaczliwie pragnęła pozbyć się spodni.

Ból zaskoczył ją, ale Grady scałował jej łzy, językiem pieścił jej piersi i ciągle pozostawał w niej, aż ostre ukłucia zaczęły przechodzić w przyjemne mrowienie. A potem uniosła się z nim aż do gwiazd. Odwiedzali się każdej nocy, na przemian przychodzili jedno do drugiego. Mieli przed sobą cały wszechświat do zbadania, i byli zdeterminowani to zrobić, aż Homer Peasely wszedł im w drogę.

Zakrywając twarz dłońmi, Teke ciężko westchnęła. Tak bardzo kochała Grady'ego. Poszłaby za nim do więzienia, gdyby jej tylko pozwolił, umarłaby, gdyby w ten sposób mogła mu oszczędzić jego losu. Jednak on kazał jej wyjechać i nigdy nie oglądać się za siebie. Kiedy protestowała, potraktował ją nawet ostrymi słowami. Odtrącił ją, gdy próbowała się z nim zobaczyć, nie przyjmował jej listów. Była zraniona, odtrącona, młoda i naiwna. Jaki inny miała wybór, jak tylko go posłuchać?

- To nie jest uczciwe - rzuciła teraz oskarżenie. - Nie jest.

- Co on tu, do diabła, robi? - wrzasnął John.

Teke gwałtownie rzuciła się do drzwi, a potem równie gwałtownie zawróciła, gdy wyczuła, że Michael się poruszył. Nic innego się nie liczyło - tylko to.

- To tatuś, dziecinko. Mówiłam ci, że tu przyjdzie. Spróbuj się jeszcze raz poruszyć, kochanie. Pokaż tacie, że umiesz.

- Wynoś się! - rzucił John Grady'emu.

Grady podniósł rękę. - Już wychodzę.

- To przez ciebie mój syn jest tutaj. Nie chcę cię tu widzieć.

Teke westchnęła ze smutkiem, gdy nie udało jej się wydobyć z Michaela żadnej reakcji. - To nie była jego wina - mruknęła, ale John natychmiast zaprotestował.

- Jechał ulicą w okolicy, w której w ogóle nie powinno go było być. Nie ma w Constance żadnego interesu.

- Owszem, mam. - Głos miał cichy, ale Teke wyczuwała w nim stalowy upór. Kiedy zobaczyła, że ten sam upór odbija się w jego twarzy, poczuła instynktowny lęk. Wiedziała, do czego ten stalowy upór może prowadzić.

- Nie, Grady - ostrzegła.

Jednak on wpatrywał się w Johna. - Dziś rano zostałem wynajęty przez niejakiego Charlesa Harta. Jego matka, która mieszka w starym wiktoriańskim domu przy Chadwell Street, ma na podwórku wagon kolejowy i chce go przerobić na domek mieszkalny. Będę mógł w nim za darmo mieszkać, dopóki nie skończę pracy.

John zacisnął wargi. - Naturalnie, Charlie Hart nie wie, że jesteś mordercą.

- Proszę mu powiedzieć - zaproponował Grady i odwrócił się do wyjścia.

Teke nie mogła uwierzyć, że nie powiedział słowa w swojej obronie. - Grady...

- W porządku - wygłosił John - i nie wracaj tutaj. Nie chcemy cię tu widzieć. Twój widok źle działa na moją rodzinę. Policja może nie mieć dowodów, żeby skierować sprawę do sądu, ale jeśli jeszcze raz zobaczę tutaj twoją gębę, postaram się, żeby cię aresztowano, a wtedy wystąpię z oskarżeniem z powództwa cywilnego.

W tym czasie Grady - taki wysoki i smukły - wyszedł już na korytarz.

- Z oskarżeniem o co? - Teke spytała Johna, który patrzył na nią z taką niechęcią, że mogłaby się czuć zmiażdżona pod jego spojrzeniem, gdyby nie czuła w sobie żarliwego pragnienia obrony Grady'ego.

- O naruszanie porządku publicznego. O dręczenie psychiczne. O wtargnięcie na prywatny teren, bo przecież płacimy za ten cholerny szpital tyle, że można oczekiwać, że ta sala będzie traktowana jak prywatny teren.

- On ma prawo tutaj być.

- Chyba żartujesz.

- To mój przyjaciel.

John skinął głową. - Ach, tak. Twój przyjaciel. O co tu chodzi, Teke? Teraz, kiedy wiesz, że ja cię już nie dotknę, a Sam się nie ośmieli, tak rozpaczliwie szukasz kogoś nowego?



Podniosła dłoń tak nieoczekiwanie, że to ona zachwiała się, gdy wymierzyła mu policzek. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyła. To, co teraz zrobiła, dla niej samej było wstrząsem.

Kuląc się z przerażenia, powiedziała: - Do diabła, John, wydobywasz ze mnie najciemniejsze strony.

On trzymał głowę wysoko uniesioną. Wiedziała, że za nic w świecie nie dotknie policzka, chociaż musiał czuć piekący ból. Przynajmniej ona czuła taki ból w dłoni. Jednak on nie dałby jej tej satysfakcji. To była sprawa jego dumy. Już wiele razy widziała, jak w takich sytuacjach trzymał wysoko uniesioną głowę, chociaż nigdy nie były to sytuacje, które ona wywołała. Przez cały okres małżeństwa nawet rzadko się sprzeczali.

- Może to właśnie jesteś prawdziwa ty - powiedział. - To jeszcze jedna rzecz, której się o tobie dowiedziałem, poza tym, że masz tak nieposkromiony apetyt na mężczyzn. Jest jeszcze coś więcej?

Duma, owszem. Ale i kołtuństwo. To pierwsze mogła zrozumieć, ale drugie ją raziło. Stwarzał pozory, że jest doskonały. Jednak Grady miał rację. W tym małżeństwie musiało być coś nie w porządku, skoro zdradziła męża. John w żadnym razie nie przyjechałby wtedy do domu, gdyby do niego zadzwoniła, a i ona nigdy w życiu nie zadzwoniłaby do niego. Prędzej by się sama zadowoliła, niżby jej to przyszło do głowy.

- Tak - powiedziała w przypiływie zuchwałości - jest coś więcej. Jeśli Grady Piper chce tu przyjść, może w każdej chwili. Czuje się strasznie z powodu tego, co się stało. Nieważne, że to nie jego wina, że to Michael wbiegł mu prosto pod koła. Grady też cierpi.

- Bzdury. Człowiek, który jest w stanie zabić, nie jest zdolny odczuwać w taki sposób jak my. To facet po wyroku. Morderca.

Potrząsnęła głową. - Zabił człowieka, ale nieumyślnie. Uznano go za winnego zabójstwa, ale nie morderstwa pierwszego czy drugiego stopnia. Gdyby miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wynająć dobrego adwokata, wyszedłby z tego bez szwanku. Widziałam, jak Sam uzyskiwał uniewinnienie dla ludzi, którzy popełnili gorsze rzeczy. Tyle że Grady był biedakiem tak jak ja, więc odsiedział swoje. Teraz już ma to za sobą. Jest tak samo myślącym i odczuwającym człowiekiem jak ty i ja, Annie czy Sam. John patrzył na nią z dziwnym zainteresowaniem.

- Skąd wiesz, że to było zabójstwo?

- Bo byłam tam - powiedziała Teke. Nie zależało jej już, żeby to trzymać w sekrecie. Teraz chciała powiedzieć prawdę. - Mówiłam ci, że Grady jest moim przyjacielem. Znam go przez całe życie. On pochodzi z Gullen.

Johnowi szczęka opadła, a potem sapnął ze złością.

- Przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć, prawda? To dlatego był w tej okolicy. Przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć. Więc to wszystko w jeszcze większym stopniu jest twoją winą. Gdyby nie przyjechał do Constance, żeby cię szukać, Michael mógłby przebiec przez ulicę i nic by mu się nie stało. Oczywiście, to nie zmniejszyłoby koszmaru, jaki dziecko musiało przeżyć, widząc cię z Samem. - Wykrzywił twarz. - Jedyne, co można do ciebie czuć, to obrzydzenie.

- Możliwe - powiedziała Teke i odwróciła się do Michaela - ale nie straciłam zdolności myślenia. Nie groź Grady'emu, John. Jeżeli jego obecność tutaj ci przeszkadza, będzie wychodził, gdy ty przyjdiesz. Ale żadnych procesów. Proszę. To by tylko skomplikowało nasze życie i przysporzyło nam kłopotów.

\* \* \*

John nie był człowiekiem, który przyjmuje porażkę z założonymi rękami. Tego wieczoru, kiedy podwiózł dziewczęta do domu, pojechał spotkać się z Charliem Hartem. Byli znajomymi, którzy spotykali się od przypadku do przypadku, czasem grali razem w tenisa, ale ta znajomość nigdy nie nabrała cech zażyłości. Po pierwsze dlatego, że Charlie był szeregowym lekarzem w małym szpitaliku w Constance i jako taki nie obracał się w kręgach, które zasługiwały na uwagę Johna. Po drugie, podchodził do pacjentów z sercem i tę swoją dobroć rozciągał na wszystkich ludzi, co Johna śmiertelnie nudziło.

John był optymistycznie nastawiony, że zdoła Charliego nakłonić do właściwego spojrzenia na tę sprawę. Wykalkulował sobie, że wystarczy Charliemu powiedzieć słowo „morderca”, a jego poświęcenie dla ochrony życia, którego dowodził swoją pracą, usunie problem.

Te kalkulacje okazały się jednak chybione. Po pierwsze, Charlie wiedział o wyroku. - Powiedział mi o tym wprost - wyjaśnił, kiedy stali na werandzie w spokojny październikowy wieczór. - Powiedział mi, że siedział w więzieniu i że dostał warunkowe zwolnienie. Powiedział, że nie ma nic do ukrycia. Ma imponujące referencje.

- Od kogo?

- Od poprzednich pracodawców. Od pastora z jego rodzinnego miasteczka. Od swojego kuratora sądowego.

- Miał listy od tych ludzi? - spytał John. Listy mogły być bez trudu podrobione. Każdy prawnik to wiedział. Lekarze, no cóż, lekarze nie są tak przenikliwi.

- Tak, miał, a ja jeszcze zadzwoniłem do tych ludzi i każdy potwierdził referencje. Z wyjątkiem jednego, George'a Wileya. - Charlie uniósł brew. - Ten George Wiley to kongresman. Próbowałem go zastać w jego biurze w Maine, ale mi powiedziano, że jest z wizytą w krajach nadbałtyckich. Ale jego list wyglądał na autentyczny. Parę lat temu Piper przerabiał salon w jego domu. Pokazywał mi zdjęcia tego salonu i swoich innych prac. Wygląda na to, że to całkiem niezły fachowiec.

John zaczął czuć, że rozmowa z Hartem przebiega zdecydowanie nie po jego myśli. - To jest człowiek, który potrafił mojego syna, Charlie.

- Wiem. To jeden z powodów, dlaczego chce tutaj być przez jakiś czas. Czuje się odpowiedzialny.

- Jest odpowiedzialny.

Charlie potarł twarz. - Policja mówi co innego. Zadzwoniłem na komisariat, kiedy już sprawdziłem referencje. Powiedzieli mi, że ten facet jechał wolno i robił co mógł, żeby wyhamować. Do diabła, John, to dla mnie dobry interes. Płacę tylko za materiały, a on zapewnia mi wykonanie w zamian za to, że pozwolę mu tam mieszkać. Mówiłem mu, że zmarznie, dopóki sobie nie zainstaluje ogrzewania, ale stwierdził, że mieszkał już w gorszych warunkach.

Ostatecznie John powiedział wprost: - Proszę cię o osobistą przysługę, Charlie. Za każdym razem, kiedy on się pojawia, przysparza mojej rodzinie cierpienia. Im szybciej stąd wyjedzie, tym lepiej. Pomogę ci znaleźć kogoś na jego miejsce, ale wolałbym, żebyś nie wynajmował właśnie tego konkretnego faceta.

Charlie zamyślił się. - I co mam mu powiedzieć?

- Że się zastanowiłeś i uznałeś, że nie odpowiada ci, żeby przy domu twojej matki pracował facet po wyroku.

Charlie pozostał zamyślony. - Mógłbym to zrobić, ale to nie byłoby w porządku. To, że on jest w pobliżu, nie stanowi dla mnie żadnego problemu.

- Może obrabować twoją matkę.

- Albo może ją ochronić przed obrabowaniem. - Charlie ściągnął usta i spojrzał na Johna przepaszającym wzrokiem. - Zostanę przy nim. To szczerzy facet. Lubię go. Podoba mi się pomysł, żeby dać mu szansę.

A to, jednym słowem, była następna chybiona kalkulacja Johna.

## Rozdział 7

Grady przez cały weekend nie zaglądał do szpitala. Szanował życzenie rodziny, która miała prawo spędzić ten czas tylko z Michaeliem, a zresztą, prawdę mówiąc, nie pałał szczególną żądzą następnego spotkania z Johnem. Och, nie to, żeby bał się starcia z nim. Mógł w jednej chwili odpowiedzieć na oskarżenia Johna prawdziwą mową obrończą, tak dobrze znał swoje prawa. Tyle że na tym ucierpiałaby Teke, a tego nie chciał.

Tak więc informacje o stanie Michaela zdobywał od pielęgniarki z oddziału intensywnej opieki medycznej, a w przerwach między jednym telefonem a drugim przewoził swój skromny dobytek do wagonu kolejowego przy domu Cornellii Hart, zaczynał szkicować plany przerobienia wagonu na domek mieszkalny i przeszukiwał miejskie rupieciarnie i sklepy z artykułami budowlanymi.

W poniedziałek późnym rankiem, kiedy uznał, że John jest w pracy, pojechał do szpitala. Michael był sam i leżał bez ruchu. Za nim cała maszyna pikała wytrwale, ale w pokoju słychać było jeszcze inny dźwięk - muzykę ze stojącego na nocnym stoliku odtwarzacza.

To był miły sposób, pomyślał, by włączyć Michaela w znajomy świat - jeszcze jedno, co Teke zmieniła w tym pokoju. To miejsce stało się bardziej ludzkie, jaśniejsze, cieplejsze, bardziej osobiste. Pokój wyglądał tak, jakby Michael mieszkał w nim przez jakiś czas.

- Cześć, Michael - powiedział. - Jak leci? - Zastanawiał się, gdzie jest Teke. Miał nadzieję, że i ją zobaczy. - Masz fajną koszulkę. - Tym razem koszulka była biała z przekreślonym ukośnie napisem DEADHEAD na tle jaskrawego koła. - Nie zgadzam się z tobą co do Deadhead. Są zimni. - Przejrzał płyty kompaktowe leżące na nocnym stoliku. - Masz inny gust, co? Może i mój gust byłby taki, gdyby mi go życie nie zmieniło. Kiedy byłem w więzieniu, w sąsiedniej celi siedział facet, który był taki jak jeden z nich.

Wpatrywał się w twarz Michaela. Była absolutnie nieruchoma. - Wiesz, że siedziałem, co? - Przerwał na chwilę. - Tego się nie da utrzymać w sekrecie. Ludzie zawsze się dowiedzą. Lepiej im to powiedzieć wprost. Jeśli chcą cię wykopać, mogą to zrobić, ale lepiej, żeby to zrobili od razu. To mniejsze upokorzenie.

Omiótł wzrokiem pokój. Cała ściana kartek z pozdrowieniami. Widać było, że wszyscy myślą o Michaelu. Zazdrościł chłopcu przyjaciół. Kiedy sam był w wieku Michaela, miał ich tylko kilku. Przeważnie o wiele lat starszych, takich, którzy nie umieliby napisać takiej kartki, a zresztą nawet nie przyszłoby im to do głowy.

Znów skierował wzrok na twarz Michaela. Nie był pewien, co ma mówić. Nie wiedział, czy chłopiec coś słyszy. Uznał, że sam dźwięk głosu jest pewnie ważniejszy od słów, więc mówił to, o czym myślał. - Niektórzy ludzie robią się nerwowi, kiedy słyszą, gdzie byłeś. Myślą, że zaraz wyciągniesz pistolet i podziurawisz im głowę. - Westchnął. - Nic nie rozumieją. Jeden raz w więzieniu zupełnie mi wystarczy. Prędzej bym się zabił niż zrobił coś, co by mnie znowu tam zaprowadziło.

Jego głos był coraz bardziej poważny. Jeżeli Michael coś słyszał, Grady chciał, żeby to usłyszał. - Właśnie dlatego nie naruszyłem żadnych przepisów, kiedy jechałem waszą ulicą. Nauczyłem się być ostrożny. Gliniarze cały czas mają mnie na oku, bo siedziałem. Kiedy idę ulicą, ręce trzymam na widoku. Płacę kelnerowi, nawet kiedy jedzenie jest podłe. Kiedy tylko pojawiają się żółte światła, już się zatrzymuję.

Dotknął ramienia chłopca. Syn Teke. To powinien być jego syn. Westchnął. - Dzieciaku, zatrzymałbym się, gdybym cię widział. Naprawdę jest mi przykro, Michael. Gdyby mi tylko przyszło do głowy, że biegniesz przez ten las, od razu bym się zatrzymał. Po prostu cię nie widziałem.

Czekał, żeby chłopiec otworzył oczy i powiedział: „Wszystko w porządku. To był wypadek. Nie mam do ciebie żalu”. Jednak nic takiego się nie stało, a Grady miał przez chwilę wrażenie, że już kiedyś to przeżył. Coś mu to przypomniało - te dawne myśli. „Otwórz oczy, ty skurczybyku. Otwórz oczy i uderz mnie znowu. Nie jesteś martwy. Daleko ci do śmierci. Otwórz oczy, do cholery”.

Obrzucił wzrokiem aparaturę za głową chłopca, myśląc, że przecież i Michael mógł przez niego umrzeć. Roztrzęsiony oparł się o poręcz łóżka. Zwiesił głowę i próbował zebrać myśli. Gdy ją podniósł, dostrzegł w kącie pokoju żyrafę, już nieźle podniszczoną. Domyślił się, że to pewnie ulubiona zabawka Michaela z dziecięcych lat i powrócił myślami do własnego dzieciństwa.

- Kupiłbym twojej mamie coś takiego, gdybym miał pieniądze. Wiesz, znałem ją, kiedy była małą dziewczynką. Razem dorastaliśmy w Gullen. - Znów opadły go wspomnienia. - Była naprawdę ładna. Kiedy ją pierwszy raz dostrzegłem, była pogryziona przez psa... Nie, właściwie zauważyłem ją już wcześniej. Widywałem ją na boisku szkolnym w tych dniach, kiedy mnie zmusili do pójścia do szkoły. Trzymała się z dala od innych z tymi swoimi czarnymi włosami, z tą jasną cerą i z tymi zalęknionymi oczami. Ale tego dnia, kiedy pies ją pogryzł, w jej oczach było takie przerażenie, aż pękało mi serce. Jej tata był prawdziwym łajdakiem. Ciężko

jej było z nim wytrzymać. Zawsze musiała na niego czekać, a kiedy zrobiła coś nie po jego myśli, okładał ją gdzie popadło. - Uśmiechnął się. - Ale ładna wyrosła.

Uśmiech szybko zniknął. Nabrał powietrza w płuca i chrapliwie je wypuścił. - Kochałem ją. Mieliśmy spędzić całe życie razem. - Przywoływanie tych marzeń i świadomość, jak rozwiały się na wietrze, przynosiło ból. Jednak ciągle powracały okruchy wspomnień. - Chciała mieć dzieci. Wszystko, czego chciała w życiu, to dzieci i mnie.

Ale ja chciałem, żeby chodziła do szkoły, zanim będziemy mieli dzieci, bo ja sam nie chodziłem do szkoły i myślałem, że jeżeli chcemy, żeby naszym dzieciom żyło się lepiej niż nam, jedno z nas musi być wykształcone. Dużo o tym rozmawialiśmy.

Wsunął dłoń w dłoń Michaela. To był jej syn, krew z jej krwi. Było więc tak, jakby trzymał dłoń Teke. To pomogło mu wypełnić pustkę, którą czuł w środku.

- Sędziowie przysięgli uznali, że jestem winny. Wiedziałem, że długo mnie nie będzie, a kiedy wyjdę z więzienia, już na zawsze będę naznaczony. Wiedziałem, że nigdy nie będziemy mieć tego, o czym rozmawialiśmy. Wiedziałem, że zawsze będę ją ciągnął za sobą na dno. Więc kazałem jej odejść.

- Zwracałeś moje listy.

Jego wzrok powędrował do drzwi. Teke opierała się o framugę, w dłoniach trzymając kubek z kawą. Zastanawiał się, jak długo tam stała.

- Nie musiałeś tego robić, Grady. To były tylko listy. Mogłeś na nie nie odpisywać. Ale ty celowo je zwracałeś.

- Nie chciałem ich czytać. Mogły tylko przynieść ból. Lepiej było się rozstać.

- Nie dla mnie. Byłam zdruzgotana.

- Ale wyszłaś z tego.

Wpatrywała się w kawę, wyglądając tak, jakby chciała się z nim sprzeczać. Jednak tylko westchnęła i upiła łyk, po czym spytała: - Jak było w więzieniu?

- Ciężko - odpowiedział. - Szaro i zimno.

- Bałeś się pierwszego dnia, kiedy cię tam zabrali?

Skinął głową. - W doku poznałem różnych twardzieli, ale to nie byli tacy faceci jak ci w więzieniu.

Teke zadrżała. Trzymała kubek z kawą w obu dłoniach. Po chwili upiła jeszcze jeden łyk. - Moje śniadanie - powiedziała bojaźliwie.

- Nic nie jadłaś przed wyjściem z domu?

- Byłam tutaj całą noc. Myślałam o tym, żeby coś zjeść w szpitalnej stołówce, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że siedzę wśród tych wszystkich ludzi w białych kitlach. Zresztą, nie chciałam zostawiać Michaela samego na tak długo. - Podeszła do łóżka i pogładziła chłopca po policzku. - Już jestem, kochanie. Grady dotrzymał ci towarzystwa?

- Najprawdopodobniej go nudząc.

- Nie. Michael interesuje się wieloma rzeczami. Filmowanie jest jego pasją. Gotów jest się obudzić i chcieć zrobić film o więziennym życiu.

Grady wzruszył ramionami. - Nie ma w tym nic ekscytującego. Dzień po dniu człowiek robi te same okropne rzeczy i czuje ten sam okropny strach. A potem wychodzisz, a strach wcale nie jest mniejszy.

- W jakim sensie? - spytała, a to mu przypomniało dawną Teke, nieustannie pytającą o wszystko, co robił.

Zawsze to lubił. Dzięki temu czuł się ważny, ważne było to, kim jest i co robi. Powiedział więc: - Kiedy wychodzisz, jesteś zupełnie sama. Nagle nie masz nikogo, kto by ci powiedział, dokąd pójść. Nie masz nikogo, kto by ci dał jeść i cię ubrał. Musisz robić wszystko sama, a nie robiłaś tego tak długo, że nie umiesz sobie poradzić. W sklepach jest inna żywność niż w czasach, kiedy jeszcze byłaś na wolności. W pralni inaczej obsługuje się automaty. Wyglądasz śmiesznie w swoim ubraniu sprzed lat. Wszyscy się na ciebie gapią. Czujesz się nie na miejscu, nikomu niepotrzebna.

- Wróciłeś do Gullen?

- Na krótko. Nie wiedziałem, w jakie inne miejsce mógłbym pojechać.

- Było mi przykro z powodu twojego ojca, Grady - szepnęła. - Kobiety z kółka parafialnego napisały mi o jego śmierci. Żałowałam go bardziej niż kiedykolwiek żałowałam Homera. Chciałam przyjechać na jego pogrzeb, ale nie mogłam. To by było zbyt bolesne.

Grady miał spuszczonego wzrok. Znał ten ból. Jego ojciec był twardym facetem i miał tylko jedną słabość - swojego syna. Przez całe lata rejonowe władze oskarżały go o to, że krzywdzi Grady'ego nie pozwalając mu chodzić do szkoły i zmuszając go do pracy w doku.

Prawda była taka, że uwielbiał mieć Grady'ego przy sobie. To uczucie było obopólne.

- Przez te pierwsze dwa lata - mówił Grady - odwiedzał mnie w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. To było dla niego ciężkie przeżycie. W pokoju odwiedzin widywał innych więźniów i po jego twarzy było widać, że nie może się pogodzić z tym, że jego syn tam jest. Nie mógł zrozumieć, co ja robię w takim miejscu z takimi ludźmi, tak jakby mógł cokolwiek zrobić, żeby

mnie przed tym uchronić. A potem, którejś niedzieli, kiedy miał być, nie zjawił się. Wiedziałem, że powód może być tylko jeden. Potrzebowali aż trzech dni, żeby mi przekazać wiadomość, że umarł.

- Och, Grady!

- Może to i dobrze. - Grady próbował podejść do tego racjonalnie, tak jak już próbował wiele razy. - Był chory. Serce miał z każdym dniem coraz słabsze. Gdyby żył, kiedy wyszedłem, nie mógłby ze mną pracować. Musiałby siedzieć i patrzeć, jak ja pracuję, a tego by nie mógł znieść. On lubił pracować ze mną ramię w ramię. - Wpatrywał się w Michaela. - Filmowanie, tak? Nic nie wiem o robieniu filmów.

- A ja wiem - odezwała się pielęgniarka, która właśnie wkroczyła do pokoju. Za nią kroczyli dwaj sanitariusze. Patrzyła na Teke. - Gotów?

Nagle we wzroku Teke pojawiło się przerażenie - takie samo jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką, a to zawsze wruszało Grady'ego. Teraz jednak odstąpiła od łóżka, by sanitariusze mieli dostęp do Michaela. - Zabierają go na tomograficzne badanie mózgu - wyjaśniła Grady'emu.

Grady stanął obok niej. - A co tam chcą znaleźć?

- Chcą zbadać, czy mózg funkcjonuje normalnie. Patrzył na sanitariuszy, którzy zręcznie przesuwali łóżko wraz z aparaturą - monitorem, butelkami i rurkami. Zastanawiał się, jak długo to będzie trwało i czy John przyjdzie do szpitala, by razem z Teke czekać na wyniki.

Jakby czytała w jego myślach, odpowiedziała: - Mój mąż jest zbyt niecierpliwy, żeby tu czekać. Będzie rozmawiał z lekarzami, kiedy już będą mogli coś powiedzieć o wynikach. - W jej oczach pod przerażeniem czaiło się ostrzeżenie. - On przychodzi tu w porze lunchu. Wtedy, a także przed i po pracy.

Grady skinął głową. Chociaż nie była to z jej strony zachęta, coś się zmieniło w jej postawie. Już nie mówiła: „Nie powinieneś tutaj przychodzić”. Na razie tyle mu wystarczało.

\* \* \*

Badanie wykazało, że mózg Michaela pracuje normalnie, przez co jego śpiączka stała się dla Teke jeszcze bardziej frustrująca. To się wznosiła na szczyty nadziei, gdy dostrzegła drgnienie powiek, stopy, czy dłoni, to znów spadała w przepaść zwątpienia, gdy leżał nieruchomo jak trup.



Opieka nad Michaeliem zdominowała wszystko inne w jej życiu. Całe dni spędzała na gimnastykowaniu jego kończyn, masowaniu mięśni, na myciu go, czesaniu i mówieniu do niego, żeby nie zapomniał, kim jest. Jednak były też inne chwile - chwile, gdy John przeszywał ją nienawistnym spojrzeniem, kiedy Annie unikała jej wzroku, a Sam starał się trzymać od niej z daleka, kiedy przychodziły dzieci - albo, co gorsza, John Stewart i Lucy i zaczynało się to zachowywanie pozorów normalności.

Zły nastrój i niekomunikatywność wszyscy tłumaczyli zmartwieniem o stan Michaela, ale Teke wiedziała, że to nie może trwać wiecznie. Wkrótce dziewczynki zaczną się zastanawiać, dlaczego ich rodzice unikają się nawzajem i dlaczego nierozłączna czwórka przestała być nierozłączna.

Z tej nierozłącznej czwórki najbardziej brakowało jej Annie. Brakowało jej cowieczornych rozmów przez telefon, wspólnych wypraw na zakupy, czy na lunch, kiedy któraś z nich potrzebowała psychicznego wsparcia. Annie zawsze była dla niej wsparciem w trudnych sytuacjach, a Bóg jeden wiedział, jak trudna była teraz jej sytuacja.

Teke potrzebowała wsparcia. To właśnie dlatego żyła nadzieją, że Grady znów przyjdzie do szpitala, choć co i rusz ganiła samą siebie za to, że o nim myśli. Grady należał do przeszłości. W jej obecnym życiu nie było dla niego miejsca, a z pewnością nie było miejsca na ból, którego kiedyś stał się przyczyną. Nie mogłaby znowu tego znieść. Nie przeżyłaby tego.

Jednak poczuła, jak gdzieś w środku rozpała się w niej maleńkie światełko, kiedy po kilkuminutowej wizycie Johna w porze lunchu Grady wkroczył do pokoju, niosąc papierową torbę, z której dobywał się zapach rozgrzanego tłuszczu.

- Pastrami z serem i papryką - powiedział i wręczył jej torebkę. - Stawiam pięć dolarów, że nic nie jadłaś.

Miał rację. Wzięła torebkę i trzymała ją przez chwilę, myśląc, że powinna mu ją oddać, ale od tego zapachu ślinka napływała jej do ust. Rzucając mu szybkie: - Dzięki, umieram z głodu - opadła na krzesło, odwinęła sandwicza i ugryzła wielki kęs.

Grady podszedł do łóżka. - Jak się czujesz, mały? - Nachylił głowę, by przyjrzeć się koszulce, którą Michael miał dzisiaj na sobie. „Michael Maxwell - gwiazda koszykówki” - głosił napis na koszulce. Grady zwrócił się do Teke: - To prawda?

Skinęła głową. - Chłopcy z drużyny to przynieśli. Zaczynają się rozgrywki ligi międzyszkolnej i martwią się, że bez Michaela sobie nie poradzą. - Ugryzła jeszcze jeden kęs sandwicza, ale już nie był taki dobry jak pierwszy.

- Obserwowałem, jak twój mąż wychodzi. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Nie jest ze mnie zadowolony. - Było to łagodnie powiedziane. Był wściekły, narzekając na lekarzy, że nic nie robią, żeby Michael się obudził. To samo zarzucał Teke, podobnie jak fryzurę, strój i wory po oczami.

- W domu nagromadziło się już mnóstwo do zrobienia. Nie może pojąć, dlaczego nie potrafię bardziej sprawiedliwie podzielić swego czasu.

- Nie możesz wynająć jakiejś pomocy?

- Mam pomoc, ale ona przychodzi tylko raz w tygodniu. Nie sądzę, żeby miała czas przychodzić częściej, a ja nie mogę siedzieć w domu, żeby zatrudnić kogoś nowego. Zresztą dziewczynki mogą pomóc przy gotowaniu i przy praniu. Tak samo mógłby John, ale on tego nie robi.

Znowu ugryzła kęs sandwicza, czując, jak robi jej się przykro. Nie chodziło o to, że John nagle odmówił robienia czegokolwiek w domu. To ona uświadomiła sobie, jak niewiele zawsze jej pomagał. Do tej pory nie miała nic przeciwko temu. Dom był jej królestwem i była dumna z tego, że utrzymuje go w należyтым porządku. Jednak teraz przydałaby jej się jego pomoc, a jeśli nie pomoc, to z pewnością wyrozumiałość.

- A co z tym facetem? - Grady wskazał na Michaela.

- Pomaga ci w domu?

- Niewiele, ale to moja wina. Rozpieszczam go. Och, mówiłam sobie wiele razy, że tego nie zrobię. Teraz żadna trzynastolatka nie chciałaby mieć męża, który nie potrafi nic zrobić w domu. Ja jednak go rozpieszczam. Jest takim dobrym dzieckiem i jeśli nie jest zajęty w szkole, to gra w piłkę albo filmuje. Zupełnie inny niż ci wszyscy chłopcy, którzy włóczą się po ulicach i wystają na rogach z papierosem zwisającym z ust.

- Kiedy ja byłem dzieckiem, byłbym zachwycony, gdyby mnie ktoś rozpieszczał - powiedział Grady z zadumą. - Zawsze robiłem wszystko, co było do zrobienia. Oboje tak robiliśmy.

Teke wyciągnęła pasek zielonej papryki z sandwicza. Jedząc ją, powróciła myślami do tamtych czasów. - Nasze życie nie było łatwe. Może właśnie dlatego rozpieszczam swoje dzieci. Chcę, żeby wiedziały, co to beztroska.

- Pomyślała o tym wszystkim, co Grady powiedział poprzedniego dnia.

Opis więzienia nie dawał jej spokoju i chociaż mówiła sobie, że to nie jej sprawa, że lepiej było o tym nie wiedzieć, że odsyłając jej listy Grady sam pozbawił się prawa poświęcania mu uwagi, jednak była ciekawa jego życia.

- Powiedz mi, co się z tobą działo, kiedy wyszedłeś z więzienia. Wróciłeś do Gullen i pracowałeś w doku? - spytała.

Potrząsnął głową. - Tam był już inny kierownik. Nie chciał mnie. - Przez chwilę milczał, spoglądając na Michaela niewidzącymi oczyma. - Mój kurator sądowy ucieszył się z tego. Uważał, że się powinienem zająć czymś innym. Załatwił mi miejsce w szkole szkutniczej.

Teke uśmiechnęła się. To było coś, co Grady mógł robić. Kochał łodzie i miał zręczne ręce. Szkoła szkutnicza to musiało być to.

- To było przyjemne - potwierdził. - Mili ludzie, ale praca ciężka. W więzieniu skończyłem szkołę średnią i zacząłem kilka kursów college'u. Tyle że inni i tak byli w przodzie.

Szkoła średnia. Teke była pod wrażeniem. - I co dalej?

- Mój ulubiony nauczyciel był specjalistą od łodzi. Robił żagłówki z drewna i wciągnął mnie w to. W tej pracy była prostota i piękno gotowego wyrobu, a to bardziej do mnie przemawiało niż nauka o jakichś wymyślnych łodziach z zastosowaniem najwyższej techniki. Każdą wolną chwilę poświęcałem na pracę z nim.

Teke mogła zauważyć, że te wspomnienia sprawiają mu przyjemność. Zrobiło jej się ciepło na duszy.

- Mów dalej.

- Wyjechał, żeby otworzyć własną szkołę w Seattle. Poczula ukłucie rozczarowania. - I co wtedy zrobiłeś? Jednak teraz Grady uważniej patrzył na Michaela.

- Przysiągłbym, że widziałem drgnienie powieki. - Spojrzał na Teke. - Robił to już wcześniej?

Już była na nogach, w jednej chwili nachylając się nad łóżkiem. - Michael? Czy to prawda, co Grady powiedział?

- Może próbował otworzyć oczy.

- No, dalej, kochanie - ponagliła. - Zrób to jeszcze raz.

Wpatrywali się w chłopca, ale ten ani drgnął. Lekko nim potrząsnęła. - To już tydzień, Mikey. Cały tydzień. Chcę, żebyś coś zrobił. Teraz. Słyszysz mnie? - błagała. - Zrób coś.

A kiedy nic nie zrobił, przyłożyła palce do skroni, chcąc opanować rodzącą się histerię. - To jest w tym wszystkim najgorsze - do góry i na dół, nadzieja i zwątpienie. Staje się coraz bardziej aktywny - to stopa, to palec, broda, a teraz oczy.

- Może mi się to przywidziało.

- Nie, nie przywidziało ci się. Drażni się z nami, potem przestaje. Daje nadzieję i natychmiast ją zabiera.

- W jej głosie było coraz więcej błagania. - Wiem, że słyszysz, Michael. Mrugnij do mnie. Zrób minę. - Wsunęła palce w jego dłoń. - Uściśnij je. Tylko troszkę, żeby wiedziała, że mnie słyszysz.

Jednak nic nie poczuła. Wzdychając z rozpaczy, wyprostowała się. - W porządku - mruknęła, starając się opanować. - Mogę poczekać. Mogę poczekać. - Zmuszając się do spokoju, wróciła na krzesło i po raz kolejny ugryzła kęs sandwicza. Wystygł i smakował podle, ale przeżuła ten kęs i połknęła. Starając się za wszelką cenę powrócić do równowagi, chrząknęła i znów zwróciła się do Grady'ego: - A co zrobiłeś, kiedy twój przyjaciel wyjechał do Seattle?

Trzymał ręce w kieszeniach kurtki. - Zacząłem pracować na budowie, żeby polecieć do Seattle i zaoferować mu swoje usługi.

Nie przestawała pracować na sobą, by odzyskać spokój. - I poleciałeś?

- Nie. Zabrałem się za stolarkę, a kiedy już zarobiłem pieniądze na podróż, za bardzo polubiłem tę pracę, żeby z niej zrezygnować. Czasami robię łodzie, ale to jest tylko hobby.

Wreszcie oddech jej się uspokoił. - Cieszę się.

- Z czego?

- Że wszystko ci się jakoś ułożyło. - Starła sobie teraz wyobrazić jego obecne życie. - Naprawdę mieszkasz w Gullen?

- Nie. Wpadam tam od czasu do czasu, ale w gruncie rzeczy jestem koczownikiem. Większość dobytku wożę ze sobą w samochodzie.

- Ale list wysłałeś z Gullen?

- Byłem tam krótko. Nigdy nie mogę zostać dłużej, bo nachodzą mnie wspomnienia. Ostatnim razem były najgorsze. Całkowicie się załamałem. Myślałem, że nadeszła pora, żeby się z tobą zobaczyć. Więc wysłałem ten list.

- Dodał szorstkim głosem: - Powinienem był poczekać tydzień. Wtedy już bym z tego wyszedł. I nic, co się stało, nie zdarzyłoby się.

Ma rację, pomyślała Teke. Przed laty zwrócił jej wszystkie listy. To była ironia losu, że list, który teraz sam wysłał, narobił tyle zamieszania. Jednak niczego nie można było cofnąć. Jej życie było jak nierzeczywiste. Jej wewnętrzny zegar bił nie kończące się dwadzieścia cztery godziny tylko po to, by zacząć następne dwadzieścia cztery godziny. Jej życie to był szpital. Michael był w śpiączce, John nią pogardzał, Annie jej nienawidziła, a Sam starał się trzymać od niej z daleka.

Głos Grady'ego, taki niski, był teraz blisko. - Teke?

- To nic by nie zmieniło - zapłakała cicho. - To ja tutaj jestem problemem. To ja zatrułam wszystkim życie.

- Nieprawda.

- Więc jak to wyjaśnisz? To ja jestem tą osobą, która wszystkim komplikuje życie. - Nagle dostrzegła, że tkwi w klamrze jego ramion; nachylony nad nią, opierał dłonie o poręcz krzesła. Jego twarz była tylko kilka centymetrów od jej twarzy. - Choćby ty - mówiła dalej.

- Gdyby nie ja, nie popełniłbyś morderstwa i nie siedziałbyś w więzieniu. Mógłbyś mieć dobry interes, miłą żonę i gromadkę dzieci. Zasłużyłeś na to wszystko.

- A kto powiedział, że tego nie mam?

Umilkła. Nic nie wspominał o żonie i dzieciach. Uznała, że ich nie ma.

Prostując się znów wsunął ręce do kieszeni i spojrział w okno. - Ożeniłem się. Mieliśmy małą córeczkę. Żona rozwiodła się ze mną trzy lata temu.

Teke była oszołomiona. Nigdy nie mogła sobie wyobrazić Grady'ego z inną kobietą. To było głupie i egoistyczne, ale nie mogła.

- Ale dlaczego? - spytała. Grady, którego znała, musiał być idealnym mężem i ojcem.

- Za bardzo się od siebie różniliśmy - inne zainteresowania, inne wartości, inny styl życia. Faktem jest - wpatrywał się w nią przenikliwie - że zbyt wiele razy w łóżku wykrzykiwałem twoje imię. Więc nie myśl, że masz monopol na zazdrość, bo go nie masz.

To dało Teke wiele do myślenia i na tych myślach spędziła godziny, które nastąpiły później.

\* \* \*

Annie pilnowała tego, żeby nigdy nie odwiedzać Michaela samotnie. To nie było trudne. Nawet w te dni, kiedy Jana i Leigh przyjeżdżały do szpitala później razem z Maxem, Zoe chętnie czekała przed wejściem do szkoły, żeby jechać do szpitala razem z nią.

- Mamusiu, wiem, że to, co powiem, jest okropne - odezwała się Zoe jednego z takich dni. - Chodzi mi o to, że kiedy jedziemy do szpitala odwiedzić Michaela, i to najgorsza rzecz pod słońcem, jaką musimy robić, ale to jest przyjemne, że po mnie przyjeżdżasz. Lubię to, kiedy wiem, że pod koniec dnia tutaj będziesz.

Annie wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń córki.

- Jestem okropna?

- Ależ skądże - zaprzeczyła Annie. Były jej potrzebne słowa takie jak te. Było jej potrzebne uczucie, że postępuje właściwie. Oczywiście, w tym nie było ani słowa, czy przedtem postępowalała właściwie. - Przeszkadza ci, że tyle pracuję?

Zoe zastanowiła się nad tym. - To mi nie przeszkadza. Jestem dumna z tego, co robisz, i z tego, że kochasz swoją pracę. To tylko chodzi o to, że chciałabym cię mieć częściej dla siebie. - Uśmiechnięta usadowiła się na siedzeniu obok matki. - To takie przyjemne. Tylko my dwie. Annie poczuła ukłucie w sercu.

- Może byłoby inaczej, gdybym była jedynaczką - mówiła dalej Zoe. - Wtedy miałabym cię dla siebie zawsze, kiedy tylko nie jesteś zajęta pracą. Jasne, musiałabym się dzielić tobą z tatą, ale to co innego.

Tym razem ukłucie w sercu Annie było spowodowane dręczącą myślą o Samie. Ledwo ze sobą rozmawiali. Nie żeby nie próbował. To ona niewiele mogła mówić. Była wściekła, zraniona i doszukiwała się podtekstów w każdym jego słowie.

- Uważasz, że Max zajmuje miejsce, które się tobie należy? - spytała córkę.

- Nie - Zoe zaprzeczyła z przekonaniem. - To Jana i Leigh. Szczególnie Jana. To znaczy, ja bardzo lubię Janę, ona jest moją najlepszą przyjaciółką, ale ona rozmawia z tobą o tym wszystkim, o czym ja sama chciałabym z tobą rozmawiać.

- Och, kochanie. Przepraszam.

- Dlaczego Jana nie chodzi ze swoimi problemami do Teke?

- Bo przyzwyczała się z tym przychodzić do mnie, tak samo jak ty idziesz zawsze do Teke, kiedy potrzebujesz rady, jak się ubrać na tańce. Ona potrafi pomóc w sprawie strojów, ja dobrze sobie radzę z problemami.

- Czasami myślę sobie, że nie chciałabym, żebyśmy byli wszyscy tak blisko ze sobą. To znaczy, fajnie jest spędzać czas z Maxwellami i Max podniósłby wrzask, gdybyśmy jechali na wakacje bez nich, ale powiem ci teraz, że chciałabym, żebyśmy mogli chociaż raz, tylko raz,

pojechać gdzieś tylko z naszą rodziną, to znaczy tylko we czwórkę. - Umilkła na chwilę, a potem powtórzyła: - Jestem okropna?

- Wcale nie jesteś okropna - powiedziała Annie, czując nową falę smutku.

Zawsze myślała, że postępuje właściwie żyjąc we wspólnocie z Maxwellami. Jedna wielka rodzina, więcej radości, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. A może to było tylko życzenie czworga dorosłych, z których żadne samo nie miało dużej rodziny? Zastanawiała się, czy dzieci Maxwellów odczuwają to tak samo jak Zoe.

Przynajmniej odczucia Zoe są na czasie, zadumała się. Wspólne wakacje definitywnie należały już do przeszłości.

Westchnęła. - Cieszę się, że mi to powiedziałaś.

- Mogę ci jeszcze coś powiedzieć? - spytała Zoe szybko.

- Jasne.

- Strasznie mi idzie matematyka w tym semestrze. Nie wiem, co się stało. Musiałam wcześniej czegoś nie zrozumieć i teraz nie mogę się w tym wszystkim połapać. - Szybko wyrzucała z siebie dalej: - Przyślą do domu zawiadomienie, że będę miała tylko ocenę D, ale chcę, żebyś wiedziała, że się poprawię. Obiecuję ci, że się poprawię. Umówiłam się na dodatkowe lekcje w czwartek po południu. Dobrze zrobiłam?

- Oczywiście, kochanie - powiedziała Annie - i nie jestem zła. - Czuła się zmieszana, że Zoe sama borykała się ze swoim zmartwieniem. - A ty myślałaś, że będę zła?

- To jest ocena D, mamó. To wstyd.

- Ja też byłam słaba z matematyki.

- Jana jest taka dobra.

- Tak samo Teke była dobra z matematyki, a kulała z angielskiego, podobnie jak Jana. A dla nas angielski to czysta przyjemność. Nie dręcz się tym, kochanie. Po prostu rób, ile możesz. I oczywiście, weź w czwartek dodatkową lekcję.

I w ten oto sposób w czwartek Annie pojechała do szpitala sama. Mogła poczekać i później zabrać Zoe ze szkoły, ale Max zaproponował, że to zrobi po treningu, a ponieważ Annie musiała jeszcze wstąpić na zakupy, do pralni chemicznej, do biblioteki i do apteki, uznała, że najpierw odwiedzi Michaela, a potem załatwi wszystko inne. Jej życie było już wystarczająco nerwowe i nie potrzebowała dodatkowo tracić nerwów stojąc w korku przy powrocie z Bostonu w godzinach szczytu.

Michael już dziewięć dni był w stanie śpiączki. Powagę sytuacji można było odczytać z grymasów twarzy i wydłużonych min personelu szpitala, ale dla nikogo nie było to bardziej zauważalne niż dla Teke. Kiedy Annie nadeszła, Teke właśnie rozcierała Michaelowi nogi. Ruchy miała zmęczone, a głos jednostajny, gdy nie przerywała swego monologu skierowanego do Michaela.

Annie przez kilka chwil obserwowała ją z korytarza. Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie dłonie Sama na jej ciele. Podsunięty przez wyobraźnię obraz był tak żywy, że już była gotowa odwrócić się i odejść, jednak w tym momencie Teke podniosła wzrok i natychmiast ją dostrzegła.

Choć czuła się niezręcznie, usiłowała sprawiać wrażenie pewnej siebie. Zbliżyła się do łóżka. - Jak on się czuje?

Teke ciągle rozcierała nogę Michaela. - Trochę więcej się rusza. Lekarze raz mówią, że to mogą być oznaki rychłego przebudzenia, innym razem - że to nic nie znaczy.

Annie dostrzegła, jak wychudzona była noga Michaela. Podejrzewała, że od czasu wypadku stracił z pięć kilo wagi.

Teke musiała wyczuwać jej myśli, bo odezwała się: - Wczoraj zaczęłam go karmić łyżeczką. Podałam mu trochę lodów i płynu proteinowego. Troszeczkę, ale przełknął. Oczywiście, to nic nie znaczy. Jest taki wycieńczony.

- Za dzień czy dwa zauważysz różnicę - powiedziała Annie. - Nawet gdybyś tylko powstrzymała dalszy spadek wagi, to już jest warte wysiłku.

Teke skinęła głową.

Annie zastanawiała się, co w niej było takiego, czemu Sam nie mógł się oprzeć. Ładnie wyglądała w jasnej tunice i obcisłych spodniach, ale twarz miała wyczerpaną i wychudzoną. - Ty też straciłaś na wadze.

Teke opuściła nogę Michaela na łóżko. - Nie mogę zbyt dużo jeść. Jestem za bardzo zenerwowana.

Cała Teke, pomyślała Annie. Zawsze taka była. Nie mogła nic przełknąć przed ważnym egzaminem, przed ślubem albo kiedy dzieci wszystkie naraz przechodziły wietrzną ospę.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Dlaczego stąd nie wyjdiesz? - To wydawało się idealnym rozwiązaniem dla nich obu. - Ja mogę zostać z Michaelem. Przejdź się trochę, idź do restauracji albo jedź do domu i trochę odpocznij.

Teke przesunęła dłonią po czole. - Nic mi nie jest.



- Idź. Ja z nim posiedzę.

- Chcę z tobą porozmawiać, Annie. Chcę wyjaśnić, przeprosić cię.

Annie potrząsnęła głową. - Nie...

- Wiele jest do powiedzenia. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Chcę, żebyś mnie wysłuchała.

- Nie mogę - błagała Annie. - Jeszcze nie teraz. Ale mogę porozmawiać z Michaeliem. Proszę, idź.

- Tak mi przykro...

Annie zasłoniła uszy dłońmi. Nie chciała żadnych przeprosin. Nie była pewna, czy zdołałaby to przeżyć.

Rzuciwszy przeciągłe błagalne spojrzenie, Teke podniosła torebkę z podłogi i wyszła. Po jej wyjściu Annie czuła się jeszcze gorzej niż przedtem. Jeden głupi błąd, jak to Sam nazwał, a ile szkód to wyrządziło, i to szkód nakładających się na siebie. Zastanawiała się, jak się to wszystko skończy.

Zwracając się do Michaela, powiedziała: - Dlaczego tak jest, że sprawiamy ból ludziom, których kochamy? Możesz mi to powiedzieć? - Westchnęła i podrapała go w ramię opuszkami palców. I ciszej mówiła dalej: - Przepraszam. Tylko że tam, na zewnątrz, tak trudno to wszystko znieść. Jakaś część duszy zazdrości ci, że sobie tutaj leżysz z oczami zamkniętymi przed światem. Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane?

Michael nie odpowiedział. Nie mrugnął. Nie próbował się odsunąć, gdy lekko drapała go w ramię.

- Zawsze chciałam pracować. Od najwcześniejszych lat uwielbiałam książki i poezję. Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze wdawałam się w dyskusje z bibliotekarką, potem z nauczycielami i z kolegami ze szkoły, z przyjaciółmi. Wiedziałam, że chcę uczyć. A to znaczyło, że muszę skończyć studia, i Sam się na to zgodził. Tylko on pracował na nasze utrzymanie. I udało mi się to, Michael. Powoli, z trudem, kiedy wy byliście mali, skończyłam studia i zaczęłam uczyć. Im bardziej wszyscy rośliście, tym więcej nabierałam energii. A potem zdobyłam swoje stanowisko. Czegóż więcej może chcieć kobieta, która łączy życie rodzinne z karierą?

Prychnęła, kpiąc z samej siebie. - Myślałam, że mi się to wszystko udało. A teraz moja córka mówi, że tęskni za mną przez całe lata. Mówi, że ledwo sobie daje radę z matematyką, a ja nic o tym nie wiedziałam. Nie powiedziała mi o tym wcześniej, bo nawet przez chwilę nie mogła ze mną porozmawiać w cztery oczy. To przerażające, prawda? A Max, który ciągle jest

poza domem - albo na treningu, albo z Leigh? Czy to dlatego nigdy go nie ma w domu, że mnie też tam nie ma? Sam powiedział mi wprost, że w tamten wtorek powinnam była być w domu. Powiedział, że gdybym była na miejscu, nie stałoby się nic z tego, co się tego dnia zdarzyło.

- To tak boli - szepnęła. - Naprawdę myślałam, że wszystko idzie dobrze, a w tym, czego ja nie umiem zrobić, zastąpi mnie Teke, tak samo jak Johna zastąpi Sam i na odwrót. Związek między naszymi rodzinami był jedyny w swoim rodzaju. To było i praktyczne, i skuteczne, takie małe śliczne cacuszko. Myślałam, że to jest doskonałe.

Jęknęła cicho. - No tak, muszę ci powiedzieć, że to małe śliczne cacuszko roztrzaskało się. Twój dom jest wywrócony do góry nogami. Mój dom jest wywrócony do góry nogami. To samo w pracy. Nie mogę się skupić nad tym, co robię. Całe moje życie jest wywrócone do góry nogami.

Dostrzegła Sama stojącego przy drzwiach i umilkła. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale było też w nim coś tak kochanego i znajomego, w co - zważywszy fakt, że ją zdradził - aż trudno było uwierzyć.

- Opowiadasz mu coś miłego? - zapytał. Lekkie wahanie w jego głosie powstrzymało ją od ciętej riposty. Zanim wszedł do pokoju, zatrzymał się w progu, jakby przez chwilę obezwładnił go lęk.

- Użalam się przed nim - odpowiedziała, zwracając wzrok na Michaela. Łatwiej jej było patrzeć na jego pozbawioną wyrazu twarz niż na zboląłą minę Sama.

- Na co się użalasz?

- Na uczucia, które mnie przytłaczają. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem zależna od Teke. Moja lista spraw do załatwienia zaczyna już przybierać tasiemcowe rozmiary. Miałam zamiar załatwić wszystko później, ale skoro tu przyszedłeś, to możesz posiedzieć z Michaeliem, a ja sobie pójdę.

- Nie odchódź - szybko powiedział Sam. - Posiedź przy Michaelu razem ze mną.

- Jemu wystarczy, jeśli jedna osoba będzie do niego mówiła.

- Więc porozmawiaj ze mną, Annie. Proszę. Nie uciekaj ciągle przede mną.

Drżącymi ustami złapała powietrze. Życ z Samem tak jak teraz to była męczarnia, ale Bóg jej świadkiem, że nie była w stanie wyjść mu naprzeciw. Cierpienie było wciąż dojmujące.

- Już mnie przepraszałeś, a w tej chwili żadne twoje słowa nie są w stanie mi pomóc .

- Te wszystkie lata warte są tego, żeby choć o nich pomyśleć.

- Te wszystkie lata nie mają żadnego związku z tym, co w tej chwili czuję.

- A powinny.

Ze złością podniosła głowę. - Jakim cudem? To były lata miłości, czułości i zrozumienia, a nie złości i goryczy. Nigdy nie rozmawialiśmy o wzajemnym zadawaniu sobie bólu. To się wydawało niemożliwe.

Widząc jak przeczesuje dłonią włosy, pomyślała, że tym argumentem zatkała mu usta. Jednak szybko zripostował: - W porządku, i właśnie dlatego nie byłem przygotowany na to, co się stało. Czy ty tego nie rozumiesz, Annie? Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mógłbym dotknąć inną kobietę niż ty. Dla mnie to był taki sam szok, jak dla wszystkich.

- Po fakcie - przypomniała mu Annie. - W trakcie nie byłeś taki zaszokowany.

- Przed oczyma miałem ciebie, i tylko dlatego to się zdarzyło - powiedział Sam stanowczo. - Nie mógłbym się kochać z Teke. Ona mnie nie pociąga. Czy kiedykolwiek widziałaś coś, co świadczyłoby o tym, że jest inaczej?

- Żony ostatnie spostrzegają coś takiego. Ciężko westchnął. - Nie wierzysz mi?

- Na pewno ci nie wierzy - za ich plecami rozległ się głos Johna, który właśnie wkraczał do pokoju. - Można powiedzieć, że to rzuca nowe światło na te wszystkie uściski, pocałunki i na to całe trzymanie się za rączki, co robiłeś z Teke przez lata.

- W taki sposób okazują sobie sympatię dobrzy przyjaciele - oświadczył Sam. - Gdybyś ty był człowiekiem okazującym uczucia, zachowywałbyś się tak samo w stosunku do Annie.

John obrzucił Annie spojrzeniem. - Dobrze się czujesz?

Annie odczuła nieprzyjemne ukłucie. Nie podobała jej się ta jego kategoryczna ocena sytuacji. Aż się cisnął na usta argument, że gdyby był człowiekiem okazującym uczucia, Teke nie szukałaby ich u Sama. I następny argument, że coś musiało być nie w porządku w tym małżeństwie, coś, co pchnęło Teke w ramiona Sama.

- Wszystko w porządku - odrzekła i zarzuciła torebkę na ramię. - Właśnie wychodzę, skoro wy dwaj tutaj jesteście. - Nie miała ochoty przebywać w towarzystwie żadnego z nich. - Wysłałam Teke, żeby odetchnęła. Jeden z was powinien tu zostać, dopóki ona nie wróci.

- Nie mogę zostać długo - powiedział John. - O czwartej mam umówione spotkanie.

- Zawsze masz jakieś spotkanie o czwartej - warknął Sam. - A jeśli nie o czwartej, to o trzeciej albo o drugiej. Jeśli tylko nie chcesz gdzieś być, zawsze masz umówione spotkanie. To twój syn - wymierzył palec w Michaela - tutaj leży. W ogóle cię to nie obchodzi.

- Oczywiście, że mnie obchodzi - odparował John - ale nic mu nie pomogę, jeśli będę całymi godzinami dreptał wokół jego łóżka.

- Czy ty rozmawiałeś z nim kiedyś tak, jak wszyscy to robimy? A może możliwość, że on nic nie słyszy, kłóci się z twoim poczuciem dobrego smaku?

John przesunął wzrok z Sama na Annie i z powrotem. Dezaprobata na jego twarzy stała się jeszcze bardziej widoczna.

- A jakaż jest twoja rola w tym wszystkim? To ty wyrządziłeś mi krzywdę.

- A ty nie pozwalasz mi o tym zapomnieć. Patrzysz na mnie jak na powietrze, mijasz mnie bez słowa, mówisz tak, jakby mnie nie było. Na rany boskie, do czego nas to doprowadzi? Oboje z Annie chowacie głowę w piasek, jakby problem sam mógł zniknąć. Ale on się nie rozplynie w powietrzu! Wcześniej czy później będziecie musieli stawić mu czoło.

- Łatwo ci to powiedzieć - wtrącała się Annie. - To nie ty zostałeś zraniony.

- To prawda - przyznał Sam - ale to ja was zraniłem i przysięgam, że to jest jeszcze gorsze. Co mogę zrobić? Powiedzcie mi. Chcę naprawić szkody, ale żadne z was mi na to nie pozwala.

- Naprawić szkody? - zakpił John. - Szkody są nieodwracalne!

Sam wykręcał nerwowo palce. - I to wszystko? Więc już po przyjaźni? Już po współpracy? I już po małżeństwie? - Ostatnie pytanie zadał patrząc na Annie, ale ta nie miała nawet szansy odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili z łóżka doszedł jakiś ledwo słyszalny dźwięk.

Oczy Michaela były półotwarte. I zaraz powieki opadły, jednak za chwilę znów się uniosły, ciągle tylko do połowy, ale to było więcej aktywności niż okazał przez całe dziewięć dni.

Annie nachyliła się nisko nad chłopcem. - Michael! - wołała gorączkowo. - Słyszysz mnie? - Najpierw wzrok miał wbity w sufit. Powoli przesunął wzrokiem w dół, aż napotkał spojrzenie Annie. - Rozumiesz mnie? - wyszeptała, bojąc się mieć nadzieję.

Po chwili, w trakcie której Annie miała już przed oczami mrozące krew w żyłach wizje, potwierdził ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

Sam schwycił chłopca za ramiona. - Wiesz, gdzie jesteś?

Oczy Michaela lekko się poruszyły. Poparzył na Sama, a potem przesunął wzrok na Johna, także nachylonego nad łóżkiem, prześliznął się wzrokiem po pokoju i znów spojrzał na Annie. - W szpi...ta...lu... - poruszył ustami.

- Wspaniale! - wykrzyknął Sam z rozradowanym uśmiechem.

- Idę po lekarza - powiedział rozgorączkowany John i wybiegł z pokoju.

Annie uśmiechała się przez łzy ulgi. Gładziła Michaela po twarzy, po włosach, przesuwała palcami nad różową blizną, z której niedawno usunięto szwy. - Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Och, Michael, tak się o ciebie martwiliśmy! Jak się czujesz?

Oczy Michaela zamknęły się.

Rzuciła Samowi przerażone spojrzenie, a on wyglądał na równie przerażonego. - Nie, Michael - błagała.

- Otwórz oczy. Proszę, otwórz oczy.

Michael z trudem znów uniósł powieki. Przejechał językiem po wargach. - Pić... - wyszeptał.

Pielęgniarka i lekarz biegiem wpadli do sali. Annie myślała tylko o tym, żeby dać Michaelowi wszystko, czego zapragnie. - Chce mu się pić. Co możemy mu dać?

Lekarz nachylił się nad chłopcem. Przez chwilę świecił mu latarką w oczy, a potem, najwyraźniej zadowolony z wyniku badania, odłożył ją na bok.

- Wiesz, kim jesteś? - zapytał.

Michael znów potwierdził ledwo widocznym skinieniem głowy.

- Kim jesteś? - naciskał lekarz.

Odpowiedź była cicha i powolna, ale wyraźna: - Mi...chael Philip Max...well.

Dopiero wtedy lekarz pozwolił sobie na uśmiech.

- Można mu dać, co tylko chce. Zasłużył sobie. Co myślisz o koktajlu czekoladowym?

Michael pokręcił głową.

- Myślałem, że lubisz czekoladę.

- Cole - wyszeptał Michael i nieco skrzywiony zdobył się na szeroki uśmiech.

Podeksytowana pielęgniarka wybiegła z pokoju, by spełnić jego życzenie i przekazywała radosną wiadomość wszystkim na korytarzu.

Annie wyprostowała się. Zdejmując dłoń z ramienia Michaela, z radością i ulgą głęboko zaczerpnęła powietrza. - Ktoś musi przyprowadzić Teke.

- Nie patrz na mnie - odezwał się John.

A Annie słyszała w myślach, jak mówi: Jeśli uznała, że może wyjść, to równie dobrze może zobaczyć, co się stało, kiedy sama uzna za stosowne wrócić. Zresztą ona nie zasługuje na to, żeby brać udział w tej radości. To przez nią on się tutaj znalazł. Annie wcale nie czuła się mniej skrzywdzona przez Teke niż wcześniej, ale przecież Teke jest matką Michaela. To ona

przesiedziała przy Michaelu dziewięć długich dni czekając na jego przebudzenie. Trzeba ją było odnaleźć.

Przez chwilę Annie pomyślała, żeby wysłać po nią Sama, ale szybko uznała, że to zły pomysł. Nie chciała, żeby Sam poszedł po Teke. Nie ufała im, kiedy byli razem.

- Ja po nią pójde - rzekła i wyszła z pokoju.

## Rozdział 8

Sam nigdy w życiu nie doznał takiej ulgi, jak w chwili, gdy Michael otworzył oczy, świadomy gdzie jest i podał lekarzowi swoje nazwisko. Sukces w sprawie Dunn przeciw Hannoverowi bladł w porównaniu z tym zdarzeniem, choć i jedno, i drugie było dla Sama niezwykle istotnie i miało mieć konsekwencje dla jego życia. Gdy Michael leżał w śpiączce, Sam dźwigał brzemień winy i żalu i nie uwolniłby się od tego do końca życia, gdyby chłopiec się nie obudził. Dla niego przebudzenie Michaela było początkiem końca tego koszmaru. Jak wiele chłopiec pamięta sprzed wypadku pozostawało niewiadomą, ale w tej chwili to nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, że będzie żył.

Chłopiec budził się, to znów zapadał w sen. Był bardzo słaby, a prawą rękę i nogę miał unieruchomioną, trudno więc było ocenić, jaki wpływ mógł mieć uraz mózgu na jego sprawność ruchową. John był z tego powodu niezadowolony. Po długich dniach niepewności chciał teraz dokładnie wiedzieć, jak to będzie, i nie przestawał naciskać na lekarzy żądając wyjaśnień. Sam był po prostu wdzięczny losowi za przywrócenie Michaela do życia.

Koło wpół do szóstej w szpitalu zjawił się Max, prowadząc ze sobą Leigh, Janę i Zoe. Ich radosne podniecenie wypełniło cały pokój i przedostawało się na szpitalny korytarz, ale wydawało się, że nikomu to nie przeszkadza. Na oddziale, gdzie leżeli chorzy z urazami głowy, poprawa stanu zdrowia jednego pacjenta napawała nadzieją rodziny innych.

Annie wbiegła do pokoju o szóstej, a tuż za nią Teke z twarzą zalaną łzami. Nie mogła wykrztusić z siebie nawet słowa, tylko stała wpatrzona w Michaela, uśmiechając się przez łzy, a potem usiadła przy nim, otoczyła go ramionami i płakała wtulona w jego poduszkę.

Sam obserwował to ze ściśniętym gardłem. Modlił się, żeby Michael pamiętał o tym, jak bardzo matka go kocha, kiedy powróci mu pamięć, o ile to oczywiście w ogóle nastąpi.

Zdecydowany uczcić jakoś chwilę przebudzenia Michaela, Sam poszedł z Maxem do pobliskiej pizzerii i przynieśli stamtąd cztery olbrzymie pizze i całą torbę napojów. Zapach, który teraz wypełnił pokój Michaela, był radykalną zmianą w porównaniu z wcześniejszą sterylno-

ścią tego pomieszczenia. Wszyscy rzucili się na pizzę, jakby nie jedli kilka dni, tylko Michael nie jadł, to zapadając w drzemkę, to znów się budząc. Dzieciom wcale nie przeszkadzało, kiedy miał zamknięte oczy. Nieustannie zasypywały go pytaniami.

- Co czuleś przez ten cały czas? - chciała wiedzieć Jana.

- Założę się, że to było jak unoszenie się w powietrzu - spekulowała Zoe. - Wszystko białe i lekkie.

Jana pokręciła głową. - Wcale nie białe i lekkie. Ciemne i ciężkie. Całe ciało ciążyło mu i było tak, jakby ogarnęła go wielka ciemna chmura. Tak jakby chciał się podnieść, ale coś go ciągnęło w dół.

- Czytałem o różnych takich przeżyciach, kiedy człowiek żyje poza ciałem - odezwał się Max. - To jakbyś tu był, ale cię nie było. Czy to było coś takiego? Słyszałeś, co do ciebie mówiliśmy?

- Czuleś coś? Czuleś zapachy? - pytała Leigh.

Michael otworzył oczy. Jego wzrok spoczął na Leigh, która siedząc na brzegu łóżka była najbliżej. Na jego twarzy pojawiło się niezadowolenie - jednak po dziewięciu dniach braku jakiegokolwiek reakcji, nawet ten wyraz twarzy Michaela Sam przyjął z radością.

- Unoszenie się - powiedział chłopiec schrypniętym głosem i dorzucił: - Chyba tak - po czym znów zamknął oczy.

- Unoszenie się - zadumała się Jana. - To niesamowite. Wiedziałaś cały czas, gdzie jesteś?

Michael nie otwierając oczu skinął głową.

- Chciałeś mówić, ale nie mogłeś? - dociekała Zoe. Znów na jego twarz wypłynęło niezadowolenie.

- Czuleś, co się dzieje z twoim ciałem? - spytała Leigh. - Że ktoś ci gimnastykuje rękę albo nogę?

Powieki Michaela uniosły się, ale wzrok miał odległy. Wydawał się zakłopotany. - Czasami.

Max nachylił się nad nim. - Założę się, że kiedy tu tak leżałeś, a my do ciebie mówiliśmy, myślałeś sobie, że pleciemy bzdury. Ale kiedy człowiek się zastanawia, co ma powiedzieć, czasami plecie trzy po trzy, bo i tak nikt mu nie odpowie.

Sam powrócił w myślach do tego, co sam powiedział Michaelowi. Chłopiec nie musiał pamiętać wypadku, żeby wiedzieć, co się stało. Jedno spojrzenie na Teke wystarczyło, żeby

Sam wiedział, że ona myśli o tym samym. Stała pod ścianą i choć jej policzki po raz pierwszy od dziewięciu dni zarumieniły się, wyglądała na przerażoną.

Napotkał wzrok Annie. Sposób, w jaki prześliznęła się spojrzeniem po Teke, a potem wpatrzyła się w podłogę, mówił sam za siebie. Podobnie jak jej spuszczone głowa. Zastanawiał się, co też ona powiedziała Michaelowi, kiedy siedziała z nim sama. Widział, że czuje się niezręcznie, że ta sytuacja jest dla niej kłopotliwa, a nawet napawa ją lękiem.

Wrócił John, który właśnie zakończył kolejną serię rozmów telefonicznych. Wziął kawałek pizzy i zapytał:

- Jak się czuje mój chłopiec?
- W porządku - szepnął Michael.
- Nie jesz pizzy?

Chłopiec pokręcił głową. Jego wzrok prześliznął się z Johna na Teke, która stała nieco dalej, a potem jeszcze trochę dalej, na Annie, a potem na Sama. Sam czuł się niezręcznie pod tym zakłopotanym spojrzeniem. Ono sugerowało, że Michael jednak pamięta, co się stało.

- No tak - rozległ się tubalny głos Johna Stewarta, który właśnie wkraczał do pokoju, ciągnąc za sobą Lucy.

- Tu cię mamy. Martwiliśmy się o ciebie, chłopcze.

Lucy położyła małe kolorowe pudełeczko na nocnej szafce obok łóżka. - Świeże trufle dla mojego miłośnika czekolady - powiedziała. Przycisnęła dłoń do ust, a potem do policzka Michaela, przekazując mu w ten sposób pocałunek.

Zdołał się zdobyć na słaby uśmiech.

Zoe klasnęła w dłonie. - Musimy zadzwonić do Terry'ego i Alexa. Przychodzili tu prawie codziennie. Byli przerażeni.

- I do Josha, Tommy'ego i Nata - dorzuciła Jana.
- I oczywiście do Karie Stevens - zakończyła Zoe ze znaczącym westchnieniem. - Ciągle o ciebie pytała, Michael. Myślę, że ona bardzo cię lubi.

Leigh przybrała surowy wyraz twarzy. - O co wam chodziło, że w ten sposób wyszliście ze szkoły?

- MTV - poruszył ustami Michael.
- Jeden głupi koncert był wart tego wszystkiego? - spytał Max. - Tak się nie robi, człowieku. To była głupota.



- Mogli cię za to zawiesić w szkole - powiedziała Zoe. Jana chrząknęła. - A zamiast tego potrafił cię samochód! Nie widziałeś, że nadjeżdża?

- A jak mógł to zobaczyć? - spytał Max. - Zza drzew nie widać ulicy.

- Nawet nie słyszałeś samochodu? - naciskała Jana.

- Na naszej ulicy nie ma takiego dużego ruchu, żebyś nie mógł usłyszeć samochodu. O czym ty myślałeś?

Niepokój Sama rósł. Modlił się w duchu, żeby już dała temu spokój, ale Jana była taka sama jak John, a John nigdy niczemu nie dawał spokoju.

Zoe uspokajająco ucisnęła ramię Jany. - Myślamy był już na koncercie - powiedziała cicho.

- Ale przecież mama uczyła go, żeby nie przechodził przez ulicę, zanim się nie rozejrzy. To zasada numer trzy, zaraz po tym, że nie wolno wkładać palców do kontaktów elektrycznych i że trzeba opuszczać klapę sedesu, jak się odlejesz.

- Jana! - zbesztła ją Lucy. - Co to za język!

- Teraz to nie ma znaczenia - szepnęła Zoe do Jany.

- Ma znaczenie. Gdyby patrzył, gdzie idzie, nic by się nie stało.

- On nie myślał.

- Dlaczego nie myślał?

- Mama i Sam - wymamrotał Michael, a wszystkie głowy zwróciły się w jego kierunku.

Sam miał ściśnięte gardło. Łamał sobie głowę, jak to wszystko przerwać, ale nie mógł niczego wymyślić. Spojrzał na Annie. Miała spuszczoną głowę i ręce splecione na brzuchu.

- Co? - spytała Leigh, nachylając się nad Michaeliem, który znów wydawał się zakłopotany.

- Widziałem - szepnął, zamykając oczy.

- Co on widział? - Leigh zwróciła się do Maxa.

- Mama i Sam? - powtórzyła Jana z pytaniem w głosie.

Zakłopotana Zoe zwróciła się do Sama: - Co on widział?

Jednak zanim Sam zdobył się na jakąś odpowiedź, Leigh wysapała: - Rany boskie! Will Clinger!

Oczy Jany rozszerzyły się. - Virginia Clinger! - Odwróciła się do Teke. - To prawda!

Zoe potrząsnęła głową. - Nie.

- Ale Michael powiedział! - upierała się Leigh.

- Jezu! - To wyszło z ust Maxa, który wpatrywał się w Sama jak w obcego człowieka.

Sam podniósł dłoń. To nie tak, jak myślicie - chciał powiedzieć, ale mówienie takich banałów nie miało sensu. Wypalił bez namysłu: - To jest trudne dla Annie, ale widział mnie w niedwuznacznej sytuacji z Teke. - I nic więcej.

- Mamo? - spytała Jana, teraz pobladła. - Czy to prawda?

Dezaprobata na twarzy Johna Stewarta pogłębiała się, gdy przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. - O czym oni mówią?

- O błędzie - powiedział John. Z kamienną twarzą wpatrywał się w Sama, który w tym momencie czuł się tak, jakby od słów, jakie teraz wypowie, zależała przyszłość wszystkich obecnych w tym pokoju. Był przyzwyczajony do szybkiego formułowania myśli - to była część jego pracy na sali sądowej - jednak studia prawnicze nie przygotowały go do takiej sytuacji.

- Mamo? - naciskała Jana ze wzrokiem wbitym w bladą jak płótno twarz Teke. - Ty z Samem?

- Powiedz coś, mamu - błagała Leigh.

- Wasz ojciec ma rację - odezwała się Teke drżącym głosem. - To był błąd.

- Nie podoba mi się to, co słyszę - ostrzegł John Stewart.

- Naprawdę to się stało? - Max spytał Sama.

- Coś się stało - przyznał Sam - ale od nas zależy, jak to nazwiemy.

Jana gwałtownie zwróciła się do niego. - Przerznąłeś moją matkę?

Twarz Johna Stewarta oblała się purpurą. Leigh nie mogła złapać tchu. Zoe skuliła się. Annie płakała.

- Rany boskie, Jana!

- Zrobiłeś to? - Max spytał Sama.

Przez chwilę kusiło go, żeby zaprzeczyć, ale przypomniał sobie, jak zawsze ostrzegał klientów w sądzie. „Muszę wiedzieć wszystko, całą prawdę - zwykł mawiać. - Powiedz mi wszystko, a może sobie jakoś poradzimy. Ale jeśli mi powiesz tylko część prawdy albo skłamięś i coś mnie zaskoczy w środku procesu, nie licz na mnie. Nie będę cię bronił". Intuicja podpowiadała mu, że gdyby teraz skłamał, kosztowałoby go to dziesięć razy więcej niż przyznanie się do prawdy.

- Do diabła! - wybuchnął John Stewart. - Wiedziałem, że z nim będą kłopoty. Z nim i z nią tak samo. Dobra robota, Johnie Davidzie, dobra robota.

John Stewart nie zdążył nawet dokończyć, gdy John ujął rodziców za ręce i pośpiesznie poprowadził ich do drzwi. - Lepiej będzie, jeżeli stąd wyjdziecie. Musimy sami porozmawiać.

John Stewart nie ustępował. - Ostrzegalem cię.

- Nie teraz, tato.

- Zaufaj mi, mówiłeś. Wiem co robię. I popatrz, do czego to teraz doprowadziło.

- Tato...

Sam nie czekał, aż usłyszy wszystko, co John Stewart ma do powiedzenia. W dwóch susach znalazł się przy drzwiach i powiedział przyciszonym głosem: - Mamy tutaj trudną sytuację. Michael ciągle nie pogodził się z tym, co się stało, zanim wybiegł z domu, wszyscy są przygnębieni, a ja sam, szczerze mówiąc, nie wiem, co mam powiedzieć.

- Powinieneś był myśleć...

- Wystarczy, Johnie Stewarcie. Mów, co tylko chcesz, ale nie teraz. Teraz chcemy zostać sami. - Zwrócił się do Lucy. - Weź Johna Stewarta do domu, dobrze? Dajcie nam trochę czasu. Musimy spróbować znaleźć sposób, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

- On ma rację, John - powiedziała Lucy niespokojnym głosem i pociągnęła męża za rękę.

- John David później do nas zadzwoni, prawda?

John bez odpowiedzi wyprowadził ich za drzwi.

- Zadzwon do mnie - polecił John Stewart.

- Dobrze - odpowiedział mu syn.

Sam powinien był odczuć ulgę, kiedy starsi Maxwellowie znaleźli się za drzwiami, ale dobrze wiedział, że najgorsze jest przed nim. Przeczesując palcami włosy, jeszcze chwilę stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, zanim powoli się odwrócił.

Wszystkie oczy były na nim - Leigh i Max wpatrywali się w niego z drugiej strony łóżka, Annie spod okna, Teke spod ściany. John wkroczył do pokoju i zajął miejsce przy drzwiach, ramiona krzyżując na piersi. Ta pozycja wyraźnie mówiła, że nie zamierza mu w najmniejszym stopniu ułatwić sytuacji.

Ciszę przerwał głos Jany, która przemówiła z wyraźną wrogością. - Więc to dlatego Michael wybiegł z domu, tak?

Sam przypomniał sobie, że Jana już niezupełnie jest dzieckiem - oni wszyscy już nie byli dziećmi - wykształceni, nowocześni, przyzwyczajeni do szczerych rozmów - w żadnym wypadku nie byli małymi dziećmi. I właśnie dowiedzieli się, że dwoje dorosłych, których darzyli całkowitym zaufaniem, zawiodło to zaufanie. Należało się spodziewać wrogości.

Uważnie dobierał słowa. - Michael zobaczył coś, czego nie rozumiał.

Max był nastawiony równie wrogo jak Jana. - Michael nie ma dwóch lat i nie jest głupi. Dobrze wiedział, co oni robią, prawda Michael?

Oczy Michaela pozostawały zamknięte.

- W porządku - powiedział Sam. - Gdyby myślał, że gwałcę jego matkę, powinien skoczyć, uderzyć mnie i odciągnąć, ale niczego takiego nie zrobił, więc mógł uznać, i tak uznał, że mamy z jego matką romans. Tyle że to nieprawda. Nie mamy romansu.

- Więc co to było? - zapytał Max.

- Jednorazowy błąd.

- Zawsze mówiłeś, że monogamia jest najlepsza.

- Bo jest...

- I mówiłeś, że powinniśmy być lojalni w stosunku do ludzi, których kochamy, a sam masz w nosie wierność, kiedy cię tylko najdzie potrzeba.

- Nie naszła mnie potrzeba, żeby to zrobić z Teke - upierał się Sam. - Tak samo jak i jej nie naszła potrzeba, żeby być ze mną.

- Więc dlaczego to zrobiłaś? - Leigh przeniosła oszołomione spojrzenie na Teke.

Teke uniosła palec do ust, jakby chciała powstrzymać słowa, zanim napłyną te właściwe. Ostatecznie powiedziała: - Tak, to był błąd. Nigdy wcześniej, przez całe małżeństwo, nie zdradziłam waszego ojca.

- Ale jak mogłaś to teraz zrobić? - spytała Leigh. Zanim Teke zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się Jana:

- Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Nawet nie patrzyłaś na nikogo, ani nic nie mówiłaś. - Zwróciła się do Johna: - Wiedziałeś o tym już od jakiegoś czasu, prawda?

John potwierdził skinieniem głowy. Ręce miał ciągle skrzyżowane na piersi.

Zoe, chwytając Annie za łokieć, spytała cichutko: - Ty też?

Annie ciągle stała z opuszczoną głową. Wahala się chwilę, ale też skinęła głową.

- Jak on ci to mógł zrobić? - to Max zadał to straszne pytanie.

Sam poczuł tnące ostrze tych słów. Słyszając je, chciał otoczyć Annie ramieniem, chronić ją. Jednak bał się, że gdyby spróbował, mogłaby się wyśliznąć z jego objęcia. Coś takiego w obecności dzieci jeszcze pogorszyłoby sprawę.

Annie wbiła zażawione spojrzenie w sufit i westchnęła ciężko. Wreszcie z nikłym uśmiechem powiedziała: - Ciągle usiłuję to zrozumieć.

Zoe przybliżyła się do niej i wsunęła rękę w jej dłoń.

Sam próbował pochwycić wzrok Zoe, ale ta nie chciała na niego spojrzeć. To bolało go tak samo jak cierpienie Annie. Byli z Zoe zawsze tak blisko. Była zawsze jego małą córeczką, zawsze będzie jego małą córeczką. Jednak Zoe nie spojrzała na niego.

- Zrozum - powiedział Sam ze smutkiem w głosie - co się stało, już się nie odstanie. Ostatnie dziewięć dni to było prawdziwe piekło. Ale najważniejszy ciągle jest Michael.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę łóżka.

- Czy z nim wszystko w porządku? - szepnęła Zoe.

- Michael? - zawołała Leigh, lekko potrząsając jego ramieniem.

Michael otworzył oczy wystarczająco szeroko, by dać jej znak, że słyszy, a potem znów zapadł w drzemkę.

- Może on nie chce na ciebie patrzeć? - zwróciła się Jana do Sama, jednocześnie obrzucając spojrzeniem Teke.

Sam nawet nie mrugnął okiem. - Może nie chce, ale ja tu ciągle będę i zrobię wszystko, żeby mu pomóc stanąć na nogi.

- Może mój ojciec tego nie chce? - upierała się Jana.

Sam zastanawiał się, czy zawsze będzie na niego tak obrażona, czy po prostu chce wystąpić w obronie swojego ojca. I jedno, i drugie zapowiadało kłopoty na przyszłość. Jednak ciągle był nastawiony ugodowo. - Może nie chce - powiedział - ale chciałbym myśleć, że przedkłada opiekę nad Michaeliem nad to, co nas dzieli.

- A co będzie z Willem Clingerem? - spytała Leigh. John w końcu przemówił. - Ja się zajmę Clingerami.

Już nie będą więcej roznosić plotek.

Max klepnął ręką w udo i mruknął: - Gówna prawda.

- Co to ma znaczyć? - spytał Sam.

- To ma znaczyć, że plotki są prawdą, a wie o tym połowa szkoły, i to jest obrzydliwe.

Samowi zaczynały puszczać nerwy. - Och, daj spokój, Max. To jest tak obrzydliwe, jak chcesz to widzieć. Wszyscy popełniamy błędy. Najważniejsze jest to, czy potrafimy z nich wyciągać właściwe wnioski.

- Więc spodziewasz się, że po prostu o tym zapomnimy? Zupełnie tak, jak gdyby nic się nie stało?

- Nie. Nawet gdyby Michael nie leżał w tym łóżku, to jeszcze pozostawałaby sprawa stosunków Teke z Johnem i moich z Annie. Pozostawałoby jeszcze to, co wy o mnie sądzicie, a to jest dla mnie bardzo ważne, tak samo jak to, co ja sam o sobie myślę. A nie jestem z siebie zadowolony.

Max był niewzruszony. Zwracając się do Annie, powiedział: - Jadę do domu. Nie mogę tego znieść.

- Max, proszę - błagała Annie.

- Jak ty to możesz znieść? - spytał.

- Dość tego, Max - wtrącił się Sam.

Jednak Max nie ustępował. - A ty nam mówiłeś, żeby nie szukać przygód! Żeby poczekać! Ty mówiłeś, żeby nie ulegać chwilowym potrzebom! Co za kutas! - Schwycił dłoń Leigh. - Chodźmy.

- Max! - krzyknęła Annie. - Max, zaczekaj!

Max był już blisko drzwi, kiedy Leigh go powstrzymała. - Co?

- Zabierz Zoe i Janę.

Jana natychmiast wyraziła sprzeciw. - Chcę zostać z Michaelem.

Zoe spojrzała na Annie. - Chcę zostać z tobą.

- Michael powinien odpocząć, a ty powinnaś ochłonąć - zwróciła się Annie do Jany, a biorąc twarz Zoe w dłonie, powiedziała: - Będzie lepiej, jeśli pojedziesz do domu. Ja nie zostanę tu długo.

- Dobrze się czujesz?

- No jasne.

Jednak Sam w to wątpił. Annie była taka drżąca i blada. Martwił się o swoje stosunki z dziećmi, ale teraz nagle dotarło do niego, że i Annie martwi się o to samo. Ramiona miała przygarbione, podbródek opuszczony. Uderzyło go, że wygląda jak cień, który w każdej chwili może zniknąć, jeśli tylko zapali się jaśniejsze światło.

Tak nie powinno być! - krzychało coś w jego głowie. Ona nie ma się czego wstydić. To on był winny, i im dłużej ją obserwował, tym bardziej poczucie winy narastało.

Max czekał na korytarzu aż Leigh, Jana i Zoe ucałują Michaela na pożegnanie. Zoe jeszcze ostatni raz wpatrzyła się w Annie, aż wreszcie podążyła za dziewczynkami, a Annie poma-chała jej ręką.

Gdy dzieci wyszły, zapanowała nagle i absolutna cisza. Nie przerywały jej nawet dźwięki aparatury medycznej, bo ta została odłączona, kiedy tylko Michael odzyskał przytomność.

Sam przenosił spojrzenie z twarzy na twarz. Tylko ich czworo było w pokoju. I Michael. Podeszedł do łóżka. Oczy Michaela pozostawały zamknięte, ale to nie były już martwe powieki dziecka w śpiączce. Ani jego twarz nie była już pozbawiona wyrazu. Mógł co chwila zapadać w drzemkę, ale Sam podejrzewał, że chłopiec jest świadomy tego, co się dzieje.

- Próbowałem wyjaśnić, co się stało - zaczął cicho - ale chyba żadne wyjaśnienie niczego tu nie poprawi. Przede wszystkim chciałem powiedzieć, że jest mi przykro, naprawdę przykro. - Wpatrywał się w Annie, która wbiła wzrok w podłogę. - Nigdy w życiu niczego nie żałowałem tak bardzo jak tego, co stało. I zrobię wszystko, żeby to naprawić, ale musicie mi wskazać kierunek.

- Nigdy przedtem nie trzeba ci było wskazywać kierunku - powiedział John.

- To nieprawda. Ty mi wielokrotnie wskazywałeś kierunek.

John sapnął. - Nie żartuj sobie. Brałeś, co chciałeś, a zostawiałeś to, co ci nie było potrzebne. Zawsze sobie wszystko dobrze planowałeś.

Sam odchylił się do tyłu. - Po co ty to mówisz?

- Bo w tym jest sens. Byłem dla ciebie kimś, do kogo mogłeś się podczepić. Miałem to, czego ty nie miałeś. Skorzystałeś z moich kontaktów, żeby uzyskać rekomendacje na studia.

- Sam mi to zaproponowałeś...

- Korzystałeś z mojej wiedzy, żeby skończyć studia...

- Na zajęciach nudnych jak diabli, ale kto cię przeciągnął przez praktykę?

- To dzięki moim kontaktom dostałeś się do biura prokuratora okręgowego i to ja wciągnąłem cię do Maxwell, Roper & Dine.

- Jak na razie nie straciłeś na tym ani centa - zaczął się bronić Sam.

- Ach, i to nas prowadzi do sprawy Dunn przeciw Hanoverowi. To dzięki temu znalazłeś się na szczycie. Wielkie pieniądze wpływają na samopoczucie. Nawet pomyślałeś, że jeśli zarobiłeś dla firmy takie pieniądze, to masz prawo do żony współnika, tak?

- John... - Teke próbowała to przerwać. Obrzucił ją spojrzeniem. - Na twoim miejscu trzymałbym język za zębami. Jesteś taka sama jak i on.

- Ale on nie chciał tego zrobić. Ja nie chciałam tego zrobić i jest mi tak samo przykro jak jemu. - Spojrzała na Annie, która ciągle miała spuszczone głowę. - Cokolwiek to warte, bardzo was przepraszam.

Annie wtuliła się w ścianę. Nie mogąc znieść tego widoku, Sam podszedł do niej, ale kiedy wyciągnął rękę, uchyliła się. - Wychodzę - powiedziała zgnębionym głosem.

- Annie? - z łóżka doszedł schrypnięty szept. Złapała powietrze i szybko znalazła się przy łóżku.

- Co, kochanie?

Michael otworzył oczy tak szeroko, jak nigdy do tej pory, ale głos miał słaby i schrypnięty. - Nie chciałem tego powiedzieć.

Pogładziła go po włosach. - Och, Mike, to nie twoja wina. Nie powiedziałeś niczego takiego, czego nie powinieneś być powiedzieć.

- Wszyscy są źli.

- Nie na ciebie. Nigdy na ciebie. Masz myśleć tylko o tym, żeby wyzdrowieć.

Zamknął oczy. Pocałowała go w czoło. Kiedy się wyprostowała, jej wzrok padł na pustą puszkę po napoju, stojącą na monitorze. Sięgnęła po nią. - Wkrótce przeniosą cię do innej sali, więc trzeba tu posprzątać.

Sam nagle się ożywił i wziął puszkę z jej ręki. - Ja to zrobię.

- Nie musisz - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Muszę - upierał się i dodał, jakby chciał w ten sposób przekazać coś znacznie ważniejszego: - To ja narobiłem bałaganu i ja muszę posprzątać. - Spojrzał na Johna, na Teke i znów na Annie. - Ja narobiłem bałaganu i ja posprzątam. Wszystko doprowadzę do porządku. Przyśięgam.

Annie pojechała prosto do domu. Od razu poszła na poddasze, zwinęła się w kłębek na fotelu przy oknie i pograżyła się w rozmyślaniach.

- Dobrze się czujesz, mamó? - spytał Max.

Poderwała się gwałtownie i piskliwie potwierdziła. Wszedł do pokoju, zbliżył się do biurka i nie patrząc na nią, rzekł:

- Przepraszam, że w szpitalu zrobiłem scenę, ale nie żałuję tego, co powiedziałem.

Annie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, pozostała więc milcząca.

- Nie mogę uwierzyć, że on to zrobił.

- To nie tylko jego wina. Do tego trzeba dwojga.

- Ale on powinien być silniejszy. Powinien się kontrolować. To by się nie stało, gdyby nie chciał tego zrobić. - Spuścił głowę. Głos miał zgłuszony. - Myślisz, że chciał tego?



Annie zadawała sobie to pytanie już tyle razy, że nieustanne powtarzanie doprowadzało ją do szału. - Po prostu nie wiem.

- I to z Teke. To gorzej niż z kimkolwiek innym. Przecież ona jest dla nas jak druga matka. Jak on to mógł zrobić właśnie z nią?

- Mówi, że to był tylko jeden raz.

- Wierzysz mu?

- Jeślibym wierzyła, to byłoby mniej bolesne.

- A wierzysz?

- Nie wiem, w co wierzyć, Max. Jestem tak samo oszołomiona tym wszystkim jak ty.

Przez chwilę milczał. Potem odszedł od biurka i zbliżył się do ściany, gdzie oparł się o korkową tablicę, na której Annie wśród ulubionych zdjęć pineskami przypinała karteczki z nagryzonymi odręcznie notatkami.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś? - zapytał. Zaczerpnęła powietrza, żeby się nieco uspokoić. -

Dzień po tym, kiedy to się stało.

- I ciągle jesteś oszołomiona?

- Ciągle.

- Co za fiut!

- Max, proszę.

Nie na wiele to się jednak zdało. O ile do tej pory Max ze względu na nią starał się trzymać w ryzach, to teraz całe jego opanowanie prysło. - Ale on jest fiutem. I na dodatek obrzydliwie zakłamanym fiutem. - Prychnął pogardliwie. - I te wszystkie jego kazania, że należy postępować właściwie. Wojujący prawnik. Mężczyzna, który kieruje się uczuciami i umie zaprowadzić nad popędami. Ileż ja się tego nasłuchałem. To kpina!

- Proszę, Max. Nie wszystko w nim jest złe.

Max odwrócił się gwałtownie. Oczy miał ciemne, błyszczące pasją, tak samo jak Sam, kiedy zapalczywie dowodził swoich racji. - Jak możesz tak mówić? Mówi ci, że cię kocha, a potem odwraca się na pięcie i idzie do łóżka z inną kobietą. I to jeszcze nie byłoby najgorsze, gdyby poderwał sobie dwudziestopięcioletnią lalunię. Wtedy można by było to wytłumaczyć, że chciał się dowartościować, że to kryzys faceta po czterdziestce albo coś w tym stylu. Ale z Teke?

- Max, tylko pogarszasz sprawę - ostrzegła Annie. Nie musiał jej przypominać, ile ma lat, ani tego, że Sama każdego dnia otaczają atrakcyjne młode dziewczyny.

- W porządku, ale nawet jeśli ty nie jesteś wściekła, to ja jestem.

- Jestem wściekła, ale nic tu nie pomoże, jeśli będziesz obrzucał ojca wyzwiskami.

- Więc co pomoże?

- Nie wiem!

- Mamo? - doszedł ją złęknięty głosik Zoe. - Dlaczego krzyczysz?

- Krzyczę, bo Max krzyczy! - wrzasnęła Annie. - Powiedz mi, co mam zrobić, Max?

Max gwałtownie ruszył do drzwi. - Nie wiem. Może powinnaś się z nim rozwieść. Zasłużył sobie na to. - Zanim Annie zdążyła odpowiedzieć, już zbiegał na dół po schodach.

- Rozwiedziesz się, mamo? - spytała cichutko Zoe, podchodząc do niej.

Annie przyciągnęła ją do siebie. Zoe, cała drżąca, wtuliła się w jej ciało. Annie też drżała. Samo słowo „rozwód” przyprawiało ją o dreszcze.

- Rozwiedziesz się? - szepnęła Zoe.

Annie ucałowała jej miękkie jasne loczki. - Nie myślałam o tym.

- Bo jesteś zbyt zdenerwowana, żeby o tym myśleć, czy dlatego, że nie chcesz rozwodu?

- Nie chcę rozwodu - powiedziała Annie, wiedząc, że to prawda.

- Nawet po tym, co tatuś zrobił?

- To, co tatuś zrobił, jest nie do pomyślenia. To bardzo nieprzyjemne i bardzo, bardzo złe. To mnie zraniło i jestem zła. Chciałabym mu odpłacić czymś równie nieprzyjemnym, ale rozwodu się nie bierze z zemsty. Tatuś i ja jesteśmy małżeństwem od dziewiętnastu lat. Nie wiem, jak mogłabym to wszystko odrzucić.

- Będziesz mogła mu wybaczyć?

Przebaczenie to jedno, a zaufanie to co innego.

- Nie wiem.

- Ale jeśli nie będziesz mogła mu wybaczyć, jak możesz z nim żyć?

- Być może nie będę w stanie - przemówiła przez nią wściekłość.

- Więc się z nim rozwiedziesz?

Annie przywołała w pamięci chwile, kiedy Max lub Zoe wracając ze szkoły mówili o tym, że czyiś rodzice się rozwodzą. Wtedy padały słowa: tragiczne, trudne, załamujące. Tak się mówiło o rozwodach. Annie Wczuwała się w sytuację dzieci z rozbitych małżeństw i prosiła własne dzieci, by okazywały zrozumienie i pomoc tym nieszczęśliwym kolegom. Rodzina

Pope'ów miała niezbitą pewność, że ten problem nigdy jej nie będzie dotyczył. Jakże byli zadufani w sobie.

Annie mogła zrozumieć lęk Zoe. Sama też była pełna obaw. - Nie chcę rozwodu, kochanie. Nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, że kiedyś mogłabym wypowiedzieć to słowo w odniesieniu do taty i mnie.

- Nadal go kochasz?

- Tak. Jedno popołudnie nie może zabić miłości całego życia. - Głos jej się załamał. Oczy znów zaszyły łzami. - Właśnie dlatego to jest takie bolesne - zdołała wydobyć z siebie zgłuszony szept.

- A on cię nadal kocha?

Upłynęła chwila, zanim Annie zdołała pokonać dławiący ucisk w gardle, by móc wydobyć z siebie głos.

- Mówi, że tak.

- Wierzysz mu?

Wystarczyło zdobyć się na trochę dobrej woli, by uznać, że jego wyjaśnienia, jak doszło do incydentu z Teke, są do przyjęcia. - Chcę wierzyć.

- A kiedy będziesz tego pewna?

- Nie wiem. Chyba potrzeba na to czasu.

Zoe ucichła. Zaczęła się kołysać w ramionach Annie, a ta, nawet ze łzami napływającymi do oczu, musiała się uśmiechnąć. Kiedy Zoe była małym dzieckiem, Annie kołysała ją, by ją uspokoić, pocieszyć albo po prostu sprawić jej przyjemność. Kiedy tylko kołysanie ustawało, Zoe zaczynała sama kołysać się w jej ramionach. Więc teraz Annie kołysała się razem z nią, zastanawiając się tylko, kto tym razem kogo pociesza.

- Mamo, co z nami jest?

- Hm?

- Czy nie jesteśmy wystarczająco ładne? Wystarczająco pociągające?

Annie poczuła ucisk w sercu. - Dla kogo?

- Dla mężczyzn. Popatrz na Janę. Zawsze myślałam, że jestem tak samo ładna jak ona, ale to z nią chłopcy chcą się umawiać.

- Kto tak powiedział?

- Ja to widzę.

- Ale przecież ona nie ma chłopca... - Chyba że Annie, zajęta ciągle pracą, nie zdążyła tego zauważyć. - Myślałam, że wychodzicie zawsze w większej grupie z chłopcami.

- Tak i wszyscy chłopcy z tej grupy lepią się do Jany, tak samo jak tata do Teke. Co z nami jest nie w porządku?

Annie jęknęła. - Och, kochanie, wszystko jest z nami w porządku.

- Więc dlaczego tak jest?

- Może dlatego, że jesteśmy spokojniejsze.

- Może dlatego, że mamy małe piersi?

- Zoe.

- Mówię serio. Chłopcy lubią duże piersi.

Czas się cofnął. Annie znów była w wieku Zoe i mówiła swemu ojcu to samo, co teraz usłyszała od własnej córki. - Wiesz, co dziadek Pete mówił, kiedy mu się na to skarżyłam?

- Co?

- Mówił, że duże piersi z wiekiem robią się obwisłe i że na dłuższą metę powinnam być zadowolona z tego, jaka jestem.

- Tak, pewnie miał rację - odpowiedziała Zoe z mądrością, której Annie nie miała w jej wieku - ale co na krótszą metę? Chłopcy nie powinni się uganiać tylko za Janą. A tatuś powinien chcieć ciebie w ten sam sposób co Teke.

Annie zgodziła się. - Wiesz, co jeszcze dziadek Pete powiedział?

- Co?

- Powiedział, że dobre rzeczy zdarzają się tym, którzy na nie czekają.

- I to znaczy, że ja mam być cierpliwa. Chłopcy będą na mnie zwracali uwagę, ale co z tobą? Tobie pewnie już się przydarzyły te dobre rzeczy. Będiesz czekała, aż on się zdecyduje, że znowu ciebie chce? A co w tym czasie? Będiesz z nim spała w jednym łóżku? Będiesz z nim wychodziła na kolacje? - Westchnęła. - A co ze Świętem Dziękczynienia? I z Bożym Narodzeniem? A z Nowym Rokiem? A co z nartami? Mamo, co my zrobimy?

Annie nie wiedziała, po prostu nie wiedziała.

\* \* \*

„John Stewart czeka” - głosiła wiadomość na firmowym druczku firmy Maxwell, Roper & Dine, napisana odręcznie przez Mary McGonigle. John zastał ją na swoim biurku, kiedy zjawił się w firmie następnego ranka.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kartkę papieru, pragnąc ją zignorować, ale też wiedząc, że nie może sobie na coś takiego pozwolić. Wczoraj mogło mu się udać zbyć Johna Stewarta, ale dzisiaj to już było niemożliwe.

Zmiał kartkę w kulkę i cisnął ją do kosza, kiedy skierował się do drzwi. Kroczył przez korytarz, starając się za wszelką cenę zachować spokój, by wejść do gabinetu ojca z podniesioną głową.

- Najwyższy czas - mruknął John Stewart, wskazując brodą drzwi.

John zamknąłby je i tak. Nie trzeba go było pouczać. Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić na to, by coś z tej rozmowy dotarło do obcych uszu, a szczególnie do uszu Mary McGonigle.

John Stewart nie marnował czasu i od razu przystąpił do rzeczy. - Więc? Rozwódzisz się z nią?

John podszedł do okna. Bezwiednie zaczął pocierać miedzianą obudowę ustawionego tam teleskopu. - Skąd ja wiedziałem, że właśnie takie pytanie mi zadasz?

- No cóż, to jest najbardziej stosowne pytanie w tej sytuacji, nie sądzisz?

- Właściwie bardziej stosowne byłoby pytanie, jak się czuje Michael. - Przyłożył oko do soczewki teleskopu. - Gdyby cię to interesowało, mogę ci powiedzieć, że dziś rano przeniesiono go do prywatnego pokoju. Cały czas głównie śpi, ale budzi się, jeśli się go zawoła. Lekarze mówią, że w miarę, jak zacznie jeść i odzyskiwać siły, będzie spał coraz mniej. A jeśli chodzi o jego zdolności ruchowe - mówił dalej, myśląc o Samie i Teke i czując złość, myśląc o Gradym Piperze i czując złość, nie przestając wpatrywać się przez teleskop na hotel Ritz-Carlton - wydaje się, że tu jest znacznie gorzej.

- Co to znaczy? - warknął John Stewart.

Nie dalej niż pół godziny temu John rzucił te same słowa Billowi Gardnerowi. - To znaczy, że on nie panuje w pełni nad swoimi kończynami. Nie mają takiej sprawności jak przed wypadkiem. - Zastanawiał się, dlaczego oko teleskopu skierowane jest na hotel. - Rokowania są dobre. Prawdopodobnie odzyska zdolności ruchowe, ale to w dużym stopniu zależy od jego woli i pracy. - Koszykówkę ma z głowy na rok. Baseball prawdopodobnie też. - Następny krok to terapia. Za jakiś tydzień będzie przeniesiony do centrum rehabilitacji.

John Stewart chrząknął. - Nie chcę, żeby mój wnuk wysiadywał ze starcami, którym ślina cieknie z ust.

John zobaczył, jak w jednym z pokoi hotelowych rozsuwają się zasłony, a do okna podchodzi roznegliżowana kobieta. Czując się jak podglądacz, wyprostował się i odwrócił wzrok. - Starcy, którym ślina cieknie z ust, nie przyjeżdżają do centrum rehabilitacji, przynajmniej nie do tego, o którym mówię. Gardner zarekomendował ten ośrodek i twierdzi, że przerasta poziomem pozostałe.

- Dlaczego on nie wróci do domu?

- Nie mamy w domu takiego sprzętu do intensywnej rehabilitacji, jakiego będzie potrzebował.

- Oczywiście, że nie mamy, ale możemy mieć.

- Lepiej mu to pójdzie w ośrodku. Będzie miał specjalistyczną opiekę.

- A Theodora? Też tam będzie?

- Prawdopodobnie. Bardzo przeżywa wszystko, co się dzieje z Michaeliem.

- Przemawia przez nią poczucie winy.

- I instynkt macierzyński - powiedział John, bo nie lubił, kiedy ojciec lekceważył Teke. Nawet teraz.

- Poczucie winy. Uwierz mi. I to nas prowadzi do sprawy rozwodu. Jeśli nie będziesz ostrożny, zedrze z ciebie skórę.

John wsunął ręce do kieszeni. - Nie może tego zrobić. To ona miała romans.

- Jednak potrzebujemy jak najlepszego prawnika. Myślę, że Hammond będzie lepszy niż Mittleman. Słyszałem, że Mittleman zleca współpracownikom przygotowywanie sprawy. To nie dla nas. Hammond może więcej kosztować, ale na dłuższą metę jest tego wart. Nie chcę, żeby ta poszukiwaczka złota wyciągnęła z ciebie choćby centa więcej niż to jest absolutnie konieczne.

John podszedł do półki z książkami i przesunął palcem po skórzanym grzbiecie jednego z tomów. Wątpił, żeby Teke żądała wiele. Nigdy nie żądała wiele, musiał jej to przyznać. Przyjmowała to, co jej dawał, ale nie była złodziejką. Nie kolekcjonowała biżuterii, tak jak niektóre kobiety. - Nie dzwoń do Hammonda - powiedział ojcu.

- Dlaczego nie?

- Bo jeszcze nie jestem gotów.

- Nie jesteś gotów, żeby się z nią rozwieść? Przecież przyznaje się do niewierności. Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz?

- Nie zamierzam jeszcze wynajmować prawnika.

- Jeśli to dla ciebie krępujące, ja zadzwonię...

- Krępuje mnie to, że chcesz się wtrącać w nie swoje sprawy. To jest moje małżeństwo. To ja zdecyduję, czy i kiedy chcę je zakończyć. - Spokojniej już dodał: - Kiedy nadejdzie pora, sam sobie znajdę prawnika.

- Tak - John Stewart głośno odchrząknął. - Już zdążyliśmy zauważyć, jak mądrze prowadzisz swoje sprawy. Powiem ci uczciwie, Johnie Davidzie, że wyszedłbyś w życiu lepiej, gdybyś słuchał mądrzejszych od siebie. Małżeństwo z Theodorą Peasely od początku było pomyłką. To nie była osoba odpowiednia dla ciebie.

John przypomniał sobie teraz miłe chwile, które przeżył z Teke. Kiedy się tylko poznali, od razu wpadła mu w oko. Pociągało go nie tylko jej ciało, ale też jej prostota i naiwność. Była inna niż dziewczyny, z którymi się do tej pory spotykał. A kiedy już wyszła za niego za mąż, bardzo poważnie potraktowała swoją rolę. Ubierała się dla niego i dla niego się rozbierała, w domu utrzymywała porządek, a kiedy stawał na progu, był pewien, że kolacja już na niego czeka.

- Absolutnie nie była dla ciebie odpowiednia - mówił dalej John Stewart. - Otrzymałeś znacznie lepsze wychowanie. Mieszkałeś w pięknym domu. Nosileś ładne ubrania i miałeś przyjaciół z dobrych domów. Od kiedy podrosłeś na tyle, by umieć zachować się przy stole, jadaleś w dobrych restauracjach, i to nie tylko tutaj, ale w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Miałeś dostęp do kultury, sztuki, do teatru, do wszystkiego tego, czego istnienia ona nawet nie podejrzewała, nie mówiąc już o prywatnej szkole. Pamiętasz swoich kolegów z klasy?

Oczywiście, że pamiętał. Wśród nich był syn senatora, który sprzedawał narkotyki, syn milionera, który je od niego kupował, i syn laureata Pokojowej Nagrody Nobla, dla którego idea pokojowa była równoznaczna z uprawianiem seksu z kolegami z pokoju. - Nie było wśród nich nikogo, o kim warto by wspominać - powiedział, jednak po jego ojcu spłynęło to jak woda.

- Miałeś lekcje jazdy konnej, łyżwiarstwa, lekcje tańca, i to w czasie, kiedy wcale nie powodziło nam się tak dobrze jak teraz. Ale gotowi byliśmy wszystko poświęcić, bo chcieliśmy, żebyś przebywał wśród ludzi, którzy mają światu coś do zaoferowania. Theodora nie miała nic do zaoferowania, absolutnie nic.

- Była świetna w łóżku. - Chyba diabeł podpowiedział mu te słowa, bo choć kiedyś tak istotnie było, wiele się zmieniło od tamtego czasu.

- Jeśli to jedyny powód, dla którego się z nią ożeniłeś, to tylko siebie możesz winić za to, co się stało. Powiedz mi szczerze, Johnie Davidzie, czy seks jest dla ciebie aż tak ważny?

Wcale nie. Coraz częściej on i Teke spali na przeciwnych krańcach łóżka. Nie był pewien, dlaczego tak się działo - czy był nią znudzony, czy zmienił mu się gust - ale na pewno nie pociągała go tak jak kiedyś. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio sięgnął po jej ciało. Pewnie dlatego tak się spiknęli z Samem. - Kto jak kto, ale ty to powinieneś rozumieć - burknął. - Założę się, że przez ten swój teleskop obserwujesz jakąś niezłą cizję. Pewnie jakaś markowa dziewczyna na telefon wynajmuje ten pokój, w który wymierzyłeś oko teleskopu.

Johnowi Stewartowi szyja się zaróżowiła. - Nie mam pojęcia, na co skierowany jest ten teleskop. Nigdy przez niego nie patrzę.

John ani przez chwilę w to nie wierzył. Tak samo, jak w tej chwili nie wierzył, że Mary McGonigle nie jest utrzymanką Johna Stewarta. I pewnie wypaliłby to natychmiast, gdyby go nie powstrzymał zdrowy rozsądek.

- Rozwiedź się z Theodorą - zarządził John Stewart. Jednak tym razem John nie poddawał się rozkazom.

- Kiedy nadejdzie pora, sam o tym zadecyduję.

- Jej obecność w rodzinie jest kłopotliwa. Podobnie jak obecność Sama w firmie. Chcę, żeby stąd odszedł.

Johna nie zdziwiło to oświadczenie. Nikt nie wiedział lepiej od niego, że John Stewart lubi wymierzać sprawiedliwość. Gdyby mógł kontrolować pracę Sama, prawdopodobnie chciałby zostawić go w firmie, odcinając mu dostęp do dobrych spraw i zmniejszając jego uposażenie. Jednak w żaden sposób nie kontrolował pracy Sama, więc chciał się go pozbyć.

- To nie jest mądre posunięcie. Sam zarabia bardzo duże pieniądze dla firmy.

- Poradzimy sobie bez niego.

- Ma tak dobrą reputację jak rzadko który prawnik w tym stanie.

- I bardzo dobrze. Niech startuje do jakiegoś urzędu publicznego, ale zapewniam cię, że ja nie będę na niego głosował. Nie oddam swego głosu na człowieka o wątpliwej moralności.

John myślał o Mary McGonigle. Często o niej myślał, gdy jego ojciec wygłaszał te swoje tyrady. Zawsze grzmiał na jakieś osobistości z życia publicznego, na innych prawników, nawet na klientów. Ale nigdy dotąd wprost nie atakował Sama.

- Nie mogę znieść myśli o tym, że takiego człowieka miałbym nazywać współnikiem - nie przerywał John Stewart. - I nie obchodzi mnie to, ilu ludzi go lubi. To, czego się dopuścił,



jest nie do pomyślenia i nikomu nie mogłoby ująć płazem. - Obrzucił swego syna chmurnym spojrzeniem. - Na litość boską, nie jestem w stanie zrozumieć, jak ty możesz chcieć pracować w jednej firmie z takim człowiekiem. Nie mogę pojąć, jak ty możesz w ogóle na niego patrzeć. Nie chcesz się go stąd pozbyć?

John powrócił do okna. Tak, chciał się pozbyć Sama i chciał się pozbyć Teke. Oboje go zdradzili w sposób najgorszy z możliwych. Jednak musiał pomyśleć o tym, jak wyglądałoby bez nich jego życie. Odpędzał od siebie tę myśl i, to śmieszne, wiedział dlaczego. Sam, i na dobrą sprawę Teke również, reprezentowali sobą to wszystko, czego pozbawiony był John Stewart i John się bał, jak wyglądałoby jego życie, gdyby nie było w nim miejsca dla tych dwojga.

- Zadałem ci pytanie, Johnie Davidzie. Natarczywość ojca przerwała ostatnią wątlą nitkę samokontroli. Odruchowo odwrócił się i wyrzucił z siebie: - Mógłbyś ze mnie zejść?

- Słucham?

- To, co Sam wczoraj powiedział, jest prawdą. Moja rodzina przechodzi kryzys. A ty, wtrącając się, tylko pogarszasz sprawę.

- Ja przejmuję odpowiedzialność za to, co w twoim życiu powinno być trwałe!

- Czy w to włączasz również Teke? - wypalił John. - Muszę ci coś powiedzieć. Czasami myślę, że ożeniłem się z nią tylko dlatego, że ty byłeś temu przeciwny. Interesujące, prawda?

Wyszedł z gabinetu, zadowolony z faktu, że John Stewart stoi z otwartymi ustami, choć nie wydobyło się z nich już żadne słowo.

## Rozdział 9

Annie miała kolejną ciężką noc. Najpierw położyła się do łóżka, pewna, że Sam nie ośmieli się jej dotknąć, jednak szybko przekonała się, że jego oddech, przewracanie się z boku na bok, a nawet zapach, tylko pogłębiają jej przygnębienie. Ostatecznie więc znów znalazła schronienie w swoim gabinecie, gdzie zdrzemnęła się nieco, tylko po to, by się obudzić i zobaczyć Sama klęczącego przy niej.

- Powinnaś wrócić do łóżka - powiedział. - Potrzeba ci więcej snu.

Zastanawiała się, jak długo tu był. Nie miał na sobie nic oprócz szortów, włosy miał rozczochrane, i był nie ogolony, więc domyśliła się, że przyszedł prosto z łóżka. Chciałaby jednak chociaż w połowie wyglądać tak dobrze jak on. Niestety, była pewna, że jej włosy sterczą każdy w inną stronę, na policzku ma odcisnięte fałdy szala, na którym spała, a ślady nieprzyjemnego smaku w ustach widać na jej wargach.

- Nic mi nie jest - mruknęła, podnosząc się na fotelu.

- Masz cienie pod oczami. I schudłaś. Zarzucając szal na koszulę nocną, ruszyła ku drzwiom.

- Dziękuję - rzuciła.

- Martwię się o ciebie, Annie - powiedział, schodząc za nią po schodach.

Za mało i za późno, pomyślała z goryczą. - Więc przestań się martwić.

- Rób tak dalej, a wkrótce przewrócisz się w środku wykładu.

- Jeśli tak się zdarzy, to przyjaciele mi pomogą. Nie jestem zupełnie sama ani bezradna. - Zatrzasnęła mu przed nosem drzwi łazienki i zamknęła je na klucz. Potem odkręciła wodę i cały czas czuła się jak idiotka, tak podle jak nigdy w życiu.

Kiedy weszła do kuchni, Max i Zoe już zbierali się do wyjścia. - Za dwa tygodnie jest bal w szkole - przypomniał jej Max. - Chciałaś, żebym w tym roku kupił sobie smoking. Kiedy możemy się po niego wybrać?

- W ten weekend - obiecała mu Annie, nadstawiając policzek do cmoknięcia. - I pamiętaj o formularzach, które trzeba złożyć w college'u. Przejrzyj je, zanim zabierzesz się za pisanie pracy.

Zoe precyzyjnie się do niej i mocno się przytuliła. - Muszę iść do fryzjera, mamo.

- Przecież niedawno byłaś.

- Niedobrze mi w tej fryzurze. - Pociągnęła pasmo jasnych loków, tak podobnych do włosów Annie. - Mówiłaś, że spróbujemy pójść do innego fryzjera, ale nie wiem, do jakiego. Mogłabyś zapytać Susan Duffy?

Susan Duffy była sekretarką na wydziale Annie. Miała wspaniałe włosy. Zoe, kiedy tylko ją widziała, wydawała z siebie ochy i achy.

- Zapytam - powiedziała Annie, choć dobrze wiedziała, że włosy Susan zawsze wyglądają wspaniale, bez względu na to, do jakiego fryzjera chodzi.

- Dzięki - powiedziała Zoe i pocałowała ją w policzek. - Max po treningu zabierze mnie do szpitala, więc nie będziesz się musiała widzieć z Teke. Przyjedziemy do domu na kolację, dobrze?

Annie skinęła głową. Tak czy inaczej, będzie narażona na ryzyko spotkania z Teke, bo sama chciała odwiedzić Michaela, ale jeśli będzie mogła to zrobić wcześniej, potem uniknie pośpiechu.

Obserwowała, jak Max odjeżdża z podjazdu i pomachała mu na pożegnanie. Smoking. Fryzjer. Formularze zgłoszeniowe do college'u. Jazda do Bostonu, żeby odwiedzić Michaela w szpitalu. Kolacja. W szkole dwa seminaria i narada. Przygotowanie do następnych zajęć. I - cholera, na śmierć zapomniała - zebranie wydziału o szóstej, a to znaczy, że za piętnaście szósta, zanim wyjdzie z domu, kolacja powinna być w piekarniku, gotowa do podania na stół.

Jeszcze przed tygodniem Teke mogłaby ją wyręczyć w zakupie smokingu, w wyborze fryzjera, a nawet mogłaby za nią przygotować kolację. No i oczywiście wtedy nie byłoby mowy o żadnym wyjeździe do Bostonu, do szpitala. Bez Teke pod ręką Annie czuła, jak jej życie stało się gorączkowe. A teraz, kiedy stała wpatrując się w opustoszały podjazd, mogła myśleć tylko o tym, że jej dzieci stają się coraz bardziej niezależne i wkrótce odejdą z domu, zostawiając ją tylko z Samem albo zupełnie samą, bez Sama. Ani jedna, ani druga możliwość nie podnosiła jej szczególnie na duchu.

A już tym bardziej nie podniosło jej na duchu, gdy nagle na światłach usłyszała pisk opon i zobaczyła samochód, który zatrzymał się tuż przed nią. To był srebrzysty BMW, trochę podobny do czarnego BMW Sama. Nie było nawet stłuczki, lecz kierowca BMW - dobrze zbudowany, elegancki facet po trzydziestce - wysiadł i troskliwym okiem obejrzał samochód, po czym zdecydowanie chłodno spojrzał na Annie.

- Miała pani szczęście. Na pani miejscu poszedłbym do okulisty. Musi pani chyba mieć poważne problemy ze wzrokiem. - Wsiadł do samochodu i odjechał, zanim Annie zdążyła zdobyć się na jakąś zręczną ripostę. Niestety, zręczne riposty w takich sytuacjach nie przychodziły jej łatwo. Zazdrościła ludziom, którzy potrafili walczyć o swoje. Szczególnie zazdrościła kobietom, które posiadały tę umiejętność. One potrafiły walczyć na słowa. Były od niej mądrzejsze. Dostawały to, czego chciały.

Z silnym postanowieniem, że ona też musi zmądrzeć, ale i z opuszczoną głową weszła do klasy. To było seminarium na temat twórczości Jane Austin, które prowadziła dla dwudziestu studentów ostatniego roku. Jednak ich uczestnictwo w dyskusji ograniczyło się do kilku wypowiedzi, w których nieudolnie usiłowali doszukać się związku *Mansfield Park* z życiem Jane Austin.

- Czy ja trafiłam do złej grupy? - spytała Annie, ze zdziwieniem rozglądając się po klasie. - Czy może wczoraj mieliście w kampusie jakąś imprezę, która nie pozwoliła wam poświęcić ani jednej myśli Jane Austin? - Spojrzała do swoich notatek, a potem przeniosła wzrok na grupę. - Mogłabym wam zrobić wykład jak pierwszorocznikom, ale sądzę, że już z tego wyro-

śliście. - Z wyrazem głębokiego rozczarowania spoglądała po sali, jednak nikt nie dał jej tej satysfakcji, by dostrzec jej uczucia, jako że wszyscy studenci tkwili ze spuszczoneymi głowami. - W takim razie proszę napisać pracę. Na jutro. Pięć stron na temat *Mansfield Park* na tle życia i epoki Jane Austina. - Ignorując szmer niezadowolenia, zebrała swoje notatki i wyszła z klasy.

Jednak to był dopiero początek. Koło południa zaczęła żałować, że nie została tego dnia w domu. Najpierw narada rozpoczęła się z opóźnieniem. Kiedy wreszcie usiadła w swoim gabinecie przy komputerze, ten się wyłączył. Właśnie dowiedziała się, że nie może sobie poradzić z komputerem, bo w całym budynku wyłączono prąd, gdy włączył się alarm przeciwpożarowy. Oczywiście, alarm był fałszywy, wyraźnie związany z awarią elektryczności, ale podobnie jak wszyscy opuściła budynek. I na zewnątrz wszyscy czekali, gdy tymczasem cenne minuty upływały.

Obserwowała Natalie Holstrom, która specjalizowała się w literaturze okresu wojny, i Monicę Pepper, która niedawno wydała książkę o młodym pokoleniu pisarzy amerykańskich, entuzjastycznie przyjętą przez krytyków. Obydwie były błyskotliwe, agresywne i atrakcyjne. Obydwie były młodsze od Annie. Obydwie niekiedy pokazywały się z mężczyznami w wieku Sama.

Po godzinie Annie zrezygnowała z wyczekiwania przed szkołą i pojechała do Bostonu. Storrow Drive była zamknięta z powodu prac remontowych, więc objazd wydłużył drogę o dodatkowe dziesięć minut. A potem w garażu, gdzie zwykle parkowała, nie było wolnych miejsc, musiała więc poszukać następnego, a tam dopiero na szóstym poziomie znalazła miejsce dla samochodu. W szpitalu zgubiła się, szukając nowego pokoju Michaela, a kiedy już go znalazła, okazało się, że Michael śpi w najlepszym.

Teke nie było. Pielęgniarka powiedziała, że pojechała na kilka godzin do domu. Gdy Annie stała przy łóżku Michaela, przyszedł John. W jego obecności czuła się niezręcznie. Nie miała ochoty rozmawiać o Tece ani o Samie, nawet nie chciała myśleć, a co dopiero mówić o tym, jak się w przyszłości ułożą stosunki między dwiema rodzinami. Zostawiła więc Michaelowi na nocnym stoliku kartkę i pojechała z powrotem do szkoły.

Prąd już włączono, ale pogłoska o braku elektryczności musiała się rozejść po całym kampusie, bo na seminarium na temat poezji romantycznej mało kto przyszedł. Annie nic bardziej nie przygnębiało niż nikła obecność studentów na jej zajęciach. Chciała być uwielbiana przez studentów. Marzyła o tym, żeby studenci woleli raczej umrzeć niż opuścić prowadzone przez nią zajęcia.

Kiedy tylko zajęcia się skończyły, pognęła pędem do samochodu, pojechała do supermarketu i pośpiesznie zrobiła zakupy, ale kiedy już była w domu, okazało się, że zapomniała kupić ciasto do lasagne. I znowu pojechała do supermarketu, a kiedy wracała, utknęła przy przejeździe kolejowym, bo tam właśnie z niewiadomych powodów zatrzymał się pociąg. I znowu musiała wyczekiwać i tracić cenne minuty, ale w nadziei, że przejazd będzie odblokowany lada chwila, nie zdecydowała się na objazd, który zabrałby jej co najmniej piętnaście minut.

Trwało to dwadzieścia minut. Do tego czasu Annie zdążyła się oblać nerwowym potem. Zdołała wreszcie dotrzeć do domu, przygotowała sałatę i lasagne i w te pędy pobiegła do samochodu, by pojechać do szkoły na zebranie.

I tak się spóźniła. Piętnaście par oczu zwróciło się ku niej, gdy w trakcie zebrania wkroczyła do pokoju. Piętnaście par oczu podążało za nią, gdy szła do jedyne go wolnego krzesła, jakie pozostało w pokoju - a pech chciał, że było to miejsce dokładnie obok Charlesa Honnemanna, szefa wydziału. Charles Honnemann był starszym, dość miłym panem, tradycjonalistą i naprawdę nie miałyby nic przeciwko temu, żeby siedzieć koło niego, gdyby nie fakt, że na tym miejscu koncentrowały się wszystkie spojrzenia.

Znowu czuła się jak nastolatka, niepewna siebie i zalękniona. Była pewna, że wygląda okropnie. Bluzka podwinęła jej się przy kołnierzyku, pończochy miała pozaciągane, bo w supermarkecie przechodziła zbyt blisko toreb z karmą dla psów. Nie zdążyła się uczesać, ani pociągnąć ust szminką. Ręce jej się trzęsły, a pod nosem miała kropelki potu. I miała cienie pod oczami. I schudła. I na jej męża do tego stopnia nie działały jej wdzięki, że szukał pocieszenia w ramionach jej najlepszej przyjaciółki, która miała długie czarne włosy, pełne piersi i zaraźliwy śmiech.

Ledwo do niej docierało, o czym była mowa na zebraniu. Gdy się skończyło, natychmiast poszła do swego gabinetu, gdzie nie zapalając światła opadła na fotel, oparła głowę na dłoniach i szybko łapała powietrze, by nieco ochłonać.

Usłyszała kroki. Zbliżały się do jej drzwi, jednak nie miała siły ani krzyknąć, ani się podnieść i zamknąć drzwi. Właściwie nie bała się. Ochrona kampusu działała bardzo sprawnie. Szanse, by do budynku szkoły mógł wtargnąć włamywacz albo gwałcieciel, były znikome. A już terrorysta, który by porwał zakładników, był zupełnie nieprawdopodobny. Jednak ta ostatnia myśl pobudziła jej wyobraźnię. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przesiedzieć w gabinecie jakieś trzy dni, zamknięta na klucz, niezdolna do żadnego działania, mogąc tylko myśleć o

tym, jak przeżyć. Wtedy z pewnością nabrałaby dystansu do wszystkiego, co się ostatnio w jej życiu zdarzyło.

- Proszę - doszedł ją łagodny głos. To był Jason Faust, który podsuwał jej plastikowy kubek. - To wino. Wypij. - Kiedy się zawahała, wcisnął jej kubek w dłoń. - No, dalej. Lepiej się poczujesz.

Upiła łyk wina, a kiedy gładko przeszło jej przez gardło, pociągnęła drugi łyk, tym razem większy, i skłoniła głowę na oparcie fotela. - Co za straszny dzień. Naprawdę straszny.

- Domyśliłem się tego, kiedy widziałem cię, jak pędziłaś korytarzem. Wyglądałaś na przybitą.

- Jestem przybita. I na dodatek stara, brzydka i nie lubiana - wypaliła bezmyślnie. A kiedy już to zrobiła, znowu pociągnęła zdrowy łyk wina. - Zdarzają ci się takie chwile, kiedy ci się wydaje, że wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie? Kiedy czujesz, że świat zamienił się w wielkiego kaktusa, który kłuje cię bez względu na to, czego się dotkniesz?

Jason roześmiał się. - A skąd ci przyszło do głowy takie porównanie?

- Pewnie reminiscencja z rodzinnej wycieczki do Arizony przed dwoma laty. - To była wspólna wycieczka z Maxwellami, tak jak wszystko było wspólne.

- Och, rozumiem.

- Nic mi się dzisiaj nie układa.

- Słyszałem o tym seminarium na temat Austin.

- Mhm. I przez to, że straciłam panowanie nad sobą, ucierpię tylko ja. Bo kto inny będzie musiał przeczytać te wszystkie pięciostronicowe prace? Ja! Tak jakbym bez tego miała mało roboty.

- Ja to zrobię.

- Tak jakbyś ty miał za mało roboty.

- Będę zadowolony, jeśli będę mógł ci pomóc, Annie. To dla mnie zaszczyt.

Westchnęła. Miły chłopak z tego Jasona. No, już wcale nie chłopak. Dorosły mężczyzna. I zawsze mogła na niego liczyć. Nie tylko pomagał jej w pracy, ale i dawał psychiczne wsparcie. Zastanawiała się, czy Jason ma dziewczynę. - Jesteś uroczy jak na takiego bogatego młodzieńca.

- Och, pieniądze. Szósty zmysł, dzięki któremu możesz w pełni rozkoszować się pięcioma pozostałymi.

Rozpoznała cytaty z W. Somerseta Maughama. - Rzeczywiście?

- Jasne. Dzięki temu mogę trzymać w biurku wino dobrego rocznika.

- Podejrzewam, że nie tylko wino. - Pamiętała, jak kiedyś proponował jej coś do palenia. Nie chciała myśleć, co jeszcze trzyma w biurku. Och, tak, była prostolinijna. Należała do starszego pokolenia.

- Przeszkadza ci to? - zapytał.

- To twoja sprawa, co trzymasz w swoim biurku.

- Czy ci przeszkadza to, że mam pieniądze? Niektórym w szkole to przeszkadza. Nie traktują mnie serio.

Wino zaczęło działać. Annie czuła miłe ciepło w żołądku i palące policzki. Dzięki temu łagodniej odbijało się w jej głowie echo słów: starsze pokolenie... starsze pokolenie... starsze pokolenie. - Jeśli nie traktują cię serio, to tylko dlatego, że nie mieli okazji z tobą pracować tak jak ja. Jesteś tak samo dobry, jak każdy, kto tu pracuje.

- Jeszcze nie - powiedział Jason - ale dziękuję ci. Tylko twoja opinia się dla mnie liczy. Jesteś prawdziwym autorytetem.

Prawdziwy autorytet. Jak miło brzmiały te słowa. Chciałaby się rzeczywiście tak czuć. - Czasami się zastanawiam - zadumała się ze smutkiem. - Próbuje, Bóg mi świadkiem, że próbuję, ale chyba ostatnio wszystko mi się pokomplikowało. - Wychyliła zawartość plastikowego kubka do dna. - Feministki twierdzą, że kobiety mogą robić wszystko, ale to nieprawda. Nie możemy być żonami i matkami, i jednocześnie profesorami. To się po prostu nie udaje. Zawsze ktoś na tym cierpi.

- A kto cierpi w twoim przypadku?

- Moje dzieci. Nie ma mnie, kiedy mnie potrzebują. - Wiedziała, że i teraz powinna być z nimi w domu, ale nie mogła zebrać sił, żeby się podnieść. Wreszcie po całym dniu poczuła się nieco odprężona. Ciemność pomogła. I wino też. - Tak samo mój mąż - dorzuciła.

- A w jaki sposób on cierpi?

- Jestem mu potrzebna, a nie ma mnie przy nim.

- Przychodzi tutaj cię szukać?

- Czasami. Ale on też jest bardzo zajęty.

Jason westchnął. - Gdybyś była moja, nie spuszczałbym cię z oka i cały czas bym cię kochał.

- Szybko byś się znudził - powiedziała i znów pociągnęła spory łyk wina. Zdażyła już przelknąć, zanim zastanowiła się, kiedy Jason znowu napełnił kubek, ale nie spytała o to ani nie miała mu tego za złe. Wcale nie było źle czuć się tak lekko.

Znów przykucnął przy niej. - Dlaczego się tak nisko oceniasz?

- Po prostu jestem uczciwa.

- Skromna, to lepsze słowo. Nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś pociągająca?

- Nie jestem pociągająca! - wykrzyknęła. - Jestem nijaka i za chuda. Sterczą mi obojczyki i mam kościste ręce. Oczy mam osadzone zbyt blisko siebie, co wygląda jeszcze gorzej, kiedy są podkrążone. Usta mam zbyt małe. Mogłabym tak wyliczać bez końca. - Głos jej się załamał. - Nie ma we mnie absolutnie nic podniecającego. - Gdyby było w niej coś podniecającego, Sam nie szukałby tego u Teke.

Zdjęta smutkiem, rozplakała się.

Jason opadł przy niej na kolana i mocno ją objął. Próbowała go odepchnąć, ale nie ustępował, więc po chwili już nie chciała go odpychać. Jego ramiona były tak kojące.

Ramiona Sama zawsze były dla niej ukojeniem. Były przystanią, w której mogła schronić się przed wszystkimi burzami świata, kołysły jej smutek i potęgowały radość. Mogła się w nie wtulić, by płakać, śmiać się czy po prostu być i zawsze spotykała ją nagroda. Mógł to być pocałunek, czułe dotknięcie, pieszczota - Sam znał jej ciało jak nikt inny.

Jason dotknął ustami jej czoła. - Jesteś piękna - szepnął.

Potrząsnęła głową wtuloną w jego szyję. Pachniał inaczej niż Sam, ale to nie było nieprzyjemne. I czuła jego ciepło. Brakowało jej ciepła Sama. I jego słów: Jesteś piękna.

- Piękno nie potrzebuje uzasadnienia. Wystarczy, że jest. To napisała twoja ulubiona Emily Dickinson, miała rację. Piękno jest po prostu pięknem. Nie potrzeba słów, żeby je wydobyć. Wydobywa je życie. Wydobywa je czas. Ten rodzaj piękna, które jest darem Boga, trwa wiecznie.

Annie westchnęła niespokojnie.

- Jesteś piękna - szepnął, wtulając się w jej szyję - duchowo i fizycznie. - Musnął wargami jej brodę, a potem usta.

Och, jakże chciała być piękna. Chciała być obiektem pożądania, tak podniecającym, żeby Samowi nawet nie przyszła do głowy myśl o innej kobiecie.

- Pragnę cię, Annie - szepnął nieco bardziej szorstko, ale to zmienione brzmienie jego głosu sprawiło jej tylko przyjemność. Każda kobieta chce być pożądana. Każda kobieta rozkwi-



ta, gdy wie, że rozpala mężczyznę do tego stopnia, że ten aż drży w pragnieniu spełnienia, a Jason właśnie drżał.

Chyba każda kropelka wina uderzyła jej do głowy, bo nagle poczuła nie ciepło, ale drżenie i rozgorączkowanie, które popchnęło ją jeszcze bliżej niego.

A on z triumfem szepnął w jej ucho: - Tak - po czym zaczął rozpinąć guziki jej bluzki. W głowie Annie odezwał się cichutki sygnał alarmowy, ale było to gdzieś w oddali. A na pierwszym planie była fascynacja tym, jak Jason na nią patrzył - i może tylko wyobrażała to sobie w ciemności, ale patrzył na nią zupełnie tak jak Sam. Widziała rozkosz na jego twarzy, gdy rozpiął jej bluzkę. I kiedy czuła się tak piękna, zaś on szamotał się z zapięciem jej stanika, sama je rozpięła.

I w tej samej chwili schwycił ustami jej wargi i nakrył jej piersi dłońmi. Miętosił je zapamiętale, niemal brutalnie, ale to Annie nie przeszkadzało. Świadomość, że jest tak upragnioną kobietą, działała na nią jak balsam. Przytuliła więc głowę do jego piersi.

Jęknęła, gdy poczuła jego rękę między nogami.

- Tak długo cię pragnąłem - szepnął i zaczął ją pieścić dłonią. Znow jęknęła; tym razem sygnał alarmowy w jej głowie zabrzmiał głośniejszy, jednak ucichł. Czuła się taka piękna. Taka kobieca i pełna seksu. Czuła, że jest pożądana. Jego szept, jego przyspieszony oddech, jego napięte mięśnie - wszystko to działało na nią budująco.

I nagle usłyszała dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego, dźwięk zbyt przyziemny w tym wspaniałym śnie. Zesztywniała.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Tylko mnie dotknij.

- Nie mogę... - Jednak wziął jej dłoń i położył ją tam, gdzie chciał. Protestowała. - Proszę, nie...

- Kocham cię, Annie.

Próbowała wyciągnąć rękę z jego uścisku. - Nie chcę...

- Mam prezerwatywę. Zobaczysz, będzie nam tak dobrze.

- Mój Boże, nie! - krzyknęła, bo nagle dotarło do niej, że to nie jest Sam, że to absolutnie nie jest Sam. Gwałtownie odskoczyła do tyłu. - Mój Boże - tym razem szepnęła do siebie, nagle uświadamiając sobie, jak niewiele brakowało, by zrobiła coś tak niewiarygodnego. Otuliła się bluzką i drżącym głosem powiedziała: - Przepraszam, Jason, ale to nie jest w porządku. Wcale tego nie chcę i ty też tego nie chcesz.

- Do diabła, o czym ty mówisz? - wyrzucił z siebie Jason, ale odszedł pod ścianę i doprowadził swoje spodnie do porządku. - Oboje właśnie tego chcemy.

- Jestem mężatką.

- A co to za różnica?

- Jestem związana z innym człowiekiem.

- I dlatego się ze mną całowałaś? Dlatego rozpięłaś stanik? - Jego spojrzenie cięło ją bezlitośnie w ciemności. - Czy wtedy myślałaś o swoim mężu? A może chcesz powiedzieć, że to wino tak na ciebie podziałało?

Najłatwiej byłoby przypisać to wszystko działaniu wina, jednak Annie stanowczo odrzuciła taką możliwość. Zamiast tego, drżącymi palcami zapinając guziki bluzki, powiedziała: - Myślałam o moim mężu. I to jest problem. Wykorzystałam cię, a ty nie zasługujesz na to, żeby być namiastką. Zasługujesz na coś więcej.

Prychnął pogardliwie. - Uczciwa uwaga w ustach uczciwej kobiety. Wybacz mi, że nie będę zebrał o więcej. Może po prostu to by wystarczyło. - Pchnął drzwi i wyszedł, a drzwi z trzaśnięciem zamknęły się za jego plecami.

Annie siedząc na podłodze, myślała teraz o drzwiach. Podejrzewała, że je zamknął, kiedy w ciemnościach wchodził do pokoju, więc chyba od początku miał zamiar ją uwieść. Ale czy to było uwodzenie? A może raczej zwykła chęć zaspokojenia żądzy? Obawiała się tego ostatniego. Tak łatwo przecież było ją zranić.

Powinna być zadowolona z tego, że potrafiła to przerwać, ale nie była. Co więcej, czuła się winna i upokorzona, że w ogóle dopuściła do tego, by to się zaczęło.

Grady zwlekał z wejściem do pokoju Michaela dłużej niż kiedykolwiek. To był nowy pokój, na innym piętrze, i już nie można było zajrzeć przez szybę z korytarza, żeby zobaczyć, co się dzieje w środku. Trzeba było od razu kierować się do drzwi.

Teke z opuszczoną głową siedziała na krześle. Wysoko na ścianie był włączony telewizor, ale Michael leżał z zamkniętymi oczami.

Powoli wszedł do pokoju. Teke podniosła wzrok. Coś dostrzegł w jej oczach, ale nie był pewien, co to jest. Chciałby wiedzieć, bo Teke wyglądała jakoś inaczej. Ubrana w jedwabną bluzkę i dobrze skrojone spodnie, wyglądała raczej jak kobieta z Constance, a nie dziewczyna z Gullen. Poczuł lekkie ukłucie rozczarowania.

- Cześć - odezwał się. - Jak się czujesz?

Skinęła głową, wzruszyła ramionami i powiedziała cicho: - W porządku - po czym przeniosła wzrok na Michaela.

- Ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że się obudził. - To było skromnie powiedziane. Przez cały weekend Grady nie posiadał się z radości, co i rusz oddychał z ulgą, a w niedzielę nawet poszedł do kościoła, po raz pierwszy od czasów, kiedy był chłopcem. - A jak on się czuje?

- Nieźle. Zaczął jeść. Lekarze przeprowadzają badania. Stracił wiele sił i zdolności ruchowych, ale to nie jest nieodwracalne. Lekarze przygotowują plan terapii.

Grady dostrzegł, że oczy Michaela otworzyły się i patrzą na niego. - Cześć - powiedział z uśmiechem i miał nadzieję, że nie widać, jak nerwowy był ten uśmiech. To on potrafił tego chłopca. Nie wiedział, z jakim powitaniem się teraz spotka. - Dobrze widzieć, że się obudziłeś - mówił dalej. - Naprawdę się o ciebie martwiłem.

Michael wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. - Grady?

Grady nie zauważył w jego głosie złości. - Pamiętasz, że tutaj byłem?

- Trochę. Wbiegłem pod twój samochód.

Ani śladu złości. Grady odetchnął z ulgą. - Niestety.

- Uszkodziłem coś?

- Nie. Samochód był mocniejszy od ciebie. Jak się czujesz?

- W porządku. Chcę wrócić do domu, ale mi nie pozwalają.

Nie chcąc stawać po stronie tych złych ludzi, Grady zapytał: - Dlaczego?

- Chcą, żebyśmy poszedł do ośrodka rehabilitacyjnego. Mówią, że ręce i nogi mam niesprawne, ale co oni wiedzą. Po prostu jestem osłabiony.

Grady podejrzewał, że „oni” jednak wiedzą więcej niż Michael. - W ośrodku rehabilitacji pomogą ci odzyskać siły.

- Chcę wrócić do domu.

Grady nie wiedział, co powiedzieć. Szukał pomocy u Teke, ale ta wyglądała na oszołomioną, a kiedy przeniósł wzrok na Michaela, chłopiec już miał zamknięte oczy.

W telewizji leciała jakaś opera mydlana. Grady przez chwilę patrzył na ekran, ale myślami był gdzie indziej. Nagle usłyszał głos Michaela: - Naprawdę byłeś w więzieniu?

- Pamiętasz to?

- Byłeś?

- Niestety.

- Za co?

Więc nie wszystko pamiętał. - Za morderstwo.

- Niesamowite.

- Niezupełnie. To było naprawdę złe. I czyn, i kara. Nie polecam ani jednego, ani drugiego.

- Miałeś proces?

- Jasne.

- Kto był twoim obrońcą?

- To był obrońca z urzędu. Nic by ci nie powiedziało jego nazwisko.

- Sam prowadzi sprawy o morderstwo. Szkoda, że cię nie bronił. On jest niesamowity. -

Nagle przerwał i dorzucił: - Był niesamowity - po czym przez chwilę wpatrywał się w ekran, aż zapytał: - Jak długo siedziałeś w więzieniu?

- Osiem lat.

- To nie tak długo jak na morderstwo.

- Wystarczająco długo - odpowiedział Grady.

- Zwolnili cię za dobre sprawowanie?

- Zwolnili mnie, bo odsiedziałem minimalny wymiar kary, a poza tym było im potrzebne moje łóżko. Nic nie wiem o dobrym sprawowaniu. Byłem sam w celi.

- Och!

- Dlaczego? - spytała Teke.

- Czasami musiałem walczyć w obronie własnej.

- Samotna cela musiała być straszna - powiedziała.

- To było bezpieczne. Tyle że po jakimś czasie człowiekowi zaczyna brakować przestrzeni.

- Właśnie tak się czułem - odezwał się Michael z nagłym ożywieniem, które zaskoczyło i Teke i Grady'ego. - Czasami coś widziałem, ale nie mogłem nic powiedzieć, ani wyjść poza tę małą przestrzeń. A potem Sam pstryknął palcami. I to było jakby ktoś przekręcił klucz w zamku.

Ożywienie zniknęło. Grady'ego uderzył fakt, że Michael jest zły na Sama. Na Sama i na Teke. Od kiedy Grady przyszedł, nie spojrzął na nią ani razu.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że znałem twoją mamę, kiedy była mała?

Michael zastanawiał się z zamkniętymi oczami. - Może - powiedział w końcu.

- I to, że zawsze chciała mieć rodzinę? Ona cię bardzo kocha.

- Mhm.

Rozumiejąc, że jeśli będzie naciskał, straci zaufanie chłopca, Grady powiedział po prostu: - Muszę wracać do pracy. Mogę cię znowu odwiedzić?

- Jasne.

- Może ci coś przynieść? Cukierki? Jakiś napój?

Michael rzucił pogardliwe spojrzenie na Teke.

- Chcę saltinki. A ona mówi, że nie mają żadnych wartości odżywczych.

- W porządku, saltinki. - Z porozumiewawczym mrugnięciem i uniesionym w górę kciukiem, Grady wyszedł z pokoju. Zatrzymał się na korytarzu w nadziei, że Teke wyjdzie za nim, by chwilę porozmawiać. Kiedy się nie pojawiła, powoli ruszył w stronę windy. Od czasu do czasu oglądał się za siebie, ale nie wyszła z pokoju.

\* \* \*

Teke coraz bardziej potrzebowała rozmowy z Annie. Wyczekiwała chwili, kiedy znajdzie się z nią sam na sam, ale wyglądało na to, że jeżeli nie zjawiała się w towarzystwie dzieci, to przychodziła wtedy, gdy w pokoju był John, Sam albo koledzy Michaela. W środku tygodnia Teke była już tak zdesperowana, że złapała Annie za ramię i wyciągnęła ją z pokoju Michaela na korytarz. - Chcę tylko porozmawiać - zapewniła ją.

- Nie ma o czym rozmawiać - zaprotestowała Annie.

- Jest wiele do powiedzenia i to już dawno powinno być powiedziane. Atmosfera jest naciągana tym, co nie zostało powiedziane. Potrzebuję cię, Annie. - Wiedziała, że Annie nie zawiedzie jej w potrzebie, nawet teraz, taka wyczerpana i zraniona. Annie była wrażliwa na ludzkie uczucia i Teke, choć czuła się jak sęp czatujący na ofiarę, nie zwolniła kroku, ani nie przestawała mówić, dopóki obie nie weszły do prywatnej łazienki na końcu korytarza. Opierając się o drzwi, żeby Annie nie mogła jej uciec, powiedziała:

- Są pewne rzeczy, o których muszę ci powiedzieć. Chcę, żebyś mnie wysłuchała.

Annie ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w podłogę. Po chwili oparła się o ścianę i podniosła głowę. Była w niej taka kruchość, że Teke walczyła ze sobą, by się nie wycofać. Jednak nie mogła. Zbyt rozpaczliwie pragnęła naprawić szkodę, którą wyrządziła.

- Annie, bardzo, naprawdę bardzo cię przepraszam za to, co zrobiłam. Wiem, że już to mówiłam, ale nie wiem, czy mnie słuchałaś. Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak bardzo tego

żałuję. Jestem zakłopotana i wstrząśnięta. Czuję do siebie wstręt i przyjmuję na siebie całą winę. To ja zrobiłam pierwszy krok.

- Ale dlaczego to zrobiłaś? - spytała Annie ostro.

Teke wahała się tylko chwilę, która jej była potrzebna, by nabrać powietrza w płuca.

- Przez Grady'ego.

Annie była zakłopotana. - Przez tego mężczyznę, który prowadził samochód?

Teke musiała to Annie wytłumaczyć tak, by ta zrozumiała stan jej umysłu w tamtej chwili, gdy Sam wszedł do jej domu. - Dorastałam z Gradym. Uwielbiałam go. Byliśmy kochankami, od kiedy skończyłam piętnaście lat, aż do czasu, gdy poszedł do więzienia.

Annie jęknęła. Zakłopotanie przerodziło się w ból. - Nigdy o tym nie mówiłaś. Nigdy nie mówiłaś o przeszłości. Zawsze uważałam, że nie było o czym mówić.

- Nie mogłam o tym mówić. To było ponad moje siły. Próbowałam zapomnieć, że miałam jakąkolwiek przeszłość. Grady był całym moim życiem, dopóki nie poszedł do więzienia. Budziłam się myśląc o nim i zasypiałam przesiąknięta jego zapachem. Mieliśmy się pobrać. Mieliśmy mieć dzieci. Mieliśmy być na zawsze razem. Nagle to wszystko stało się niemożliwe.

- Znałaś tę osobę, którą on zamordował? Teke skinęła głową. - To był mój ojciec. Annie znów jęknęła.

- Szokujące, co? - spytała Teke, czując, że jest bliska hysterii. - No cóż, to było wiele lat temu, ale teraz po raz pierwszy wypowiedziałam to głośno. Wtedy to było gorsze niż szok. To był koszmar tak straszny jak ten teraz.

- Co się stało? - szepnęła Annie.

Teke do oczu napłynęły łzy. Patrzyła w sufit, usiłując je powstrzymać.

- Mój ojciec dobierał się do mnie. Grady mu tego zabronił. Pewnej nocy przyłapał go na tym, zaczęli się bić i to się stało. Dwa zmarnowane życia, nawet trzy, jeśli liczyć mojego ojca, ale ja jego nie liczę. - Głos jej stwardniał. - To był pijak, któremu nie chciało się nawet pracować na utrzymanie rodziny. Jego życie nie było warte złamanego szeląga.

Widząc przerażenie na twarzy Annie, rzuciła: - To brzmi bezlitośnie, prawda? Wstrząsnęło tobą, że kobieta, którą dobrze znasz, z takim okrucieństwem mówi o własnym ojcu? No cóż, może jestem okrutna i bezlitosna, ale czy wiesz, że moja matka i siostry umarły, bo on nie wezwał lekarza? Były chore, ale on nie chciał wydawać pieniędzy na leczenie. To on był mordercą w znacznie większym stopniu niż Grady.

- Och, Teke - Annie odezwała się niemal bezgłośnie - dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- Jak mogłam ci powiedzieć, jeśli samej sobie nawet nie pozwalałam o tym myśleć? Wyrzuciłam to ze swojego życia. Całkowicie odciąłam się od przeszłości. Tylko w ten sposób mogłam przetrwać. I teraz też nie chcę twojego współczucia. Jedyne, czego chcę, to żebyś zrozumiała, ile dla mnie znaczył Grady i jak się czułam na myśl, że mam go znów zobaczyć.

- Więc wiedziałaś, że on przyjechał?

- Napisał, że przyjedzie, chociaż nie wiedziałam dokładnie kiedy. Byłam wściekła na myśl, że go znowu zobaczę, ale to nie powstrzymywało mnie od nieustannego dotykania jego listu, bo on go trzymał w dłoni zanim go wysłał i jego pióro napisało te słowa. - Na wspomnienie przeszłości poczuła dławienie w gardle. Zduszonym szeptem wyrzuciła z siebie: - Tak bardzo go kochałam. Nawet nie możesz sobie tego wyobrazić.

Annie wpatrywała się w swoje dłonie.

- I co myślisz?

Nie patrząc na nią, Annie odpowiedziała: - Myślę, że aż za bardzo mogę sobie to wyobrazić. Tak samo ja kocham Sama, więc i ty możesz sobie chyba wyobrazić, jak bardzo czuję się zraniona. Myślę też, że skoro tak bardzo kochałaś Grady'ego, nie powinnaś była wychodzić za Johna.

- Grady został skazany za morderstwo i poszedł do więzienia. Zanim się znalazł w więzieniu, kiedy go widziałam po raz ostatni, strasznie się pokłóciliśmy. Powiedział mi, że nie chce mnie już nigdy widzieć. Byłam zdruzgotana. To on zdecydował o przyszłości. Powiedział mi, żebym założyła rodzinę z kimś innym, bo on już mnie nie chce. Więc zrobiłam jedyne, co mogłam. Zostawiłam Grady'ego za sobą. Spotkałam ciebie i Sama, wysłałam za Johna, a potem urodziła się Leigh, Jana i Michael. To były dobre czasy.

- Ale czy wystarczająco dobre?

- To były dobre czasy. - Teke sama starała się to zrozumieć, o czym tak naprawdę najbardziej chciała Annie powiedzieć. Nie dlatego, że Annie miała na wszystko odpowiedź, ale rozmowa z nią pomagała uporządkować myśli. - Kiedy dostałam list od Grady'ego, straciłam kontrolę nad sobą. Nagle w mojej głowie znów zaczęły się tłoczyć te wszystkie myśli, którym przez lata odmawiałam prawa do istnienia. - Wahala się chwilę, aż wreszcie wydusiła z siebie: - Mój związek z Grady'm był zupełnie inny niż związek z Johnem.

- Pod jakim względem?

- Oboje byliśmy biedni. Byliśmy bratnimi duszami w okrutnym świecie. Byliśmy dla siebie nawzajem pociechą w świecie, w którym niewiele mogło nas cieszyć. - Spuściła wzrok. - I jeszcze seks. Z Gradyem to było bardzo gorące, z Johnem - letnie.

- Nawet na początku? - spytała Annie.

- Wtedy wszystko było w porządku. Nastawiłam się na to, że mamy sobie wspólnie ułożyć życie. Jednak kiedy lata mijały, wszystko straciło blask. Staralam się nie robić porównań, ale po pewnym czasie już nic nie mogłam na to poradzić. A im bardziej uświadamiałam sobie, że z Johnem to nigdy nie będzie takie, jak bym chciała, tym było gorzej.

Annie odezwała się cicho: - Nie wiedziałam.

Teke zdobyła się na smutny uśmiech. - O tym się nie mówi nawet najbliższej przyjaciółce. Nawet teraz, kiedy to mówię, czuję się jak bym zdradziła Johna. - I nagle grymas wykrzywił jej twarz. - Tak jak bym go już nie zdradziła w gorszy sposób. I ciebie, Annie.

Ktoś zapukał w drzwi.

- Jeszcze chwilkę - zawołała Teke. I ścisząc głos, powiedziała do Annie: - Przez dziewiętnaście lat małżeństwa ani razu go nie zdradziłam. Wcale nie przeszkadzał mi brak namiętności. Miałam dom, rodzinę i was wszystkich, a to było znacznie więcej niż nawet mogłam marzyć w dzieciństwie, więc każdego wieczoru kładąc się do łóżka dziękowałam swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, kim jestem i co mam. A potem, niech to wszyscy diabli, dostałam list od Grady'ego i znowu pragnęłam go tak bardzo jak wtedy, kiedy byłam młodą dziewczyną. Nagle poczułam się tak zgłodniała tego wszystkiego, czego nie zaznałam od lat, i to mnie przeraziło. Bo naprawdę mam dobre życie i nie chcę go zmieniać. I, Boże, gdybym aż do grobowej deski nie zobaczyła Grady'ego, wszystko byłoby w porządku.

Ciężko westchnęła. Obydwoma rękami zebrała włosy na czubku głowy, owinęła je jednym pasmem i spięła, po czym nieobecny ruchem wyciągnęła kilka kosmyków na czoło, jakby chciała się uchronić przed całkowitym odsłonięciem.

- To było jak morderstwo - powiedziała - ale bez premedytacji i wszystko stało się tak szybko, aż trudno uwierzyć, że coś tak pośpiesznego mogło narobić tyle zamieszania w życiu kilku osób. Byłam zupełnie rozkojarzona myślami o Gradyem, kiedy Sam wszedł do pokoju. Myśli o Gradyem pochłaniały mnie całkowicie, do tego stopnia, że nawet nie pamiętam niczego z Samem. Było w tym tyle intymności, co w naszym obmacywaniu się w trakcie zabaw w bezksiężycowe noce na wyspie Sutters.



Uśmiechnęła się na wspomnienie tych zabaw, do których zawsze dochodziło z inicjatywy Sama. Smaczku dodawał im fakt, że robili to tak, by dzieci się o tym nie dowiedziały. Zastanawiała się, czy Annie to pamięta, ale jeśli nawet pamiętała, te wspomnienia nie sprawiały jej przyjemności. Wyglądała na zupełnie zdruzgotaną. I nie odezwała się ani słowem.

- Powiedz mi, co o tym myślisz - przymilnie poprosiła Teke. - Muszę to wiedzieć.

Annie cicho jęknęła. Głęboko wciągnęła powietrze, otuliła się ramionami i spoglądała gdzieś ponad Teke. - Jakaś część mnie mówi, że to się stało i minęło, i trzeba to puścić w niepamięć, tak jakby można było wszystko przywrócić do dawnego stanu. - Spojrzała na Teke błagalnie. - Tyle że ja wiem, że nie jestem w stanie tego zrobić. Każda myśl o tym sprawia mi ból. Inaczej patrzę na samą siebie, na ciebie, na Sama, i to wszystko jest dla mnie zupełnie nowe i takie trudne.

- Ciebie i Sama tak wiele łączyło. Przecież to nie zniknęło w jednej chwili.

- Może i nie zniknęło, ale zmieniło się. Już nie będzie tego ślepego zaufania. To minęło.

- Przykro mi - powiedziała Teke. - Nie mogę przestać myśleć o tobie i Samie. Jeśli nawet nie będziesz się chciała ze mną przyjaźnić, w porządku, przyjmę to jako karę, na którą zasłużyłam, ale wasz związek z Samem nie powinien się rozpaść. To by było za wiele. On cię kocha, Annie?

Annie ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Kocha cię. I ty też go kochasz. Nie pozwól, żeby to wszystko się rozpadło przez jeden mój głupi krok.

Annie spojrzała na nią chłodno. - Przecież go nie zgwałciłaś, Teke.

Znowu rozległo się pukanie. - Jeszcze chwilę! - krzyknęła Teke. - Dlaczego ludzie są tacy niecierpliwi? - dorzuciła ciszej.

- Niektóre potrzeby nie mogą czekać.

Teke westchnęła. - Dobrze - mruknęła, spoglądając na Annie. - Ale to tylko część tego, co chciałam ci powiedzieć. Potrzebuję twojej pomocy. Jana w ogóle ze mną nie rozmawia. Leigh odzywa się tylko wtedy, kiedy musi. A ani jedna, ani druga nie umie rozmawiać z Johnem, więc ich emocje są zupełnie pozostawione samym sobie. Martwię się o nie. Nie mam pojęcia, co one czują w związku z tym wszystkim, poza złością. Ty zawsze z nimi rozmawiałaś, a w tym wypadku jesteś tą niewinną, skrzywdzoną stroną. Możesz z nimi porozmawiać, Annie? Proszę.

Annie wyglądała na niezadowoloną. - To stawia mnie w niezręcznej sytuacji. Nie mogę mówić o tobie źle przy twoich córkach, tak samo jak nie mogę mówić źle o Samie, chociaż są chwile, że go nienawidzę, ani też nie mam pojęcia, jak się wszystko ułoży między tobą i Johnem. Co ja mam im powiedzieć?

- Nie wiem - załkała Teke, czując kolejną falę tej samej paniki, która ją ogarnęła, gdy Michael trzaskając drzwiami wybiegł z domu. - Nie wiem. Ale ja je tracę. Powiedz mi, co mam robić!

Annie musiała wyczuć jej panikę, bo wyprostowała się i rzekła: - Porozmawiam z nimi, chociaż myślę, że to tylko strata czasu...

- One potrzebują jakiegoś oparcia, kogoś dorosłego...

- One potrzebują ciebie.

- Ale zawsze chodziły ze swoimi problemami do ciebie - powiedziała Teke. - Wiem, że jesteś na mnie zła, ale błagam cię, zrób to przynajmniej przez wzgląd na dawne czasy, pomóż moim dzieciom.

Annie poczuła nagły przyływ złości. - Do diabła, Teke. Jeśli porozmawiam z twoimi dziećmi, to nie przez wzgląd na dawne czasy. Znam je, od kiedy się urodziły. Kocham je. Oczywiście, że z nimi porozmawiam. Tyle że wszystko, co im mogę powiedzieć, to to, że w końcu sama z nimi porozmawiasz.

Słyszając kolejne, już znacznie głośniejsze stukanie, Annie odsunęła Teke i otworzyła drzwi łazienki. Teke nie miała więc innego wyboru, tylko wyjść za nią na korytarz.

## Rozdział 10

W czwartek, tydzień po tym, jak Michael obudził się ze śpiączki, przewieziono go do ośrodka rehabilitacji, który wybrał John. Ośrodek był odległy czterdzieści minut jazdy od Constance, jednak John czuł, że jakość i profesjonalizm opieki co najmniej rekompensują tę odległość.

Jechał samochodem, podczas gdy Teke wsiadła do ambulansu razem z Michaeliem. Kiedy już znaleźli się w ośrodku, Michaela zabrano na badania, które - jak im powiedziano - miały potrwać mniej więcej godzinę. To dawało Johnowi tyle czasu, ile potrzebował.

- Chodźmy na kawę - zwrócił się do Teke.

Poszli do stołówki, trochę zatłoczonej, bo w porze lunchu zjawilo się tu sporo personelu ośrodka, jednak to otoczenie bardziej odpowiadało Johnowi niż dom. Znalazł stolik w odległym końcu stołówki, gdzie mieli zapewnioną odrobinę prywatności.

- Jakie masz teraz plany? - zapytał, kiedy już usiedli.

Teke była zakłopotana. Był w stanie to zrozumieć. Po raz pierwszy od czasu, gdy ich życie zamieniło się w piekło, siedzieli gdzieś razem. I dla niego ta sytuacja nie była szczególnie komfortowa, choć sam nie miał sobie nic do zarzucenia.

- Jakie ja mam plany? - powtórzyła pytanie.

- Większość nocy spędzałaś w szpitalu. A teraz, kiedy Michael jest tutaj, masz zamiar spać w domu?

Ujęła filiżankę z kawą. - Nie wiem. Nie myślałam o tym. Chcę robić to, co będzie najlepsze dla Michaela.

- A co z Leigh i Janą?

- Nie sądzę, żebym właśnie teraz była im szczególnie potrzebna.

- A Michaelowi jesteś? - spytał nie bez powodu. Widział, jak chłopiec zachowuje się przy matce. Nie wyglądało na to, żeby Michael czuł w stosunku do niej coś innego niż złość. Nie chciał na nią spojrzeć. Nic do niej nie mówił poza krótkimi odpowiedziami na pytania. Uśmiechał się do innych, ale kiedy tylko spojrzał na Teke, uśmiech zniknął mu z twarzy. To samo odnosiło się do Sama, a taka sytuacja dawała Johnowi nieco satysfakcji.

Teke podniosła filiżankę z kawą do ust, a potem odstawiła ją nie wypiwszy ani kropli. - Może nie chce mnie widzieć, ale on jest w innej sytuacji niż Jana i Leigh. Jest młodszy i jest chory. Lekarze mówią, że po kilku tygodniach spędzonych tutaj czekają go jeszcze całe miesiące leczenia, zanim wróci do dawnej sprawności.

- Ale przynajmniej kiedyś wróci do dawnej sprawności - przypomniał jej John. Odczuł nieskończoną wdzięczność, kiedy Bill Gardner wreszcie go o tym zapewnił. - Mogło być znacznie gorzej. Gdybym był na twoim miejscu, nie uskarżałbym się na długotrwałe leczenie.

- Ja się nie uskarżam. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, ale dla Michaela to wszystko nie będzie łatwe. To będzie go kosztowało dużo wysiłku. Przeżyje dużo bólu i rozczarowań. Już teraz usta mu się wykrzywiają w podkówkę, kiedy pomyśli, że przez rok nie zagra w koszykówkę, a będzie to przeżywał jeszcze bardziej, gdy zaczną się rozgrywki. I niezbyt chętnie zapatruje się na to, że będzie miał prywatnego nauczyciela.

- Załatwiłaś to wreszcie? - spytał John. Mówił jej o tym już przed tygodniem.

Skinęła głową. - Będzie przychodził codziennie po południu na dwie godziny.

Od razu był nastawiony sceptycznie. - Dwie godziny wystarczą?

- Tyle wszyscy radzą. Michael ciągle jeszcze zapada w drzemki. Jego poziom koncentracji nie jest zbyt wysoki. Zresztą, z ręką w gipsie i tak nie może pisać, a kiedy już mu zdejmą gips, i tak upłynie sporo czasu, zanim będzie mógł wziąć pióro do ręki.

- A gdyby miał mały przenośny komputer?

- To by mu na pewno pomogło.

John wyciągnął notes i zapisał w nim, że musi zadzwonić do Dicka White'a. Dick, jeden z jego klientów, był właścicielem sieci sklepów ze sprzętem komputerowym. On będzie dobrze wiedział, jaki sprzęt trzeba kupić Michaelowi. - A ten nauczyciel jest dobry?

- Wszyscy go polecają. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka.

John wyobraził ją sobie witającą nauczyciela przed drzwiami i wprowadzającą go do pokoju Michaela, a potem pijącą z nim kawę po zajęciach. - Jak on wygląda?

- Nie wiem - odpowiedziała Teke niewinnie, ale zaraz zeszywniała, kiedy dotarła do niej jego aluzja. - Proszę, John - szepnęła - nie obrażaj mnie w ten sposób.

- Dlaczego? Ty mnie obraziłaś.

- I ciągle za to płacę. Możesz być pewien, że już nigdy tego nie zrobię.

- Nawet z Gradym Piperem? - zapytał i widząc, jak nagle pobladła, wiedział, że trafił w czuły punkt. To mu sprawiło przyjemność. - To nie jest taka sobie znajomość z Gullen, prawda? - naciskał. - Byliście kochankami.

Wytrzymała jego spojrzenie. - kiedy się poznaliśmy, dobrze wiedziałeś, że nie jestem dziewczyną.

- Wiedziałem. Wyobrażałem sobie twoją rozpustną przeszłość i to w jakiś sposób było podniecające. Myślałem, że to właśnie ja zdołam cię sprowadzić na dobrą drogę, tyle że nie udało mi się to, prawda? Jak już ktoś raz jest kurwą, na zawsze pozostanie kurwą.

Cały czas była blada. Filiżanka lekko drżała w jej dłoniach, gdy ją podniosła do ust. Ostrożnie odstawiała ją na spodeczek.

- Nic na to nie odpowiesz? - prowokował ją. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz powtórzyć swoje oskarżenia.

- Jeżeli obrzucanie mnie wyzwiskami poprawia ci samopoczucie, proszę bardzo. Sam wiesz, jakie to jest dziecinne, prawda?

- Wiem tylko - odezwał się cicho, ale z wyraźną złością - że Virginia Clinger zdażyła narobić wiele szkód, zanim zamknąłem jej usta. Nie umiem ci nawet powiedzieć, ilu mężczyzn drażni mnie tym, co było między tobą i Samem. Dzięki tobie czuję się jak głupiec. Więc jeśli będę chciał cię obrzucać wyzwiskami, będę to robił.

Nawet nie drgnęła. Jej zmęczenie stało się jeszcze bardziej widoczne, gdy się odezwała: - Musimy porozmawiać o tym, co z nami będzie, z tobą i ze mną.

To mu pasowało do taktyki, jaką sobie założył. Nie chciał jej tego mówić od razu, wolał, żeby tym razem ona przez jakiś czas czuła się jak idiotka. Więc zamiast powiedzieć wprost o swoich planach - tak jak ona się tego spodziewała - oparł się na plastikowym krześle i zapytał: - I do czego chcesz doprowadzić?

Musiał jej przyznać, że zachowała absolutne opanowanie. Po chwili powiedziała: - Ja najpierw chciałabym spróbować wszystko między nami poukładać. To będzie najlepsze dla dzieci.

- Nie myśl o dzieciach. Jeszcze pięć lat i wyfruną z domu. A co z nami? Naprawdę sądzisz, że po tym, co się stało, uda się wszystko między nami posklejać?

- To był jeden raz, John - zaoponowała. - Mówisz tak, jakbym przez całe lata nie robiła nic innego, tylko na prawo i lewo podrywała facetów. To był jeden raz. I albo rozdmuchujesz to ponad wszelką miarę, albo chcesz skorzystać z okazji, żeby się uwolnić z małżeństwa, którym już od jakiegoś czasu jesteś zmęczony. - Spojrzała na niego ostro. - Nie jestem głupia, John. Wiem, że nasze małżeństwo nie jest porywające. Było przyjemne i działało bez zastrzeżeń, ale nigdy między nami nie było takiej więzi, jaka jest między Annie i Samem.

- Więc byłaś zazdrosna? Dlatego zabrałaś się za Sama?

- Nie zabrałam się za niego. To się po prostu stało. I to nie miało nic wspólnego z zazdrością. Annie i Sam byli dla mnie na tyle ważni, że nie mogłabym im niczego zazdrościć.

John ze złością nachylił się do przodu. - Nawet seksu? Nie byłaś o to zazdrosna?

- A jak mogłabym być zazdrosna? - wykrzyknęła.

- Skąd miałam wiedzieć, co oni robią?

- Nie rozmawialiście o tym z Annie?

- Oczywiście, że nie.

Chciał jej wierzyć. Myśl, że one mogły porównywać swoich mężczyzn, była dla niego nieprzyjemna. Oni z Samem nie rozmawiali na te tematy, bo zbyt dobrze znali swoje żony, ale kobiece rozmowy są zupełnie inne.

- Rozmawiacie z Annie na wszystkie inne tematy. Więc dlaczego nie o tym?

- Bo to są bardzo osobiste sprawy, intymne. Krępujące.

- Krępujące - prychnął. - No i wracamy do punktu wyjścia. Nasze życie seksualne jest dalekie od wspaniałości. I na dobrą sprawę zawsze było dalekie od wspaniałości. I gdybyśmy chcieli poukładać wszystko na nowo w naszym małżeństwie, to trzeba by było zmienić. Ale to albo jest, albo tego nie ma. Mogliśmy przez jakiś czas próbować siebie oszukiwać, ale prawdziwego pociągu między nami nie ma.

- Ale nasze małżeństwo było udane. Te same rzeczy w życiu są dla nas ważne. Nie kłócimy się o pieniądze ani o dom, ani o samochody. Ani o dzieci. Wiele nas ze sobą łączy.

- Jeszcze miesiąc temu zgodziłbym się z tobą. Zanim okazało się, że seks tyle dla ciebie znaczy.

- To był jeden raz, John.

- To był pierwszy raz. Będą i następne. To jest tak samo jak z narkotykami. Nie bierzesz, bo jesteś absolutnie czysta, ale wystarczy, że raz spróbujesz, wszystko jedno z jakiego powodu, i nagle już nie jesteś zupełnie czysta, więc nie sprawia ci już żadnej różnicy, że bierzesz drugi raz, a potem trzeci i czwarty. Mój dobry przyjaciel, Sam, nauczył się tego od swoich klientów i przekazał mi to w czasie jednej z naszych wieczornych pogawędek. - Oparł się na krześle.

- Nie wiedziałaś o tym, prawda? Wieczorami zwykle ucinaliśmy sobie pogawędkę od piątej do siódmej, a potem pędziliśmy do domu, żeby nasze żony się nie denerwowały.

- John wprawdzie wiele z tych wczesnych wieczorów spędzał z kobietami, ale nie miał zamiaru o tym mówić Teke. Nie chciał wkładać jej do ręki broni, której mogłaby użyć przeciw

niemu. - No cóż, już nie będziemy sobie z Samem gawędzić. Właściwie, jeśli ojciec osiągnie to, czego chce, Sam niedługo zostanie w firmie.

Teke wciągnęła powietrze. - Och, John. To nie jest w porządku. Zrobił dla firmy tyle dobrego.

- Zrobił wiele dobrego dla siebie. To na jego nazwisko są zwrócone światła, nie na nazwę firmy.

- Ale zarabia dla firmy wielkie pieniądze.

- I tylko to powstrzymuje ojca przed natychmiastowym poddaniem pod głosowanie jego udziału w firmie. Ale mówi, że to tylko kwestia czasu. Chce się Sama pozbyć. Ciebie też chce się pozbyć. Mówi, że powinienem się rozwieść.

Teke znów złapała powietrze, tym razem gwałtowniej.

- Nie przyszło ci do głowy, że coś takiego może się zdarzyć? - spytał John z niedowierzaniem. Albo jest bardziej naiwna niż sądził, albo odgrywa idiotkę. - Nie przyszło ci do głowy, że jeśli mnie będziesz zdradzała, mogę sobie powiedzieć: A po co, do diabła, mam się starać to utrzymywać? Nawet przez ostatnie tygodnie nie przeszedł ci przez myśl rozwód?

- Owszem - powiedziała, odgarniając włosy z twarzy - ale ja go nie chcę. Małżeństwo to coś, o co warto walczyć.

John poczuł przyływ zniecierpliwienia. - Warto o nie walczyć? Spójrz prawdzie w oczy, Teke. Różnimy się od siebie jak dzień i noc. Wiesz dzięki komu nasze małżeństwo funkcjonowało? Dzięki Annie i Samowi. To dzięki nim wydawaliśmy się sobie atrakcyjni. Gdyby nie oni i nie dzieci, pewnie już dawno temu stracilibyśmy złudzenia. A teraz nie będziemy mieć Annie i Sama, bo ja nie mógłbym ci ufać przy Samie, tak samo jak Annie nie mogłaby mu ufać przy tobie. Dzieci wkrótce się usamodzielnią i co wtedy pozostanie? Sądzisz, że nasze życie seksualne wtedy niespodziewanie rozkwitnie? Myślisz, że mam zamiar zastanawiać się nieustannie, jak wypadam w porównaniu z innymi twoimi kochankami? Wybacz, ale nie mam zamiaru w ten sposób żyć.

Spuściła głowę. Włosy znów opadły jej na twarz.

- W związku z tym kupiłem mieszkanie w Bostonie - powiedział dumny z siebie, że podjął tak zdecydowane kroki, tym bardziej że ona, nagle zaalarmowana, uniosła głowę. - Jest duże, więc dzieci będą mnie mogły odwiedzać, i jest umeblowane, więc mogę się przeprowadzić w każdej chwili. I dlatego chciałbym znać twoje plany. Jeśli masz zamiar zostać tu z Micha-

elem, ja będę w domu z dziewczynkami, dopóki Michael stąd nie wyjdzie. A jeśli ty będziesz spała w domu, już teraz przeprowadzę się do Bostonu.

Przycisnęła rękę do piersi. - Kupiłeś mieszkanie? Tak szybko?

Wzruszył ramionami. - Mieszkań na rynku jest pod dostatkiem.

- Nie chciałeś ze mną o tym porozmawiać? Nie pomyślałeś o tym, jak dzieci to przyjmą?

- Myślałem o dzieciach. To wyjście wydaje mi się bardziej uczciwe niż gdybym został w domu i udawał, że coś do siebie czujemy.

Teke gwałtownie zamrugła. - A nic do siebie nie czujemy? Jesteśmy małżeństwem. Mamy wspólną przeszłość i tyle wspomnień. Mamy dzieci.

- Ale się nie kochamy. - Jeszcze przed miesiącem nigdy by tego nie powiedział. Myślał wtedy, że ją kocha. Jednak fakt, że jego uczucia zmieniły się w takim tempie, sugerował coś innego. - Może nigdy się nie kochaliśmy.

- Są różne rodzaje miłości - dowodziła, choć wiedział, że po omacku usiłuje się czegoś uchwycić. - Nie każda miłość jest wielką namiętnością.

Nie mógł powstrzymać gorzkiego śmiechu. - Dziewczyno, nam się trafiła najwyżej odrobina namiętności. - Nagle poczuł, że za bardzo się przechwala i pomyślał o tych wszystkich kobietach, z którymi spotykał się przez lata. - I nie tylko tobie brakowało tej namiętności. Wiele razy mnie brakowało jej bardziej.

Po tych słowach zabrakło jej argumentów. Znów odgarnęła włosy z twarzy - ten gest kiedyś wydawał mu się bardzo podniecający, i pewnie dla innych mężczyzn ciągle był podniecający - i wpatrywała się w niego przez chwilę.

- Więc to koniec, tak? - spytała drżącym głosem. - Wystąpisz o rozwód?

- Nie od razu. Wystąpiłem o separację.

Na jej twarzy pojawiła się ulga. - Więc myślisz, że może dla nas jeszcze być jakaś nadzieja?

- Niespecjalnie.

Ulga zniknęła. - Więc dlaczego separacja? Dlaczego od razu nie przeprowadzisz rozwodu?

Dlaczego? Bo Johnowi się nie śpieszyło. Bo trzymanie Teke w zawieszaniu dawało mu poczucie władzy. Zasłużyła na to. Każdy, kto go zdradził, zasługiwał na to, a nawet na więcej. - Może dlatego - odezwał się - żeby nie dawać ci wolnej ręki, dopóki Annie i Sam nie zdecydują, co oni robią. Gdybyś była wolna, mogłabyś próbować odciągnąć Sama od Annie.



Wykrzywiła twarz, jakby mu chciała powiedzieć, że chyba oszalał, ale on miał to w nosie. To on był panem sytuacji. To on decydował, co się ma stać. Złożył pozew rozwodowy wtedy, kiedy jemu będzie wygodnie - nie Johnowi Stewartowi ani Teke, ani Samowi. Zrobi to kiedy będzie chciał, i ani minuty wcześniej.

\* \* \*

Annie w ostatniej chwili usiłowała przygotować kolację, kiedy przez tylne drzwi do kuchni wbiegła Jana, zdenerwowana i niemal bez tchu. - Czy oni się rozwodzą? - spytała.

Annie podniosła wzrok znad przepisu na przygotowanie sosu do makaronu. - Co?

- Myślę, że się rozwodzą. Mama śpi w ośrodku rehabilitacji, a tata w domu, i to mogłoby być w porządku ze względu na Michaela, gdyby nie to, że kiedy chwilę temu weszłam do pokoju taty, zobaczyłam na biurku cały stos kartek z informacją o zmianie adresu. Tata napisał je do banków, gazet i różnych firm i podał jakiś adres w Bostonie, ale to nie jest adres jego biura. Czy oni się rozwodzą?

Annie odłożyła puszkę z sosem. Jana wyglądała na zdruzgotaną. - Nie wiem - powiedziała cicho. Nie miała pojęcia, co ma powiedzieć dziewczynce. - To nie moja sprawa, więc o to nie pytałam.

- No dobrze, ale czy oni nie pomyśleli, że powinni nam powiedzieć? Nie sądzą, że jesteśmy na tyle dorosłe, żeby sobie zdawać sprawę, że coś jest nie w porządku? Wiemy, co ona zrobiła. Wiemy, że tata jest wściekły. Wiemy, że przez coś takiego małżeństwa się rozpadają.

Annie złapała ją za kłapę zakietu i delikatnie pociągnęła za sobą do telefonu. Wzięła słuchawkę do ręki i wystukała numer telefonu do biura, ale zgłosiła się automatyczna sekretarka. - Musiał już wyjść z biura. Ma przyjechać do domu, żeby zjeść kolację z tobą i z Leigh?

- Powiedział, że tak. Mówił, że gdzieś wyjdziemy. Znowu. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Niedobrze mi się robi na samą myśl, że muszę jeść w restauracji. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że coś takiego powiem, ale trzeba czekać, aż się zwolni stolik, trzeba czekać, żeby złożyć zamówienie, trzeba czekać, aż kelner przyniesie jedzenie, a i tak nie jest ono takie, jak się chciało. - Popatrzyła na Annie zakłopotana. - I wtedy tata się niecierpliwi i robi wymówki kelnerowi, ale kiedy wczoraj z Leigh próbowaliśmy same zrobić kolację, to była kompletna katastrofa.

- Kurczak wam się nie udał? - spytała zaskoczona Annie. Dała im przecież sprawdzony przepis.

- Kurczak byłby wspaniały, ale nie nastawiłyśmy w porę ryżu, więc musiałyśmy czekać, aż się ugotuje, a kiedy ryż był gotowy, kurczak się trochę przypalił, a groszek się rozgotował.

- Chciałabym, żebyście mogli u nas jeść - powiedziała Annie i było jej przykro, że nie mogą, bo przecież John nigdy by tutaj nie przyszedł. Na szczęście nie musiała tego mówić. Jana to dobrze wiedziała i Jana wiedziała dlaczego. Zresztą Jana nie bardziej niż John chciała przebywać w towarzystwie Sama.

- Więc tata się wyprowadza? - spytała Jana.

- Twoja mama nic mi o tym nie mówiła, kiedy ostatnio z nią rozmawiałam.

- Nie wiedziałam, że ze sobą rozmawiacie - odezwała się Jana ostrożnie.

- Zaczynamy ze sobą rozmawiać - a to stwierdzenie było zdecydowanym naciąganiem faktów, jako że Annie nie rozmawiała z Teke od tego dnia w szpitalnej łazience. Jednak naciąganie faktów miało swój cel. Otóż Annie uważała, że Jana postępuje źle wychodząc z pokoju, kiedy tylko zjawiała się w nim Teke.

- No, cóż, może ty jesteś w stanie jej wybaczyć, ale ja nie. To, co zrobiła, było okrutne i samolubne.

- Nie miała zamiaru być okrutna i samolubna - Annie już w to wierzyła. - Po prostu nie myślała.

- No to ma pusto w głowie.

- Och, Jana - powiedziała Annie, znów pociągając ją za klapę zakietu. - Czasami ludzie coś robią, bo w ich myślach panuje zamęt, a to wcale nie znaczy, że mają pusto w głowie.

- Przebaczyłaś jej. - Teraz to było oskarżenie. Annie pomyślała teraz o niedawnym incydencie z Jasonem Faustem. To wspomnienie podziałało na nią paraliżująco - ogarnęło ją poczucie winy, w skroniach jej pulsowało i żołądek jej się ścisnął. Patrząc wstecz na te kilka minut z Jasonem Faustem, zaczynała rozumieć, co czuła Teke, gdy myślała o Gradym Piperze i chciała być kobieca i kochana. Nawet jeśli to, co zrobiła Teke, było złe, Annie wcale nie uważała własnego postępowania za wiele lepsze.

- A dlaczego miałabym jej nie przebaczyć? - zwróciła do Jany. - Przecież sama popełniłam wiele błędów. Nikt nie jest nieomylny.

- Ale ona cię skrzywdziła. Zdradziła cię prawie tak samo jak mojego tatę. Jak możesz o tym zapomnieć?

- Nie powiedziałam, że mogę o tym zapomnieć, ale że rany z czasem się zablizną. Nie mówię, że wszystko wróci do normy, tylko że próbuję nie zasklepić się w urazie.

- W stosunku do Sama też?

To było znacznie trudniejsze. Sam jest jej mężem. Od niego oczekiwała czegoś innego niż od Teke.

- Próbuję nie zasklepić się w urazie - powtórzyła, chociaż głos jej stwardniał.

- I ja też nie powinnam?

- Jeśli możesz.

Do kuchni wpadła Zoe z krzykiem: - Mamo, już nie mogę z tą matką! Och, Jana! Dzięki Bogu, że tu jesteś. Mogłabyś mi pomóc? To wszystko jest bez sensu.

Jana złapała Zoe za rękę i wyprowadziła ją z kuchni. Przy wyjściu cicho spytała Annie: - Spróbujesz się dowiedzieć ile będziesz mogła?

- O czym? - spytała Zoe.

Jana zmarszczyła nos. - O niczym. - Nie spuszczała oka z Annie.

Annie skinęła głową. - Pomóż Zoe, a moja wdzięczność nie będzie miała granic. - Uściśnęła dziewczynki i odesłała je na górę, a sama zajęła się poszukiwaniem numeru samochodowego telefonu Johna, myśląc, że go tam złapie i zwróci mu uwagę na niepokoje jego córki. Jednak właśnie w tej chwili w drzwiach pojawiła się Leigh. Niemal ginęła w obszernej kurtce Maxa.

- Jest tutaj Jana?

- Na górze.

- Tata właśnie przyjechał. Chce, żeby przyszła do domu. Zadzwoiłabym, ale kiedy tylko przyszedł, sam zasiadł do telefonu, a zresztą musiałam wyjść z domu. Jest zły. Ma kłopoty z jakimś klientem. - Odwróciła się od Annie i oplotła ramionami Maxa, który niespodziewanie stanął w drzwiach. Annie przypuszczała, że musiał widzieć przez okno, jak Leigh idzie do ich domu.

- Czy Leigh może zjeść z nami? - zapytał.

- Nie dzisiaj. John zabiera Leigh i Janę na kolację.

- Chce porozmawiać - zwróciła się Leigh do Maxa. - Jana myśli, że on się wyprowadza z domu. To pierwszy krok do rozwodu.

- Niekoniecznie - wtrąciła się Annie, próbując uspokoić Leigh, która, podobnie jak Teke, miała skłonność do wpadania w panikę, gdy jej niepokój dotyczył spraw domu lub uczuć. - Ludzie często chcą od siebie odpocząć i wszystko przemyśleć z dala od domu. To jest im potrzebne, żeby mogli sobie uświadomić, że nie chcą rozwodu.

Może i Leigh to słyszała, jednak w dalszym ciągu mówiła do Maxa: - I tyle z naszego wspaniałego wielkiego wesela. Jeśli oni się rozwodzą, musimy o tym zapomnieć.

- To nieprawda. - Annie podeszła do nich. - Bez względu na to, co się stanie, będziecie mieli wspaniałe wielkie wesele.

Jednak Leigh potrząsnęła głową. - Szesnaste urodziny Melissy Weber to był koszmar. Jej rodzice walczyli ze sobą jak mogli, i to o wszystko - o restaurację, o zaproszenia, o listę gości. A już na samym przyjęciu ciągle patrzyli na siebie wilkiem. Nawet jeśli rodzice się nie rozwiodą, i tak całe wesele będzie jednym wielkim nieporozumieniem.

- Nie, nie będzie...

- Uciekniemy gdzieś i weźmiemy ślub - powiedział Max.

- Ależ my będziemy chcieli tam być - spierała się Annie. - Zresztą i tak jest za wcześnie na planowanie ślubu. Przed wami jeszcze college i studia...

- Nie mamy zamiaru czekać tak długo - przerwał jej Max.

- Nie wybieram się na studia - dorzuciła Leigh. - To strata czasu i pieniędzy, jeśli ktoś nie zamierza iść do pracy, a ja nie zamierzam.

Annie westchnęła. - Masz jeszcze dużo czasu, żeby o tym wszystkim pomyśleć. Jana! - krzyknęła i zwróciła się do Leigh: - Biegnij do domu i powiedz tacie, że ona zaraz przyjdzie.

- Najpierw chcę porozmawiać z Maxem.

- Rozmowa z Maxem nic nie pomoże, jeśli tata ma podły humor.

- Mogłabyś do niego zadzwonić, Annie? - błagalnym tonem poprosiła Leigh, prowadząc Maxa ku schodom. - Powiedz mu, że przyjdziemy za chwilę.

- Ale przecież widziałas się z Maxem nie dalej niż godzinę temu! - krzyknęła za nimi Annie i wtedy zobaczyła, że drzwi prowadzące z garażu otwierają się i staje w nich Sam. - Nie panuję nad tym wszystkim - machnęła ręką w powietrzu. A potem opuściła rękę na telefon i wystukała numer Maxwellów. Linia była zajęta. - Cholera. - Rzuciła Samowi ostrzegawcze spojrzenie. - Kolacja będzie trochę później.

Położył aktówkę i płaszcz na krześle i podszedł do kuchennej lady. - Zły dzień?

- Pełen roboty. - Skupiła się na przepisie przygotowywania makaronu, wyjęła z lodówki masło i mleko, odmierzyła odpowiednie ilości i razem z wodą wlała do rondla, a potem postawiła na ogień.

- Jak tam w szkole? - spytał.

„Na końcu dodać makaron”. Dodała makaron. - Coraz więcej roboty.

- Egzaminy semestralne?

- Mhm. - „Doprowadzić do wrzenia”.

- We wszystkich trzech klasach?

„...i przez kilka minut gotować na wolniejszym ogniu, aż makaron będzie miękki”.

- Tylko z literatury brytyjskiej. Pozostałe grupy mają napisać prace.

- Asystent pomoże ci oceniać?

Jason Faust pomógłby jej we wszystkim. Mógł odejść jak niepyszny tego okropnego dnia, ale można było na nim polegać. Wyglądało na to, że nie chce pamiętać o tym żenującym incydencie. Ona sądziła, że też uda jej się o tym zapomnieć.

Zmniejszyła gaz pod rondlem. - Asystent będzie prowadził egzamin. Prace ocenię sama.

- To dużo roboty.

Odsunęła go na bok, żeby mieć dostęp do szafki. - Za to biorę pieniądze - powiedziała. Wyjęła talerze i szklanki, z szuflady wyciągnęła sztuce, cały czas próbując nie zwracać uwagi na obecność Sama. To jednak było niemożliwe. I to wcale nie dlatego, że nie sposób było nie zauważyć jego masywnej sylwetki. Mogłaby zamknąć oczy, ale i tak czułaby przepływające między nimi fluidy. Niejeden raz po swej rozmowie z Teke w szpitalnej łazience Annie zastanawiała się, czy jakimś cudem nie przypadła im w udziale podwójna ilość tych fluidów, czy nie stało się tak, że oprócz tej dawki erotycznej fascynacji, która była dla nich przeznaczona, dostali jeszcze tę, która powinna była przypaść w udziale Teke i Johnowi.

Teraz to czuła. Zawsze to czuła. Dla niej Sam Pope był kwintesencją męskiego magnetyzmu.

- Wiesz sama, że nie musisz pracować - powiedział.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Gdybym nie pracowała, to przy tym wszystkim, co teraz przechodzę, czułabym się zupełnie bezużyteczna.

- Ale jeśli to jest ponad twoje siły...

- To nie jest ponad moje siły.

- Właśnie powiedziałaś, że nie panujesz nad tym wszystkim.

- Powiedziałam, że nie panuję nad tym wszystkim, ale miałam na myśli Maxa i Leigh, Janę i Johna, a ta sytuacja wkrótce się rozwiąże. - Przerwała na dźwięk telefonu. - Nie podnoś słuchawki - ostrzegła Sama. Jednak już któreś z dzieci odebrało telefon. - To na pewno John

dzwoni, żeby dziewczynki wracały do domu. - Wzięła serwetki, by je ułożyć na stole. Na górze słychać było kroki.

- O co chodzi?

- Jana jest przekonana, że John się wyprowadza. Wiesz coś o tym?

- Nie.

- Leigh jest przekonana, że John i Teke w końcu się rozwiodą. - Wzrokiem zapytała Sama, czy może na ten temat coś wie.

Jednak on odpowiedział: - Jestem ostatnim człowiekiem, któremu John właśnie teraz by się zwierzał.

- Rozmawiałeś o tym z Teke?

- Och, Annie. Przecież ona nie mówiłaby mi takich rzeczy. To ty jesteś jej przyjaciółką.

- A ty jesteś jej kochankiem.

- Jeśli już, to byłem - poprawił ją - i to naprawdę za wiele powiedziane.

Max wsunął głowę do kuchni. - Mamo, John zaprosił mnie... - Przerwał, widząc Sama. Dokończył znacznie bardziej sztywnym tonem. - Zaprosił mnie, żebym poszedł z nimi na kolację. Nie masz nic przeciwko temu?

- Jasne, że nie.

- Ja mam coś przeciwko temu - odezwał się Sam.

- Miałem nadzieję, że zjemy kolację we czwórkę. Max z zaciśniętymi ustami przez chwilę wpatrywał się w Sama, a potem zwrócił się do Annie. - Mamo?

- Idź - powiedziała cicho. - Jeśli tam będziesz, Leigh i Janie będzie łatwiej.

Max odwrócił się, by dołączyć do dziewcząt.

- A co z nami? - rzucił Sam.

Jakaś część jej duszy, która ciągle chciała go karać, mówiła, by zignorować ból brzmiący w jego głosie. - Jeśli on tam będzie, nam też będzie łatwiej. Nie jest zbyt towarzyski w twojej obecności. - Wzięła naczynia i odwróciła się, by nakryć do stołu. Sam wyjął naczynia z jej rąk. Spodziewała się, że postawi je na stole i wróci do niej, by się spierać. Jednak zaczął sam nakrywać do stołu.

Zaskoczona obserwowała go i ta część jej duszy, która go kochała, zaczęła w niej krzyczeć. Wiedziała, jak wiele znaczą dla niego dzieci, i wiedziała, jaki ból sprawia mu Max, gdy patrzy na niego w taki sposób. - Daj im trochę czasu, Sam.

Skinął głową i nie przestawał nakrywać do stołu. Widelce układał po niewłaściwej stronie talerzy, ale Annie nie miała serca zwracać mu uwagi, a zresztą właśnie w tej chwili przez kuchnię do drzwi wyjściowych przemknęli Max, Leigh i Jana. Wszyscy ucałowali Annie na pożegnanie, ale do Sama żadne z nich nie zwróciło się ani słowem.

Sam znalazł się przy drzwiach, zanim te zdążyły się zatrzasnąć. - Nie wracaj zbyt późno, Max! - zawołał. - Jutro idziesz do szkoły. - Stojąc przy drzwiach i wpatrując się w oddalającą się sylwetkę swego syna, wyglądał tak żałośnie, że Annie pewnie podeszłaby do niego, gdyby właśnie w tym momencie nie ukazała się w kuchni Zoe ze spuszczonego wzrokiem i ustami wykrzywionymi w podkówkę.

- Jana nie umiała ci pomóc? - spytała Annie.

Zoe wzruszyła ramionami. Pochyliła się do telefonu, który właśnie zadzwonił, ale go nie odebrała. Annie podniosła słuchawkę. - Halo?

Odezwał się delikatny kobiecy głos. - Czy mogłabym mówić z Samuelem Pope?

Annie nie rozpoznała głosu i nagle stała się podejrzliwa. - A kto mówi?

- Teresa Heskowicz.

Annie nic to nazwisko nie mówiło. Gdyby Sam je kiedyś wspomniał, na pewno by zapamiętała. Możliwe, że Sam uznał, iż nie należy tego nazwiska wspominać. Patrząc na niego ostro, podała mu słuchawkę.

Podniósł słuchawkę do ucha. - Tak? - A po chwili dodał - Tak, to ja jestem ten Samuel Pope. - Słuchał ze zmarszczonymi brwiami, dłonią pocierając kark. - Może będę w stanie pomóc, ale zadzwoniła pani w nieodpowiedniej chwili. Może moglibyśmy porozmawiać jutro? Czy ma pani numer telefonu do mojego biura?

Potencjalna klientka, a przynajmniej tak się Annie domyślała. Sam nie wyglądał na załopotanego, tylko na trochę złego, że ktoś mu przeszkadza, a przynajmniej tak się Annie wydawało. I taką miała nadzieję. Kiedyś nie odczuwała nawet cienia podejrzania, gdy jakaś kobieta zadzwoniła do jej męża. Chciałaby cofnąć czas.

Jednak to było niemożliwe. A Zoe ciągle miała wzrok wbity w podłogę. - Co się złego stało, kochanie? - spytała, gładząc córkę po policzku.

- Mogli mnie też zaprosić na kolację. Chętnie bym poszła.

- Mam wrażenie, że Max sam się wprosił. Zresztą, byłoby nam ciebie brak tutaj.

Zoe podniosła wzrok na tyle, by dostrzec, że Sam odłożył słuchawkę. Podeszła do stołu. - Ja dokończę.

- Tata nakrywa do stołu.

- Źle to robi. - Poprzekładała widelce.

- Z tej strony? - spytał zatroskany Sam. Zoe skinęła głową.

Annie otworzyła lodówkę, żeby wyjąć sos do sałaty, i właśnie zamykała drzwi, kiedy Zoe podeszła do niej i wyrzuciła z siebie, ścisząc głos: - Jana umówiła się z Dannym Stocklanem.

- Umówiła się?

- Na randkę. W sobotę wieczorem.

- To dobrze - powiedziała Annie. - Pójdiesz gdzieś z innymi dziećmi bez niej.

Widząc Zoe przygryzającą wargę, Annie domyśliła się, że tak nie będzie. - Dlaczego? - spytała łagodnie. Zoe wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie?

- Oni chcą się spotykać z Janą, nie ze mną. To ona jest duszą towarzystwa, nie ja. Spotykają się ze mną tylko dlatego, że przychodzę z nią.

- To nieprawda, słoneczko - mówiła Annie bliska łez. - Oni cię lubią.

Zoe stała bez ruchu, cały czas nerwowo przygryzając wargę.

- A może w sobotę wieczorem poszlibyśmy we trójkę do kina? - zaproponował Sam.

Zoe potrząsnęła głową.

- To może na kolację. Albo pograć w kręgle? - Kiedy Zoe znowu potrząsnęła głową, powiedział: - Moglibyśmy pojechać na lotnisko, popatrzeć na samoloty.

Annie pamiętała, że Zoe jako małe dziecko uwielbiała obserwować lądujące samoloty. Jednak teraz w najmniejszym stopniu nie wydawała się zainteresowana propozycją.

Sam próbował dalej. A kiedy żadna propozycja nie znalazła uznania, powiedział: - Mogę schować cię pod płaszczem i przeszmugłować do kina dla dorosłych.

Słyszając to, Annie musiała się uśmiechnąć. Sam był dowcipny i lubił żartować, jednak Zoe miała kamienną twarz.

Wtedy Sam powiedział łagodnie: - Jestem otwarty na inne propozycje.

- Zostanę w domu. - Zoe skierowała te słowa do Annie, po czym zakręciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Jednak oboje zdążyli zauważyć w jej oczach łzy.

- O Boże - szepnęła Annie i postawiła na ladzie sos do sałaty. Nie mogła znieść takiego przygnębienia swojej córeczki. To takie delikatne dziecko, takie wrażliwe. Annie tak bardzo czuła w Zoe bratnią duszę.



Sam znalazł się przy drzwiach pierwszy, jednak Annie wysliznęła się na korytarz przed nim. Już na schodach odwróciła się i położyła mu dłoń na piersi. - Będzie lepiej, jeżeli ja pójdę.

- Bo Zoe jest na mnie zła?

- Bo potrzebuje kobiety.

- Zawsze umiałem jej pomóc.

- W porządku. Jest na ciebie zła. Czas, Sam. Oboje potrzebują czasu.

- Ile czasu? - spytał, przeczesując palcami włosy. - Nie wytrzymam tego, Annie. Chcę z nimi rozmawiać, tak samo chcę rozmawiać z tobą. Chcę zacząć wszystko naprawiać, tyle że żadne z was nie chce mi na to pozwolić. Kiedy wasza złość zacznie cichnąć? Jak długo muszę czekać?

Bardzo chciała zdjąć dłoń z jego piersi, ale dłoń jej się opierała. Więc pozwoliła jej jeszcze chwilę tam zostać, chwilę, kiedy wzrokiem mówiła mu, błagała go, żeby był cierpliwy.

- Kocham cię - wyszeptał, a w jego głosie słyszała takie pragnienie, że niemal gotowa była zapomnieć, kim jest, gdzie jest, dlaczego tutaj jest i co się ostatnio zdarzyło w ich życiu.

Jednak nie zapomniała. Nie mogła zapomnieć. Drżącymi ustami złapała nieco powietrza, odwróciła się i poszła po schodach na górę, do Zoe.

\* \* \*

Grady nie przyszedł odwiedzić Michaela w ośrodku rehabilitacji z pustymi rękami. - To dla ciebie - powiedział, wyciągając puszkę z torby.

- Saltinki? - spytał Michael podejrzliwie.

Grady otworzył puszkę i potrząsnął nią. - Tutaj są bezpieczne.

Michael uśmiechnął się. - Co jeszcze jest w torbie?

Z nieco mniejszym przekonaniem Grady wyciągnął stamtąd spraną czapkę baseballową. - To mój talizman - powiedział. - Znalazłem ją w swojej skrzynce pocztowej, kiedy wróciłem do Gullen po wyjściu z więzienia. Nie wiem, do kogo należała. - Opuścił daszek tak, żeby Michael mógł zobaczyć A otoczone zamazystą linią. - Nigdy nie byłem fanem Aniołów, nie mieszkalem w Maine, ale uznałem, że jest dobra na nowe życie, więc

Włożyłem ją na głowę. To chyba ona chroniła mnie przed kłopotami. - Szukał odpowiedniego miejsca, w którym mógłby umieścić czapkę, aż wreszcie zawiesił ją na drążku przyrządu do rehabilitacji, który stał przy łóżku.

- Nie tam - zaprotestował Michael. - Załóż mi ją na głowę.

Grady, zakładając chłopcu czapeczkę, poczuł, jak ogarnia go ciepło. Potem znów sięgnął do torby i, tym razem ukradkiem, wyciągnął stamtąd całą garść balonowej gumy do żucia, którą wsunął do szuflady nocnej szafki przy łóżku Michaela.

- Widziałam - odezwała się Teke.

- To dla niego - powiedział jej Grady. - A to dla ciebie. - Wyciągnął z torby plastikowy woreczek pełen różnokolorowych ścinków, sznurków i kawałków plastiku. - To najlepsze, co zdołałem zebrać. A zbierałem bardzo długo. - Odwrócił się do Michaela. - Twoja mama kiedyś wyrabiała przepiękne rzeczy z takich resztek. Pomyślałem sobie, że mogłaby czymś zająć ręce, kiedy ty ćwiczysz.

Na Michaelu nie zrobiło to szczególnego wrażenia i wszystko to, co Grady'emu wydawało się świetnym pomysłem, nagle straciło blask. Ta Teke nie była już tamtą biedną dziewczyną, którą znał w Gullen. Wyszła za mąż za duże pieniądze. Nie podekscytuje jej woreczek ścinków, bez względu na to, jak wiele lat je dla niej zbierał.

Więc mruknął do niej bez przekonania: - W szpitalu piekłaś ciasteczka dla personelu, więc przyszło mi do głowy, że teraz mogłabyś zrobić kolczyki dla pielęgniarek. Głupi pomysł. - I chciał włożyć woreczek ścinków z powrotem do torby.

- Zaczekaj. - Wpatrując się w ścinki, wyglądała na rozdartą sprzecznymi uczuciami. A po chwili, z cieniem uśmiechu, zabrała je z rąk Grady'ego.

Grady'emu serce podskoczyło w piersi. Chciał, żeby w tym woreczku były nie ścinki, a diamenty. Może one byłyby godne jej urody. Przez wiele lat zastanawiał się, jak ona teraz wygląda, wyobrażał ją sobie, ale to, co zobaczył, przekroczyło wszelkie oczekiwania. Zresztą zawsze była piękna.

Nabrał powietrza w płuca i zmusił się, żeby oderwać wzrok od Teke. - Dobrze cię tu traktują? - spytał Michaela.

- Chyba tak - odpowiedział Michael, teraz już z mniejszym entuzjazmem.

- Niezbyt dobrze?

- Ćwiczenia są wykańczające.

- Jeśli tylko pomagają, to dobrze.

- Chcę wrócić do domu.

Grady szukał jakiejś podpowiedzi na twarzy Teke, ale ta wyglądała równie bezradnie, jak się czuła. - A co ci mówią? Kiedy możesz wrócić?

- Mówią, że to zależy od tego, jak bardzo będę się starał, a ja się staram, ale to nic nie pomaga.

Zniechęcenie Michaela dojmująco przypomniało Grady'emu, że to właśnie on potrafił tego chłopca. Starał się nie tracić optymizmu. - Dopiero od niedawna ćwiczysz.

- Ale to nic nie pomaga.

- Więc będziesz musiał więcej ćwiczyć. Szczególnie, że będziesz miał na głowie moją czapkę.

- Mojemu tacie nie spodoba się ta czapka - powiedział Michael.

Grady wiedział to bardzo dobrze. Był także świadomy tego, że dał chłopcu tę czapkę w równym stopniu dlatego, że go lubił, jak i dlatego, że chciał jego ojcu zrobić na złość. To jego ojcu zawdzięczał fakt, że policja ciągle deptała mu po piętach.

Właśnie dlatego nie zaproponował chłopcu, że zabierze czapkę z powrotem. - Powiedz twojemu tacie, że to twój talizman i lepiej się czujesz, kiedy jąnosisz. Tylko, żeby w to uwierzył, rzeczywiście musisz się lepiej czuć, kiedy ją będziesz nosił.

- Ile lat ma twoja córka? - spytał Michael.

Grady cofnął się nieco i spojrzał na Teke, jednak ona tak samo nie miała pojęcia, skąd Michaelowi przyszło do głowy to pytanie. - Sześć - odpowiedział ostrożnie.

- Jak ma na imię?

Grady odparł po chwili: - Shelley.

- Gdzie mieszka?

Wziął oddech. - Ostatnio słyszałem, że w Kalifornii ze swoją mamą.

- Nie kontaktujesz się z nią?

Grady ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w czubki swoich butów. - Jej mama nie życzy sobie tego, a to jej przyznano opiekę nad Shelley.

- Dlaczego?

Grady spojrzał Michaelowi w oczy. - Bo sędzia uznał, że mała dziewczynka bardziej potrzebuje swojej matki niż ojca, szczególnie, że jej ojciec był skazany za morderstwo.

Michael milczał. Grady już zaczął myśleć, że ten temat - bardzo dla niego bolesny - został wyczerpany, jednak po chwili Michael zapytał: - Przejmujesz się tym?

- Tak, przejmuję się. I to bardzo.

- To dlatego przychodzisz mnie odwiedzać? Bo tęsknisz za nią?

- Nie.

- Bo czujesz się winny, że to się stało?

- Pewnie, czuję się winny. Ale to nie jedyny powód, że tutaj jestem.

- Jeśli jesteś tutaj, żeby widywać się z moją matką, to nie chcę, żebyś przychodził.

Teke podniosła się z krzesła, ale Grady powstrzymał ją gestem. - Dlaczego? - spytał spokojnie. Jeśli czegoś się nauczył w więzieniu, to tego, by panować nad złością. Michael wyraźnie był zły. I jeśli nikt tej jego złości nie zrozumie i nie oswoi, to chłopiec nie będzie miał wielkich szans, żeby jeszcze kiedyś zagrać w koszykówkę.

- Bo ona nie jest tego warta! - krzyknął, a w jego głosie słychać było takie cierpienie, jakie tylko mógł odczuwać trzynastoletni chłopiec. - Zdradziła mojego ojca.

Grady skinął głową. - Mówiła mi. Powiedziała to przy tobie i powiedziała też, że to był błąd i że z tego powodu czuje się okropnie. Więc masz zamiar nigdy jej tego nie zapomnieć? Ja bym tak nie mógł. Sam potrzebuję od ludzi przebaczenia. Zabiłem człowieka. Odebrałem mu życie. Umarł, bo zbyt mocno go uderzyłem. W mojej hierarchii wartości to coś znacznie gorszego niż spędzenie jednego popołudnia w towarzystwie niewłaściwego człowieka.

Michael odwrócił głowę i zacisnął powieki. Teraz wydawało się, że jego głos należy do znacznie młodszego dziecka, słabego i bezbronnego. - Więc przychodzisz tu, żeby zobaczyć ją czy mnie?

- Ciebie. - Grady chrząknął. - I nie pytaj mnie dlaczego. Ale twoja mama przynajmniej walczy. Jej życie rozpadło się na kawałki, ale ona próbuje coś z tym zrobić. A ty próbujesz?

- Ale ja nawet nie mogę poruszać nogami - rozległ się cichy głosik.

- Możesz poruszać nogami. Tylko nie możesz nimi poruszać tak, jak byś chciał. Więc musisz się tego znowu nauczyć.

- A jeśli nie będę mógł się nauczyć? - spytał Michael, doprowadzony do łez.

- Dzieciaku - odezwał się Grady delikatnie i zanim zdążył pomyśleć, już siedział przy Michaelu, podnosił go i przytulał do siebie. - Nauczysz się znowu chodzić - mówił, podczas gdy chłopiec cicho płakał wtulony w jego pierś. - Jestem tego pewny. Masz tutaj ludzi, którzy tylko czekają, żeby ci pomóc. I na pewno dasz sobie z tym radę, tylko musisz wierzyć w to, że będziesz znowu chodził.

# Rozdział 11

John zasnął. Coś podobnego nie zdarzyło mu się od czasów college'u, a i w tamtych czasach zdarzało się tylko wtedy, gdy poprzedniego wieczoru Sam go upił. Wewnętrzny budzik Johna niezawodnie działał przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. I tego dnia z pewnością by zadziałał, gdyby dzień wcześniej do późnej nocy John nie próbował uporządkować swojego dobytku. A zabrał się za to dopiero po kolacji, którą sam sobie ugotował. Po kolacji musiał jeszcze doprowadzić do porządku kuchnię, która po jego wysiłkach kulinarnych stanowiła obraz nędzy i rozpaczy. Oczywiście, mógł coś zjeść na mieście. Jednak samodzielne ugotowanie kolacji pierwszego wieczoru w nowym mieszkaniu wydawało mu się czynem, który przypieczętuje jego niezależność.

No cóż, nikt mu nie powiedział, że sos do spaghetti porozpryskuje się dookoła, jeśli nie zmniejszy pod nim ognia. Nikt mu nie powiedział, że jeśli nie będzie ostrożnie wykladał ugotowanego makaronu na talerz, makaron może się ześliznąć na kuchenny blat, a nawet spaść na podłogę. A to już była druga porcja makaronu, którą ugotował, jako że pierwsza porcja niemal w całości wyśliznęła mu się do zlewu, kiedy próbując odcedzić ugotowany makaron za mocno uchylił pokrywkę. Przy tym manewrze osiągnął tylko tyle, że miał poparzone palce.

Ale nawet nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że w ferworze wysiłków kulinarnych nieostrożnie strącił łokciem butelkę oliwy, która spadła na podłogę i się rozlała. Musiał szorować podłogę kilka razy, a i tak ciągle połyskiwała tłuszczem. To wymownie świadczyło o jakości głośno reklamowanego płynu do mycia naczyń, którego używał, by usunąć tłuszcz.

Teraz nie tylko wewnętrzny budzik go zawiódł. Zawiódł też budzik, który stał na nocnej szafce. Ciągle nie mógł pojąć, dlaczego budzik nie zadzwonił o siódmej. Teraz było już wpół do dziewiątej, a John biegał jak oszalały po obcym mieszkaniu i nie mógł niczego znaleźć, bo nie pamiętał, gdzie położył potrzebne rzeczy poprzedniego wieczoru. Był pewny, że przywiózł z Constance ciemny tweedowy garnitur, jednak nie mógł go znaleźć w szafie. Tak samo gdzieś zaginęła połowa krawatów. Zresztą nie miał siły dokładnie wszystkiego przeszukiwać. W połowie golenia okazało się, że nożyk w jego maszynie jest stępiony i dwa razy zaciął się w brodę. Równie dobrze mógłby się zaciąć, nawet gdyby nożyk był ostry, bo niewiele widział w łazienkowym lustrze, które było całe zaparowane po tym, jak wziął prysznic. Teraz więc nie śpieszył się z ubieraniem, żeby sobie przypadkiem nie zakrwawić koszuli albo krawatu. Przykleił na zranione miejsca dwie bibułki i poszedł do kuchni zrobić sobie śniadanie.

Gazeta była pod drzwiami, tak jak mu obiecano - to była miła niespodzianka. Spotkała go też następna niespodzianka - niezbyt miła - gdy sobie uświadomił, że zapomniał kupić mleko na śniadanie. Wsypał więc płatki kukurydziane z powrotem do pudełka i zgarnął do zlewu to, co rozsypał na blacie. Sięgnął po pieczywo, żeby zrobić sobie grzanki. Włączył toster i zaczął czytać gazetę. Nie przeczytał jeszcze pierwszej strony, gdy poczuł swąd. Pośpiesznie otworzył toster, jednak pieczywo zupełnie przykleiło się do płytki, a dym unosił się pod sufit, aż włączył się alarm przeciwpożarowy. John, cały zlany potem, zdołał uciszyć alarm kijem od gąbki do zmywania podłogi, której poprzedniego dnia tyle razy musiał używać.

Teraz był zdeterminowany, by coś jednak zjeść na śniadanie. Widelcem usiłował odebrać tosty od płytki toster. Jego wysiłki zaowocowały kilkoma kawałkami przypalonych tostów i mnóstwem okruchów, które trudno byłoby posmarować serem. Ostatecznie to ostatnie nie było szczególnym problemem, bo uświadomił sobie, że ser też zapomniał kupić.

Teraz z pełną mocą dotarło do niego, co zrobił. Gdy tak stał na okruchach przypalonych tostów i patrzył na to, co zostało z jego śniadania, spojrzął w oczy rzeczywistości.

Opuścił Teke. Opuścił własny dom i dzieci. Jego dziewiętnastoletnie małżeństwo było na skraju rozpadu. Nagle jego przyszłość stała się sprawą otwartą.

Ten John Maxwell, który był zależny od Teke, któremu podobała się przynależność do wspólnoty z Pope'ami i który z zadowoleniem przyjmował stabilizację w małym zamożnym miasteczku na obrzeżach metropolii, był przerażony. Zastanawiał się, czy nie postąpił nierozważnie i zbyt pochopnie.

Jednak ten John Maxwell, który strzelał oczyma za innymi kobietami, uważał swoją praktykę prawniczą za śmiertelnie nudną i był rozdrażniony każdym słowem wypowiedzianym przez Maxwella seniora, myślał tylko o tym, że jutro musi przygotować sobie śniadanie z lepszym skutkiem.

\* \* \*

Sam zajął miejsce w przeznaczonym dla niego fotelu. Swobodnie założył nogę na nogę, a rękę ułożył na oparciach fotela. Dla widowni telewizyjnej był człowiekiem najwyższego zaufania. We własnych oczach był tylko człowiekiem, który znosi cierpienia.

Nigdy by się nie zgodził na udział w tym programie, tak jak od czasu sprawy Dunn przeciwko Hanoverowi odrzucił już sześć takich propozycji. Skapitulował dopiero na zdecydowane żądanie wspólników z firmy oraz specjalistów do spraw *public relations*. W porządku, jeden

program. Najlepiej w godzinach przedpołudniowych, żeby nikt ze znajomych go nie oglądał. I tutaj los mu sprzyjał. Program był nadawany w godzinach przedpołudniowych, ale Sama mierzyła każda minuta jego udziału w tym widowisku.

- Uważam, że decyzja sądu jest całkowicie niesłuszna - mówił napastnik. - Uważam, że teraz nie powinienem odpowiadać za coś, co zrobiłem dwadzieścia lat temu. Zmieniłem się przez ten czas. Teraz nie robię takich rzeczy.

- Ale wtedy je robiłeś - zaprotestowała ofiara. - To, czego doświadczyłam, wpłynęło na całe moje życie. Teraz ciągle cierpię z powodu tego, co mój ojciec zrobił mi dwadzieścia lat temu. Czy on też nie powinien cierpieć?

- Panie Pope - wtrącił się prowadzący program - czy to też jest pański najpoważniejszy argument?

Sam starał się skupić na dyskusji. - Niezupełnie. Nie, jeśli celem ma być zemsta...

- To nie zemsta - zaprotestowała ofiara. - To sprawiedliwość.

- To strata czasu - odparował napastnik. - Teraz żyję uczciwie. Ciężko pracuję, zarabiam pieniądze, płacę podatki, dobrze traktuję rodzinę. Wytaczanie mi procesu o coś, co się zdarzyło tak dawno temu, to tylko strata czasu i energii wielu osób. Co to dobrego przyniesie? Życie toczy się dalej i takie rzeczy jak to ludzie zostawiają za sobą.

- Ale ja nie umiem! - wykrzyknęła ofiara. - Ja ciągle z tym żyję.

- Panie Pope? - prowadzący program znów zwrócił się do Sama.

Sam odchrząknął. Starał się oddzielić własną sytuację życiową od tej, która była przedmiotem dyskusji, jednak czuł, że chociaż stoi po stronie ofiary, winę ma wypisaną na twarzy.

- Nasz system sprawiedliwości odrzuca zasadę „oko za oko” - powiedział powoli. - A to oznacza, że zemsta jako taka nie jest niczym dobrym. Jednak zadośćuczynienie za wyrządzone krzywdy to co innego. - Sam z przyjemnością zapłaciłby odszkodowanie za szkody, które spowodował, jeśli tylko dzięki temu wszystko wróciłoby do normy. Chętnie zapłaciłby wszystkie rachunki za leczenie Michaela, opłaciłby jego prywatnego nauczyciela, kupiłby mu wszystko, jeśli to tylko mogłoby coś pomóc. - Jeśli osoba napastowana cierpiała i cierpi w dalszym ciągu, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, jeśli na skutek doznanych krzywd nie jest w stanie normalnie żyć, to ma prawo wytoczyć proces o odszkodowanie.

- To jest zwykła chciwość - oświadczył napastnik. - Po prostu chcą pieniędzy.

Sam w duchu życzył sobie, żeby coś tak prostego jak pieniądze było w stanie rozwiązać jego problemy, kiedy słowa poszkodowanej jeszcze bardziej pogorszyły jego samopoczucie. - Żadna kwota pieniędzy nie jest mi w stanie wynagrodzić tego, przez co przeszedłem.

I tak dalej, argument za argument, emocje rozpalone do białości - dokładnie tak, jak sobie tego życzył producent. Emocje Sama też rozpały się do białości. Czuł się winny. Czuł się jak oszust. Czuł, że nie jest wart, by ludzie oglądali go w telewizji, a już tym bardziej, gdy występował w roli autorytetu, który miał bronić poszkodowanej. Poczul niewypowiedzianą ulgę, gdy program dobiegł końca.

Nieco później, wracając do pracy, natknął się na Johna w restauracji na parterze biurowca. Przy stolikach siedziało wiele osób, kobiet i mężczyzn w służbowych garniturach i kostiumach, a gwar rozmów przerywało stukanie srebrnych sztućców o porcelanę. John siedział sam nad posiłkiem, który wyglądał na olbrzymie śniadanie, i z rozłożoną gazetą w ręku. Wyglądało na to, że wreszcie nadarzała się sposobność, na którą Sam czekał od wielu dni. John był odprężony i nie zajęty pracą.

Nie chcąc spotkać się z odnową, Sam przysiadł się do niego bez pytania. - Musimy porozmawiać - powiedział.

John przewrócił stronę i złożył gazetę. - Zrobiłem sobie przerwę w pracy. Czy to nie może chwilę poczekać?

- Biuro nie jest najlepszym miejscem na tego typu rozmowę. Ściany mają uszy, a nie chciałbym, żeby to dotarło do Johna Stewarta.

John przeżuwał kęs śniadania. Wreszcie przełknął, popijając świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym. Sam zamówił kawę. - Jak nowe mieszkanie?

- Wspaniale - rzucił John i zabrał się za porcję bekonu.

- Wszystko już urządzone?

- Mhm.

- Potrzebujesz w czymś pomocy? Trzeba zawiesić jakieś obrazy, półki, wbić haki w ścianę?

- Wszystko jest zrobione.

Sam skinął głową. Podejrzewał, że już jakiś fachowiec zdążył to zrobić, ale czuł się jakoś dziwnie. Nawet nie mógł zliczyć, ile razy wyręczał Johna w takich technicznych robotach. - Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc, powiedz. Nowe mieszkania mogą być przygnębiające jak diabli, dopóki człowiek ich nie urządzi tak jak chce.



John wytarł ręce w serwetkę, po czym przewrócił stronę gazety. - Mieszkanie jest już umeblowane, więc nie ma czego urządzać.

- Więc podoba ci się?

- Gdyby mi się nie podobało, to bym go nie kupił.

Sam uśmiechnął się do kelnerki, dziękując za kawę, którą mu właśnie przyniosła.

- Pewnie musisz się tam dziwnie czuć po tylu latach mieszkania w domu pełnym dzieci. - Próbował sobie wyobrazić własny dom, kiedy dzieci wyjadą do college'u, a ich pokoje pozostaną ciemne i puste. Dobrze w tym wszystkim będzie tylko to, że będzie miał Annie tylko dla siebie. Będą się mogli kochać, gdzie tylko przyjdzie im na to ochota. Jeżeli w ogóle będą się kochać. Jeszcze tego nie robili. Ani razu od czasu incydentu z Teke.

John jadł, nie przerywając czytania.

Sam obserwował go przez chwilę. Wreszcie zaczerpnął powietrza i zaczął: - Nie wiem, czy ciągle jesteś zły, czy się boisz, a może umierasz z głodu albo ta gazeta jest bardziej interesująca niż ja. Nie wygłupiaj się, John. Zostaw w spokoju tę cholerną gazetę i porozmawiaj ze mną.

John odłożył gazetę. Lewą ręką oparł się o krzesło, a prawą uniósł tost do ust. - Boję się? - spytał zdziwiony.

- Że usłyszysz ode mnie parę słów prawdy... John przełknął kęs. - Na przykład?

- Na przykład, czy naprawdę musiałeś się wyprowadzić z domu? Na przykład, czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy dla dzieci? Na przykład, czy naprawdę wszystko się skończyło?

John nawet nie mrugnął okiem. - Tak. Tak. Nie wiem.

Sam odwrócił wzrok i poczuł, że zaczyna go oblewać pot. - Jezu Chryste, czy tak się ma skończyć dwadzieścia lat przyjaźni?

- Ty mnie o to pytasz? To ty zniszczyłeś naszą przyjaźń.

I znowu wróciło poczucie winy, tak silne jak w czasie nagrywania programu telewizyjnego. - Czy to naprawdę musiało zniszczyć przyjaźń? Nie ma sposobu, żeby coś z niej ocalić? - Podniósł dłoń. - Nie odpowiadaj, jeśli masz wyrzucać z siebie jakieś pełne złości banały. - Pochylił się i ściszył głos: - Posłuchaj. To, co się stało tamtego popołudnia, już się nie odstanie. Przepraszam za to z całego serca, ale nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Próbuję jakoś z tym żyć, ale to jest ciężkie, bo nagle ty znikasz z naszego życia. Nie chcę tego, John. Żadne z nas tego nie chce.

John niewzruszony jadł śniadanie.

Jego spokój dodał Samowi odwagi, by dalej dowodzić swoich racji. - To, że się wyprowadziłeś z domu, dla wszystkich jest ciężkie. Michael teraz jest w ośrodku, ale już wkrótce wróci do domu, do normalnego życia. Twoja przeprowadzka mu w tym nie pomoże. - Znów podniósł dłoń. - Zostaw już w spokoju tę złość. Nie odpowiadaj mi monosylabami. Porozmawiaj ze mną, John. Powiedz mi szczerze, co tak naprawdę czujesz. Możesz stwierdzić, że nie mam prawa tego wiedzieć, ale tu nie chodzi tylko o mnie. Jest jeszcze Annie i dzieci.

John zacisnął usta w wąską linię. Kiedy podniósł wzrok, patrzył Samowi prosto w oczy, aż ten pomyślał, że wreszcie udało mu się osiągnąć to, o co mu chodziło.

- Szczerze? Co czuję? Myślę, że wyprowadziłem się z domu na zawsze.

- Ale dlaczego? - wyrzucił z siebie Sam. Nie umiał sobie wyobrazić życia bez Johna w zasięgu ręki. To John potrafił sprowadzić go na ziemię, gdy przychodziły mu do głowy jakieś szalone pomysły. Teraz wyglądało na to, że John nie potrafił zapanować nad własnymi szalonymi pomysłami. - Szóstego października kochałeś Teke, a ósmego już ci przeszło? Ot, tak po prostu? - Sam pstryknął palcami. - To przecież nie ma sensu.

- Ma - powiedział John - jeśli już wcześniej to nie była wielka miłość. Dochodzę teraz do wniosku, że moje małżeństwo mogło się rozpaść już na samym początku. Bo czy to był związek z Teke, czy z Teke, Samem i Annie? Zastanów się, Sam. To był dziwaczny układ.

- Ale działał.

- Dziwaczny układ - upierał się John. - Nawet na pierwszej randce nie byłem sam z Teke. Zawsze byliśmy we czwórkę. I tak przez cały college. Wzięliśmy ślub dwa miesiące po was. Razem wyjeżdżaliśmy na wakacje, wynajęliśmy mieszkania w tym samym budynku, pierwsze domy kupiliśmy w tej samej okolicy, a teraz mamy domy prawie drzwiami w drzwiach. Do diabła, nawet dzieci mamy prawie na spółkę. Ludzie ledwie wiedzą, które dzieci są Pope'ów, a które Maxwellów. Więc można sobie zadać pytanie, czy ja kiedykolwiek byłem zakochany w Teke, czy też zawsze w naszej czwórce.

- Musiałeś coś czuć do Teke.

- Owszem, ale gdybyśmy byli tylko we dwoje, ten układ mógłby już dawno nie wytrzymać.

- Ale ty nawet nie dajesz waszemu związkowi szansy!

- Dawałem mu szansę przez całe dziewiętnaście lat. W przeszłości to, czego brakowało w naszym związku z Teke, wypełnialiście ty i Annie. Teraz to jest niemożliwe, bo ty się stałeś w tym układzie problemem. Zostajemy więc tylko we dwoje z Teke. Przez ten cały koszmar z

Michaelem nie stanowiliśmy dla siebie nawzajem żadnej podpory, żadne z nas nie umiało pomóc drugiemu. Jeśli w takiej sytuacji nic dla siebie nie znaczyliśmy, to kiedy? Mój związek z Teke jest pusty. Trzeba być głupcem, żeby za wszelką cenę podtrzymywać coś, co nie ma żadnej wartości.

- A co z dziećmi?

- Będą mnie odwiedzać.

- A co ze Świętem Dziękczynienia?

- Teke może je urządzić. Nikt jej w tym nie przeszkadza.

Sam czuł narastające przygnębienie. - Jasne, może je urządzić. Zawsze je urządzała. Robi to tak jak nikt inny na świecie. Ale fakt, że Annie nie zgodzi się na to, żeby było tak jak dawniej, a to oznacza, że po raz pierwszy będziemy obchodzić Święto Dziękczynienia oddzielnie. Czyli Teke przyrządzi indyka tylko dla siebie i dzieci, dla nikogo więcej.

- Niech sobie zaprosi przyjaciół. - I dorzucił kwaśnym tonem: - Niech sobie zaprosi Grady'ego Pipera. Byli kiedyś kochankami, wiedziałeś o tym?

Sam wiedział. Tyle Teke mu powiedziała. - To było dawno temu.

- Ale on ciągle ma na to nadzieję. To dlatego tutaj przyjechał i dlatego został. Tylko czeka. Może sprawić jeszcze więcej kłopotów.

- Policjanci nie zauważyli, żeby robił coś złego, a cały czas mają na niego oko. Wygląda na to, że uczciwie pracuje u Cornellii Hart.

- No cóż, ja myślę o tym, jak ma zamiar sobie popracować przy Teke. Zobacysz, że ją przeleci. Tylko poczekaj.

- A kto zostawia mu pole do popisu? Jeśli nie chcesz, żeby do tego doszło, nie powinieneś się wyprowadzać z domu. Albo Teke jest twoja, albo nie. Albo obwieszczasz światu, że jest twoja, albo ją odtrącasz i wyprowadzasz się.

- I tak właśnie jest z Annie? Obwieszczasz światu, że jest twoja?

- Ona wie, że ja jej nie opuszczę - powiedział Sam i nagle uświadomił sobie, że zabrzmiało to dosyć skromnie jak na człowieka, który miał coś do obwieszczenia I znów powróciły mu na myśl te słowa, których używał w programie telewizyjnym - „zadośćuczynienie” i „odszkodowanie”.

- Wybaczyła ci?

- Staram się, żeby mi wybaczyła. - Czy wystarczająco się stara? Zastanawiał się nad tym. Ciągle jeszcze dawał Annie czas, żeby się sama uporała z tym wszystkim, on zaś starał się wię-

cej siedzieć w domu. Od czasu sprawy Dunn przeciwko Hannoverowi był bombardowany telefonami ofiar poszukujących prawnika, jednak wiele z tych spraw przekazał swoim kolegom. Nawet bieżącym sprawom nie poświęcał tyle uwagi co kiedyś, żeby tylko być dłużej z Annie. Teraz jednak uderzyło go, że może powinien być bardziej agresywny w zdobywaniu jej na powrót. - Przynajmniej ja nie widzę koło niej żadnego mężczyzny - dowodził na głos. - Możesz być pewien, że gdybym tylko zauważył, robiłbym coś więcej. - Znów skupił się na postępowaniu Johna. - Więc nie skarż się na Grady'ego Pipera. To ty od niej odszedłeś. Porzuciłeś ją. Bez względu na to, co Teke zrobi, ma do tego prawo.

- Ciągle jest moją żoną. - Otarł usta serwetką i odłożył ją na stół. - Ale, Boże, niech ją sobie bierze. Nie chcę tylko, żeby się kręcił w pobliżu mojego syna.

- Michael potrzebuje jakiegoś mężczyzny - powiedział Sam. Ta myśl zawsze go załamywała. - Na mnie nie chce patrzeć, a ciebie nie ma.

- Przyjeżdżam do ośrodka.

- Czy on wie, że się wyprowadziłeś z domu?

- Nie wspominałem mu o tym. Domyślałem się, że któraś z dziewcząt mu powiedziała. Jana mówi, że chce się do mnie przeprowadzić. A co myśli Leigh, to Bóg jedyny wie. Nigdy jej nie ma w domu, kiedy rozmawiam z Janą. Zawsze jest z Maxem.

- Są nierozłączni.

- To nic nowego.

- No cóż, jest gorzej niż zwykle - zauważył Sam. Kryzys związał Leigh i Maxa jeszcze bardziej i jak się wydawało, już zupełnie wyłączyli się ze swoich rodzin. Annie mogła na tym skorzystać, bo częściej miała go pod ręką. Zoe też.

- Więc porozmawiaj z Maxem - stwierdził John.

- Łatwo ci powiedzieć. Nie ma najmniejszego zamiaru słuchać, co do niego mówię. Dla niego jestem dwulicowym łgarzem. Może ty będziesz miał więcej szczęścia rozmawiając z Leigh.

John chrząknął. - Leigh nigdy mi się nie zwierzała.

Sam pomyślał o własnej córce. Dawniej, kiedy z nim rozmawiała, zdarzało mu się słuchać jej zwierzeń. Teraz tego nie robi. - Co za bałagan - mruknął.

- Owszem, bałagan.

Odwracając się bokiem, Sam bezsilnie opuścił ręce. - W porządku. Nie ma co dalej tego wałkować. - Głęboko wciągnął powietrze. - Co zrobimy z domkiem w górach? Pod koniec miesiąca zaczyna się sezon narciarski. Jak chcesz to załatwić?

John zmarszczył brwi. - A skąd, do diabła, mam wiedzieć, jak to załatwić? Jak Teke chce to załatwić?

- Nie pytałem jej o to. Przecież to zawsze ty podejmowałeś decyzje. To, że się wyprowadziłeś z domu, w nią najbardziej uderzyło. Teraz będzie się musiała zmierzyć z rzeczywistością.

John odchylił się do tyłu. - A co, jeśli jest w ciąży? Sam był zdumiony. - Ze mną?

- Używałaś czegoś? Oczywiście nie, a ona na pewno nie pobiegła na górę po krążek.

Sam klepnął go w ramię tak, aż krzesło Johna ze skrzypieniem odsunęło się nieco do tyłu. - Ona nie jest w ciąży.

- A co, gdyby była? - pytał John, a w jego tonie Sam wyczuwał coś w rodzaju zdumienia.

- To dodałoby sprawie smaczku.

- Ona nie jest w ciąży - powtórzył Sam, ale nagle oblał go zimny pot. Cięża nie przyszła mu nawet do głowy. Powinna była. Ale nie przyszła.

- A pomyślałeś o AIDS? - zapytał John. - Przyszło ci to do głowy?

- Nie - oświadczył Sam, teraz już ze złością - ale jeśli to miałyby być problemem, to nie Teke byłaby winna, tylko ty. - Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. W tej chwili już miał dość Johna Davida. Podniósł się z krzesła.

- Kiedy ja będę się nad tym zastanawiał, ty zastanów się nad tym, co zrobić z domkiem w górach i z domem na Sutters. Jeśli mamy się rozwodzić, trzeba się zabrać za negocjowanie warunków. I ostrzegam cię, będę walczył o swoją część majątku. Przyjmuję na siebie winę za to, co zrobiłem z Teke i za to, co się przydarzyło Michaelowi, ale to już wystarczy. To wszystko zaszło za daleko. Chcesz się wyprowadzić, w porządku. Chcesz się rozwieść z Teke, w porządku. Chcesz przekonać samego siebie, że nie jesteśmy dla ciebie dobrym towarzystwem i nie będziesz się dłużej plamił obcowaniem z nami, to też w porządku. Ale to dzięki nam przeżyłeś dwadzieścia cholernie dobrych lat. Ale odejdz i rób sobie, co chcesz!

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Wierz sobie, w co chcesz. Ani się obejrzyysz, a bez nas będziesz taki sam jak twój ojciec. Właśnie tego chcesz? - I czując obrzydzenie do samego siebie, do Johna i do całej tej nieszczęsnej sytuacji, Sam odszedł od stolika.

Teke w ośrodku rehabilitacji razem z terapeutą pomagała Michaelowi wykonywać ćwiczenia, kiedy odnalazła ją pielęgniarka. - Telefon do pani, pani Maxwell. Pilny.

- To musi być tata - powiedziała Teke. Skrywając narastającą nerwowość, uścisnęła Michaelowi ramię.

- Zaraz wracam.

Pielęgniarka zaczekała, aż znalazły się na korytarzu, a potem jędzowatym tonem stwierdziła: - To nie pani mąż dzwoni. To Sam Pope. Wyjaśniłam mu, że pani jest zajęta, a ja nie mam czasu pani szukać, ale bardzo nalegał.

W Teke narastał lęk. Zdażyła sobie już wyobrazić kilka pilnych wiadomości, które mógł jej chcieć przekazać Sam, a żadna nie była radosna. Serce waliło jej jak młotem, kiedy sięgnęła po słuchawkę. - Co się stało, Sam? Coś z Janą albo z Leigh?

- Nie nie. Nic im się nie stało.

- Coś z Annie?

- Wszystko w porządku. Teke, czy ty jesteś w ciąży? Teke przez chwilę nie mogła zrozumieć. - Słucham?

- Wielu kobietom koło czterdziestki to się zdarza. Jeśli jesteś w ciąży, już powinnaś nie mieć miesiączki.

Ciąża? Od tego jednego nieszczęsnego razu? Wydała z siebie piskliwy, niemal histeryczny dźwięk i w duchu dziękowała Bogu, że Sam nie miał jej do przekazania żadnej z tych pilnych wiadomości, które sobie wyobrażała. - Miałam miesiączkę. Nie jestem w ciąży.

Sam wydał z siebie westchnienie ulgi. - Dzięki Bogu. Mogłoby się przydarzyć coś znacznie gorszego od tego, że zrobiliśmy dziecko, ale w tych okolicznościach nie mogę sobie wyobrazić wiele takich rzeczy. Przepraszam, Teke. Nie chciałem cię przestraszyć, ale John posiał we mnie ziarno niepewności, a z tego rozplenił się wielki chwast.

- To porównanie Annie - powiedziała Teke z ciepłym uśmiechem. Tęskniła za Annie. Nawet nie była w stanie pomyśleć, co czułaby Annie, gdyby ona zaszła w ciążę z Samem.

- Jak tam Michael? - Sam spytał już spokojniej.

- Kaprysi. I to bardziej przy mnie niż przy kimkolwiek innym. Zastanawiam się, czy on mi kiedykolwiek przebaczy.

- Porozmawiam z nim o tym.

- To nie będzie łatwe. Ty też jesteś całkiem wysoko na jego liście potworów. - Dzięki Bogu, że nie jest w ciąży. Tego Michael już na pewno nigdy by jej nie wybaczył.

- Mogę spróbować. A ty tylko rób wszystko tak, jak robisz. Wcześniej czy później uświadomi sobie, jak bardzo go kochasz.

Na to liczyła. Czasami tylko to ją trzymało przy życiu.

- Wierz w to, Teke. A jeśli będziesz potrzebowała jakiejś pomocy w domu, tylko powiedz.

Naprawdę uwielbiała Sama za ten rodzaj troski. - Annie to by się nie spodobało.

- Annie tak samo jak mnie jest przykro, że John wyprowadził się z domu i zostawił cię samą. Wymogła na mnie obietnicę, że zostanę dzisiaj dłużej w mieście, bo zaprosiła na kolację twoje dziewczynki i nie chciała, żebym psuł atmosferę swoją obecnością.

- Och, Sam!

- Mogę z tym żyć. Więc zostaniesz dłużej z Michael'em?

- Mhm. - Jeden niecierpiący zwłoki problem został rozwiązany. Była wdzięczna za każdy okrucuch pomocy.

- Proszę, podziękuj Annie ode mnie.

- Podziękuję. Trzymaj się, Teke.

\* \* \*

Annie skończyła rozmowę ze studentem i właśnie układała książki na półce, kiedy w jej gabinecie zjawił się Sam. Słyszając odgłos otwieranych drzwi, odwróciła się gwałtownie. W pierwszym odruchu zrobiło jej się przyjemnie, jednak szybko przyjemność zamieniła się w złość.

- Nie spodziewałam się ciebie - spojrzała na zegarek.

- Czy nie mówiłeś, że masz służbowe spotkanie przy lunchu? - Ostatnio co rano, zanim wyszedł z domu, przedstawiał jej cały swój rozkład zajęć. „Na wypadek, gdybym ci był potrzebny” - tak to wyjaśniał. Podejrzewała jednak, że w ten sposób jej mówi: „Nie mam nic do ukrycia”.

- Odwołałem je - mówił teraz. - Uderzyło mnie, że dawno cię tu nie odwiedzałem, a przez kilka następnych tygodni będziesz całkowicie pochłonięta egzaminami, a ponieważ ma mnie nie być w domu na kolacji, chciałbym cię zabrać na lunch. Co ty na to?

Jeszcze raz spojrzała na zegarek, a potem na papierową torebkę leżącą na szafce z dokumentami.

- Miałam zamiar nie przerywać pracy i tutaj zjeść kanapkę. Mam zajęcia o wpół do drugiej.

- Tylko do kawiarni w kampusie. Zdasz na czas. Z dawnym Samem poszłaby natychmiast, ale ten nowy Sam spał z jej najlepszą przyjaciółką. Cały czas ją to bolało.

- Proszę, Annie. Już nadszedł czas, nie sądzisz?

Pewnie ma rację. Nie mogła zawsze go unikać, nawet gdyby chciała, ale przecież wcale tego nie chciała.

Nie patrząc na niego, podniosła torebkę z szafki na dokumenty. Sam już czekał, podając jej płaszcz.

Samoobsługowa kawiarnia była najprzytulniejszym lokalem w kampusie. Nieco podniszczone, od lat nie zmieniane wnętrze budziło ciepłe uczucia we wszystkich jej bywalcach. A właśnie tego dnia zebrało ich się wielu, było więc w kawiarni tłoczno i głośno. Już po dwóch minutach stania w kolejce w oczekiwaniu na złożenie zamówienia Sam zaczął narzekać: - To miejsce jest okropne. Może pojechalibyśmy gdzie indziej.

Jednak jej wygodniej było na własnych śmieciach. - Bądź cierpliwy. Posuwamy się do przodu.

- Chciałem cię zabrać do jakiegoś przyjemnego lokalu. Co mi przyszło do głowy, żeby zaproponować tę norę?

- Bo powiedziałam, że nie mam wiele czasu, a tu jest najbliżej. Wcale nie jest tutaj źle - zapewniła. Kawiarnia była funkcjonalna, przesiąknięta atmosferą kampusu, a przynajmniej nie była romantyczna.

- Chciałem cię zabrać do restauracji, gdzie wszystko lśni bielą, na stole stoją kwiaty, gdzie są kelnerzy w rękawiczkach i jest na tyle dużo wolnych stolików, by nikt nie czuł się skrzepowany, gdy zacznę szeptać ci do ucha czułe słówka.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem, by ostudzić jego zapał. Nie chciała słuchać takich rzeczy.

- Innym razem - mruknęła, przesuwając się do kontuaru.

- Co dla pani, doktor Pope? - spytał młody człowiek za kontuarem.

Annie zamówiła tuńczyka i herbatę. Sam podwójnego cheesburgera na bekonie i colę.

- Ciągłe jeszcze czuję się przy tym trochę nieswojo - szepnęła jej do ucha, gdy czekali na zamówione dania.

- Przy czym?



- Doktor Pope. Nie słyszę tego na tyle często, żebym się zdążył przyzwyczaić. To brzmi tak oficjalnie. W pierwszym odruchu zawsze chcę zapytać, kto to taki ten doktor Pope, i dopiero potem uświadamiam sobie, że to ty. Jestem z tego dumny.

Zarumieniła się, ale bez słowa patrzyła na młodego człowieka za kontuarem układającego sałatkę z tuńczyka na liściu sałaty.

- Z ciebie jestem dumny - nadal mówił jej do ucha.

- Jesteś tutaj najbardziej normalnie wyglądającą osobą.

To całkiem łatwe, pomyślała spoglądając na całą menażerię swoich kolegów. I ona mogła to samo powiedzieć o Samie. Mogłaby powiedzieć, że jest tutaj najprzystojniejszym mężczyzną. Najbardziej seksy.

- Niektórzy z tych niezbyt normalnie wyglądających ludzi to geniusze.

- Na co dzień przedkładam normalność nad geniusz. - Chrząknął. - Ostatnio normalność przedkładam nad wszystko.

Pomyślała o ostatnich zdarzeniach i skinęła głową. Potem potrząsnęła nią przecząco, gdy młody człowiek za kontuarem zapytał, czy życzy sobie do tuńczyka frytki.

Sam nachylił się tak, by patrzeć jej prosto w twarz.

- Dziś rano rozmawiałem z Johnem. On naprawdę uważa, że to już koniec jego małżeństwa.

Serce jej się ścisnęło. - Tak szybko? Tak ostatecznie? Bez głębszego namysłu? Bez żadnej porady?

- Możesz sobie wyobrazić Johna idącego do kogoś po poradę?

Zastanawiała się przez chwilę. - Masz rację. Nigdy tego nie robił. A psychoterapeuta miałby z nim wiele do roboty. I to nie chodzi o jego stosunki z Teke ani z nami. Problem jego układów z ojcem mógłby wypełnić pięć lat terapii.

- Myślę, że zdaje sobie z tego sprawę - powiedział Sam i sięgnął po sałatkę z tuńczyka, zanim Annie zdążyła wyciągnąć rękę. Ubiegł ją też, nim zdążyła wziąć herbatę. Kiedy i jego lunch już podano, ustawił wszystko na tacy, a Annie poprowadziła go do jedyne wolnego stolika. Był w samym środku sali i to ją ucieszyło. Otoczona ludźmi, czuła się bezpiecznie. Sam przynajmniej nie będzie mógł niczego próbować, a ona nie będzie mogła ulec.

Nie zaczął od razu jeść. Z rękami opartymi o krawędź stolika wpatrywał się w nią, aż czując się niezręcznie poprosiła go błagalnym tonem, by przestał.

- Nic nie mogę na to poradzić - powiedział. - Jesteś tutaj nie tylko najbardziej normalnie wyglądającą osobą, ale i najładniejszą kobietą. Kocham cię, Annie.

Przewróciła oczami.

- Naprawdę cię kocham.

- Z pewnością.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że ci wierzę.

- Ale?

- Ale czasami okazujesz to w dość zabawny sposób.

- To był raz i to już odległa przeszłość.

Dziobała widelcem w sałatce z tuńczyka. - Gdybyż tylko tak było. Tyle że wciąż są nowe konsekwencje tego jednego razu. Biedna Teke.

- Nie jesteś już na nią zła?

- Oczywiście, że jestem. Ale tak długo była moją najlepszą przyjaciółką, że musiałabym być pozbawiona ludzkich uczuć, żeby jej nie współczuć. Właśnie odszedł od niej mąż. Musi się czuć opuszczona. - Annie byłaby zdruzgotana, gdyby Sam od niej odszedł.

- Jak myślisz, w jakim stopniu Grady Piper jest dla niej pocieszeniem?

- Jakimś pewnie tak. Ale przecież jakąś częścią duszy Teke jest na niego wściekła, że się tu w ogóle znalazł. Zadał jej wiele bólu, odpychając ją od siebie.

- John jest przekonany, że nie upłynie wiele czasu, a zaczną ze sobą sypiać.

- Myślę, że na to jest zbyt zła. Albo zbyt przerażona.

- Przerażona?

- Że się znowu zaangażuje w Grady'ego. Kiedyś już to się okazało fatalne w skutkach. Zresztą - dodała, patrząc mu w oczy - przespała się z tobą i popatrz, co się stało. Natychmiast ból, niesamowity smutek, długotrwałe cierpienie. Teke może się bać na samą myśl o pójściu z jakimś innym mężczyzną do łóżka.

Sam wytrzymał jej spojrzenie nie mrugnawszy nawet okiem, jednak wzrok miał już zamglony. Annie знаła ten wzrok. Świadczył on o tym, że Sam wyobraża sobie ją w łóżku. I chociaż to jej schlebiali, nie tego teraz chciała.

- Proszę, Sam - szepnęła.

Wyprostował się, chrząknął i siedział sztywno. Wyraźnie widziała, że jego podniecenie narasta. Ze zdeterminowanym spojrzeniem zabrał się za swojego cheesburgera.

- Zresztą - mówiła dalej Annie - z Teke łączyło nas przede wszystkim to, że pochodziłyśmy z niepełnych rodzin. Wyjść za mąż i mieć dzieci to był podstawowy cel każdej z nas, Teke nawet bardziej. Ja miałam swoje marzenia o tym, żeby uczyć. Ona nigdy nie miała innych marzeń oprócz tego, by być żoną i matką. I bez względu na to, czy to było złudzenie czy nie, wierzyła, że znalazła swoje miejsce u boku Johna. Sądzę, że kurczowo uczepliła się tego małżeństwa, aż rozpadło się jej w dłoniach.

- Mam nadzieję, że nie.

- Dlaczego nie?

- Ona zasługuje na coś więcej. - Wahał się chwilę, aż wreszcie powiedział: - John nie zawsze był jej wierny. To nigdy nie było nic dłuższego i zawsze dowiadywałem się o tym po fakcie. Kiedyś byliśmy na śniadaniu w Stowarzyszeniu Prawników i zobaczyłem, że koleżanka, z którą zawsze sobie przyjaźnie gawędziliśmy, wyraźnie nas unika. Wtedy John rzucił uwagę o tym, że kobiety nazajutrz zwykle mają tego typu problemy.

Annie była poruszona. - Mówisz poważnie? Skinął głową.

- Dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?!

- A co dobrego by to przyniosło? Podejrzewała, że niewiele. Jednak ciągle była oszołomiona. - A co ty mu wtedy powiedziałaś?

- Powiedziałem, że to niewłaściwe, że jest nieuczciwy wobec Teke. A co innego mogłem zrobić? Jasne, że nie mogłem o tym powiedzieć Teke, a gdybym powiedział tobie, miałabyś o nim złe zdanie. Ja miałem o nim złe zdanie, jednak ciągle był moim najlepszym przyjacielem. - Wpadł w zadumę.

- Zabawne, jak ubodła go jednorazowa niewierność z mojej strony. - Uniósł dłoń w górę.

- Wiem, wiem. Tej niewierności dopuściłem się z jego żoną. Jednak, jeżeli na to spojrzeć obiektywnie, to, co ja zrobiłem, nie było gorsze od tego, co on robił wiele razy. Nie, żeby próbował szukać usprawiedliwienia. Nic tego nie usprawiedliwia. Zdrada to zdrada i zawsze jest czymś złym. Mówię tylko, że jeżeli John tak szybko i z taką łatwością odchodzi z domu, to Teke ma prawo widywać się ze swoim starym przyjacielem i jeśli tylko dzięki temu będzie szczęśliwa, ja jestem za tym całym sercem.

- A ty zrobiłbyś to?

- Co?

- Gdybym to ja powiedziała, że chcę rozwodu, ty związałbyś się z Teke? - Byłoby to dla niego łatwe. Tak dobrze się znają z Teke. Aż za dobrze.

Twarz mu pobladła. - Chcesz rozwodu?

- To hipotetyczne pytanie. Rozmawiamy o Teke. Nie dotarło to do niego. - Nie chcę rozwodu, Annie.

Mówiłem ci to już tyle razy i jeszcze teraz powtarzam: kocham cię. Chcę wszystko między nami naprawić.

- Gdybym cię porzuciła, poszedłbyś do Teke? Wykrzywił twarz. - Boże, nie. Po co mi Teke?

Widząc, że jego niesmak nie jest udawany, Annie odczuła nieznaczną ulgę. Ciągle jednak nie mogła przestać myśleć o co najmniej kilku powodach, dla których Teke mogłaby być potrzebna Samowi. - A domowe jedzenie? Czyste pranie. Rodzinna atmosfera. Seks.

- Teke jest dobrą przyjaciółką, ale ona mnie nie podnieca, a jeżeli chodzi o resztę, prędzej bym wynajął pomoc domową niż poszedł do Teke.

- Doktor Pope?

Spojrzała w górę. - Och, Georgia. Jason. - Zwróciła się do Sama: - Poznałeś Jasona w ubiegłym roku na przyjęciu. Jason Faust. A to jest Georgia Nichols. Jest pierwszy rok asystentką. - A do tych dwojga, czując głęboką satysfakcję, że może to powiedzieć Jasonowi: - Mój mąż, Sam.

Sam wstał i wyciągnął rękę, najpierw do Georgii, potem do Jasona.

- Przepraszam, że sprawiam pani kłopot - zwróciła się do Annie Georgia - ale miałam się z panią spotkać o trzeciej, a nie będę mogła. Czy mogłybyśmy to przełożyć na jutro rano?

Annie wyjęła z torebki notes. - Jutro rano jestem zajęta. Mogę się z tobą spotkać dopiero po południu.

- Dobrze. Po południu też mi odpowiada.

Annie zapisała w notesie przesunięte spotkanie. Zamykając notes, przyjrzała się Jasonowi. - Wyglądasz na przemęczonego. Dobrze się czujesz?

- U mnie wszystko w porządku. Daję tylko Georgii moralne wsparcie. Wszystko załatwione, mała? - zwrócił się do Georgii, która skinęła głową i podziękowała Annie, po czym oboje odeszli od stolika.

Annie patrzyła na odchodzącego Jasona. Niby wszystko w porządku, ale...

- Co takiego? - dociekał Sam.

- Jason nie wygląda dobrze.

- Zazwyczaj wygląda lepiej? - Gdy Annie na niego spojrziała, powiedział: - To przystojny chłopak, przemęczony czy nie. Jest gejem?

- Nie, nie jest gejem.

- Skąd wiesz?

- Wiem. - Och, tak, wiedziała.

- Skąd?

- Bo wino mi powiedziało, że nie jest - powiedziała wymijająco - a wino nie kłamie. - Spojrzała na zegarek. Czas uciekał. Wzięła widelec i zabrała się za jedzenie.

- Gdybym był podejrzliwy - powiedział Sam - byłbym zazdrosny. Twój Jason jest nie tylko przystojny, ale i młody. Niektórym kobietom przychodzi ochota na takie młode ciało.

- Niektórym mężczyznom też.

- Nigdy cię to nie podnieca?

Annie usiłowała zapanować nad sobą, choć wewnątrz skręcała się ze wstydu. - Jestem mężatką.

- To nie znaczy, że nie może cię to podniecać.

Przez chwilę jadła w milczeniu, po czym odłożyła widelec i opuściwszy dłonie na kolana, podniosła głowę.

- Do szóstego października miałam męża, który zadowalał mnie pod każdym względem, również seksualnie. Miał bardzo bujny temperament i zawsze byłam zaspokojona, więc nawet nie mogłam zacząć myśleć o innych mężczyznach. Później temperament wymknął mu się spod kontroli. Miało miejsce niefortunne zdarzenie. Ciągłe próbujemy po tym dojść do siebie.

Sam szepnął: - Daj mi trzy godziny w najbliższym motelu, a obiecuję ci, że pokonamy kawał drogi w tym dochodzeniu do siebie.

Czuła gorący dreszcz, ale zignorowała to. - Nie mówię o seksie. Mówię o zaufaniu. Zresztą ciągle sobie ciebie wyobrażam z Teke, więc nie zniosłabym tego, gdybyśmy byli w łóżku i tam czułabym jej obecność.

- Nie czułabyś tego - szeptał coraz bardziej rozgorączkowany. - Na pewno nie czułabyś niczyjej obecności, tylko moją.

Potrząsnęła głową. - Nie ma tak dobrze. Wyobraźnia jest zbyt silna.

- A może byśmy wyjechali. Tylko my dwoje, gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie byliśmy. Może wtedy wyobraźnia się uspokoi.

- Nie wiem.

- Spróbujmy.

- Teraz, kiedy to wszystko się dzieje? - spytała, czując smutek, rozczarowanie i zmęczenie. - Nie mogę, Sam. Dzieci przeżywają teraz straszny okres, próbując przystosować się do zmian w naszym życiu. Ja zresztą też. Czasami budzę się z drżeniem w środku nocy i z przerażeniem myślę o tych wszystkich podstawowych rzeczach, które każda kobieta prowadząca dom robi z zamkniętymi oczami.

Sam patrzył skonsternowany. - Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Bo to jest upokarzające. Tutaj chodziłam dumna jak paw i czułam się taka doskonała, bo mam doktorat, kontrakt wykładowcy i rodzinę. A teraz, kiedy mam spojrzeć w twarz kobiecie, która robi to wszystko, czuję lęk. - Czuła się wewnętrznie oklapła, opanowana myślą, że nie umiała sobie poukładać życia. - Chcę wszystko robić dobrze, ale nie wiem, czy dam sobie radę, bo tyle jest do zrobienia. Przysięgam ci, że w ciągu ostatniego miesiąca więcej gotowałam niż w ciągu ostatnich trzech lat, ale nie skarzę się. Sama postanowiłam to robić, ale poza wszystkim innym, mam jeszcze znacznie więcej pracy.

- Powinnaś się skarżyć - upierał się Sam. - Możemy częściej jadać w restauracji.

- Nie, nie możemy, bo każdy przychodzi do domu o innej porze, a potem dzieci mają do odrobienia pracę domową albo rozmawiają przez telefon, albo Max się śpieszy, żeby pójść do Leigh. Próbować zebrać wszystkich razem, żeby wyjść do restauracji, to byłby koszmar. Moje gotowanie to wybór mniejszego zła. Tak samo będzie ze Świętem Dziękczynienia. Jasne, moglibyśmy zarezerwować stół w restauracji, ale to nie to samo. Chciałabym, żebyśmy zjedli świąteczną kolację w naszym domu. Myślę, że to trzeba zrobić dla dzieci. Ale wiesz, jaka to porywająca perspektywa? Święto Dziękczynienia wymaga specjalnych potraw. Kupowanie gotowych produktów mijaloby się z celem, więc trzeba będzie przebrnąć przez książki kucharskie, zaplanować menu, przygotować wszystko wcześniej i zamrozić. Mówimy o wspaniałym posiłku, więc jeszcze trzeba pomyśleć o świeżych kwiatach, świecach i wszystkim innym.

- Pomogę ci - powiedział Sam.

Ta propozycja wywołała nikły uśmiech na jej twarzy. - To byłoby tak jakby ślepiec ślepcowi wskazywał drogę.

- Aż tak? Ja jestem tylko kulawy.

- Sam, ty nie umiesz gotować.

- Może pora, żebym się nauczył.

- Kiedy? Nie masz więcej czasu niż ja, żeby wertować książki kucharskie.

- Znajdę czas.

- John Stewart będzie tym zachwycony.

- Mam w nosie Johna Stewarta - powiedział z groźnym spojrzeniem. - Jestem pełnoprawnym partnerem w firmie. Będę pracował, kiedy będę chciał.

Annie patrzyła na niego ze zdumieniem, olśnieniem, wzruszeniem. Nic nie mogła na to poradzić. Dopóki nie spojrziała na zegarek. - Ty może jesteś w stanie to zrobić, ale ja nie. - Szybko narzuciła na siebie płaszcz. - Jeśli teraz nie wyjdę, spóźnię się na zajęcia. - Wskazała brodą jego zjedzonego do połowy cheesburgera. - Ty zostań i dokończ jedzenie.

Ale Sam już był w płaszczu, schwycił ze stolika serwetki, cheesburgera, a drugą ręką już trzymał dłoń Annie. I tak, jak to robił, kiedy byli młodzi, niewinni i tacy naiwni, odprowadził ją na wykład. Na ile jednak mogła to ocenić, teraz miał już włosy przyprószone siwizną.

## Rozdział 12

Teke stała w basenie po pas w wodzie po jednej stronie Michaela, po drugiej zaś stał jego fizykoterapeuta. Utrzymując chłopca na powierzchni, oboje rytmicznie poruszali jego kończynami, zginając je, prostując, naciągając, najpierw delikatnie, potem coraz silniej. Te ćwiczenia miały na celu wzmocnienie mięśni i uelastycznienie ścięgien.

Michael ciągle nie mógł odzyskać sprawności po zdjęciu gipsu. Mimo ostrzeżeń lekarzy miał nadzieję, że wystarczy tylko pozbyć się gipsu i wszystko będzie w porządku. Teke też kurczowo uczepiła się tej nadziei, rozpaczliwie pragnąc cudu. Jednak cud był niemożliwy, a gdy to się stało jasne, nastąpiło kolejne załamanie emocjonalne.

- Jak się teraz czujesz? - spytał terapeuta.

- Głupio - mruknął Michael w odpowiedzi. - Moi koledzy chyba zwijaliby się ze śmiechu, gdyby mnie teraz zobaczyli. Czuję się jak małe dziecko.

- Byłoby łatwiej, gdybyś był małym dzieckiem - zauważył terapeuta. Był łagodnym olbrzymem, obdarzonym zdrowym poczuciem humoru, które nieraz podnosiło Teke na duchu. Teraz mówił: - Małe dzieci pilniej się uczą. Próbują bez przerwy. Kiedy upadną, nie załamują się, ale się podnoszą. Nie wiedzą, co to znaczy skrepowanie. A dorośli wiedzą. Są pełni obaw o swój wizerunek i w ogóle nie podoba im się to, że muszą się czegoś uczyć. Przez takie podejście nie robią szybkich postępów. Nie mogą zrozumieć, że gdyby mieli właściwe podejście, z umysłem dorosłego człowieka mogliby się uczyć dwa razy szybciej i dwa razy rzadziej upadać.

- Przerwał na chwilę. - Więc jak będzie, dorosły człowieku? Może teraz wyjdiesz z wody i poćwiczysz na przyrządach?

Te słowa padły w odpowiedniej chwili, bo Michael wołał ćwiczyć na przyrządach niż w basenie. Teraz potwierdził mruknięciem, a w odpowiedzi terapeuta wyciągnął go z basenu i posadził w fotelu na kółkach.

- Niedługo wrócę - powiedziała Teke i skierowała się do łazienki. Dwadzieścia minut później, wykapana i przebrana, wróciła do pokoju Michaela. Ledwo zdążyła usiąść w fotelu, kiedy do pokoju wszedł Grady, niosąc wielką torbę od McDonalda. - Lunch - powiedział od progu, rzucając spojrzenie na puste łóżko. - Jeszcze nie wrócił?

- Za chwilę będzie - powiedziała Teke, ale nie poruszyła się. Była na nogach od piątej rano, kiedy to wyskoczyła z łóżka, żeby przed wyjazdem do ośrodka zdążyć upiec dwie blachy ciasteczek, a to dopiero był początek. Teraz, w połowie rozgorączkowanego dnia, była zbyt zmęczona, by odczuwać wyrzuty sumienia z tego powodu, że nie mówi Grady'emu, że nie powinien być przychodzić. - Ćwicz na przyrządach. W tym nie mogę mu pomóc, więc pomyślałam, że trochę sobie odpocznę.

Grady sięgnął do torby, zdjął przykrywkę z kubka z kawą i podał jej.

Po jej zmęczonych ustach przesliznął się uśmiech. - Dzięki. To mi było potrzebne.

- Lunch też?

- Troszkę. - Usadowiła się głębiej w fotelu, tak zmęczona, że darem niebios wydawały jej się miękkie poduszki, na których mogła się oprzeć, kawa i, tak, Grady. Był jej przyjacielem, a nawet kimś więcej, jeśli pomyślała o przeszłości. Ale nawet teraz był kimś szczególnym. Był miły, troskliwy, po prostu był. Nie umiała czuć do niego złości.

Owszem, nadal była żoną Johna, a nawet miała nadzieję, że ze względu na dzieci uda się jakoś naprawić to małżeństwo, i z tego powodu obecność Grady'ego była ryzykowna. Jednak nie mogła go odepchnąć.

- O czym myślisz?

Westchnęła. - Myślę, że naprawdę nie powinieneś tutaj przychodzić, ale twoje towarzystwo jest bardzo miłe. Do szpitala przychodziło w odwiedziny więcej ludzi. Teraz powrócili już do własnych spraw.

- Musisz mieć dużo przyjaciół.

Podniosła do ust kubek z kawą i syciła się jej aromatem.



- Jestem dość aktywna i znam prawie wszystkich w mieście. - Upiła łyk kawy. Czują, jak ciepło rozlewa się po całym jej ciele, boskie po siedzeniu w basenie i pod prysznicem.

- W Constance mieszka trochę miłych ludzi. Ale jest też trochę tych konserwatywnych. Dla nich zawsze byłam ciut nie na miejscu. - Uniosła brew. - Zastanawiam się, co sobie teraz myślą. - Znów wypiła łyk kawy.

- Pani Hart cię lubi.

Cornelia Hart nie była plotkarą taką jak inni. Prawdopodobnie nawet nie słyszała o tym, że Teke znalazła się w niezręcznej sytuacji z Samem. - Ona jest urocza. Jest dla ciebie miła?

- Bardzo. Uznała, że w wagonie jest mi za zimno i wymogła na mnie, żebym zamieszkał w jej domu.

- Czyż ona nie jest odważna? - drażniła się z nim Teke, choć w głębi ducha ulżyło jej, gdy się dowiedziała, że Grady'emu przynajmniej jest ciepło. Położył już na wagonie nowy dach, a teraz pracował nad ścianami. Nie było tam jednak ogrzewania.

Grady wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Daje gliniarzom prawdziwy powód do obaw. Kiedy widzieli, że tyle razy wchodzę i wychodzę z jej domu, przyszło im do głowy, że obrabowałem panią Hart.

Teke przymknęła oczy. - Dzięki ci, Johnie Davidzie.

- No cóż, miałem pewną satysfakcję, kiedy tak obserwowałem, jak myśleli, że wreszcie mnie na czymś przyłapali, a potem zrozumieli, że nic z tego. Jeden z tych facetów jest całkiem w porządku. Drugi wyraźnie chce mnie zastraszyć. To na niego przyjemnie mi było patrzeć, kiedy musiał odejść z pustymi rękami.

- To musi być Connors - domyśliła się Teke. - Jego syn trochę grał w drużynie Michaela. Był pierwszy, żeby narzekać na trenera, a ostatni, żeby uczciwie trenować. Niechby cię tylko spróbował tknąć. Wystarczy, że mi powiesz, a Sam mu od razu przypomni o prawach obywatela. On jest w tym nie do pokonania.

- Sam wygląda na porządnego człowieka.

- Jest porządnym człowiekiem.

- Czy on by mnie naprawdę bronił w sprawie, w której jego wspólnik mnie oskarża?

- Sam nie wini cię za to, co się stało. Dobrze wie, że Michael nie wybiegłby na ulicę, gdyby nie zobaczył tego, co zobaczył. - Przytknęła kubek z kawą do ust, ale był za mały, żeby się za nim ukryć. Zresztą, ukrywanie się było bezcelowe. Grady wiedział, co zrobiła. Wszyscy to wiedzieli.

- Kochasz go?

Zamrugwała. - Sama? Kocham go tak samo jak Kocham Annie. Są moimi najbliższymi przyjaciółmi. Brakuje mi ich obojga. Przychodzą w odwiedziny do ośrodka, ale to nie to samo co przedtem. Byliśmy bardzo zżyci.

- Pomyślała o telefonie Sama sprzed kilku dni i musiała się uśmiechnąć. - Biedny Sam. - Z Grady mogła się tym podzielić. - Nagle przyszło mu do głowy, że mogą być w ciąży. Był kompletnie przerażony.

Grady też nie wyglądał na specjalnie spokojnego.

- A jesteś?

- Dzięki Bogu, nie. Gdybym zaszła w ciążę z Samem, to byłby o jeden koszmar za wiele. Nie to, że nie lubię dzieci. Uwielbiałam być w ciąży. Uwielbiałam zajmować się maleństwami, patrzeć jak rosną. - Pamięć przeniosła ją w czasy, kiedy dzieci były małe, a problemy stosunkowo nieskomplikowane. Potem pamięć powędrowała do czasów jeszcze bardziej odległych. Patrząc na opadające na czoło kruczoczarne włosy Grady'ego, Teke przypomniała sobie tego młodego chłopca, którego tak kochała. Pamiętała ich wspólne marzenia, by mieć dzieci. Ukradkiem zerkając na jego twarz domyśliła się, że on też to teraz wspomina.

- Masz zdjęcie swojej córki? - spytała miękko.

Uplęła chwila, zanim zareagował. Wyjął z kieszeni portfel, a z niego nieco podniszczone zdjęcie. - Miała trzy latka.

Teke nie mogła oderwać wzroku od twarzy małej dziewczynki. - Jest śliczna. - Dziecko miało oczy Grady'ego, jego usta i jego kruczoczarne włosy. - Tak bardzo jest do ciebie podobna.

- Nie z charakteru. Straszna z niej gaduła i najbardziej towarzyska istota pod słońcem. Zaczepia ludzi, uśmiecha się do wszystkich. - Przerwał na chwilę. - Przynajmniej taka była, kiedy ją ostatnio widziałem, a odtąd upłynęło już trochę czasu.

- Nie chcesz się z nią widywać?

- No cóż, teraz już podrosła, a im jest starsza, tym bardziej ocenia mnie za to, kim jestem.

- Nie jesteś przecież nikim złym.

- Jej matka myśli co innego.

- Więc dlaczego za ciebie wyszła?

Grady potarł kark. - Sam sobie wiele razy zadawałem to pytanie i nie znalazłem odpowiedzi.

Teke próbowała sobie wyobrazić tę kobietę. Wiedziała, że Grady musiał mieć przez te lata jakieś kobiece towarzystwo - był zbyt męski, żeby nie mieć - ale w jej wyobraźni te kobiety były jedynie przelotnymi cieniami, bez imion i twarzy. Dziecko miało twarz Grady'ego. Ta fotografia nic więc nie mówiła o jego żonie. - Powiedz mi, jaka ona była?

- Sharon? - Kiedy Teke potwierdziła skinieniem głowy, powiedział: - Metr siedemdziesiąt wzrostu, wiotka, z jasną cerą, brązowymi oczami i długimi brązowymi włosami.

- Podobna do mnie - skonkludowała cicho Teke. Westchnął. - Obawiam się, że tak.

- To było z twojej strony zamierzone?

- Więzienny psycholog pewnie powiedziałby, że w jakimś stopniu musiałem być tego świadomy, ale w tamtym czasie nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Była przynajmniej miła?

- Bardzo miła.

- Stworzyła ci miły dom?

- Wydawało mi się, że tak. Uważała, że ten dom to straszna nora. To fakt. To był mój dom i dobrze się w nim czułem, ale ona chciała czegoś więcej. Myślała, że mam możliwości, by coś osiągnąć. Podejrzewam, że właśnie dlatego za mnie wyszła. Myślała, że będę się pisał w górę i w górę, aż dorobię się jakiejś wielkiej fabryki mebli. A zamiast tego wędrowałem z jednego miejsca na drugie, biorąc każdą robotę, jaka mi się nawinęła. W wolnych chwilach budowałem łodzie, a kiedy już były gotowe, pływałem. Tylko ja i wiosła. Uwielbiałem to. Czasami wypływałem na całe trzy dni. To ją doprowadzało do szału. To i twoje imię.

- Och, Grady.

- Nie przeszkadza mi to, że odeszła. Tęsknię tylko za Shelley.

Teke jeszcze przez chwilę wpatrywała się w fotografię, zanim mu ją oddała. Zdjęcie było wymięte od częstego oglądania, miało powywijane rogi, a przez to napawało Teke wzruszeniem. Grady powinien być wspaniałym ojcem - to jedno wiedziała. - Mogę ci pożyczyć moje dzieci, jeśli chcesz - powiedziała. - Któreś sobie wybierzesz z całej trójki. Oczywiście możesz mieć kłopoty, żeby oderwać Leigh na chwilę od Maxa, Jana będzie się ciągle z tobą spierać, a Michael będzie cię ciągle trzymał na dystans, ale to wspaniałe dzieci.

- Na razie wybieram Michaela - powiedział Grady z szerokim uśmiechem. - Dzięki.

Na ile mogła to ocenić, odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

Grady spędził w pokoju tylko tyle czasu, by zjeść lunch z Teke i Michaeliem, ale i to było o pięć minut za długo. Właśnie wyjeżdżał z parkingu swoim starym niebieskim pickupem, którego nie sposób było nie rozpoznać, gdy naprzeciwko pojawił się samochód Johna wjeżdżający na parking. Przez całą drogę do domu Grady myślał o Teke i o wymówkach, które ją czekają a tego naprawdę nie chciał. Przyjechał do centrum rehabilitacji, żeby zobaczyć Michaela i zrobić co będzie w jego mocy, by jakoś podnieść chłopca na duchu, a co więcej - przyjechał, by dać Teke chwilę wytchnienia. Przyjechał, żeby przywieźć jej kawę i sandwicza. Przyjechał, żeby zrobić cokolwiek, co mogłoby ułatwić jej życie. Wydawało się, że nikt poza nim o tym nie myśli.

Rozdrażnianie Johna na pewno nie ułatwi Teke życia, ale jakież miał wybór? Nie mógł przecież wyjechać z miasta, dopóki się nie przekona, że oboje - Michael i Teke staną na nogi.

Gdy wrócił do Constance, pełen tych frustrujących myśli, zabrał się za przybijanie cedrowych desek na bocznej ścianie wagonu Corneli Hart. Stał na drabinie już kilka godzin, całkowicie pochłonięty pracą, gdy na dole zmaterializowali się dwaj policjanci, z którymi już wcześniej zdążył zawrzeć znajomość.

Spojrzał na nich, przybił jeszcze dwa gwoździe i znów skierował wzrok w dół. Nie poruszyli się. W duchu nakazywał sobie zachować spokój, ale trudno było zachować spokój, kiedy chciało mu się wyć. Był pewien, że to John ich tutaj nasłał, niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności.

- Słucham - odezwał się do policjanta, tego miłszego, który nazywał się Dodd.

- Musimy porozmawiać, panie Piper - powiedział Dodd.

Grady posłusznie, bo nie zrobił niczego złego ani nie miał takiego zamiaru, wsunął młotek do kieszeni stolarskiego fartucha i zszedł po drabinie. Gdy znalazł się na ziemi, wsunął dłoń do kieszeni kurtki, chroniąc je przed listopadowym chłodem.

- O czym? - spytał.

- O posiadłości Molsona.

- Co to jest?

- Nie próbuj robić z nas idiotów - ostrzegł Connors.

Grady nie spuszczał wzroku z Dodda, który powiedział: - To jest czteroakrowa posiadłość przy tej ulicy. Dziś rano między dziesiątą a jedenastą było tam włamanie. Co pan robił w tym czasie?

Grady poczuł, że wnętrzności mu się ściskają. Starając się nie zwracać na to uwagi, wskazał głową na świeżo położone deski na bocznej ścianie wagonu.

- Cały czas? - spytał Dodd.

- Do wpół do jedenastej.

- I gdzie pan wtedy poszedł?

- Do McDonalda.

- Jak długo pan tam był?

- Pięć minut.

- To się nazywa jeść w błyskawicznym tempie - mruknął Connors.

- Nie jadłem tam. Kupiłem jedzenie na wynos.

- I wróciłeś tutaj, żeby zjeść? - spytał Connors.

- Nie. Pojechałem odwiedzić Michaela Maxwella.

- Po kiego diabła to robisz? - warknął Connors. - Szukasz guza? Wiesz, że ojciec chłopaka nie chce cię tu widzieć. Masz gówno zamiast mózgu?

- Proszę posłuchać, panie Piper - powiedział Dodd cicho. - Będziemy musieli znaleźć świadków, którzy potwierdzą pańskie zeznania. Pani Hart mówi, że nie może sobie wyobrazić, żeby pan kogoś obrabował, bo nigdy pan niczego nie wziął z jej domu, choć niejednokrotnie miał pan okazję. Tyle że pani Hart widziała pana ostatnio o wpół do ósmej. Czy jeszcze ktoś pana widział, kiedy pan tu pracował?

Oczywiście nie, pomyślał Grady. To by było zbyt proste. - Ktoś mógł widzieć pickupa przed domem, ale żeby mnie zobaczyć, trzeba by było wjechać na podwórze.

- A w McDonalddie? - spytał Dodd. - Spotkał pan tam kogoś, kto pana zna?

- Nie wchodziłem do środka, kupiłem jedzenie w okienku.

- Mam nadzieję, że pani Maxwell potwierdzi fakt, że był pan w ośrodku rehabilitacji?

- Ona albo chłopiec - powiedział Grady i dorzucił w stronę Connorsa: - On nie cierpi jedzenia w ośrodku, a uwielbia McDonalda. Jeśli jego ojca drażni to, że przyniosłem chłopcu lunch, to tylko dlatego, że sam o tym pierwszy nie pomyślał.

- Rozejrzyjmy się w suterenie - rzucił Connors Doddowi.

- Macie nakaz rewizji? - spytał Grady. Znał swoje prawa, i choć nie chciał wrogo nastawiać do siebie policjantów, nie zamierzał też pozwolić im zapomnieć o jego prawach.

- Suterena należy do pani Hart - powiedział Connors.

- Ona nam pozwoliła.

- Ale ja tam mieszkam. Jestem jej lokatorem.

- Płacisz czynsz?

- Płacę czynsz pracą, którą tu wykonuję. Więc w tej chwili to jest mój dom. Rewizja bez nakazu będzie niezgodna z prawem.

Connors rzucił spojrzenie Doddowi. - On coś ukrywa.

- Ale ma rację - odparł Dodd.

- Pojedziemy po nakaz, a w tym czasie on wszystko ukryje gdzie indziej i nic nie znajdziemy.

- Nie, jeśli go zabierzemy ze sobą - stwierdził Dodd.

- Przykro mi, panie Piper, ale musimy pana poprosić, żeby pojechał pan z nami na komisariat. Chcemy zadać panu trochę więcej pytań.

Grady poczuł, jak budzi się w nim dawny, znajomy strach. - Czy macie jakiś inny powód oprócz tego, że jestem notowany?

- To jest wystarczający powód - powiedział Connors, chwytając go za ramię. Kiedy Grady Strząsnął jego rękę z ramienia, ten spytał: - Wolisz, żeby ci założyć kajdanki?

Grady wziął głęboki oddech i wyprostował się. Patrzył na Dodda. - Mam prawo zadzwonić. Jeśli zadzwonię stąd, mój prawnik przyjedzie na komisariat.

- Mówiłem ci, że on ma coś do ukrycia - powiedział Connors.

Dodd zwrócił się do Grady'ego bardziej uprzejmym tonem: - Nie potrzebuje pan prawnika. Nikt pana o nic nie oskarża.

- Chcę zadzwonić do prawnika - powtórzył Grady. Powinien mieć prawnika już wcześniej, kiedy go śledzono, deptano mu po piętach, przesłuchiowano. - Mogę zadzwonić stąd czy z komisariatu?

Dodd wprowadził go do kuchni pani Hart, gdzie Grady skorzystał ze swojego prawa i zadzwonił. Trzy kwadransy później do pokoju przesłuchań na komisariacie policji w Constance wkroczył Sam Pope, przepaszając, że zajęło mu to tyle czasu. Policjanci zostawili go samego z Gradym.

- Teke powiedziała mi, żebym do ciebie zadzwonił, jeśli wpadnę w kłopoty - powiedział Grady. - Nie byłem pewny, czy przyjedziesz, ale Teke powiedziała, że jesteś specjalistą w obronie praw obywatelskich. Właśnie tego potrzebuję. Przesłuchują mnie w sprawie włamania.

- Zrobiłeś to? - spytał Sam.

- Nie. Nigdy w życiu niczego nie ukradłem. Tylko morderstwo. Słyszałeś o tym?

- Słyszałem.

- Cały problem w tym, że ludzie w miasteczku nie chcą mnie tutaj widzieć.

- John David.

Grady był mu wdzięczny za tę bezpośredniość. To ułatwiało wszystko. - Chcą przeszu-  
kać mój dom, samochód chyba też. Powiedziałem im, że muszą mieć nakaz, więc trzymają  
mnie tutaj, dopóki go nie zdobędą. Z tego co wiem, mogą mi coś podłożyć do samochodu. Jak  
się mam przed tym bronić?

- Dam sobie z tym radę - powiedział Sam i zniknął za drzwiami. Kiedy pojawił się zno-  
wu, powiedział: - Spotkamy się z nimi przy domu.

- Powiedzieli, że chcą mnie jeszcze przesłuchiwać.

Z wyrazu twarzy Sama odczytał, że już został przesłuchany w wystarczającym stopniu. -  
Nie mają żadnego powodu, żeby cię tu trzymać poza tym, że John nieustannie się ich czepia.  
Jeśli uda im się przekonać sędziego, żeby wydał nakaz rewizji, to w porządku, ale nie będzie  
żadnej rewizji bez nas. - Z rękami w kieszeniach, całkowicie pewny siebie, Sam brodą wskazał  
Grady'emu drzwi.

\* \* \*

Już dochodziła piąta, kiedy Sam wrócił do biura. Ledwo wszedł na korytarz, a pojawił się  
przy nim John. - Do diabła, Sam! Co ty wyprawiasz?

Sam starał się panować nad ogarniającym go płomieniem złości. - Co takiego?

- Bronisz Grady'ego Pipera!

- Nie bronię go. Nie jest mu potrzebny obrońca. Ten człowiek nie naruszył prawa. - Ode-  
brał od Joy wiadomości telefoniczne, które dla niego zanotowała, i skierował się do swojego  
gabinetu.

- Ten człowiek nie jest naszym przyjacielem - oświadczył John, akcentując dobitnie, jak-  
by tłumaczył małemu dziecku. - To nic dobrego dla Teke, nic dobrego dla Michaela ani dla  
mnie. Im szybciej wyniesie się z miasta, tym lepiej.

Sam przesunął wzrokiem po karteczkach z notatkami Joy. - Jest wolnym człowiekiem,  
John. Może mieszkać gdzie mu się podoba.

- Masz rację, dopóki nie mieszka w moim mieście.

- Ty mieszkasz w Bostonie. Constance nie jest już twoim miastem.

- Ciągłe mam tam dom i tam płacę podatki. Mam coś do powiedzenia o tym, co się tam dzieje.

- Nie wtedy - powiedział Sam, podnosząc wzrok, choć głowę ciągle miał pochyloną nad notatkami - kiedy chcesz łamać prawa tego człowieka. - Teraz już podniósł głowę. - Nie wolno ci tego robić, John. Od czasu wypadku bez przerwy nagabujesz policję, żeby deptała mu po piętach. Tyle że oni na niczym nie mogą go złapać. Ten facet jest czysty. Robi to, do czego go zatrudniła Cornelia Hart. Dlaczego go nie zostawisz w spokoju?

- Dlaczego on nie zostawi mojego syna w spokoju?

- Czuje się winny z powodu wypadku. Bardzo się interesuje Michaeliem, i bardzo dobrze, że tak jest. Michael potrzebuje pomocy jakiegoś faceta, a kogo teraz ma? Ty jesteś zbyt wściekły na Teke, żeby mu pomóc, zaś na mnie Michael jest zły i nie pozwoli sobie pomóc. Pozostaje więc tylko Grady. Powinieneś mu być za to wdzięczny. - Wyciągnął jedną z karteczek z pozapisywanymi wiadomościami, a resztę odrzucił na biurko.

- On się ugania za moją żoną.

- A nawet jeśli tak jest, to co tobie do tego? Odszedłeś od niej.

- Ciągłe jest moją żoną.

Sam podniósł słuchawkę telefonu. - Albo jedno, albo drugie, John. Albo chcesz z nią być, albo nie. - Wystukał numer zapisany na karteczce. Był to numer telefonu Billa Kneelanda, którego odwołaniem od wyroku w sprawie o oszustwo Sam się zajmował.

- No dobrze, a jak to jest z tobą? - zapytał John. - Ty chcesz mieć i jedno, i drugie. Mienisz się moim przyjacielem, ale wystarczy, że mój wróg zadzwoni, żebyś wszystko rzucił i czym prędzej pognał do Constance.

- Grady Piper nie jest twoim wrogiem - powiedział mu Sam i szybko zaczął mówić do słuchawki: - Witaj, Bill. Właśnie dostałem twoją wiadomość.

- To kwestia lojalności - mówił w tym czasie John.

- Czy on nie mógł sobie znaleźć innego prawnika? Zakrywając dłonią mikrofon słuchawki, Sam odpowiedział szeptem: - Jest w obcym mieście, a ja jestem jedynym prawnikiem, o jakim tu słyszał poza tobą.

- Odślonił teraz słuchawkę i zwrócił się do swojego klienta: - Pierwsze, co zrobię w poniedziałek, to złożę odwołanie. Mam je właśnie tutaj. - Przeszukał z wierzchu stertę teczek piętrzących się na jego biurku w poszukiwaniu odpowiednich dokumentów.

- Płaci ci za to? - nie ustawał John.



- Na razie nie ma mi za co płacić - odpowiedział szeptem Sam, odsuwając słuchawkę od ust. Po czym mówił do Billa: - Dobra. Myślę, że masz spore szanse.

- Mówiąc to nie ustawał w poszukiwaniach odpowiedniej teczki z dokumentami, tym razem po drugiej stronie biurka.

- Powinien płacić za twój czas - upierał się tymczasem John. - Wyszedłeś z biura, pojechałeś kawał drogi do Constance, żeby reprezentować jego interesy, kiedy policja zabrała go na przesłuchanie, po czym uzyskałeś jego zwolnienie.

- To trochę potrwa, Bill - mówił w tym czasie Sam do słuchawki. - Nie spodziewałbym się decyzji wcześniej niż za dwa miesiące, może trzy. - Odwróciwszy się przeglądał teczki ustawione na półce. - Śpieszymy się tak ze składaniem odwołania, żeby załatwić wszystko przed Bożym Narodzeniem, ale na twoim miejscu jeszcze nie wstrzymywałbym tchu w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie. Rozluźnij się. My tylko składamy odwołanie, a reszta już nie od nas zależy. Spotkajmy się w przyszłym tygodniu.

- Twój czas jest cenny dla firmy - nie przerywał dyskusji John.

- Jasne. Trzymaj się - pożegnał się Sam z klientem.

- Nie prowadziłem w jego imieniu żadnych rozmów - rzekł do Johna, odwracając się znów przodem do biurka i ponownie przeszukując teczki z dokumentami, teraz już rozrzucone po blacie. - Wszystko, co zrobiłem, to ostrzegłem gliniarzy, że narażają się na proces z powództwa cywilnego o nękanie człowieka. I że nieuchronnie do tego procesu dojdzie, jeśli będą mu w dalszym ciągu deptać po piętach. I przy okazji muszę ci powiedzieć, że gdyby rzeczywiście do tego doszło, padłoby twoje nazwisko. Więc zostaw go już w spokoju.

- Czując, że zaczyna się w nim rodzić wściekłość, Sam burknął niecierpliwie: - Gdzie, do jasnej cholery, jest ta teczka? Joy!

John wyszedł z gabinetu, gdy tylko w drzwiach zjawiała się Joy.

- Gdzie jest to odwołanie w sprawie Kneelanda? - spytał ją Sam. - Vicki miała je lada moment skończyć. Teraz już powinno być przepisane i leżeć w teczce.

Joy wyglądała na zakłopotaną. - Vicki pojechała do Providence.

Sam pierwsze o tym słyszał, jednak przyznał sam przed sobą, że ostatnio częściej był poza biurem niż w biurze. - Kiedy?

- W środę rano. - Czyli dwa dni temu.

- Co ona robi w Providence? - Próbował sobie przypomnieć, czy mówiła cokolwiek o jakimś krótkim urlopie, jednak był pewien, że o niczym takim nie słyszał. Rozmawiali w ponie-

działek o sprawie Kneelanda. Wypunktował jej wszystko, co powinno być napisane w tym odwołaniu. Planowała zająć się wszystkim w tym tygodniu.

- Hm... Chyba robi tam coś dla Johna Stewarta - powiedziała Joy.

- Ale przecież Vicki pracuje ze mną, nie z Johnem Stewartem. - To była niepisana reguła w firmie, że współpracownicy nie podkradają sobie nawzajem współpracowników. Spojrzał na bałagan na biurku. - Wyświadczyć mi przysługę i rozejrzyj się w tym. Może ja za bardzo szukałem, żeby mogło mi się udać znaleźć tę cholerną teczkę. Muszę teraz porozmawiać z Johnem Stewartem.

Szedł przez korytarz i aż się gotował ze złości, zdecydowany urządzić Johnowi Stewartowi piekielną awanturę, jeśli ten rzeczywiście w tajemnicy przed nim gdzieś wysłał Vicki. Była o głowę lepsza od Toma, Alexa i innych współpracowników. Wiedział, że jeśli jej dać jakieś zlecenie, wszystko jest przygotowane na czas i tak jak należy. Miał do niej zaufanie.

John Stewart siedział przy biurku odchylony do tyłu, z palcami splecionymi na piersi. Wyglądał tak, jakby spodziewał się Sama.

- Co to za sprawa z Vicki? - zapytał Sam prosto z mostu, oszczędzając sobie zbędnych uprzejmości. John

Stewart i tak ignorował go od dnia, kiedy Michael obudził się ze śpiączki.

Johnowi Stewartowi nie drgnął nawet mięsień, gdy odpowiedział: - Vicki była mi potrzebna do przygotowywania mojej sprawy.

Sam uszom nie wierzył. - Kazałeś jej tak po prostu rzucić to, co przygotowywała dla mnie? Nie powiedziała ci, nad czym pracuje?

- Mówiła mi. Poleciałem jej przekazać to Tomowi.

- Tom nie zna tej sprawy. Nie miałeś prawa tak postępować.

- Miałem prawo. Jestem szefem tej firmy. Do mnie należy decydujące słowo w tego typu sprawach.

- Nie miałeś prawa - powtórzył z naciskiem Sam, bliski paniki. Tom Mackle nie miał pojęcia o tym, jak powinno się pisać odwołania. W tej sprawie mógł zaufać tylko Vicki. Sam nie wiedział, co ma teraz zrobić. - Czy ty rozumiesz, co może nam przynieść sprawa Kneelanda, Johnie Stewarcie? Bill przyszedł do nas z jednej z tych wielkich firm. Jeśli uda mi się doprowadzić do nowego procesu, my będziemy go reprezentować. I do nas popłynie cały jego szmal.

- Och? Czyżby interesowały cię pieniądze? - spytał ironicznie John Stewart. - To coś zupełnie nowego. Twoje godziny pracy wyglądają żałośnie.

- O czym ty mówisz?

John Stewart musiał rzeczywiście spodziewać się Sama, bo miał przed sobą na biurku odpowiednie papiery. Podniósł kartkę do oczu i znów opuścił ją na biurko. - Godziny pracy. Jakoś w ostatnim miesiącu niewiele czasu spędzasz w biurze. W ten sposób nie prowadzi się firmy.

- Sprawa Dunn przeciwko Hanoverowi przyniosła sześć milionów dolarów. Przede wszystkim weźmie je firma, zanim ja z tego dostanę swoje.

- I to nie cały zysk, pozwolę sobie dodać. Przez te wszystkie lata, kiedy tu pracujesz, nie zarobiłeś dla firmy ani centa, a i teraz nie widzimy nic z tych sześciu milionów.

- Masz rację, ale to tylko dlatego, że rachunek ma uiszczyć firma ubezpieczeniowa oskarżonego, a firmy ubezpieczeniowe zawsze ociągają się jak mogą. Ale te pieniądze wpłyną, i to szybko, bo jeśli nie, to dam im do wiwatu. A ty teraz narzekasz, że mało czasu spędzam w biurze? O co ci chodzi?

- Tu mam wszystko czarno na białym - John Stewart potrząsnął listą obecności.

- To jest lista obecności z okresu, kiedy miałem poważne kłopoty osobiste. Czyżbyś o tym zapomniał?

- Jakże mógłbym o tym zapomnieć? Nie spędzałeś w biurze więcej niż cztery godziny dziennie.

- A jeśli nie było mnie tutaj, to gdzie, twoim zdaniem, byłem? W szpitalu albo w ośrodku rehabilitacji, odwiedzałem twojego wnuka.

- Albo w szkole, skąd zabierałeś swoją żonę na lunch. Czy za to co miesiąc bierzesz z tej firmy pieniądze?

Sam już był o krok od tego, by z zakłopotaniem zacząć przeczesać włosy także pacami drugiej ręki, kiedy uświadomił sobie, że przecież nie jest szeregowym pracownikiem, który może zbierać takie reprimendy od szefa. Był doświadczonym prawnikiem, pełnoprawnym partnerem w firmie. Mógł robić, co chce, kiedy chce i z kim chce.

Uświadomił sobie jeszcze coś. Coś tu śmierdzi w tej firmie i to wcale nie była stęchlizna, którą zajeżdżała stara mapa Bostonu, zawieszona w ramach z wygrawerowanymi złotymi liśćmi w gabinecie Johna Stewarta.

- Wyduś to z siebie, John. O co ci chodzi?

- Chodzi mi o twoją pozycję w tej firmie. Zgodziłem się na to, żeby cię dokooptowano do grona wspólników, ponieważ John David przekonywał mnie, że w firmie jest potrzebny wy-

dział spraw procesowych. Jednak teraz już tak nie myślę. Nie obchodzi mnie, czy zarobisz dla firmy dziesięć milionów na jakiejś sprawie. Twój wizerunek nie pasuje do tej firmy.

- Jesteś zły z powodu Teke.

John Stewart uniósł podbródek. - Uważam, że to, czego się oboje dopuściliście, było obrzydliwe, ale nie zaskakujące. Prawnicy, którzy pracują z szumowinami, nabierają ich zwyczajów.

- Moi klienci to nie szumowiny. Mam solidną praktykę i klientów z klasy średniej.

- O ile dobrze pamiętam, w zeszłym roku broniłeś prostytutkę, która zabiła jednego ze swoich klientów.

- To było w obronie własnej i została uniewinniona.

- Ale to nie była klientka z klasy średniej.

- Prowadziłem tę sprawę z urzędu. To zajęło mi raptem trzy dni. A gdzie się podziała twoja świadomość społeczna?

John Stewart ze znudzoną miną spojrział na sufit.

- A w ubiegłym roku latem przymierzałeś się do sprawy, w której miałeś bronić faceta nielegalnie rozprowadzającego utensylia dla narkomanów.

- Czyste strzykawki - przerwał mu Sam zniecierpliwiony. - Próbował uratować paru narkomanów od zarażenia się AIDS. Boże, John, przecież nie o to ci chodzi.

John Stewart wzruszył ramionami tak lekko, że delikatne załamane na linii ramion jego eleganckiego garnituru od Brooks Brothers było ledwo dostrzegalne.

- No cóż, jestem jedynym żyjącym założycielem, najstarszym wspólnikiem i dyrektorem firmy Maxwell, Roper & Dine. I chcę, żebyś zrezygnował z partnerstwa w firmie.

Sam osłupiał. - Co takiego?

- Chcę twojej rezygnacji.

- Chyba robisz ze mnie durnia. John Stewart wolno pokręcił głową.

- Dałem tej firmie dwanaście lat solidnej pracy - upierał się Sam.

John Stewart ściągnął wargi i nieznacznie wskazał głową na papiery leżące na biurku. - Nad tym można by było dyskutować. Jednak nie da się dyskutować o różnicy poglądów, jaka między nami panuje, różnicy poglądów na tematy zasadnicze i na temat funkcjonowania firmy prawniczej.

- Więc? - W wielu firmach między wspólnikami istnieją różnice.

- Chcę twojej rezygnacji.

- No cóż, tego nie zdołasz osiągnąć - rzekł Sam w przyływie złości. - Jestem pełnoprawnym wspólnikiem w firmie. Zainwestowałem w nią dwanaście lat ciężkiej pracy w pocie czoła. To jest też moja firma. Będę walczył.

- Walcz, ile chcesz - odpowiedział John Stewart z doprowadzającym Sama do szału spokojem. - Przeniesienie Vicki to tylko początek. Mogę ci nieźle obrzydzić życie, a jeśli ciągle będziesz się upierał, żeby zostać w firmie, poddam twoje stanowisko pod głosowanie.

- Nie uda ci się wygrać.

- Może mi się jednak uda.

- Nie uda ci się - upierał się Sam, patrząc na Johna Stewarta z niedowierzaniem. Potem wyprostował się i spojrzął w okno, choć nie dostrzegł ani jednego szczegółu widoku, który tyle kosztował. Uświadomił sobie tylko, że w jego życiu, które jeszcze przed ponad miesiącem wydawało się tak wspaniałe, znów pojawił się problem nie do rozwiązania. To bez reszty pochłonęło jego myśli. Był u szczytu kariery, a John Stewart bezceremonialnie chciał go wykopać z firmy. To prawda, zawsze istniały między nimi różnice poglądów, ale firma stanowiła dla Sama bezpieczną i wygodną bazę, z której mógł podejmować działania. Pomyślał, że będzie zmuszony poszukać sobie innej bazy, i to w czasie, kiedy całe jego życie stało się jednym wielkim chaosem.

- Najpierw to, co najważniejsze - mruknął odwracając się. - Muszę napisać odwołanie w sprawie Kneelanda. Porozmawiamy o tym innym razem.

\* \* \*

Annie po drodze do domu wstąpiła do supermarketu i wyniosła stamtąd dziewięć toreb. Był to jej rekord w robieniu zakupów, jednak widmo przyszłości i niezłomna decyzja, by za jednym zamachem kupić wszystko co trzeba na cały nadchodzący tydzień, kazały jej nosić do samochodu aż dziewięć toreb. Ledwo znalazła się w garażu i wysiadła z samochodu, z drugiej strony wjechał samochód Sama. Gdy tylko spojrzała na jego udręczoną twarz, już wiedziała, że stało się coś złego.

Zaczął wylewać swoje rozgoryczenie i nie skończył, dopóki nie wniósł do kuchni wszystkich dziewięciu toreb z zakupami oraz własnych rzeczy - czyli naręcza książek, dwóch olbrzymich teczek z protokołami rozprawy sądowej Kneelanda, notatkami, które na początku tygodnia przekazał Vicki Cornell i nie dokończonego, nie wyglądzonego uzasadnienia odwoła-

nia od wyroku, które znalazł na biurku Vicki. Annie wpatrywała się w niego, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- John Stewart chce, żebyś odszedł z firmy?

Sam sapnął z przejęciem. - To jest plan długofalowy. Na krótką metę utrudnia mi pracę. No cóż, w tym wypadku niemalże mu się udało. Będę musiał pracować cały weekend, bo to odwołanie powinno być złożone w poniedziałek albo we wtorek. Ale ja nie chcę pracować przez cały weekend. Chcę, żebyśmy jutro wyszli na kolację. Chcę, żebyśmy gdzieś pojechali w niedzielę, może do Rockport, do Pete'a, albo na północ, do Ogunquit. Teraz nawet nie ma co się nad tym zastanawiać. Nawet nie jestem pewien, czy dam radę obejrzeć cały mecz Maxa.

Annie była przyzwyczajona do szesnastogodzinnego dnia pracy Sama, siedem dni w tygodniu, kiedy był w trakcie procesu, i wiedziała, że bez pomocy współpracowników z firmy czekają go takie same tygodnie pracy nad przygotowaniem dokumentów. Vicki Cornell była darem niebios. To ona zdejmowała z niego część obowiązków, sześć z szesnastu godzin pracy, dzięki czemu mógł poświęcić trochę czasu innym sprawom. Vicki zdejmowała z niego także część napięcia, które teraz Annie wyraźnie widziała na jego twarzy.

I znów przyszły jej do głowy niemiłe myśli. Vicki Cornell jest młoda i uzdolniona. Ciekawe, czy Sam kiedykolwiek się zastanawiał, jak ona wygląda nago.

- Co za skurwysyn - obwieścił Sam, po raz trzeci w ciągu kilku minut ściskając palcami włosy. - Mógł mi to powiedzieć w środę albo napisać jakieś pismo, że jest mu potrzebna Vicki. Wtedy zdążyłbym to wszystko jakoś inaczej zorganizować. Mogłem wprowadzić do tej pracy Toma i gdyby nawet sam wszystkiego nie zrobił, odwaliliby znaczną część roboty, a ja miałbym gotowy szkic i wystarczyłoby to wszystko tylko doszlifować.

- Dlaczego Vicki nic nie powiedziała?

- Prawdopodobnie dorwał ją, kiedy ja byłem poza biurem, i kazał jej natychmiast wyjechać.

- Mogła zostawić ci wiadomość albo zadzwonić, gdy już dotarła na miejsce.

- To prawda. - Sam spoglądał z obrzydzeniem. - Gdyby tak zrobiła, wpakowałyby się w sam środek wojny pomiędzy mną i Johnem Stewartem. Vicki nie zrobiłaby czegoś takiego. Jest ambitna. To jedna z cech, dzięki którym jest dobra w tym, co robi, ale to też znaczy, że nie ma zamiaru zrażać do siebie Johna Stewarta. On znacznie więcej znaczy w tym mieście niż ja.

- Nie doceniasz swojej wartości - powiedziała Annie. Naprawdę w to wierzyła i odczuła ulgę, gdy mogła to powiedzieć, ponieważ dokuczało jej troszkę poczucie winy w innej sprawie.

Właściwie była zadowolona, że Vicki oszacowała go tak nisko. Chciała, żeby miał jak najgorsze zdanie o kobietach.

- John Stewart dłużej pracuje w tym zawodzie - upierał się Sam. - Jego kontakty sięgają znacznie głębiej i mają większą wagę. - Odchylił się do tyłu, oparty o kuchenną ladę. - Ten, kto wymyślił, że nieszczęścia chodzą parami, miał rację.

Annie pomyślała o pogroźce Johna Stewarta, że zgłosi formalny wniosek o pozbawienie Sama stanowiska w firmie. Ze wszystkiego, co Sam jej opowiedział, to zezłościło ją najbardziej.

- Myślisz, że on naprawdę byłby zdolny poddać pod głosowanie wnioski o odebranie ci stanowiska w firmie, czy tylko mówił tak w przyływie złości?

- Zrobiłby to w każdej chwili z największą przyjemnością. Nie chce moich sukcesów. Jego początkowa niechęć do mnie znalazła uzasadnienie. Nie pasuję do jego wizerunku ani do firmy.

Annie poczuła się obrażona w imieniu Sama. - A John go nie powstrzyma?

- Kto to wie? John jest jak niewypał. Czasami mówi tak, że mogłoby to wychodzić wprost z ust Johna Stewarta. Innym razem zachowuje się dokładnie odwrotnie. Nie mam pojęcia, po której stronie się opowie w tej sprawie. Ironia tkwi w tym, że gdyby moje stanowisko w firmie zostało poddane pod głosowanie, głos Johna byłby decydujący. Byłby przysłowiowym jęczyzkiem u wagi. Z pięciu współników John Stewart i Martin Cox będą przeciwko mnie, a Will Henry stanie po mojej stronie. Czyli dwa do dwóch i o wszystkim decyduje John.

Annie wyobraziła sobie takie zebranie, takie głosowanie. Wyobraziła sobie Sama stojącego, broniącego się przed zarzutami, i ten obraz sprawił jej dotkliwy ból. - Do cholery, przecież tyle dobrego zrobiłeś dla tej firmy. Dobrze prowadziłeś swój wydział. Przez dwanaście lat co roku zarabiałeś dla firmy niezłe pieniądze. To, żeby jakieś głosowanie miało decydować o twojej przyszłości, to po prostu zniewaga. Myślę, że powinieneś złożyć rezygnację.

Uchwycił palcami krawędź lady kuchennej tuż przy biodrach. - Myślałem o tym, kiedy jechałem do domu. Prawie nie zauważyłem zjazdu do Constance.

- Złóż rezygnację, Sam - powtórzyła Annie z większym przekonaniem i zaczęła wyciągać z toreb zakupy. - To jedyne rozwiązanie tej nieprzyjemnej sytuacji.

- Łatwiej powiedzieć „złóż rezygnację” niż to zrobić.

- Mogłabym się z tobą zgodzić, gdybyś prowadził obsługę prawną dużych korporacji - powiedziała. - Korporacje chcą współpracować z firmą, która zapewni im pełną obsługę. Chcą

stabilności. Kiedy już złączą współpracę z jakąś firmą prawniczą, to prawie jak małżeństwo. Oni potrzebują ciągłości, ale w sprawach sądowych jest zupełnie inaczej. Twoi klienci rzadko się powtarzają. Nie muszą z tobą współpracować na stałe. Nowy klient pojawia się za każdym razem, gdy składany jest jakiś akt oskarżenia. Twoja praktyka daje się przenosić z miejsca na miejsce. Jest wszędzie tam, gdzie wywieszisz tabliczkę ze swoim nazwiskiem. I bez względu na to, gdzie ją wywieszisz, będziesz miał klientów.

- Przy kryzysie ekonomicznym? - zapytał z powątpiewaniem. - Mam rodzinę na utrzymaniu.

- Twoja praktyka adwokacka jest odporna na warunki ekonomiczne. Popatrz na to, co zrobiłeś w tym roku. Zbliża się Święto Dziękczynienia, a ty pewnie masz już zarezerwowanych następnych sześć miesięcy. Prawda?

Wzruszył ramionami. - Cztery miesiące.

- Sześć miesięcy, jestem tego pewna. Wystarczająco długo z tobą żyję, żeby wiedzieć takie rzeczy. Jesteś zbyt skromny, Sam. Zdobyłeś doskonałą reputację, i to na długo przed sprawą Dunn. A po tej sprawie klienci ustawiają się do ciebie w kolejce. Wystarczyłoby, żebyś tylko szepnął, że odchodzisz z Maxwell, Roper & Dine, a inne firmy zaczęłyby cię dosłownie bombardować ofertami i mógłbyś dyktować swoje warunki. Wszyscy by się o ciebie bili, bo mieć Sama Pope'a w firmie to jest coś.

Tak się zapaliła, że nawet przerwała rozpakowywanie zakupów. On zaś patrzył na nią w milczeniu, po czym rzekł: - Dziękuję ci. Po tym wszystkim, co ci zrobiłem, fakt, że we mnie wierzysz, znaczy dla mnie więcej niż możesz sobie wyobrazić.

Kiedy tylko na nią patrzył, zaczynała mięknąć, i tym razem nie było wyjątku. Zazdrosna czy nie, była naiwna przez swoją uczciwość, delikatność i wrażliwość. Dla tych cech potrzebne jej było oparcie w tak silnej indywidualności jak Sam.

- Nigdy nie podawałam w wątpliwość twoich możliwości zawodowych - mruknęła.

- Tylko moje możliwości bycia wiernym. Ciągłe wątpisz w moją wierność? Martwisz się, że znowu mógłbym to zrobić?

Wyjęła z lodówki pojemnik na jajka i zaczęła je tam układać. - Z Teke nie, ale czasami się zastanawiam. Jesteś energicznym mężczyzną. Cały czas pracujesz z kobietami.

- Nie więcej niż zawsze.

- Wcześniej nie przychodziły mi do głowy takie myśli. Nigdy nawet nie pomyślałam, że mógłbyś się nimi interesować.



- Nie interesuję się nimi - zadeklarował żarliwie, tak jak już wiele razy przedtem. Oplótł jej kark ramieniem i zaczął gładzić kciukiem jej szczękę. - Tęsknię za tobą, Annie.

Dalej układała jajka w pojemniku, ale ciepło, które poczuła, zaczęło się przeradzać w żar. Z twarzy przeniosło się na piersi, a przy każdym pociągnięciu kciuka po twarzy Annie, wędrowało coraz niżej. Walczyła z tym. Coś jej mówiło, że nie powinna mu ulegać, ale nie wiedziała, co to jest. Duma? Chęć wymierzenia kary? Brak zaufania? Złość? W tej chwili żadna z tych możliwości nie miała sensu, jednak ciągle walczyła z przemożnym pragnieniem, by odwrócić się ku niemu i ukryć twarz w jego ramionach.

- Annie? - szepnął, podchodząc bliżej.

- Nie, Sam - zdołała wydobyć z siebie napięty głos.

- Kocham cię. Pozwól mi pokazać, jak bardzo.

Żar przechodził coraz niżej, jednak ciągle z nim walczyła. - To tylko seks.

- To miłość.

Kiedyś w to wierzyła. Gdy mieli dziewiętnaście, dwadzieścia lat, gdy się poznali, pójście do łóżka oznaczało, że są w sobie zakochani. Poznała jego ciało, zanim zdążyła poznać jego myśli, jednak teraz oboje byli starsi. Teraz Annie była dojmująco świadoma swego ciała. Już nie było takie młode jak kiedyś. Już nigdy nie będzie takie młode jak kiedyś. A wokół zawsze będzie pełno młodych kobiet starających się wpaść w oko Samowi. Potrzebowała pewności, że on pozostanie tylko jej, bez względu na to, co się stanie.

- Nie mogę, Sam! - wykrzyknęła zduszonym głosem.

- Kocham cię.

- Ale czy wystarczająco? - Jajko pękło w jej dłoni. Wyrwało jej się ciche przekleństwo, gdy przechylała się szybko nad zlewem, żeby białko nie pociekło na podłogę. W tej samej chwili odgłos kroków zapowiedział wejście Zoe i Maxa, wracających z ośrodka rehabilitacji od Michaela.

Zoe weszła pierwsza. Wystarczyło jedno spojrzenie na Annie i Sama stojących tak blisko siebie i już poczuła się niepewnie. Rzuciła cichutkie „cześć” i pobiegła na górę do swego pokoju. Annie zawołałaby ją z powrotem, gdyby do kuchni nie wszedł właśnie Max.

- Co u Michaela? - zapytał Sam i jak gdyby nigdy nic przysunął się jeszcze bliżej Annie. Była to wyraźna demonstracja z jego strony i Annie zastanawiała się, czy to doprowadzi do awantury. Nie była w nastroju do awantur. Czowała się już zmęczona życiem wypełnionym duszoną w sobie złością.

- Wraca do domu - odpowiedział Max. Annie odwróciła się podekscytowana. - Kiedy?

- W przyszły piątek, jeśli do tego czasu nauczy się chodzić o kulach.

- O kulach - westchnęła Annie. Po tym nie mającym końca oczekiwaniu aż Michael się obudzi i po niepewności, czy w ogóle będzie mógł się poruszać, teraz chodzenie o kulach wydawało się niemal cudem. - O kulach! To cudownie!

- Nie cierpi tego ośrodka rehabilitacyjnego - mówił dalej Max - więc sądzą, że lepiej mu będzie w domu, ale ja nie jestem pewny. Kiedy już się znajdzie w domu, będzie całkowicie zależny od Teke, a jest na nią wściekły. - To ostatnie stwierdzenie było wymierzone w Sama.

- To może się obrócić na dobre - podjął walkę Sam.

- To ich zmusi do rozmowy. Będą musieli zmierzyć się z tą złością.

- I myślisz, że to coś pomoże? - spytał z powątpiewaniem Max. - Na jakim świecie ty żyjesz?

- Max... - zaczęła Annie, ale Sam dotknął uspokajająco jej ramienia.

- Może dla nas też nadeszła pora - powiedział do niej.

- W porządku, Max, wyrzuć to z siebie. Powiedz mi, co o mnie myślisz. Powiedz mi to jeszcze raz.

Jednak Max tylko sapnął i skierował się do drzwi.

- Doskonale wiesz, co o tobie myślę.

Sam złapał go za ramię. - Wyrzuć to z siebie. Daję ci wolną rękę. Możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie. Nie każdy ojciec daje dziecku taką możliwość.

- Nie każde dziecko ma takiego ojca, którego uwielbiało, a który zdradził matkę z kobietą będącą dla dziecka praktycznie drugą matką. To prawie kazirodztwo.

- Dobrze. - Sam prowokował, zachęcając gestem do dalszych słów. - Kazirodztwo to dobre określenie. No, dalej. Wyrzuć to wszystko z siebie.

- Sam... - próbowała przerwać Annie, w której narastało przerażenie. Sam był zdenerwowany tym, co się stało w biurze. Nie pora teraz na układanie stosunków z Maxem.

- Jesteś fałszywy - powiedział Max. - Wszystko, co nam mówiłeś, to było zwykłe mydlenie oczu.

- Więcej. No dalej, śmiało.

- Roztrwonileś swoją wiarygodność. Tego już nie ma. Twoje słowo jest gównem warte.

- Max...

- I nie ma szans na odkupienie win? - spytał Sam.

- Pamiętasz, kiedy miałeś sześć lat i rozbiłeś piłką frontowe okno, chociaż obiecywałeś, że nie będziesz rzucał piłki w stronę domu? A kiedy dostałeś prawo jazdy i wyjeżdżając z garażu tak się rozpędziłeś, że wpadłeś na skrzynkę pocztową, chociaż obiecywałeś, że będziesz jeździł ostrożnie?

- To był wypadek.

- Dokładnie tak. Wypadki się zdarzają. I właśnie dlatego oraz dlatego, że żałowałeś tego, co zrobiłeś, a ja cię kochałem, wybaczyłem ci. No a co ze mną? Czy ja nie zasługuję na takie samo traktowanie?

- Jesteś moim ojcem. Powinieneś dla mnie stanowić przykład.

- No cóż, jestem tylko człowiekiem - zadeklarował Sam i opuścił rękę z ramienia syna.

Max natychmiast się odwrócił. - O której jutro zaczyna się twój mecz?

- Nie chcę, żebyś tam przychodził - dobiegł z hallu głos Maxa.

- O której? - zawołał Sam.

- Spieprzysz mi mecz!

- O której?

Annie usłyszała już tylko odgłos wbiegania po schodach, po którym nastąpiło trzaśnięcie drzwiami, a potem już zapanowała cisza. Sam opuścił głowę na piersi. Stał tak przez dłuższą chwilę, w trakcie której Annie niemal zdążyło pęknąć serce. Kiedy podniósł głowę, miał łzy w oczach.

Poruszona tymi łzami i jego bólem, którego była doskonale świadoma, podeszła do niego i ujęła go za rękę. - Czas leczy rany, Sam.

Skinął głową. Po chwili, nie mogąc opanować niespokojnego oddechu i poczucia całkowitej klęski, uwolnił rękę z jej dłoni, zebrał swoje książki i papiery i wyszedł z kuchni.

## Rozdział 13

Gdy Michael miał wrócić do domu, w powszechnym podnieceniu Teke przeżywała swoje wzloty i upadki. Wieczorem przed jego powrotem posprzątała wszystkie zakamarki domu, ugotowała ulubiony gulasz wołowy Michaela, przyrządziła jego ulubioną sałatkę owocową i upiekła jego ulubione ciasto wiśniowe. Kiedy tylko otwarto sklepy, wysłała Leigh i Janę - kategorycznie odmówiły pójścia tego dnia do szkoły - po świeże kwiaty, wielką wiązkę balonów oraz po wielki transparent WITAJ W DOMU, MICHAEL! który zawiesiły między kolumnami w drzwiach frontowych domu. Podczas gdy dziewczynki dekorowały girlandami cały parter, Teke wzięła prysznic i ubrała się. Założyła leginsy i najradośniejszą tunikę, jaką miała. Włosy związała paskiem z wplecionymi w nich świeżymi kwiatami. Wystarczył jej bardzo delikatny makijaż. Tego dnia po raz pierwszy od tygodni z jej twarzy biło życie, a twarz odzwierciedlała stan jej ducha. W ogólnym podnieceniu przygotowań do powrotu Michaela wydawało się, że obraz, jaką dziewczynki okazywały Teke na każdym kroku, poszła w niepamięć. Znow była ich matką, a Teke tylko tego chciała.

John koniecznie chciał przywieźć Michaela do domu samochodem, a z tego Teke również była zadowolona. Chciała, żeby Michael wiedział, że ojciec jest z nim związany bez względu na to, gdzie mieszka.

Zaplanowali, że John przyjedzie do ośrodka rehabilitacji o dziesiątej, zabierze Michaela i terapeutę, który miał codziennie przyjeżdżać do niego do domu, i na jedenastą przywiezie ich do Constance. Przez cały tydzień Teke przywoziła rzeczy Michaela do domu, tak że teraz Johnowi została do zabrania jedynie podręczna torba.

Leigh i Jana wyglądały przez okno już od wpół do jedenastej. Kiedy piętnaście minut później dołączyła do nich Teke, dziewczynki zaczęły się niecierpliwic.

- Tata musiał się spóźnić - powiedziała Leigh.

- Nie wasz tata - zażartowała Teke.

- Punktualność to zaleta - odezwała się Jana w jego obronie.

Leigh zaczęła sobie wyobrażać inne przeszkody. - Może się rozmyślili i nie wypisali go do domu.

Jana rzuciła jej gniewne spojrzenie. - Mówisz tak, jakby był w zakładzie dla obłąkanych. On nie jest ubezwłasnowolniony. Nie mają prawa tak sobie zmieniać zdania.

- Może się przewrócił - brnęła dalej Leigh - i coś mu się stało.

Teke zastanawiała się nad tym samym, ale zmusiła się do zachowania spokoju. - W takiej sytuacji zadzwoniliby do domu.

- Może nie być zadowolony z tego, że będzie spał na dole - ostrzegła Jana. - Wie o tym?

- Wie wszystko - powiedziała Teke. Tego była pewna. Omówiła dokładnie wszystko z Michaeliem, jego terapeutą i psychologiem w ośrodku. W takiej sytuacji, dowodziła sama sobie, jeśli mu się coś nie będzie podobało, równie dobrze będzie mógł winić za to terapeutę albo psychologa. Ją już winił za wystarczająco wiele rzeczy. - Wie, że w pokoju gościnnym będzie jego sypialnia, a w bawialni pokój ćwiczeń. Wie, że co rano będzie do niego przyjeżdżał terapeuta, a każdego popołudnia prywatny nauczyciel. Wie, że trzy razy w tygodniu będzie jeździł na basen.

- Kiedy będzie mógł wrócić do szkoły? - spytała Jana.

- Musi się na tyle dobrze nauczyć chodzić, żeby sobie poradzić na schodach. Myślę, że w marcu będzie już mógł wrócić do szkoły.

- A nie wcześniej?

Teke pomyślała, że wszystko jest względne - świadomość, że Michael opuści pięć miesięcy zajęć szkolnych była niczym w porównaniu z tym, że byłby sparaliżowany przez resztę życia, albo że mogłoby się stać coś jeszcze gorszego. Wtedy Leigh zapało dech.

- Już jest! - wrzasnęła i odskoczyła od okna, a ramię w ramię z nią do drzwi frontowych biegła Jana.

Teke potruchtała za nimi. Serce łomotało jej jak oszalałe. To była pełna napięcia chwila.

Jana i Leigh kręciły się przy Michaelu, dopóki nie stanął przy samochodzie wsparty na kulach. Wtedy nerwowo odsunęły się na bok, podczas gdy on chwiejnym krokiem ruszył naprzód. Przy nim z jednej strony szedł John, z drugiej terapeuta. Każdy krok Michaela okupiony był wielkim wysiłkiem - ustawienie kul, podźwignięcie się na nich i niepewne postawienie nóg na ziemi. Teke знаła ten wysiłek i ból. Codziennie była z nim, godzina po godzinie, gdy terapeuta uczył go chodzić, jednak dzisiaj dostrzegła coś, czego nie widziała nigdy przedtem. Twarz Michaela wyrażała determinację.

Teke czuła dumę. Czuła podniecenie i podenerwowanie. Czuła nadzieję i miłość i czuła trochę więcej niż cień smutku, że jej chłopczyk nie wbiega do domu tak jak niegdyś. Ale był już w domu. Za to była wdzięczna losowi i na samą myśl gardło jej się ścisnęło, a oczy zasły łzami. Uśmiechnęła się i jej uśmiech stawał się coraz szerszy, w miarę jak Michael się do niej zbliżał. Wargi jej drżały. Otarła łzy, które ukazały się w kąciakach oczu. Potem podniosła wzrok

i zobaczyła, że jej Michael uśmiecha się do niej od ucha do ucha, tak samo jak kiedyś. Przestała walczyć z napierającymi łzami. Śmiejąc się i płacząc mocno przytuliła swojego małego synka. - Jesteś cudowny, Michael - szepnęła i przez długą chwilę szczęścia i dumy była pogodzona ze światem. Jutro Michael może sobie przypomnieć, czego się dopuściła i znów może ją znienawidzić, ale dziś jej mały chłopczyk wrócił do domu.

\* \* \*

Smutek. Zazdrość. Ból. Annie wpatrywała się w te słowa, którymi zapisała niemal całą okładkę notesu. Kobieta musi mieć dużo siły, by zwalczyć w sobie któreś z tych uczuć. Annie nie była pewna, czy znajdzie w sobie tyle siły.

Mogła przytoczyć wszystkie możliwe powody, dla których Max powinien wybaczyć Samowi, dla których Michael - a nawet John - powinien wybaczyć Teke, kiedy jednak przychodziło do tego, że ona powinna wybaczyć Samowi, wszystko stawało się bardziej skomplikowane. Ból, który Sam jej sprawił, wrył się głęboko w jej świadomość. Nie potrafiła być obiektywna. Nie potrafiła wykrzesać z siebie dobrej woli. Targały nią sprzeczne uczucia, osłabiając jej zdecydowanie. Tak bardzo chciałyby wszystko rozetrzeć na proch, tak bardzo chciała, żeby to wszystko się nigdy nie zdarzyło. Chciała przywołać w pamięci obraz dawnego szczęścia i uśmiechnąć się, jednak uśmiech natychmiast zamierał, gdy nieproszone napływały obrazy Teke, Vicki Cornell i wielu bezimiennych klientek, które mogły wzbudzać w Samie pożądanie.

Z frustracją odrzucając pióro na biurko, zaczęła zbierać książki i myśli przed zajęciami. Idąc przez korytarz, a potem wchodząc po schodach na piętro, wybiegała myślami naprzód, do dyskusji, która ma się zaraz odbyć. Miała się ona koncentrować na funkcji przeciwieństw w utworach Jane Austin - w *Emmie*, gdzie Emma reprezentuje głos wyobraźni, zaś pani Knightley głos zdrowego rozsądku, oraz w *Dumie i uprzedzeniu*, gdzie Mary Bennet podchodzi do wszystkiego racjonalnie, a jej siostra Lidia - emocjonalnie.

Cóż za ironia, myślała Annie. Przeciwieństwa. I znów wahadło nastrojów zakołysało się, przywołując gorzkie myśli. Jakże zazdrościła Jane Austin. Oddałaby wszystko, żeby tylko móc zamienić wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy w fikcję literacką. Nie ma wątpliwości, że książkę o tym, co jej się przydarzyło, natychmiast podarłaby na strzępy i wrzuciła do kosza na śmieci.

Nagle jej krok stracił pewność. Przed sobą zobaczyła sylwetkę Jasona Fausta, który rozmawiał na korytarzu z innymi studentami. Poczucie winy pozostało, jednak musiała przyznać,

że za każdym razem, kiedy go widzi, czuje się coraz mniej niezręcznie. Jason zresztą ostatnio był jakiś wyciszony. Zastanawiała się, czy nic mu nie dolega.

Grupa studentów pozdrowiła ją i wszyscy zaczęli wchodzić do sali. - Jedno krótkie pytanie, Jason - Annie odciągnęła go na bok, kiedy studenci weszli już do środka. - Jakoś blado wyglądasz. Nic ci nie jest?

- Jest listopad - uśmiechnął się krzywo - i opalenizna mi zeszła.

- Mówię poważnie. Dobrze się czujesz?

- Jestem chory z miłości.

Nie zarumieniła się. - Nieprawda. Nie jestem w twoim typie i sam dobrze o tym wiesz. Na pewno nie jesteś chory?

- Na pewno - powiedział, ale wyglądał na zakłopotanego. - Moglibyśmy porozmawiać po zajęciach?

Annie miała całą listę rzeczy do zrobienia po zajęciach, ale czuła się w obowiązku poświęcić trochę czasu Jasonowi. Po tym, co się stało, czuła się za niego odpowiedzialna. - Jasne. Nie jadłam jeszcze lunchu. Moglibyśmy porozmawiać w stołówce.

Skinął potakująco głową i otworzył przed nią drzwi. Kiedy siadał na swoim miejscu w ostatnim rzędzie, wydał jej się nieco roztargniony.

Po zajęciach kilku studentów podeszło do niej z pytaniami. Odpowiedziała na nie, po czym ruszyła w kierunku Jasona. Razem przeszli przez zatłoczony korytarz i weszli do wydzielonej stołówki. Wkrótce usiedli przy stoliku - Annie z sałatką i herbatą, Jason ze szklanką mleka. - Miło tutaj - mruknął, rozglądając się dookoła.

- Nigdy tu jeszcze nie byłeś?

- Byłem, ale ciągle mi się tu podoba.

- Na coś czekasz? - Zaczęła jeść sałatkę.

- To jest jedna ze spraw, o których chciałem z tobą porozmawiać. Martwię się o przyszły rok. Naprawdę chciałbym dostać etat nauczyciela. Potrzebne mi są pieniądze.

Szybko ogarnął ją sceptycyzm. - Sądziłam, że pieniądze nie są dla ciebie problemem.

- Nigdy przedtem nie były. - Obracał szklankę z mlekiem w dłoniach. - Mój tata właśnie ogłosił bankructwo.

- Och!

- Tak. I nie tylko chodzi o to, że interesy źle szły i trzeba się było uciec do bankructwa, żeby się opędzić od wierzycieli. W tym wszystkim jest jeszcze poważny problem natury praw-

nej. Mój ojciec został oskarżony o oszustwa podatkowe w handlu nieruchomościami. To zupełnie tak, jakby nam się ziemia osunęła pod nogami.

Oszołomiona, zaczęła: - Myślałam...

- Myślałaś, że mamy mnóstwo szmalu? - Uśmiechnął się krzywo. - Większość ludzi tak myśli. To taki nasz image. Tyle że tego bogactwa nie ma. Może i było kilka pokoleń wstecz, ale się rozplynęło. Mój ojciec jeszcze miał na starcie jakąś resztę rodzinnego majątku i pomnożył to w okresie boomu na rynku nieruchomości, ale potem boom się skończył, a ojciec postępował nierozważnie. Więc teraz wszystko jest albo zamrożone przez rządową agencję podatkową, albo idzie na opłaty dla prawnika.

Annie mogła sobie wyobrazić, jakim to było koszmarem. - Przykro mi, Jason. To musi być trudne dla całej waszej rodziny. Od jak dawna o tym wiesz?

- Dopiero od kilku tygodni. Przez jakiś czas ojciec nadrabiał miną.

- Strasznie mi przykro.

- Nie bardziej niż mnie - powiedział Jason z krzywym uśmiechem. - A pomijając smutek, przeszedłem na własne utrzymanie. Ojciec powiedział, że nie będzie na mnie już łożył. Będzie mi dawał małą pensję, ale muszę zacząć pracować, żeby zarobić resztę.

- Z chesnym na pewno nie będzie problemu - zapewniła go Annie. - Jako asystent mógłbyś nawet uzyskać zwolnienie z opłaty albo dostaniesz na to stypendium.

- To nie wystarczy. Naprawdę chciałbym dostać etat nauczyciela. Jakie mam szanse?

Chciała, żeby to mogło być bardziej optymistyczne.

- Takie same jak wtedy, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Gdybyś obronił pracę do czerwca, mógłbyś to osiągnąć. Honnemann będzie szukał kogoś, kto ma magisterium.

- Myślisz, że mógłbym to zrobić?

- Skończyć studia przed czerwcem? Pewnie, jeśli będziesz chciał.

Chrząknął i wypił duży haust mleka. Odstawiając szklanekę na blat, spytał: - Myślisz, że umiem uczyć?

- Jesteś moim najlepszym asystentem.

Jego spojrzenie powędrowało do jej oczu, głos stał się przyciszony. - To jest jakieś pocieszenie.

- Jason... - westchnęła.

- Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać. To było naprawdę dowartościowanie dla mojego ego.



Teraz ona ściszyła głos. - Jeśli mam być szczerą, to dla mnie też to było dowartościowanie.

- Dlaczego dla ciebie? Przecież jesteś atrakcyjna.

- Nie jestem atrakcyjna. Mam czterdzieści lat i jestem mężatką. Myślałam, że już jestem ponad takie rzeczy.

- Przecież niczego nie zrobiłaś.

- Nieważne. Ja to traktuję jako błąd.

- Byłaś nieszczęśliwa. Czy teraz w domu wszystko się poprawiło?

Jako że nie miała ochoty na omawianie swoich problemów małżeńskich z Jasonem, powiedziała łagodnie:

- Jest lepiej niż u ciebie w domu. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Nic dziwnego, że tak blado wyglądasz.

Odchrząknął. - I to jest właśnie druga sprawa, o której chciałem z tobą porozmawiać. Miałaś rację. Nie czuję się najlepiej. Zastanawiałem się, czy może znasz jakiegoś dobrego lekarza w Bostonie.

- Co ci dokucza? - spytała, nagle czując się przy nim jak matka, a tę rolę przedkładała nad bycie kochanką Jasona.

- Jestem zmęczony, słaby. Tego typu dolegliwości.

- Może jesteś po prostu przemęczony?

- Nie sędzę.

- Byłeś w studenckiej przychodni?

- O nie, serdecznie dziękuję.

Mogłaby się roześmiać, słysząc o takich objawach choroby, jednak przejęła się sytuacją Jasona. Czy to był instynkt macierzyński, czy poczucie winy z powodu minionych grzechów, czy zmartwienie o los błyskotliwego młodego człowieka, w każdym razie chciała mu pomóc. - Mam internistę w Bostonie. Oboje z mężem jesteśmy jego pacjentami. Na pewno cię przyjmie.

- Wyjęła z torebki pióro i kartkę papieru. - Powołaj się na mnie. Jeśli będziesz miał jakieś kłopoty z umówieniem się na wizytę, powiedz, że jesteś moim kuzynem. - Wręczyła mu kartkę z wyraźnie wypisanym nazwiskiem lekarza i numerem telefonu. - A jeśli chodzi o tę drugą sprawę, o etat. Pomyśl, czy jesteś w stanie zakończyć studia wiosną.

- Czy będziesz opiekunem mojej pracy magisterskiej?

- Dobrze wiesz, że tak.

- Nie byłem pewien po naszych kontaktach.

Znów oblała się rumieńcem.

- Nasze kontakty są czysto zawodowe.

- Racja.

- To wszystko, co kiedykolwiek może między nami być - dodała ciszej.

- Jasne - powiedział i jednym haustem wypił mleko ze swojej szklanki.

\* \* \*

Być profesjonalistą w każdym calu, mówił sobie Sam w duchu, ale łatwiej to było powiedzieć niż zrobić. Od kiedy Sam podpadł Johnowi Stewartowi, cotygodniowe spotkania zarządu w każdej chwili groziły wybuchem. Wrogość czaiła się na każdym kroku. Raz była jawna, innym razem bardziej subtelna, jednak czuło się, że coś wisi w powietrzu, coś jest na ostrzu noża, bez względu na to, co było na porządku dziennym.

A dzisiaj na porządku dziennym, na wniosek Sama, było przydzielanie wspólnikom współpracowników. Cierpliwie wysłuchując wszystkich standardowych analiz nowych klientów, nowych umów i ostatnich płatności, nie mógł się doczekać, kiedy przyjdzie jego kolej. Siedząc oparty na krześle, przenosił wzrok kolejno na każdego z czterech mężczyzn rozproszonych przy długim stole konferencyjnym.

- Ostatnio przydarza mi się wiele problemów - zaczął. - Moi współpracownicy zostali przydzieleni do pomocy innym wspólnikom, chociaż byli w samym środku pracy, którą ja im zleciłem. Książki, które są mi potrzebne, w tajemniczy sposób znikają z biblioteki. Gońcy z opóźnieniem dostarczają dokumenty moim klientom. Moja sekretarka została „wypożyczona” i zawsze jest zajęta, kiedy ja jej potrzebuję. Myślę, że powinniśmy się zastanowić nad sposobem kierowania firmą.

- John Stewart jest prezesem zarządu - odezwał się nie proszony Martin Cox. - Kieruje firmą od ponad dwudziestu lat, a w tym czasie ja nigdy nie miałem żadnych problemów.

- Ty nie będziesz miał problemów - rzucił Sam. John Stewart i Martin byli kumplami. - Ale jeśli coś było w pewien sposób robione przez dwadzieścia lat, to nie znaczy, że tylko z tego powodu ma być dalej robione w ten sam sposób. Obecne kierownictwo firmy nie pracuje dla mnie. Może powinniśmy pomyśleć o rotacji na stanowisku prezesa, może powinniśmy wynająć menedżera z zewnątrz albo zatrudnić więcej sekretarek, a może bibliotekarza.

Martin zmarszczył brwi. - Zatrudnianie dodatkowego personelu pociąga za sobą koszty. Nie jest nam potrzebne zwiększanie kosztów.

- Coś jednak jest nam potrzebne - upierał się Sam. - Nie otrzymuję od firmy takiego wsparcia, jakiego potrzebuję, a to nie robi najlepszego wrażenia na klientach. Gdybym był typem paranoika - patrzył Johnowi Stewartowi prosto w oczy - powiedziałbym, że ktoś próbuje podkopać moją praktykę adwokacką.

- Czy to jest oskarżenie? - zapytał John Stewart z pewną dozą humoru.

Bądź profesjonalistą w każdym calu, powtarzał sobie w duchu Sam, ale aż się w nim gotowało. - To jest oskarżenie nie tylko dlatego, że usłyszałem groźbę. - Nie chciał z siebie wszystkiego wyrzucać, jednak krzywy uśmiezek na twarzy Johna Stewarta go sprowokował. Zwracając się do pozostałych, powiedział: - John Stewart jasno postawił sprawę, że tego rodzaju rzeczy będą mi się przydarzać, dopóki nie zrezygnuję ze swojego stanowiska w firmie.

John spojrzał ostro na swojego ojca, ale to Will Henry zadał pytanie: - Czy to prawda, Johnie Stewarcie?

John Stewart prychnął. - W świetle ostatnich wydarzeń nie sądzę, żeby Sam miał moralne prawo prowadzić dalszą działalność w ramach naszej firmy.

- Moralne prawo? - upewnił się Sam tonem, który dawał do zrozumienia, że wie sporo o Mary McGonigle.

- Moralne prawo - powtórzył John Stewart, ale jego ironiczny uśmiezek stał się nieco kwaśny.

- To jest tylko osobista opinia - wtrącił łagodzącym tonem John David.

- To coś więcej niż osobista opinia. To jest opinia połowy środowiska prawniczego w Bostonie. Wiadomości przechodzą od ludzi do ludzi.

Sam nachylił się do przodu. - Gówno prawda! W środowisku prawniczym Bostonu mam opinię doskonałego adwokata. A jeśli wiadomości o moim życiu prywatnym przechodzą od ludzi do ludzi, to tylko z twoich ust do uszu paru durniów, którzy wchodzą ci do tyłka, bo dali się nabrać na ten twój władczy ton.

- Ach - odezwał się John Stewart - więc rękawiczki zostały zdjęte. Zastanawiałem się, kiedy do tego dojdzie. Szumowiny zawsze wypływają na wierzch.

- Masz cholerną rację, że rękawiczki zostały zdjęte! - odparował Sam podnosząc się z miejsca. Chciał dokończyć tę grę. - Chcesz głosowania? Proszę bardzo, głosujmy! Zobaczmy, czy uda ci się uzyskać większość, żeby mnie stąd wykopać.

Zanim John Stewart mógł coś odpowiedzieć, John David zerwał się na nogi. - Przepraszam - powiedział, spoglądając na zegarek - ale nie będzie dzisiaj żadnego głosowania. Już jestem spóźniony na spotkanie.

- Siadaj, John - powstrzymywał go ojciec, lecz John David był już za drzwiami i nawet się nie obejrzał.

- Tu masz odpowiedź - powiedział Sam Johnowi Stewartowi. - On nie chce głosować przeciw tobie ani przeciw mnie.

- Och, zagłosuje - rzekł John Stewart. - Obiecuję ci, że zagłosuje.

- Wspaniale - powiedział Sam. Podszedł do drzwi i się odwrócił. - Ale dopóki to się nie stanie, zejdź ze mnie. Jeśli nadal będziesz mi utrudniał pracę, pozwę cię do sądu. Ciekawe, jak to wpłynie na wizerunek twojej firmy?

Wymaszerował z sali konferencyjnej, przeszedł przez korytarz do swojego gabinetu, a tam opadł na krzesło i zamyślił się. Pewną pociechą była świadomość, że John nie oddał głosu przeciw niemu, ale słaba to była pociecha. Jakaś część duszy chciał już mieć to głosowanie za sobą. Czuł się jak w otchłani. Chciał wiedzieć, na czym stoi. Wyglądało na to, że ostatnio w wielu sprawach chciał wiedzieć, na czym stoi.

Jego wzrok padł na gazetę, która leżała złożona w rogu biurka. Podniósł ją i po raz drugi tego dnia spojrzął na nekrologi. Wśród nich rzucał się w oczy duży nekrolog dobrze znanego i powszechnie szanowanego prawnika, piastującego stanowisko sędziego Sądu Najwyższego. Jego śmierć zwalniała miejsce sędziowskie w Sądzie Najwyższym, o które z pewnością będzie się ubiegać cały tłum kandydatów. Sam przypuszczał, że nawet w tej chwili urywają się telefony od prawników obojga płci, którzy usiłują rozpoznać swoje szanse w walce o tę lukratywną posadę.

Gdyby Sam był dziesięć lat starszy, pewnie też by się ubiegał o to stanowisko. Często mówili z Annie, że byłby z niego idealny sędzia, kiedy będzie już po pięćdziesiątce i będzie się rozglądał za jakąś możliwością ucieczki od nieustannego zgiełku praktyki adwokackiej. Nie żeby gubernator miał coś przeciwko młodemu wiekowi. Gubernatorzy lubią wywierać na sędziach swoje piętno, a im dłużej zaaprobowany przez nich człowiek trwa na stanowisku, tym lepiej. Ale Sam dopiero skończył czterdzieści jeden lat. Jego kariera właśnie weszła w pełny rozkwit. Jeszcze nie tęsknił za spokojem tak bardzo, by chcieć zostać sędzią.

Szkoda. To mogłoby być doskonałe. Może innym razem. Gdyby był dziesięć lat starszy, ubiegałby się o to stanowisko. I osiągnąłby je. I powiedziałby Johnowi Stewartowi nie owijając w bawełnę, żeby się od niego odpierdolił.

\* \* \*

Grady kłął w żywy kamień grubą warstwę zbitego śniegu pokrywającą chodnik. Poprzedniej nocy na Constance niespodziewanie spadło prawie dziesięć centymetrów śniegu. Pługi śnieżne przejechały przez ulicę, ale nie na wiele się to zdało. Jazda po takim podłożu była ciężka.

Ostatnim razem, kiedy jechał ulicą, przy której mieszkała Teke, potrącił Michaela. Tym razem praktycznie włókł się w ślimaczym tempie. Śnieg skrzypiał pod kołami, kiedy skręcał na podjazd. Wysiadł z samochodu i na chwilę przystanął, rozkoszując się pięknym widokiem ośnieżonego domu.

Gullen też było piękne, kiedy padał śnieg, co się tam zdarzało bardzo rzadko. Jednak to było zupełnie inne piękno, bardziej chropawe. Tutaj wszystko było kulturalne, bogate i uprzywilejowane jak mieszkańcy Constance. Śnieg otulał nagie gałęzie drzew niczym futro z białych norek. Przynajmniej tak to widział Grady, który czuł się tutaj człowiekiem z zewnątrz, człowiekiem nie z tej sfery. To był dom Teke. To był dom, w którym wieszała swoje ubranie, wychowywała dzieci, chodziła do łóżka z mężem. W porządku, mąż od niej odszedł, ale to ciągle był jej mąż. Nawet z zewnątrz Grady widział, że ten dom jest znacznie piękniejszy od wszystkiego, co on sam mógłby jej kiedykolwiek kupić. Wszystko wskazywało na to, jak olbrzymie dzielą ich różnice.

Ale on chciał odwiedzić Michaela. I, pal diabli różnice, chciał również odwiedzić Teke.

Dźwięk odgarniania śniegu poprowadził go na tył domu. Z mozołem przedzierał się przez śnieg wokół garażu, idąc tam, skąd dochodził odgłos rytmicznego skrobania.

\* \* \*

Teke stała na pierwszym odśnieżonym stopniu tylnych schodów. Wdychała rześkie powietrze. Wysiłek fizyczny dobrze jej zrobił. Ostatnio niemal całe dnie spędzała w zamkniętych pomieszczeniach. Była wdzięczna Matce Naturze, że wygoniła ją na dwór.

Pojawienie się Grady'ego nie zdziwiło jej. Minęło już pięć dni, od kiedy go ostatnio widziała w ośrodku rehabilitacji i choć nic nie obiecywał, wiedziała, że przyjdzie. Wydawało się, że miał zamiar kręcić się koło niej, a ona przecież nie mogła mu kazać się wynieść.

Wyglądał wspaniale w swoim roboczym szorstkim swetrze z owczej wełny, w jasnej flanelowej kurtce i kaloszach. Serce w niej zamarło, gdy wyjmował jej z rąk łopatę. - Ten śnieg jest ciężki jak diabli.

- Mnie to nie przeszkadza. - Rozprostowała plecy, patrząc gdzieś w przestrzeń, a jednak na niego. - Wspaniały dzisiaj dzień: błękitne niebo, biały śnieg, słońce grzeje. - Jej oddech tworzył wijącą się wstążkę pary. - Brakowało mi świeżego powietrza.

- Dobrze wyglądasz, Teke. - Ubrana była w jaskraworóżową krótką kurtkę z kapturem. Do tego miała różową wełnianą czapkę i mitenki oraz cytrynowożółte legginsy, które kryły się w sięgających kolan futrzanych kozaczkach. - A jak tam twój chłopiec?

Wyciągnęła przed siebie głowę, podbródkiem wskazując na pokój, gdzie Michael ćwiczył z terapeutą. Grady pomachał do niego i gestem zasygnalizował, że Michael zamiast leniuchować powinien przyjść tu i złapać się za łopatę, na co chłopiec odpowiedział energicznym skinieniem głowy. Terapeuta coś do niego powiedział, zaś Michael w odpowiedzi komicznie wykrzywił twarz.

- Miły smyk - pokręcił głową Grady i zabrał się za odrzucanie śniegu.

- Być w domu to ciągle dla niego nowość - odezwała się Teke. - Codziennie po lekcjach odwiedzają go koledzy. Lubi to, dopóki rozmowa nie zejdzie na koszykówkę.

- A jak się posuwa terapia?

- Raz lepiej, raz gorzej. Robi dwa kroki naprzód, a potem jeden do tyłu, ale postęp widać.

- Ściągnęła mitenkę, odgarnęła nią śnieg z ławki i usiadła, wystawiając twarz do słońca. Jego promienie świeciły czystym blaskiem. Łowiła je chciwie, jakby chciała zmyć z siebie brud, który tak nękał jej duszę.

Odgłos odrzucania śniegu umilkł, w zamian doszedł stamtąd tęskny głos Grady'ego. - Wyglądasz tak ładnie. Mogłabyś mieć teraz osiemnaście lat i siedzieć tutaj z zaróżowionymi policzkami i koniuszkiem nosa. Słowo daję, Teke, jesteś taka piękna, jaką cię pamiętałem przez te wszystkie lata.

Nadal wystawiała twarz ku słońcu. - Nie mów takich rzeczy.

- To jest prawda.

Ale kiedy to słyszę, czuję taki przejmujący ból, że to wszystko straciliśmy, pomyślała. Po chwili odezwała się jakby od niechcienia:

- Często o mnie myślałeś?

- Cały czas.

- Myślałeś kiedyś, żeby do mnie napisać?

- Pisałem do ciebie, ale nie byłem w stanie wysłać listów. To nie byłoby w porządku.

Opuściła wzrok i zmierzyła go spojrzeniem. - To teraz nie jest w porządku. - Kiedy zniecierpliwiony uciekł spojrzeniem, powiedziała: - Twoje wizyty sprawiają przyjemność i Michaelowi, i mnie. To nie jest w porządku. Ze mną już raz miałeś szansę i ją odrzuciłeś. Teraz to nie może do niczego doprowadzić.

- Nikt nie powiedział, że ma do czegoś doprowadzić.

- Zawsze do tego dochodziło, zawsze, kiedy się tylko znaleźliśmy sami. Od początku. To między nami było bardzo silne.

- Czy to źle?

- Teraz tak. Teraz przez to śni mi się wszystko, co mogliśmy kiedyś mieć, ale co okazało się niemożliwe. I to jest nie w porządku. Mam trójkę dzieci i rozpadające się małżeństwo. Dlatego muszę się jakoś wziąć w garść, a przecież to dopiero początek. Muszę jakoś doprowadzić do tego, żeby Michael wrócił do zdrowia i pozbył się psychicznie. Muszę odzyskać zaufanie dziewczynek. I muszę jakoś się dogadać z Johnem. Muszę osiągnąć jakieś porozumienie z Annie i Samem, co będzie dalej z naszymi rodzinami. Tak wiele się zmieniło w tak krótkim czasie. Takie to wszystko niepewne. Teraz po prostu nie zniosę czegoś tak intensywnego, jak to, co kiedyś do siebie czuliśmy.

Wpatrywał się w nią jeszcze chwilę, po czym odgarnął resztki śniegu ze ścieżki.

Jednak Teke nie mogła dopuścić do tego, żeby Grady nie zrozumiał, o czym ona mówi. - Ciągle wracam myślami do tego, co zrobiliśmy z Samem, i nie przestaję sobie zadawać pytania, jak mogło do tego dojść, jak mogłam być do tego stopnia wytrącona z równowagi tym listem, który od ciebie dostałam. Nie widzieliśmy się przez dwadzieścia dwa lata, a w tym czasie ja byłam zadowolona z życia, które sobie ułożyłam. Więc dlaczego ten list tak mnie przeraził?

Grady wbił łopatę w śnieg, podniósł, odrzucił, wbił łopatę, podniósł, odrzucił, wbił łopatę...

- Przeraził mnie - mówiła Teke dalej - ponieważ w głębi duszy wiedziałam, że moje małżeństwo nie było wspiane. Nie przyznawałam tego sama przed sobą, nie mogłabym. Ale nie

było wspaniałe. John jest miły, przystojny i odnosi sukcesy zawodowe, dał mi też troje najwspanialszych dzieci, jakich tylko kobieta może pragnąć, ale byłam dla niego bardziej matką niż kochanką. Zaspokajałam jego potrzeby, tak jak zaspokajałam potrzeby dzieci - pilnowałam, żeby miał czyste koszule i gorące posiłki, ścieliłam mu łóżko rano i wieczorem, układałam skarpetki według kolorów, tak jak lubił. - I to wszystko było wspaniałe, a potem przyszła ta upokarzająca prawda. Zmusiła się, by ją wypowiedzieć: - Ale czy byłam obiektem jego namiętności? Nie, nigdy.

Grady wbijał łopatę, podnosił i odrzucał śnieg. Jego rytmiczne ruchy działały na nią uspokajająco, tak że była zdolna mówić dalej.

- Wiedziałam to od samego początku. Może on też to wiedział. Może po prostu to nie było najważniejsze w naszym związku ani dla mnie, ani dla niego. Może na tyle cenił to wszystko, co miałam mu do zaoferowania, że nie potrzebował żaru namiętności. Przynajmniej ja tak traktowałam ten związek. Dopiero pod koniec zaczęłam za tym tęsknić. Tęskniłam za tobą. Twój list mnie przeraził, bo ty miałeś mi do zaoferowania dokładnie to, czego brakowało mojemu małżeństwu. - Zamilkła, ale tylko na minutę. - Słyszysz, Grady? Słyszałeś, co powiedziałam?

Po raz ostatni wbił łopatę w śnieg, podniósł i odrzucił. Potem odchylił głowę w tył, nabrał powietrza w płuca i odpowiedział spojrzeniem na jej wzrok.

- Mówię ci to wszystko - powiedziała nieco piskliwym głosem, tak jakby opuszczało ją opanowanie - bo nie wiem, co mam robić. - Obciążniętymi mitenkami dłońmi mocno ścisnęła krawędź ławki. Była rozdarta sprzecznymi pragnieniami: by pozostał i by odszedł.

- Kiedy się dowiedziałam, że Michael wraca do domu, uświadomiłam sobie, że nie będę cię już tak często widywać, i odczułam ulgę, bo o wiele za bardzo lubiłam się z tobą spotykać. Ale wystarczyło pięć dni - teraz odkrywała przed nim swoją duszę i nic nie mogła na to poradzić - a umieram z tęsknoty za tobą. Spotkanie z tobą to najważniejsze przeżycie każdego dnia. I to doprowadza mnie do szału. Jakoś urządziłam sobie życie, kiedy odesłałeś mnie do diabła. Nauczyłam się myśleć o tobie jak o przeszłości. A teraz wróciłeś i spać przez ciebie nie mogę po nocach. - Poruszona swą spowiedzią, z trudem łapała oddech, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Jednak szkoda już się stała, i to zezłościło ją jeszcze bardziej. - Do jasnej cholery! Nie masz prawa zachowywać się tak, żebyś cię znowu pragnęła!

Grady chrząknął. Wbił łopatę w twarde śnieg, a sam ruszył odśnieżoną ścieżką w głąb zaśnieżonego podwórka.



- Grady! - krzyknęła. Nie odejdzie od niej. Nie odejdzie po raz drugi. Nie teraz, kiedy sam do niej wrócił. Pobieгла przez śnieg po świeżych śladach jego butów prowadzących przez całe podwórko aż do lasu dzielącego dom Maxwellów od domu Pope'ów. Znalazła go tu, odwróconego twarzą do potężnej sosny, z dłońmi płasko opartymi o pień i zwieszoną głową.

Stała tuż za jego plecami. - To nie w porządku, Grady.

Odwrócił się, przyciągnął ją ku sobie i gwałtownie nakrył jej usta swoimi, nim zdążyła wypowiedzieć choćby jedno słowo. Nie, żeby miała coś mówić. Wystarczyło, że ją dotknął, a cała złość prysła jak bańka mydlana. Odezwała się za to ta wygłodniała część duszy, która ją budziła po nocach spragnioną jego dotyku, trawioną żądzą.

Ssał jej rozchylone wargi, po czym wtargnął w głąb, a Teke po raz pierwszy od dwudziestu dwóch lat poczuła smak, za którym tak tęskniła. Było to doświadczenie zapierające dech w piersiach, przyprawiające o zawrót głowy i ścinające z nóg. Na ogół smak najwspanialszy jest w pierwszej chwili, przy pierwszym łyku świeżo zaparzonej wczesnym rankiem herbaty czy pierwszym kęsie posmarowanej lekko masłem delikatnej grzanki albo gdy lody waniliowe zaczynają rozplýwać się w ustach, jednak smak pocałunków Grady'ego nie dość, że był wspaniały w pierwszej chwili, to z każdą następną stawał się coraz wspanialszy, w miarę jak pocałunki stawały się głębsze, bardziej wilgotne i coraz gorętsze, aż Teke umierała z pragnienia, by zaznać czegoś więcej.

Wydawało się, że na Grady'ego podziałało to tak samo silnie. Jego ciało drżało w tłumionym pożądaniu. Odrywając wargi od jej ust, miażdżył ją w coraz silniejszym uścisku.

Schowała twarz w kożuszkę kołnierza jego kurtki, upajając się jego zapachem tak, jak przed chwilą rozkoszowała się jego smakiem. Kiedy rozsunął zamek kurtki, przycisnęła twarz do jego szyi. Aż drgnęła, tak znajome było to przeżycie, ale i takie nowe i pełne rozkoszy. Nie przyszło jej nawet na myśl protestować, gdy zdjął jej z głowy czapkę i zanurzył twarz w jej włosach. Kiedyś robił to tak często, kiedy leżeli obok siebie objęci, a teraz jego gest napęłnił ją takim samym zadowoleniem jak kiedyś.

- Gęste i miękkie jak poduszka - odezwał się ochryplym głosem. - Uwielbiałem na nich zasypiać. - Trzymając jej twarz w dłoniach, ucałował jej oczy i koniuszek nosa. Przebiegł ustami przez policzki, schwycił dolną wargę, potem górną, potem obie, jakby ciągle nie było mu dość.

Teke też ciągle nie było dość. Kiedy wreszcie znów przytulił jej twarz do swojej szyi, dyszała niespokojnie, i tylko w jakiejś części winna temu była namiętność. Nagle poczuła lęk. Jej wewnętrzna wojna rozgorzała na nowo. - Nie chciałam tego, Grady. Och, Grady...

- Pamiętasz, jak się pierwszy raz całowaliśmy? - spytał.

Jakże by mogła nie pamiętać? To był punkt zwrotny w jej życiu, doświadczenie, które miało nieść ze sobą daleko idące konsekwencje.

- Byliśmy na łodzi Hillera Malloya. Pomagałam ci ją reperować.

- Nie chciałem cię wtedy pocałować.

- Ciągle to na mnie patrzyłeś, to odwracałeś wzrok.

- Chyba przez lata tak robiłem, wpatrywałem się w ciebie, aż musiałem odwracać wzrok.

A ty rosłaś i nabierałaś kobiecych kształtów, aż miałaś czternaście lat i myślałem, że umrę, jeżeli cię nie pocałuję. Wiedziałem, że jeszcze z nikim się nie całowałaś, że ja mam być pierwszy i że mój pocałunek odcisnie się na tobie jak piętno, żeby już nigdy nikt nie mógł cię dotknąć. Ale byłem śmiertelnie przerażony, bo sądziłem, że kiedy cię zacznę całować, nie będę mógł przestać. - Ujął kosmyk jej włosów i przesunął sobie po twarzy, po czym nabrał powietrza w płuca. - Wszystko w tobie było takie czyste, byłaś taka naturalna. Pozwoliłaś, żebym ci pokazał wszystko, co lubię. Dawałaś się prowadzić i byłaś taka silna.

Tak dalece dała się ponieść jego słowom, że myślenie przychodziło jej z trudem. - Czy to aby nie są sprzeczne pojęcia?

- Nie. Właśnie tak się zachowuje cedrowe drewno, kiedy się z niego buduje łódź. Mogę mu nadać taki kształt, jaki chcę, ale jestem pewien, że wytrzyma najsilniejszy sztorm. - Mówiąc to, przesunął dłońmi po jej plecach, jakby chciał ją przycisnąć jeszcze bliżej siebie. - Nie byłbym w stanie zbudować łodzi, gdybym o tym nie myślał.

Jeszcze głębiej wtuliła twarz w kołnierzyk jego koszuli, jakby uciekając przed nim, w nim samym szukała schronienia. W tym była sprzeczność, ale miała to w nosie. Myśli tłukły jej się po głowie jak oszalałe. - Między nami wszystko skończone - mówiła. - W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca. To szaleństwo, co my tutaj robimy.

- Ale jakoś stąd nie odchodzisz.

I to był właśnie jej dylemat. - Nie umiem - wyszeptała w jego pierś na poziomie drugiego guzika koszuli, teraz rozpiętego. Włosy na jego piersi lekko drżały na chłodzie, jednak pod nimi bił żar jego ciała. Po tym rozpalonym cieple, silnym męskim zapachu i drzeniu jego bioder

domyśliła się, że jest tak samo podniecony jak ona. - Odepchnij mnie, Grady - błagała. - Ktoś nas może zobaczyć.

- Rozglądam się wokół. Nikogo tu nie ma.

- Nie powinniśmy tego robić. Przez to może się stać coś złego. Wiem, że się stanie coś złego, ale nie mogę nad tym zapanować. Proszę, pomóż mi. - Oplotła go ramionami, choć mówiła coś zupełnie przeciwnego. - Odepchnij mnie, Grady.

Uśmiechnął się w jej włosy. - Nie odepchnę cię. Nie po tym, kiedy tak długo czekałem na to, żeby cię trzymać w ramionach.

Uniosła twarz myśląc, że to czekanie było całą wiecznością. Przesuwała po nim wzrokiem, po czym ściągnęła mitenki i to samo robiła dłońmi. - To tylko skomplikuje nam życie. Nie pozwalaj mi tego robić - błagała, ciągle szeptem, muskając wargami jego usta. - Proszę cię, Grady. Ty masz tyle siły. Jeśli mnie nie odepchniesz, zaraz będę się z tobą kochała, ale to będzie złe. Moje życie już i tak jest powywracane do góry nogami. I bez tego wszystko jest już wystarczająco skomplikowane. Nie zniósę już następnych kłopotów.

- Chcę ci tylko pomóc.

- Chcesz się ze mną kochać. - Co do tego nie mogła się mylić, czując jego erekcję, czując jego dłonie to obejmujące jej pośladki, to wślizgujące się pod kurtkę, gładzące ją bez przerwy, aż jej biodra szczelnie przylegały do jego bioder. Napierał na nią niewiarygodnie twardy,

- No tak, chcę się z tobą kochać - przyznał i schwycił ustami jej wargi w pocałunku, który tak wiele jej powiedział. Był przeszywający, głęboki i w równym stopniu sycił, co rozpałał jej żar. Usta miała otwarte, a jej język tak samo aktywnie uczestniczył w tych miłosnych harcach, co język, wargi i oddech Grady'ego.

Wreszcie to on oderwał się od niej. - W porządku - wydyszał ciężko. - W porządku, przestanę. Czekałem tak długo, że mogę jeszcze trochę poczekać.

- Nie czekaj! Właśnie o tym mówiłam! Nic z tego nie wyjdzie! Nie chcę, żeby coś z tego wyszło!

- Będę czekał.

- Nie czekaj, Grady.

Uciszył ją ostatnim pocałunkiem, już nie tak zaborczym, ale jeszcze słodszy. Próbowała właśnie dojść do siebie po tym, jak jego język przesunawszy się wzdłuż całej długości jej języka znalazł się poza jej ustami, gdy cmoknął ją na pożegnanie w policzek i lekko odepchnął od siebie.

Poszła szybko przez lasek ku domowi, bardziej zakłopotana niż kiedykolwiek w życiu.

## Rozdział 14

Śnieg stopniał jeszcze przed Świętem Dziękczynienia, pozostawiając po sobie kałuże, mokre, lodowate powietrze i nadzieję na świąteczny nastrój, który zwykle niosło ze sobą to święto. Annie chciała, by i w tym roku zapanował świąteczny nastrój, który stanowiłby przyjemny kontrast dla niepewności w życiu jej rodziny. A niepewność wkroczyła w życie jej rodziny tym większa, że w okresie przedświątecznym silniej dawała się odczuć separacja od rodziny Maxwellów, a do tego dochodziła niepewna sytuacja Sama w pracy i niepewność samej Annie co do jej związku z Samem. Chciała więc, by szczególnie teraz święta były tak radosne, jak tylko mogły być.

Sam był prawdziwym skarbem. W środę wieczorem wrócił do domu z ogromnym bukietem jaskrawożółtych róż dla niej, z całym naręczem filmów z wypożyczalni kaset oraz ze świeżymi, właśnie ugotowanymi homarami na kolację. Nic, tylko jeść. Zoe i Max uwielbiali homary. Annie uwielbiała róże. Kasety z filmami okazały się dobrym pomysłem, jednak nie zostały wykorzystane tak, jak to sobie Sam zaplanował. Zoe i Max woleli je zabrać do Maxwellów niż oglądać z rodzicami w salonie. Z jednej strony było jej bardzo przykro ze względu na Sama, który rozpaczliwie pragnął uzyskać przebaczenie dzieci. Z drugiej strony wspólne oglądanie filmów dla niej nie wchodziło w rachubę. Miała przed sobą przygotowania do obiadu w Święto Dziękczynienia. Kiedy jednak to obwieściła, Sam zapomniał o swoich rozczarowaniach i chodził za nią jak cień. Obiecał, że jej będzie pomagał, i rzeczywiście pomagał.

Nie ustawał w pomocy aż do poranka w Święto Dziękczynienia, kiedy to zerwał się z łóżka razem z nią, choć dobrze wiedziała, że chętnie by sobie jeszcze poleniuchował w pościeli. Dobrze też wiedziała, że najchętniej by się z nią kochał, jednak Annie nie była do tego jeszcze gotowa. Nic nie była w stanie poradzić na to, że w nocy przytulała się do niego przez sen, ale w świetle dziennym jej wątpliwości nie zamierzały zniknąć.

Jednak dobrze jej się z Samem pracowało. Przeniósł blisko ośmiokilogramowego indyka z lodówki do zlewu i opłukał, a Annie w tym czasie przygotowywała nadzienie z kasztanów i chleba, którym później wypełniła indyka. Potem Sam zaparzył kawę, Annie zaś wyjęła ser z zamrażalnika i zaczęła kroić go na plasterki, które rozkładała na blacie, by się rozmroziły. Przeszła do jadalni i rozłożyła na stole biały lniany obrus, a na nim ustawiła jedno nakrycie. Sam ustawił pozostałych dziesięć.

Obserwując go, Annie opierała się o futrynę drzwi z kubkiem kawy w ręku. Jej wątpliwości dotyczyły nie tylko Sama, miała też liczne wątpliwości co do własnej osoby. - Czy nie za dużo gości zaprosiliśmy? - spytała. Zaprosili najnowszego współpracownika Sama z żoną i dwa małżeństwa z wydziału Annie. - Teke bez zmrużenia powiek potrafi podać do stołu dla dwudziestu osób. Ja ledwo na co dzień daję sobie radę z posiłkami dla naszej czwórki.

Sam ogrzał ją spojrzeniem. - Doskonale sobie radzisz z posiłkami dla naszej czwórki.

Wzruszyła ramionami. - Tak, głównie podaję zupy z puszek i gotowe dania.

- Czy ja narzekam?

Odpowiedziała z grymasem: - Nie sądzę, żebyś śmiał narzekać. Musisz być wdzięczny, że nie wystawiłam ci walizek za drzwi. A swoją drogą, John musi sam przeżywać straszne chwile.

Sam przerwał wykonywaną czynność. - Naprawdę? Nic o tym nie wiem. Pewnie jestem ostatnim człowiekiem na świecie, z którym dzieliliby się swoimi kłopotami. Ja i Teke.

- Teke musiała o tym słyszeć w ten sam sposób, jak i ja się dowiedziałam. W ostatni weekend Jana i Leigh odwiedziły go w Bostonie. Mówiły, że w całym mieszkaniu narobił rozgardiaszu, kiedy usiłował przygotować kolację.

- Dlaczego po prostu dokąś ich nie zabrał?

- Pewnie chciał sobie coś udowodnić. - Annie w pełni mogła się utożsamić z takim sposobem myślenia. Dokładnie to samo właśnie robiła. - Jestem z nim całym sercem. Nie jest przyzwyczajony sam się o siebie troszczyć. I choćby tylko z tego powodu cieszę się, że będzie dzisiaj z Teke i z dziećmi. Wystarczająco złe jest już to, że John Stewart i Lucy postanowili wyjechać z przyjaciółmi na Florydę.

- Uważasz, że ich obecność mogłaby w czymś pomóc? - spytał Sam.

Annie równie dobrze jak on znała odpowiedź na to pytanie. - Mogłoby to być miłe dla Michaela.

Sam uważnie rozkładał sztuce. - No cóż, są wściekli na Teke i nie dałoby się tego ukryć. A jeśli do tego jeszcze dodać napięcie, jakie pewnie wniesie obecność Johna, to atmosfera nie byłaby najmiłsza, a dzieci wszystko by odczuły.

Mogła to sobie wyobrazić. - Serce mi się ściska, kiedy o nich myślę. Myślisz, że ich świąteczny obiad upłynie bez zgrzytów?

Wzruszył ramionami bez szczególnej pewności. - John ma dość sztywne przekonania. Teke popełniła błąd. Ale czy to jest powód, żeby rozbijać małżeństwo? Musi przechodzić kry-

zys wieku średniego, bo przecież zwykle myślał względnie rozsądnie. Teraz wcale nie jestem tego pewien.

- Myśli racjonalnie - stwierdziła Annie. - Po prostu jest zły.

- Ale karząc Teke w ten sposób, jeszcze bardziej karze dzieci. To chyba nie jest uczciwe.

- Zgodził się przyjechać dzisiaj do domu na świąteczny obiad. To jest jakieś ustępstwo. - Chciała myśleć o Johnie jak najlepiej. Był przecież i jej przyjacielem.

- Myślisz, że bada grunt do pojednania?

- Mam nadzieję, że tak. Brakuje mi tych wszystkich wesołych chwil, które razem spędzaliśmy. Kiedy spoglądam wstecz, a ostatnio spoglądanie wstecz zajmuje mi sporo czasu, uświadamiam sobie, że John zawsze był trochę sztywny, ale to nie było złe. Tyle przyjemnych chwil razem spędziliśmy. Tęsknię za tym wszystkim i tęsknię za dziećmi. - Zaczął układać sztuce przy kolejnym nakryciu. - Dzisiejszy dzień będzie dla nich trudny. Dla nas zresztą też. Właśnie dlatego dobrze, że będziemy mieli gości. Gdybyśmy byli tylko my i Pete, bardziej odczuwalibyśmy nieobecność Maxwellów. - Wyprostował się, a z jego wzroku biła determinacja.

- Wszystko będzie dobrze, Annie. Bez względu na to, czy Johnowi i Teke uda się pozostać małżeństwem, nam się to uda.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie i przez chwilę nie pragnęła niczego innego, jak tylko zatonać w jego ramionach, położyć głowę na jego piersi i wsłuchać się w rytm jego serca tak jak kiedyś. Jednak chwila minęła, a Annie myślała, że jeśli nie nauczy mu się znowu ufać, miłość do niego zamieni jej życie mękę. I z tą świadomością wyszła do kuchni.

\* \* \*

Sam skończył nakrywać do stołu, wziął prysznic, ubrał się i pojechał do Rockport po teścia. Zaparkował koło przerdzewiałego starego grata, który stał na wyżłobionych koleinami podwórku, jakby tu przez lata wypuścił korzenie. Sam zastanawiał się, czy wóz działa. Miał nadzieję, że nie. Pete był człowiekiem tak roztargnionym, że jako kierowca stanowiłby poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa na jezdni, i to był jeden z powodów, dla których Sam przyjeżdżał po niego do Rockport zawsze, kiedy tylko teść miał ich odwiedzić. Tego dnia Sam nie mógł się doczekać spotkania z Pete'em. Chciał z nim porozmawiać w cztery oczy, zanim będzie musiał się nim dzielić z innymi.

- Tato! - zawołał z kuchni. Nie patrzył na kuchenną ladę zawaloną resztkami jedzenia ani na piec, na którym stał dzbanek zajeżdżający przypaloną kawą, ani na zlew, do połowy wypeł-

niony brudnymi naczyniami. Był skupiony na omijaniu wiader, skrzynek, wielkich zgniecionych aluminiowych puszek i kartonu spryskanego żółtą farbą. W ten sposób udało mu się stanąć w progu pracowni. - Tato!

Pete ze zdziwieniem podniósł głowę. Siedział na odwróconej skrzynce po pomarańczach, pochylony nad szkicownikiem, mając na sobie tylko bladożółtą koszulę, Spłowiałe gacie i brązowe skarpetki. - Już czas? - zapytał schrypniętym głosem.

- Dziewiąta - uprzejmie poinformował go Sam. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że zdoła przyjechać do Rockport trochę wcześniej, ale choć już było dość późno, nie niecierpliwił się na Pete'a. Ze swoimi niemal białymi włosami i takąż brodą, z różowymi policzkami i z oczami jak u dziecka, Pete sam w sobie, podobnie jak i jego malowidła, stanowił dzieło sztuki.

Teraz właśnie starszy pan odłożył szkicownik i pognął przez pokój do nierównych pozostałości po wyburzonej ścianie, gdzie leżący na podłodze materac i stojące obok półki świadczyły, że tam właśnie jest sypialnia.

- Chcesz kawy? - rzucił Pete, pośpiesznie okręcając wokół szyi krawat.

- Nie, dziękuję. - Sam wsunął dłonie do kieszeni i rozejrzał się wokół. Po chaosie panującym w kuchni pracownia wydawała się czysta i przestronna. - Wypiłem dwie filiżanki przed wyjazdem.

- A może kakao?

Sam potrząsnął głową. Zobaczył malowidło na przeciwległej ścianie, inne niż to, które zdobiło ją ostatnio, i domyślił się, że Pete musiał przeprowadzić coś w rodzaju porządków w domu. Tłem była świeża blada żółć, taka sama jak koszula pana domu i liczne plamy na kartonach w kuchni. Sam domyślił się, że jest to kolor tego sezonu.

- A co powiesz na kieliszeczek brandy? - dopytywał się Pete.

Sam roześmiał się. - Jeszcze nie teraz. Muszę dojechać do Constance i zabrać Annie i Zoe na mecz. Ale możesz śmiało robić zakład, że na meczu będę miał ze sobą piersióweczkę. - Wybierali się na mecz futbolowy z okazji Święta Dziękczynienia, w którym drużyna Maxa jak co roku miała się zmierzyć ze swoimi najgroźniejszymi rywalami. Mecz rozpoczynał się o dziesiątej. - Możesz być pewien, że nie zmarzniemy.

- Mój gwiazdor Max jest w dobrej formie?

- Jak zwykle - odparł Sam. Podszedł do tylnej ściany, którą zdobiły portrety rodzinne. - To już jego ostatni mecz na Święto Dziękczynienia, przez to jeszcze bardziej emocjonujący. -

Przyglądał się portretom Annie, w okresie dzieciństwa podobnej do Zoe, w dorosłej wersji podobnej do siebie takiej, jaka jest teraz.

- Ona nie jest taka jak jej mama, to jedno jest pewne - powiedział Pete, który nagle znalazł się za plecami Sama. - Nie jest do niej podobna ani z wyglądu, ani z charakteru. Jej mama odeszła, po prostu zebrała się pewnego dnia i poszła sobie. Annie jest stała - mówił dalej, chrząkając uroczyście, gdy ściągał paskiem swój sztruksowy kombinezon.

Sam patrzył na obraz Annie, który Pete namalował ostatnio. Stała, jak się zdawało, na plaży, obejmując się ramionami, w spódnicy i bluzce wydymającej się na wietrze. Wiatr porywał jej włosy do tyłu, odsłaniając delikatną twarz. Pete namalował jej profil, co było dla niego niezwykle. Nie mogąc oderwać wzroku od tego obrazu, Sam spytał: - Jak wiele wiesz o tym, co się zdarzyło?

- Tylko tyle, że jest nieszczęśliwa. Domyślam się też, że ma to związek z Teke, skoro nie idziemy na obiad do Maxwellów.

Sam nabrał powietrza w płuca. - Tego dnia, kiedy Michaela potrącił samochód, dzieciak znalazł mnie i Teke w kompromitującej sytuacji. Tego dnia wszystko po kolei było łańcuchem nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Przez to małżeństwo Teke się rozpada, a ja walczę o to, żeby moje małżeństwo przetrwało. Myślisz, że mi się uda?

Pete pozostał w milczeniu tak długo, aż Sam pomyślał, że doprowadził go do wściekłości. Kiedy ośmielił się podnieść wzrok na teścia, niewiele brakowało, by parsknął śmiechem. Pete przedstawiał sobą komiczny widok, wykładając na swój kombinezon niczym śliniaczek szeroki biały krawat w duże pomarańczowe serca. - Ona cię kocha - powiedział wreszcie Pete.

Sam pokiwał głową. - Ale mi nie ufa.

- Samej sobie nie ufa. Nie docenia się. Obwinia się za to, co się stało.

- Ależ ja jej mówiłem, że to wyłącznie moja wina. Mówiłem jej to wiele razy.

Pete popukał w ścianę w miejscu, gdzie widniał obraz matki Annie. Annie była tam niemowlęciem, pozostawionym na ziemi i zapomnianym. - To wszystko wzięło się stąd. Może nie powinienem był tego malować, ale w ten sposób na to patrzyłem. Chciałem, żeby Annie to wiedziała. Byłem wściekły. Też czułem się odepchnięty.

- Ja nie odpycham Annie - upierał się Sam. - To ona mnie odpycha.

- Bo czuje, że nie jest dla ciebie wystarczająco dobra. Podbuduj ją, Sam. Ty będziesz w stanie to zrobić. Właśnie dlatego namalowałem tylko połowę jej twarzy. Bez ciebie jest tylko połową. Postaraj się, żeby stała się całością, tak jak już raz dzięki tobie się stała.



Podczas gdy Pope'owie mogli jeszcze zaplanować jakieś popołudniowe rozrywki po meczu a przed obiadem, który miał się zacząć o czwartej, Maxwellowie mieli jeść obiad o drugiej. Teke ustaliła taką godzinę ze względu na Johna, który powiedział, że chciałby wrócić do Bostonu późnym popołudniem i pójść na koktajl. Nie wiedziała, kóż to taki organizuje koktajl w Święto Dziękczynienia, ale o nic nie wypytywała nie chcąc go prowokować. Była mu wdzięczna za to, że przyszedł na obiad, bo dziewczynki i Michael tak bardzo tego chcieli.

A czy ona sama tego chciała? Po tym, jak zakosztowała tamtego dnia w lasku smaku Grady'ego, wcale nie była tego taka pewna, choć jakąś częścią duszy jeszcze kurczowo uczepiła się nadziei na uratowanie swego małżeństwa. Lubiła Johna, naprawdę go lubiła. Przez wiele lat zapewniał jej przyjemne życie i poczucie bezpieczeństwa, którego zawsze tak pragnęła. Była mu to winna za to, co zrobiła z Samem. Co więcej, swoim dzieciom była winna wykorzystanie każdej szansy na uratowanie tego małżeństwa.

Jednak przed obiadem nie mogła zapanować nad nerwami. W najlepszym scenariuszu obiad od początku do końca mógł przebiegać w miłej atmosferze, w najgorszym - atmosfera mogła przyprawić o mdłości. Modliła się, żeby to był pierwszy scenariusz. Chodziło jej o dzieci. One były dla niej najważniejsze.

Jana i Leigh wróciły z meczu Maximiliana na tyle wcześnie, by pomóc Teke w kuchni. Max grał dobrze, jego drużyna wygrała, nic dziwnego, że dziewczynki były uśmiechnięte i podekscytowane. Jednak euforia szybko się ulotniła, a rumieńce na dziewczęcych twarzach zaczęły blednąć. - To takie dziwne - powiedziała Jana, wpatrując się w stół z pięcioma nakryciami. - Jesteśmy sami, jakbyśmy byli wyrzutkami.

Teke zrobiła co mogła, żeby jadalnia wyglądała wesoło. W strategicznych miejscach rozwiesiła brązowo-pomarańczowe zwoje serpentyn, serwetki przewięzała jaskrawymi kokardami, a na środku stołu ustawiła zrobionego z dużej dyni indyka, przybranego kwiatami i kolorowymi skrawkami materiału. Uznała, że efekt jest niezły.

Teraz więc zbeształa Janę. - O czym ty mówisz? Taki obiad będzie lepszy dla Michaela. Będzie spokojniej.

- Ale Michael bardzo lubi, jak jest głośno.

- Oho! Gdyby tu wszyscy byli, od razu chciałby biegać wokół z kamerą. W ten sposób, jak to mamy zaplanowane, będzie mniej atrakcji i podniecenia, ale też mniej rozczarowań.

- To się nazywa rozsądne wytłumaczenie - mruknęła pod nosem Leigh i skierowała się do kuchni. - Prawda jest taka, że nie jemy obiadu z Pope'ami, bo tata nie chce patrzeć na Sama. A to znaczy, że Jana nie może być z Zoe, a ja z Maxem. To nie jest w porządku.

Teke wręczyła jej tłuczek i garnek ugotowanych kartofli. - Ty cały czas spędzasz z Maxem. A nawiasem mówiąc, gdzie byliście ostatniej nocy?

- Na imprezie.

- U kogo?

- U jednej z dziewczyn. Nie znasz jej.

Teke założyła na ręce kuchenne rękawice i wyjęła indyka z piekarnika. Postawiła go na ladzie kuchennej i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu syropu owocowego, cały czas się zastanawiając, czy powinna męczyć Leigh pytaniami. Ostatnio jej stosunki z córką były wystarczająco niestabilne, więc nie należało się prosić o kłopoty.

- Późno wróciłaś. Martwiłam się - powiedziała delikatnie.

- Przecież wiesz, że Max może wracać do domu o pierwszej.

- Wiem, że nie wolno mu później jeździć samochodem, ale wiedziałam też, że powinien się wcześniej położyć spać, bo miał dzisiaj mecz.

- Przespał się na imprezie.

- Och! - odezwała się Teke z przekąsem. - To musiała być pasjonująca impreza. - Po czym dodała już nie żartobliwym tonem: - Ale nie upił się?

- Max nie pije alkoholu.

Teke obciąła spojrzeniem Leigh, która zawzięcie ucierała kartofle. Powracając do swojej pracy, otworzyła puszkę z owocami w syropie i wyłożyła je na talerzyk. Już miała zabrać się za polewanie indyka, kiedy do kuchni wkroczyła Jana. - Słodczyce już są ułożone w miseczkach. Co jeszcze mam zrobić?

- Zanieś tę miseczkę z sosem i możesz iść do taty pomóc mu rozweselić Michaela - powiedziała Teke.

- Bardzo jest dzisiaj smutny. W poniedziałek zaczynają się mecze szkolnej ligi koszykówki. Chciałby tam być.

- Poczekaj aż Jana wyjdzie z kuchni, po czym zwróciła się do Leigh: - Słuchaj, Leigh. Ja się nie urodziłam wczoraj. Dobrze wiem, co się dzieje na imprezach.

- Rodzice tej dziewczyny byli w domu.

- Bardzo prawdopodobne, że w wieczór przed Świętem Dziękczynienia byli w domu, ale to nic nie znaczy. Niektórzy rodzice sami kupują dzieciom piwo. Wolą, żeby dzieci piły pod ich okiem. Ja mam na to inny pogląd.

Leigh nie przestawała ucierać ziemniaków.

- Nie zadawałabym ci takich pytań, gdyby nie to, że w zeszłym tygodniu zobaczyłam w koszu na śmieci puszkę po piwie.

- Używałam piwa do układania włosów.

- Jeśli Max pije na imprezach, nie może prowadzić. A jeśli ty też nie możesz prowadzić, powinniście zadzwonić do domu, żeby ktoś po was przyjechał.

- Nie piliśmy.

- Dobrze - powiedziała Teke i zabrała się za galaretkę owocową. - To mi wystarcza.

- Ale chcę pigułek antykoncepcyjnych. Galaretka owocowa z cichym plaśnięciem wypadła na półmisek w tej samej chwili, gdy żołądek Teke gwałtownie się zacisnął. To samo czuję za każdym razem, kiedy widzę Grady'ego - pomyślała i najszybciej jak mogła wypchnęła tę myśl ze swojej głowy. Próbując się uspokoić, postawiła półmisek na kuchennej ladzie i pochylona oparła się o nią dłońmi.

- Czyżby nie przyszło ci na myśl, że będę kiedyś chciała to zrobić? - wyzywająco spytała Leigh.

- Sądziłam, że z tym poczekasz!

- Czekam od lat. Kocham Maxa i nie mów mi, że mamy tylko po siedemnaście lat, bo już na wiosnę oboje skończymy osiemnaście. Inni w tym wieku nie tylko to robią, ale żenią się i mają dzieci.

Teke wiedziała o tym aż za dobrze. Była jedną z dziewcząt z Gullen, które to robiły, gdy chodziły do szkoły średniej, ale jako jedyna spośród nich skończyła szkołę. Inne urodziły dzieci i rzuciły szkołę. Teke też by chętnie urodziła dziecko, ale Grady bardzo dbał o to, żeby się z tym nie śpieszyć. Wtedy usiłowała podważyć jego argumenty, ale dziś sama by ich użyła. Chciała, by jej córki skończyły college. Chciała, żeby użyły życia. Dzieci to wielka odpowiedzialność. Gdy się je ma, zmniejszają się możliwości wyboru.

- Chciałabym dla ciebie czegoś więcej - powiedziała córce.

- Więc pozwól mi używać pigułek.

- Albo pójdziesz na całość? Och, Leigh - mówiła Teke błagalnym tonem - nie stać cię na trochę wstrzemięźliwości?

- Takiej, jaką ty zaprezentowałaś z Samem?

Teke dech zaparło.

Leigh ciągle ucierała kartofle, choć teraz zwolniła tempo. - Zresztą już za późno na próśby o wstrzemięźliwość. Już to zrobiliśmy.

Już to zrobiliśmy. Już to zrobiliśmy. Teke uniosła rękę do piersi, by zdusić narastającą panikę. Annie! Oni to już zrobili! - krzyczała w duchu. Powinna się była spodziewać, że to się w końcu stanie. Przecież Leigh spędzała tyle czasu z Maxem. I właściwie to nie żadna tragedia - tłumaczyła sobie w duchu, usiłując wziąć się w garść. Oni się kochają. Pewnego dnia się pobiorą. A dziewictwo przecież dzisiaj nie jest problemem. Zresztą Teke w wieku siedemnastu lat też już nie była dziewicą. Tyle że Leigh to jest jej córka, a seks czyni z dziewczyny kobietę. Tak, jej pierwsza córka już stała się kobietą. Tę myśl trudno było przyjąć ze spokojem.

- No i co? - ostrożnie spytała Leigh.

Teke objęła ją i przez chwilę mocno przytuliła do siebie. Gardło miała ściśnięte. Jeszcze raz przebiegła w myślach wszystkie argumenty na korzyść Leigh, starając się nie odzywać, dopóki nie będzie pewna, że panuje nad swoimi emocjami. Wreszcie odezwała się z zaskakującym spokojem: - W przyszłym tygodniu zadzwonię do lekarza.

- Zadzwonisz? - spytała Leigh niepewnie. Teke skinęła głową.

- Próbujesz odzyskać moje zaufanie?

- Nie - rzekła Teke, choć przecież rozsądna, ugodowa postawa nie kłóciła się z chęcią odzyskania zaufania córki. - Próbuję postępować tak, żeby to miało ręce i nogi. Jeśli kochaliście się z Maxem raz, zrobicie to znowu. Chciałabym, żebyś była zabezpieczona.

Leigh pozwoliła sobie na lekkie westchnienie. - Niewiele brakowało, a poszłabym do Annie. Myślałam, że wpadniesz we wściekłość.

- Cieszę się, że nie poszłaś z tym do Annie. To ja jestem twoją matką. - Może matką, którą w pewnych sprawach zaślepiają uczucia, ale jednak zawsze matką.

- Umiem sobie radzić z takimi sprawami. Nie jestem taka zacofana.

- Ostatnio byłaś dziwna.

- Ty byłaś ostatnio dziwna - odbiła piłeczkę Teke. Odgarnęła jasny lok z twarzy córki. - Jesteś na mnie zła za to, co zrobiliśmy z Samem, ale, Leigh, każdemu się zdarza popełnić błąd.

- To, co zrobiliśmy z Maxem, nie było błędem. To było najwspanialsze na świecie. Najwspanialsze.

Teke oparła czoło na ramieniu Leigh. Tak bardzo chciała powiedzieć Leigh, że doskonale rozumie jej ekscytację, że coś takiego ona sama przeżywała przed laty z Gradym. Była szczęśliwa, że Leigh i Max doświadczają takiej radości bycia ze sobą, bo jeśli ich łączy ten rodzaj więzi, będą szczęśliwi we wspólnym życiu.

Uniosła głowę. - Chcę dla ciebie i Maxa wszystkiego, co najlepsze w życiu i wcale nie uważam tego, co zrobiliście, za złe, może tylko nieco przedwczesne. Jednak wszelkie sprzeczki na ten temat byłyby niedorzecznością, bo to już się stało. Teraz musimy coś zaradzić, by to nie miało konsekwencji. - To bardzo dojrzałe słowa, pomyślała Teke, zupełnie jakby wyszły z ust Annie.

- A to oznacza antykoncepcję.

- Musisz o tym mówić tacie?

To pytanie uderzyło Teke i w tej samej chwili poczuła przeblysk emancypacji, stwierdzając, że wcale nie musi. Jej odpowiedzialność wobec Johna uległa zmianie z chwilą, gdy ten wyprowadził się z domu. - Nie muszę o tym nikomu mówić.

- Wrzeszczałby bez końca i mówił, że Max jest taki jak Sam, ale Max nie jest taki.

- Owszem, jest - upierała się Teke. - Czy chcesz to przyznać, czy nie, Sam jest wspaniałym człowiekiem, cudownym mężem i doskonałym ojcem. Cieszy mnie myśl, że Max będzie taki sam. Myślę, że twój ojciec też tak uważa. Jednak ostatnio tyle ma na głowie, że nie powinnyśmy kusić licha mówiąc mu o czymś, czego i tak nie będzie w stanie zmienić. Ale obiecaj mi - rzekła, nagle porażona straszliwą myślą - że ty i Max nie będziecie tego robić, dopóki nie porozmawiasz z lekarzem. Obiecujesz mi to, Leigh? Jeśli zajdziesz w ciążę, nie będę w stanie dochować sekretu.

Jana wsadziła głowę w drzwi. - Są głodni. Tata chce wiedzieć, o której będziemy jedli. - Przeniosła wzrok z jednej twarzy na drugą. - Co się tu dzieje?

Teke odsunęła się od Leigh. Znów nałożyła kuchenne rękawice, wyjęła z piekarnika paszteciki i wysypała je na półmisek. - Niech się tym na razie zajmą. Zanieś im i powiedz, że obiad będzie za dziesięć minut. - Podprowadziła Janę do drzwi. - Leigh, posmaruj to trochę masłem i mlekiem i wstaw do piekarnika, żeby się podgrzało, a ty w tym czasie porwij sałatę. Ja pokroję indyka.

Krojenie indyka było prawdziwą sztuką. Przez lata Teke doprowadziła ją do perfekcji. Była w stanie odkroić od kości najmniejszy kawałek mięsa, układając plastry indyka pięknie na półmisku w tej kolejności, w jakiej je zdejmowała ze szkieletu ptaka. Jedyne, czego jej w tym

roku brakowało, to Annie stojącej za plecami i z zapartym tchem obserwującej jej sztukę kulinarną. Nie tęskniła za zachwykami Annie, tęskniła za nią samą.

Obiecała sobie jednak, że dzisiaj nie będzie żadnego usychania z tęsknoty i żalu, nawet za Annie i za dawnymi układami. Była zdecydowana zjeść posiłek ze swoją rodziną w miłej atmosferze.

Jednak wyglądało na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Pierwszym problemem okazał się stół. Zmieściło się na nim wystarczająco dań - parujących półmisek i salatek, zielona sałata, koszyk z pieczywem, galaretki i konfitury z żurawin - te ostatnie, bo John za nimi przepadał - oraz wiele innych przysmaków, których wystarczyłoby, żeby nakarmić całą armię Maxwellów i Pope'ów, tyle że tej armii tutaj nie było. Byli tylko Maxwellowie we własnym ścisłym gronie.

- Kto zmówi modlitwę dziękczynną? - spytała Jana.

- Sam zawsze to robił - odrzekła Leigh - ale dzisiaj go nie ma.

Michael spojrzał na Johna. - Ty zmów modlitwę, tato.

John spojrzał na Teke. - Możemy opuścić modlitwę.

Jednak Teke, która z natury nie była przesądna, nagle poczuła przerażenie, że jeśli w Święto Dziękczynienia nikt nie odmówi przy stole modlitwy dziękczynnej, cała rodzina zostanie potępiona na wieki. Tak więc, pochyliwszy głowę, zaczęła: - Drogie Panie, to był dla nas ciężki rok. Dałeś nam siłę, żeby to wszystko przetrwać do tej pory. Prosimy Cię, pozwól nam to przetrwać do końca. Dziękujemy Ci za miłość i przebaczenie, i za to jedzenie, które dzięki Tobie mamy na stole. Amen.

John chrząknął. - No cóż, chyba to było wystarczająco pokorne.

- Staralam się - powiedziała, sięgając po talerz Michaela i nakładając po brzegi jedzenia, podczas gdy pozostali sami się obsługiwali. Potem przystąpiła do krojenia mięsa na małe kawałeczki, a kiedy to robiła w przerywanej szczykiem sztuców ciszy, jaka zaległa przy stole, poczuła głęboki smutek. Aromatyczny pieczony indyk w tym roku miał dla niej zapach klęski. Szybko usiadła na swoim miejscu, przekonana, że zaraz się rozplacze, jeśli ktoś szybko nie zacznie mówić. Sama się więc odezwała: - Opowiedz nam o meczu, Leigh.

Leigh opowiedziała im o meczu. Tu i ówdzie słowo wtrąciła Jana. John zadał kilka dodatkowych pytań.

Teke nie spuszczała wzroku z Michaela. Umiał posługiwać się widelcem, ale nie szło mu to szczególnie. Serce jej się krajało, kiedy na to patrzyła. Pomogłaby mu, gdyby tylko jej po-

zwolono, ale sama musiała przyznać rację rehabilitantom, że jej tego zabraniali. Samodzielne jedzenie też było dla niego formą terapii. Podnoszenie widelca do ust poprawiało koordynację ruchów. Teke powtarzała sobie to bez przerwy, patrząc, jak jej dziecko się męczy. To dało jej nieco pociechy.

I znów zapadła cisza. Teke przejrzała w myśli listę tematów, które przygotowała na taką ewentualność.

- W styczniu Jana ma reprezentować swoją klasę na międzyszkolnej debacie. Mówiłaś o tym ojcu, Jano?

- Tak. W weekend.

- Więc mnie o tym opowiedz. Ledwo wiem, na jaki to ma być temat.

Jana powiedziała parę zdań i zakończyła: - Mógłbyś mi podać czarne oliwki, tato?

- Masz dość sosu, Michael? - zapytała Teke.

Michael potwierdził skinieniem głowy.

- Tata mówi, że w przyszłym sezonie pozwolą mi grać w drużynie, nawet jeśli w ogóle nie zagram w tym sezonie, ale ja w to nie wierzę. Wszyscy będą grali lepiej ode mnie. Nie przejdę eliminacji.

- Przejdiesz eliminacje - zapewniła go Leigh. - Jesteś przecież najlepszym graczem w drużynie.

- Teraz już nie jestem i może nigdy nie będę. A jeśli nie będę mógł biegać?

- Będiesz biegał, jeśli będziesz tego chciał - odezwała się Teke. - Tak mówią lekarze.

- Czy tu jest gorąco, czy tylko mi się tak wydaje? - mruknął John, wstając i odsuwając krzesło od stołu. Wyszedł do hallu. - Termostat jest ustawiony na dwadzieścia dziewięć stopni! Nic dziwnego, że czuję się jak w piekarniku! - Wrócił do jadalni i zapytał Teke:

- Dlaczego termostat był nastawiony na dwadzieścia dziewięć stopni?

- Chciałam, żeby się nagrzało w bawialni. Tam Michael spędza dużo czasu.

- A skoro już mówimy o upałach - odezwała się Leigh - i jesteście tutaj oboje, chciałybym z wami o czymś porozmawiać. W kilka osób chcemy spędzić ferie w jakimś ciepłym miejscu.

- Polecam bawialnię - rzekł kąśliwie John. - Michael będzie w tym czasie ćwiczył gdzie indziej.

- Mówię serio. Wybieramy się do Nassau.

- Nie - uciął John i beznamytnie uniósł kęs indyka do ust.

- Dlaczego nie? - spytała Leigh.

Przeżuł, połknął, po czym zapytał: - Czy jedzie z wami ktoś dorosły?

- Nie.

- Więc dlatego nie.

Leigh spojrzała na Teke w poszukiwaniu pomocy, ale Teke nie wiedziała, co ma powiedzieć. Jakoś nie mogło jej przejść przez gardło: „Nie martw się, do tej pory; Leigh będzie brała pigułkę” ani „Dziewictwo nie jest już problemem” czy „Nie przejmuj się, ona pije tylko lekkie piwo”. Wolałaby, żeby Leigh najpierw z nią o tym porozmawiała.

Niestety, i tak trzeba by się było z tym zwrócić do Johna. To on dysponował pieniędzmi. On płacił rachunki. Poza kilkoma sztukami efektownej biżuterii, futrem, polisą ubezpieczeniową i kontem, na które John co miesiąc wpłacał niewielką sumę pieniędzy na życie, Teke nie miała nic. Teraz poczuła się z tego powodu zażenowana, onieśmielona i z lekka przerażona.

- Jestem w ostatniej klasie - Leigh usiłowała coś wskórać u Johna, kiedy zauważyła, że na pomoc Teke w tej sprawie raczej nie może liczyć. - Wszyscy z mojej klasy gdzieś wyjeżdżają na ferie.

- Ty też będziesz wyjeżdżała - powiedział spokojnie John - kiedy już będziesz w college'u.

- A co, jeśli za siebie zapłacę?

- Czym?

- Pieniędzmi z mojej książeczki oszczędnościowej.

- Z tych pieniędzy masz prawo korzystać dopiero po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia.

Michael podniósł wzrok. - A przecież mówiłeś, że będę mógł podjąć trochę pieniędzy ze swojej książeczki i kupić sobie parę programów komputerowych.

- Dlaczego on ma prawo, a ja nie?

- Wyjazd na ferie trudno nazwać inwestycją w przyszłość.

- To jest nie w porządku, tato.

John wzruszył ramionami. Kiedy zadzwonił telefon, obciął Teke kontrolnym spojrzeniem.

- A któż to dzwoni W samym środku obiadu w Święto Dziękczynienia?

Jana poderwała się od stołu. Kiedy rozmawiała w kuchni przez telefon, Teke zwróciła się do Michaela:



- Gdzie bliźniaki spędzają Święto Dziękczynienia?
- U swoich dziadków w Springfield. Co roku tam jeżdżą.
- A Nat?

Michael jęknął. - On jest w domu. Po obiedzie jego tata ma go zabrać na salę gimnastyczną. - Wbił widelec w kawałek sałaty, widelec wypadł mu z ręki, podniósł go i skierował do ust.

Jana cicho wsunęła się na swoje miejsce przy stole.

- Kto dzwonił? - Teke próbowała podtrzymać rozmowę wszelkimi sposobami.
- To do mnie.
- Zoe?
- Nie.

Znowu zapadło milczenie, ciężkie jak gradowa chmura. Teke ukroiła kęs indyka i podniosła do ust. Przyszło jej do głowy, że wszelkie próby rozmowy, które podejmuje, są równie niezręczne jak ruchy Michaela. Podobnie jak on, cała rodzina doznała ciężkiego urazu. I tak jak Michael, wszyscy muszą się nauczyć funkcjonować w warunkach ograniczonej sprawności.

Spojrzała na Johna, chcąc, żeby to on rozpoczął jakąś nie psującą nastroju rozmowę. Ale jego twarz była spięta. Obserwował wysiłek, jaki sprawiało Michaelowi jedzenie. Teke modliła się w duchu, by tego nie skomentował. Nie wierzyła w jego umiejętność wspierania bliskich. Rozpaczliwie pragnąc odwrócić jego uwagę od Michaela, spytała:

- Z kim twoi rodzice dzisiaj jedzą obiad?

Napięcie nie opuściło jego twarzy, kiedy znów zajął się jedzeniem. - Z Sidem i Beverly Wyatt. Mnie też zapraszali. Ojciec nie był w stanie zrozumieć, dlaczego z nimi nie jadę.

- Czy to tak trudno zrozumieć? - spytała Jana.

- Przecież my jesteśmy twoją rodziną. Można się było spodziewać, że z nami spędzisz Święto Dziękczynienia.

- W takich okolicznościach - John zwrócił się do Jany tonem, który w uszach Teke zabrzmiał arogancko - ojcowie często jedzą obiad gdzie indziej. Ja chciałem być w Święto Dziękczynienia z moimi dziećmi. To wasz dziadek był w stanie zrozumieć. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego chcę przebywać w towarzystwie mojej żony.

Żołądek Teke zacisnął się gwałtownie. Spojrzała na Johna z konsternacją, nie mogąc uwierzyć, że powiedział coś takiego w obecności dzieci.

- Czy dziadek nienawidzi mamy? - spytała Leigh.

- Po prostu próbuje mnie chronić - odpowiedział John. - Widział, ile przez nią przeżyłem, więc jest zły.

- Próbuje ciebie chronić czy siebie? - Teke nie była w stanie powstrzymać się przed zadaniem tego pytania, bo trudno jej było znieść myśl, że to John Stewart nakłonił Johna do wyprowadzki. - Faktem jest, że moje istnienie jest dla niego kłopotliwe.

- A ciebie to dziwi? Jest zwolennikiem rygorystycznych norm moralnych.

- Dla wszystkich, ale nie dla siebie.

- A co to ma znaczyć?

To ma znaczyć, że wiem wszystko o Mary McGonigle. Więc nie rzucaj mi w twarz tych jego norm moralnych, Johnie Davidzie Maxwellu, bo opowiem o tym wszystkim twoim dzieciom. Dość tego. Nie masz monopolu na to, żeby się wściekać.

Ponieważ jednak nie powiedziała nic na głos, John zwrócił się do Leigh: - Twoja matka nie może znieść moich rodziców. Boi się ich...

- Nieprawda! - wykrzyknęła Teke.

- ...ponieważ są takimi ludźmi, jakimi są. Pochodzą z dobrych rodzin. Są wpływowi. Należą do wyższych sfer.

- Nie boję się ich - upierała się Teke. - Nie mam aspiracji, by stać się taka jak twoi rodzice. Nigdy ich nie miałam.

John gwałtownie się do niej odwrócił. - Nie? A tyle razy słyszałem, jak pytasz moją matkę o radę...

- Pytałam, bo sądziłam, że będzie z tego zadowolona. Ludzie lubią być podziwiani. Lubią czuć się szanowani, a ja szanuję twoich rodziców, ale to wcale nie znaczy, że chcę być taka jak oni.

- Oczywiście, tobie odpowiada środowisko mętów!

- Nie mogę tego słuchać! - wrzasnął nagle Michael. Widelec poszybował w powietrzu, aż zawisł na serpentynie, która przymocowana do dyni na środku stołu udawała pióra indyka. - W tym nie ma nic śmiesznego! Wy oboje się nienawidzicie! Boże! Dlaczego ja to musiałem zobaczyć? Dlaczego ja to musiałem powiedzieć?

Teke natychmiast zerwała się z krzesła i już nachylała się nad Michaeliem. - Och, kochanie. To nie twoja wina.

- Moja - powiedział ze łzami w oczach. - Nikt by nie wiedział, gdybym z tym nie wyskoczył. Teraz byliby tu babcia i dziadek, i Sam, Annie, Zoe, Max i dziadek Pete. - Rozplakał się na dobre, próbując dłonią zakryć twarz.

- Chcę, żeby było tak jak dawniej...

Teke mocno oplotła go ramionami. Schowała twarz i w jego włosach i płakała razem z nim, trochę dlatego, że serce jej się krajało, gdy widziała, jaki jest nieszczęśliwy, a trochę dlatego, że chciała tego samego co on, a najbardziej dlatego, że jej małżeństwo właśnie ostatecznie legło w gruzach. Mogła stanąć na głowie, a jej małżeństwo nigdy już nie będzie dobre. Wyrządzona szkoda była zbyt duża. I nie dało się tego już naprawić.

Dla kobiety, która zawsze dom i uczucia stawiała na piedestale, taka świadomość była jak kataklizm.

\* \* \*

Już wieczorem w Święto Dziękczynienia Annie stała przy kuchennym zlewie i kończyła zmywanie naczyń ogarnięta poczuciem winy. Święto Dziękczynienia w jej rodzinie było rzeczywiście przyjemne. Oczywiście indyk nie był taki, jak gdyby przygotowała go Teke, ale nikt nie skomentował tego ani słowem. Wszyscy jedli, wszyscy rozmawiali, uśmiechali się - a szczególnie to ostatnie było dokładnym zaprzeczeniem atmosfery przy świątecznym stole Maxwellów.

Sam wszedł do kuchni tylnymi drzwiami, wnosząc ze sobą chłodne powietrze, które przepłynęło przez kuchnię, gdy zdejmował kurtkę. Natychmiast zabrał się za wycieranie naczyń.

- Jak on się czuje? - spytała Annie.

- Jest w wyjątkowo ponurym nastroju. Wygląda na to, że Leigh i Jana ani trochę nie przesadziły. Wszystko zaczęło się niezręcznie, a skończyło wielkim krachem. Biedny dzieciak. Cały świat zwałił się na jego barki.

- Chciał z tobą rozmawiać? - spytała, ale z góry znała odpowiedź. Mogła dostrzec zmartwienie Sama.

- Potrzebuje winnego, i ja nim jestem. Nie przeszkadzałoby mi to aż tak bardzo, gdyby wszystko inne w jego życiu toczyło się gładko, ale wszystko inne, niestety, jest straszne. On potrzebuje takiego przyjaciela, jakim ja kiedyś byłem. Może znajdzie go w Gradym, ale jeszcze

nie dzisiaj. Dzisiaj Michael nienawidzi wszystkich. Sądzę, że powinni się zgłosić do psychoterapeuty rodzinnego.

- Przecież John nigdy...

- Nie John. Teke i dzieci. Mogą sami decydować o sobie. - Spokojniejszym tonem dorzucił: - Przez to wszystko czuję się coraz bardziej winny.

Annie miała podobne odczucia.

- A my mieliśmy dzisiaj wspaniały dzień, Annie. Tak dobrze wszystko przygotowałaś.

- Miałam pomocnika. - Przez cały dzień nie odstępował jej na krok.

- Ale to ty wszystkim kierowałaś. - Objął ją w pól i ogrzał jej skroń pocałunkiem.

Annie pozwoliła sobie na to, by na minutę oprzeć głowę na jego piersi. Kochała go. Chciała mu ufać tak jak kiedyś. Sobie chciała ufać tak jak kiedyś. Ale i tak go kochała. - My mamy tak wiele - szepnęła. - Jeszcze nie wszystko, ale jednak dużo. Ciągle jeszcze nie mam pełnego porozumienia z Zoe i Maxem, ale wcześniej czy później do tego dojdzie. Musi do tego dojść, bo ja nie zrezygnuję. Ale kiedy popatrzę na Teke i Johna, i na ich dzieci, nie sądzą, żeby im się to udało. Bardzo to smutne.

Oparła czubek głowy o jego podbródek. Sam zawsze był taki wrażliwy, kiedy w pracy miał do czynienia z rodzinnymi nieszczęściami. Teraz, od czasu wypadku z Teke, bardziej wrażliwy na rodzinne nieszczęścia był w domu. Czasami zastanawiała się, czy ta wrażliwość nie bierze się stąd, że chce odzyskać jej względy, innym razem uważała, że jeśli tylko ją chce, nie powinna się zastanawiać nad motywami jego zachowania.

Tylnymi drzwiami weszła do kuchni Zoe i odwiesiła kurtkę na wieszak, po czym opadła na krzesło przy kuchennym stole i przygarbiona siedziała w bezruchu.

Annie obejrzała się, po czym wymieniła z Samem przerażone spojrzenie. Odsunęła się od niego i stanęła za krzesłem Zoe. - Co się stało?

Zoe opuściła głowę niżej. Wzrok miała wbity w krawędź kuchennego stołu. Kciukiem stuknęła w dębowy blat. - Znowu pokłóciłyśmy się z Janą. Ona ciągle obwinia naszego tatę o wszystko, co się stało, a to nie jest w porządku. Teke jest tak samo winna.

- Jana jest zdenerwowana. Miała dzisiaj ciężki dzień.

- Ale czy to jej daje prawo do stwierdzenia, że nasz tata rozbił małżeństwo jej rodziców? Czy to jej daje prawo mówić Leigh, że sama szuka kłopotów chcąc wyjść za Maxa? Czy to jej daje prawo do stwierdzenia, że jestem stracona tylko dlatego, że śmiem stanąć po stronie własnego ojca?

Sam, który też podszedł do niej, położył jej dłoń na głowie.

- Jana ostatnio nie jest sobą - powiedziała Annie.

- Może właśnie teraz jest naprawdę sobą - upierała się Zoe. - Zachowuje się dokładnie tak jak John David. Zawsze próbuje na kogoś zwalić winę, ale co to daje oprócz tego, że mnie jest przykro?

Annie ujęła dłoń córki, takiej maleńkiej i samotnej, bo właśnie taka była Zoe ostatnio.

- Nieszczęścia chodzą parami.

- To nie w porządku.

Annie przytuliła ją. - Wiem, skarbie.

- Nastawi przeciwko mnie inne dzieci.

- Nie, nie zrobi tego.

- Zrobi. Będzie się z nimi umawiała i nie zabierze mnie ze sobą. Będzie im musiała podać jakiś powód i na pewno nie powie niczego dobrego. I kto się potem będzie chciał ze mną przyjaźnić?

- Masz inne koleżanki, Lisę i Amy.

- Ale Jana zawsze była moją najlepszą przyjaciółką.

- I znów nią będzie. Tyle razem już przeszłyście, że na pewno się pogodzicie.

- A ty i Teke się pogodzicie?

Jakże dzieciom łatwo mówić takie rzeczy, przyszło jej do głowy. Zerknęła ukradkiem na Sama. - Myślę, że się pogodzimy - odpowiedziała na pytanie Zoe.

- A ty i tata?

Wtedy Sam przemówił. - Na pewno się pogodzimy. Za bardzo kocham mamę, żeby między nami miało się nie układać. - Nachylił się nad Zoe i oparł dłoń na stole. - I to jest różnica między nami a Teke i Johnem Davidem, a Jana właśnie dlatego szuka we mnie winy za to, że między jej rodzicami wszystko się źle układa.

Zoe spojrzała na Annie. - Teke i John nigdy wcześniej się nie kłócili.

- Ale to wcale nie znaczy, że wszystko się między nimi dobrze układało - odpowiedziała Annie.

Zoe pomyślała chwilę. - Gdybym coś takiego powiedziała Janie, dosłownie rozdarłaby mnie na strzępy.

- Więc nie mów jej tego. Możliwe, że sama to wie i kiedy ci dokucza, robi to z zazdrości o naszą rodzinę.

Zoe też o tym pomyślała. - Pewnie tak jest. Wiesz, co dzisiaj powiedziała?

- Co takiego powiedziała?

- Powiedziała, że ma nadzieję, że nie będziemy korzystali z domku w górach wtedy, kiedy oni tam będą, więc ona będzie mogła zaprosić wielu przyjaciół, bo będzie dużo miejsca.

Sam chrząknął. - Ona się złości, Zoe. Nie zwracaj na nią uwagi.

- Łatwo ci powiedzieć - odparowała Zoe. - To nie ty tracisz wszystkich przyjaciół. - Wyśliznęła się z objęć Annie, przemknęła pod ramieniem Sama i wybiegła z kuchni.

Sam ruszył jej śladem, ale się zatrzymał. - Tylko pogorszyłbym sprawę, gdybym do niej poszedł. Ty sobie lepiej z tym poradzisz, Annie. Ja dokończę zmywanie.

Annie poszła do Zoe. Siedziała z nią i rozmawiały cicho, powtarzając to wszystko, o czym już była mowa w kuchni. Chciałaby mieć lekarstwo na problemy córki, bo sama pamiętała z dzieciństwa, jak to jest, gdy się stoi z boku, nie mając przyjaciół. Powtarzała Zoe w kółko, że rodzice i brat ją kochają, wiedziała jednak dobrze, że to nie to samo. Nastolatki potrzebują przyjaciół.

Została z Zoe, aż ta była na wpół śpiąca. Wtedy Annie ucałowała córkę i wymknęła się z jej pokoju. W kuchni było ciemno. Jadalnia była pusta. Znalazła Sama w małżeńskiej sypialni, siedzącego na skraju łóżka, ciągle w swetrze i spodniach. Kolana miał rozsunięte, łokcie na nich oparte.

- Kiedy to się skończy? - spytał z udręczoną twarzą. - Kiedy kostki domina przestaną się przewracać jedna za drugą? Kiedy to przycichnie?

Nie miała pojęcia i to wcale nie dlatego, że się nad tym nie zastanawiała. Zastanawiała się nad tym za każdym razem, kiedy widziała Teke, za każdym razem, kiedy widziała Michała. Zastanawiała się, gdy widziała, jak Max odwraca się od Sama, a Zoe nie chce mu spojrzeć w oczy. Zastanawiała się za każdym razem, kiedy widziała Jasona Fausta i ogarniał ją wstyd.

I zastanawiała się nad tym za każdym razem, kiedy widziała Sama. Zastanawiała się, kiedy będzie w stanie widzieć w nim mężczyznę, w którym się zakochała, a nie mężczyznę, któremu próbuje wybaczyć.

Jednego tylko była pewna - nie mogła patrzeć, jak Sam cierpi. Bezgłośnie przeszła po dywanie, stanęła między jego rozsuniętymi kolanami i przytuliła głowę do jego piersi. Wtedy zaś, czując jego ciepło i podniecający męski zapach, uświadomiła sobie, że jeszcze jednego jest niezbitnie pewna. Jej pożądanie do Sama było silniejsze niż złość na niego, ból i upokorzenie razem wzięte.

Bicie jej serca musiało mu to wszystko powiedzieć, to albo jego własne rozpaczliwe pożądanie, bowiem oplótł ją mocno ramionami. Na początku mocno przyciskał ją do siebie, później nieco rozluźnił uścisk, by móc przesunąć twarz na jej piersi. Annie skryła twarz w jego włosach, on zaś rozpiął jej bluzkę, biustonosz - tu przez chwilę poczuła zakłopotanie, wspominając swą przygodę z Jasonem Faustem, jednak gdy tylko wąsy Sama dotknęły jej piersi, wszelkie myśli o Jasonie Fauście natychmiast uleciały jej z głowy. Liczył się tylko Sam. Czowała, jak cała pęcznieje dla niego, słyszała własne westchnienia i pozwoliła zawładnąć sobą tej gorącej, która rozpełtała się w jej krwi.

Sam wskazywał jej drogę. Wyczuwała, że jest mu to potrzebne. To, że jej to jest potrzebne, doskonale wiedziała. Potrzebna jej była świadomość, że Sam uważa ją za atrakcyjną kobietę. Potrzebowała jego gorących ust i wilgotnego języka na swej skórze. Potrzebowała jego cichego zmysłowego szeptu, tych wszystkich erotycznych słów, które szeptał z twarzą wtuloną w jej ciało, a każde z tych słów przenikało ją do głębi.

Sam oderwał usta od jej piersi tylko po to, by ściągnąć przez głowę sweter. - Och, kochanie - znów westchnął w jej ciało. Jego dłonie były nad nią, pod nią. Rozprawiały się z jej spódnicą, pomagały się uwolnić z majtek.

Ujmując jej twarz, schwycił ustami jej usta. Gdy ich języki splotły się w pocałunku, rozpiął sobie spodnie i ściągając je dał jej ledwie chwilę wytchnienia, ale ta chwila wystarczyła Annie, by spojrzeć na jego ciało. Był wspaniale zbudowany, tak cudowny, że ona nigdy mu nie dorówna. Pod wpływem tych myśli już gotowa się była wycofać, ale Sam właśnie uniósł ją i delikatnie ułożył na prześcieradle.

Wszystko w niej drżało, jej palce rozgrzankowane wodziły po jego ustach i wąsach. Nie mogła go nie dotykać, tak długo za tym tęskniła. W jej oczach jego ciało było wzorem męskiej doskonałości. Przesunęła dłońmi po jego owłosionej klatce piersiowej, po wypukłościach zwieńczonych małymi twardymi sutkami, i w dół, wzdłuż owłosionej linii biegnącej w dół jego płaskiego brzucha. Jej dłonie były gorące, nienasycone. Nie mogła ich powstrzymać przed przesunięciem się na tę część jego ciała, która była jej ulubioną. Na tę część, która rosła i powiększała swą objętość na zewnątrz, gdy jej ciało tak samo reagowało wewnątrz. Uwielbiała go tam dotykać, gładzić i pieścić, czując, jak całe jego ciało tężeje, a jego oddech staje się coraz płytszy.

Ciekawe, czy Teke go tam dotykała.

Z jękiem zacisnęła gwałtownie powieki.

- Och, nie! Nie rób tego - rzekł natychmiast Sam urywanym, schrypniętym głosem. - Mogę się domyślić, co ci właśnie przyszło do głowy, ale nie pozwolę na to. W naszym łóżku nie ma miejsca dla nikogo innego, tylko dla nas. Tylko ty i ja, i nasza miłość, bo tak było od zawsze. Spójrz na mnie, Annie. - Splótł palce z jej palcami i przygwoździł jej dłonie nad głową.

- Spójrz mi w oczy, Annie. - W tej samej chwili wsunął się między jej nogi.

Tego już było dla niej za wiele. Całe jej ciało stanęło w płomieniach, trawione żarem zbyt wielkim, by mogła sobie odmówić rozkoszy bycia posiadaną przez Sama. Kiedy otworzyła oczy, krnąbrne myśli już dawno poszły z dymem. Widząc go nad sobą, czując swoje ciało gotowe i czekające na niego, kurczowo ścisnęła jego palce.

- Powiedz mi, że mnie kochasz - szepnęła.

- Kocham cię - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Wszedł w nią powoli, gładko, tak cudowny, że aż wyrwało jej się westchnienie ulgi.

Ulga jednak nie na długo była jej dana. Sam kochał się z nią z tak doskonałą delikatnością i precyzją, że zdążyła kilka razy osiągnąć spełnienie, zanim on doszedł. Wznosił ją ciągle na nowe szczyty, jakby chciał jej udowodnić, ile rozkoszy może jej dać i jak bardzo ją kocha, a jeśli ilość i jakość męskiej namiętności może być miarą miłości, to rzeczywiście kochał ją bardzo. Gdyby po tej nocy nigdy nie nadszedł świt, Annie mogłaby się czuć szczęśliwa, leżąc już na zawsze w ramionach Sama. Jednak świt nadszedł i natychmiast wy dobył na światło dzienne problemy, których żadna namiętna noc - bez względu na to, jak długa i cudowna - nie mogła zetrzeć z powierzchni Ziemi.



## Rozdział 15

„John Stewart oczekuje” - głosiła wiadomość, którą jako pierwszą przeczytał John, gdy tylko zjawił się w biurze we wtorek rano. Prawdę powiedziawszy, wcale go to nie zdziwiło. Rodzice wrócili z Florydy poprzedniego wieczoru. Wiedział, że ojciec będzie zainteresowany tym, jak upłynęło Święto Dziękczynienia. Wiedział też, że to zainteresowanie wcale nie wynika z ojcowskiej troski ani miłości do wnuków, ale tylko i wyłącznie z niechęci do Teke.

John tak bardzo chciał, by choć raz w życiu było inaczej. Żeby jego ojciec kierował się w działaniu motywami pozytywnymi, nie negatywnymi, a jego priorytetem żeby choć raz było szczęście syna.

Czując znajome skurcze żołądka, zmiął kartkę z wiadomością, wrzucił ją do kosza na śmieci i ruszył przez korytarz. John Stewart czytał właśnie „Wall Street Journal”. Odłożył gazetę na bok, gdy John wszedł do jego gabinetu.

- Wyglądasz na wypoczętego - stwierdził John, opadając na fotel. - Jesteś też trochę opalony. Pewnie grałeś w golfa.

- Trochę - odpowiedział John Stewart, a w jego głosie brzmiało nieznaczne rozdrażnienie. - Większość czasu spędziłem na wyjaśnianiu, dlaczego ty nie przyjechałeś ze mną.

- No cóż, to chyba nie powinno być takie skomplikowane. Spędzałem Święto Dziękczynienia z moją rodziną.

- Myśl o tym, że obcy ludzie rozprawiają o jego osobistym niepowodzeniu, była dla niego jak jątrząca się rana.

- A może to była zbyt wielka prośba, żebyś nie obwieszczał całemu Palm Beach, że jestem w separacji z żoną?

- A dlaczego mieliby o tym nie wiedzieć? Wszyscy moi przyjaciele poznali Theodore. Wiedzą doskonale, któż to taki. Ucieszyli się, że wreszcie poszedłeś po rozum do głowy.

- Jest nadal moją żoną - powiedział John. Rozejrzał się po gabinecie, myśląc, że wystrój wnętrza dokładnie odpowiada charakterowi jego ojca. - Czuję się dotknięty tym, że źle o niej mówisz przed obcymi ludźmi.

- Ci ludzie nie są obcy. Z wieloma spośród nich pracowałeś i lubią cię, Johnie Davidzie. Wystarczy, że szepniesz słowo, a znajdą ci odpowiednią kobietę, i to na każdą noc inną. Co więcej, uważają cię za zdolnego prawnika. Jeśli kiedyś zdecydujemy się na otwarcie biura w Palm Beach, wszyscy pójną za tobą.

Johna niezbyt interesowało to, by ktoś znajdował mu „odpowiednią kobietę”. Nie był też zainteresowany otwarciem biura w Palm Beach. Jeśli kiedykolwiek zdecydowałby się tam pracować, na pewno nie dałby się wziąć Johnowi Stewartowi pod pantofel.

- A co, gdybym się zdecydował powrócić do Teke?

- To była zdecydowana prowokacja, aż odczuł w żołądku sygnał alarmowy - Co byś wtedy powiedział tym wszystkim ludziom, którzy mnie tak lubią?

- Nie powrócisz do niej - poinformował go John Stewart z pełnym przekonaniem. - Za bardzo jesteś do mnie podobny, żeby zrobić coś takiego.

- Nie musisz mi tego mówić. Ale nie bądź tak zadowolony z siebie. Dla mnie to wcale nie jest komplement. Oznacza to, że jestem zbyt nadęty, żeby wrócić do Teke.

- To nie jest uprzejme, Johnie Davidzie.

John wzruszył ramionami. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Owszem, jestem nadęty. I jestem też arogancki.

John Stewart ściągnął usta. - Masz zdecydowanie zły nastrój. Nie jesteś zadowolony ze swojego mieszkania?

Och, jego mieszkanie. To była oddzielna historia. Wynajął sprzątaczkę, która ciągle wyrzucała mu szczoteczkę do zębów i ustawiała buty tak, że nigdy nie mógł znaleźć drugiego do pary. Prał sobie koszule w pobliskiej pralni i wychodziło mu to nieźle, ale nie był stanie wyprać slipów tak, żeby nie były wykrochmalone. A poza tym, ilekroć przychodził do pralni, wszystkie automaty były zajęte. Nie miał jednak zamiaru mówić o tym wszystkim ojcu. Nie miał zamiaru dawać mu najmniejszego powodu do satysfakcji, więc odpowiedział: - Jestem bardzo zadowolony z mojego mieszkania.

- Masz jakieś kłopoty z klientem?

- A powinienem mieć kłopoty z klientem? - spytał John wymijająco.

- Twój zły nastrój musi mieć jakieś źródło.

John wpatrywał się w niego zdumiony. - W dużym stopniu źródłem mojego nastroju jest stan mojego syna. Los ciężko go doświadczył i doświadcza go w dalszym ciągu. Nawet nie zapytałeś, jak on się czuje.

- Uznałem, że czuje się dobrze, bo powiedziałaś mi, gdyby było inaczej.

- Nie czuje się dobrze. Przechodzi parszywy okres w życiu, próbując pogodzić się ze wszystkim, co się zmieniło. - Sygnał alarmowy z żołądka przeniósł się do głowy, stanowiąc dodatkowy bodziec. - Zdarzyła nam się paskudna scena przy świątecznym obiedzie. Zasiadłem

do stołu z nastawieniem, że wszyscy będą się starali sprawić mi przyjemność, a jeśli ktoś się nie starał, miałem mu to za złe. Boże, jaki straszny przykład miałem w postaci ciebie - obwieścił i sam był zdumiony, że to zrobił. Jego reakcja na własnego ojca minęła punkt krytyczny i to było dla niego nowe i interesujące doświadczenie. W głosie Johna Stewarta narastało zniecierpliwienie.

- Nie szukaj we mnie winy za twoje problemy, Johnie Davidzie. To nie ja poderwałem sobie taką kobietę na żonę.

- Nie, ale dzięki odziedziczonym po tobie cechom spychałem ją coraz niżej. - John podniósł się z krzesła, jakby słowa, które wypowiadał, same go napędzały.

- Nie byłem w stanie dać jej zadowolenia, pod względem seksualnym czy jakimkolwiek innym, bo jestem zimny, właśnie taki jak ty. Jestem nudny, dokładnie tak jak ty. Jestem skupiony na sobie, też tak jak ty. Gdyby nie istnienie Sama i Annie, prawdopodobnie sama rozwiodłaby się ze mną dawno temu.

- Sam - sapnął John Stewart. - Sam nie jest wart złamanego szeląga.

John usłyszał to właśnie o jeden raz za wiele. Patrząc ojcu w twarz z taką mocą, jakiej nigdy w życiu nie był w stanie w sobie skupić przeciwko żadnemu człowiekowi, powiedział: - Tylko Samowi zawdzięczam, że tutaj nie zwariowałem. Bez niego już wiele lat temu odszedłbym z tej firmy albo wyskoczył z okna. Sam był zawsze moim wybawieniem. Wszystkie dobre cechy charakteru zawdzięczam jemu, nie tobie.

Wzrok Johna Stewarta był jak stal. - Więc jesteś po jego stronie. Domyślałem się tego. Jesteś zdrajcą.

- Jestem realistą.

- Jesteś tchórzem. Wyszedłeś z dwóch posiedzeń zarządu, kiedy chcieliśmy poddać pod głosowanie odwołanie Sama ze stanowiska. Nie chcesz głosować po mojej myśli, ale też boisz się głosować przeciwko mnie.

- Szybko mogę do tego dojrzeć - ostrzegł John. Gwałtownie odwrócił głowę, gdy drzwi gabinetu uchyliły się bez pukania. Był przygotowany na to, by rzucić gniewne spojrzenie Mary McGonigle, która pozwalała sobie na coś takiego bez żenady, ale w drzwi wsunęła się twarz Virginii Clinger oraz powiew jej perfum.

- Och - rzekła, przenosząc spojrzenie z ojca na syna i z powrotem. - Wybrałam niestosowną porę. Zajrzę później.

Zamknęła za sobą drzwi równie szybko, jak je otworzyła, ale John poczuł się nagle zaalarmowany. - Co ona tutaj robi? - Wiedział, że jej ojciec wyjechał już na zimę na Południe, wiedział też, że Virginia nie ma żadnego innego powodu bywać w Maxwell, Roper & Dine niż tylko w towarzystwie swojego ojca, jako że jej sprawy rozwodowe prowadzili prawnicy z innej firmy.

- Bez wątpienia wstąpiła, żeby się przywitać - odpowiedział John Stewart.

- Z własnej woli? Tak po prostu wpadła? To niepodobne do Virginii, chyba że trzyma coś w zanadrzu. - Myśl, że Virginia nie zapukała do drzwi, a John Stewart nawet tego nie skomentował, zaniepokoiła go. Pomyślał o tym, co Virginia widziała tego dnia w Constance, kiedy zdarzył się wypadek Michaela, i jego niepokój wzrósł. - Byłeś z nią umówiony?

- Czasami tu wpada.

- I o czym mówi? O Samie?

- A cóż ona mogłaby powiedzieć o Samie? - spytał John Stewart z miną niewiniątka, na którą John nie dał się nabrać ani przez minutę.

- Virginia powiedziałaaby cokolwiek, co w jej mniemaniu chciałbyś usłyszeć, byle to pomogło jej wyciągnąć od ojca tyle pieniędzy, ile tylko można. Wprawdzie teraz ja prowadzę sprawy majątku Stanleya, ale ty jesteś jego wieloletnim przyjacielem. Co ona ci opowiada? Że widziała Sama i Teke razem? Że ma dowody na to, że mieli romans?

- On już przyznał, że mieli romans.

- Przyznał, że byli ze sobą raz, a to jeszcze nie jest romans. To, co między nimi zaszło, to nie Virginii interes, tak samo jak i nie twój.

- To w sposób oczywisty jest mój interes. Tu chodzi o moją firmę, której on przynosi ujmę.

- Przynosi ujmę? Dzięki sprawie Dunn mówiono o nas tyle, ile nigdy przedtem. To nie przynosi ujmy. To doskonała reklama dla firmy.

- Widzę, że połknąłeś już przynętę, haczyk i żyłkę. Ciekawe, kiedy połkniesz całą wędkę? Przerobił cię na swoje kopyto.

- Był moim bardzo dobrym przyjacielem, cholernie dobrym przyjacielem.

- Jak możesz tak mówić - zachnął się John Stewart - po tym wszystkim, co ci zrobił?

Jednak grzech jednego popołudnia nie zniszczył całkowicie przyjaźni, która się kształtowała przez lata. Kierowany złością na ojca, miał dziwne poczucie siły. Dzięki tej sile zdołał powiedzieć temu facetowi coś bardzo osobistego, czym nigdy w życiu z nim by się nie podzie-

lił. - Czasami we śnie nachodzi mnie pewien koszmar. Śni mi się, że przegłosowaliśmy wyrzucenie Sama z firmy, a ja po jego odejściu z każdym dniem, z każdym tygodniem coraz bardziej upodabnam się do ciebie. Robię się coraz bardziej zimny i egoistyczny, aż w końcu sam stoję na szczycie piramidy, zupełnie sam, bo na całym świecie nie ma ani jednej osoby, która chciałaby być ze mną. Taki miewam koszmar. Ponura wizja, prawda?

John Stewart powoli podnosił się zza biurka, aż wreszcie wyprostował się na całą wysokość. Władczym głosem, na dźwięk którego drżał niejedyn silny mężczyzna, powiedział: - Nie ponura, ale dziecinna. Dałem ci życie, Johnie Davidzie, i niczym sobie nie zasłużyłem na okazywanie mi takiego braku szacunku.

John nie zadrżał na dźwięk tego głosu. Po prostu z niedowierzaniem wpatrywał się w ojca. - Nie rozumiesz. Nie zrozumiałeś, o czym mówię. Nie usłyszałeś tego, co do ciebie mówiłem.

- Słyszałem wszystko, co powinienem był usłyszeć. Na twoim miejscu nie mówiłbym tego nigdy więcej.

Mogę cię wyrzucić z firmy razem z twoim ukochanym Samem Pope'em. Pomyśl sobie o tym następnym razem, kiedy będziesz w nastroju do obrzucania mnie inwektywami. Ta firma jest moja, Johnie Davidzie, moja.

John odrzucił głowę w tył. Mógłby się spierać z ojcem, że on też ma tu coś do powiedzenia, a firmie na pewno nie wyjdzie na dobre, jeśli odejdą z niej i Sam, i on. Nie jest wykluczone, że po takich zmianach pozostali wspólnicy będą się musieli nieźle nagłowić, żeby utrzymać się na powierzchni. Jednak nie dbał o to wszystko. Nagle poczuł, że ma w życiu coś ważniejszego do osiągnięcia niż wdawanie się w sprzeczki z Johnem Stewartem. Sygnał alarmowy w jego głowie obwieszczał, że w ten oto sposób wybija się na niezależność. Chciał się przekonać, dokąd go to doprowadzi.

\* \* \*

Tymczasem w drugim końcu biura firmy Maxwell, Roper & Dine Sam bił się z niewesołymi myślami. Właśnie wrócił z sądu, gdzie ogłoszono wyrok w sprawie jego klienta - wyrok znacznie łagodniejszy niż żądał prokurator, niemniej jednak był to wyrok skazujący. To napało Sama niepokojem. Jego klient nie był już młody ani nie miał najlepszego zdrowia. Sam nie wyobrażał sobie, że ten człowiek będzie w stanie wytrzymać choćby jeden dzień w więzieniu, a w dodatku lubił go. Był przekonany, że jego wina tkwiła tylko w naiwności, która nim

kierowała, gdy dobierał sobie nieuczciwych współników. Niestety, sędziowie przysięgli uznali, że jego wina była nieco większa.

Oczywiście, Sam mógł jeszcze złożyć odwołanie od wyroku, ale w głębi duszy wiedział, że nie na wiele to się zda. Jego klient miał uczciwy proces, to musiał przyznać.

Sam chciałby być tak uczciwie traktowany w swojej macierzystej firmie, jednak bez względu na to, jakie zarzuty wysuwał na cotygodniowych posiedzeniach zarządu, spotykał się jedynie z chłodnym milczeniem. John

Stewart nie dawał Vicki Cornell ani chwili wytchnienia. Gdy kończyła któreś z jego zleceń i mogła powrócić do pracy z Samem, natychmiast czekało ją wezwanie do gabinetu szefa i nowe zlecenie. Tom Mackle starał się jak mógł, jednak pracował tak wolno, że Sam wolał zrobić wszystko osobiście niż zlecać mu pomoc. I robił wszystko osobiście. W ten sposób narastało w nim zmęczenie, złość i troska o przyszłość.

Ledwo rzucił aktówkę na biurko, rozległ się brzęczyk telefonu. - Adam Holt na linii - powiedziała Joy.

- Chcesz z nim rozmawiać czy mam zapisać wiadomość? Adam Holt był jednym z najbardziej znanych w Bostonie łowców głów specjalizujących się w prawnikach. Przez lata sporadycznie dzwonił do Sama, a ostatnio częstotliwość tych telefonów znacznie wzrosła i to nie z inicjatywy Sama. Nigdy nie zdradził się słowem, że nosi się z zamiarem odejścia z Maxwell, Roper & Dine. Złapał się jednak na tym, że słucha tego, co Adam ma mu do powiedzenia.

Rozmawiali przed tygodniem. Sam mógł swobodnie powiedzieć Joy, żeby nie łączyła rozmowy, jednak niepewność, jaką ostatnio odczuwał, kazała mu podnieść słuchawkę. - Jak się masz, Adam?

- Dziękuję, Sam. Szczerze mówiąc, nie najlepiej. Miałem następne telefony.

- Od kogo?

- Od firmy Malek, Hill & French. Chcą, żebyś u nich pracował, Sam. Rozpaczliwie potrzebują specjalisty do spraw procesowych. Płacą doskonale.

Sam przymknął oczy i potarł zmęczone mięśnie karku.

- Tu nie chodzi o pieniądze, Adam - westchnął. - Myślałem, że ci to wyjaśniłem w poprzedniej rozmowie. Malek, Hill to zbyt duża firma. Wykończyłbym się w takim molochu.

- Miałbyś swój wydział, mały własny kącik w dużej firmie.

Jednak Sam doskonale wiedział, w jaki sposób działają duże firmy. Jeśli ktoś się trzyma na uboczu, jest izolowany, a nawet wyrzucany poza nawias. Wpadłby z deszczu pod rynną.

Zresztą znał wielu wspólników z Malek, Hill & French i choć żaden z nich nie był taki jak John Stewart, to jednak nie przypuszczał, żeby mógł mieć do nich zaufanie.

- To nie dla mnie, Adam. Naprawdę.

- Więc może Waterston & Bailey? Przemyślałeś to jeszcze raz?

- Nie, w ogóle tego nie przemyślałem. Nie ma konieczności, żebym dokądkolwiek przechodził.

- Ale w Maxwell, Roper & Dine masz ograniczoną praktykę. Szczególnie od czasu sprawy Dunn przeciw Hanoverowi musisz odsyłać klientów do innych firm, bo nie macie u siebie wystarczająco dużego wydziału procesowego. To wstyd, Sam.

Jednak Sam nie tęsknił za „wystarczająco dużym wydziałem procesowym”. Podobała mu się jego praktyka taka, jaka była. Nie podobało mu się jedynie to, że na każdym kroku stykał się w firmie z szykanami.

Nagle jego wzrok padł na szarą kopertę, która leżała na biurku pośród dzisiejszej poczty. Przesłał ją Joe Amarino, stary przyjaciel ze studiów, który obecnie pracował jako doradca gubernatora. Poprzedniego ranka rozmawiali przez telefon.

Skończywszy rozmowę z Adamem, rozciął szarą kopertę i wyjął z niej list. List był krótki.

*Przesyłam Ci formularz, o którym wspominałem. Naprawdę chciałbym, żebyś się zastanowił nad zgłoszeniem swojej kandydatury. Uważam, że nie tylko byłbyś wspaniałym sędzią, ale też zrobiłbyś tutaj doskonale wrażenie. Nie rozmawiałem jeszcze o Tobie z gubernatorem, jednak instynkt podpowiada mi, że byłby w siódmym niebie, gdyby mógł mianować na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego kogoś tak młodego i pełnego szczytnych ideałów. Nie zwlekaj zbyt długo. Gubernator chce jak najszybciej rozpocząć rozpatrywanie kandydatur.*

Sam rzucił okiem na formularz zgłoszeniowy, odłożył go na biurko, popatrzył nań z od dali, a potem umknął spojrzeniem w bok. Nie wiedział, co robić. Z jednej strony, chciał pozostać tu, gdzie jest, przynajmniej dopóki wszystkie sprawy w Constance nie zostaną doprowadzone do jako takiego ładu. Z drugiej strony, nie mógł ukryć, że w firmie Maxwell, Roper & Dine czuje się coraz częściej jak wyrzutek.

Porozmawiaj z Annie, mówił sobie, jednak i z tym zwlekał. Nie chciał jej tego zrzucić na głowę, szczególnie teraz, kiedy stosunki pomiędzy nimi zaczęły się poprawiać. Chciał być w jej oczach wspaniałym i silnym mężczyzną, który doskonale radzi sobie ze wszystkimi życiowymi problemami.

Grady mógł dostrzec, jak zmieniło się życie Teke od chwili powrotu Michaela do domu. Kiedy przed południem chłopiec ćwiczył z terapeutą, a po południu uczył się z prywatnym nauczycielem, ona miała czas pójść do apteki, do supermarketu, do biblioteki. Już nie potrzebowała lunchu od McDonalda ani kawy w styropianowym kubku. Sama gotowała, sprzątała, dbała o to, by w domu zawsze były świeże kwiaty. Znaleźć sposób, by jej pomóc, okazało się teraz dla Grady'ego prawdziwym wyzwaniem.

Dlatego też był szczerze zadowolony, kiedy pewnego dnia przyjechał koło południa odwiedzić Michaela i zastał Teke całą roztrzęsioną. - Życie mi uratowałeś, Grady. Właśnie miałam telefon ze szkoły Leigh. Oblała dwa przedmioty. Muszę tam jechać i porozmawiać z pedagogiem szkolnym. Mógłbyś przez ten czas zostać z Michaelem? Dosłownie parę minut?

- Nie musisz się spieszyć - rzekł Grady. - Jestem panem swojego czasu.

Narzuciła na siebie płaszcz, schwyciła klucze i ruszyła do drzwi, lecz zatrzymała się w połowie drogi i podbiegła do Grady'ego. Zarzucając mu ręce na szyję, szepnęła:

- Dziękuję - i wybiegła z domu.

Ciągle czując w nozdrzach miły kwiatowy zapach obecnej Teke, Grady wyruszył na poszukiwanie Michaela. Znalazł go w pokoju gościnnym, który został przerobiony teraz na jego sypialnię. Chłopak oglądał telewizję.

- Cześć, Grady.

- Cześć, Mike. - Grady wyciągnął rękę, a Michael przybił piątkę. - Co ty? Oglądasz opery mydlane?

- Jasne. Tam wszystko jest dokładnie takie, jak tutaj, u nas, jeden problem za drugim. Teraz chodzi o Leigh. Ona wolałaby studiować Maxa niż francuski czy angielski albo matkę. A jak się teraz mama wtrąci, to tylko pogorszy sprawę. Leigh nie przepada za nią, od kiedy mama miała romans z Samem.

- Mama nie miała romansu z Samem - zaproponował Grady, lecz Michael przełączył telewizor na inny kanał i znowu wpatrywał się w ekran.

- Widziałeś tego faceta? Przekoziółkował samochodem i spadł z urwiska. Przez dwa miesiące był w śpiączce. Kiedy się obudził, nie pamiętał dosłownie niczego, ale przynajmniej umiał chodzić. Chętnie bym się z nim zamienił.

- Przecież umiesz chodzić.

- Tak, ale wyglądam jak łamaga.



- Nie będziesz wyglądał jak łamaga, kiedy skończysz terapię.

Michael nie odpowiedział. Wpatrywał się w ekran. Po kilku minutach przełączył na inny kanał, ale nie odrywał wzroku od ekranu telewizora.

- Miałeś ciężki poranek? - spytał Grady.

- Nienawidzę tej terapii. Nienawidzę tych głupich ćwiczeń. Ona też by nienawidziła, gdyby musiała to robić. Ona nie cierpi ćwiczyć. Poczekaj pięć lat, a zobaczysz, jak będzie wyglądała.

- Uważam, że wygląda bardzo ładnie.

- Tylko poczekaj. Będzie miała sflaczałe nogi i ramiona, pomarszczoną szyję i całe ciało obwisłe - wyrzucił z siebie, jakby już nic gorszego od losu nie mogło Teke spotkać.

- To prawie jak laurka na Dzień Matki - zażartował Grady.

Michael z nachmurzoną miną nie odrywał wzroku od telewizora. - Ona mnie dręczy.

- Ona cię kocha.

- Och, tak? I dlatego tutaj jestem?

- Jesteś tutaj - Grady już poczuł pierwsze symptomy zniecierpliwienia - bo wybiegłeś na ulicę, nie sprawdzając, czy coś nie nadjeżdża.

Wtedy Michael spojrzał na niego. - Nie zrobiłbym tak, gdyby ona nie robiła tego, co robiła. Ona jest dorosła. Powinna wiedzieć, co robi.

- No cóż, postąpiła źle. I przeprosiła za to. Cierpi z tego powodu dokładnie tak samo jak ty. To ona cierpiała wtedy, kiedy ty przez dziewięć dni przebywałeś w krainie zapomnienia.

- Ale to nie ona nie może grać w koszykówkę.

- Ale to ona musi być przy tobie wtedy, kiedy ty nie możesz grać w koszykówkę, a jeśli uważasz, że to nie jest takie złe, to nie jesteś taki mądry, za jakiego cię uważałem. Ona cierpi razem z tobą...

Michael odwrócił twarz w stronę ekranu, mrużąc pod nosem: - Zasłużyła sobie na to.

- Nie, nie zasłużyła - rzekł Grady, ponieważ poczuł, że nadeszła pora, żeby ktoś wreszcie to powiedział. - Nie miała zamiaru wyrządzić ci krzywdy. Nikomu nie miała zamiaru wyrządzić krzywdy. I faktem jest, że to graniczy z cudem, że nie chciała nikomu wyrządzić krzywdy, po tym wszystkim, na co się napatrzyła u swego ojca. Mówiła ci kiedyś, jak nią rzucał na drugą stronę chałupy? Była wtedy młodsza od ciebie, ale musiała mu gotować, sprzątać i pracować, a co za to dostawała w zamian? Bił ją w twarz na odlew, kiedy mu nie smakowało jedzenie. Zrzucał ją

z łóżka na podłogę, kiedy czasem zasnęła. A kiedy się spił, nie potrzebował żadnego powodu, żeby ją tłuc gdzie popadnie. Czy ona cię kiedyś tak biła?

Michael wpatrywał się w niego bez słowa.

- Biła cię?

- Nie.

- I ja myślę, że cię nie biła. Całe ostatnie dwadzieścia lat życia poświęciła na to, żeby jej dzieci zaznały czegoś lepszego w życiu niż ona sama miała. Więc zastanów się, co ty o niej wygadujesz. Jeśli będziesz miał szczęście, naprawdę szczęście, wyrośniesz na takiego człowieka, jakim jest twoja mama. - Zwrócił gniewne spojrzenie ku oknu. - Problem tkwi w tym, że siedzisz tutaj unieruchomiony i gnuśniejesz. - Odwrócił się do Michaela. - Jadłeś już lunch?

- Zrobiła mi trochę sera na grillu.

- Jadłeś?

- Trochę.

- No cóż, ja nic nie jadłem, ale nie mam ochoty na jakieś resztki sera. Zjadłbym coś ostrego. Nie masz ochoty pojechać do meksykańskiego baru?

Twarz Michaela pojaśniała. - Pojechać do baru?

- Wiozłem cię kiedyś z basenu i całkiem dobrze ci wychodziło siedzenie w samochodzie.

- Ale ja od czasu wypadku nie byłem w żadnym barze czy restauracji!

- Nie widzę żadnego problemu w pójściu do restauracji. Możesz jeść kanapki tak samo jak i siedzieć w samochodzie. Chyba że się boisz, że ktoś cię nazwie łamagą, bo chodzisz o kulach. - Grady zastanawiał się przez chwilę. - Może i powinieneś się tego bać, ale każdy, kto ci coś takiego powie, ze mną będzie miał do czynienia. A ja, co tu dużo mówić, zabiłem przecież człowieka. A może tu chodzi o to, że ty nie chcesz się nigdzie pokazywać w towarzystwie mordercy?

Jednak Michael już opasywał się rzemieniami. Grady czekał cierpliwie aż chłopiec nałoży na siebie dres. Do tego Michael założył starą czapkę baseballową, którą dostał od niego w szpitalu. Chwilę później, kiedy na kuchennym stole zostawili wielką kartkę dla Teke (nie sposób było jej nie zauważyć), siedzieli już w pickupie i kierowali się w stronę centrum. Grady widział, że Michael od czasu do czasu obrzuca go ukradkowym spojrzeniem, jednak nie powiedział o co mu chodzi, aż siedzieli nad pełnymi talerzami w meksykańskim barze „Taco”. - Wiesz, ty jesteś jakiś inny - odezwał się Michael.

- To dobrze czy źle?

- Dobrze. Jak ktoś w rodzaju Sama. To on zawsze wychodził z jakimiś szalonymi pomysłami, kiedy nam się nudziło. - Twarz mu się nagle nachmurzyła. - Tyle że tak samo jak nie mogę grać w koszykówkę, nie chcę, żeby on ze mną trenował.

- Dlaczego? Słyszałem, że niezły jest w te klocki.

- Tak, szczególnie z moją mamą.

- Na ile słyszałem, to ani on, ani ona nie byli szczególnie zadowoleni z tego, co się zdarzyło, i głowę dają, że Sam wolałby z tobą grać w koszykówkę.

- No cóż, ale nie zagra.

- Nigdy mu tego nie zapomnisz? Nawet ja zostałem wcześniej zwolniony za dobre zachowanie.

- Przecież mówiłeś, że musiałeś się bić, żeby się obronić.

- Owszem i nie jestem z tego szczególnie dumny. Nie sądzę też, żeby Sam był dumny z tego, co zrobił z twoją mamą. To się nazywa mieć skrupuły i dopóki je masz, nie jesteś złym człowiekiem. Naprawdę byłoby to bardzo miłe z twojej strony, gdybyś dał Samowi szansę. Ja zawsze jestem wdzięczny ludziom, którzy mi ją dają.

- Mam pomysł. Ty możesz ze mną trenować. Założę się, że grałeś...

- Nigdy.

- Nigdy?

- A kiedy ja miałem grać w koszykówkę?

- Sam grał w college'u.

- Ja nigdy nie byłem w college'u. A kiedy byłem chłopakiem, nigdy nie chodziłem do szkoły więcej niż parę dni w roku. Nie miałem czasu grać w piłkę. Za bardzo byłem zajęty pomaganiem mojemu tacie przy reperowaniu łodzi w doku.

- Teraz nie jesteś tak zajęty. Co robisz, kiedy nie pracujesz przy wagonie kolejowym pani Hart? - I nagle rozjaśniło mu się w głowie, co natychmiast dało się dostrzec na twarzy. - Wiem! Budujesz łodzie. Mówiłeś to przecież. Właśnie mi się przypomniało. Naprawdę budujesz łodzie?

Grady potwierdził skinieniem głowy.

- Jak to robisz?

Grady się roześmiał. Ten chłopak mógł być cyniczny jak czterdziestolatek, naiwny jak trzylatek i wyszczekany jak osiemnastolatek, ale Grady i tak najbardziej lubił w nim widzieć trzynastolatka o niewinnych zaciekawionych oczach, jakim był teraz. - Trzeba wymodelować

drewno, wypolerować, zdjąć z formy, jeszcze raz wypolerować i pomalować. A potem trzeba spuścić łódź na wodę i wiosłować dokąd oczy poniosą.

- Dokąd oczy poniosą?

- W nieznane. Oglądać świat, jakim go Bóg stworzył. Całe kilometry lasów i wody, gdzie natura rządzi się swoimi prawami, a człowiek jest tylko gościem.

- Czy to jest straszne? - spytał Michael z zapartym tchem.

- Nie, jeśli umiesz zrozumieć, co znaczą dźwięki, które słyszysz. W krainie natury toczy się życie, którego ludzie na ogół nie widzą, bo swoimi hałasami odstraszaają mieszkańców tej krainy, a jeśli ich się nie zobaczy, to co tam oglądać?

Michaelowi zabłyśły oczy. - Indian?

- Ptaki. Piżmowce. Bobry. Jelenie.

- Jelenie?

- Jelenie.

- Niesamowite.

To był największy komplement, jaki można było usłyszeć. Grady zastanawiał się, czy Shelley też używa tego słowa, a jeśli tak, to czy wypowiada je z takim samym zdziwieniem co Michael.

- Zabierzesz mnie tam? - spytał Michael.

- Jak tylko się nauczysz chodzić.

- Ale przecież wszystko, co mam robić, to siedzieć w łodzi i wiosłować...

- Hola, hola! Chyba sobie żarty stroisz. Jeśli chcesz popłynąć dokąd oczy poniosą, nie tylko musisz być w stanie wiosłować, ale i przenieść łódź przez mielizny, nazbierać drewna, ugotować posiłek. Trzeba będzie spać na ziemi i przedzierać się przez zarośla i sprzątać po sobie tak, żeby zostawały tylko ślady stóp. Taka wyprawa to nie piknik.

- Więc po co tam płyniesz?

Grady pomyślał o swojej ulubionej rzece na północy stanu Maine i natychmiast odczuł sens takich wypraw. - Bo tam czuję się spokojny i wolny, i jestem równie dobry jak każdy inny człowiek.

Obaj powrócili do jedzenia. Po chwili Michael powiedział: - To tak samo jak na wyspie Sutters. Nie ma tam żadnego z moich kolegów. Nie muszę być najlepszy.

- A kto powiedział, że w ogóle musisz być najlepszy?

- Mój tata. - Michael spojrział na niego z zaciekawieniem. - A ty uważasz, że jesteś gorszy od innych?

- Och, nie ja. Inni ludzie tak uważają.

- Bo siedziałeś w więzieniu?

- A w dodatku jestem cieślą. To nie jest tak wysoki status jak twojego taty.

- Ale liczy się to, czy robisz to dobrze. Mama to zawsze powtarza. Mówi, że mogę robić cokolwiek, bylebym to robił z pasją. A ty pracujesz z pasją?

Grady musiał się uśmiechnąć. Mógł zobaczyć Teke, jak to mówi. - To zależy, jak zdefiniujesz pasję.

- Robisz to dobrze?

- Myślę, że tak, ale nie mnie oceniać, jak to robię. Może ty mógłbyś to ocenić. Chcesz zobaczyć, co robię?

Twarz Michaela znów się ożywiła. - Teraz?

- Jak tylko skończymy jeść.

Po pięciu minutach wyruszyli w drogę. Po następnych pięciu minutach Grady podjechał pod wagon kolejowy Cornelii Hart.

- Och! - wykrzyknął Michael, kiedy tylko spojrział na wagon przez szybę samochodu. - Nieźle wygląda.

Grady też tak myślał. Buda nabrała nowych kształtów, gdy Grady wymienił ciężkie drzwi na duże okna, które podobnie jak drzwi były osadzone w nowych białych framugach, odcinających się od pomalowanych na szaro zewnętrznych ścian.

Wewnątrz nie było jeszcze takiego efektu. Tylko duże haki wbite w podłogę dawały niejasny obraz tego, jaki miał być rozkład pokoiów. Tymczasem cały wagon był jednym wielkim pomieszczeniem. - Najpierw wykończyłem z zewnątrz - wyjaśnił Grady - żeby móc pracować w środku, kiedy jest zimno.

- Co tutaj będzie?

- To będzie kuchnia. Tamto sypialnia. A my stoimy w bawialni.

- A na górze?

- Tam jest stryżek. Mogę go przerobić na sypialnię albo gabinet.

- I będą schody w powietrzu?

- Zgadłeś.

- Niesamowite. Niezłe miejsce. - Michael pochylił się do przodu, zręcznie oparty o kule, by dotknąć desek, które leżały na koźle i czekały, aż zostaną przycięte.

- Uważaj - ostrzegł go Grady, a w tym samym momencie z oddali zaczął dochodzić odgłos syreny. Miał straszliwą wizję chłopca, który przez nieostrożność osunął się głową w trociny. - Nie uderz się o jakieś narzędzie.

Syreny brzmiały coraz głośniejsze. W tej okolicy takie dźwięki były rzadkością. Grady miał wizję jakiejś staruszki, która doznała wylewu. Kiedy dźwięk syren dochodził jeszcze głośniejsze, pomyślał o Corneli.

- Zostań tu na chwilę - powiedział Michaelowi. - Muszę sprawdzić, czy u pani Hart wszystko w porządku. - Jednak syreny zbliżały się prosto w stronę wagonu. Gdy otworzył drzwi, oślepił go blask świateł. Nie była to karetka pogotowia, ale trzy radiowozy policyjne, które ustawiły się tak, by zablokować wyjazd jego samochodowi.

- Co się dzieje? - zapytał.

Drzwi radiowozów otworzyły się z impetem i wysypali się z nich policjanci z bronią wymierzoną prosto w niego.

- Spokojnie, Piper! - krzyknął jeden z policjantów.

- Połóż ręce na karku. Powoli. Właśnie tak.

Grady'ego ścisnęło w żołądku, gdy tylko spostrzegł wymierzoną w siebie broń, a teraz stęzał każdy mięsień jego ciała.

- O co chodzi, sierżancie? - zapytał najspokojniej jak tylko mógł. Zdążył się już niezłe zaznajomić z policją z Constance, ale do tej pory jeszcze nigdy nie mierzyli do niego z pistoletów.

- Zrób pięć kroków do przodu.

Grady zrobił pięć kroków do przodu. - Czy popełniłem coś złego?

- Gdzie jest chłopiec?

- W środku.

Policjanci natychmiast okrążyli wagon z pistoletami cały czas wymierzonymi w Grady'ego, który czuł się coraz bardziej zaalarmowany. Nie lubił pistoletów, cholernie ich nie lubił.

- O co tutaj chodzi? - zapytał, kiedy zdołał wyłowić z grupy policjantów Dodda. Chciał się dowiedzieć, o cóż tym razem jest podejrzany. Ostatnio to było włamanie. Tym razem wymierzone w niego pistolety świadczyły o tym, że podejrzewano go o coś znacznie gorszego. Na samą myśl, że w miasteczku mogło zostać popełnione jakieś morderstwo, przeszedł go dreszcz.

- Znajdź chłopca - rzucił jeden z policjantów.
- Tutaj jest - odpowiedział drugi.
- Czego oni chcą, Grady? - przerażonym głosem spytał stojący w drzwiach Michael.
- Nic ci się nie stało, synu? - spytał go stojący najbliżej policjant.
- A co mi się miało stać? Czuję się świetnie. A wy co tu robicie?

Policjanci otoczyli Grady'ego ciasno. Mógł się domyślać, że to Connors wyceluje w niego pistolet, i tak się stało. Wyglądało na to, że się świetnie bawi. - Na samochód, Piper! Ręce na dach.

Grady dobrze znał ten dreszcz. Wiedział też dobrze, że wystarczy jeden fałszywy ruch, a pistolet małomiasteczkowego tępego policjanta bardzo łatwo może wystrzelić. Powoli położył dłonie na dachu radiowozu. Natychmiast kopnięciem rozstawiono mu nogi i dokładnie go przeszukano.

- Co wy robicie? - wrzasnął Michael. - On nie naruszył prawa. O co jest oskarżony?
  - O porwanie - rzekł Connors, zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach Grady'ego.
- Grady był osłupiały. - O porwanie?
- A kogóż on porwał? - wrzasnął Michael.

Ale Grady nagle wszystko zrozumiał. Złość zaczęła się w nim rozpalać wściekłym płomieniem. - Dodd? - zwrócił się ściszym głosem do stojącego w odległości kilku metrów policjanta. - Musimy pogadać, Dodd.

- Na komisariacie sobie pogadamy - rzucił Connors, otwierając tylne drzwiczki radiowozu.

Michael nagle rzucił się do przodu. - Nie możecie go wsadzić do tego samochodu. On nie jest przestępcą. Nie zrobił niczego złego. - Kiedy policjant próbował go powstrzymać, krzyknął: - Nie dotykaj mnie!

Dodd podszedł do Grady'ego.

Z wielkim wysiłkiem Grady zdołał opanować rozpierającą go wściekłość i mówić tak cicho, żeby rozmowa nie doszła do uszu Michaela. - Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? - powiedział do Dodda. - To sprawka Maxwella. Zostawiłem na stole w kuchni kartkę, że zabieram Michaela na lunch. Musiał ją zobaczyć. Wiesz, że on mnie nienawidzi, i tak samo wiesz, że nie porwałem chłopca. Jestem jego przyjacielem i przyjacielem jego matki. Zadzwoń do niej. Wyświadczyłem jej przysługę zostając z chłopcem. Teraz już powinna wrócić do domu. Jeśli mnie zamkniecie za porwanie, wyjdziecie na ostatnich głupców.

Dodd miał obrzydzenie wypisane na twarzy. - Odebraliśmy telefoniczne zawiadomienie o przestępstwie. Musimy robić to, co zwykle w takich przypadkach.

- I zdenerwować chłopca? - spytał Grady w chwili, gdy Michael zmaterializował się obok niego.

- Oni nie mogą tego zrobić, Grady. Powiedz im, że nie mają prawa. Nikogo nie porwał. Nie mogą łamać twoich praw.

- Mówi zupełnie jak ojciec, nie sądzisz? - spytał Dodda Grady.

Dodd rozejrzał się wokół i machnął ręką, odsyłając policjantów do radiowozów, a potem zwrócił się do Michaela: - A co powiesz na małą przejażdżkę ze mną i z Gradym? Podrzucimy cię do domu, a po drodze wstąpimy na komisariat i wszystko sprostujemy.

- O trzeciej przychodzi do niego nauczyciel - powiedział Grady.

Jednak Michael nie wahał się ani chwili. - Jadę z wami. Nie ma przestępstwa, kiedy nikt nie jest poszkodowany. Jeśli te matoly tego nie wiedzą, muszę im wytłumaczyć.

- Uważaj, co mówisz, Michael - ostrzegł go Grady. - Te matoly są tu po to, żeby ci zapewnić ochronę.

- Mnie zapewnić ochronę? Ty możesz mi zapewnić znacznie lepszą ochronę niż oni wszyscy razem wzięci. - Odwrócił się do Dodda. - Bardzo się pomyliliście. Grady mnie nie porwał. Czy wyglądam na sterroryzowanego? Wyglądam na nieszczęśliwego? Nie! Jestem tutaj z własnej nieprzymuszonej woli, co moglibyście bez trudu zrozumieć, gdybyście pod tymi swoimi kapeluszami szeryfów mieli chociaż namiastki mózgów.

- Jezu, Michael - gwizdnął Grady, po czym rzucił do Dodda: - Musiał się za dużo oglądać telewizji.

- Konkretnie oper mydlanych - sprostował Michael - a wszystko, co się tutaj dzieje, to kolejna opera mydlana. Rzygać się chce.

Dodd warknął do Connorsa: - Zdejmij mu kajdanki.

- Jeśli mu zdejmę kajdanki, gotów...

- Zdejmij mu kajdanki, do jasnej cholery!

Connors zdjął Grady'emu kajdanki, zaś Dodd ostrzegawczo położył mu dłoń na ramieniu.

- Teraz odwieź chłopca do domu, a my cię będziemy eskortować. Wystarczy, że tam pojawi się mała wątpliwość, a natychmiast cię zabieramy na komisariat. Rozumiesz?



Grady rozumiał. Rozumiał także, że John David Maxwell nie spocznie, dopóki się go nie pozbędzie z miasteczka, ale niech go diabli, jeśli miałyby dać się stąd wykurzyć. Zostanie tu tak długo, jak długo Teke będzie go potrzebowała. I nie wyjedzie ani dnia wcześniej.

\* \* \*

Kiedy Teke przyjechała do domu i zobaczyła stłoczone radiowozy na podjeździe, jej wyobraźnia się rozszalała. Wydawało jej się, że upłynęło dziesięć lat, zanim zdołała zaparkować i dobiec do domu, tak pełna była niepokoju. A kiedy się dowiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, rozsadzała ją wściekłość. Po tym okropnym Świącie Dziękczynienia, po upokarzającej rozmowie z pedagogiem szkolnym Leigh, zamieszanie, jakie spowodował John, było kroplą, która przepełniła czarę. Kiedy policja i Grady odjechali, a Michael poszedł na lekcję ze swoim nauczycielem, dała upust swej furii.

- To, co zrobiłeś, jest wyjątkowo obrzydliwe! Okrutne, głupie i chore! Dobrze wiedziałeś, że Grady spędza z Michaeliem wiele czasu. Widziałeś wiadomość na stole w kuchni. Dobrze wiedziałeś, że nikt Michaela nie porwał. Po co ci to wszystko?

John David sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego, co jeszcze podsycalo jej złość. Zamiast zaprzeczać jej słowom, wzruszył ramionami. - Nie podoba mi się ten Grady Piper. Nie podoba mi się to, że przesiaduje z moim synem.

- Ktoś musi z nim siedzieć, ponieważ ty, naturalnie, nie możesz, ale to już inna sprawa - odparła jego atak i sama ruszyła do natarcia. - Jakim prawem w ten sposób traktujesz Grady'ego? Od dnia, kiedy tu się zjawił, usiłujesz go wpędzić w kłopoty. Co on ci takiego zrobił?

- Potrafił mojego syna.

- To nie była jego wina! - wykrzyknęła, bo wydawało jej się, że powtarza to już po raz tysięczny. - Nigdy nie zrobił ci nic złego, poza tym, że mnie znał, kiedy byłam dzieckiem. - Zawiesiła głos. - Ale to o to chodzi, prawda? Jesteś zazdrosny. Sam mnie nie chcesz, ale o niego jesteś zazdrosny.

- Nie jestem zazdrosny.

Właściwie powinno jej to schlebiać, ale była zbyt wściekła, by odczuwać tego typu satysfakcję. - Przychodzi tutaj i odśnieża mi ścieżkę. Zostaje z Michaeliem, kiedy ja muszę pojechać do szkoły. Wstępuje, żeby po przyjacielsku ze mną pogawędzić. Pomaga mi, kiedy chcę zabrać Michaela do miasta. Robi wszystko, żeby mi jakoś pomóc. A to psuje twój obraz.

- Nie, nieprawda. Już tutaj nie mieszkam. To chyba naturalne, że nie mogę teraz robić tych wszystkich rzeczy.

Grzmotnęła pięścią w stół. - Nigdy ich nie robiłeś! Twoja praca, twoje potrzeby, to zawsze było na pierwszym miejscu. Pomagałeś mi pojechać do miasta tylko wtedy, kiedy to dla ciebie było wygodne. Jeśli chcesz wiedzieć, to nie odczuwam wielkiej różnicy po tym, jak się wyprowadziłeś. Zawsze musiałam się o wszystko troszczyć sama, więc i teraz to robię.

I jeśli rzeczywiście chcesz znać prawdę - brnęła dalej, wyławiając po kolei myśli, które tłoczyły jej się w głowie - to nigdy jeszcze twoje wyjście z domu nie sprawiło mi takiej ulgi jak w Święto Dziękczynienia. Sądziłam, że przychodząc tutaj wyświadczasz mi przysługę, ale to nie była przysługa. Jesteś ponurym mrukiem i tylko wywołujesz kłopoty. Kiedy tu wszedłeś, przyniosłeś ze sobą burzowe chmury, a zabrałeś je, kiedy wychodziłeś. Więc jeśli rzeczywiście chcesz mi wyświadczyć przysługę, to trzymaj się od tego domu z daleka!

Gdzieś w środku swojej tyrady zaczęła się cała trząść. Nie starała się opanować tego drżenia, tak samo jak nie czyniła żadnych wysiłków, żeby nie ciskać na Johna błyskawic wzrokiem. Nigdy w życiu jeszcze nie była taka zła.

- Tę przysługę masz jak w banku - powiedział John chłodno, wyniosłe unosząc w górę podbródek, dokładnie tak jak to miał w zwyczaju starszy Maxwell. - Będę ci wyświadczal również inne przysługi, ale o każdą, dokładnie o każdą, będziesz musiała poprosić. A to oznacza pieniądze, dom, samochód, nowe ubrania. Czy będziesz w stanie sama utrzymać się na takim poziomie, do jakiego jesteś przyzwyczajona? - spytał, kierując się do drzwi.

- Nie chcę twoich pieniędzy!

- Zadziwiająco, jak szybko zmieniłaś skórę, Teke. I po co były te wszystkie słowa o tym, że chciałabyś utrzymać nasze małżeństwo? O tym, że chcesz jak najlepiej dla dzieci? Wystarczyło, że się zjawił Grady Piper i w jednej chwili masz to wszystko w nosie, i jeszcze dziwisz się, że nie lubię tego typu. - Mówił to, już wychylając głowę za drzwi.

Rozpalona natłokiem argumentów, nie przestawała dowodzić swego. - Grady nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. To dotyczy tylko ciebie i mnie. - Podniosła głos, kiedy John wsiadł do samochodu. - Nie próbuj jego obarczyć winą. Jeśli nasze małżeństwo się skończyło, to dlatego, że sami je spieprzyliśmy. My to zrobiliśmy. Więc nie obwiniaj jego, nie obwiniaj Sama, nie obwiniaj swojego ojca...

Odjechał, zostawiając ją wykrzykującą na zimnie swe racje, których nikt już nie słuchał. Po chwili zamilkła, oplótła wokół ciała ramiona i wróciła do domu. Jednak złość w niej nie uci- chła. Ani rozgoryczenie, ani przerażenie.

Tak więc tego wieczoru, korzystając z faktu, że przyszli Max i Zoe, żeby odrabiać lekcje z Leigh i Janą, a Michael oglądał telewizję, zostawiła naczynia po kolacji w zlewie, pobiegła przez lasek i zapukała - po raz pierwszy od tamtego pamiętnego dnia - do kuchennych drzwi Pope'ów.

- Masz chwilkę czasu? - zapytała nerwowo, kiedy Annie otworzyła drzwi.

- Jasne. Właśnie pijemy kawę. Napijesz się?

Teke potrząsnęła przecząco głową. Serce waliło jej jak młotem, kiedy wchodziła do kuchni.

Sam siedział przy kuchennym stole. - Wszystko w porządku? - spytał.

- Och, jakby tu powiedzieć... Potrzebuję rozmowy z przyjaciółmi. A poza wami nie mam nikogo takiego. Nikt mnie tak nie zna jak wy. Oparła się o kuchenną ladę z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza i dalej mówiła przez ściśnięte gardło. - Między mną a Johnem źle się układa. Już nic z tego nie zostało. Skończyło się i to nieodwołalnie.

Annie i Sam wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Naprawdę wszystko skończone? - spytała Annie.

- Jesteś pewna.

- Wiedziałam to już w Święto Dziękczynienia. Cóż to był za koszmary dzień. - Ciągle jeszcze przenikał ją do szpiku kości koszmar tamtego obiadu. - To była prawdziwa ulga, kiedy wyszedł. Kiedy go nie ma, wszyscy w domu jesteśmy znacznie spokojniejsi. Moje życie jest znacznie spokojniejsze, kiedy go nie mam w zasięgu wzroku. Nie o to chodzi, że się kłóciliśmy, bo w zasadzie aż do tej pory nigdy nam się to nie zdarzało, ale on miał swoje upodobania, a ja czułam się w obowiązku do nich dostosować. Kiedy dzieci były małe i zbliżała się pora jego powrotu z pracy, biegałam po domu jak oszalała i zbierałam zabawki, żeby nic nie zostało na podłodze. Chciał, żeby w domu nie było pyłku, i nie było. W ostatnich latach nie trzeba było sprzątać zabawek, za to podręczniki, ubrania i te tony przychodzących pocztą reklam. A przez ostatnie tygodnie mam z tym wszystkim święty spokój, i to bardzo miłe. Tak samo z porą kola- cji - może być o wpół do siódmej, a nie o wpół do ósmej.

- Przecież przez dziewiętnaście lat byłaś żoną tego człowieka - powiedział Sam. - Musia- ło ci się coś w nim podobać.

Teke otuliła się mocno ramionami, by powstrzymać drzenie. Oszalałe bicie serca nie ustawało, a żołądek skręcał się niemilosiernie. Była na życiowym zakręcie. Kiedy już dokona wyboru, nie będzie odwrotu. - John dawał mi poczucie stabilizacji. On jest całkowicie przewidywalny. Zarabia na życie na dobrym poziomie. Daje bezpieczeństwo finansowe. Odnosi się do mnie z szacunkiem, a raczej odnosił się, aż do teraz. Czasami był uroczy. Zdarzały mu się takie chwile. Ale już się nie zdarzają. Jest na mnie tak wściekły, że już nic dla siebie nie znaczymy ani w niczym nie możemy sobie pomóc, a Święto Dziękczynienia było tylko małą próbką tego wszystkiego, co by się działo i co by musiały znieść dzieci, gdybyśmy byli razem. Dzisiaj okropnie się pokłóciliśmy. Więc po co to wszystko? - Zwróciła się do nich. - Czy jest o co walczyć? Myślę, że dlatego do was przyszedłam. Żeby zapytać, czy któregoś z was widzi w moim małżeństwie coś, co warto by było ratować.

- No cóż - westchnął Sam. - Byłaś dobra dla Johna.

- Nie - zaprzeczyła Teke z nowym przekonaniem.

- Matkowałam mu. Za bardzo mu matkowałam. Gdyby, był zmuszony więcej robić jako ojciec i mąż, stałby się silniejszy, a gdyby był silniejszy, umiałby się przeciwstawić Johnowi Stewartowi.

- Zapewniam cię, że bez ciebie będzie o wiele gorszy - upierał się Sam.

- Beze mnie będzie wolny i będzie mógł się sam odnaleźć.

- Nie odnajdzie siebie. Odnajdzie Johna Stewarta.

- Więc mam trwać w tym małżeństwie, żeby uchronić Johna przed jego ojcem? - spytała Teke. Pomyślała, że jak zwykle ona staje się w tych wszystkich rozważaniach nieważna. Nieoczekiwanie znowu narosła w niej złość, niemal tak samo wielka jak przed paroma godzinami.

- A co ze mną? Kiedy moje potrzeby staną się istotne?

Chciałam mieć rodzinę i bezpieczeństwo finansowe, i właśnie to miałam przez ostatnie dziewiętnaście lat, ale to dokładnie tak samo, jakby się miało dobrze płatną pracę, której człowiek nie może znieść. Więc co jest to wszystko warte? Ciągle chcę mieć rodzinę i będę chciała zabezpieczenia finansowego, jak długo tylko będę pamiętać o swojej młodości bez grosza, ale teraz chcę jeszcze czegoś więcej.

- Czy tym „czymś więcej” jest Grady? - spytała Annie.

- Nie - Teke zaprzeczyła tak szybko, że tym samym rozwiązała nawet własne wątpliwości.

- Grady mnie kiedyś porzucił. Nie chcę mężczyzny, który tak postępuje z ukochaną kobietą.

- Kochasz go?

- Uwielbiam go. Całe życie go uwielbiałam. Ale mogłabym żyć bez niego, naprawdę mogłabym, gdyby moje małżeństwo było stabilne. - Wydała z siebie zmęczone westchnienie. - Ale teraz najważniejsze są dla mnie dzieci.

- Więc już to wszystko przemyślałaś?

Teke skinęła głową. - Próbowałam kierować się rozsądkiem. Wierzcie mi, że próbowałam. - Na jej twarzy ukazał się nieśmiały uśmiech. - John nie jest w tym całym układzie jedyną osobą, której trzeba było matkować. Tak samo ja zawsze szukałam w tobie oparcia, Annie, może w większym stopniu niż powinnam była. Ty i Sam byliście naszą opoką, więc nic dziwnego, że bez was moje i Johna małżeństwo się rozpada.

- Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie.

- Ciągle pamiętam ten wieczór, kiedy was ze sobą poznaliśmy. Myśleliśmy, że jesteście idealnie dobraną parą, pamiętasz, Sam? Twój najlepszy przyjaciel i moja najlepsza przyjaciółka, przeciwności, które się przyciągają jak magnes. - Odwróciła się do Teke z bezsilnością wypisaną na twarzy. - Więc to spieprzyliśmy?

- Och, nie, Annie - pośpieszyła Teke z zapewnieniem. - Przeżyliśmy z Johnem wspaniałych dziewiętnaście lat.

Gdybym nie wyszła za niego, nie miałabym moich dzieci, a zresztą, gdyby się wszystko tak nie pokręciło, pewnie przeżyłabym z Johnem następnych dziewiętnaście lat. Ale wszystko się teraz zmieniło, więc muszę się dobrze zastanowić, dokąd zmierzam. Tak jak to teraz widzę, z tym nowym dla mnie rozsądkiem - dorzuciła, kpiąc nieco z samej siebie - mam cztery zasadnicze problemy. Pierwszy, to jak postępować z dziećmi. Powiedzieć im teraz, czy poczekać z tym wszystkim? Mówić im o rozwodzie, czy obstawać tylko przy separacji?

- Porozmawiaj z Johnem, zanim się na cokolwiek zdecydujesz - rzekł Sam. - Musisz się upewnić, czego on chce.

- A co z tym, czego ja chcę? - wykrzyknęła Teke, a jej emocje rozbłysły nowym płomieniem. - Może nadeszła pora, żebym robiła to, co dla mnie jest najlepsze! Czy wiecie, że nie mam pojęcia, ile mamy na koncie, ani na jaką kwotę jest ubezpieczony dom, ani co się wpisuje w formularzu podatkowym? Nigdy w życiu nikt nie przysłał mi czeku. Nie mam ani jednego własnego centa! Wyobrażacie sobie, jak beznadziejnie się czuję? Jaka się czuję zależna? Jakie to okropne? - Czując, jak przeszywają ją dreszcze, otuliła się mocno płaszczem. - Ale jakoś so-

bie z tym wszystkim poradzę. Muszę się zdecydować, jak rozmawiać z dziećmi. Wydaje mi się, że nie powinnam im nic mówić, dopóki sama nie będę tego pewna. Mam rację?

Annie skinęła głową. - Chyba że one mogłyby wpłynąć na zmianę twojej decyzji.

Z przekonaniem, które jeszcze się umocniło na wspomnienie popołudniowej kłótni, Teke rzekła: - Na to już za późno. John tak samo nie chce sklejanego małżeństwa jak i ja. - Zwróciła się do Sama. - Prawda?

Upłynęła chwila, zanim Sam cicho odpowiedział: - Prawda.

Ból, jaki sprawiła jej ostatnia utarczka z Johnem, uodpornił Teke na bolesną prawdę, która jeszcze przed tygodniem czy dwoma mogłaby jej sprawić przykrość.

- A to prowadzi do mojego drugiego problemu. Boże Narodzenie stanie się kolejnym koszmarem. Nie chcę do tego dopuścić.

- Myślę, że powinniśmy wszyscy jechać na narty - powiedziała Annie.

Teke się wzdrygnęła. - Wszyscy? Przecież nie chcesz, żebym ja tam była.

- Chcę. Ale czy to nie będzie męczarnia dla Michaela, który nie może jeździć na nartach?

- Chciesz, żebym ja była z wami? - Sądziła, że to ostatnia rzecz na Ziemi, jakiej by sobie Annie życzyła.

- Owszem, Teke - powtórzyła Annie tonem, jakim mogłaby się zwracać cierpliwa nauczycielka do niezbyt pojętnego ucznia. - Chcę, żebyś była z nami, ty i twoje dzieci.

- Ale dlaczego?

- Bo musimy dalej żyć.

Teke pragnęła tego nad życie, ale nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - Razem? Po tym wszystkim, co się stało?

Annie się zamyśliła. - Byliśmy ze sobą tak blisko. Myślałam, że wszystkim nam to odpowiada. Tak bardzo wspieraliśmy się nawzajem, a teraz pora nauczyć się stać o własnych siłach. Ale przecież przeżyliśmy razem tyle dobrego. Nie możemy tego odrzucić, prawda? Dzieci chcą być razem, a wiemy, że John tam nie przyjedzie, więc ty będziesz mogła się trochę odprężyć.

- Ale czy ty będziesz mogła się odprężyć? - spytała Teke, rzucając szybkie spojrzenia na Sama.

Wydawało się, że Annie musi się uporać z tym pytaniem. - Spróbuję - odpowiedziała wreszcie.

Przez te wszystkie tygodnie po wypadku Michaela Teke była świadoma, jak bardzo jej brakuje Annie. Jednak dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo ją kocha. Gdyby sytuacja była inna, w tej chwili przytuliłaby się do niej z całej siły. Zamiast tego otarła tylko łzy z kącików oczu i powiedziała:

- No cóż, dobrze, że przynajmniej dziewczynki będą mogły z wami pojechać, nawet jeśli my z Michaeliem zostaniemy w domu. - Drżącymi ustami złapała oddech i powróciła do swojej listy problemów. - Dwa ostatnie problemy są już natury technicznej i wiążą się ze sobą. Muszę przedsięwziąć kroki dla swojej ochrony. Muszę mieć jakieś pieniądze, swoje konto. I muszę uzyskać od Johna tyle pieniędzy, żeby móc utrzymać dzieci. Potrzebuję prawnika. - Popatrzyła Samowi w twarz. - Znasz kogoś dobrego?

- Och, Teke! To okropne.

- To jest konieczne, Sam. Uwierz mi. Z mojego małżeństwa już nic nie zostało do ocalenia. Jestem gotowa się z tym pogodzić. I jeśli płaczę po nocach, to nie dlatego, że oplakuję Johna. Po prostu żal mi dzieci, które przez to wszystko cierpią. Może jeśli John i ja jasno postawimy sprawę rozwodu, dzieciom będzie łatwiej przez to przejść. Nie prosiłabym cię o kontakt do prawnika, bo wiem, że w ten sposób znów musisz stanąć przeciwko Johnowi, ale naprawdę nikogo nie znam i nie mam kogo poprosić o pomoc. Potrzebuję pomocy. Podaj mi tylko nazwisko.

Po dziesięciu minutach, z kartką z nazwiskiem i numerem telefonu adwokata w kieszeni, szła przez las do domu.

## Rozdział 16

Annie nie lubiła dorocznych wydziałowych przyjęć z okazji Bożego Narodzenia. Składało się na to wiele przyczyn. Pierwsza, przyjęcie odbywało się zbyt wcześnie, zaledwie w drugim tygodniu grudnia, kiedy się jeszcze miało w ustach smak indyka ze Święta Dziękczynienia. Po drugie, był to okres, kiedy piętrzyła się praca charakterystyczna dla końca semestru, co pewnie było do zniesienia dla wykładowców nie obarczonych rodzinami, ale dla Annie, która miała obowiązki rodzinne - i to teraz większe niż kiedykolwiek - koniec semestru oznaczał jeszcze więcej nie przespanych nocy niż zwykle. Trzeci powód, dla którego przyjęcia bożonarodzeniowe były dla Annie męczarnią, wiązał się z miejscem, gdzie się odbywały. Otóż, była to jedna z niewielu okazji, na które otwierano salę wyłożoną ciemnym drewnem, wypełnioną ciężkimi starymi meblami o aksamitnych obiciach, a oświetloną światłem wielkich kandel-

brów, salę, która miała w sobie ponurą, staroświecką atmosferę. Wrażenie było tym gorsze, że przyjęcia wydziałowe nie miały charakteru oficjalnego. Nie zapraszano także gości spoza uczelni ani nie było tradycji przychodzenia z małżonkami czy osobami towarzyszącymi. Tym razem Annie chętnie widziałyby się tutaj u boku Sama.

Przyjechała spóźniona. Nałożyła sobie na talerz krewetki i wzięła kieliszek wina, po czym rozejrzała się wokół. Natychmiast przyszło jej do głowy, że może to jednak dobrze, iż nie ma tutaj Sama. Susan Duffy wyglądała zabójczo w seksownej sukience. Natalie Holstrom nie była od niej gorsza. Potem przyszła jej do głowy druga myśl: jak smutna była ta pierwsza myśl. Nigdy przedtem takie myśli jej się nie zdarzały. Jakże by chciała nigdy ich nie zaznać!

Dołączyła do najbliższej grupy przyjaciół i chwilę z nimi pogawędziła. Potem przeszła do następnej grupy i stanęła w milczeniu, słuchając rozmowy jednym uchem. Widywała tych ludzi niemal codziennie i właśnie dlatego uważała, że przyjęcie miałoby większy sens, gdyby zaprowadzono zwyczaj przychodzenia z osobami towarzyszącymi. To ożywiłoby rozmowy i nadałoby im nowy wymiar. Chętnie poznałaby żony swoich kolegów i mężów koleżanek. Nie miałyby też nic przeciwko temu, żeby pochwalić się własnym mężem.

- Znudzona? - spytał Jason, stając za jej plecami.

Odwróciła się do niego.

- No cóż... Akademickie dyskusje mają w sobie coś małomiasteczkowego. W kółko wałkuje się te same tematy.

- To się nazywa dogłębna analiza.

Annie uśmiechnęła się. - I nadal chcesz dołączyć do takiego towarzystwa?

- Owszem - odrzekł, a głos mu się nieco wzniosł.

- Równie dobrze ja mogę prowadzić dogłębne analizy jak jakiś inny facet. Może nawet będę to robił lepiej. Zresztą - dorzucił sucho - nie mogę się już wycofać. Za bardzo się zaangażowałem. Albo mogę to robić dalej, albo objąć posadę sprzątacza w domu towarowym.

- Wystąpiłeś już o stypendium?

- Jeszcze nie. Wypełniłem wszystkie formularze. Teraz czekam, kiedy znajdę się w ostatecznej potrzebie.

Annie nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak się czuje człowiek, który nagle z bogacza staje się nędzarzem, starała się więc być wyrozumiała dla jego nonszalancji. Lubiła Jasona, podziwiała jego inteligencję i błyskotliwość. Wprawdzie ciągle oblewała się rumieńcem na



wspomnienie tego, jak pozwoliła mu się dotykać, jednak teraz, kiedy znów za plecami miała Sama, to wspomnienie nie było już takie straszne.

Miała wyrzuty sumienia, że do tej pory nie powiedziała Samowi o tej przygodzie z Jasonem, ale doprawdy nie wiedziała, kiedy i jak miałyby mu to powiedzieć. Bała się wystawiać na próbę swoje małżeństwo, które choć ciągle jeszcze nie do końca sklezione, zaczynało powoli nabierać dawnych barw. Cieszyła się, że Sam poświęca jej tyle uwagi. Dzięki temu czuła się pewniej jako kobieta.

Oczywiście dopóki nie popatrzyła na kobiety takie jak Susan Duffy. Starła się więc nie patrzeć.

- Jak się wiedzie twojej rodzinie? - spytała Jasona.

- Gdybyś z nimi porozmawiała - odpowiedział - uznałabyś, że wszystko idzie jak po maśle. Dopiero kiedy się prosi tatę o pieniądze, wychodzi szydło z worka. Jak mówi, pojawiły się zakłócenia w płynności finansowej firmy, ale ja nie zauważyłem, żeby tata nakładał sobie jakieś ograniczenia życiowe. Gdy się patrzy z zewnątrz, wygląda na to, że jedyną zachcianką, której postanowił sobie odmówić, jest finansowanie syna.

- Och, Jason - skarciła go, po czym ciszej zapytała: - Jak się czujesz?

- Świetnie.

- Byłeś u mojego lekarza?

- Taa. Opanowany facet.

- Znalazł jakąś chorobę?

Jason uśmiechnął się szeroko i puścił oko do kogoś po drugiej stronie sali. Widząc jego wesołe zachowanie, Annie przypuszczała, że rzeczywiście dobrze się czuje. Aż przeszył ją dreszcz, kiedy usłyszała: - Myśli, że to jest cukrzyca.

- Cukrzyca?

- Ciii. To będzie nasz sekret.

Annie mówiła szeptem. - Ale przecież miałeś objawy przeziębienia. Cukrzyca to poważna choroba.

- To się zdarza w naszej rodzinie. Właściwie to nawet nie powinienem być zdziwiony. Po prostu wydawało mi się, że zdołam się z tego wywinąć, taki ze mnie zarozumiały gnojek.

- Jeszcze tylko tego ci brakowało - Annie była pełna współczucia.

- Nie przejmuj się tak. Nic mi nie będzie. - Spoważniał. - To naprawdę jest tajemnica. Już i tak Honnemann jest dla mnie wystarczającym problemem. Gdyby się jeszcze dowiedział, że jestem chory, z pewnością nigdy by mnie nie zatrudnił. Nie powiesz mu nic, prawda?

- Oczywiście, że nic mu nie powiem - zapewniła go szybko. - Przecież to nie ma nic do rzeczy. Mam tylko nadzieję, że to nie będzie dla ciebie wyczerpujące, żeby zdążyć z napisaniem pracy do czerwca.

- Nie mam wyboru. W następnym roku szkolnym muszę już pracować.

- Robisz sobie zastrzyki?

- Biorę tabletki.

- Skierował cię do specjalisty?

- Do Duncana Hobbsa. Słyszałaś kiedyś o nim?

- Nie, ale mogę się dowiedzieć, jaką ma opinię.

- Dziękuję, mamusiu.

Annie nie podjęła obrony. - To chyba najwłaściwszy układ, nie sądzisz?

Obrzucił wzrokiem jej piersi. - Nie jestem pewien. Za to ty masz niesamowite wyczucie.

Oblała się rumieńcem. Westchnęła. - Jason, bardzo cię proszę, powstrzymaj się od takich komentarzy, a ja nie powiem nikomu, że musisz połykać tabletki. Układ stoi?

Jason uśmiechnął się, po czym spojrział w drugą stronę sali. - Och, moje wielbicielki nie mogą się doczekać. Pozwoli pani, że ją opuszczę.

Dała mu kuksańca na odchodne i w tym momencie napotkała wzrok Charlesa Honnemanna, który stał samotnie w smokingu i jaskrawoczerwonej muszce. Podeszła do niego.

- Nasz wydział chyba się robi coraz potężniejszy - zauważyła. - W ubiegłym roku przyjęcie nie było takie duże jak teraz.

- Kryzys gospodarczy działa na naszą korzyść, ponieważ chesne u nas nie jest wysokie - odpowiedział Charles. - Jesteśmy zasypywani prośbami o informacje o warunkach studiów. Jeżeli to się zakończy zwiększonym naborem, to w przyszłym roku będzie jeszcze większe przyjęcie.

- W takim razie będziesz musiał przynajmniej uzupełnić wakaty. Czy istnieje szansa, żeby zatrudnić Jasona?

- Owszem, szansa istnieje - przyznał Charles - ale nie wiem, co on sobą reprezentuje. Nie zrobił jeszcze dyplomu.

- Zrobi. Pisz pracę magisterską pod moim kierunkiem. Jest to analiza twórczości Jamesa Joyce'a. Niezwykle błyskotliwa.

Charles obserwował Jasona, który w przeciwległym końcu sali zabawiał grupę asystentów. - Lubisz tego chłopaka.

- Mhm.

- Ma dość nonszalancki sposób bycia.

- Czy to jest coś gorszego niż zdziwienie? - spytała i nie musiała dalej wyjaśniać. W tej sali było sporo niezłych cudaków, których rozpoznawało się już na pierwszy rzut oka. - Jest pracowity. Ani razu się na nim nie zawiodłam.

- Więc to się ciągle rozwija?

- Co?

- Twój związek z Faustem.

- Słucham? - spytała w najwyższym zdumieniu.

- Lubisz go. A on też cię lubi, co widać.

Jason z pewnością nic nie powiedział. Annie była tego pewna, a jednak poczuła jakieś dziwne mrowienie w karku. - Jestem mężatką, Charles.

- Lady Chatterley też była. - Westchnął. - Nie żeby mnie to interesowało, co z nim robisz. To jest twoja sprawa. I naturalnie masz rację, są wśród nas ludzie zdziwaczali, których zachowanie jest bardziej ryzykowne niż jeden czy drugi wydziałowy romans. Jednak jeśli masz zamiar popierać Jasona, chciałbym wiedzieć, jakimi się kierujesz pobudkami.

Annie gotowała się ze złości. - Jason ma zdolność niestereotypowego ujmowania literatury, obdarzony jest także niezwykłym wyczuciem poezji. Dobrze pisze, umie się precyzyjnie i błyskotliwie wypowiadać i jeśli mam być szczerą, wniesie ożywczy prąd do naszego wydziałowego środowiska, gdzie istnieją osoby, które zawsze są w awangardzie tylko po to, by się do awangardy zaliczać.

Charles skinął głową. - Pomyślę o tym.

- Pomyśl - rzekła Annie, odstawiając pusty kieliszek na tacę przechodzącego obok kelnera. Krążyła jeszcze kilka minut po sali, zanim wyszła usprawiedliwiając się obowiązkami rodzinnymi.

Teke zastukała do drzwi prowadzących do sutereny domu Cornellii Hart i czekała nerwowo, drżąc na zimnie, aż po dłuższej chwili, która jej się wydawała wiecznością,

Grady stanął w progu. Miał na sobie flanelową koszulę, rozpiętą na piersi i wypuszczoną na dżinsowe spodnie. Wyglądał na człowieka w wyjątkowo podłym nastroju.

- Mogę wejść? - spytała cichutko. Kiedy spojrzał w ciemność za jej plecami, dodała: - Jestem sama.

- Więc może nie powinnaś wchodzić. Nie jestem w najlepszym nastroju, Teke.

Ona też nie była w najlepszym nastroju. Ostatnich kilka dni upłynęło jej w napiętej atmosferze. Poczula, że cała drży. - Jeździłam wokół przez godzinę. Najpierw miałam zamiar wybrać się do kina. Potem pomyślałam, że będzie lepiej pojechać do baru i napić się czegoś mocniejszego. - Urwała na chwilę. - W końcu samochód przywiózł mnie do ciebie.

Pocierał dłonią kark, a głowę miał spuszczoną.

- Proszę, Grady. - Nie widziała go od tego epizodu z porwaniem. - Muszę z tobą porozmawiać.

- To jest zasrana suterena, nie salon.

- I myślisz, że mi to przeszkadza? - spytała, robiąc krok do środka, a w jej głosie po-brzmiewało oburzenie. - Odwiedzałabym cię w więzieniu, gdybyś mi na to pozwolił. - Rozejrzała się wokół. - Bóg mi świadkiem, że widywałam już gorsze miejsca. - Od sufitu do podłogi beton i unosząca się woń kurzu i starzyzny. W półmroku widziała kontury całego składowiska nie używanych mebli. Tylko jeden kąt sutereny był oświetlony, koło grzejnika. Tam stało wielkie drewniane łóżko, mahoniowa toaletka i krzesło.

Nie zdejmując kurtki, przysiadła na krześle. Słysząc było jedynie syczenie grzejnika, dopóki Teke nie wyrzuciła z siebie: - Przepraszam cię za to, co John zrobił tamtego dnia, Grady. To była czysta złośliwość. Nie był w stanie nikogo pozwać do sądu po wypadku Michaela, więc robi z siebie idiotę. I właśnie ciebie obrał sobie za cel, chociaż może mieć żal tylko do mnie i do Sama.

Grady pozostał za jej plecami. - Ale dlaczego właśnie mnie?

- Pewnie dlatego, że byłeś moim kochankiem. Wiedział, że nie był pierwszy, ale dopóki ci inni byli facetami bez twarzy, mógł udawać, że nie istnieli. Teraz już tak nie może myśleć.

- A cóż może go obchodzić, z kim byłeś wcześniej? Do diabła, przecież w końcu to on cię miał.

- Tylko dlatego, że ty mnie odepchnąłeś - ucieła szybko, po czym ściszyła głos. - Zresztą nigdy nie miał mnie całej. Zdawał sobie z tego sprawę. Ty zaś mnie miałeś całą, a to dla Johna policzek. On nie może się pogodzić z tym, że komuś ustępuje. - Po dziewiętnastu latach małżeństwa przynajmniej mogła zrozumieć jego sposób myślenia. - Nic dziwnego, że wyzwoliłeś w nim wszystkie najgorsze skłonności.

- No cóż, on też wyzwala we mnie najgorsze skłonności - obwieścił Grady z taką mocą, że Teke aż odwróciła głowę. Stał w półmroku, a w jego postawie dawała się wyczuć wyraźna wrogość. - Daję słowo, że gdyby nie było ze mną wtedy tych gliniarzy, chybabym go udusił, kiedy go zobaczyłem w domu. Ostatni raz byłem tak wściekły, kiedy uderzyłem Homera, i sama popatrz, dokąd to mnie zaprowadziło. Wydawało się, że dałem się zesocjalizować. Wydawało mi się, że potrafię przewyciężyć złość. Myślałem, że umiem nad sobą panować, ale on doprowadził mnie na skraj. Jeszcze teraz się trzęsę, kiedy o tym pomyślę.

Teke była bliska tego, żeby się podnieść z krzesła i podejść do niego, jednak nie ufała sobie aż w takim stopniu. Wolałaby, żeby miał zapiętą koszulę. Ale jednocześnie modliła się w duchu, by jej nie zapinał. Patrzeć na niego to była czysta rozkosz. Była złałkionna takich okrucichów rozkoszy. - Usiądź - poprosiła. - Porozmawiaj ze mną.

Dłonie zawisły przy biodrach, a Grady uspokajał oddech, chcąc uciszyć w sobie złość. Wydawało jej się, że upłynęła wieczność, zanim przeszedł przez całe pomieszczenie i usiadł na skraju łóżka. To było dobre miejsce, nie miała go w zasięgu ręki.

- Więc chciałam cię przeprosić za Johna - powiedziała. - Chciałam ci też podziękować. Michael nabrał wigoru po tych paru godzinach spędzonych z tobą.

- Tego jestem pewien.

- Rzeczywiście. Wspaniale spędził czas.

- W to wierzę. Z tym dzieciakiem nie ma problemu. Żebyś go słyszała, jak nacierał uszu tym policjantom.

Uśmiechnęła się gorzko. - O, w tej materii ma doskonałych nauczycieli w osobach Johna i Jany. Na ogół nie aprobuję takiego zachowania, ale dobrze wiedzieć, że mój syn okazał się mężny.

- Powinien częściej być poza domem.

- To samo mi powiedział, więc porozmawiałam z jego terapeutą. Przenosimy wszystkie ćwiczenia do klubu sportowego. Tam są rozmaite urządzenia, które na pewno ułatwią mu powrót do sprawności, a poza tym ćwiczenia staną się bardziej urozmaicone. Więc teraz Michael

będzie wyjeżdżał z domu rano tak jak wszyscy jego koledzy, a po zajęciach terapeutycznych będzie jeździł do nauczyciela. Terapeuta twierdzi, że swoją aktywnością i zapałem Michael przyspieszy powrót do zdrowia. - Tyle było w tym wszystkim sensu. Teke chciała samą siebie podnieść na duchu. - Powinnam była wcześniej się domyślić, jakie to dla niego nudne bez przerwy siedzieć w domu. Wydawało mi się, że jeżeli będę przy nim bez przerwy, to wystarczy. - Ale nie wystarczyło. Nie miała pojęcia o tym, jakie problemy emocjonalne niosą ze sobą poważne urazy fizyczne. - Michael szuka po omacku. Nie jest pewien, czego chce. Tak samo jak ja.

Grady splótł dłonie, opierając łokcie o uda. Ramiona mu się uniosły, a głowę zwiesił nisko na piersi. Wyglądał jak kupka nieszczęścia, a to mówiło samo za siebie.

Teke instynktownie chciała go pocieszyć. Z taką myślą podniosła się z krzesła, ale zastanowiła się chwilę i podeszła do toaletki. Leżała na niej szczotka i grzebień, maszynka i tubka kremu do golenia, a także wytarty portfel, który Grady zawsze nosił w tylnej kieszeni dżinsów. Dotknęła go. Był jak namiastka Grady'ego, podniosła więc zaciśniętą dłoń do serca, by uspokoić jego oszalałe bicie.

- Gdzie się myjesz? - zapytała, żeby czymś odwrócić własną uwagę.

- Na górze.

Rozejrzała się wokół, szukając jakichś śladów żywności. - Gdzie jesz?

- Na górze.

- Cornelii to nie przeszkadza?

- Lubi ze mną jeść. Je wszystko, co ugotuję i mówi, że od lat nie jadła tak dobrych potraw.

- Ona jest słodka. - Gdy to mówiła, jej wzrok spoczął na plastikowym koszu, wypełnionym upraną bielizną. Wyciągnęła z kosza ręcznik i starannie go złożywszy położyła na toalecie, po czym sięgnęła po następny. - Jej syn to też dusza człowiek. Leigh pójdzie do niego z wizytą na początku stycznia. Chce pigułki antykoncepcyjne. Rozmawialiśmy o tym w Święto Dziękczynienia, a ja ciągle zapominam zadzwonić i umówić termin wizyty. A może nie zapominam, tylko podświadomie chcę to od siebie odsunąć. Niepokoi mnie myśl, że w ten sposób dam jej wolną rękę w chodzeniu z Maxem do łóżka. Jest na mnie za to trochę obrażona.

- Czy to z tego powodu opuściła się w szkole?

Teke roześmiała się nerwowo.

- To może być jeden z powodów, ale jest też wiele innych. Nawet nie będę zaczynała ich wyliczania. Przez ostatnie trzy miesiące nasza rodzina stała się rodziną rozbitą. To uniemożliwia sukcesy w nauce każdemu dziecku.

- Tobie nie uniemożliwiło.

Wyciągnęła z kosza podkoszulek i uważnie go złożyła. - To inna sytuacja. Dla mnie niepełna rodzina była normą, innej nie znałam. Poza tym chciałam ci zaimponować.

Grady jęknął. Spojrzała na jego ramiona, ciągle przygarbione. Przyciskała złożony podkoszulek do piersi, wdychając przez chwilę jego czysty zapach, zanim położyła go na ręcznikach. Wtedy, wiedzona impulsem, podeszła do łóżka.

- Dlaczego tutaj dziś przyszedłeś? - spytał, podnosząc głowę.

Serce jej przyspieszyło. - Żeby ci podziękować, że zabrałeś Michaela z domu i przeprosić za to, co ci zrobił John.

- I to wszystko?

Pomyślała teraz o tej udreće, od której nie mogła się uwolnić. - Nie wiem - wyznała cicho. - Jestem rozdarta.

- Między czym?

- Pomiędzy miłością i nienawiścią do ciebie. - Nie mogła być bardziej szczerą wobec niego ani wobec samej siebie. - Ciągle jeszcze jestem wściekła na ciebie za to, co zrobiłeś.

- Za to, że potrąciłem Michaela?

- Och, Boże, nie! - Nie mogła uwierzyć, że coś takiego mu przyszło do głowy. - Wypadek nie był z twojej winy. Wściekła jestem za to, że się pokazałeś po tylu latach. - Po czym się poprawiła: - Właściwie to jestem wściekła za to, że wtedy mnie odprawiłeś. Mogliśmy razem mieć tak wiele.

- Taa - prychnął, lekceważąco rozglądając się wokół. - Na przykład suterene.

- Nie widzę nic złego w suterenie - upierała się Teke.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś tu musiała mieszkać.

- Nieprawda, Grady. Wychowałam się w miejscu znacznie gorszym niż to. A zresztą mówiłeś, że masz dom, w którym mieszkałeś z żoną, a gdyby nawet nie, wolałabym mieszkać w suterenie niż w moim domu z całym tym zamieszaniem, które mam w głowie.

Spojrzał w bok. - Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Mówię to, co czuję.

Gwałtownie odwrócił głowę. - A wiesz, co ja czuję? Czuję, że chciałbym cię teraz złapać, rzucić na łóżko i rznąć aż do bladego świtu.

Teke czuła, jak i z jej głębi bije narastający żar. Pomyślała o tamtym dniu, kiedy pocałował ją pod drzewem. Zupełnie, jakby czas nie istniał, tak silna była ich napiętność. Przypuszczała, że i ona w jakiejś części przywiodła ją tu tego wieczoru.

- Ale gdybym to zrobił, wszystko stałoby się jeszcze dziesięć razy bardziej skomplikowane niż teraz, prawda? - mówił dalej. Jego palce kurczowo ścisnęły krawędź łóżka. Nie spuszczał wzroku z Teke. - Do jasnej cholery, Teke, dlaczego mnie kuszisz? Zawsze to robiłaś. Nie powinienem był cię brać, kiedy miałaś piętnaście lat, ale nie mogłem się powstrzymać, a kiedy już położyłem na tobie ręce, tym bardziej nie mogłem się powstrzymać, a potem tak mi zalazła za skórę, że na widok Homera, który pchał się do ciebie z łapami, dostałem szału... - Urwał nagle i wydał z siebie zmęczone westchnienie. - Doprowadzisz mnie kiedyś do śmierci, więc nie znęcaj się tak nade mną.

Znów potarł dłonią kark, a Teke zdążyła chwycić jego rękę, zanim ta spoczęła na krawędzi łóżka. - Nigdy do tego nie dopuszczę.

Parsknął śmiechem. - Tak, jak mogłaś uchronić mnie przed więzieniem? Tak, jak mogłaś uchronić Michaela przed urazem głowy? Mój Boże, Teke! Czasami jesteś naiwna jak mała dziewczynka. Wydaje ci się, że miłość może uchronić ludzi przed złem, ale to nieprawda.

Mówiła sobie, że powinna wypuścić z dłoni jego rękę, jednak widocznie mówiła to na tyle słabym głosem, że nie miał on wpływu na jej czyny. Jego palce fascynowały ją - długie, twarde, mocne. Muskała stwardnienia od wielu lat ciężkiej pracy. Zawsze miał dłonie stwardniałe od pracy, ale teraz przybyła na nich jakaś blizna, jakby po rozcięciu piłą. Nie mogła się powstrzymać, by nie pocałować jego dłoni i przyciskając ją do szyi, powiedziała:

- Może nic nie może uchronić ludzi przed złem. Ale może miłość czyni zło możliwym do zniesienia. Źle postąpiłeś, że odprawiłeś mnie przed laty, kazałeś mi, żebym o tobie zapomniała. Źle zrobiłeś, że odsyłałeś moje listy, a kiedy przyjechałam do ciebie na widzenie, nie chciałeś nawet wyjść. Między nami było coś tak wspaniałego, że warto było na to czekać.

- Było, minęło.

Z trudem przełknęła ślinę i dalej mówiła rozgorączkowana:

- Tak chciałam do tego podejść. Chciałam ci powiedzieć, że nie możemy się widywać. Że u mnie wszystko w porządku i Michael czuje się dobrze, więc nie ma powodu, żebyś jeszcze odwlekał swój wyjazd z miasta. Trzeba na to trzeźwo spojrzeć. - Jednak jej głos już tracił siłę,



bo wzrok błdził po jego piersi, która pokryta ciemnym zarostem wydawała się ciepła i aż prosiła, by się do niej przytulić. Usiłowała sobie przypomnieć, że jest matką trojga dzieci i, przynajmniej pod względem formalnym, żoną innego mężczyzny. Jednak pragnienie, by go dotknąć, było w tej chwili silniejsze od wszystkiego. Wsunąwszy mu dłoń pod koszulę, delikatnie gładziła jego muskularną pierś, drażniła twarde sutki, rozkoszując się tym, o czym śniła przez wiele nocy.

- Teke - ostrzegł.

- Tylko minutkę - szepnęła, jakby szept mógł ukryć to, co niedozwolone. Jej dłoń nie przerywała wędrówki, badając każdy skrawek jego umięśnionej piersi.

- Teke.

- Jeszcze chwileczkę - szepnęła na pół odurzona. Żar jego ciała tak na nią działał. Zawsze tak było.

Pochyliła się nad jego głową i muskając ustami ucho szepnęła:

- Dwadzieścia dwa lata minęły i ciągle jest tak samo. - Pod dłonią czuła oszalałe bicie jego serca, jego gładką skórę, naprężone sutki, mięśnie twarde jak stal. - Jedną z tych rzeczy, które najbardziej w tobie kocham, to twoja siła. Zawsze byłeś moim idolem. Od samego początku. Nawet wtedy, kiedy uderzyłeś mojego ojca.

Grady oplótł ręce wokół jej bioder. - Nie mogłem dopuścić do tego, żeby cię zgwałcił.

Teke przeszył dreszcz. Przez całe lata odpychała od siebie wspomnienie gróźb Homera, jednak teraz, kiedy była tak bezpieczna w ramionach Grady'ego, uchyliła lufcik pamięci i zobaczyła tamten wieczór ze wszystkimi szczegółami. Homer był pijany i obrzydliwy. Obraził się, że Teke tyle czasu spędza z Gradym. Powiedział, że jemu też powinna poświęcić trochę uwagi. Złapał ją mocno i rozerwał na niej bluzkę. Zmartwiała z przerażenia.

Teraz, kiedy tamten dawny strach w niej zelżał, krzyknęła: - Mogłeś mi przynajmniej pozwolić zeznawać!

Jednak Grady i teraz zareagował porywczo. - Wypytywaliby cię o szczegóły. Wystarczyłoby, żeby na ciebie spojrzeli i już zaczęliby cię oskarżać, że sama go do tego sprowokowałaś, a on po prostu stracił głowę. Powiedzieliby o tobie wiele złego. Nie mogłem dopuścić do tego, żebyś przez coś takiego przechodziła.

Pamiętała szorstkie dłonie ojca, jego pożądliwy wzrok i cuchnący oddech - ale to wszystko było niczym w porównaniu z lękiem, jaki czuła, kiedy Grady nakazał jej milczenie.

To milczenie dręczyło ją całymi latami. Teraz dowodziła swoich racji. - Ale w ten sposób może pomogłabym tobie.

Grady wstał z łóżka. - Nie było żadnego dowodu na to, że usiłował cię zgwałcić. Nie udało mu się nic zrobić.

- Bo go uderzyłeś - szepnęła Teke prosto w jego szczękę - i upadł.

- Tak czy inaczej by mnie zamknęli.

- Ale przynajmniej ja miałabym poczucie, że zrobiłam dla ciebie wszystko, co tylko mogłam. Nie czułabym się tak winna przez te wszystkie lata. To nie było uczciwe, Grady. Jeśli już nie chciałeś, żebym zeznawała na procesie, przynajmniej później mogłeś pozwolić mi sobie pomóc. To nie było uczciwe.

Położył jej dłonie na ramionach w geście wsparcia i pieczy. Kiedy się już uspokoiła, poczuła, jak na nowo budzi się w niej pożądanie. Pożądanie to było wzajemne. - Więc co teraz będzie? Rozbierzemy się i zrobimy to, czy sobie stąd pójdziesz? Musisz się zdecydować na jedno albo drugie, i to szybko. Nie mogę się opanowywać w nieskończoność.

Teke czuła drżenie jego powstrzymywanych mięśni i jego twardość na swoim ciele, czuła wspólny rytm, w którym biły ich serca, czuła ucisk w brzuchu i żar między nogami. Pragnęła go rozpaczliwie.

Ale nie wystarczyło go pragnąć. Nie była już nastolatką. Wiedziała, że życie jest skomplikowane. Wiedziała, że to nie pozostałoby bez konsekwencji.

Odstąpiwszy nieco od niego, wpatrywała się w jego oczy. Były ciemne i pełne żaru. Pragnąc zatopić się na zawsze w tym namiętym spojrzeniu, jęknęła: - Och, Grady! Nie mogę.

- Bo jesteś mężatką?

Co do tego nie miała już żadnych złudzeń. Jej małżeństwo było skończone. Ale też i nie taki był powód. - Bo się boję.

- Boisz się iść ze mną do łóżka?

- Boję się, co będzie później. Sprawiałeś mi wiele bólu. Nie przeżyłabym czegoś takiego po raz drugi.

Przez chwilę milczał, zanim rzekł: - Nie chciałem ci sprawić bólu.

- Ale sprawiałeś.

- To się już nigdy nie zdarzy.

- Za pierwszym razem też się miało nie zdarzyć.

- Boże, Teke! - spierał się z nią. - Wtedy miały miejsce niecodzienne okoliczności. Myślałem, że robię to, co dla ciebie najlepsze. I to naprawdę było dla ciebie najlepsze. Naprawdę, jeśli się nad tym zastanowisz. Masz w życiu więcej niż ja czy ktokolwiek inny stamtąd mógłby ci dać.

- Na przykład dom, samochód, biżuterię? - Wspięła się na palce, patrząc mu prosto w oczy. - Mogłabym być szczęśliwa bez tego wszystkiego. Ile razy mam ci to powtarzać?

- A ile razy ja mam ci powtarzać, że nie chcę, żebyś bez tego żyła?

- Za dużą wagę przywiązujesz do pieniędzy.

- Owszem, bo nigdy w życiu nie miałem ich zbyt wiele.

- Pieniądze nie są problemem.

- Och, nie są. Jak diabli. - Odsunął się nieco. - Chciałem ci sam dać to wszystko, tak jak o tym razem marzyliśmy, ale zdawałem sobie sprawę, że mając na koncie wyrok nigdy tego nie osiągnę. Więc zdecydowałem się na to, co mi się wydawało najlepszym wyjściem. Spróbuj popatrzeć na to wszystko z mojego punktu widzenia.

- Próbuję, ale nie widzę w tym wszystkim sensu. Jeśli mnie kochałeś, jeśli naprawdę mnie kochałeś, powinieneś był chcieć, żebym na ciebie czekała, nieważne jak długo.

- Przez te wszystkie lata najgłębszy niepokój wywoływały w niej wątpliwości co do głębi uczuć Grady'ego.

Przeszył ją spojrzeniem. - Kochałem cię tak bardzo, że dla ciebie zabiłem człowieka. Jak po tym wszystkim możesz wątpić w moją miłość? - Oczy mu się zwięzły.

- Wiem, w czym tkwi twój problem. Cholernie dobrze wiem, czego się boisz. Boisz się, że kochając mnie narobisz sobie kłopotów w swoim wygodnym życiu.

Teke zeszywniała. - Boję się, że kochając cię zrujnuję sobie życie, a wtedy będziesz mógł dodać do tego wygodne.

- Jakież to wzniosłe.

- Ale prawdziwe. - Ruszyła do drzwi. - Miałaś rację. Nie powinnam była tu przychodzić. Oboje jesteśmy w podłym nastroju.

- Boisz się! - krzyknął za nią, nie mogąc powstrzymać złości. - Boisz się dać szansę facetowi, który siedział w więzieniu.

- Gówno prawda! - nie wytrzymała Teke, obracając się gwałtownie. - Owszem, boję się, ale nie tego. Boję się być znowu odrzucona. Kiedyś ufałam ci bez pamięci. Wierzyłam we

wszystko, co mówiłeś, w każdą twoją obietnicę przyszłości, jaka nas czeka. A potem, zupełnie bez potrzeby, odrzuciłeś to wszystko.

- Ty jednak jesteś niemożliwa! - wrzasnął za nią.

- Masz rację! Więc wynoś się stąd! Wynoś się z tego miasta! Wynoś się z mojego życia!

- szarpnęła drzwi i wypadła na dwór.

Kiedy wsiadała do samochodu, doszedł ją jeszcze rozzłoszczony głos Grady'ego:

- O nie, moja pani! Ja mam swoje plany.

Odjechała, zastanawiając się, cóż to, u diabła, może znaczyć.

\* \* \*

Ostatni tydzień przed Bożym Narodzeniem Annie spędziła na najwyższych obrotach - czytając prace, wystawiając oceny, planując zajęcia w następnym semestrze. A kiedy to miała już za sobą, kiedy z Samem i dziećmi wsiadła do samochodu i jechała do domku w górach, była wyczerpana.

Teke postanowiła nie jechać. Stwierdziła, że dla Michaela byłoby przygnębiające obserwowanie ludzi jeżdżących na nartach, kiedy sam nawet nie mógł marzyć o przypięciu desek. Annie to rozumiała, ale w głębi ducha podejrzewała, że to samo dotyczy Teke. Z pewnością byłoby jej przykro patrzeć codziennie na Annie i Sama oraz na tyle znajomych małżeństw wokół, kiedy sama w rodzinnym świątecznym czasie była samotna.

Dziewczynki Maxwellów były rozdarte. Musiały się zdecydować, czy jazda na nartach w towarzystwie Maxa i Zoe jest warta tego, by opuścić Michaela na święta. John jeszcze bardziej skomplikował wszystko, kiedy zaprosił je ze sobą do Arizony. Jana pojechała z nim. Leigh zdecydowała się na narty z Maxem. Annie więc miała pod dachem pięć osób. Okazało się, że daje sobie radę z zadziwiającą łatwością, tym bardziej że Sam rzadko pozwalał jej gotować.

- Chodźmy dzisiaj do „Cebulki” - powiedział pierwszego wieczoru, a potem drugiego: - Podobno u Stoneya w tym roku robią bardzo dobre steki - a kiedy Annie obwieściła, że zabiera się za robienie pieczeni na noc sylwestrową, rzekł: - Daj sobie z tym spokój. Zrobiłem rezerwację w restauracji.

- Sam - protestowała Annie - ani razu nie ugotowałam kolacji.

- Więc?

Więc to za drogo wychodzi jadać ciągle w restauracjach. Sam odchodzi z firmy i nie wiadomo, jak ułoży się przyszłość, więc może bardziej powinni liczyć się z groszem. - Teke zawsze gotowała. Ja też powinnam.

- Teke nie zakończyła właśnie sesji egzaminacyjnej. Nie wygłupiaj się, Annie. Chcę, żebyś miała prawdziwe wakacje. Zresztą, jeśli ty będziesz gotowała, ja będę się czuł w obowiązku pomagać, a szczerze mówiąc i mnie się przydadzą wakacje.

Nie spierała się z nim długo. Nie była aż tak spragniona kary, jaką ciągle było dla niej gotowanie. Kiedy wrócą do domu, będzie gotowała kolacje codziennie, bo zajęcia dzieci uniemożliwią wychodzenie do restauracji. Ale tutaj nie jest dom. Są ferie. To krótkie wytchnienie było balsamem dla jej duszy.

Balsamem dla jej duszy było też to, że Sam nieustannie poświęcał jej swą uwagę. Choć był znacznie lepszym narciarzem od niej, nie opuszczał jej nawet na chwilę, dostosowując jazdę do jej możliwości. Dopiero pod koniec dnia, kiedy ona przemarznięta chroniła się w bazie z kubkiem gorącej czekolady, Sam pozwalał sobie na jeden szalony zjazd.

Pewnego razu Annie, idąc do bazy, niespodziewanie dojrzała tam Zoe wyglądającą przez okno. - Cześć, skarbie - rzekła, obejmując córkę, gdy już uporała się z nartami i weszła do środka. - Długo tutaj siedzisz?

Zoe wzruszyła ramionami. - Jakaś godzinę.

- Myślałam, że jeździsz na nartach razem z Maxem i Leigh.

- Nie. Oni wolą być sami.

- Powiedzieli to? - spytała Annie. Natrze Maxowi uszu, jeśli to prawda.

- Nie powiedzieli, ale ja to wiem.

- No cóż, z pewnością się mylisz - upierała się Annie, po czym próbowała skierować rozmowę na inne tory. - Przed chwilą widziałam na trasie Susie Van Dorn. Przyjechała z rodzicami dzisiaj po południu. Jutro możesz z nią jeździć na nartach.

- Mhm.

- Chcesz gorącej czekolady?

- Nie.

Annie nalala sobie czekolady do kubka. - Co byś zjadła dzisiaj na kolację?

- Cokolwiek, na co wy będziecie mieli ochotę.

Annie usadowiła się koło Zoe pod oknem. Zoe zawsze była zgodnym dzieckiem, ale teraz zachowywała się apatycznie. - Co się stało, kochanie?

- Nic.
- Nie wyglądasz na szczególnie zadowoloną z życia.
- Jestem zmęczona.
- Dobrze się czujesz?
- Mhm.
- Może masz jakieś kłopoty?
- Po prostu jestem zmęczona, mamo.

W porządku, pomyślała. Tylko zmęczona. Niech ci będzie. - Ciągłe jesteś zła na tatę? - spytała. Na okoliczność wyjazdu między Samem a dziećmi zapanowało nie wypowiedziane zawieszenie broni. Annie się bała, że jest ono niezwykle kruche.

- Jestem zmęczona - powtórzyła Zoe i widać było po niej zniecierpliwienie. - Dajmy temu spokój, mamo. Czy w każdym moim słowie musisz słyszeć jakiś podtekst? - Poderwała się na nogi. - Idę do domu. Do zobaczenia.

Annie nie zatrzymywała jej, choć takie zachowanie wymagało od niej pewnego wysiłku woli. Odruchowo chciała przytulić ją do siebie, ukołysać w ramionach i rozwiać wszelkie zmartwienia, które się kłębiły w małej główce Zoe. A tych zmartwień było bez liku. Słodka Zoe, jej maleństwo, ostatnio miała ciężkie przeżycia. Ale przecież Zoe niedługo będzie miała szesnaście lat. Instynkt podpowiadał jej, że nie powinna zmuszać Zoe do zwierzeń. W tym wieku dziewczyna potrzebuje już własnego świata, a Annie dobrze wiedziała, że Zoe jest z tej samej gliny co i ona.

Więc Annie uzbroiła się w cierpliwość. Tym bardziej, że następnego ranka Zoe nie wybierała się na narty. Widocznie nad jej głową zebrały się rzeczywiście jakieś ciemne chmury, które trudno było rozgonić. Jednak dzieci chodziły swoimi ścieżkami, a Annie z Samem swoimi, a wszyscy spotykali się dopiero wieczorem po nartach i całą rodziną wybierali się gdzieś na kolację. Tak samo mieli spędzić dzień sylwestrowy. Po nartach i krótkim odpoczynku mieli się wybrać wszyscy razem na kolację, a potem na bal sylwestrowy w zajeździe. Jednak kiedy o wpół do piątej Annie i Sam wrócili z trasy, w domu zastali tylko Maxa i Leigh.

- Zoe nie jeździła z wami? - spytała Annie. - Mówiła, że wybieracie się dziś na północny stok.

Leigh nerwowo spojrzała na Maxa. - Wybraliśmy się, ale ona już przed południem poczuła się zmęczona i powiedziała, że woli zjeżdżać po południowym stoku.

- Myśleliśmy, że jest z wami - dorzucił Max. Annie potrząsnęła głową. - Może jest z przyjaciółmi. Dajmy jej jeszcze parę minut. Na pewno niedługo się zjawi.

Jednak kilka minut upłynęło, a Zoe ani śladu. Sam, który trwał przy oknie, obserwując ścieżkę prowadzącą do domu, zerknął na zegarek. - Trasy już są zamknięte od godziny.

Zdeterminowana, żeby się nie denerwować, dopóki to nie jest potrzebne, Annie podeszła do okna. - Musiała gdzieś wstąpić po drodze do domu.

- Gdzie?

Nie miała pojęcia. Na dworze było ciemno i zimno. Nasilał się mróz. Rodziny zbierały się, by razem oczekiwać nadejścia Nowego Roku. To niepodobne do Zoe, żeby w takiej chwili nie chciała być razem z nimi wszystkimi.

Dziwnie podenerwowana Annie zaczęła wydzwaniać do koleżanek, z którymi Zoe mogła jeździć na nartach. Wszystkie były w domu. Żadna nie wiedziała, gdzie może być Zoe. Kilka osób widziało ją w porze lunchu, ale nie później.

Z każdym bezowocnym telefonem w Annie narastał niepokój. Sam krążył wokół niej, dopóki nie odłożyła słuchawki, gdy już wszystkie możliwości się wyczerpały. Było wpół do szóstej. Podniosła przerażony wzrok i pośpiesznie wyszeptała: - Stało się coś złego. Wiem to, po prostu to wiem.

Teraz on zasiadł do telefonu i zadzwonił do zarządu trasy narciarskiej, gdzie się dowiedział, że baza jest już opustoszała i zamknięta, ale na jednym ze stojaków pozostała para nart. Z opisu tych nart wynikało, że mogły one należeć do Zoe. Sam zadzwonił na policję.

Annie zajrzała do sypialni Zoe, ale tam ciągle panował poranny rozgardiasz. Nic nie wskazywało na to, żeby Zoe była tu w ciągu dnia. O ile Annie mogła ocenić, niczego też tu nie brakowało.

- Gdzie ona może być? - zapytała Leigh przerażonym głosem, kiedy Annie znów usiadła przy boku Sama.

Sam był bardzo przejęty. - Na policji powiedzieli, że zwrócą uwagę na piętnastoletnie dziewczyny, ale coś więcej będą mogli zrobić dopiero, kiedy upłynie trochę czasu. Mówią, że codziennie mają zgłoszenia zaginięcia dzieci, ale zguby zawsze wracają do domu.

- Zoe nie chciałaby nas martwić w taki sposób - powiedziała Leigh.

Annie też uważała to za nieprawdopodobne. W charakterze Zoe nie było ani krzty złośliwości. Jednak ostatnio chodziła przygnębiona. A Annie wiedziała, że w stanie przygnębienia

ludzie często robią takie rzeczy, które normalnie nawet nie przysłyby im do głowy. - Może chciała się przejść po wsi.

- A jak by się tam dostała? - spytał rzeczowo Max. - Autobusy nie kursują tak daleko.

- Może któraś z koleżanek zabrała ją ze sobą - podsunęła Annie.

- Ale która? - spytał Sam. - Przecież dzwoniłaś do wszystkich. - Przeczesał palcami włosy. - Nie ma gdzieś jakiejś kartki?

- Przynajmniej nie w jej sypialni - powiedziała Annie i rzuciła się do poszukiwań w pozostałej części domu. W ślad za nią ruszyli inni, jednak nie znaleźli nic. Kiedy wrócili do saloniku, była już szósta i Annie zaczęła ogarniać paniką. Jej wyobraźnia gwałtownie się ożywiła i zmierzała w kierunku absolutnie niepożądanym. - Gdzież ona się podziewa, Sam?

Był blady, co nie napełniało jej otuchą, jednak objął ją i mocno przytulił. - Nie wiem.

- Więc mamy tak beczynnie czekać?

- Nie, nie będziemy beczynnie czekać. - Mocno zacisnął oczy, aż zbiegły mu się zmarszczone brwi. Kiedy otworzył oczy, zobaczyła w nich pośpiech. - Czy w ciągu tego tygodnia mówiła coś o tym, że wolałaby być gdzie indziej? Może w Arizonie, z Janą?

- Chciała, żeby Jana była tutaj - powiedziała Annie - ale nigdy nie mówiła, że sama chciałaby być tam. - Popatrzyła na Maxa i Leigh, szukając potwierdzenia i uzyskała je. Oboje potakująco skinęli głowami.

Sam też zwrócił się do nich. - I żadne z was nie słyszało, żeby coś o tym napomknęła? Nie wspomniała ani słowem, że się dokądś wybiera? Może kogoś nowego poznała?

Oboje potrząsnęli głowami. - Ale ostatnio była jakaś dziwna - przyznał Max. - Nie rozmawiała tak jak zwykle.

Annie starała się stłumić strach, jednak nie powstrzymała słów. - A co, jeżeli jakaś grupa chłopców z college'u zwabiła ją do swojego domku? - Zoe mogło pochlebić to, że okazali jej zainteresowanie, tak samo jak Annie pochlebiło zainteresowanie, jakie okazał jej Jason Faust. Jednak, o ile Annie była w stanie powstrzymać rozwój wypadków, zanim sprawy wymknęły jej się spod kontroli, to Zoe mogła sobie z tym nie poradzić. Jest taka niewinna. I taka ładna.

Annie przysła do głowy jeszcze gorsza myśl. - A co, jeśli jakiś mężczyzna zaczął z nią rozmowę przed wyciągiem i zwabił do swojego samochodu? Co, jeśli powiedział, że podrzuci ją do wsi, a pojechał dalej?

- Jana powinna była przyjechać z nami - rozpląkała się Leigh. - One dwie nigdy nie spuszczały z siebie oczu.



- Jana nie przyjechałyby tutaj - z naciskiem przypomniał Max. - Nie chciała być tutaj z moim ojcem.

- Nie zaczynamy z tym teraz - sapnął Sam.

- Ale to prawda.

- Nie zaczynamy z tym teraz - powtórzył ostro.

- Nie mogę tu siedzieć bezczynnie i czekać - przerwała

Annie, chcąc mu pomóc. - Pojeżdżę trochę po okolicy. Może Zoe właśnie wraca do domu.

Sam sięgnął po kluczyki. - Wy dwoje zostańcie tutaj na wypadek, gdyby zadzwoniła - zwrócił się do Leigh i Maxa. - Będziemy tu zaglądać co parę minut.

Noc była ciemniejsza i bardziej mroźna niż to się wydawało z ciepłego domku. Mijały ich samochody. Ludzie jechali na sylwestrowe imprezy. Domy, w których spodziewano się gości, były jasno oświetlone. Wśród tych wesołych świateł rysowały się mroczne, złowróżbne sylwetki drzew.

- Och, Boże - szepnęła Annie, przyciskając pięść do ust, kiedy przebiegała wzrokiem wszystkie zakamarki terenu, które tylko zdołały oświetlić światła samochodu. - Powinniśmy byli jeździć na nartach razem z nią. Ale ona nie chciała, żeby na nią zwracać uwagę. Była na mnie zła, kiedy się interesowałam, jak spędza czas.

- Znajdziemy ją - powiedział Sam z przekonaniem i jechał dalej.

O siódmej zajrzeli do domu. Zoe nie dzwoniła. Znow wyszli z domu i jechali przed siebie, tym razem już szybciej. Zadzwonili do Maxa ze wsi, jednak Zoe ciągle nie dała znaku życia.

Annie wpatrywała się w ciemność, kurczowo zaciskając dłonie. Było już wpół do ósmej. Sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz bardziej przerażająca. Annie nie mogła pojąć, dlaczego Zoe ani nie zadzwoniła, ani nie wróciła do domu. Umierała ze strachu. - Gdzie jesteś, Zoe? Gdzie jesteś?

Koło ósmej rozpadał się śnieg. Sam zwolnił i zawrócił do domu. - Jeszcze raz zadzwonię na policję - powiedział, kiedy wysiadał przed domem z samochodu. - Jeśli nawet lokalna policja nic nie będzie mogła zrobić, to może stanowa coś pomoże.

Max i Leigh czekali przy drzwiach. Miny im się wydłużyły, kiedy zobaczyli, że Annie i Sam wchodzi do domku sami. Zadzwonił telefon. Annie rzuciła się do aparatu, ale to była tyl-

ko jedna z dziewczynek, do których dzwoniła wcześniej. Chciała się dowiedzieć, czy Zoe wróciła do domu.

- Jeszcze nie - powiedziała Annie, cała drżąca i bez tchu, półżywa z przerażenia - ale wróci. Na pewno wróci. - Dwa razy próbowała, zanim udało jej się odłożyć słuchawkę na widelki. Ledwo to zrobiła, telefon znowu zadzwonił. Złapała gwałtownie słuchawkę. - Tak?

Nastąpiła długa chwila ciszy, pięć sekund, które wydawały się Annie wiecznością, bo sądziła, że zaraz odezwie się porywacz z żądaniem okupu. A potem usłyszała niepewne: - Annie?

- Tatuś? To ja - powiedziała drżącym głosem. - Tatusiu, Zoe zniknęła. Nie wiemy, gdzie jest.

- Jest tutaj - rzekł Pete schrypniętym głosem.

- Ona jest u ciebie? - wykrzyknęła Annie, przyciskając dłonią dudniące jak oszalałe serce. Wszyscy tłoczyli się wokół niej. Sam przykladał ucho do słuchawki, żeby słyszeć, co mówi Pete.

- Tuż przed kolacją zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyłem, a ona stała w progu, trochę przemarznięta, ale poza tym w porządku. - Pod Annie nogi się ugięły z ulgi. Bezwładnie oparła się o Sama, a Pete mówił dalej. - Powiedziała, że wiecie o jej przyjeździe, ale pomyślałem, że nie wysłalibyście jej tutaj, gdybyście wcześniej nie zadzwonili. No a poza tym torebka. Mała śliczna Zoe zawsze przyjeżdżała z torebką.

- Jest bezpieczna - odetchnęła Annie. - Dzięki Bogu, jest bezpieczna.

- Dopiero kiedy ją trochę nakarmiłem i zapytałem, co wy będziecie porabiać dzisiejszej nocy, odezwało się w niej poczucie winy.

- Czym ona tam przyjechała? - spytał Sam.

- Zabrała się z kimś samochodem.

- Zabrała się z kimś?

- Z kimś znajomym, z jakimś kolegą Maxa.

Annie wcale nie poczuła się tym uspokojona. Niektórzy koledzy Maxa, szczególnie ci z drużyny piłkarskiej, mieli nadzwyczaj wysokie mniemanie na swój temat.

Łatwo sobie mogła wyobrazić, jak któryś z nich wykorzystuje Zoe. - Wszystko z nią w porządku?

- Trochę jest przygnębiona.

- Ale nic jej się nie stało?

- Och, nie, nie. - Ściszył głos. - Przygnębiona jest z innego powodu.

- Daj mi ją do telefonu.

- Może później.

Sam wyjął słuchawkę z ręki Annie. - Jadę po nią, tato. - Annie wyczuła, że ojciec miał na ten temat inne zdanie, ale Sam się uparł. - Muszę z nią porozmawiać. Nie będę czekał aż do rana. Nic jej nie mów, że przyjadę. Mogłaby znowu uciec. Już wyjeżdżam. Powiniennem być u ciebie przed jedenastą. - Oddał słuchawkę Annie.

Widziała jego determinację i wiedziała, że za żadne skarby świata nie zmieni zdania. Powiedziała więc cicho do Pete'a: - Sam ma rację. Pilnuj jej, dopóki on się tam nie zjawi, dobrze?

\* \* \*

Przez całe trzy godziny w samochodzie Sam myślał o tym, co chce powiedzieć Zoe. Jednak kiedy już się zjawił w domu Pete'a, słowa okazały się niepotrzebne. Zoe, zwinięta w kłębek w nogach łóżka Pete'a, spała jak zabita.

Przysiadł na brzegu materaca, uniósł ją w ramionach i kołysał przytuloną do piersi, tak jak wtedy, kiedy była małym dzieckiem. I tak jak wtedy myślał, jaka jego córeczka jest niezwykła, jaka cudowna, krucha i delikatna i że chciałby jej dać wszystko, czego tylko zapragnie.

Zawiódł ją. Ta myśl wyparła wszelkie inne, kiedy Zoe obudziła się w jego ramionach. Potarła twarzą o jego sweter i mocniej się w niego wtuliła. Długo się nie odzywała. Wreszcie szepnęła: - Tato?

- To ja, skarbie.

Nic nie powiedziała. Sam ucałował jej czoło. Kiedy wtuliła się weń i zaczęła szlochać, tulił ją ze wszystkich sił, a każdy jej szloch rozrywał mu serce.

- No już, w porządku, dziecinko. Mama i tata tak bardzo cię kochają.

Nie przestawała płakać. Bezradnie spojrział na Pete'a, który siedział na skrzynce po pomarańczach, i zastanawiał się, dlaczego mężczyźni czują się tak niezręcznie w takich sytuacjach. Kobiety jakoś sobie z tym radzą. Umieją tak przytulić, że już samo to wystarcza. Sam też próbował, ale nie wychodziło mu tak, jakby sobie tego życzył. Jego mała dziewczynka cierpiała. To z kolei jemu sprawiało ból. Chciałby coś zrobić.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać - zdołała wreszcie powiedzieć Zoe.

- Oczywiście, że powiniennem być. Jesteś moją córką. Nigdy w życiu nie witałbym Nowego Roku bez ciebie.

- Powinieneś być z mamą.

- Mama da sobie radę. To ty jesteś nieszczęśliwa, a ponieważ jesteś nieszczęśliwa przeze mnie, to ja muszę cię pocieszyć.

Znowu uderzyła w płacz. Zastanawiał się, co złego powiedział. Głos Pete'a jak papier ścierny podrażnił jego obawy.

- Pociągnąłeś za korek, Sam. Teraz wypływa wszystko to, co się gromadziło od tygodni.

Sam skinął głową. Poglądził Zoe po włosach, rozmasował jej kark, potem ramiona. Zoe ma piętnaście lat - aż trudno w to uwierzyć. Wyczuwał, że jej ciało zaczęło nabierać kształtów, choć ciągle było delikatne i kruche. Wsunął palce w jej dłonie, przypominając sobie to maleństwo, które zaciskało paluszki wokół jego palców. Teraz tego nie zrobiła. Ale też nie odepchnęła jego dłoni.

Przez zaciśnięte usta powiedział: - Wszyscy cię szukaliśmy, Zoe, w innych domkach i na trasie narciarskiej. Wydzwanialiśmy do wszystkich znajomych, a ja myślałem, że jeśli coś ci się stanie, to będzie moja wina. Przeze mnie mieliśmy kilka strasznych miesięcy.

- Chcę, żeby wszystko było tak jak kiedyś - doszedł do niego jej cichutki głosik. - Żeby wszyscy przyjechali na narty, nie tylko Leigh.

- To było niemożliwe. Ale kiedy Michael wyzdrowieje, pewnie będzie z nami przyjeżdżał, Teke też, prawdopodobnie również Jana, bo John chyba nie. Odchodzi od nich.

- Wszystko przez ciebie i Teke?

- Nie. To mogło przyspieszyć sprawę, ale powodów jest więcej. John pragnie czegoś innego w życiu.

- Przecież kocha swoją rodzinę.

- Bardzo kocha swoje dzieci. Dlatego chciał, żeby Jana i Leigh pojechały z nim na święta do Arizony.

- Leigh wybrała święta z Maxem. Jana nie wybrała świąt ze mną.

- Jana wybrała święta ze swoim ojcem. Zastanów się, Zoe. Ciebie Jana widzi codziennie, a Johna tylko od święta. Wiedziała, że ty będziesz spędzała Boże Narodzenie z nami, a John z kim miał je spędzić?

- Ale ja chcę, żeby ona wróciła. To znaczy, bardzo się cieszę, że mam mamę tylko dla siebie, bo Jana potrafiła być czasami prawdziwym utrapieniem, ale Jana jest moją najlepszą przyjaciółką.

Pogładził ją po włosach. - I ciągle będzie twoją najlepszą przyjaciółką, ale to nie znaczy, że nie będziesz umiała żyć bez niej. Popatrz na mamę. Przygotowała Święto Dziękczynienia bez Teke. Bała się, że jej się to nie uda, ale się udało i z tego mama czerpie prawdziwą satysfakcję.

- Ale mnie się podobało wszystko tak jak było.

- Mnie też. - Pomyślał o firmie, w której miał wygodną posadę. Teraz posada nie była już wygodna. Czuł się wysadzony z siodła. Podjął więc: - Próbuję teraz polubić to, co jest.

- Na przykład?

- Na przykład to, że pomagam waszej mamie. To mi daje zadowolenie, a nigdy wcześniej tego nie robiłem, bo mamie pomagała Teke.

- I co jeszcze?

- Na przykład to, że więcej czasu spędzam w domu. Cały czas uważałem, że każdą godzinę życia powinienem przepracować. Godziny życia zamieniałem na pieniądze. Ale co warte są pieniądze, jeśli człowiek nie ma czasu korzystać z nich z ludźmi, których kocha? I wiele podobnych rzeczy.

- Co takiego?

- Na przykład to, że jesteśmy razem - ty, Max i mama. Może jestem egoistą, że tak mówię, ale nigdy wiele czasu nie spędzaliśmy tylko we własnym gronie, a to takie przyjemne. A byłoby jeszcze przyjemniejsze, gdybyście wy z Maxem dali mi szansę. Popełniłem błąd z Teke, to prawda, ale nie możesz mi tego zarzucać w nieskończoność. - Uniósł podbródek tak, żeby widzieć jej twarz, po czym otarł strużki łez z jej policzków i rzekł łagodnie: - Kocham cię, Zoe. Niczego mi tak nie brakuje jak ciebie i tego jak sobie rozmawialiśmy. Chciałbym, żeby to było takie jak kiedyś. Bardzo lubiłem wszystko z tobą robić.

Przez chwilę milczała, bawiąc się nitkami jego swetra.

- O czym myślisz? - spytał.

- Myślę, że naprawdę zafundowałam wam okropnego sylwestra - szepnęła w odpowiedzi.

- Niekoniecznie. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jeszcze nie jest tak późno.

- No tak, ale ty jesteś tu, a mama tam...

- Więc nic innego nam nie pozostaje jak tylko zapakować dziadka Pete'a do samochodu i pojechać do mamy.

Zoe podniosła wzrok. Oczy miała załzawione, ale spojrzenie żywe. - Teraz?

- A dlaczegoż by nie? - uśmiechnął się od ucha do ucha. Była najpiękniejszym dzieckiem świata, tego był pewien, a w dodatku to jego córka. - Najpierw zadzwonimy do mamy i powiemy jej, że naprawdę nic ci się nie stało, a potem w drogę. - Zastanawiał się przez chwilę. - Powinniśmy tam przyjechać z czymś wystrzałowym. Szampan jest zbyt pospolity jak na taką okazję. Confetti i trąbki też.

Pete bez słowa podniósł się ze skrzynki po pomarańczach, poszedł do kuchni i wrócił z czymś bardzo długim, podobnym do węża i niesamowicie kolorowym.

- Mój przyjaciel Bin Liu pożyczył mi to jako model. To jest smok trzygłowy. Jeśli mała śliczna Zoe użyczy swojej głowy, będziemy w komplecie.

- Użyczę swojej głowy - zadeklarowała Zoe z entuzjazmem, ale nie poderwała się z miejsca. Pozostała jeszcze trochę przy Samie, oparta o niego, nadrabiając stracony czas. Już mu się wydawało, że znowu zasnęła, ale kiedy nachylił się nad jej twarzą, oczy miała szeroko otwarte. - Cieszę się, że po mnie przyjechałeś - szepnęła.

Przytulił ją mocno. - Zawsze i wszędzie po ciebie przyjadę, Zoe. Na tym polega moja rola. - I w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek w życiu był wdzięczny losowi, że mu taką rolę przydzielił.

## Rozdział 17

Michael stopniowo odzyskiwał sprawność stawów, a jego mięśnie nabierały siły. Poruszał się ciągle niezręcznie, jednak nie musiał już zakładać rzemieni. To było namacalnym dowodem postępu terapii, choć czasem trudno było zauważyć jakiegokolwiek inne. Po każdym dwóch dobrych dniach następował jeden fatalny.

Teke doświadczała tego samego. Spotkała się z poleconym jej przez Sama adwokatem, załatwiła sobie kartę kredytową Visa na swoje nazwisko, po czym w supermarkecie wypisała czek, którego jej nie przyjęto. Zdołała po raz pierwszy sama nalać sobie paliwo na stacji benzynowej, poproszono ją o przewodniczenie komitetowi organizującemu kwestę na rzecz Funduszu Rozwoju Constance, po czym wdała się w straszliwą kłótnię z Janą.

Kłótnia przygnębiła ją daleko bardziej niż odrzucony czek. Dzieci były jej piętą Achillesową. Kiedy myślała o nich, jej troska i poczucie winy nie miały końca. Próbowwała postępować właściwie, ale to, co właściwe, nie zawsze spotykało się z przychylnym przyjęciem. Zbyt często stawiało to Teke na przegranej pozycji.

Tak właśnie było z Janą, gdy doszło do rozmowy na temat coraz częstszych jej wyjazdów do Bostonu i nie zapowiedzianego pojawiania się u Johna na kolacji. Przez pół godziny każda z nich dowodziła swoich racji, powtarzając argumenty i nie chcąc ustąpić ani o krok.

- Przecież on jest samotny - upierała się Jana, broniąc swoich częstych wizyt u ojca. - Ja tego nie mogę znieść.

- To był jego wybór - Teke chyba już po raz dziesiąty odpierała ten argument. Nie chciała źle mówić o Johnie, choć akurat to było istotne. Nie pierwszy raz zadzwonił do niej ze skargą, a gdyby Jana się o tym dowiedziała, z pewnością głęboko by to przeżyła. - Zdarza się, że po pracy wpada gdzieś na kolację, a potem zjawia się w domu i zastaje ciebie. A czy pomyślałeś o nas? Ja się spodziewam, że wrócisz do domu o określonej porze, a tu nic. Nie ma cię. Spanikowana wydzwaniam gdzie popadnie, aż wreszcie dzwoni twój ojciec i mówi, że jesteś u niego. Tak się nie robi, Jano. Uzgodniliśmy, że będziesz mieszkała tutaj i spodziewamy się, że rzeczywiście będziesz tutaj mieszkała. A poza tym przez te wyjazdy nie masz kiedy odrabiać lekcji.

- Tam mogę odrabiać lekcje.

- A potem ojciec musi cię tutaj odwozić. A może to o to w tym wszystkim chodzi? - spytała Teke i wiedziała, że wcale to nie jest wykluczone. - Jano, on się stąd wyprowadził. - Nie wiedziała, jak ma to wypowiedzieć, żeby jej córka wreszcie pojęła. - Woli mieć swoje mieszkanie w Bostonie. I choćbyś go codziennie zmuszała, żeby cię tutaj odwoził, niczego nie zmienisz. On nie chce mieszkać pod jednym dachem ze mną.

- Nie winię go za to - powiedziała dziewczyna z prowokującym spojrzeniem. - Ja też nie chcę.

Jest zdenerwowana, powiedziała sobie w duchu Teke, zresztą nie po raz pierwszy, choć te słowa raniły ją boleśnie. Jana ma kłopoty z przystosowaniem się do zmian, jakie zaszły w jej życiu. Kocha mnie, czy wie o tym, czy też nie.

- Tobie nie jestem do niczego potrzebna - mówiła Jana dalej. - Ty masz Michaela i Leigh. I Grady'ego.

- Te ostatnie słowa były już wyraźnym oskarżeniem.

- Ciągłe jesteś żoną taty. Więc co robisz z Grady'm?

Serce Teke podskoczyło gwałtownie. Zawsze tak się zachowywało na samo wspomnienie Grady'ego.

- Grady jest moim przyjacielem.

Jana prychnęła lekceważąco. - Jest więcej niż przyjacielem.

Oczywiście, że tak, ale Teke nie mogła dopuścić do tego, by jej dzieci tak to postrzegały. W głębi ducha mogła czuć się rozdarta między namiętnością a zdrowym rozsądkiem, jednak na zewnątrz była wzorem dobrych obyczajów. - Co chcesz zasugerować?

- Jeszcze z nim nie byłaś w łóżku?

- To nie jest twoja sprawa! - krzyknęła Teke, ale natychmiast zmusiła się do spokoju. - Ale skoro myślisz, że tak jest, więc ci odpowiem: nie - powiedziała tonem zamykającym dyskusję, choć przy tej konstatacji odezwał się w niej pewien żal. „Plany”, o których Grady wspominał tamtego wieczoru, gdy się kłócili, obejmowały chyba głównie dręczenie jej. Od tamtego czasu przyjeżdżał chyba częściej niż zwykle, usłużny i życzliwy i chyba przystojniejszy niż jakikolwiek mężczyzna miał prawo być.

- Więc to tylko sprawa czasu - skwitowała Jana.

- Wstyd mi za ciebie.

Teke była oburzona. Jeśli chodzi o Grady'ego, mogła przecież stanowić wzór dobrych obyczajów. - Na Boga, dlaczego?

- Bo nie możesz sama wytrzymać w łóżku. Kiedy taty nie było, od razu zjawił się Sam...

- To nie było w łóżku!

- ...a teraz ten Grady. Jak nisko jeszcze upadniesz?

Teke najeżyła się.

- Gdybym związała się z Gradem, to by było dla mnie szczęśliwe zakończenie. To jest rozsądny i wspaniałomyślny człowiek. Ma głowę na karku. Wie, co to ciężka praca. Zapłacił za swój błąd i zdołał się stać wartościowym członkiem społeczeństwa.

- On jest cieślą - syczała Jana.

Doprowadzona do wściekłości Teke wymierzyła drżący palec w kierunku domu Corneli Hart. - Na twoim miejscu, moja panno, z zadzieraniem nosa poczekałabym, aż zobaczę, czego ten człowiek potrafi dokonać. - Próbowwała mówić spokojnie, ale nie zdołała nad sobą zapanować. - Ze zwykłej budy kolejowej na podwórzu Corneli Hart potrafił zrobić coś naprawdę pięknego, a to tylko jedna z jego prac! Ty nie jesteś w stanie zrobić tego co on, a jego prace przeżyją i mnie, i ciebie!

- Nie bój się, zostawię po sobie ślad na świecie!

- Więc zrób to!



Patrzyła, jak Jana trzaskając drzwiami wychodzi z pokoju i pomyślała sobie, że wszystko musi obrócić się na lepsze. Przynajmniej z Michaeliem jakoś jej się układało. I z Leigh. Więc jeśli w dwóch trzecich radziła sobie z dziećmi, to wcale nie najgorszy wynik.

Potem nadszedł dzień umówionej wizyty u Charliego Harta. - Myślę, że pigułki będą najlepsze - powiedziała, kiedy rozmawiała z nim przez telefon. Teraz, gdy Leigh weszła do gabinetu, Teke siedziała w poczekalni przeglądając kolorowe pisma. Kiedy upłynęło dwadzieścia minut, a Leigh ciągle nie wychodziła, Teke zaczęły nękać natrętne myśli, że może Charlie dopatrył się u Leigh raka piersi albo torbieli na jajniku. Wreszcie drzwi się otworzyły i pojawił się Charlie, gestem zapraszając ją do środka. Leigh siedziała na krześle blada jak upiór.

Teke, pewna, że spełniło się któreś z jej złych przeczuć, spytała: - Co się stało?

Charlie odchylił się do tyłu na krześle, złożył dłonie i rzekł z westchnieniem: - Jeśli chodzi o antykoncepcję, to mamy pewien problem. Trochę już na to za późno. Leigh jest w ciąży.

W ciąży? Teke szczęką opadła. W ciąży.

- Na ile mogę to stwierdzić, prawdopodobnie jest to siódmy tydzień ciąży.

W ciąży? Tego Teke nie umiała sobie wyobrazić. Sama nie wiedziała dlaczego. Przecież jeśli jej córka jest na tyle dojrzała, by mieć raka piersi czy cystę na jajniku, to jest także wystarczająco dojrzała, by w jej macicy mogło się zagnieździć zapłodnione jajeczko. No tak, ale zapłodnione jajeczko oznacza dziecko. A Leigh sama ledwo przestała być dzieckiem. Nie, to nie tak, ma siedemnaście lat. Niedługo skończy osiemnaście. I jest w ciąży. O Boże!

- Mówiłam ci w Święto Dziękczynienia - powiedziała Leigh obronnym tonem. - Mówiłam, że chcę środków antykoncepcyjnych.

- Ale i wtedy byłoby za późno - łagodnie zwrócił jej uwagę Charlie. - To się prawdopodobnie stało, kiedy byłaś pierwszy czy drugi raz z Maxem. Mówiłaś, że to właśnie było w połowie listopada.

Leigh w ciąży. Teke ciągle nie mogła w to uwierzyć.

Leigh ciągle się wpatrywała w matkę. - Powstrzymywaliśmy się tak długo, jak byliśmy w stanie, ale w końcu uznaliśmy, że to nieuczciwe. Każdy robi co chce, i tylko nam nie wolno.

Teke zrozumiała aluzję. Znowu chodzi o tę nieszczęsną historię z Samem. - Mogłabyś już temu dać spokój - powiedziała piskliwym głosem, usiłując opanować ogarniającą ją panikę.

- Nie zrobiłam tego celowo, mamo.

- A Maxowi nie przyszło do głowy, żeby się zabezpieczyć?

- Powiedział, że nie musimy się przejmować AIDS.

- Ale powinniście się jeszcze przejmować czymś innym.

- Powiedział, że zdąży wyjąć. I tak robił. Prawie zawsze.

Teke wzniosła wzrok, jakby z braku nieba w suficie szukała pomocy, jednak nie znalazła stosownej odpowiedzi. - Cięża - westchnęła, czując nagle, jak ogarnia ją słabość.

- Może to tylko wszystko tak wygląda - zwróciła się Leigh do Charliego. - Nie rozumiem, jak to możliwe, żebym była w ciąży. Chodzi mi o to, że się nie czuję, jak bym była w ciąży.

- Wkrótce się tak poczujesz - rzekł Charlie. Oparłszy się łokciami o biurko, przejął rolę doradcy. - Istnieją rozmaite wyjścia z tej sytuacji - zwrócił się do Teke.

- Omówiliśmy je z Leigh. Może urodzić dziecko i je wychowywać. Może urodzić dziecko i oddać do adopcji. Może też przerwać ciążę. Jeszcze jest na tyle wcześnie, że może to zrobić.

Teke odgarnęła z policzka kosmyk włosów. Nie mogła rozważać tych wszystkich możliwości, kiedy serce jak oszalałe dudniło jej w piersi, tak głośno, że zagłuszało jakiegokolwiek myśli. Jakże mogła myśleć o wyjściach z sytuacji, kiedy nie była w stanie uwierzyć, że Leigh jest w ciąży?

Oszolomiona zwróciła się do córki. - Wiedziałaś o tym?

- Nawet teraz tego nie wiem! Nie miałam mdłości ani nic. Do głowy mi nie przyszło, że to się może tak szybko przydarzyć. Nie miałam o tym pojęcia.

Nie mogąc się uspokoić, Teke szukała oparcia w Charliem. - Czy ja powinnam była wiedzieć? Powinnam się była tego domyślić? Powinnam była coś zauważyć?

Potrząsnął głową. - Nie ma tutaj czego zauważać.

- Musiała nie mieć ostatniej miesiączki.

- Mówi, że przez te święta poplątały jej się obliczenia.

- Kto by się martwił tym, że nie ma miesiączki? - spytała Leigh, próbując wyjaśnić swoją postawę.

A czy teraz się martwisz? - miała Teke na końcu języka, jednak nie zadała tego pytania, by nie pogrążyć córki. Czuła się tak, jakby za chwilę miała się rozpaść na drobniutkie cząsteczki, jednak pomyślała, że w tej chwili Leigh musi się czuć jeszcze gorzej. A za kilka sekund przyszło jej do głowy, że może Leigh wcale nie czuje się gorzej. Leigh nie rozumie, co to znaczy mieć dziecko. Nie rozumie tej odpowiedzialności, troski, przywiązania, wydatków. Leigh myślała, że idąc z Maxem do łóżka ostatecznie skorzysta z tej wolności, jaką daje dorosłość.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej czyn może mieć następstwa, które natychmiast ją tej wolności pozbawią.

Dziecko. Leigh spodziewa się dziecka. Dziecko Leigh i Maxa. Wnuczek Teke. Wnuczek Annie i Sama. Teke zastanawiała się, co Annie na to powie.

Ale teraz to nie Annie siedziała ze swoją córką w gabinecie Charliego Harta. Teke próbowała zachować spokój i jakoś uporządkować myśli. - Myślę, że powinniśmy przez to przejść krok po kroku i nie podejmować pochopnych decyzji.

Przekazały nowinę Maxowi, gdy tylko wrócił ze szkoły. Pobladł tak samo jak Leigh, kiedy się o tym dowiedziała. Trzeba mu było oddać sprawiedliwość, że natychmiast sięgnął po dłoń Leigh i mocno ją trzymał.

- Powinniśmy byli poczekać - szepnęła do niego Leigh.

- Powinienem być się zabezpieczyć - odszepnął w odpowiedzi - ale myślałem, że wszystko będzie w porządku.

- Cały czas wydaje mi się, że lekarz się myli - powiedziała Leigh. W ogóle nie czuję się inaczej niż zwykle.

- Leigh - westchnęła Teke - właśnie zrobiłaś sobie domowy test ciąży i chyba już nie możesz mieć najmniejszej wątpliwości. Leigh podniosła wzrok na Maxa i cichym, przerażonym głosem, jak kobieta, która musi podjąć życiową decyzję, zapytała: - Co ma zrobić?

Przejechał palcami włosy. Wpatrzył się w przestrzeń szeroko otwartymi oczami. Teke niemal mogła widzieć jak w jego głowie rodzą się myśli, jedna po drugiej obrazujące konsekwencje dla jego przyszłości.

- Nie wiem - powiedział wreszcie, przenosząc wzrok na brzuch Leigh. Nie dotknął jej. Wglądał na równie przerażonego i niedojrzałego kandydata do ojcostwa jak ona do macierzyństwa. Odwrócił się do Teke.

- Mama będzie wiedziała, co robić. Chciałbym ją zapytać.

Annie, w najmniejszym stopniu nie podejrzewającej, że ci dwoje już ze sobą sypiają, odebrało mowę. Przenosiła wzrok z Teke na Leigh i Maxa, i z powrotem, aż wreszcie tylko zdołała poruszyć ustami. - W ciąży?

Gdy Annie już wiedziała, Teke poczuła się silniejsza.

- Charlie podejrzewa siódmy tydzień. To znaczy, że dziecko powinno się urodzić w połowie sierpnia.

Annie przyłożyła dłoń do czoła. Jej wzrok błędził przez chwilę, aż wreszcie spoczął na Maksie. - Obiecałeś mi, że tego nie zrobicie!

Wzruszył ramionami. - Po prostu się stało.

- Leigh, oboje obiecaliście!

Leigh wyglądała żałośnie. Teke zrobiło się jej żal, więc się odezwała: - Co się stało, to się nie odstanie. Jest w ciąży. Musimy zdecydować, co robić.

- Muszę porozmawiać z Samem. - Annie z trudem łapała oddech.

Leigh schwyciła Teke za rękę. - Tylko nie dzwoń do taty. Nie mów mu.

Teke nie wyobrażała sobie, jak mogłaby zataić przed Johnem coś takiego. Nieważne, że John odszedł. Ciągłe jest przecież ojcem Leigh. - Muszę. Nie mogę tego przed nim zataić.

- Będzie się wściekał! - upierała się Leigh.

- Na mnie - rzekła Teke z lękiem w głosie, wiedząc, jaka może być pierwsza reakcja jej męża.

- Do diabła, Teke! Przecież w tych sprawach powinnaś trzymać rękę na pulsie. Dlaczego nie dałaś dziewczynie środków antykoncepcyjnych, zanim do tego doszło?

Teke nie robiła uników. - Kiedy się dowiedziałam, że ten problem istnieje, Leigh była już w ciąży.

John zwrócił się do Maxa. - A ty nie mogłeś się zabezpieczyć? Przecież nie musiałeś nikomu mówić, nie musiałeś chodzić do lekarza. Wystarczyło tylko pójść do apteki i kupić prezerwatywy.

- Nie myślałem...

- W tym względzie masz rację! Na pewno nie myślałeś!

- To jest fakt dokonany - rzekł Sam.

John spiorunował go wzrokiem. - No, tak. Kolejna zdobycz panów Pope. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Daj spokój, John. W gruncie rzeczy to cud, że nic takiego się wcześniej nie zdarzyło. Wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że igramy z ogniem, kiedy nasze rodziny były ze sobą tak blisko. Do diabła, przecież oni już od dawna byli w połowie jak małżeństwo.

- No cóż, jednak nie są małżeństwem, a ona jest w ciąży. I co masz zamiar z tym zrobić?

Zebrali się w kuchni Pope'ów. Jana i Zoe poszły do Maxwellów, do Michaela. Teke podejrzewała, że wiedziały, co się święci i chciały się trzymać od tego z daleka. Cieszyła się z tego. Nie zniosłaby teraz Jany. Wystarczyło to, że musi znosić Johna.

- Ja nie mogę niczego zrobić - mówił właśnie Sam. Chociaż stawiał czoło Johnowi, był wyraźnie zdenerwowany. - To nie jest moja decyzja. To jest nasza decyzja. A ostateczna decyzja należy do Leigh. - Odwrócił się do niej i głos mu złagodniał. Słyszając to, Teke pomyślała, jakież to szczególny człowiek z tego Sama. - Co ty chcesz zrobić, skarbie? Zastanawiałaś się nad tym?

- Nie przestaję się nad tym zastanawiać od chwili, kiedy się dowiedziałam - rozpląkała się Leigh.

Teke też łzy popłynęły z oczu. Ona też rozważała po kolei wszystkie możliwości, i jeszcze raz, i znowu, i znowu... Gdy tylko któraś wydawała jej się najlepsza, natychmiast równoważyła ją inna.

Annie objęła Leigh i szepnęła do niej: - To wszystko jest bolesne - Leigh przytaknęła - lecz ekscytujące.

I Teke tak myślała.

John zmierzył Sama wzrokiem. - Uważam, że powinna przerwać ciążę. Nie widzę żadnego innego wyjścia.

- Inne wyjścia są - nie zgodził się Sam.

Jednak John lekko potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że nie zamierza marnować energii na dalszą dyskusję, bo jego poglądy są niewzruszone. - Dziewczyna ma siedemnaście lat. Ma przed sobą maturę i rozpoczęcie studiów. Oczywiście, mogłaby oddać dziecko do adopcji, ale to oznacza, że musiałaby chodzić po szkole z widoczną ciążą albo stracić rok. I w jednym, i w drugim wypadku byłaby napiętnowana.

- Nie chcę oddawać dziecka do adopcji - powiedziała Leigh do Maxa. - Nie zniosłabym myśli, że gdzieś z dala ode mnie żyje moje dziecko.

Teke się z tym zgadzała.

- Aborcja jest prostym i bezpiecznym rozwiązaniem problemu - powiedział John. - To pójdzie szybko, Leigh. Ledwo się obejrzysz, a już będziesz to miała za sobą. Twoje życie będzie się toczyło tak, jak gdyby Max nie stracił samokontroli.

- To nie jego wina - powiedziała cicho Leigh.

- Może ona nie chce aborcji - wtrącił się Sam.

- A chce dziecka? - odpalił John. - Nie ma jeszcze osiemnastu lat. Nie wie nawet, do jakiego college'u chce pójść ani co chce robić po skończeniu studiów.

- Chcę wyjść za Maxa i mieć dzieci - powiedziała Leigh.

John spiorunował wzrokiem Teke. - Nieodrodna córka swojej matki.

Teke nie odpowiedziała. To było nieważne. Miała takie samo zdanie jak Sam: ciąża jest faktem dokonany, a ostateczna decyzja, co z tym faktem dokonany zrobić, należy do Leigh. Kiedy wyczują, że popełnia błąd, będą próbowali naprowadzić ją na właściwy trop, ale przede wszystkim muszą wiedzieć, co ona myśli. - Nie ma nic złego w tym, że się chce wyjść za mąż i mieć dzieci - powiedziała teraz Teke.

- W naszych czasach kobiety pracują - warknął John. - Popatrz tylko na Annie.

- Nie patrz na Annie - ostrzegła Annie. - Annie ostatnio uważa, że wielu rzeczy w swoim życiu nie zrobiła wcale tak dobrze. Teke ma rację. Nie ma nic złego w tym, że się chce wyjść za mąż i mieć dzieci. To tylko sprawa okoliczności i nic więcej.

- No cóż, tutaj okoliczności są dość śmierdzące - skomentował John.

- Niezupełnie - odparowała Teke. - Leigh może skończyć szkołę, zdać maturę w czerwcu, w sierpniu urodzić dziecko, a od września, jeśli będzie chciała, rozpocząć studia w college'u.

- A ty czego chcesz? - Sam skierował pytanie do Leigh, znów nadzwyczaj łagodnym tonem.

Max, stojący tuż za Leigh, wydał się nagle Teke jakiś wyższy, i to roznieciło w niej isierkę nadziei. - Nie chcę, żeby Leigh usunęła ciążę - Max zwracał się do Johna, ale spoglądał na Sama. - Może i ostateczna decyzja należy do niej, ale to też moje dziecko.

- Twoje dziecko - wysyczał John. - Ty sam jesteś dzieckiem.

- Gdyby on był dzieckiem - odparował Sam - Leigh nie zaszłaby w ciążę. Mów dalej, Max.

- Chcę, żebyśmy mieli to dziecko. W porządku, okoliczności może są złe, ale przecież od lat mówimy o tym, że się pobierzemy. Wiem, że Leigh chce mieć dzieci. To była część naszej umowy. Ja będę utrzymywał rodzinę, a ona będzie wychowywała nasze dzieci.

- Będziesz utrzymywał rodzinę. A można wiedzieć jak? - spytał John. - Nie skończyłeś jeszcze nawet szkoły średniej.

- Skończę w czerwcu. Mogę skończyć college w ciągu trzech lat i jednocześnie pracować, kiedy nie będę miał zajęć.

Teke pomyślała, że to za ciężkie brzemię dla osiemnastolatka, ale w tym momencie odezwał się Sam: - Nie będziesz pracował w czasie studiów. Nie jesteśmy biedakami. Możemy utrzymywać ciebie, Leigh i dziecko, jeśli wy tego chcecie.

Po raz pierwszy John odczuł jakiegokolwiek wątpliwości. Zmarszczył brwi, patrząc na Leigh. - Rzeczywiście tego chcesz?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Jesteś tego pewna?

- Chcę mieć dziecko. Chcę wyjść za Maxa. Mogę się zapisać do college'u i chodzić na wybrane zajęcia, a dziecko oddam do żłobka...

- Nie, nie oddasz - natychmiast zaprotestowała Teke, bo ten ostatni pomysł wyjątkowo jej się nie podobał. - Będiesz zostawiała dziecko ze mną. Kocham małe dzieci. Opieka nad nimi to coś, co udaje mi się najlepiej. Michael niedługo pójdzie do szkoły, więc będę miała dużo czasu, a nie mogę wykorzystać go lepiej niż niańcząc własnego wnuka.

Annie podeszła do niej ze łzami w oczach. - Naprawdę zrobiłabyś to?

- W każdej chwili - powiedziała Teke i spostrzegła, że się uśmiecha. - Kiedy się człowiek nad tym zastanowi, to rzeczywiście niesamowite. Tyle razy żartowaliśmy, że kiedyś Max i Leigh będą mieli dzieci i naprawdę staniemy się jedną rodziną. Myślę, że to będą najcudowniejsze dzieci świata.

Annie przytuliła ją mocno i długo nie wypuszczała z objęć. Potem przytuliła ją Leigh, potem Max, a wreszcie podszedł do nich Sam. Wszyscy byli radośnie uśmiechnięci, wszyscy, ale nie John. Kiedy pozostali zajęli się rozmową, Teke podeszła do niego. - Ciesz się ich szczęściem, John. W gruncie rzeczy to było ich największe pragnienie.

- Sami nie wiedzą, w co się pakują.

- Nie wiedzą mniej niż myśmy wiedzieli. I mają nas, a to więcej niż my mieliśmy na starcie. Jeśli im pomożemy, na pewno szczęśliwie ułożą sobie życie. Kochają się. Naprawdę się kochają. Zazdroszczę im tego. - Kiedy to mówiła, poczuła ukłucie żalu. Kiedyś kochała Johna.

Może niewystarczająco, ale jednak kochała. Kiedy teraz na niego patrzyła, ciągle jeszcze coś czuła, ale podejrzewała, że to raczej ma związek z ich wspólną przeszłością, z dziećmi, a nawet z pewnymi dobrymi stronami charakteru Johna, ale nie z tym człowiekiem, który był opanowany złością.

Zmarszczył brwi. - Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość naszych dzieci. Chciałem, żeby wszystko im się dobrze ułożyło.

- A kto powiedział, że im się źle układa? Może to wszystko nie potoczyło się dokładnie tak, jak sobie wyobrażaliśmy, ale przecież Max i Leigh są szczęśliwi, naprawdę szczęśliwi, i tylko to się liczy.

Wpatrywał się w nią z nagłym zaciekawieniem. - Jesteś zadziwiająco spokojna, Teke. Mógłbym przysiąc, że się cieszysz z tego, że znowu będziesz mogła przykleić się do Annie.

Pewnie kiedyś tak by było, ale nie po tym popołudniu, kiedy wzięła Sama w objęcia. - Nie mogę się przykleić do Annie tak jak kiedyś. Mam nadzieję, że znowu będziemy przyjaciółkami, i myślę, że to nam się uda, ale już nie będę mogła oczekiwać od niej emocjonalnego wsparcia tak jak kiedyś. Teraz jestem bardziej samodzielna. Może to też jest dobre.

- Może - mruknął John.

- Dla ciebie też?

- Może. - Nie mówiąc nic więcej, podszedł do córki, by ucałować ją na pożegnanie.

Sam leżał rozciągnięty na kanapie w salonie, pogrążony w niespokojnych myślach, kiedy w drzwiach stanął Max. - Gdzie jest mama?

- Na górze.

Chłopak wszedł do pokoju. Wydawał się zagubiony i taki młody, że Sama przeniknęła kolejna fala lęku, który czuł już od wielu godzin. Trudno uwierzyć, że jego syn wkrótce sam zostanie ojcem. Jego Max. Jego mały Max już jest mężczyzną.

Max wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

- Dzięki, że mnie dzisiaj wsparłeś. Nie musiałeś tego robić - wzruszył ramionami - po tym, jak cię ostatnio traktowałem i w ogóle.

Problemy, o których Sam nie mógł przestać myśleć, sprowadzały się do jednego - zostać w firmie, czy stamtąd odejść, a jeśli odejść, to jak zapewnić rodzinie utrzymanie na dotychczasowym poziomie, tym bardziej że przybędą wkrótce dwie dodatkowe osoby do wykarmienia. Miał szansę odzyskać zaufanie syna, ale równolegle z tym przyjmował na siebie większą odpowiedzialność.

Max popatrzył na niego niewesoło. - Chyba spierdoliłem wszystko bardziej niż ty.

- Nie jest to słownictwo, którego ja używam, ale masz rację, spierdoliłeś. Zrobiłeś to, żeby się na mnie odgryźć?

- W tych okolicznościach było to stosowne pytanie.

- Nie. Tak. Może i tak, nie wiem. Ale już od dłuższego czasu chciałem być z Leigh.

Sam pamiętał, jak nie mógł sobie poradzić z nieustającym wzwozem, gdy poznał Annie. Mógł zrozumieć Maxa, a nawet mu współczuć. - Powinieneś być używać prezerwatywy i bardziej zadbać o Leigh. Ale wszyscy popełniamy błędy. Nie jestem przekonany, czy twój błąd był gorszy od mojego. Po prostu będziemy mieli nie planowane dziecko.



Max, taki wielki i potężny na boisku piłkarskim, nagle był blady i bliski paniki. - Chole-  
ra, nie mam zielonego pojęcia, jak się trzeba obchodzić z małym dzieckiem.

- Wszystkiego się nauczysz.

- A co, jeśli dziecko będzie płakało, a ja będę chciał się uczyć?

- Pójdiesz do innego pokoju i zamkniesz drzwi.

- A jeśli dziecko zachoruje?

- Wezwiesz lekarza.

- A jeśli będę wtedy w samym środku meczu?

- Wtedy zrobi to Leigh albo Teke, albo mama, albo ja.

Max potarł kark.

- Cały jestem roztrzęsiony, kiedy o tym pomyślę.

- Wyobraź sobie, co czuje Leigh. To ona będzie przez najbliższe siedem i pół miesiąca  
dźwigała ten ciężar. Twoja rola polega na tym, żeby dać jej moralne wsparcie.

- Jak ja jej mogę dać wsparcie, kiedy sam jestem śmiertelnie przerażony?

Przez sekundę, wpatrując się w Maxa, Sam zastanawiał się, czy wszyscy nie popełniają  
błądu. Max jest taki młody, może za młody, by zostać ojcem. - Możecie się jeszcze rozmyślić...

- Nie. Chcę tego dziecka. Po prostu jestem przerażony, i to wszystko.

Sam podniósł się na nogi i otoczył syna ramieniem. - Wszystko będzie dobrze. Kochasz  
Leigh i pokochasz to dziecko. Dorośniesz do roli ojca. I nie będziesz w tym wszystkim sam.  
Będziemy tutaj i zawsze możesz liczyć na naszą pomoc.

- Ale spierdoliłem sprawę.

- Każdemu to się czasami zdarza. Ważne jest to, jak się człowiek zachowuje później.

Max obciął go badawczym spojrzeniem. - To dlatego tak nadskakujesz mamie?

- Nadskakuję mamie, bo uwielbiam jej nadskakiwać i chcę, żeby o tym wiedziała.

- Między wami wszystko jest w porządku?

Sam się nad tym zastanawiał. Annie była ciepła i rozmowna. Znow łączyły ich wspólne  
sprawy, coraz więcej wspólnych spraw. Zdarzały się chwile, kiedy Annie była ostrożna albo  
zbyt szybko wstawiała z łóżka po tym, jak się kochali, ale Sam miał świadomość, że przed nimi  
jeszcze długa droga. - Zmierzamy do tego. Wiele jeszcze mamy przed sobą, ale wszystko idzie  
we właściwym kierunku. - Poprosił żartobliwie: - Mógłbyś czasami rzucić jakieś słówko w mo-  
jej sprawie.

- Jasne - odparł Max, jednak ciągle wydawał się zmartwiony.

Sam uściskał go. - Wyrzuć to z siebie.

- To głupie - mruknął Max.

- Nic nie jest głupie, jeżeli się tym martwisz.

- Jestem naprawdę w tym wszystkim zielony.

- Powiedzże wreszcie, o co ci chodzi.

- O seks. Możemy to robić, kiedy ona jest w ciąży?

Sam ścisnął syna, a ten uścisk powracał jak bumerang i trafiał w samo serce. Biedny Max. Naprawdę jest w tym wszystkim zielony.

- Powinienem powiedzieć, że nie możecie. Macie tylko po siedemnaście lat. Jednak faktem jest, że nie ma żadnych względów zdrowotnych, żebyście musieli żyć w abstynencji, dopóki tylko Leigh to nie będzie przeszkadzało. Jeszcze jakieś pytania?

- Kiedy weźmiemy ślub? Gdzie będziemy mieszkać? Będę przy tym, jak się będzie rodziło dziecko? Co zrobię...

Na tę lawinę pytań Sam odpowiedział serdecznym uściskiem. Uśmiechnął się.

- Nie wszystko naraz. Po kolei, dobrze?

\* \* \*

John Stewart dowiedział się o ciąży Leigh dopiero po trzech dniach, a od tej chwili upłynęła jeszcze godzina, zanim wezwał Sama do swojego gabinetu.

- Tego już za wiele - rozpoczął oskarżenia w chwili, gdy tylko Sam wszedł do gabinetu. - Tego to już naprawdę za wiele. - Klepnął ręką w parapet okna, przy którym właśnie stał. - Najpierw Theodora, teraz Leigh. Rany boskie, Sam, jesteś jak zwierz, który musi się parzyć z każdą samicą, jaka mu się tylko nawinie. Wcześniej czy później musiały przyjść konsekwencje.

Sam spodziewał się nieprzychylnego nastawienia Johna Stewarta, jednak wcale mu przez to nie było lżej. John Stewart był w nietypowy dla siebie sposób poruszony, ale to była niewielka pociecha. - W tym co się zdarzyło Leigh i Maxowi nie ma co mówić o tym, że się ktoś komuś nawinał. Ci dwoje kochają się już od lat.

- Nie mogłeś nauczyć swojego synka, skąd się biorą dzieci? Czy nie przyszło mu do głowy, że Leigh może zająć w ciążę?

- Z pewnością wiedział, że taka możliwość istnieje, ale jak większość dzieciaków w tym wieku, uważał, że im się uda.

- No i nie udało się - wybuchnął John Stewart - i teraz musimy sobie poradzić z bardziej wstydlivą sytuacją niż to, co ty zrobiłeś z Theodorą.

- Nie widzę nic wstydlivego w tym, co się przydarzyło Leigh i Maxowi - odpowiedział Sam, unosząc podbródek. - Czuję się dumny.

- Ty możesz się czuć dumny. Nie rozumiesz tego, jakie tutaj się mogą zdarzyć powikłania.

- O jakich powikłaniach mówisz? Wezmą ślub i będą mieli dziecko. Ja zostanę dziadkiem, a ty pradziadkiem.

- Ślub mają brać dopiero w maju, a do tego czasu Leigh będzie miała już brzuch jak balon. To hańba.

- Leigh zawsze chciała mieć wesele. A żeby zorganizować prawdziwe wesele, trzeba trochę czasu.

- Będzie wyglądała dziwacznie.

- Nawet nie zauważysz, że jest w ciąży. Wystarczy tylko uszyć odpowiednią sukienkę. A ponieważ Leigh chce mieć prawdziwe wesele, więc i my chcemy, żeby je miała.

- A koszty poniesie mój syn.

- John się na to zgadza. Czy jego też tu wezwalesz i musztrowalesz tak jak mnie?

- Powiedział mi, żebym pilnował swoich spraw.

- Może istotnie powinienesz.

- Na tym weselu będą siedzieli moi przyjaciele i będą o nas mówili za plecami. Wszyscy poznają prawdę.

- A niech sobie pogadają. To tylko paru nadętych hipokrytów.

John Stewart odszedł od okna i zmierzył Sama stalowym wzrokiem. - Ci nadęci hipokryci to moi przyjaciele i moi klienci. Przez ciebie wyjdę przed nimi na głupca. Już wyszedłem na głupca. Wystarczy to, że jesteś współnikiem w mojej firmie. Albo ty się wycofasz z tej firmy, albo ja.

To był nowy zwrot w sprawie pozbycia się Sama z firmy. - Mam się wycofać? - spytał Sam ostrożnie.

- Udało ci się, jeśli chodzi o głosowanie w sprawie pozbawienia cię partnerstwa w firmie. John David albo wychodzi przed głosowaniem, albo się w ogóle nie zjawia. To tchórz.

- Po prostu nie chcę kłaść palca między drzwi.

- Powinien poprzeć mnie w głosowaniu i nawet nie pytać dlaczego. Zniszczyłeś jego małżeństwo.

- Nie, Johnie Stewarcie. Nie ja zniszczyłem jego małżeństwo. Spróbuj jeszcze raz.

John Stewart wyprostował się na całą wysokość. Cała jego postać była tak sztywna jak wykrochmalony kołnierzyk jego koszuli. - Wycofaj się z firmy. Złóż rezygnację. A jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię. Zabiorę ze sobą wszystkich moich klientów i firma padnie.

- Wątpię w to - powiedział Sam, ale był roztrzęsiony. Gdyby John Stewart rzeczywiście zrobił tak, jak mówi, nie dałoby się uniknąć poważnych zmian w firmie. John Stewart nie miał wątpliwości, że wtedy firma padnie, ale Sam starał się znaleźć kontrargumenty. - Nie tylko ty w tej firmie zarabiasz pieniądze. Wszyscy mamy swoich klientów.

- Może ty i Will macie. Ale jeśli chodzi o Martina i Johna, to, poza kilkoma wyjątkami, obsługują moich klientów. I ci klienci odejdą od nich, jeśli ja ich o to poproszę.

Sam nie przypuszczał, żeby rzeczywiście wszyscy klienci poszli za Johnem Stewartem, jednak był pewien, że możliwości firmy bez niego znacznie by osłabły. Groźby Johna Stewarta na pewno nie były czczymi pogroźkami. - Zrobiłbyś to własnemu synowi, Johnie Stewarcie? Zabrałbyś mu klientów i zniszczył praktykę?

- Owszem, jeśli w ten sposób mógłbym uwolnić się od ciebie - poinformował go John Stewart. - Poza tym zawsze może odejść razem ze mną. Tak samo Martin. I podejrzewam, że obaj odejdą. A w ten sposób zostawimy tobie i Willowi firmę i ciężką czteroletnią umowę leasingową do wypełnienia.

Sam pośpiesznie myślał. Wiedział, że taka umowa leasingowa może być zabójcza dla każdej firmy, której nagle maleją obroty. Potem przyszło mu na myśl, że od czasu sprawy Dunn przeciwko Hanoverowi jego praktyka jest w pełnym rozkwicie. Ale czy to wystarczy? Nie widział na horyzoncie żadnej sprawy, która mogłaby mu przynieść sześć milionów dolarów.

Mógł też rzeczywiście odejść z Maxwell, Roper & Dine i otworzyć własną firmę, ale to pochłonęłoby bardzo dużo pieniędzy, czasu i nerwów. Musiałby się oddać firmie całkowicie, nie zostawiając sobie czasu dla Annie i dla dzieci.

Słyszając tę przedłużającą się ciszę, John Stewart nabierał pewności siebie. - Na twoim miejscu - rozpoczął impertynencko - zacząłbym robić inne plany na życie. Przyłącz się do innej firmy. Są różne firmy, które nie kierują się zasadami moralnymi takimi jak nasza. Na pewno gdzieś sobie znajdziesz miejsce. Jeśli tego nie zrobisz i tu zostaniesz, zostanie ci z firmy tylko trochę okruchów do pozbierania.

Urażony bezczelnością Johna Stewarta, Sam pokręcił głową ze wstrętem. - Właśnie teraz zaczynam się zastanawiać, jak kiedykolwiek mogło mi przyjść do głowy, żeby chcieć pracować w jednej firmie z takim zimnym i bezdusznym skurwysynem jak ty - wyrzuciwszy to z siebie Sam obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

- Poinformuj mnie o swoich planach - zawołał za nim John Stewart uprzejmym tonem.

Sam wyszedł za drzwi, nawet na niego nie spoglądając. Kroczył przez korytarz, skręcił i znów szybkim krokiem przemierzał następny korytarz, aż znalazł się w swoim gabinecie. Kiedy był już w środku, podszedł do szafki i wyjął formularz, który mu przysłał Joe Amarino. Ze wszystkich możliwości ta wydawała mu się najbardziej interesująca. Bez względu na to, ile razy powtarzał, że jeszcze jest za młody, żeby porzucić praktykę adwokacką i powędrować za stół sędziowski, tego pomysłu nie mógł ot, tak po prostu, odrzucić. Bycie sędzią miało swoje dobre strony. I to dużo dobrych stron. Szczególnie po ostatnim ultimatum Johna Stewarta.

Wpatrywał się w formularz, po czym odłożył go z powrotem do szafki, ale po minucie znów po niego sięgnął. Bycie sędzią mogłoby być całkiem miłe. Jeśliby dostał to stanowisko. A o tym może się przekonać tylko w jeden sposób - trzeba zgłosić kandydaturę.

Nikt nie musi wiedzieć, że zgłosił kandydaturę do tego urzędu. Nawet Annie nie musi wiedzieć. Jeśli się nie zakwalifikuje, nikt nie będzie się z niego naigrawał. Urząd sędziego... hm, to naprawdę mogłoby być interesujące. Nowe wyzwanie. Szansa, żeby wycisnąć swe piętno na systemie wymiaru sprawiedliwości. Uczciwe godziny pracy. Dobre wynagrodzenie. Bezpieczeństwo. Szacunek.

Pochylił się nad biurkiem i zaczął wypełniać rubryki formularza zgłoszeniowego.

W niedzielę o dziesiątej rano, kiedy John leżał w swoim łóżku i czytał gazetę, rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił odźwierny, by go poinformować, że w hallu czeka Virginia Clinger, i zapytać, czy może ją wpuścić na górę. John nie widział Virginii od dnia, kiedy wsunęła głowę do gabinetu jego ojca. Tak samo jak wtedy, i teraz był ostrożny. Nie miał pojęcia, czegoż Virginia może chcieć, i zdecydowanie bardziej wolałby wylegiwać się w łóżku i rozkoszować nowym dla siebie lenistwem, niż przyjmować gości. Tym bardziej że to błogie lenistwo zakłócał mu nie kto inny, a Virginia Clinger, która była przykrą reminiscencją z Constance.

Jednak był zciekawiony, cóż ją tu sprowadza.

Narzucił na siebie szlafrok i otworzył drzwi dokładnie w chwili, kiedy rozsuwały się drzwi windy, a stamtąd wychodziła Virginia, otulona w futrzaną kurtkę. Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Nie byłam pewna, czy cię zastanę w domu - mówiła zmysłowym głosem. - Szalałeś do późnej nocy?

- Można to tak nazwać. - Szaleństwa polegały na tym, że wypożyczył trzy filmy z wypożyczalni wideo i obejrzał je wszystkie, co mu pozwoliło zasnąć dopiero po czwartej rano.

Wręczyła mu elegancko zapakowaną paczuszkę z cukierni. - W takim razie świetnie się składa. Przyniosłam ci prezent, coś w rodzaju daru domowej atmosfery. Mogę wejść?

Odszedł na bok i patrzył, jak wchodzi do mieszkania spowita obłokiem perfum. Wyśliznęła się z futra, odsłaniając nogi w białych zimowych legginsach, i spojrzała na niego niewinnym wzrokiem. - Mam zrobić śniadanie?

- Po co wchodziłaś tamtego dnia do gabinetu mojego ojca?

Nawet nie mrugnęła. - Kiedy?

- Dzień po Święcie Dziękczynienia. Uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Żeby się dowiedzieć, jak się czuje mój ojciec. John Stewart widział się z nim na Florydzie. Tata nic mi nie chciał mówić przez telefon. A że miałam umówione spotkanie w Bostonie, postanowiłam wstąpić do Johna Stewarta i zapytać.

- Bez pukania?

- Mary powiedziała mi, że mogę wejść.

John podejrzewał, że Mary McGonigle rzeczywiście mogła tak powiedzieć, zważywszy na to, że Virginia od wielu lat była przyjaciółką rodziny. A i Virginia zaskakująco gładko opowiedziała tę historyjkę. Naturalnie, po Virginii nie można się spodziewać niczego innego, tylko kłopotów, pomyślał John, ale wyraźnie zmiękł. Uznał, że w sprawie takiego drobiazgu może jej uwierzyć.

- Śniadanie? - ponagliła zalotnie, unosząc w górę paczuszkę z cukierni.

- Jasne. - Poprowadził ją do kuchni.

- Wspaniałe mieszkanie - stwierdziła, rozglądając się wokół. - Zadowolony z niego jesteś?

- Mhm. - Był zadowolony, i to z każdym dniem coraz bardziej. Teraz już wiedział, gdzie co ma, opanował zasady użytkowania takich urządzeń jak zmywarka do naczyń oraz nauczył się rozkładu mieszkania. Znalazł sprzątaczkę, która mu się spodobała, i pralnię, która mu się spodobała, i małe okoliczne knajpki, w których można było kupić na wynos wysmienite włoskie, amerykańskie i francuskie potrawy, znalazł też wiele restauracji, gdzie mógł zjeść z przy-

jemnością i w spokoju. Nie były to modne ani znane lokale, co stanowiło niezwykle zmianę w życiu Johna Davida Maxwella, jednak była to zmiana niezwykle odświeżająca.

Odświeżające. To naprawdę dla niego coś nowego, zupełnie tak, jak to poranne lenistwo.

Virginia znalazła puszkę z kawą i nasypała jej do ekspresu. Nie przestawała spoglądać na Johna. - Sądziłeś, że nie umiem tego robić... Nie zaprzeczaj, wiem, że tak myślałeś. Ale umiem. Nie mam dwóch lewych rąk.

- Nigdy nie mówiłem, że masz dwie lewe ręce.

- Ludzie myślą, że tak jest. Blondynki są podejrzewane o niechęć do zajęć domowych, a kobieta, która skorygowała sobie linię nosa, jest już uważana za absolutnie beznadziejną gospodynię. - Uporała się z ekspresem do kawy i zabrała się za rozpakowywanie ciasta. Zgrabna paczuszka była przewiązana wstążeczką, a węzeł był na tyle mocny, że Virginia miała niejaki problem, by go rozsupłać.

John podszedł do niej i bez trudu rozwiązał wstążeczkę. - Najwyraźniej boisz się, że sobie złamiesz paznokcie - drażnił się z Virginią, ale brzmiało to przyjaźnie. Trzeba przyznać, że Virginia miała naprawdę piękne paznokcie. Tak samo dłonie. Jej obecność wprowadziła do jego kuchni trochę łagodności. - Ładnie wyglądasz, Gin - zauważył, opierając się o kuchenną ścianę z rękami złożonymi na piersi.

- Ty też. - Wyjęła paterę z kredensu i otworzyła paczkę z ciastem, jednak przerwała na chwilę, by na niego spojrzeć. - Naprawdę dobrze wyglądasz. Myślałam, że będziesz załamany. A ty wyglądasz na takiego spokojnego, odprężonego. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam cię z rozczochranymi włosami. Muszę przyznać, że to ci dodaje uroku. - Kiedy John karmił się tymi komplementami, Virginia pochyliła się nad paterą i zaczęła układać porcje ciasta. - Myślałam, że będziesz wściekły z powodu Leigh. Przyszłam, żeby cię pocieszyć.

Poczuł ukłucie irytacji. To właśnie była Virginia, jaką się spodziewał zobaczyć, kobieta, która zrobi wszystko, żeby tylko znaleźć materiał do plotek.

- A co z Leigh? - Czyż nie jest w ciąży?

- A gdzie to słyszałeś? - Spodziewał się, że to jeszcze nie dotarło do żadnych obcych uszu.

- Od moich dzieci. Leigh zwierzała się w szkolnej łazience swojej przyjaciółce i nie zauważyła, że ktoś jest w kabinie. Wiadomości się rozchodzą.

- Wyolbrzymione - chrząknął John.

- No cóż, przecież to i tak wcześniej czy później wyszłoby na jaw.

- Lepiej byłoby później. Nie chcę, żeby moją córkę wytykano palcami.

- Nikt jej nie będzie wytykał palcami - zapewniła go Virginia. - Nie, kiedy ciągle ma przy sobie Maxa. On jest gwiazdorem w szkole. Dzieciaki go szanują. A poza tym i tak wszyscy wiedzą, że oni zawsze byli razem. To w sumie nic złego, John.

Coś w nim chciało znowu nakrzyczeć na Teke, czy na Maxa albo nawet na Leigh. Jednak ta nowa część jego charakteru przekonywała go, że krzyk i wyrzuty niczego tu nie zmienia. Mógł oczywiście wyniośle unieść podbródek jak John Stewart, obrażony, że ktoś ośmielił się nie być równie doskonały jak on, ale mógł też machnąć na to wszystko ręką.

Zresztą może on sam nie był aż tak doskonały, jak mu się to niegdyś wydawało. Jakże ta chodząca doskonałość mogła oglądać filmy do czwartej rano, potem wylegiwać się w łóżku do południa, a w dodatku przyjmować gości w szlafroku i z włosami rozczochranymi po nocy? Można by było też powiedzieć coś na ten temat, w jaki sposób rozmawiał z własnym ojcem, i to coraz częściej i z narastającym przekonaniem. Może to samo można powiedzieć o tym, że Leigh i Max wezmą ślub i będą mieli dziecko.

- Uuu! - zakrzyknęła śpiewnie Virginia. - Jesteś tutaj?

John wziął głęboki oddech.

- Wiele się zmieniło. Do różnych rzeczy trzeba się przyzwycząić.

Wytarła dłonie w serwetkę. - Naprawdę dobrze wyglądasz. Lepiej niż kiedykolwiek. - Podeszła do niego. - Naprawdę jesteś bardzo atrakcyjny.

- Bardziej niż twój trener? - zapytał.

- Zdecydowanie. - Oparła ręce o ścianę na poziomie jego szyi. - Zawsze miałam do ciebie słabość, ale o tym chyba dobrze wiesz.

Zobaczył w jej oczach pożądanie. - To dlatego przyszłaś? - Zastanawiał się, czy ma koronkową bieliznę.

- Właściwie nie. No cóż, może miałam to gdzieś w podświadomości, bo bardzo mi brakuje tego, że nie mieszkasz już po drugiej stronie ulicy. - Lekko pocałowała go w policzek.

- Virginio... - Nie był pewien, czy tego chce. Znow go pocałowała, tym razem w kącik ust. Był zaskoczony, kiedy poczuł, że to zaczyna odnosić skutek w okolicach jego pachwin. Wdychał zapach jej perfum.

- Ładnie pachniesz.

- To „Obsession”. Co masz pod spodem?



- Szorty. - Ciagle nie był pewien, czy chce tego, o co jej chodzi, jednak pod naporem jej zapachu i jej łagodności jego wola wyraźnie słabła. Nie protestował, gdy jej dłonie zaczęły się przesuwac po jego karku, po piersi, po brzuchu, coraz niżej rozchylając szlafrok. Kiedy złapał ją za nadgarstki, zrzuciła z niego szlafrok i patrzyła na jego piersi, na jego nogi, na szorty.

John czuł, że obecność Virginii działa na niego coraz silniej. Ona zaś robiła wszystko, by go podniecić. Uznał wreszcie, że to, co jej chodzi po głowie, w końcu nie byłoby takie złe.

- Co byś zrobił - zapytała drażniącym szeptem - gdybym się teraz rozebrała? Obrzuciłbyś mnie wyzwiskami? Kazałbyś mi się ubrać i wyjść? Namówiłbyś mojego ojca, żeby mi przestał dawać pieniądze?

John nie rozważał tego problemu zbyt długo. Ostatecznie nie był eunuchem. Głos miał coraz gorętszy, oddech szybszy, a szorty coraz ciaśniejsze. - Zrobiłbym ci to, czego chcesz. Mocno i dobrze. I pozwoliłbym, żebyś ty mi zrobiła to samo - rzekł zduszonym głosem. Lubił agresywne kobiety.

Virginia wyszła z pantofli. Ściągnęła legginsy ze swych długich, niesamowicie długich nóg, zdjęła sweter i bieliznę, rzeczywiście koronkową. Zanim zdążył zapytać, czy się naprawdę pieprzy z trenerem z klubu odnowy, była już naga i unosiła w górę ramiona, by wysunąć szpilki z włosów, które spłynęły ciężkim blond wachlarzem na jej ramiona.

Spojrzał na swoje szorty. Czy jej ciało było sztucznie wyrzeźbione, czy też nie, efekt wywierało piorunujący. Jego oddech stał się bardziej chrapliwy. Złapał ją za dłonie i przyciągnął do siebie. Pocałował ją mocno, głęboko, a potem zamknął oczy i oddał się przeżywaniu reakcji swojego ciała na to, co wyczyniał jej język i zęby na jego szyi, klatce piersiowej i brzuchu. Na jej miejscu mogłaby być jakakolwiek inna kobieta, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Kiedy klęczała przed nim, trzymał w dłoniach jej włosy i poruszał biodrami w rytmie dyktowanym przez jej usta. Kilka sekund dzieliło go od orgazmu, kiedy popchnął ją na podłogę i wszedł w nią gwałtownie. Krzyk zaskoczenia poprzedził krzyk rozkoszy, ale John już nic więcej nie słyszał, bo pogrążył się w falach własnego spełnienia.

Później, kiedy Virginia już się ubrała, a on narzucił z powrotem szlafrok, pili kawę i jedli ciasto. Kawa była gorąca i mocna, a ciasto świeże i słodkie. John właśnie pałaszował drugą porcję, kiedy uświadomił sobie, że Virginia nie je.

- Nie przywiązujesz do tego szczególnej wagi, prawda? - spytała.

- Jak możesz tak mówić? Ciasto jest wyśmienite, a ty jesteś cudowna, że mi przyniosłaś taki pyszny prezent.

Jej oczy się zwięzły. - Mówię o tym, co przed chwilą zrobiliśmy, John.

Miał właśnie zamiar ugryźć następny kęs, ale kiedy chwilę się zastanowił, odłożył ciasto na talerzyk. Powinien był się spodziewać, że ona coś powie. Ale, do cholery, źle mu się robiło od takich pytań. Takie pytania zawsze zadawały niepewne siebie panienki, które miały nadzieję na dalszy ciąg, choć czuły, że nic takiego nie nastąpi, mimo iż tym razem było przyjemnie. - Było miło, Gin - powiedział i oparł się na krzesło - ale jeśli pytasz o to, czy chcę, żebyś pozostała na noc, to odpowiedź brzmi: nie.

Jej spojrzenie wbijało się w niego. - Mogę cię znowu zaspokoić.

- Tego jestem pewien.

- Więc dlaczego nie chcesz, żebym została na noc?

- Bo nie chcę cię tutaj.

- Mogę wrócić do domu później.

- Możesz - potwierdził obojętnie - ale jeśli robisz sobie nadzieję, że to się rozwinie w jakiś stały związek, to wyświadcz sama sobie przysługę i trzymaj się ode mnie z daleka.

- Bo jesteś ciągle żonaty? Rany boskie, John! Przecież Teke nie jest święta. Spójrz, co robiła z Samem. I popatrz, co robi z Gradym Piperem.

John czuł, jak jego nonszalancja nagle zniknęła. Sama mógł znieść. Zdążył się do tego przyzwyczaić. Inni obchodzili go znacznie bardziej, dla samej zasady, z żadnego innego powodu. - A co ona robi z Gradym?

- Zgaduj. Do trzech razy sztuka.

Nie skorzystał z zaproszenia. - Masz na to jakiś dowód?

- Cały czas się z nim spotyka. Grady przyjeżdża i „pomaga” Michaelowi, mają taką wymówkę. Ale ja naprawdę nie zwracam uwagi na to, co robi Teke. I ty też nie powinienes. Wyprowadziłeś się od niej, John. Jesteś kimś więcej niż ona kiedykolwiek może być. A ja cię wezmę bez względu na to czy będziesz wolny, czy żonaty.

Nachmurzył się. - Nie mów tak, Gin.

- Dlaczego nie? Zawsze się staram zdobyć to, czego chcę, a chcę ciebie.

- Dla pieniędzy?

Zacisnęła usta. - Dla całokształtu.

- Ale całokształt jest nieosiągalny.

- Więc interesuje mnie każda część, która jest osiągalna.

Nachmurzył się jeszcze bardziej. - A gdzie twoja duma?

- Odeszła razem z mężem numer dwa - odpowiedziała, gładząc podbródek. - Więc nie boję się żadnych słów, kiedy mi na czymś zależy, a na tobie mi naprawdę zależy, John. Zawsze mi na tobie zależało. Podniecasz mnie i to nie tylko fizycznie. Pragnę cię.

- No cóż, nie możesz mnie mieć - obwieścił jej. - Podoba mi się to, jak teraz żyję, a najważniejsze jest to, że mieszkam sam.

Wyglądała na nieco zmieszaną. - Przecież jesteś przyzwyczajony do tego, by mieć wokół siebie ludzi. Nie czujesz się samotny?

- Widuję się z wystarczającą liczbą osób, by nie czuć się samotnym.

- A nie brakuje ci kobiety?

- Mam kobiety, kiedy chcę, ale tylko wtedy.

- Jesteś samolubnym skurwysynem - mruknęła urażona.

John wcale nie zmniejszył jej zawodu, kiedy zaczął analizować swoje życie.

- Kiedy dorastałem, zawsze ktoś się mną opiekował. Potem wyjechałem do college'u i poznałem Teke, a ta opiekowała się mną przez całe dziewiętnaście lat. Teraz nie ma kto się mną opiekować. Mogę robić, co chcę i kiedy chcę. Być może za miesiąc będę tym zmęczony, ale na razie mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że rozkoszuję się wolnością.

- Rozumiem - powiedziała Virginia, podnosząc się ze stołka, na którym przysiadła. - To wstyd. Moglibyśmy być dla siebie nawzajem pomocą. Byłoby nam dobrze razem.

John pomyślał teraz o tym, co zrobili na podłodze. Virginia była dobrą kochanką, ale nie lepszą niż Teke, a Teke przecież nie chciał. Jedyne, czego chciał w życiu, to być wolnym. Do tej pory żył w sposób rozsądny, zgodnie z rozkładem zajęć, kierując się wyznaczonymi celami i poczuciem odpowiedzialności. Teraz chciał o tym wszystkim zapomnieć. Chciał postępować inaczej niż do tej pory, chciał spróbować wszystkiego, czego jeszcze nie zaznał, a nawet złamać kilka przepisów.

Poszukiwał swojej tożsamości. Już mu nie wystarczało, że jest synem Johna Stewarta, mężem Teke czy przyjacielem Sama. Chciał być Johnem Davidem Maxwelllem - silnym, niezależnym, samowystarczalnym.

Wyprowadzka z domu była pierwszym krokiem we właściwym kierunku. Przystwojenie sobie wszystkiego, co umożliwiło samodzielne funkcjonowanie, następnym krokiem. Ciągłe miał przed sobą ogromne wyzwania, ale robił postępy.

## Rozdział 18

Wraz z początkiem lutego Annie wkroczyła w nowy semestr. Tak jak i w poprzednim miała zajęcia z trzema grupami - dalszy ciąg wykładu na temat literatury brytyjskiej, na który zapisali się głównie studenci pierwszego roku, oraz dwa seminaria: analiza krytyczna utworów T.S. Eliota dla drugiego roku i analiza *Raju utraconego* Milтона dla roku dyplomowego. Jeśli chodzi o ten ostatni temat, to wymowę dzieła Milтона Annie odczuwała niezwykle dojmująco. Miała wrażenie, że wszyscy wokół niej w ostatnich miesiącach utracili chwałę. Raj pozostał tylko wspomnieniem. Teraz zaś trzeba sobie było poradzić z innym, mniej doskonałym porządkiem.

Max poszedł do łóżka z Leigh, w dużym stopniu, żeby zrobić na przekór Samowi, i na rezultaty nie trzeba było długo czekać - dziecko jest w drodze. Starał się nie wpadać w panikę i zachowywać się jak na młodego mężczyznę przystało, jednak był śmiertelnie przerażony tym, co go czeka. Annie cierpiała razem z nim. Przecież był jej pierworodnym, tym dzieckiem, którego przyjście na świat sprawiło jej tyle radości. Chciała, by nacieszył się beztroskim życiem, zanim spadnie na niego odpowiedzialność, ale beztroška młodych lat nie była mu dana. To, że naprawdę kochał Leigh, stanowiło pewne pocieszenie w sytuacji, gdy oboje, ledwo osiemnastoletni, zostaną rodzicami.

Teke jakoś sobie z tym poradziła - jak, Annie nie pytała. Ona w tej sytuacji odnalazła pewien sens. Może dla niej pomoc Maxowi i Leigh, opieka nad maleństwem, była jakimś wyjściem z sytuacji? W ten sposób ostatecznie odkupi grzech, jakiego dopuściła się z Samem.

A Sam? Zmienił się po tamtym zdarzeniu. Stał się jeszcze mądrzejszym i bardziej wrażliwym mężczyzną. Wprost niesamowicie mądrym i wrażliwym. Annie kochała go chyba mocniej niż zwykle - to dlatego tak się bała, że Sam mógłby znowu zejść z drogi cnoty.

Wierzyła, że ją kocha. Wierzyła, że jej pragnie. Pierwsze jej wyznał, a drugie pokazywał, kiedy tylko nadarzała się sposobność. Jednak uraz po tym, czego Sam dopuścił się z Teke, ciągle w Annie pozostawał. Przebaczyła mu tego dnia, kiedy to niemalże oddała się Jasonowi, kiedy dotarło do niej, że w takich sytuacjach człowiek nie zawsze zdaje sobie sprawę, od kogo otrzymuje pociechę. I to doświadczenie napawało ją lękiem. Bała się, że Sam znów może dać się komuś skusić, ona zaś byłaby wtedy zdruzgotana. Miała chwile zwątpienia, kiedy wydawało jej się, że cała atencja, jaką jej okazuje Sam, jest powodowana wyłącznie chęcią ocalenia małżeństwa.

Miał napiętą sytuację w pracy. Zmiana firmy wydawała się nieunikniona, jednak ciągle nie mógł znaleźć nic nowego, co by go w pełni satysfakcjonowało. Annie bała się, że przytłoczony tym napięciem, zacznie poszukiwać przejawów akceptacji i podziwu u kogoś obcego.

I ciągle nie powiedziała mu o Jasonie. Chciała to zrobić - zawsze zwierzała się sobie ze wszystkiego - ale nie wiedziała, jak Sam na to zareaguje. I ta niewiedza była dla niej torturą. Wszystko sprowadzało się do zaufania, niegdyś tak silnego, teraz zaś z trudem usiłującego znaleźć dla siebie oparcie. Po prostu bała się, że straci Sama.

\* \* \*

Samowi zdarzały się chwile, kiedy spoglądał wstecz na ostatnich kilka miesięcy i przeżywał go lęk, że jego życie utraciło stabilność. Utracił Johna, utracił Michaela, utracił - ale i odzyskał - Zoe i Maxa, jeśli zaś chodzi o Annie, to nie był pewien. Robił wszystko, co było w jego mocy, by pokazać jej, do jakiego stopnia ją uwielbia. Według ogólnie przyjętych norm ich związek był wspaniały, a jednak Sam wiedział, że czegoś w nim brakuje. Ogólnie przyjęte normy nigdy nie miały zastosowania do jego związku z Annie. Ich związek był zawsze czymś więcej. A teraz właśnie brakowało tego czegoś. Jakaś mała część Annie jeszcze do niego nie należała. Kiedyś mogła leżeć u jego boku, jak gdyby nic na świecie nie było tak istotnego, by ją od niego oderwać. Teraz już tak nie było.

Wiedział, że ją rozczarował, ale przecież nigdy nie twierdził, że jest ideałem. A w dodatku sytuacja w Maxwell, Roper & Dine pogarszała się z dnia na dzień.

Potem dostrzegł promyk nadziei. Pewna niespodziewana rozmowa telefoniczna kazała mu wcześniej wyjść do domu i z butelką ulubionego wina Annie wstawioną do lodu wyczekiwać niecierpliwie jej powrotu ze szkoły. Ledwo zdążyła przekroczyć próg, kiedy Sam złapał ją w ramiona, mocno uściskał i rzucił się pędem odkorkować wino.

Obracała w dłoniach kieliszek, spoglądając na niego ostrożnie i z pewnym zdziwieniem.  
- Jest jakaś szczególna okazja?

- Można tak uznać - odrzekł. Jego podniecenie narastało. Próbował je trzymać w ryzach, bo był świadomy tego, że Annie może uznać tę okazję za okropną. - Tuż przed Świętem Dziękczynienia zmarł jeden z sędziów Sądu Najwyższego i w ten sposób w składzie sędziowskim powstał wakat. Wtedy przeczytałem nekrolog, ale w ogóle o tym nie myślałem. A po kilku tygodniach zaczął do mnie wydzwaniać Joe Amarino. Pamiętasz Joe?

- Jasne - odpowiedziała zaciekawiona.

- Teraz jest doradcą prawnym w biurze gubernatora. Zasugerował mi, żebym się ubiegał o miejsce w Sądzie Najwyższym.

Oczy jej się zrobiły okrągłe jak spodki.

- Nie śpieszyłem się z tym - usprawiedliwiał się szybko - ale kiedy pogorszyła się atmosfera w firmie i moje układy z Johnem Stewartem, powiedziałem sobie: Do diabła, przecież nie mam nic do stracenia. Złożyłem więc wniosek, przeszedłem przez wstępne przesłuchanie przed Komisją Nominacji Sędziowskich, a ponieważ niewiele się po tym wszystkim spodziewałem, o niczym nie mówiłem, żeby ci nie psuć nastroju. - Jego podniecenie wzniosło się stopień wyżej. - A potem się okazało, że moje nazwisko jest jednym z trzech przedstawionych gubernatorowi. Zaś on wybrał mnie. Mnie wybrał, Annie.

Patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami. - Naprawdę?

Sam twierdząco skinął głową. Niepewny, czy jest z tego zadowolona, rzekł: - Moja kandydatura ma zapewnić obsadzenie tego miejsca na długo. Jestem nie związany z żadnym środowiskiem politycznym i najmłodszy.

- Często o tym rozmawialiśmy...

- To były marzenia. Myśleliśmy, że to byłoby miło, gdybym zakończył karierę za stołem sędziowskim. Kiedy będę przed sześćdziesiątką i zostanie mi jeszcze parę lat do emerytury. Ale przecież teraz mam czterdzieści jeden lat i czuję się wspaniale. Do diabła, nie mogę sobie jeszcze pozwolić na to, żeby być sędzią. Trzeba przecież wysłać dzieci do college'u, a Max i Leigh będą mieli dziecko. Ale z drugiej strony, to taki nęcący pomysł. Do Sądu Najwyższego trafiają najciekawsze sprawy. To byłoby dla mnie wyzwanie.

Annie nie mogła złapać tchu. - Nie mogę w to uwierzyć, Sam! Taki zaszczyt!

Wyglądała na zadowoloną. Nastrój mu się poprawił. - Tak, to zaszczyt, ale mam też inne oferty pracy. - Już jej mówił o tych ofertach. - Niemal wszędzie mogę pójść jako pełnoprawny partner i zarabiać kupę szmalu - zastanawiał się głośno - ale jeśli zwiążę się z dużą firmą, wydłuży mi się dzień pracy. Mógłbym przejść do jakiejś małej firmy, ale nie znalazłem na tyle stabilnej, żeby było warto podejmować ryzyko. No i zostaje jeszcze jedna możliwość. Mogę rozpocząć własną praktykę, co dawałoby mi bardzo dużo wolności. Pracowałbym w takich godzinach, jakie byłyby dla mnie wygodne, brałbym tyle spraw, ile bym chciał i miałbym znacznie większy procent z zysku niż teraz. Tyle że na początek musiałbym dużo zainwestować i czasu, i pieniędzy. Musiałbym kupić i założyć sieć komputerową, załatwić kilka linii telefonicznych, wyposażyć bibliotekę, kupić meble. Na te wszystkie zakupy musiałbym wykorzystać

nasze oszczędności, a przez to czułbym presję, żeby dużo zarabiać i znów pracowałbym, ile bym tylko mógł. A nie chcę tego, Annie. Chcę być tutaj, kiedy ty nie jesteś w pracy. Przyzwyczaiłem się już do tego. - Przerwał na chwilę. Annie miała palce splecione na kieliszku z winem i spoglądała na niego z takim samym wyczekiwaniem, jakie on odczuwał. - No i co? Co o tym wszystkim myślisz?

Rozplotła palce i zarzuciła mu ręce na szyję. Poczul na sobie rozlane wino, ale nie miało to żadnego znaczenia, kiedy słyszał, jak Annie mówi: - Myślę, że trafiła ci się niewiarygodna wprost okazja! - Podniosła ku niemu twarz ożywioną podnieceniem. - Taki zaszczyt i w dodatku doskonale rozwiązanie sytuacji. Odejdiesz z firmy, żeby robić coś nowego i lepszego.

- Nie pod każdym względem to jest lepsze - ostrzegł. - Moje przychody się zmniejszą. To akurat nie jest najlepsze w naszej sytuacji.

Chyba się tym szczególnie nie przejmowała. - Mamy oszczędności.

- A co z dziećmi? Ty powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek, ile kosztuje nauka w college'u.

- Owszem, ale wiem także, że studenci mogą się ubiegać o stypendia, a zresztą nasze dzieci mogłyby spotkać w życiu wiele znacznie gorszych rzeczy niż nauka za darmo w college'u, w którym ja pracuję. Damy sobie radę, Sam, i to bez problemu.

Nie był tego całkowicie pewien, ale jej przekonanie dodało mu odwagi. Przytulił ją mocniej. - Tak sądzisz?

- Zdecydowanie. Jestem z ciebie dumna. Cóż za osiągnięcie!

- Zawdzięczam to sprawie Dunn.

- Zawdzięczasz to blisko dwudziestu latom pracy.

- Ale cały ten rozgłos wokół sprawy Dunn spowodował, że zostałem zauważony. - Ściszył głos. - Dobrze, że znają tylko mój wizerunek publiczny.

Jeszcze przez chwilę trwała przytulona do niego, po czym odsunęła się i zapatrzyła w wino na dnie swojego kieliszka. - Twój wybryk z Teke nie ma żadnego wpływu na to, czy będziesz dobrym sędzią. Jesteś doskonałym prawnikiem, a w dodatku człowiekiem głęboko myślącym i rozumiejącym innych. - Ostrożnie na niego spojrzała. - Czy decyzja gubernatora jest już ostateczna?

- Nie. Moja nominacja zostanie przedstawiona Radzie Gubernatorskiej, która ją zatwierdzi po ostatecznym przesłuchaniu.

- Jak dokładnie będzie sprawdzany twój życiorys?

Rozumiał jej niepewność.

- Na tyle dokładnie, żeby wykryć, czy przypadkiem nie zostałem zgarnięty za jazdę po pijaku, ale nie aż tak, żeby się dowiedzieć, że popełniłem błąd z najlepszą przyjaciółką mojej żony. Ta sprawa nie wypłynie, Annie. Głowy za to nie oddam, ale to nie powinno wypłynąć. - Ostrożnie analizował możliwości. Zawsze istniało ryzyko, że ktoś będzie mu chciał podłożyć świnie i złożyć na niego donos, w którym barwnie odmaluje ten nieszczęsny incydent z Teke. Z drugiej strony jednak, Rada Gubernatorska, tak jak i Annie, może uznać, że to nie ma żadnego wpływu na jego kwalifikacje jako sędziego. - Jeśli się tego boisz, bez żalu wycofam swoją kandydaturę.

- Przecież to jest okazja, jaka się trafia tylko raz w życiu.

- Ale to nie oznacza, że taka okazja jest w naszej sytuacji najlepszym rozwiązaniem. Zawsze trzeba się liczyć z tym, że jakieś obrzydliwe plotki wyjdą na światło dzienne. A jeśli to się zdarzy, ja będę w stanie stawić im czoło, ale tobie to wszystko przysporzy wiele bólu. To by się miało z celem. Wielkim plusem tej posady ma być to, że dzięki niej nasze życie będzie lepsze, nie gorsze.

- Czasami trzeba zaryzykować, żeby osiągnąć lepsze życie - powiedziała Annie. Miał wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej, ale w tej właśnie chwili Zoe wsunęła głowę do pokoju. Natychmiast wątpliwości zniknęły, a twarz Annie rozświetliła się promiennym uśmiechem.

- Zgadnij, co się stało? Tata dostał nominację na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego! Czyż to nie jest niesamowite?

\* \* \*

W odczuciu Johna Stewarta to, broń Boże, nie było niesamowite. Jego słowa, skierowane do Johna, nie pozostawiały w tym względzie najmniejszych wątpliwości. - Ten człowiek jest pozbawiony kręgosłupa moralnego, który powinien mieć sędzia. Jego nominacja nigdy nie zostanie zatwierdzona.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł John. Był zadziwiająco spokojny w obecności swojego ojca. Co więcej, był zdumiewająco zadowolony z sukcesu Sama. Ostatnie niesnaski między nimi nie zdołały mu przesłonić obrazu Sama ciężko pracującego na swój sukces, doskonałego prawnika. To miłe, że ktoś się na nim poznał.

- Będzie znacznie lepszym sędzią niż połowa tych starych przyków, którzy teraz zasiadają za stołem sędziowskim.



- Doprawdy, Johnie Davidzie, mógłbyś sobie oszczędzić tego typu komentarzy. Te „stare pryki” są szanowanymi ludźmi, którzy od wielu lat z oddaniem służą krajowi.

John uśmiechnął się wesoło. - Za czterdzieści lat o Samie też będzie można tak powiedzieć.

- Po moim trupie. Sam Pope nie zasługuje na to, by być sędzią. Daję ci słowo, że dopilnuję, żeby się o tym dowiedział każdy członek Rady. I oczywiście dopilnuję, żeby się wszyscy dowiedzieli, dlaczego Sam Pope nie zasługuje na takie stanowisko. Jeszcze coś znaczę w tym mieście.

Johnowi uśmiech spęzł z twarzy. Poczłł kwaśną gorycz w ustach, a żołądek mu podszedł do gardła, jednak nie tak jak kiedyś. Teraz to nie był lęk. To było obrzydzenie. - O co tutaj chodzi? Już doprowadziłeś do tego, że praca w tej firmie stała się dla Sama nie do zniesienia. Już ci nie wystarczy to, że nie będziesz musiał na niego patrzeć? Nie przychodzi ci do głowy, że on będzie dziadkiem twojego prawnuka? Czyż nie byłoby miłe, żeby dziecko miało dziadka sędziego?

- Z pewnością byłoby, gdyby tym dziadkiem nie był Sam Pope. On wyświadczyłby dziecku największą przysługę, gdyby wszelki słuch po nim zaginął.

John rozumiał to, że John Stewart nie lubi Sama, jednak te wzmożone wysiłki, żeby zniszczyć Samowi karierę, wydały mu się nagle przesadzone, i to mocno. - Dlaczego ty go tak nienawidzisz? - zapytał.

- On nie ma kręgosłupa moralnego.

Zaintrygowany John potrząsnął głową.

- W tym musi być coś więcej.

- Ma na ciebie tak duży wpływ, że nie mogę się z tym pogodzić. Gdyby nie on, z pewnością ożeniłbyś się z kobietą znacznie bardziej odpowiednią. Jednak on znalazł ci Theodorę, więc musiałeś się ożenić z Theodorą. A kiedy teraz ciebie słucham, myślę, że nigdy nie zwracałbyś się do mnie takim tonem, gdyby nie przemożny wpływ Sama.

Temu John nie mógł zaprzeczyć. - W tym musi być jeszcze coś. Masz obsesję i gotów jesteś poruszyć wszelkie siły na niebie i ziemi, żeby zniszczyć Samowi karierę. Może między wami doszło do jakiejś kłótni, o której ja nic nie wiem? Obraził cię czymś? Sprzątnął ci sprzed nosa jakiegoś nadzianego klienta, czy podłożył nogę w jakichś negocjacjach?

John Stewart przez chwilę wydawał się zadumany, ale tylko przez chwilę. Otworzył szufladę, wyjął stamtąd małą fotografię w ramkach i postawił ją na biurku. John widział tę fotogra-

fię już wcześniej. Taka sama, w srebrnych ramkach, stała wśród fotografii rodzinnych w gabinecie ojca w domu. Było to stare, zamazane zdjęcie Johna Stewarta jako małego chłopca, ubranego w coś w rodzaju wielkiej koszuli i trzymającego za rękę drugiego chłopca, większego i nieco starszego.

- Brat był moim idolem - obwieścił John Stewart. - Dla mnie cały świat się na nim zaczynał i kończył. Myślałem tak nawet, kiedy już podrosł i zaczął podkraść rzeczy ze sklepiku koło naszego domu. Było w nim coś uduchowionego. Był zdolny. Był odważny. Mówiłem ci kiedyś, w jaki sposób zginął?

- Mówiłeś, że spadł z drzewa.

- To prawda. Inny chłopiec namówił go, żeby wszedł na drzewo i stamtąd przeskoczył na drugie, żeby pokazał, jaki naprawdę jest odważny. Henry nie miał szans. Gdyby nawet skoczył tak daleko, trudno by mu było złapać gałąź tak, żeby się nie złamała pod jego ciężarem. Ale miał widownię, mógł się popisywać, więc podjął ryzyko.

Sam się wzdrygnął. Opanowało go jakieś dziwne przeczucie.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Sama Pope'a - mówił dalej John Stewart, patrząc synowi prosto w oczy - od razu przyszedł mi na myśl Henry. Ta sama nonszalancja, to samo nieustraszone spojrzenie. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem w sądzie, występował przed ławą przysięgłych jako prokurator i stosował ryzykowne sztuczki, tak samo jak Henry. Poruszył we mnie jakieś czułe struny.

- Wtedy pozwoliłeś mi go wprowadzić do firmy.

- Podziwiałem go za tę śmiałość, tak samo jak podziwiałem Henry'ego. Pomyślałem, że gdyby się udało tę śmiałość jakoś skanalizować, mogłaby ona być naprawdę poważnym atutem. Byłem za młody, żeby pomóc Henry'emu, ale sądziłem, że Sama uda mi się jakoś stonować. Byłem przekonany, że uda mi się go sprowadzić na właściwą drogę. Najwyraźniej jednak się myliłem.

John był wyraźnie poruszony. - Więc chcesz ukarać Sama za to, że przypomina ci Henry'ego?

- Nie - sprostował John Stewart. - Wyróżniałem Sama za to, że mi przypominał Henry'ego. Teraz zrozumiałem swój błąd i próbuję go jakoś naprawić.

- Ale cóż tak strasznego zrobił Sam? Przecież nikomu nie zniszczył życia.

- Zniszczył twoje małżeństwo.

- Sami z Teke zniszczyliśmy nasze małżeństwo. - Pod tym względem Teke miała rację. - Chcesz zrobić z Sama kozła ofiarnego.

- Twoja opinia nie może mieć na mnie wpływu, Johnie Davidzie. Umożliwiłem Samowi zbudowanie solidnej praktyki adwokackiej w ramach naszej firmy. Skorzystał z tej możliwości, a potem wyszło szydło z worka. Nie dopuszczę do tego, żeby został sędzią w Sądzie Najwyższym podpierając się reputacją, jaką wyrobił sobie w tej firmie, bo czuję się za to odpowiedzialny.

John przypomniał sobie, że jeszcze niedawno w dyskusjach z Samem posługiwał się takimi samymi argumentami. Wtedy brzmiały doskonale. Jednak w ustach Johna Stewarta wydały mu się chybione. - Sam zbudował sobie reputację dzięki własnej pracy. Dzięki własnej pracy, inteligencji i odwadze wygrywał sprawę za sprawą.

- Nieważne. Nie zostanie sędzią. Masz na to moje słowo.

- Świetnie - powiedział John, prostując ramiona i plecy tak, że różnica wzrostu między nim a ojcem stopniała niemal do zera. - Ty też masz moje słowo w pewnej sprawie. Jeśli wykorzystasz swoje wpływy, żeby zepsuć Samowi opinię, ja powiem mamie o Mary.

- Co powiesz o Mary? - spytał John Stewart niewinnie.

John musiał mu przyznać, że potrafi zachować opanowanie. - Myślę, że dobrze wiesz - rzekł i skierował się do wyjścia. John Stewart nie powiedział już ani słowa, co dla Johna stanowiło dowód, iż istotnie trafił w dziesiątkę. Po ponad czterdziestu latach zdołał znaleźć czuły punkt ojca.

Teke siedziała pod ścianą w wąskiej szopie, ukrytej wśród drzew na podwórku Cornellii Hart. Kiedyś w szopie przechowywano narzędzia ogrodnicze. Teraz pachniało tutaj drewnem, a ziemia zasłana była wiórami. Cornelia pozwoliła Grady'emu urządzić tutaj warsztat i budować łódź. Michael, który nie zdejmował z głowy czapeczki baseballowej Grady'ego, nosząc ją odwróconą daszkiem do tyłu, nawet na chwilę nie spuszczał oczu z mistrza sztuki szkutniczej.

Żadna forma terapii ruchowej nie pociągała chłopca tak bardzo jak pomoc Grady'emu. Ze swojego miejsca pod ścianą Teke mogła obserwować skupienie Michaela przy pracy. Mogła też zaobserwować, jak ostatnio poprawiła się elastyczność jego ruchów i sprawność, gdy patrzyła jak odbiera z rąk Grady'ego rozgrzane nad parą cedrowe wręgi, ścisła je okrężnicą i rozciąga na formie, na którą już czeka Grady. Potem znowu przychodziła kolej Michaela z papierem ściernym w rękę, z młotkiem czy z piłą tarczową, którą nadawał końcówkom wręg spiczasty kształt. Pracowały jego dłonie, ramiona i plecy. Musiał też chodzić przy tej pracy, początkowo

o kulach, później bez. Kiedy byli przy nim tylko Teke i Grady, nie obawiał się niezręczności swoich ruchów. Teke zastanawiała się, czy jest świadomy tego, że z każdym dniem ta niezręczność jest coraz mniejsza.

Grady wspaniale sobie radził z chłopcem. Był nieskończenie cierpliwy i wyrozumiały. Teke, obserwując ich razem, nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że ci dwaj powinni być ojcem i synem. Grady miał tyle do zaoferowania, zaś Michael był tak chętny do przyjmowania tego wszystkiego. Bardziej niż ktokolwiek inny Grady pomógł Michaelowi przestać się nad sobą rozczulać. Obiecując mu wyprawę „donikąd” łodzią, którą właśnie budowali, zwiększał motywację Michaela do tego, żeby się nauczyć chodzić. Grady był doskonałym nauczycielem. Nie uznawał czegoś takiego jak poddawanie się.

Sam już przecież znalazł się niemal na dnie, ale potrafił się stamtąd wydostać.

Teke, obserwując ich spod ściany, z każdą chwilą coraz bardziej zakochiwała się w tym facecie. Nie miała co zaprzeczać. I rzeczywiście, kiedy tak na niego patrzyła, jej dawna złość zdecydowanie blakła. To wszystko było odległą przeszłością, zaś chwila obecna była tak przyjemna, jak tylko Teke mogła sobie życzyć.

Dlatego poczuła się niemile zaskoczona, kiedy John wszedł do szopy. Nie chciała tutaj intruzów. Nie chciała, żeby John niszczył ten mały raj, jaki ona i jej mężczyźni znaleźli dla siebie w wąskiej szopie wśród drzew na skraju podwórka Cornelli Hart.

Niemile zaskoczenie włączyło w jej głowie sygnał alarmowy. Zastanawiała się, jak ich tutaj znalazł i czego chce. Wyglądał dość uprzejmie. Nie wkroczył do szopy z wrzaskiem. To ją napawało otuchą.

Michael, który z zaciśniętymi zębami klepał młotkiem małą deszczułkę, podniósł zdziwiony wzrok. - Tato! Co ty tu robisz?

- Szukam cię - powiedział John. - Pani Hart skierowała mnie tutaj. - Wyglądał nieprzyzwyczajenie oficjalnie w garniturze i płaszczu. Powoli ruszył ku Michaelowi. Teke już widziała w myślach jego elegancki płaszcz z granatowego kaszmiru obsypany trocinami. Miała go ostrzec, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. - Co robisz? - spytał chłopca John.

- Budujemy łódź. To jest cedr - rzekł, wskazując na drewno. - Kiedy już ją skończymy, założymy żagiel i spuścimy łódź na wodę.

- Niezła. - John dostrzegł Teke pod ścianą. - Czy to jest nowa forma terapii?

- Na pewno jest to doskonałe uzupełnienie terapii.

- A myśl o ukończeniu ósmej klasy już zupełnie porzuciliśmy?

- Niedługo jadę do nauczyciela - odpowiedział Michael tonem, który sugerował, że tak samo jak Teke wyczuwa krytycyzm ukryty w spokojnych pytaniach Johna.

- Myślałem, że masz zamiar chodzić do szkoły na popołudniowe zajęcia.

- Ciągle nie umiem chodzić po schodach.

Umiał, Teke dobrze o tym wiedziała, ale nie wychodziło mu to najlepiej, więc nie chciał się ośmieszać przed kolegami. Z tego powodu zarzucili myśl o jego częściowym powrocie do szkoły.

- Więc zamiast tego budujesz łodzie? - rzekł John, kiwając głową.

Teke usłyszała w jego słowach kpinę. Michael też musiał ją usłyszeć, bo odpowiedział na ten zarzut bardzo szybko. - Tylko jedną. Kiedy będzie gotowa, popłyniemy nią z Gradym. - Przerwał, jakby pożałował, że to powiedział i posłał Grady'emu przepraszające spojrzenie.

Grady, który pracował z drugiej strony łodzi, na widok Johna wyprostował się i stał nieruchomo, cały czas z młotkiem w ręku. John wpatrywał się w niego, ale mówił do Michaela. - Bardzo się zaprzyjaźniliście z Gradym. To zdumiewające, jeśli się weźmie pod uwagę, że to on o mało co cię nie przejechał.

- To ja mu wbiegłem pod koła - rzekł Michael. - Zresztą Grady mi bardzo pomaga we wszystkim. Nie jest gorszy od terapeuty i robi to za darmo.

- Wiesz, że on zamordował człowieka - mówił dalej John do Michaela i nie spuszczał wzroku z Grady'ego

- Wiem.

- A wiesz, kim był ten człowiek? Teke podniosła się ze stołka. - John...

- Ten człowiek nazywał się Homer Peasely - powiedział John do Michaela, któremu oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. - To był ojciec twojej mamy, twój dziadek. A twój przyjaciel Grady uderzył go w głowę, a potem dobił go kopniakami.

- Nieprawda - zaprotestował Grady, ale John mówił dalej.

- On zamordował twojego dziadka, którego nigdy nią miałaś nawet szansy poznać. Potem przyjechał do naszego miasta, żeby zobaczyć się z twoją mamą - żoną innego mężczyzny - i taki był rozochocony, tak się tego nie mógł doczekać, że nie zauważył nawet, jak przebiegasz przez ulicę. Nie dość, że zamordował już raz człowieka, niewiele brakowało, żeby drugi raz został mordercą. Takim człowiekiem jest twój przyjaciel Grady Piper.

- Homer Peasely - powtórzył Michael, patrząc na Teke. - Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- To nie było ważne.

- Nie było ważne? - warknął John. - Przecież to był twój ojciec!

- To nie był dobry człowiek.

- Ale człowiek. Miał prawo żyć.

- To był wypadek - odezwał się Grady. - Ława przysięgłych tak zadecydowała.

- Ale sąd skazał cię na więzienie, bo wszyscy wyczuwali, że stanowisz zagrożenie dla społeczeństwa. Powiem więcej, cały czas stanowisz zagrożenie. Popatrz tylko, co zrobiłeś! Najpierw przez ciebie mój syn znalazł się w szpitalu i do tej pory nie może się nauczyć chodzić, a teraz tuż pod moim nosem zabierasz się do mojej żony. O to ci cały czas chodziło, prawda? To dlatego ruszyłeś tyłek z tej twojej dziury w Maine?

Teke sama nie wiedziała, co bardziej wytrąciło ją z równowagi: obraźliwe słowa pod adresem Grady'ego czy też to, że John chciał go zdyskredytować w oczach Michaela. - Bardzo, ale to bardzo się mylisz - odezwała się, wychodząc na środek szopy. - Grady przyjechał tu tylko z jednego jedyne powodu: żeby się przekonać, że wszystko mi się dobrze układa.

- I dlatego tutaj pozostał? Nie rób ze mnie głupca, Teke. On jest w tobie zakochany. Mogę się założyć, że złapie cię natychmiast, kiedy się tylko rozwiedziemy.

Michael zachwiał się. Chwytając się łodzi, niepewnie przesuwając spojrzeniem z jednej twarzy na drugą. Teke rzuciła się do niego.

- Twój tata nie ma racji - rzekła. - Grady przyjechał tutaj, żeby mnie odwiedzić. Zdecydował się zostać dopiero po wypadku, kiedy nie było wiadomo, czy wyzdrowiejesz. A teraz jest tutaj, żeby skończyć pracę nad wagonem Corneli.

- I żeby być z tobą? Czy to prawda? Czy ty i tata się rozwodzicie?

Położyła dłoń na jego ramieniu, rozpaczliwie pragnąc przytulić go do siebie. Tak bardzo się starała odzyskać jego zaufanie. - Możliwe, że się rozwiedziemy, ale żadne oficjalne kroki jeszcze nie zostały podjęte.

- Ona już się spotkała z prawnikiem - powiedział John. - Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby mnie o tym poinformować. Musiałem się takich rzeczy dowiadywać od osób trzecich.

Michael wyrwał się z jej uścisku.

- Od jakich osób trzecich? - spytała rozzłoszczona Teke. Spotkała się z prawnikiem nikomu nie mówiąc.

Zanim John zdążył odpowiedzieć, Michael już krzyczał: - Nie powiedziałaś mi o tym, ani mi nie powiedziałaś, że Grady zabił twój ojca! Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

- Dobrze pytanie - skwitował John.

- Nie - protestowała Teke, jednak Michael już zerwał z głowy i cisnął na ziemię starą czapkę baseballową Grady'ego, po czym niemal biegiem, na ile tylko pozwalały mu siły i umiejętności, rzucił się do drzwi.

- Gdzie idziesz? - zawołał za nim Grady i okrążywszy łódź też ruszył ku drzwiom.

- Michael! - wrzeszczała Teke.

- Po prostu ucieka przed wami dwojgiem - rzucił John, zasłaniając sobą drzwi, by nie wybiegli za chłopcem na dwór. - Powinienem wiedzieć, że nie należy pozostawiać rehabilitacji syna w rękach mojej żony. Powinienem być sobie uświadamiać, jak niewiele można mieć do niej zaufania po tym, czego się dopuściła z moim najlepszym przyjacielem. Kiedy tylko chce jej się mężczyzny, rzuca się na każdego, który jej się nawinie, byleby tylko był pod ręką. Więc teraz mój syn - cedził słowa, jakby się brzydził je wypowiadać - musi spędzać czas z niedouczonym, pozbawionym jakichkolwiek zasad mętem, który dopiero co wyszedł z więzienia.

Teke, przerażona, że Michael mógł się pośliznąć na oblodzonej ścieżce, błagała:

- John, proszę.

Grady był mniej uprzejmy. - Zejdź mi z drogi! - polecił głosem drżącym ze złości.

Teke zmartwiała z przerażenia. Tego tonu nie słyszała w głosie Grady'ego od dnia, kiedy rzekł do Homera: „Zabierz od niej te swoje wstrętne łapska”.

- W porządku, Grady. Zostaw to mnie. - Uspokajająco położyła dłoń na jego ramieniu, wyczuwając mięśnie napięte do granic możliwości. - Jemu sprawia przyjemność to, że może ranić ludzi słowami, ale to są puste słowa.

- Och, nieprawda. Każde takie słowo ma znaczenie - zaprzeczył John ze złym błyskiem w oku. - Myślę po prostu, że jesteś ostatnią szumowiną. Wiedziałem to już, kiedy cię tylko zobaczyłem.

- Szukasz kogoś, kogo będziesz mógł obarczyć winą - zaczęła Teke.

- I to szumowiną najgorszego gatunku - dokończył swoją myśl John.

- Zejdź mi z drogi! - powtórzył Grady. Minę miał coraz groźniejszą.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Grady - powiedziała Teke, próbując wśliznąć się między nich i rozdzielić ich swoim ciałem, ale Grady jej na to nie pozwolił. Ściskając ramię Grady'ego i walcząc z narastającą paniką, jeszcze raz spróbowała przemówić do rozsądku Johnowi. - To jest absurdalne. Dlaczego nie możesz po prostu uznać, że nie lubisz tego człowieka...

- Nienawidzę tego człowieka - powiedział John, piorunując wzrokiem Grady'ego. - Chcę, żeby ten człowiek wyniósł się z miasta. Ma zły wpływ na mojego syna...

- To jest również mój syn!

- ...i zły wpływ na moją żonę...

- Przecież mnie opuściłeś!

- ...i dla nikogo to nie jest dobre, że się po okolicy kręci bandyta. Zrozumiałeś to, Piper?

Grady miał gniewny wzrok. - Zejdź mi z drogi! - powtórzył po raz trzeci.

John wyprostował się. - No, spróbuj przejść!

- On chce cię sprowokować, Grady! - płakała Teke.

- Rusz się! - rzucił Grady do Johna.

- Próbuje cię sprowokować, żebyś go uderzył! - lamentowała Teke. - Potem cię oskarży o napaść z bronią w ręku. - Była aż do bólu świadoma tego, że Grady cały czas dzierży w ręku młotek ściskając go tak, że aż mu pobieleły palce. - Nie rozumiesz tego? Nie był w stanie wygrzebać niczego przeciwko tobie, więc cię próbuje sprowokować. Już sam nie wie co zrobić, tak rozpaczliwie usiłuje coś przeciwko tobie znaleźć.

Wydawało się, że powietrze w wąskiej szopie zawisło nieruchomo i trwało tak przez długą jak wieczność chwilę, zanim Grady przetrawił słowa Teke. Wreszcie głośno westchnął, jeszcze mocniej ścisnął trzonek młotka, opuścił go i podniósł wzrok na Teke. Jego oczy powiedziały jej, że on to wszystko wie, że już raz go życie nauczyło i że nie zrobi niczego głupiego. To spojrzenie powiedziało jej też, że bardzo ją kocha i na pewno stłukłby Johna na kwaśne jabłko, gdyby ten w swoich prowokacjach posunął się do tego, żeby jej wyrządzić krzywdę.

Powoli, całkowicie nad sobą panując, spojrzał w twarz Johnowi i powiedział cicho: - Na dworze jest mróz, a Michael wyszedł nie ubrany. Może jest w wagonie albo w samochodzie. Ale mógł też pójść do lasu. Może upaść albo przemarznąć. Jeśli cię to nie obchodzi, pozwól przynajmniej mnie się tym zająć.

Teke nigdy nie czuła większej miłości do Grady'ego niż w tej chwili.

John po prostu się w niego wpatrywał. Po kilku sekundach w jego spojrzeniu odmalowało się wyraźne oszołomienie. Zmarszczył brwi i odwrócił się, aż wreszcie otworzył drzwi.

Michaela nie było w wagonie. Nie było go też w samochodzie Teke ani w samochodzie Johna, ani też w pickapie Grady'ego. Wszyscy troje wpatrywali się w las, a ich oddechy zamarały na mrozie. - On może być wszędzie - jęknął John.



- Wiem, gdzie on jest - powiedział Grady i z kurtką Michaela w ręku ruszył wąską ścieżką wśród drzew, prowadzącą do strumyka, teraz połyskującego wąską, ledwo widoczną wśród śniegu wstążką. Nad strumykiem na stosie drewna siedział Michael. Grady podszedł do niego i usiadł przy jego boku. W zimnym powietrzu jego słowa rozchodziły się wyraźnie i dźwięczały w uszach Teke niczym czysty kryształ.

- Jeśli postąpiłem źle nie mówiąc ci, kogo zabiłem, to tylko dlatego, że nie chciałem cię zdenerwować. Myślałem, że tego nie zrozumiesz. Wiele osób tego nie rozumie. Morderstwo to okropne przestępstwo. Pierwszy ci to powiem. I powiem ci też, że nigdy w życiu nie podniosłbym palca na tego człowieka, gdyby twoja mama nie była w niebezpieczeństwie. Homer bił ją i groził, że zrobi jej coś jeszcze gorszego. Kiedy nie chciał jej puścić, uderzyłem go. Upadł i uderzył głową o podłogę. Koroner później powiedział, że to go zabiło.

Teke ciągle jeszcze miała w uszach tamten głuchy odgłos głowy Homera uderzającej o podłogę. Jeszcze teraz wciskała sobie pięść do ust, żeby nie krzyczeć.

- Kopałeś go? - spytał Michael zgłuszonym głosem.

- Tak. Byłem wściekły. Chciałem, żeby się podniósł i bił ze mną. Ze wszystkich sił starałem się trzymać w ryzach, kiedy go ostrzegałem, a potem już nie panowałem nad sobą. Ale on się nie podnosił. Krzyczałem na niego, ale się nie ruszał. I wtedy zrozumiałem, że nie żyje.

Michael mocniej otulił się kurtką.

Grady mówił dalej: - Bardzo się martwiłem o twoją mamę, kiedy byłem w więzieniu. Mówiłem sobie, że nie powinienem o niej myśleć, bo już nie mam do niej prawa, ale chciałem bardzo, żeby jej się wszystko dobrze w życiu ułożyło. Dowiedziałem się potem, że wyszła za męża i że ma dzieci.

- Jak się dowiedziałeś? - spytał Michael.

- Pracowałem dla ludzi, którzy mieli różnych znajomych. Zawsze znalazł się ktoś, kto mi coś doniósł. Przyjechałem tutaj w październiku, tylko żeby się z nią zobaczyć i porozmawiać. Nie myślałem o niczym innym. Mówiłem ci już, że gdybym mógł zahamować, zanim wpadłeś pod koła, zrobiłbym to. Ostatnie, co chciałbym zrobić, to potrącić dziecko Teke.

Teke walczyła ze łzami. Po raz pierwszy dostrzegła cierpienie Grady'ego i zrozumiała, że nie jest ono sprawą chwili, ale trwa niezmiennie przez całe lata, kiedy los ich rozdzielił. Uświadomiła sobie też, że to ona może bez trudu położyć kres jego bólowi. Że też tak długo była głupia nie rozumiejąc tego!

Łzy zaczęły powoli spływać po jej policzkach, zaś Michael dalej zadawał Grady'emu pytania. - Dlaczego tutaj zostałeś? Z poczucia winy?

- Gdyby tak było, wyjechałbym tego dnia, kiedy się obudziłeś i wiedziałem, że wyzdrowiejesz. Bóg jeden wie, że nikt mnie tu nie witał kwiatami. Ale twoja mama była w strasznym stanie, ty też, a poza tym zaczynałem cię już lubić. Przy tobie dobrze się czuję. Traktujesz mnie jak człowieka, który jest coś wart. - Wahał się przez chwilę, ale podjął nieco ciszej. - No i jeszcze twoja mama.

- Co moja mama?

- Twój tata ma rację. Kocham ją. Kocham ją, od kiedy skończyła dwanaście lat i będę kochał aż do śmierci, ale nie zrobię nic, żeby ją zabrać twojemu tacie. Nigdy, chyba że sama będzie chciała odejść. Nie mam jej wiele do zaoferowania. Ale zawsze będę ją chronił, będę jej pomagał i ją kochał.

Teke z trudem złapała oddech. Czegóż ona jeszcze mogła chcieć od tego człowieka? Grady przecież nie miał władzy nad losem, a gdyby teraz los ich znów rozdzielił, chybaby tego nie przeżyła. Może warto podjąć ryzyko, jedynie po to, by mieć miłość tego mężczyzny? Od tego zależy jej szczęście.

Pobiegła przez śnieg, otoczyła ich obu ramionami i płakała, najpierw lejąc łzy na policzek Grady'ego, potem we włosy Michaela. Kiedy wreszcie zdołała przemówić, wyszeptała: - Obaj jesteście dla mnie kimś szczególnym. Mogłabym do końca życia siedzieć w tej szopie i patrzeć, jak wy dwaj pracujecie obok siebie. Pragnę miłości Grady'ego, Michael. Pragnę, żeby mnie kochał mimo wszystkich moich wad. Pragnę, żebyś ty mnie też tak kochał: Będziesz?

Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to, co usłyszy.

Wreszcie doszedł do niej głos, już dość niski i najpiękniejszy w świecie, kiedy obwieszczał surową akceptację. - Niezupełnie tak samo, mamó. To byłoby co najmniej nieprzyzwoite, nie sądzisz?

Roześmiała się, przytuliła go mocniej do serca i ucałowała policzek Grady'ego. Dopiero wtedy, patrząc ponad ramieniem Grady'ego, zauważyła, że Johna nie ma już nad strumykiem.

John jechał bez celu najpierw ulicami Constance, a potem Bostonu. Czuł pustkę i bezsens. Spróbował beczelności, która go miała podnieść na duchu, ale ten pomysł zupełnie nie wypalił. Nie był w stanie pojąć, jakim cudem ktoś tak mało znaczący jak - Grady Piper mógł go tak poniżyć. Jednak właśnie tak się stało. Ten człowiek wyraźnie bardzo się troszczy o Michaela i bardzo kocha Teke. W życiu tych trojga John jest po prostu nieważny.

I tym się tak przejął. Nie chciał być nieważny. Obojętnie dla kogo.

Rozpaczliwie pragnąc odzyskać grunt pod nogami, skierował samochód w stronę biura. Może i Teke go nie potrzebuje, ale potrzebują go jego klienci. Jego klienci będą do niego zaglądali, nawet jeśli Michael nie będzie. I klienci zawsze będą mu płacili. Czegóż można chcieć więcej?

Ledwo wyszedł z windy i pchnął drzwi wejściowe na korytarz, kiedy nagle, bez żadnego dającego się zracjonalizować powodu, w myślach mignął mu obraz Virginii Clinger. Nie mógł się od tego obrazu uwolnić, dopóki nie wszedł do swojego gabinetu. Kiedy wszedł do środka i obraz Virginii zniknął z jego myśli, John zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Wszedł znów na korytarz i pociągnął nosem. Zapach perfum był słaby, ale wyraźny. Albo tym korytarzem szła jakaś inna kobieta używająca perfum „Obsession”, albo w biurze była Virginia Clinger.

Pomyślał o tym, jak wpadła do gabinetu Johna Stewarta bez pukania i wycofała się zawstydzona. Pomyślał o tym, jak zjawiała się u niego w niedzielny poranek z pysznym ciastem, a po wszystkim odeszła wzgardzona. Pomyślał o jej czterech mężach, o nieposkromionej żądzy wydawania pieniędzy, o nałogowym wręcz plotkarstwie i niezawodnym nosie do cudzych kłopotów.

Pomyślał też o zbliżającym się przesłuchaniu Sama przed Radą Gubernatorską i o groźbach Johna Stewarta.

Bez chwili wahania przeszedł korytarzem do gabinetu ojca. Drzwi były zamknięte. Otworzył je gwałtownie, żeby zobaczyć Johna Stewarta, rozpartego w fotelu z rękami założonymi na piersi w geście niezwykłego samozadowolenia, a naprzeciwko Virginie, siedzącą na rogu jego biurka, z długimi nogami wdzięcznie założonymi jedna na drugą.

Kiedy John tak wtargnął do gabinetu, John Stewart gwałtownie się wyprostował, a Virginia stanęła na nogi.

- Proszę, proszę - rzucił John - a co my tu mamy? Miła wizyta przyjaciółki rodziny? Czy może jakieś bardziej oficjalne spotkanie?

- Nie pamiętasz, jak cię uczono, że nie należy wchodzić do cudzego pokoju bez pukania?  
- warknął John Stewart.

John wyciągnął podbródek, wskazując Virginie. - A ona zapukała?

- Witaj, John - odezwała się Virginia. I dodała wyzywająco: - Jak się czułeś?

- Jeśli o to pytasz - nie był w stanie się oprzeć - to muszę ci powiedzieć, że nie jestem już taki sam od naszej maleńkiej randki w moim mieszkaniu. Było nieźle. Naprawdę nieźle. Uta-  
lentowana z ciebie dama. - Spojrzał na ojca. - Dała ci próbkę swoich możliwości czy tylko po-  
kazała to i owo?

- Masz brudne myśli - obruszył się John Stewart.

- Chcesz czegoś?

- Owszem - oznajmił John, obejmując Virginie ramieniem. - Chcę jej. - Niech go szlag,  
jeśli dopuści do tego, żeby być dla wszystkich nieważnym. On też może się bawić w tę grę. -  
Co się działo, Gin? - spytał ciepło.

Badawczo wpatrywała mu się w twarz, po czym wygięła plecy tak, by przytulić się do  
jego ramienia.

- Niezbyt wiele - odpowiedziała, wpatrując się w jego usta.

On zaś, już ciszej, powiedział: - Nie przyszedłeś więcej do mnie, a mówiłaś, że przyjdiesz.

- Myślałam, że nie chcesz.

- Wyczułem zapach twoich perfum na korytarzu. Ten zapach przywołał miłe wspomnie-  
nia. - I jeszcze ciszej dorzucił: - Tęskniłem za tobą.

Oczy jej pojaśniały. - Naprawdę?

John Stewart odchrząknął. - Może zobaczymy się później, Virginio?

Ciągle patrząc na Johna, Virginia pytająco uniosła brew, ten zaś rzekł, znowu ściszone-  
m głosem: - Mogę wrócić do swojego gabinetu i poczekać. Czy to coś ważnego?

- Rozmawialiśmy tylko o Samie.

John Stewart podniósł się z fotela. - To nic pilnego. Porozmawiamy innym razem.

- O jego nominacji? - John zapytał Virginie, ciągle cicho.

Skinęła głową. - Zastanawialiśmy się, czy Rada Gubernatorska wie, co Sam zrobił z two-  
ją żoną. John Stewart stwierdził...

- Innym razem - stanowczo przerwał John Stewart, ale Virginia go nie słuchała. Oczywiście miała przyklejone do twarzy Johna, od której dzieliły ją zaledwie centymetry.

- John Stewart stwierdził, że powinnam do nich zadzwonić i powiedzieć im, co widziałam tamtego dnia.

Tego John już się sam domyślił. Jego ojciec, owładnięty obsesyjną myślą, by zniszczyć Samowi karierę, a bojąc się osobiście w to angażować, postanowił wynająć Virginie, by ta złożyła donos. Zapomniał tylko, że John ma nad nim pewną przewagę.

- Myślałem, że nasza umowa obowiązuje - rzucił ojcu.

- Ja do nikogo nie dzwonię w sprawie Sama - odparł John Stewart niewinnym tonem.

- Nie. Do brudnej roboty masz Virginie.

- Ona zrobi tylko to, co sama uzna za stosowne.

- Jeśli o to chodzi, to masz rację - rzekł John. Czasy, kiedy ojciec miał nad nim absolutną kontrolę, już należały do przeszłości. John Stewart nie zablokuje nominacji Sama, o ile tylko on, John David, będzie miał tutaj coś do powiedzenia. A tak się składa, że w tym układzie absolutnie nie jest nieważny. - Wątpię, żeby chciała gdziekolwiek dzwonić, kiedy już sobie porozmawiamy - pocałował Virginie w czubek doskonałego nosa. Jeśli trzeba będzie, będzie całował każdy skrawek jej doskonałego ciała, aż nominacja Sama zostanie zatwierdzona, o ile tylko to miałyby uciszyć Virginie. - Chcesz pójść do mojego gabinetu? - spytał i przesunął wzrokiem po jej twarzy. Ostatecznie to wcale nie było trudne. Fizycznie Virginia była całkiem atrakcyjna. A John był samotny. I napalony jak cholera. I niech go szlag, jeśli tym razem miałyby dopuścić do tego, by ojciec mu pokrzyżował plany.

Virginia zsunęła się z biurka. - Dobra dziewczynka - powiedział John z uśmiechem zwycięzcy. Puszczając do Johna Stewarta oko, wyprowadził Virginie na korytarz.

## Rozdział 19

Przesłuchanie Sama przed Radą Gubernatorską zostało wyznaczone na czwartą po południu. Annie wybierała się tam, musiała jedynie uzgodnić z Jasonem, żeby zastąpił ją na ostatnich zajęciach. Jednak dopiero kiedy wpadła na lunch do wydziałowej kawiarenki, uświadomiła sobie, że tego dnia w ogóle nie widziała Jasona. Wróciła do swojego gabinetu i stamtąd zadzwoniła do jego mieszkania, ale odłożyła słuchawkę, gdy włączyła się automatyczna sekretarka. Nie przejęła się tym zbyt. Jason jeszcze nigdy jej nie zawiódł.

Już wkrótce powinna była wyjść z pracy i spotkać się z Samem, kiedy zadzwonił do niej szef wydziału. - Mamy pewien kłopot - powiedział. - Mogłabyś przyjść do mojego gabinetu?

Zerknęła na zegarek i obliczyła, że ma jeszcze jakieś dziesięć minut, zebrała więc swoje rzeczy i wbiegła po schodach na górę, by się zobaczyć z Charlesem Honnemannem. Jego gabinet był przestronny i wysoki, ze spłowiałym orientalnym dywanem na podłodze i ścianami obwieszonymi obrazami olejnymi, na których łuszczyła się farba. Charles siedział za biurkiem ze srogą miną. Obok niego siedziała Georgia Nichols.

Annie nie usiadła. Nie mogła długo zostać. Chciała jak najszybciej stąd wyjechać i być już przy Samie. To przesłuchanie miało być rozstrzygające. Denerwowała się za niego.

Kiedy jednak Charles przekazał jej nowinę, wszystkie te myśli natychmiast uleciały jej z głowy. - Jason Faust jest w szpitalu - powiedział. - Georgia znalazła go nieprzytomnego w jego mieszkaniu. Teraz jest w stanie śpiączki.

Annie była oszołomiona. - Co się stało?

- Przedawkował narkotyki.

- Och, Boże!

- Jest w szpitalu studenckim. Lekarze próbują ustabilizować jego stan. Wiedziałaś o tym, co go trapiło?

Z trudem przełknęła ślinę. Przedawkowanie. Owszem, martwił się pieniędzmi, ale nie wyglądało na to, żeby ten problem mógł go doprowadzić aż do takiej rozpacz.

- Wiem, że miał problemy w domu. - Nie była pewna, ile powinna powiedzieć. W końcu Jason mówił jej to wszystko w zaufaniu.

- Nie w domu - rzekł Charles. - Tutaj miał problemy.

Zaintrygował ją ostry ton w jego głosie.

- Odczuwał presję, żeby ukończyć przed czerwcem pracę magisterską - zastanawiała się na głos. - Bardzo mu zależało na tym, żeby jesienią dostać etat nauczycielski. - Rzuciła przelotne spojrzenie na Georgię, która wyglądała niezręcznie.

- Czy w tym wszystkim jest coś, o czym ja nie wiem?

Charles westchnął. - Myślę, że wiesz, ale o tym nie mówisz.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Charles.

- Wszystko wskazuje na to - rzekł grobowym tonem - że Jason mógł próbować odebrać sobie życie, bo był w tobie zakochany bez wzajemności. Wiedziałaś o jego uczuciach?

Annie była oburzona. Powróciła myślami do owego nieszczęsnego dnia w jej gabinecie, ale przecież od tamtej pory upłynęło już kilka miesięcy. Nie mogła uwierzyć, żeby to mogło mieć cokolwiek wspólnego z tamtym incydentem. - Wiedziałam, że mnie lubi. Często mi to mówił.

- A ty mu się kiedyś odwzajemniłaś takim samym wyznaniem?

- Oczywiście. Naprawdę go lubię. Szanuję go. Jesteśmy przyjaciółmi. - Zwróciła się do Georgii. - Rozmawiałaś z lekarzami?

- Tylko z tym na izbie przyjęć - odpowiedziała, a w jej głosie było to samo zażenowanie, co w zachowaniu.

- Nie umiał mi wiele powiedzieć.

- Wiedziałaś, że on bierze narkotyki?

- Nie.

- A ty wiedziałaś? - zwrócił się Charles do Annie.

- Nie. Absolutnie nie. - Przypomniała sobie tę sytuację, kiedy Jason wręczał jej kubek z winem, ale nic nie powiedziała. Nie miała dowodów na to, że Jason istotnie brał.

- Georgia twierdzi, że on miał z tobą romans.

Annie zatkanęła. - Nie. Absolutnie nie - zdołała jedynie zaprzeczyć. To prawda, że wtedy posunęli się stanowczo za daleko, jednak przecież do niczego nie doszło.

- Więc dlaczego miałby o tym opowiadać, gdyby tak nie było?

- Bo młodzi mężczyźni o nieustabilizowanym życiu seksualnym często tak się zachowują. Nie rozumiem tylko, Charles, jakim prawem mnie tutaj wezwałeś i w taki sposób ze mną rozmawiasz. - Nie mogła się pogodzić z obecnością Georgii w tym gabinecie. Jeśli Charles miał do niej jakieś zarzuty, powinien był na tyle uszanować jej pozycję na wydziale, by porozmawiać z nią w cztery oczy.

- Ponieważ Georgia wysunęła oskarżenie - rzekł Charles - uznałem, że powinna ci patrzeć w twarz przy tej rozmowie.

- Jej oskarżenie jest niczym nie uzasadnione. - Annie zerknęła na zegarek. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym wrócić do mojego gabinetu i stamtąd zadzwonić do szpitala, może uda mi się czegoś dowiedzieć o Jasonie, a potem muszę jechać do Bostonu. Mam tam bardzo ważne spotkanie. - Teraz dopiero przyszło jej do głowy, że musi odwołać zajęcia.

Charles najwyraźniej się na to nie zgadzał, bo potrząsnął głową i zwrócił się do Georgii: - Dlaczego nic nie mówisz teraz, kiedy rozmawiamy z doktor Pope?

Georgia oblała się rumieńcem.

- Charles - ostrzegła Annie.

- Wcale mnie to nie cieszy - rzekł, wpatrując się w nią spod wyleniałych siwych brwi. - Już kiedyś wcześniej zadałem ci pytanie, czy coś jest między tobą i Jasonem Faustem. Odpowiedziałaś wtedy, że nie.

- Bo nic między nami nie było.

- Ale to wszystko ma sens. Wszyscy wiedzą, jak blisko ze sobą byliście. Widywaliśmy was twarz przy twarzy na stołówce, na korytarzu, w sali wykładowej. Cały wydział mógł cię z nim obserwować na przyjęciu przed Bożym Narodzeniem. Wtedy próbowałem cię ostrzec.

- Nie byłam tam z nim. Po prostu z nim rozmawiałam. Lubię go. Uważam go za swojego przyjaciela. I jestem szczęśliwą mężatką, a teraz mój mąż będzie stał na schodach przed budynkiem sądu i czekał na mnie nie wiadomo jak długo, jeśli natychmiast stąd nie wyjdę. Ty zaś zachowałbyś się mądrzej, gdybyś się zainteresował stanem zdrowia Jasona, a nie jakimiś wyspanymi z palca bzdurami o naszym romansie. Między nami nic nigdy nie było.

- Może dałaś mu nadzieję, że jednak coś będzie, a potem się od niego odwróciłaś?

Annie najeżyła się. - Dlaczego koniecznie usiłujesz znaleźć dziurę w całym?

- Nie lubię nie wyjaśnionych samobójstw.

- On jeszcze nie umarł - rzuciła Annie i próbowała uspokoić oddech. Chciała zadzwonić do szpitala. A potem chciała już być u boku Sama. - Muszę wyjść - powiedziała, rzeczywiście czując neodpartą potrzebę, by uciec jak najdalej z tego zatęchłego, staroświeckiego gabinetu.

Charles potarł czubek głowy. - Myślę, że powinnaś się zastanowić nad odejściem z naszej szkoły.

Serce zamarło jej na chwilę, po czym gwałtownie uderzyło o klatkę piersiową. - Co takiego?



- Powinnaś się zastanowić nad odejściem z naszej szkoły.

Rozglądała się wokół oszalałym wzrokiem. Wyglądało na to, że jakiś zabłąkany zarazek wywołał tu prawdziwą epidemię. - Przecież to jest absurdalne.

- Nie chcę mieć na wydziale skandalu. Bóg jeden wie, ile trzeba zachodu, żeby w dzisiejszych czasach uzyskać subwencję, a na pewno w tym mi nie pomoże romans studenta z profesorką, w dodatku zakończony samobójstwem. Jeśli zdecydujesz się cichutko zejść ze sceny, może uda się to wszystko wyciszyć.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - rozplakała się.

- Myślałam, że mnie lubisz.

- Bardziej lubię mój wydział.

Stała przed nim, rozczarowana i bezsilna. Już chciała być w drodze do Bostonu, jednak nagle uświadomiła sobie, że to nie jest możliwe. Zasłużenie czy nie, skandal mógł zniszczyć jej pozycję zawodową. Skandal mógł też - była bliska śmierci, gdy sobie to uświadomiła - zrujnować karierę Sama. Musi wysłuchać Charlesa do końca. Musi iść do szpitala i modlić się, żeby Jason obudził się ze śpiączki i powiedział, jak było naprawdę.

- Mogę skorzystać z telefonu? - zwróciła się do Charlesa drżącym głosem.

Gdy ten skinął głową, wystukała numer do biura Sama. Kiedy tylko usłyszała jego głos w słuchawce, zaczęła mówić:

- Mam problemy w szkole. Lepiej zrobisz, jak nie będziesz na mnie czekał i sam pójdziesz na przesłuchanie. - Próbowała mówić spokojnie, ale jej głos brzmiał posępnie. Wiedziała, że wyczuł to natychmiast.

- Co się stało?

- To poważna sprawa.

- Powiedz mi, Annie.

To była ostatnia rzecz, jakiej Sam potrzebował właśnie teraz, tuż przed przesłuchaniem. Jednak była tak przerażona, tak egoistyczna i tak rozpaczliwie spragniona jego wsparcia, że mu powiedziała. - Jason Faust został dziś rano znaleziony nieprzytomny. Jest w stanie śpiączki. Są podejrzenia, że przedawkował narkotyki.

- Annie, tak mi przykro.

- Problem tkwi w tym - mówiła dalej szybko, bo teraz do wszystkich jej uczuć dołączyła jeszcze wściekłość - że Charles Honnemann, z którego gabinetu teraz dzwonię, sugeruje, że to

ja jestem przyczyną próby samobójczej Jasona. Sugeruje, że miałam romans z Jasonem, albo też go tak rozkochałam w sobie, że próbował odebrać sobie życie.

- Przecież to absurd! - wykrzyknął Sam z oburzeniem.

- Charles chce, żebym odeszła ze szkoły, żeby cała sprawa - bez względu na to, co się stanie - nie nabrała rozgłosu.

- Przecież to idiotyczny pomysł!

Jego gwałtowna reakcja kazała jej się teraz zastanowić, jak kiedykolwiek mogła wątpić w jego lojalność. Nie mogąc opanować wewnętrznego drżenia, stwierdziła:

- To samo ja powiedziałam Charlesowi, ale on ma na ten temat inne zdanie. Muszę tu zostać i spróbować go przekonać. Moja kariera jest zagrożona. Twoja tak samo.

- Ale przecież on nie ma żadnego dowodu! To są tylko spekulacje i takimi pozostaną, dopóki sam chłopak się na ten temat nie wypowie!

- Wiem - powiedziała już mniej spokojnie, bo słyszała w głosie Sama wyraźne zdenerwowanie i zaczynała się obawiać o stan jego emocji przed przesłuchaniem.

- Zostań tam - polecił. - Zaraz przyjadę.

Z trudem złapała powietrze. - Nie możesz! Za niecałą godzinę masz przesłuchanie. Na pewno nie zdążysz w tym czasie obrócić w obie strony.

- Przełożę termin.

- Nie wolno ci! To zbyt ważna sprawa, Sam!

- To jest jeszcze ważniejsza sprawa.

- Nie, nie - patrzyła na Charlesa - to po prostu głupia plotka, którą rozprowadzają ludzie o wąskich horyzontach umysłowych i nie uregulowanym życiu seksualnym. - Była wściekła. - Nie możesz nie stawić się na to przesłuchanie.

- Czy Honnemann tam jest?

- Mhm.

- Daj mi go.

- Sam...

- Daj go do telefonu.

Annie oddała słuchawkę Honnemannowi. Ten zachował kamienną twarz, słuchając słów Sama. Po krótkiej chwili odłożył słuchawkę i rzekł: - Twój mąż upiera się, żeby tutaj przyjechać. Powiedział, żebyś nie wychodziła z budynku aż do jego przyjazdu. Powiedział też, że

moje oskarżenia graniczą ze zniesławieniem i że nie będzie miał najmniejszych skrupułów, żeby zaskarżyć mnie i college, jeśli z powodu tych oskarżeń ucierpi twoja kariera.

Przecież ma termin przesłuchania przed Komisją, nie mogła przeboleć Annie. Odwróciła się, odeszła w odległy kąt gabinetu i opadła na krzesło. Było to niewygodne krzesło z wysokim drewnianym oparciem, wprost idealnie dopasowane do jej podłego nastroju. Wolałaby, żeby Sam tu nie przyjeżdżał. Oboje chcieli, żeby uzyskał stanowisko sędziego. Odwołanie terminu przesłuchania, i to w ostatniej chwili, mogło świadczyć przeciwko niemu. Tak wiele dla niej ryzykował. Te wszystkie wątpliwości, których tak długo nie mogła się pozbyć, teraz wydawały jej się śmieszne.

Przez chwilę siedziała w upokarzającej ciszy. Potem nagle się ożywiła i skoczyła na równe nogi. Podeszła do biurka Honnemanna, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do szpitala. W informacji o stanie pacjentów niczego się nie mogła dowiedzieć, zaczęła więc poszukiwać lekarza, który się opiekował Jasonem, ale po dziesięciu minutach zrezygnowana odłożyła słuchawkę.

- Naprawdę nie zauważyłam u niego żadnych przejawów depresji - powiedziała na głos, bo właśnie to nieustannie roztrząsała w myślach, kiedy usiłowała uzyskać połączenie z lekarzem Jasona. A przecież uważała się za niezłą obserwatorkę. Ostatecznie zauważyła przygnębienie Zoe już kilka dni przed jej ucieczką do Pete'a. Widziała, że Max pragnie Leigh. Wprawdzie ciąży Leigh nie zauważyła, ale ciąża, choć przedwczesna, nie była przecież niczym złym. Jednak dlaczego Jason targnął się na życie, tego nie mogła zrozumieć. - W tym, co pisał, nie było żadnych sygnałów. Dawał mi do przeczytania swoje opowiadania i wiersze, ale nie było w nich niczego mrocznego. Były tam oczywiście najrozmaitsze emocje. Jednak w żadnym razie nie można by ich było interpretować jako rozpaczliwego wołania o pomoc.

Wracając na niewygodne krzesło myślała o Samie, o jego poświęceniu i o tym, ile trzeba mieć w sercu miłości, żeby się na coś takiego zdobyć. Nagle cała jego wersja tamtego nieszczęsnego incydentu z Teke wydała jej się taka niewiarygodnie prawdziwa. Mogła sobie to nawet wyobrazić, jak na nią czekał, jak jej pragnął, szukał jej i stracił kontrolę nad sobą myśląc o niej, gdy rozmawiał z Teke. Od pierwszej chwili powinna była uwierzyć w to, co mówił. Powinna była mu ufać. Czowała się teraz jak idiotka..

Pojawił się w drzwiach w tweedowej marynarce, przynosząc ze sobą powiew zimnego powietrza, jednak w oczach Annie wyglądał bardziej niczym rycerz w lśniącej zbroi. Najpierw podszedł do niej, na chwilę mocno ją przytulił, po czym skierował kroki do biurka Charlesa.

- Oskarża pan moją żonę o niestosowne zachowanie wobec studenta. Chciałbym usłyszeć, na jakich dowodach opiera się to oskarżenie.

Charles siedział sztywno za biurkiem. - Nie ma żadnych dowodów. Po prostu pańska żona i Jason Faust spędzali niezwykle dużo czasu razem.

- Nie niezwykle dużo - odpowiedziała Annie, która teraz, gdy miała przy sobie Sama, poczuła się pewniej. - Jason jest moim najlepszym asystentem. Jest tutaj moją prawą ręką. Ponadto pisze pracę magisterską pod moim kierunkiem, a to wymaga oddzielnych spotkań.

- Ale to wywołuje komentarze.

- Z czyjej strony? - dociekał Sam.

Charles uniósł brew. - Pracownicy wydziału zwracali mi na to uwagę. Nigdy nie dochodziłem prawdy, ponieważ doktor Pope jest bardzo lubiana przez studentów. Jej zajęcia cieszą się dużą popularnością. Uznałem, że te doniesienia mogą wynikać z zazdrości.

Annie nigdy to nie przyszło do głowy. Sama zawsze podchodziła do ludzi z sympatią, nawet do tych wszystkich dziwolągów na wydziale, akceptowała ich inność. Teraz była wściekła, że z ich strony nie doczekała się takiej samej życzliwości, a przynajmniej obojętności.

- Czy te doniesienia pracowników wydziału - dopytywał się Sam - opierały się na konkretnych przykładach, kiedy to moja żona zachowywała się niestosownie?

- Nigdy nie słyszałem żadnych konkretów, ale było wystarczająco dużo podejrzeń, które sugerowały istnienie tych konkretnych sytuacji.

- Podejrzeń nigdy się nie uznaje w sądzie za argument - poinformował go Sam głosem, który mógłby z powodzeniem dochodzić zza stołu sędziowskiego. Sam zasługiwał na stanowisko sędziego. Musi je osiągnąć.

- Podejrzeń nawet się nie włącza do dowodów, a sędziom przysięgłym nakazuje się nie brać ich pod uwagę przy rozstrzygnięciu o winie.

Charles machnął ręką. - Nikt się tutaj nie wybiera do sądu.

- Ja się wybieram. Wysunął pan bardzo poważne oskarżenie przeciwko mojej żonie. A ona ma pewne prawa, między innymi to, że jest niewinna, dopóki nie zostanie jej udowodniona wina.

- Nikt nie mówi, że jest winna.

- Pan jej zasugerował, że powinna odejść ze szkoły. Czy to nie byłoby przyznaniem się do winy?

Charles przesuwiał palcem po szyi, jak gdyby chciał rozluźnić kołnierzyk koszuli. - Nie. Po prostu w ten sposób sprawa mogłaby przycichnąć.

- Ale co tu ma przycichnąć? - spytał Sam. - O ile dobrze zrozumiałem, nie ma tutaj nic poza plotkami krążącymi wśród zazdrosnych pracowników wydziału. A co z tą dziewczyną?

- To Georgia Nichols - wyjaśniła Annie. - Przedstawiłam ci ją kiedyś, kiedy przyjechałeś tutaj na lunch. Jest w klasie maturalnej. Kreaci się koło Jasona.

- Czy ona jest zakochana w Jasonie? - spytał Sam Charlesa.

- Nie wiem, ale to ona znalazła go rano w jego mieszkaniu.

- Czy ona z nim mieszka?

- O ile wiem, nie.

- Więc miała klucz i sama weszła do mieszkania, a to oznacza, że między nimi było coś więcej niż tylko przelotna znajomość. Może Jason miał ochotę na moją żonę albo po prostu bardzo ją lubił. Może Georgia jest zazdrosna.

- Możliwe - przyznał Charles niechętnie.

- Czy w związku z tym nie jest możliwe, że pańskie oskarżenia są fałszywe?

- Georgia oznajmiła, że Jason powiedział, iż jest zakochany w pańskiej żonie.

- Czy Jason powiedział to żartem?

- Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

- No cóż, nikogo z nas przy tym nie było, doktorze Honnemann. Sugeruję więc panu, aby pan już nie wygłaszał żadnych pogłosek na ten temat ani żaden inny, dopóki nie porozmawiamy z Jasonem Faustem.

- To może się okazać niemożliwe - powiedział Charles, jednak głos miał znacznie mniej pewny siebie niż przed kilkoma minutami. - Jest w stanie śpiączki.

- Więc należy pojechać do szpitala i spróbować porozmawiać z jego lekarzem - rzekł nie bez pewnej uszczypliwości Sam. Objął Annie i wyprowadził ją z gabinetu.

- Och, Sam - rozplakała się w chwili, kiedy tylko wyszli na dwór. - Tak bardzo mi przykro. Nie chciałam tak wszystkiego spieprzyć. Co będzie z przesłuchaniem?

Uśmiechnął się do niej uspokajająco. - Odbędzie się jutro o tej samej porze i w tym samym miejscu.

Odczuła bezmiar ulgi. - Nie miałeś kłopotów z przesunięciem terminu?

- Powiedziałem, że to pilna sprawa rodzinna. Jak ktoś mógłby mi robić jakieś kłopoty?

Mogła sobie wyobrazić, że jednak ktoś mógłby. - Mogli pomyśleć, że masz niestabilną rodzinę albo że ciągle masz jakieś sprawy rodzinne, które nie zostawiają ci czasu na pracę.

- Raczej się o mnie mówi, że jestem pracoholikiem, więc kiedy twierdzę, że mam pilną sprawę, to znaczy, że mam pilną sprawę. - Objął ją w pasie i przytulił mocniej, gdy szli ramię przy ramieniu. - Nie ma się czym przejmować, Annie. Naprawdę. Za ciężko pracowałaś, żeby teraz Honnemann mógł rzucać na ciebie jakieś bezpodstawne oskarżenia. A żądać od ciebie, żebyś odeszła ze szkoły, to już po prostu z jego strony bezczelność.

Annie zatrzymała się, ujęła jego ramię i powiedziała:

- Muszę ci coś powiedzieć, Sam. - Mówiła szybko, bała się, że opuści ją opanowanie. Znalazła wreszcie odpowiedni moment. Instynkt nakazał jej powiedzieć to właśnie teraz. Instynkt i miłość, którą widziała w oczach Sama.

- Chcę ci to powiedzieć już od miesiący, ale ciągle się bałam. Między mną i Jasonem nic nie było, naprawdę nic takiego, ale kilka tygodni po twoim incydencie z Teke miałam koszmarne dzień zakończony zebraniem wydziału, na które się spóźniłam. Czułam się najgorzej jak tylko mogłam, gorsza od innych, wszystkiemu winna, kompletnie bez wartości. Wtedy Jason wszedł za mną do gabinetu, zaczęliśmy rozmawiać i tak krok po kroku. Ale do niczego nie doszło - przestraszyła się, bo Sam zbladł - naprawdę do niczego. Chciałam się czuć piękna, atrakcyjna, ale chciałam się tak czuć dzięki tobie. Nie mogło dojść do niczego z Jasonem, bo to nie byłeś ty.

Po chwili ciszy, w trakcie której Annie chyba z dziesięć razy była bliska śmieci, Sam spytał cicho: - Jak daleko to zaszło?

- Tylko trochę porozpinanych ciuchów. Nic więcej. On się zdenerwował.

Sam był smutny. - Czy on jest w tobie zakochany?

- Nie sądzę. Rozmawiałam z nim później. Dobrze wie, że kocham ciebie. Wie, że nigdy go nie pokocham ani nigdy między nami do niczego nie dojdzie. Naprawdę jesteśmy przyjaciółmi. To wszystko. Po tym zdarzeniu już nic podobnego nie miało miejsca. Doskonale nam się razem pracowało. Nie mogę uwierzyć w to, że bym to ja była przyczyną jego próby samobójczej, ale miał ostatnio kilka problemów. Jego ojciec wpadł w poważne tarapaty finansowe i Jason po raz pierwszy w życiu musiał się zacząć martwić o pieniądze. W dodatku jeszcze dowiedział się, że ma cukrzycę. - Przypomniała sobie jego nonszalancję, kiedy mówił o chorobie. Możliwe, że pod nią ukrywał zmartwienie. - Czy z tego powodu mógł próbować odebrać sobie życie?

- A może to śpiączka cukrzycowa? - Sam ujął jej łokieć i znów ramię przy ramieniu ruszyli przed siebie. - Tego dnia, kiedy jedliśmy razem lunch w kampusie, stwierdziłaś, że mizernie wyglądasz.

- Wtedy jeszcze nie wiedział, że jest chory. Ale rzeczywiście od tamtej pory nie wyglądał najlepiej. - Znów się zatrzymała i znów złapała go za ramię. Po tym, jak całymi miesiącami bała się powiedzieć mu o incydencie z Jasonem, nie chciała teraz dopuścić do tego, by rozmawiali o zdrowiu Jasona, a nie o tym, co jest między nimi. - Przepraszam cię, Sam. Zraniłam cię tym?

- Jak mogłaś mnie zranić, jeśli to mój obraz miałaś wtedy przed oczami?

- Powinnaś była wiedzieć, z kim jestem.

- Wszyscy to powinniśmy wiedzieć, ale czasami nam się zdarza popełnić błąd. Więc kochamy się ze wszystkimi naszymi wadami? - Uśmiechnął się do niej serdecznie, jak to tylko Sam potrafił. - Bo ja cię kocham, moje słoneczko, ze wszystkimi twoimi wadami.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się szczęśliwa. Nie myśląc o dobrych obyczajach, na ulicy zarzuciła mu ręce na szyję. - Ja też cię kocham, Sam. Jesteś wszystkim, co najlepsze w moim życiu. - Przytuliła się do niego mocno i szepnęła: - Cały czas mnie to dręczyło.

Myślałam, że będziesz zły i odwrócisz się ode mnie. Bałam się, że nie będziesz chciał na mnie spojrzeć. Czulałam się taka winna. I jeszcze teraz jest mi wstyd.

- Wstyd to bezowocne uczucie - powiedział w jej włosy. - Naprawdę nie ma z niego żadnego pożytku. No, chodźmy już - delikatnie całując ją w czoło, ujął jej ramię. - Porozmawiajmy z lekarzami. Może oni rzucą nam trochę światła na problemy twojego chłopca.

Kamień spadł jej z serca. Sam dowiedział się o wszystkim i ciągle ją kocha. Gdyby nie stan zdrowia Jasona, tańczyłaby chyba z radości.

Zjawili się w szpitalu, przygotowani na scenę taką, jaką widzieli, gdy Michael był w śpiączce. Tymczasem zobaczyli rodziców Jasona w stanie dalekim od szoku, zaś sam Jason leżał w łóżku i chociaż nie wyglądał szczególnie dziarsko, oczy miał szeroko otwarte.

- Spodziewaliśmy się, że cię zobaczymy półżywego - powiedziała do niego Annie, kiedy już uścisnęła dłonie jego rodzicom. - Honnemann powiedział, że jesteś w stanie śpiączki. Georgia wie, że się już obudziłeś?

Skinął głową. - Właśnie przed chwilą dzwoniła. - Głos miał zmęczony.

- Co to było? - spytała Annie.

- Lekarstwa.

- Nie powiedział nam, że jest chory - odezwała się jego matka. - Przecież zabralibyśmy go do naszego specjalisty.

- Mamo, mój lekarz też jest specjalistą.

- No cóż, mógł się pomylić.

- Daj spokój, Addie - uspokajał ją ojciec.

Annie wyprostowała się tak, że niemal czuła Sama za swoimi plecami. - Rozeszła się wieść, że przedawkowałaś narkotyki. Honnemann jest przerażony, że jeden z jego studentów usiłował sobie coś takiego zrobić.

Jason zachichotał. - Na ile mogę sobie wyobrazić, ten stary przyk wyobraża sobie, że zrobiłem to z miłości do ciebie, Annie.

- Dokładnie tak - stwierdził Sam.

Annie uznała, że tej dyskusji powinni sobie dzisiaj oszczędzić, jednak Jason otworzył oczy. - Naprawdę?

- Niestety, tak - odpowiedział Sam.

- Boże, Annie. Przepraszam. Gdyby mi to przyszło do głowy, zostawiłbym jakiś list. - Kiedy Annie przewróciła oczami, zapytał: - Co jeszcze Honnemann powiedział?

Powtórzyła mu wszystkie zarzuty Honnemanna. Teraz, kiedy Jason obudził się ze śpiączki, kiedy Sam wszystko wiedział, kiedy przesłuchanie zostało bez problemów przełożone na następny dzień, nic już nie było w stanie zmącić jej radosnego nastroju. Zakończyła słowami: - Wyobrażam sobie, jaki ten, jak to ty mówisz, stary przyk jest przerażony, że będzie miał proces o zniesławienie. - Poczwała rękę Sama na ramieniu i odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Powinniśmy już iść i pozwolić Jasonowi odpocząć - powiedział cicho.

Skinęła głową. Wymierzając palec w Jasona, poleciła:

- Odpoczywaj. Jutro wpadnę zobaczyć, jak się miewasz. - Do rodziców Jasona zaś powiedziała: - To dobry chłopak, chyba najzdolniejszy na całym wydziale i nie będę się mogła doczekać, kiedy wróci do szkoły.

Potem nastąpiła cała seria podziękowań i pożegnań, aż wreszcie Sam wyprowadził Annie ze szpitala. Jednak kiedy wsiedli do samochodu i Sam ruszył, Annie zmarszczyła brwi. - Nie skręcaj do miasta. Musimy wrócić do szkoły i zabrać mój samochód.

- Trochę później. Najpierw chcę zrobić coś innego. - Jego wzrok nie pozostawił jej najmniejszej wątpliwości, coż to takiego. Spojrzenie było ciepłe i sugestywne. Przesuwało się od



jej oczu do ust, na piersi i przesunęłyby się pewnie jeszcze niżej, gdyby Sam nie musiał właśnie gwałtownie skrócić, by uniknąć wypadku.

Annie ujęła jego dłoń, pocałowała i przyłożyła do tego miejsca na swej szyi, gdzie bił przyspieszony puls. Nic nie mówiła. W tym, co się między nimi działo, słowa były zbędne. Znow się rozumieli, znow nie było między nimi nawet najmniejszej bariery. Znow było to, co zawsze wyobrażała sobie jako pełnię miłości.

Nie powiedziała tego Samowi. Przynajmniej nie słowami. Dopiero kiedy w pośpiechu zostawił samochód odźwiernemu hotelu Ritz-Carlton, wciągnął Annie do środka i wynajął pokój z widokiem na park, na który ledwo zdążyli spojrzeć, wyraziła to wszystko swym kochającym ciałem.

Sam zaś dopełnił ten miłosny dialog bez słów rytmicznymi ruchami bioder.

\* \* \*

John umówił się ze swoimi dziećmi na obiad. Chciał z nimi porozmawiać. Nigdy w przeszłości nie wychodziło mu to dobrze, ale przecież najprostsze czynności nie wychodziły mu dobrze, dopóki się za nie nie zabrał. Miał więc nadzieję, że z dziećmi będzie tak samo.

Zabrał je z Constance do gospody za miastem. Była to stara porządna gospoda, z której niemal emanowała atmosfera pewności i niezmienności. Johnowi było to na rękę. Jako że miał rozmawiać ze swymi dziećmi o zmianach, jakie nastąpią w jego i ich życiu, żywił nadzieję, że to solidne otoczenie ułatwi dzieciom pogodzenie się z nieuchronnymi zmianami. Była to jednak nadzieja, a nie pewność. Nie miał zielonego pojęcia o psychice dzieci.

Leigh wyglądała ładnie. W ogóle nie było po niej widać, że jest w ciąży. Jana, która uwielbiała przebywać w jego towarzystwie, nie posiadała się z dumy. Michael zaś, który jeszcze chodził o kulach, postronnemu obserwatorowi mógłby się wydać chłopcem uczącym się chodzić po złamaniu nogi.

Obiad rozpoczęli od krewetek. Wtedy John uznał, że nie będzie psuł posiłku już na starcie. Kiedy podano sałatki, myślał to samo, a widząc dzieci zajęte pałaszowaniem placków kurydzianych, nie miał serca odrywać ich od posiłku dyskusją o życiowych zmianach.

Leigh zastanawiała się głośno, jakże w tej chwili wygląda jej dziecko. Jana opowiadała ze szczegółami horror, który poprzedniego wieczoru oglądała w telewizji. Michael zaś opowiadał o łodzi.

John wiedział, że w ten sposób wystawia go na próbę, więc chociaż mógłby na ten temat rzucić jakąś cierpką uwagę, nie odezwał się ani słowem. Wiele myślał o tym popołudniu w szopie Grady'ego. Nienawidził tego człowieka, jednak wiedział, że to nienawiść całkowicie pozbawiona racjonalnych przesłanek. A John był dumny z tego, że we wszystkim kieruje się racjonalnymi motywami. Ta rozsądna część Johna mówiła więc, że Grady ma spory wkład w dochodzeniu do zdrowia Michaela. Mówiła też - nigdy by tego nie przyznał przed Teke ani przed Samem - że Grady nie jest niebezpiecznym człowiekiem. A co więcej, że Michael, ciągle zły na Sama, potrzebuje teraz nowego męskiego wzorca osobowego, i znów John nie był zachwycony, że to Grady ma być tym wzorcem, ale musiał się z tym pogodzić. Przecież sam też będzie się spotykał ze swoimi dziećmi.

Przy deserze zaczął się poważnie zastanawiać, jak zacząć temat. Wyręczyła go w tym Jana, która zapytała: - Więc co będzie z tobą i z mamą? To o tym chciałeś z nami porozmawiać, prawda?

- Sprytna z ciebie dziewczyna - pochwalił John i wybierając niezbyt odważną metodę zadał pytanie: - A ty jak myślisz?

- Myślę, że złożyłaś pozew rozwodowy.

- A gdybym złożył pozew, co ty na to?

- Zasłużyła sobie na to.

- To nieuczciwe - zaprotestowała Leigh.

Michael się z tym zgodził. - Zawsze są dwie strony medalu.

- A gdzie ty się tego nauczyłaś? - spytała Jana.

Niechętnie spojrzenie, jakie mu rzucił Michael, wszystko Johnowi wyjaśniło - oczywiście słyszał to w ustach Grady'ego. John już miał wygłosić jakąś kąśliwą uwagę na temat żalonych życiowych maksym, jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język. Ostatecznie równie dobrze Michael mógł to usłyszeć w ustach Sama, a przecież dla Sama miał wiele szacunku. Istotnie, każdy medal ma dwie strony.

- Jeszcze nie usiedliśmy i nie omówiliśmy szczegółów - powiedział więc dzieciom - ale rzeczywiście w rachubę wchodzi rozwód. - zapadła cisza. Przesuwał wzrok z jednej twarzy na drugą. - I co wy na to?

- Nie wyglądasz na szczególnie nieszczęśliwego - zauważyła Leigh.

- Jeśli popatrzę na to od strony rozsądku, to jestem. Rozpad małżeństwa zawsze jest nieszczęściem. Jednak jeśli spojrzę na to od strony emocji, to czuję ulgę.

- Ulgę, że będziesz nas miał z głowy? - spytał Michael.

- Boże, skądże! Jeśli chodzi o was, to raczej z wami zaczynam. - Niech go szlag trafi, jeśli miałby dopuścić do tego, by stać się dla własnych dzieci kimś nieważnym.

- Jeszcze rok temu nie pojechałbym z wami nigdzie na obiad, na pewno nie bez waszej mamy. A to całkiem miłe, prawda? - Osobistą satysfakcję czerpał z faktu, iż sprostął temu zadaniu.

Nikt nie odpowiedział.

- Nie jest miłe?

- Jest dziwaczne - odpowiedziała Leigh.

Jana wzruszyła ramionami. - Ja myślę, że to fajne. Mama potrafi czasem niezłe przynudzać.

- Ciągłe jesteś na nią zła za to, co zrobiła? - spytał John.

- A ty nie? Przecież to było obrzydliwe!

- Taa, masz rację. Żadnej z was nie polecałbym, żebyście zrobiły coś takiego swoim mężom. Tyle że - wahał się przez chwilę - w sumie to chyba wyszło nam na dobre.

- Spotykasz się z jakąś nową kobietą? - nerwowo spytała Leigh.

- Nie.

Michael popatrzył na niego sceptycznie. - Will Clinger twierdzi, że jego mama cię odwiedza i cały czas do ciebie wydzwaniała.

- Will Clinger jest takim samym plotkarzem jak jego matka. Owszem, odwiedziła mnie kiedyś w moim mieszkaniu. Wkrótce po tym, jak się tam wprowadziłem, przyniosła mi śniadanie. - Nie widział powodu, by mówić dzieciom o tym, co robili przy okazji tego śniadania, a i potem wiele, wiele razy. - Wspominaliśmy dawne czasy, Ginny i ja. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Będziesz jej mężem numer pięć?

- Nie ma mowy. Moje najbliższe plany nie obejmują powtórnego małżeństwa.

- A jakie są twoje najbliższe plany? - spytała Jana.

- No cóż, przeprowadzka do Palm Beach.

- Na Florydę?

- Taki kawał drogi?

- Chyba żartujesz?

Jana aż się podniosła z krzesła, kiedy pytała: - Otwierasz nowy oddział firmy, tak jak dziadek zawsze planował?

- Nie. Zaczynam pracę w innej firmie. - I w tym tkwiło sedno: wyprowadzał się tam, gdzie go zawsze John Stewart chciał widzieć, zadając mu jednocześnie druzgocący cios. - Tamta firma już istnieje w Palm Beach.

- W Bostonie też ma oddział? - spytał Michael.

John pomyślał, że to Michael wygląda na najbardziej przerażonego z całej trójki. To zrozumiałe, jest najmłodszy. Jest też bardzo przygnębiony. Johnowi podobała się myśl, że ktoś będzie za nim tęsknił. Za nieważnymi ludźmi się nie tęskni.

- W Bostonie też. Ale ja będę pracował w Palm Beach.

- Dlaczego?

- To tak daleko!

- Czy dziadek jest wściekły?

- Jeszcze nie mówiłem o tym dziadkowi. Chciałem, żebyście najpierw wy o tym wiedzieli. Nikt jeszcze o tym nie wie, nawet moi przyszli współpracownicy. Zadzwońię do nich jutro.

Żadne z dzieci się nie odezwało.

John poczuł przykre ukłucie. W przeszłości po prostu obwieściłby im swoją decyzję. Teraz próbował zrozumieć, że oni nie umieją się w tym wszystkim odnaleźć. Próbował dać im możliwość, żeby się jakoś wypowiedzieli na temat przyszłości. Próbował się zachowywać tak, jak sobie wyobrażał zachowanie Sama w takiej sytuacji. Oni zaś mogliby chociaż trochę się starać sprawić mu przyjemność.

- No i co wy na to powiecie?

- A co, jeśli powiem „nie”? - spytała Jana wprost.

I tak wyjadę, odpowiedział w duchu John. Już postanowił. Musi wyjechać z Bostonu, znaleźć się z dala od Johna Stewarta, z dala od Teke i Grady'ego. - Jeśli powiesz „nie”, będę ci próbował wyjaśnić, że potrzebna mi jest zmiana. Za długo pracowałem pod bokiem waszego dziadka. Muszę wreszcie odejść i pracować na własny rachunek. A poza tym, w Palm Beach mam przyjaciół, którzy mnie lubią i ja ich też lubię. - I to wystarczająco, żeby przenieść do ich firmy swoich klientów, co Johna Stewarta doprowadzi do białej gorączki. - Będę tam miał co robić. Pogram sobie w golfa, będę się wygrzewał na słońcu. Mam zamiar kupić wielki dom z gościnnymi sypialniami dla was wszystkich i z basenem. Tylko pomyślcie, jakie będziecie mieli wakacje.

- A co z wyspą Sutters? - spytał Michael.

- Och, Michael - powiedział John ze smutkiem. - Wyjazdy na Sutters dla mnie już są przeszłością. Wy ciągle możecie tam wyjeżdżać. Tak samo na narty. Może czasami do was przyjadę, ale teraz muszę mieć coś nowego dla siebie.

Leigh była nadaśana. - Nie chcesz być tutaj, kiedy urodzi się moje dziecko?

- Przylecę natychmiast, kiedy tylko będę ci potrzebny.

- Ale ono się już urodzi, zanim ty zdążysz przylecieć.

- Wtedy zobaczę dziecko kilka godzin po urodzeniu. Będę przyjeżdżał. Nie porzucam was przecież.

- A co innego robisz? - obruszyła się Jana.

- Będziemy się kontaktować. Istnieją przecież telefony. Możecie do mnie dzwonić, kiedy tylko przyjdzie wam ochota.

- Przecież zawsze wrzeszczysz, kiedy rachunki za telefon są za wysokie.

- Od tej chwili już nie będę. Obiecuję. Zresztą, spójrz na to inaczej, Jano. Ty jeszcze dwa lata będziesz w domu i wyjedziesz do college'u. Prawdopodobnie wtedy widywalibyśmy się równie rzadko, gdybym mieszkał tutaj, jak będziemy się widywać, gdy zamieszkał tam.

- Zostawiasz nas samych z mamą!

- A to takie straszne? Czy mama cię bije?

- Nie.

- Głodzi cię?

- Boże, nie. Przecież ona dosłownie wpycha w nas jedzenie.

- Nie wyglądasz na osobę, która szczególnie cierpi - otaksował spojrzeniem wiotką sylwetkę Jany.

- Ona głodzi.

- O czym głodzi? O szkole? Że za dużo rozmawiasz przez telefon? - John nie widział w takim głęczeniu nic złego. - Spędzaj więcej czasu z Zoe. Naprawdę powinnaś, Jano. Zoe też przechodzi ciężkie chwile.

- Wiem - przyznała Jana - ale ona jest dla mnie za słodka.

- A co w tym złego?

- Jest za dobra. Nie umie się wygłupiać. Nie chce z nami pić za wysypiskiem śmieci.

- Z kim? - zażądał odpowiedzi John. - Kto pije za wysypiskiem śmieci? - Dopiero teraz dostrzegł wykrzywione usta Jany. - Żartujesz sobie ze mnie. Nie rób tego, Jano. Nie lubię ani picia, ani wysypisk śmieci.

- Kupiłeś już dom na Florydzie? - spytał Michael.

John wziął uspokajający oddech i odwrócił się do syna.

- Nie. Czekam z tym, aż podejmę ostateczną decyzję. - Znów przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. - No więc? Co o tym myślicie?

- Dziadek się wścieknie - ostrzegła Jana. - Jak ty byś się czuł, gdybym ja ci coś takiego zrobiła?

Boże, chroń mnie przed tak wyszczekaną córką, pomyślał John. - Też bym się wściekł - powiedział. - Ale może z tobą i ze mną będzie trochę inaczej niż ze mną i twoim dziadkiem. Mimo że byłem w firmie pełnoprawnym partnerem, dziadek zawsze mną rządził. A ja uważam, że to nie jest właściwy układ. Ja nie będę ciebie tak traktował. Jeśli będziesz chciała pracować w mojej firmie, nie będę się wtrącał w twoje sprawy. - A przynajmniej spróbuję się nie wtrącać, pomyślał i modlił się w duchu, żeby mu przychodziło do głowy więcej takich odruchów w stylu Sama.

- Będę mogła pracować w twojej firmie?

- Nie widzę powodu, żebyś nie mogła, oczywiście pod warunkiem, że ukończysz prawo z dobrymi wynikami.

- Nawet jeśli tam będzie tylu obcych wspólników?

- Do tej pory na pewno będę już miał duże wpływy w firmie. A jeśli wspólnicy nie będą cię chcieli, w każdej chwili mogę zmienić firmę albo założyć własną.

Słyszając to, wyjaśniała. - Naprawdę?

- Jasne. - Miał ambiwalentne uczucia, jeśli chodzi o kobiety-prawników, ale wiedział, że Jana urodziła się do tego zawodu. Objął też zaproszeniem pozostałą dwójkę. - To samo dotyczy was dwojga. Nie mam nic przeciwko temu, żeby stworzyć rodzinną firmę.

- Na mnie nie licz - ostrzegła Leigh. - Chcę mieć sześcioro dzieci.

- A ja mam w planach dalekie wyprawy - powiedział Michael z takim ożywieniem, jakiego John nie słyszał w jego głosie od Święta Pracy na wyspie Sutters. - Tak samo jak ty zerwałeś z dziadkiem, ja zerwę z tradycją rodzinną. Nie chcę być prawnikiem. Chcę budować łodzie, a potem nimi pływać. - Oczy mu zalśniły. - Wybieram się na wyprawę morską w okolice Florydy.

- Łodzią? - spytała z powątpiewaniem Jana.

- Nie łodzią - odparł Michael. - Wodolotem. Mam zamiar badać wpływ efektu cieplarnianego na populację aligatorów. Może ci przywiozę do domu małego aligatora.

- Zrób to - odcięła się Jana z kąśliwym uśmiechem - a znajdziesz go we własnym łóżku i zobaczymy, co ci odgryzie.

- Przestańcie - skrzywiła się Leigh.

- Tak naprawdę - powiedział Michael - to chcę mieć psa. Zawsze chciałem mieć psa.

- Tata nie znosi zwierząt - przypomniała mu Jana.

- Ale tata przeprowadza się na Florydę. Czyż to nie byłoby wspaniale, gdyby dał nam prezent z okazji wyjazdu?

Trzy pary oczu zwróciły się na Johna. - Dlaczego tak się czuję, jakby ktoś mną manipulował? - spytał. Nikt mu nie odpowiedział. Zresztą nie zależało mu na odpowiedzi. Cieszył się, że ma dobre dzieci. Może im kupić nawet psa, jeśli tego chcą. Oczywiście pod warunkiem, że będą psa zostawiały z Teke, kiedy wybiorą się do niego w odwiedzinach.

Teke otuliła się jedwabnym kimonem, które dostała od Johna na poprzednią Gwiazdkę, najbardziej konwencjonalnym, jakie można sobie wyobrazić. Gdy je dostała, zastanawiała się nawet, czy go jakoś nie ożywić, jednak teraz było po prostu wygodne. Doceniała ten fakt, im częściej je na siebie zakładała, a za każdym razem, gdy je odbierała z pralni chemicznej, wydawało jej się jeszcze wygodniejsze i bardziej znajome. Co więcej, tyle miało w sobie wspomnień... Pamiętało cotygodniową krzątanicę w kuchni w niedzielne poranki i nocne rozmowy w cztery oczy z każdym z dzieci. To było właśnie to kimono, które rozchyliła, gdy oddała się Samowi, to samo, w którym potem biegła za Michałem, to samo, które miała na sobie przez cały dzień w szpitalu.

Spory bagaż wspomnień, i to w dodatku wywołujących mieszane uczucia, jednak wszystkie były jej potrzebne. Uświadomiła sobie to teraz, siedząc w rogu kanapy i ściskając w dłoniach filiżankę kawy. Żaden człowiek nie może wytrzeć z pamięci wspomnień o tym, co ukształtowało jego życie. Wszystko się mieszało w jej myślach - przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

W tej chwili Teke myślała przede wszystkim o przyszłości. Dzieci wyjechały z Johnem. Dom był pogrążony w ciszy. Odruchowo chciała iść do kuchni i upiec ciasteczka dla dzieci na następny dzień. Potem jednak uznała, że dzieciom na pewno nie zabraknie do jutra ciasteczek, ona zaś nie musi wcale być bez przerwy zajęta. Wzięła więc długą kąpiel, w pełni się nią roz-

koszując. Teraz zaś, odprężona, myślała o tym, że dzieci z każdym dniem dorastają, a ona sama wkrótce zajmie się nianczęciem wnuka. W sposób nieunikniony myślała także o Gradym, zastanawiając się, jaki też kształt przybiorą wspomnienia o nim.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Jeszcze zanim otworzyła, wiedziała, że to Grady; wyczuwała jego obecność w powietrzu, w przyśpieszającym nagle rytmie serca, w rumieńcu, który ożywiał jej policzki. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, a bicie serca przechodziło w łomotanie, zaś rumieniec rósł w płomień, który ogarniał całe jej ciało.

- Jesteś sama? - spytał cichym, schrypniętym głosem.

Skinęła głową. - Dzieci są z Johnem i nie spodziewam się ich przed dziesiątą. - Była ósma.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Bez słowa ujął jej dłoń i wpatrywał się w palce, na których nie było już obrączki. Potem, kiedy jej serce biło w oszalałym rytmie, poprowadził ją po schodach na górę, do jej sypialni, a kiedy oboje znaleźli się w środku, ściągnął z łóżka narzutę.

Zanurzając palce w jej włosy, uniósł jej twarz i wpił się ustami w jej wargi. Dosłownie pożerał ją w tym pocałunku, jego język wwierał się w jej usta w nieustannie wzmagającym się pożądaniu, które i w niej budziło taką samą żądzę. Tym razem nawet nie przyszło jej do głowy, by się opierać. Złość jej minęła, w dodatku uświadomiła sobie, jakże była absurdalna. Przecież to nie Grady ją opuścił wtedy, w Gullen. Przecież wtedy go od niej zabrano. A to jest różnica. Jednak w tej chwili nic już nie było ważne. Chciała go od miesięcy, pragnęła go całą sobą od lat. Grady był częścią jej samej. Był jej dopełnieniem.

Nie odrywał od niej ust - od jej warg, uszu, szyi - jednocześnie pośpiesznie zrzucając z siebie ubranie i nie troszcząc się bynajmniej o to, gdzie jaka część garderoby upadnie. Teke nie miała mu wcale za złe tego, że tak się tutaj szarogęsi. Owszem, przez dziewiętnaście lat to była jej małżeńska sypialnia i małżeńskie łóżko, które dzieliła z Johnem. Jednak już od wielu miesięcy to małżeństwo należało do historii, a sypialnia była tylko i wyłącznie sypialnią Teke. Nie umiała sobie nawet wyobrazić bardziej stosownego miejsca, by kochać się z Gradym, niż własne łóżko we własnej sypialni.

Kiedy kimono opadło jej do stóp, Grady przycisnął ją do siebie z całych sił. Krzyknęła z rozkoszy, tak oszalamiająco silne było to doznanie, a to przyniosło jej tak niewiarygodną ulgę, że znów z jej gardła dobył się krzyk, tym razem jednak dźwięk utonął w ustach Grady'ego, które znów chciwie wessały się w jej wargi. Wyprężona, oplótła nagimi ramionami jego szyję, sta-



rając się wtulić w niego tak, by nie dzieliły ich już nawet cząsteczki powietrza, by mogła go czuć każdą komórką swego ciała. On był jej domem, był jej rajem. Znow była w raju.

Jej raj był zaś całkowicie nieświadomy jej myśli, jako że bez reszty przejęła nad nim władzę żądza. Teke poczuła więc nagle pod plecami chłodne prześcieradło, a na sobie jego żar, jego owłosioną klatkę piersiową i twarde uda na swej gładkiej skórze i jego olbrzymią męskość między swoimi nogami. Jęknęła, rozpaczliwie pragnąc tak się z nim zespolić, by na zawsze pozostali jednym ciałem. Boże, jakże ona kocha Grady'ego! Uwielbia go! Świata poza nim nie widzi! I od teraz tak już będzie na zawsze. To się nigdy nie zmieni.

Mieć Grady'ego w sobie to było coś, z czym żadne inne życiowe doświadczenie nawet nie mogło się równać. To on rozrywał ją na strzępy i w cudowny sposób uzdrawiał, palił żarem i pieścił łagodny jak tchnienie, prowadząc do takiego orgazmu, za który wiele kobiet oddałoby życie. Sama Teke też chętnie oddałaby życie, byle tylko on na zawsze pozostał w jej ciele.

Oczywiście, byłoby to wbrew prawom natury. Kiedy już wspólnie wykrzyczeli swoje szczytowanie i kiedy umilkły zdające się nie mieć końca spazmy, Grady opadł na nią, a kiedy jego oddech już się powoli uspokajał, zsunął się na prześcieradło.

Drżącą jeszcze dłonią odgarnął kosmyki włosów przyklejone do jej wilgotnej twarzy i wyszeptał: - Moja Teke.

Uśmiechnęła się do niego i schwyciwszy jego dłoń, przycisnęła ją sobie do ust.

Ciągle szeptem, mówił dalej: - Mam cię we krwi. Tak, weszłaś mi w krew już wtedy, kiedy miałaś dziesięć lat i stałaś z obandażowaną nogą za tamtą szybą. Taka byłaś wtedy przeżona. Musiałem się tobą zaopiekować. Teraz myślę, że urodziłem się tylko po to, żeby się tobą opiekować.

Teke poczuła, jak rozlewa się po jej wnętrzu miłe ciepło. Po tylu latach, kiedy to tylko ona się opiekowała innymi, wreszcie ktoś chce się nią zaopiekować. Odwróciła ku niemu twarz i palcem powiodła wzdłuż linii jego nosa, ust, obojczyków. Nie mogła się nacieszyć jego ciałem. Nie widziała go od tylu lat. A ciągle było silne i sprężyste, i tak męskie, że mogłoby zawstydić niejednego mężczyznę.

- Chcę ciebie, Teke.

Odpowiedziała mu figlarnym uśmiechem. - Przecież mnie masz.

- Jeszcze. Jeszcze cię chcę. Ciągle się tego boisz?

- Jakże mogłabym się tego bać, kiedy to jest takie cudowne?

- Ciągle jesteś na mnie zła, że kazałem ci wyjechać z Gullen?

- To dawne czasy. Liczy się to, co jest teraz.

- A skąd wiesz, że cię znowu nie opuszczę?

- Bo mnie nie opuściłeś, kiedy Michael był chory. I nie opuściłeś mnie, kiedy John deptał ci po piętach. A zresztą - dorzuciła z uśmiechem zadowolonej z siebie i pewnej swojej władzy kobiety - tym razem nie pozwoliłabym ci tak po prostu odejść. Teraz walczyłabym o ciebie.

W kącikach jego ust igrał uśmiech. - Naprawdę? Nie żartuj.

- Załóż się.

- Wyjdiesz za mnie?

To było szczęście w pełnym rozkwicie. - Jeszcze się pytasz? A gdzie będziemy mieszkali?

- Tutaj, w Constance. Mam tutaj mnóstwo roboty.

- Uzgodniliśmy z Johnem, że ja zatrzymam dom. Zamieszkasz tutaj?

- Może.

- W moim domu? - drażniła się z nim.

- Urządę go po swojemu - odpowiedział z taką nonszalancją, jakby to zrobił John, tyle że teraz Teke ta nonszalancja wydawała się bardzo miła.

- A co z dziećmi? - spytała.

- Chcę twoje dzieci.

- A ja chcę twoje.

- Shelley?

- I nasze dzieci.

Na chwilę dech mu zaparło, a potem spytał miękko:

- A my możemy mieć dzieci?

- Boże! Mam nadzieję, że możemy!

- Naprawdę będziesz tego chciała?

- To jest to, do czego zostałam stworzona. - Przesunęła dłoń w dół jego ciała, obrysowała linię biodra i wsunęła się między jego nogi. Znow jej chciał. Przecież nie powinna mieć kłopotów z zajściem w ciążę. Było w niej to miejsce, które ciągle otwarte czekało na Grady'ego. I na jego dziecko. Na jej dziecko. Na ich dziecko. Boże, jakież to życie jest cudowne! Była w siódmym niebie.

## Rozdział 20

Nominacja Sama została zatwierdzona na początku marca. Natychmiast zadzwonił do Annie i przekazał jej wiadomość, po czym dziarskim krokiem ruszył przez korytarz, zupełnie tak samo jak przed kilkoma miesiącami, by podzielić się radosną nowiną ze swym najlepszym przyjacielem. Bo właśnie za takiego ciągle uważał Johna. Dwudziestodwuletniej przyjaźni nie mogło zmieść z powierzchni Ziemi kilka minut bezmyślności. Teraz, kiedy John wyjeżdża na Florydę, zaś Sam rozpoczyna pracę w sądzie, już nie będą ze sobą tak blisko jak kiedyś. Niemniej jednak w odczuciu Sama John był nierozzerwalnie związany ze sporą częścią jego życia. Chciał myśleć, że i John w ten sposób spogląda na niego.

John, gdy już usłyszał nowinę, uściśnął rękę Sama. - Zdobyłeś, co chciałeś - rzekł. - Gratulacje.

- Nigdy bym tego nie osiągnął bez ciebie.

- Może i nie - odparł John z nonszalanckim uśmiechem. - Mam tylko nadzieję, że nie zanudzisz się teraz na śmierć.

Sam też miał taką nadzieję. Całe życie pracował w sądzie, jednak jego praca nigdy nie polegała na siedzeniu i obserwowaniu pracy innych. A rola sędziego była znacznie bardziej bierna od tego wszystkiego, do czego przywykł przez tyle lat. Teraz, kiedy już miał nominację w kieszeni, żywił tylko nadzieję, że podjął właściwą decyzję. - No cóż, mam zapewnioną posadę do końca życia, ale nie jest powiedziane, że nie mogę z niej sam zrezygnować. Jeśli tylko na rozprawach zacznę ziewać, podam się do dymisji.

- John Stewart nie będzie zachwycony twoją nominacją - powiedział John.

Jego uśmiech stał się szerszy i było w nim coś przewrotnego, zupełnie tak jak dwadzieścia kilka lat temu, kiedy Sam przekonał go, żeby się urwać na tydzień z wykładów i poużywać życia w Nowym Orleanie.

Sam odwzajemnił mu się równie szerokim uśmiechem. - Nie spodziewałem się po nim zadowolenia. Dzięki, że trzymałeś go w ryzach. - Nie wiedział, jak John tego dokonał i nie chciał zadawać pytań, jednak był przekonany, że to Johnowi zawdzięcza fakt, iż nie został obrzucony błotem przed przesłuchaniem. John Stewart zrobiłby przecież wszystko, co było w jego mocy, by uniemożliwić Samowi objęcie tego stanowiska, a że możliwości miał duże, mógł mu więc pokrzyżować plany. Widocznie jednak to John w jakiś sposób pokrzyżował plany swemu ojcu. Sam był nie tylko wdzięczny staremu przyjacielowi, ale też czuł się z niego dumny. - Gdybyś jeszcze mógł coś zrobić z Michaeliem...

- Och, Michael... Michael ma swój rozum.

- Czy on coś o mnie mówi? John potrząsnął przecząco głową.

Sam westchnął. - Może moja nominacja na stanowisko sędziowskie zrobi na nim jakieś wrażenie i zdecyduje się zakopać topór wojenny? Naprawdę za nim tęsknię. Z przyjemnością miałbym go na oku, kiedy ty się przeprowadzisz. Kiedy wyjeżdżasz?

- Piętnastego kwietnia. Kupiłem wielki dom z dużym patio i basenem kąpielowym. Dzieciom się spodoba.

- Na pewno - potwierdził Sam. Zoe już mu opowiadała o basenie. Jana chciała zabrać ją ze sobą w odwiedziny, kiedy tylko John się ostatecznie przeprowadzi do Palm Beach. Biedna Zoe była przekonana, że zaproszenie wzięło się z prostego faktu, iż Jana musi się przed kimś pochwalić, a nie śmie ściągać Johnowi na kark innych swoich koleżanek, zaś Sam tej możliwości nie mógł wykluczyć. Podejrzewał jednak, że to zaproszenie jest jednak czymś więcej. Zoe i Jana przyjaźniły się przecież od kołyski. - Moje zaprzysiężenie odbędzie się za dwa tygodnie - powiedział do Johna. - Przyjdziesz?

- Jeśli tylko będę mógł. Zawiadom mnie, kiedy już będziesz znał dokładny termin.

Sam obiecał i opuścił Johna, żeby świętować swoją nominację z Annie. Następnego wieczoru zaś wybrał się przez las do domu Maxwellów, pod pachą dźwigając przewiązaną wstążką paczkę. Michaela zastał w bawialni nad lekcjami. - Nad czym siedzisz? - spytał, zaglądając mu przez ramię.

Niegdyś Michael natychmiast odsunąłby zeszyt na bok i zerwał się na równe nogi w chwili, kiedy tylko Sam wszedł do pokoju. Teraz jedynie odpowiedział: - Nad matmą - ledwo podnosząc wzrok znad zeszytu.

Sam pokiwał głową, zauważając w duchu, że chłopak coraz ładniej pisze. - I jak ci idzie?

- Dobrze.

- A jak się czujesz?

- W porządku.

- Jak myślisz, kiedy wrócisz do szkoły?

- Nie wiem.

- Sama myśl o powrocie musi cię trochę przerażać.

- Trochę.

- Zawsze, kiedy czegoś nie robimy przez pewien czas, boimy się do tego powrócić. Na samą myśl skóra nam cierpnie. Jednak wystarczy raz zdobyć się na odwagę, a okazuje się, że naprawdę nie było się czego bać.

Michael obciął go cierpkim spojrzeniem.

- Przepraszam. - Sam nie znosił prawić kazań. - Ale musisz wrócić do szkoły, jeśli będziesz chciał w tym sezonie zacząć grać w baseball.

Michael był przerażony samym pomysłem. - Nie umiem grać w piłkę.

- Ależ oczywiście, że umiesz. Masz dobre oko i instynkt, a to najważniejsze.

- Nie umiem biegać.

- Z tego, co słyszałem, to całkiem nieźle ci to wychodzi, kiedy chcesz. Ale miotacz nie musi biegać. Inny gracz może cię zastąpić i pobiec do bazy.

Michael znów się pochylił nad zeszytem. - A kto powiedział, że będę umiał uderzać piłkę?

Sam uściśnął chłopcu ramię. - Na początku może ci nie iść najlepiej, ale wystarczy trochę popracować. Te miesiące ćwiczeń na pewno nie poszły na marne. Mogę pojechać z tobą potrenować, kiedy tylko zechcesz. - Wstrzymał oddech.

- Nie, dziękuję.

- Nie przekonasz się, czy umiesz grać, dopóki nie spróbujesz.

- Jeszcze z tym poczekam.

Sam westchnął zawiedziony. Nie umiał nawiązać kontaktu z chłopcem, i to nie dlatego, że nie próbował. Ze stukiem postawił przed Michaelem na biurku przewiązaną wstążką paczkę, którą tu przytaszczył.

Michael oparł się na krześle. - Co to jest?

- Rozpakuj i zobacz.

Po chwili Michael rozwiązał wstążkę i zaczął rozrywać brązowy papier, aż wreszcie otworzył pudło. Twarz mu pojaśniała, aż Sam pomyślał, że dla tej chwili warto było się starać. W pudle był stół montażowy, który Michael tak bardzo chciał mieć.

- Miło z twojej strony - powiedział chłopiec nie podnosząc wzroku. - To żeby mnie przekupić?

- Tak - odpowiedział Sam bez owijania w bawełnę. - Chcę, żebyś nakręcił na wideo moje zaprzysiężenie i przyjęcie z tej okazji. Co ty na to?

Michael pieczołowicie pogładził stojące przed nim pudło. - O kulach nie dam sobie rady z kamerą.

- Więc kule zostaw w domu.

- Muszę je mieć pod ręką.

- Naprawdę? - spytał Sam. Wiedział, że Michael daje sobie radę bez kul. I ton jego głosu tego nie ukrywał. - Mogę je za tobą nieść, jeśli tego chcesz. Moi rodzice będą chcieli wziąć ze sobą do domu taśmę. Tak samo ojciec Annie. I co ty na to? Przyjdiesz?

- Raczej nie.

- Naprawdę bardzo mi na tym zależy. - Objął Michaela ramieniem i mocno go uściśnął. - Nie wygłupiaj się, Michael. Nie możesz być na mnie wściekły do końca życia. Tęsknię za tobą i brakuje mi tych chwil, które razem spędzaliśmy. Twój tata wyjeżdża na Florydę, Max się żeni i z kim ja będę grał w piłkę, jeśli nie z tobą?

- Znajdziesz sobie kogoś innego.

- Ale ja nie chcę kogoś innego, tylko ciebie.

Kiedy Michael nie odpowiadał, Sam nabrał powietrza w płuca i wyprostował się. - W porządku. Dam ci jeszcze trochę czasu, ale tylko do mojego zaprzysiężenia. Chcę, żebyś tam był, Michael. To dla mnie wielki dzień. Chcę, żeby tego dnia byli ze mną wszyscy, których kocham.

- Moja mama tam pewnie będzie.

Sam zignorował ten przytyk. - Owszem, twoja mama i twoje siostry, i moje dzieci, i moja żona, moi rodzice, dziadek Pete i wszyscy nasi przyjaciele. Ale ja chcę, żebyś ty tam był, Michael. Spróbujesz? - Uściśnął go jeszcze raz, poklepał po ramieniu i zostawił z własnymi myślami.

\* \* \*

Teke robiła co mogła, by przekonać Michaela, że powinien być obecny na uroczystości zaprzysiężenia Sama. W jej odczuciu byłoby to coś w rodzaju kamienia milowego, początku nowego etapu w życiu ich wszystkich. Dobrze wiedziała, że za dwadzieścia lat Michael nie będzie pamiętał, czy wrócił do szkoły w marcu, czy w kwietniu, za to na pewno zapamięta, czy był na uroczystości zaprzysiężenia Sama, czy też nie. Nie chciała, żeby w przyszłości żałował, że wtedy nie było go razem ze wszystkimi przy Samie.

Jednak do Michaela żadne argumenty nie przemawiały. Próbowwała już wszystkiego. Poprosiła nawet Grady'ego o pomoc, niemal pewna, że jego usłucha. Michael miał do Grady'ego

taki stosunek jak niegdyś do Sama. Wreszcie zrozumiała, że właśnie w tym tkwi problem. Od kiedy miał Grady'ego, Sam nie był mu już potrzebny.

Ostatecznie zwróciła się o pomoc do Johna. - Ciebie posłucha. Porozmawiaj z nim. Jest taki uparty.

- Nie jestem szczególnie mocny w rozmowach z dziećmi.

- Ale tylko ty przeżyłeś coś podobnego. Byłeś tak samo zraniony jak on.

Wzruszył ramionami. - Mam to już za sobą.

Teke wiedziała, że duma nie pozwoli Johnowi przyznać, jaki się czuł zraniony, ale owszem, ma to już za sobą, uporał się z tym i stanął mocno na własnych nogach. Jednak potrzebowała jego pomocy. Uderzyło ją, że była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy liczyła na jego pomoc w problemach emocjonalnych. - Sam zdradził cię i zawiódł tak samo jak Michaela - powiedziała. - Dlatego też wszystko, co ty mu powiesz, będzie miało większą wagę.

Johnowi zajęło chwilę zastanowienie się nad jej prośbą. Był autentycznie zamyślony, co mu się nigdy w domu nie zdarzało. Kiedy już Teke mu nie matkowała, Sam go nie uspokajał, a Annie nie była dla niego buforem w każdej sytuacji, wydawało się, że John przejął całkowitą odpowiedzialność za swoje zachowanie. To dobrze, pomyślała. Ta jej część, która chciała pozostać w przyjaźni z Johnem, odczuła głębokie zadowolenie.

\* \* \*

John zgodził się porozmawiać z Michaeliem nie tyle dlatego, żeby go nakłonić do udziału w uroczystości zaprzysiężenia, ile po to, by udowodnić samemu sobie, że może się wznieść ponad to, co reprezentował sobą jego ojciec. John Stewart nie wybaczał błędów. Jeśli ktoś już raz mu się naraził, zostawał skreślony na zawsze. Tak właśnie się zachował wobec Sama. Zaś John starał się nie przeciągać swego gniewu w nieskończoność. Ostatecznie, z wyjątkiem tego jednego razu, Sam był jego wiernym przyjacielem. Miał tyle zalet, że trudno je było zliczyć, a z pewnością jedną z nich było jego oddanie dla Michaela.

Znalazł chłopca w sypialni na piętrze. Teraz mógł już wchodzić po schodach, więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby przenieść jego sypialnię z parteru do dawnego pokoju na piętrze. Było to nawet wskazane, gdyż wspomagało terapię. W pokoju panował nieopisany bałagan. Porządku Teke, pomyślał kąśliwie John, podnosząc z podłogi wilgotny ręcznik rzucony pod drzwi. Stał pomiędzy odbiornikiem telewizyjnym a swoim synem.

- Musimy porozmawiać.

- Teraz? - spytał przestraszony Michael. - To mój ulubiony program.

John zerknął na ekran i zobaczył dwóch młodych chłopców z baczkami takimi, jakich się nie nosiło od czasów jego wczesnej młodości. - Teraz. Nie mogę długo zostać. Wystarczy, że trochę ściszysz - przyzwolił. Kiedy głosy nieco przycichły, wsunął ręce do kieszeni i rzekł:

- Mama mówi, że nie chcesz iść na zaprzysiężenie Sama. Myślę, że powinieneś pójść.

- Dlaczego?

- Bo Sam był przyjacielem rodziny długo wcześniej, zanim ty się urodziłeś. Wychowywał cię razem z nami. Nauczył cię grać w piłkę. On cię kocha.

- Przez niego rozwodziecie się z mamą.

- Nie. Rozstalibyśmy się i bez niego. - To niekoniecznie była prawda. Gdyby nie napotoczyła się żadna skała, ta łódź mogłaby jeszcze płynąć przed siebie. On i Teke w asyście Annie i Sama mogliby trwać aż do końca swoich dni. Chyba że coś innego rozbiłoby tę łódź. Na przykład któryś z jego romansów. A tak, zamiast niego została przyłapana Teke. W sumie miał wiele szczęścia.

- Dlaczego mielibyście się rozstać? - spytał Michael.

- Nie dawaliśmy sobie nawzajem szczęścia.

- Wydaje mi się, że wyglądałeś na zupełnie szczęśliwego.

- Nie byłeś świadomy tego, co wtedy czułem.

- A co wtedy czuleś?

John sam zadał sobie to pytanie. Ale cóż mógł odpowiedzieć? Twoja matka już mnie nie podniecała?

Lubiłem być z innymi kobietami? Moje życie było skonstruowane tak jak życie mojego ojca i to mnie przygnębiało? Każda z tych odpowiedzi stawiałaby go w niekorzystnym świetle, więc rzekł: - Czuliśmy, że w naszym życiu czegoś brakuje.

- To dlatego mama była z Samem?

- Nie. Myślę, że do tego doszło, bo Sam przypadkiem przyszedł do naszego domu w chwili, kiedy mama czuła się bardzo nieszczęśliwa.

- Mogła powiedzieć „nie”. On mógł powiedzieć „nie”.

- On był wtedy pochłonięty innymi myślami. W tym tkwi klucz, Michael. Musisz działać racjonalnie. Musisz sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego postępujesz tak, a nie inaczej. - W gruncie rzeczy to było podejście typowe dla Annie, ale John starał się jak mógł naśladować ją



w tej rozmowie. - Musisz myślami wybiec w przyszłość i ocenić, jakie twoje postępowanie będzie miało konsekwencje. A jeśli chodzi o Sama, tego nie robisz.

- Dziadek wykopał go z firmy.

- I dzięki temu Sam uzyskuje bardzo zaszczytne stanowisko. Nie staraj się naśladować swojego dziadka. On pozwolił złości zapanować nad rozumem. Zachowuje się, jakby Sam był jego największym wrogiem. I tylko on sam na tym ucierpi. Ty też chcesz na tym ucierpieć? Kiedy przestaniesz się w ten sposób karać?

- Nie karzę się.

- A ja myślę, że to właśnie tak wygląda - powiedział John. - Mógłbyś skorzystać z pomocy Sama.

- Ty też mógłbyś, ale wyjeżdżasz na Florydę.

- Wyjeżdżam między innymi dlatego, że przez tak długi czas korzystałem z pomocy Sama i wreszcie nadeszła pora, żebym stanął na własnych nogach. Opierałem się ciągle na nim jak na kulach. Muszę zacząć chodzić bez tych kul.

- No cóż, ja też.

John potrząsnął głową. - Ty masz dopiero trzynaście lat. Ciągłe się możesz od Sama bardzo wiele nauczyć.

Miałeś szczęście, że trafiłeś na takiego przyjaciela jak Sam. Ja zresztą też.

- Więc dlaczego wyjeżdżasz? - rozplakał się Michael.

John usiadł na łóżku, ramię przy ramieniu z Michaeliem. - Mam szansę zacząć robić coś nowego. Ty i twoje siostry jesteście już na tyle dorośli, że zawsze możecie przylecieć na Florydę i spędzić ze mną trochę czasu. Sam i Annie też mnie będą odwiedzać. Sam popełnił błąd, to prawda, ale jest dobrym człowiekiem. A ja nie jestem takim głupcem, żeby wyrzucać go ze swojego życia.

Michael bawił się pilotem. - To znaczy, że ja jestem głupcem?

- Myślę, że jesteś krótkowzroczny.

Po chwili ciszy rozległo się niepewne: - Myślisz, że będę żałował, jeśli nie pójde na to zaprzysiężenie?

- Tak. Właśnie tak myślę.

- Ale ja ciągle śmiesznie chodzę.

- Rany boskie, Michael! Co ty wygadujesz? Nie widziałeś jeszcze, jak ludzie śmiesznie chodzą. W tym, jak ty chodzisz, nie ma nic śmiesznego. Czasami trzeba się z różnymi rzeczami

pogodzić, Michael. To doświadczenie na pewno cię zmieniło pod wieloma względami, ale musisz z niego wyciągnąć wnioski i przejść nad tym do porządku. Ja właśnie coś takiego próbuję zrobić.

- Naprawdę? John skinął głową.

- I wybierasz się na zaprzysiężenie?

- Nie mógłbym opuścić takiej uroczystości. Sam będzie wspaniałym sędzią. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że i ja się przyczyniłem do tego, że osiągnął takie zaszczytne stanowisko. - Uśmiechnął się sprytnie. - No i co? Pójdiesz czy nie?

- Nie wiem.

- Lepiej się szybko zdecyduj - poradził mu John, podnosząc się z łóżka i kierując ku drzwiom. - Musisz mieć odprasowaną koszulę i blezer. I trzeba ci kupić nowe świąteczne spodnie, bo ze starych na pewno już wyrosłeś. Idę to powiedzieć twojej mamie. Musi zadbać o twój strój, żebyś na uroczystości wyglądał jak mój syn. Jak mój syn, Michael.

Annie wzięła na swoje barki zorganizowanie przyjęcia, na które zarezerwowała salę restauracyjną w hotelu Four Seasons, niemal naprzeciwko budynku władz stanowych, gdzie w gabinecie gubernatora miało się odbyć zaprzysiężenie. Annie chciała, żeby przyjęcie było wystawne, a to oznaczało stoły pełne smacznego i elegancko podanego jedzenia. Chciała też, by w trakcie przyjęcia przygrywał pianista. I żeby salę udekorowano świeżymi kwiatami. I zaproszenia dla gości, trochę nietypowe, które miały być zarówno odpowiednio szacowne, jak i też w pewien sposób niepowtarzalne. Właśnie tak to wszystko zorganizowałyby Teke, gdyby Annie rzuciła to na jej głowę. Jednak Annie właśnie miała okazję udowodnić sobie i wszystkim dookoła, że jej umiejętności nie ograniczają się do sali wykładowej. Przyjęcie po uroczystości zaprzysiężenia Sama miało być jej debiutem, mogła zabłysnąć jako żona Sama. Kupiła sobie olśniewającą kreację. Nieco zmodyfikowała makijaż. Chciała, żeby wszystko udało się na piątkę. Zaproszenia zostały wysłane. Przesłano potwierdzenia udziału w uroczystości. Ponad sto pięćdziesiąt osób - przyjaciele i rodzina.

Wśród nich było kilku kolegów Annie z uczelni, między innymi Jason Faust i Charles Honnemann. Charlesa zaprosiła jedynie z czystej uprzejmości. Od czasu owego zagadkowego przedawkowania Jasona unikał jej jak mógł. Była nawet zdziwiona, że przyjął zaproszenie.

No cóż, ludzie garną się do zwycięzcy, a Sam jest zwycięzcą. Była z niego dumna. Rozpierało ją szczęście, że to jej mężczyzna.

Do ostatniej chwili dla wszystkich pozostawało wielką zagadką, czy w uroczystości weźmie udział Michael. Sam pragnął tego z całego serca. Obecność Michaela byłaby symbolicznym zakończeniem okresu ciężkiej próby. Jednak Michael się do tego nie kwapił i nikt nie miał na niego takiego wpływu, by złamać jego żelazny upór.

Termin zaprzysiężenia ustalono na piątą po południu. Tego dnia Sam ulokował swoich rodziców w hotelu Four Seasons i wrócił do Constance, żeby się przebrać. Annie czekała na niego, gdy wychodził spod prysznic. Wspięła się na palce i oplótła ramiona wokół jego szyi. Pachniał mydłem i Samem, jej ulubioną kombinacją zapachową.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Trochę zdenerwowany. Dlaczego zaprosiliśmy tak dużo ludzi?

- Zaprosiliśmy ich, bo są naszymi przyjaciółmi i chcemy, żeby się cieszyli twoim sukcesem razem z nami. I dlatego, że jestem z ciebie bardzo dumna. - Najpierw go pocałowała, a potem chwyciła ustami jego wąsy.

- Chcę, żeby cały świat wiedział, co osiągnęłaś. Chcę, żeby cały świat wiedział, że jesteś moim mężczyzną.

Schwycił wargami jej usta i na chwilę uciszył ją pocałunkiem, po czym ujął jej twarz w dłonie i wpatrywał się w nią uważnie. - Boże, jaka ty jesteś piękna - wyszeptał.

- Poczekaj aż się wykąpię i pomaluję.

- Lubię cię taką jak teraz. Przypominasz mi tamtą zagubioną dziewczynkę, w której się zakochałem od pierwszego wejrzenia. W ogóle się od tamtej pory nie zmieniłaś, słoneczko.

- Owszem, zmieniłam się. Mam cellulitis.

- Gdzie?

Poklepała się po pośladkach. Nachylił się i obsypał pocałunkami tę część jej ciała. - Gładka jak u niemowlaka - powiedział, znów biorąc ją w ramiona. - Dzięki, że zaplanowałaś takie przyjęcie. Będzie wspaniałe.

- Mam nadzieję. - Zauważyła, jak lekko zmarszczył brwi. Nie mógł przestać myśleć o Michaelu. - Myślisz, że przyjdzie?

- Nie wiem.

- Jeśli nie przyjdzie, Sam, to tylko dlatego, że jest jeszcze młody. Trudno wymagać pełnej dojrzałości od trzynastoletniego chłopca. Ja w jego wieku z pewnością nie byłam dojrzała.

- Ale on doskonale wie, ile to dla mnie znaczy. Może w tym tkwi problem. Może nie powinienem był mu tego wszystkiego mówić? Dałem mu do ręki narzędzie, którym może mnie ranić.

Annie cierpiała za Sama. - Czasami mam ochotę pobiec do niego i mocno nim potrząsnąć. Tyle że on już teraz jest większy ode mnie.

- No cóż - podsumował Sam - obojętnie, co o tym sądzimy, do niczego go nie możemy zmusić. Jeśli przyjdzie, to tylko z własnej nieprzymuszonej woli.

Annie, biorąc prysznic, modliła się, żeby tak się stało. Zrobiła, co było w jej mocy, żeby przekonać Michaela. Więcej nie była w stanie zdziałać.

Kiedy zaś wyszła spod prysznica, pochłonęły ją inne sprawy. Pomogła się Zoe ubrać w sukienkę, którą wcześniej zakupiły specjalnie na tę okazję. Annie chciała, żeby Zoe na tej uroczystości wyglądała tak pięknie, jak ona sama nigdy w jej wieku nie mogła wyglądać. Kiedy Annie ukończyła swoją pracę, włosy Zoe układały się w połyskujące jedwabiście złote fale, policzki były delikatnie zarumienione, a w uszach połyskiwały małe diamentowe kolczyki. Kiedy Sam zobaczył swoją córkę, zagwizdał z podziwem, co wywołało mocniejszy rumieniec na jej twarzy.

Sam zagwizdał po raz drugi, kiedy zobaczył Annie tylko w koronkowej halce, a po raz trzeci, gdy zasunął zamek błyskawiczny na plecach jej sukni, i jeszcze raz, kiedy na dole zobaczył ją gotową do wyjścia.

Po kilku sekundach wpadł zdyszany Max. Właśnie był u Maxwellów i próbował dodać otuchy Leigh, która przymierzała jedną sukienkę po drugiej, próbując znaleźć coś, co będzie na nią pasowało. Leigh była szczupła i nie było jeszcze po niej widać ciąży, niemniej jednak robiła się już zbyt szeroka w talii, by nosić swoje dawne sukienki. Annie doskonale pamiętała ten moment ciąży i wiedziała, że to się szybko zmieni.

- Widziałeś Michaela?

- Tak, jest w domu.

- Wybiera się?

- Nie wiem. Był jeszcze nie ubrany.

Annie położyła Samowi dłoń na ramieniu, chcąc go podtrzymać na duchu. - On walczy ze sobą. Daj mu trochę czasu.

- Tyle że czasu zostało już niewiele - powiedział Sam ze smutkiem i skierował się do samochodu. Annie odczuła wyraźną ulgę, widząc, że w drodze do Bostonu dał się wciągnąć w paplaninę dzieci i po jego twarzy nie było już widać smutku.

- Jak moje koleżanki powinny o tobie mówić?

- Tata Zoe.

- Mówię serio. Jego ekscelencja sędzia Sądu Najwyższego stanu Massachusetts Samuel F. Pope?

- Wystarczy sędzia Pope.

- A czy to nie odstraszy moich znajomych?

Odpowiedział jej Max.

- Co ty. Moi koledzy już się cieszą, że nie będą musieli płacić mandatów za przekroczenie szybkości.

- Niech lepiej o tym zapomną - obruszył się Sam.

- To samo ja im mówię - zapewnił go Max.

- A jak się mówi do mamy?

- Doktor Pope.

- Czyli sędzia i doktor Pope? A ile masz tog? - spytała Zoe.

- Trzy. Kiedy jedna pójdzie do pralni, drugą będę miał na sobie, a rezerwowa będzie wisiała w szafie.

- A Joy nie jest przykro, że odchodzi z tobą z firmy?

- Skądże. Będzie teraz krócej pracowała i dostanie wyższą pensję.

- A czy na wakacje sąd ma przerwę w pracy?

- Nie.

- To kiedy będziesz miał urlop?

I tak dalej, i tak dalej. Annie, uśmiechnięta, tak bardzo chciałyby utrwalić tę chwilę na zawsze. Te trzy osoby, tak bliskie jej sercu, w tak doskonałej harmonii. To ją napełniało radością i nadzieją.

Podniecenie narastało w miarę jak zbliżali się do Bostonu. Zanim Annie zdołała się przygotować wewnętrznie na tę chwilę, już została wprowadzona do budynku władz stanowych, a tam do narożnego gabinetu na drugim piętrze, gdzie urzędował gubernator. Fotograf już czekał. Robiono oficjalne zdjęcia. Pokój był pełen ludzi, jednak wśród nich nie było Michaela. Szybko została przedstawiona gubernatorowi i ani się obejrzała jak nastąpiło sześćdziesiąt sekund włą-

ściwego zaprzysiężenia, a potem uściski, gratulacje i jeszcze więcej zdjęć. Były to dla Annie chwile najwyższego wzruszenia, bowiem nigdy w życiu nie przypuszczała, że Sam osiągnie tak zaszczytne stanowisko.

Kiedy już zakończył przyjmowanie gratulacji, wszyscy wyruszyli do hotelu Four Seasons po drugiej stronie ulicy. Sam szedł otoczony innymi sędziami, którzy nie przerywali rozmowy w trakcie spaceru. Annie z przerażeniem spojrzała na cały tłum maszerujący przed nimi. Sam pochwycił jej spojrzenie. Wzruszyła ramionami. Michaela nie było. Nie było też Johna. Serce jej się krajało na myśl, że Sam tak bardzo chciał, żeby oni dwaj tutaj byli.

Na szczęście, kiedy zjawili się na przyjęciu, sala restauracyjna była po brzegi wypełniona gośćmi i panował świąteczny nastrój. Stoły nakryto jasnosrebrzystymi obrusami, z którymi stylowo kontrastowały kwiaty w odcieniu głębokiego burgunda. Z rogu sali, gdzie stał wielki fortepian, płynęła pogodna melodia. Roznoszono wino. Wszyscy się uśmiechali.

Teke stała z rodzicami Sama, którzy znali tak samo niewiele osób jak i Grady, co chyba poprawiało temu ostatniemu nastrój. Annie podejrzewała też, że Grady najchętniej uciekłyby stąd i zaszył się gdzieś sam na sam z Teke. Nie spuszczał z niej oczu. Ona zresztą też z trudem od niego odrywała wzrok. Grady, w nowym garniturze, mógłby swym wyglądem zapędzić w kozi róg większość tutaj obecnych mężczyzn. Annie cieszyła się szczęściem Teke.

Przechadzali się z Samem wśród gości, podając dłonie znajomym i ściskając przyjaciół, świętując sukces, choć oboje nie mogli się wyzbyć lekkiego smutku. Annie nie przestawała spoglądać w stronę, gdzie zgromadziły się dzieci, w nadziei, że wreszcie dojrzy tam Michaela.

Nagle w drzwiach pojawił się John. Tylko John. Spojrzała na Sama. Jego wzrok wyrażał klęskę.

Miała już do niego podejść, kiedy twarz mu nagle pojaśniała. Odwróciła się do Johna i zobaczyła, jak przy jego ramieniu staje Michael, ubrany w nowy blezer i marynarskie spodnie, i niesamowicie wyrośnięty.

Annie poczuła jak coś ją ściska w gardle, kiedy Sam przeprosił nagle swoje towarzystwo i ruszył przez salę. Zatrzymał się kilka metrów przed Michaeliem i czekał. Annie stanęła koło Sama, a serce podeszło jej do gardła. Po Michaelu też było widać emocje. Patrząc na Sama, mrugał i z trudem przełknął ślinę. Przez chwilę Annie widziała w nim tego małego przerażonego chłopca, który właśnie uczył się jeździć na rowerze, a Sam biegł przy nim i krzychał: „Dasz sobie radę, Mike! Tylko mocno pedału i trzymaj kierownicę. O, właśnie tak! Dobry chłopak! No widzisz, już umiesz!”

Teraz, z kamerą zawieszoną na ramieniu i nagłym błyskiem determinacji w oczach, Michael ruszył naprzód.

A Sam tylko na to czekał. Złapał chłopca w ramiona i z całej siły przycisnął do serca. - Już prawie straciłem nadzieję.

Annie podeszła do nich w chwili, kiedy Michael mówił: - Kiedy już się zdecydowałem pójść, nie mogliśmy znaleźć paska, który by pasował do kamery. Mama już wyszła, a tata nie ma klucza do waszego domu, więc musieliśmy wstąpić do sklepu i spóźniliśmy się.

Sam był uśmiechnięty od ucha do ucha. - Lepiej późno niż wcale. No, teraz możemy naprawdę świętować. - Oczy mu nagle zabłyśły. Wysoko uniósł głowę.

Michael pokrzyżował mu plany, mówiąc surowo głosem już bardziej męskim niż chłopięcym: - Nie ośmielisz się tego zrobić, Sam.

- Czego? - spytał niewinnie Sam.

- Obwieścić wszem i wobec, że tutaj jestem i wznieść toast za mój powrót do zdrowia. - Annie przyznała mu rację: rzeczywiście, to byłoby w stylu Sama. - Nie rób tego - ostrzegł Michael - bo się pod ziemię zapadnę ze wstydu.

Sam zachichotał. - W porządku. Nie zrobię tego. Myślę, że mimo wszystko to jednak mój dzień, ale tobie też sporo zawdzięczam, Mike. - Sam po raz ostatni mocno uściskał chłopca, co przecież też mogło go wprowadzić w zakłopotanie, ale zostało nad wyraz serdecznie przyjęte, po czym podszedł do Annie i Johna i obejmując ich, wyszczerzył zęby w głupim uśmiechu. - W porządku. Zaczynaj kręcić.

Annie nie była pewna, czy istotnie sędziemu przystoi takie zachowanie, i to na przyjęciu z okazji własnego zaprzysiężenia, ale w gruncie rzeczy niewiele ją to obchodziło. Najważniejsze, że mogła się wygrzewać w ciepłe Sama, wtulona w jego ramię. Michael cofnął się o krok i przyłożył kamerę do oka. - Dwunasty marca 1993 roku. Hotel Four Seasons w Bostonie, stan Massachusetts. Przyjęcie z okazji zaprzysiężenia Sama Pope'a jako sędziego Sądu Najwyższego stanu Massachusetts. Przy Samie stoją: jego najlepszy przyjaciel John David Maxwell, z lewej strony, i jego żona Annie Pope, z prawej strony. Reszta zgubiła się w tłumie, ale są też tutaj Zoe i Max z Leigh, i Jana, Teke i Grady, dziadek Pete i państwo Pope z Oregonu, i połowa Constance. Patrzcie, co ten facet w białych rękawiczkach niesie na tacy! Czyżby to były truśkawkę polewane czekoladą? Niesamowite...

# Epilog

Michael nie przerywał filmowania. Zappełnił już dwie kasety, teraz założył trzecią. Na obydwu kasetach nie znalazło się nic poza nerwowym wyczekiwaniem w poczekalni. Wszystko to było monotonne, jednak on był niezmordowany. Chciało mu się spać, ale nie miał zamiaru zasnąć. Miał w nosie to, że jest już czwarta nad ranem, przecież lada chwila urodzi się dziecko Leigh! Oczywiście, byłoby miło, gdyby mu pozwolono wejść z kamerą na salę porodową razem z Leigh i Maxem. No cóż, na to się nie zgodzili. To prawda, jest przeziębiony, ale przecież mógłby założyć na twarz maskę z gazy.

Jednak znalazł się w poczekalni. Nie był tu sam. Po raz nie wiadomo który oparł się o ścianę i kierował obiektyw kamery po kolei na wszystkich obecnych.

Od lewej siedzieli na kanapie, ramię przy ramieniu, Annie, Sam, Zoe i Jana. John, który tu właśnie przyjechał prosto z lotniska, opadł na fotel koło Jany. Dziadek Pete drzemał na drugim fotelu, a na małej kanapce siedzieli Teke i Grady.

- Dlaczego to tak długo trwa? - narzekała Jana śpiącym głosem.

Zoe była nie mniej śpiąca. - Myślisz, że dzieje się coś złego?

Annie uścisnęła jej dłoń. - Pierwszy poród zawsze dłużej trwa. Wszystko będzie w porządku.

Uśmiechnęli się do siebie z Samem. Sam nabrał powietrza w płuca i rozejrzał się wokół. - No i co? Chłopiec czy dziewczynka. Kto na co stawia?

Michael byłby wściekły, gdyby się okazało, że to nie chłopczyk. Chciał mieć kogoś, z kim będzie mógł zagrać w piłkę. Był już zmęczony sytuacją, kiedy mężczyźni stanowią w rodzinie mniejszość.

Reszta obstawiała płeć dziecka zmęczonymi głosami, które wytrąciły z drzemki dziadka Pete'a. Michael utrwalił na taśmie chwilę jego przebudzenia, a także chwilę, kiedy głowa znów opadła mu na ramię. Sfilmował też niespokojne spojrzenie, jakie Teke rzuciła Grady'emu, i jego uspokajający uścisk dłoni.

Michael bardzo lubił Grady'ego. No, może przez kilka minut był na niego wściekły - wtedy, kiedy usłyszał, kogo Grady zabił. Grady nie był zbyt rozmowny, ale kiedy już się odzywał, to miał coś do powiedzenia. Traktował Michaela jak dorosłego. I był dobry dla Teke. Coraz częściej, kiedy Michael-małe dziecko tęsknił za ojcem i chciał, żeby jego rodzice byli znów razem, Michael-dorosły chłopak mówił mu, że jego matka jest teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Nie żeby kiedykolwiek wyglądała na nieszczęśliwą. Po prostu teraz wygląda lepiej.



Przesunął obiektyw kamery z dziadka Pete'a na swojego ojca. Johnowi Floryda wyraźnie służyła. Michael odwiedził go już dwa razy. Dom, który ojciec tam kupił, rzeczywiście był niesamowity. John miał tam przyjaciół, lubił swoją nową firmę i Michael podejrzewał, że spotyka się też z jakąś kobietą. Wprawdzie nic nie mówił na ten temat, a Michael nie zadawał pytań, ale był tego pewien. Niezbyt chętnie widziałby jakąś nową kobietę u boku ojca. Do mamy z Grady już się przyzwyczaił - oni dwoje chyba byli dla siebie stworzeni. Ale jakaś kobieta z ojcem? To by było dziwaczne. Zresztą, każda, byle tylko nie Virginia Clinger. Na szczęście wyjazd ojca ochłodził ten związek.

- Może dziecko źle się ułożyło? - spytała Jana. - To może potrwać nie wiadomo jak długo.

- Gdyby tak było, lekarze wiedzieliby o tym wcześniej - dowodziła lękliwie Zoe, spoglądając na Annie w poszukiwaniu potwierdzenia.

Annie skinęła głową. - Jestem pewna, że dziecko jest ułożone prawidłowo.

Michael skierował kamerę na Teke, która w ogóle niczego nie była pewna. Wyglądała na przerażoną. Grady mocno trzymał ją za rękę.

Głowa dziadka Pete'a opadła na ramię. Nagle Pete wyprostował się gwałtownie, wytrącony z drzemki hałasem otwieranych podwójnych drzwi, w których ukazał się Max. Wyglądał jak z krzyża zdjęty, ale twarz miał uszczęśliwoną.

- Dziewczynka! - wykrzyknął i stał nie wiedząc, co ma robić, podczas gdy wszyscy stłoczyli się wokół niego, ściskali jego i siebie nawzajem, śmiali się, płakali i zadawali pytania.

Dziewczynka. No cóż, Michael mógł się tego spodziewać.

- Jaka jest duża?

- Do kogo jest podobna?

- Jak się czuje Leigh?

- Kiedy je zobaczymy?

Paplanina trwałaby w nieskończoność, ale Maxowi pozwolono na chwilę wynieść córeczkę z sali porodowej na korytarz, gdzie czekali podekscytowani Maxwellowie i Pope'owie.

- Spójrz na nią!

- Jest śliczna!

- Ma twoje usta, Max!

- I nos Leigh!

Michael stał z boku i filmował wszystko, co się działo. Po chwili jednak opuścił kamerę. Uderzyło go to, że czegoś z tej atmosfery nie uda mu się utrwalić na taśmie. Oto po tylu miesiącach Maxwellowie i Pope'owie znowu byli razem. Znowu byli szczęśliwi. Było ich o dwoje więcej, jeśli liczyć Grady'ego, a że Grady brał udział w ogólnym świętowaniu, więc chyba zaliczał się do rodziny.

To był cud.

Michael powrócił myślą do wszystkiego, co zdarzyło się przez ostatni rok. Pamiętał te okropne dni, kiedy wydawało się, że świat zawalił mu się na głowę i że już nigdy nic nie będzie takie samo jak przedtem. Co do tego ostatniego miał rację: niektóre rzeczy naprawdę nie będą takie jak przedtem. Wiele się zmieniło. Ale przecież te zmiany nie są wcale takie straszne. Niektóre są nawet całkiem niezłe.

Sam pstryknął palcami i wskazał na niego. - Chodź tutaj, Michael. Przecież to twoja siostrzenica.

Michael przyłączył się do grupy. Krok miał trochę niepewny, ale wcale nie dlatego, że nie nauczył się jeszcze dobrze chodzić po wypadku. Już całkiem niezłe biegał i grał w piłkę. Teraz szedł chwiejnym krokiem, bo był bardzo poruszony tym, że właśnie w tej chwili coś tak ważnego dzieje się w życiu ich wszystkich.

Nawet nie myśląc o kamerze, spoglądał na twarz noworodka. Nigdy w życiu nie widział jeszcze tak maleńkiej istotki.

- Czyż nie jest śliczna? - spytał John, który obejmował ramieniem Maxa.

Annie i Teke się ścisnęły, Sam i Grady poklepywali się po plecach, Jana i Zoe ramię przy ramieniu szczebiotały do maleństwa.

A ono miało jedno oko otwarte. A kiedy Michael się w nie wpatrywał, otworzyło drugie. Mógłby przysiąc, że ta maleńka istotka wpatrywała się teraz wprost w niego, i dobrze wiedział dlaczego. Po prostu był tu najmłodszy, najbardziej do niej zbliżony wiekiem. To on będzie przy niej, będzie się nią opiekował. Po Leigh i Maksie to on będzie dla niej najważniejszym człowiekiem na Ziemi.

Może dziewczynka to wcale nie jest takie złe wyjście?

Podniósł głowę, rozglądając się wokół z wyszczerzonymi radośnie zębami.

To naprawdę był cud.

---